

**J V Jones**

# **Uczeń**

**Księga słów 01**  
*(The Baker's Box)*

*Przetłóżył Michał Jakuszewski*

*Tę książkę poświęcam, z wyrazami miłości,  
pamięci mego ojca  
William Jonesa*

*Serdecznie dziękuję  
Betsy Mitchell, Wayne D. Changowi  
i wszystkim ludziom z Warner Aspect Books*

## Prolog

– Wykonałem twój rozkaz, panie.

W ostatniej sekundzie Lusk zauważył błysk długiego noża i zrozumiał, co to oznacza.

Baralis otworzył jego ciało potężnym, lecz zręcznym cięciem, od gardła aż po pachwinę. Zadrzał, gdy zwłoki runęły na podłogę z głuchym łoskotem. Uniósł do twarzy rękę, gdyż poczuł, że pokrywa ją lepka ciecz: krew Łuska. Powodowany nieokiełznaną chęcią dotknął palcem warg, by poczuć jej smak, jakże dobrze mu znany: miedziany, słony i jeszcze ciepły.

Odwróciwszy się od martwego już ciała, zauważył, że jego szaty splamiła krew zabitego. Nie spryskała ich beładnie, lecz utworzyła na szarym tle szkarłatny łuk. Półksiężyc. Na obliczu Baralisa pojawił się uśmiech. To był korzystny omen. Półksiężyc oznaczał początek czegoś nowego, narodziny, nowe sposobności – to właśnie, czym miał się zajmować dziś w nocy.

W tej chwili jednak musiał jeszcze zadbać o kilka drobiazgów. Po pierwsze powinien się przebrać. Nie

wypadało udawać się na spotkanie z ukochaną w zbrzydzanych krwią szatach. Musiał też zrobić coś ze zwłokami. Lusk był wiernym sługą, lecz niestety miał pewną drobną wadę: język nazbyt skłonny do niedyskrecji. Nie mógł pozwolić, by człowiek z upodobaniem do trzepania jęzorem po pijanemu zagroził jego starannie przygotowanym planom.

Wciągnąwszy ciało na wytarty dywan, poczuł w dłoniach znajomy, przeszywający ból. Przyjął wcześniej niewielką dawkę środka przeciwbólowego, by łatwiej posługiwać się długim nożem, lecz lekarstwo szybko przestało działać, co ostatnio zdarzało się aż nazbyt często, a nie chciał łykać go więcej w obawie, że wpłynie to na jego skuteczność działania.

Raz jeszcze uderzył długim nożem, zdumiewając się jego ostrością oraz faktem, że choć nigdy nie był mistrzem w podobnych sprawach, gdy trzymał w dłoni rękojeść tej broni, władał nią z niejaką finezją. Wykonawszy kilka cięć, owinął oderżnięte fragmenty twarzy Łuska w lnianą szmatę, która szybko przesiąknęła krwią. Było to bardzo nieprzyjemne. Nie przepadał za mokrą robotą, ale był w stanie się przemóc. Podeszedł do kominka i cisnął zawiniątko w ogień.

W oddali rozległo się bicie zegara. Baralis naliczył osiem uderzeń. Czas się umyć i przebrać. Każę temu wyrośniętemu przygłupowi Croke'owi zabrać rano resztę ciała Łuska. On z pewnością nic nie wygada.

Po niespełna godzinie Baralis opuścił cicho swe komnaty. Cel jego wędrówki znajdował się na górze, lecz droga wiodła najpierw w dół. Najważniejsza była dyskrecja. Nie mógł narażać się na to, że zatrzyma go nadgorliwy strażnik, czy jakiś durny szlachcic wda się z nim w rozmowę.

Dotarł do drugiej kondygnacji piwnic. Świeca, którą trzymał w ręku, nie była mu zazwyczaj potrzebna, ale dzisiejsza noc była szczególna. Nie podejmie żadnego ryzyka, nie będzie kusił losu.

Zakradł się do najdalej położonej części niższego piętra piwnic. Wilgoć dawała się we znaki stawom jego palców. Dłoń mu drżała, lecz powodem tego nie był jedynie ból. Świeca zamigotała. Na ręce skapnął mu gorący płynny wosk. Palcami targnął krótki, ostry skurcz. Baralis wypuścił świecę, która zgasła. Otoczyła go ciemność. Wysyczał przekleństwo. Nie miał krzemienia, którym mógłby skrzesać ogień, a dłoń dygotała mu gwałtownie. Tej nocy nie mógł ryzykować zaczerpnięcia światła. Będzie musiał poradzić sobie po ciemku.

Dotarł po omacku do przeciwległej ściany, używając rąk, tak jak owad czułków. Pomacał ostrożnie mur, w poszukiwaniu szczeliny w kamieniu. Znalazłszy, wsunął w nią delikatnie koniuszki palców. Odsunął się na bok, gdy ściana się cofnęła. Wszedł w wyłom. Kiedy już znalazł się w środku, powtórzył tę samą procedurę, dotykając ścian korytarza. Fragment muru wrócił na miejsce. Mógł wreszcie ruszyć w górę.

Uśmiechnął się. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Brak światła stanowił jedynie drobne utrudnienie. Ostatecznie, cóż znaczyła odrobina ciemności wobec tego, co miało się wydarzyć?

Odnajdywał drogę przez labirynt ze zdumiewającą łatwością. Nie widział otworów ani klatek schodowych, wyczuwał jednak ich bliskość i wiedział, które powinien wybrać. Uwielbiał to podmokłe podbrzusze zamku. Niektórzy słyszeli o jego istnieniu, lecz tylko nieliczni potrafili się tu dostać. Jeszcze mniej było takich, którzy umieli je wykorzystać do czegoś więcej niż zaskoczenia dorodnej garderobianej na nocniku. Dzięki tej sieci korytarzy Baralis mógł się poruszać po zamku niepostrzeżenie i trafiać do wielu pokoi, należących zarówno do nisko, jak i wysoko urodzonych. Nie wolno nie doceniać nisko urodzonych, pomyślał. Niektóre z najcenniejszych

informacji zdobył, podsłuchując plotkującą od niechcienia mleczarkę czy piwnicznego: kto spiskuje przeciw komu, kto śpi tam, gdzie nie powinien, a kto ma stanowczo za dużo złota.

Dziś jednak nie obchodzili go nisko urodzeni. Miał zdobyć dostęp do pokoju najwyżej postawionej mieszkanki zamku. Do komnaty królowej.

Posuwał się powoli w górę, masując dłoń, by wygnać z niej zimno. Był podenerwowany, lecz przecież tylko głupiec zachowałby w takiej sytuacji spokój. Dziś miał po raz pierwszy zakraść się do tego pomieszczenia. Spędził wiele godzin na obserwacji królowej, jej nawyków, jej kobiecych rytmów, rejestrując każdy szczegół, każdy niuans. W ostatnim okresie jednak jego chłodną ciekawość wzbogaciła ekscytująca niecierpliwość.

Podszedł do przejścia i zajrzał do środka, by się upewnić, że zasnęła. Leżała na łożu, całkiem ubrana. Oczy miała zamknięte. Poczul przemykające przez jego ciało drzenie podekscytowania. Wypiła doprawione narkotykiem wino. Lusk wykonał zadanie. Zachowując maksymalną ostrożność, wszedł do komnaty. Postanowił zostawić szparę w ścianie, na wypadek, gdyby był zmuszony do szybkiej ucieczki. Ruszył natychmiast ku drzwiom komnaty i zasunął

rygiel. Dzisiejszej nocy nikt poza nim tutaj nie wejdzie.

Zbliżył się do łoża. Królowa, zazwyczaj wyniosła i dumna, wyglądała na zupełnie bezbronną. Rzecz jasna, taka właśnie była. Potrząsnął jej ramieniem, najpierw lekko, potem mocniej. Nie odzyskała przytomności. Spojrzał na dzban wina. Był pusty, podobnie jak złoty puchar królowej. Na jego czole pojawiła się zmarszczka niepokoju. Królowa nie wypiłaby chyba sama całego dzbana? Z pewnością towarzyszyła jej któraś z dam dworu. Nie przejął się tym zbyt. Pechowa dziewczyna spędzi całą noc pogrążona w niezwykle głębokim śnie, a rano będzie się jej kręciło w głowie. Niemniej było to potknięcie, a on nie lubił potknięć. Zapisał sobie w pamięci, żeby rano to sprawdzić.

Przez kilka minut przyglądał się spokojnie królowej. Podczas snu wyglądała ładniej. Jej czoło było gładkie, a zarys aroganckich ust łagodniejszy. Wsunął pod nią dłonie, przetoczył ją na brzuch i przystąpił do rozwiązywania sukni. Zajęło to trochę czasu, gdyż dłonie miał zeszywniałe, a węzły były skomplikowane, nie mógł jednak ryzykować przecięcia sznurówek. To wzbudziłoby jej podejrzania.

Wreszcie udało mu się rozluźnić supły. Obrócił



królową na plecy. Ściągnął przednią część jej stanika, odsłaniając jasny zarys piersi. *Choć* w ostatnich latach niemal całkowicie wyrzekł się cielesnych przyjemności, nie mógł nie zareagować na ten widok. Poeci i minstrele nieustannie opiewali urodę królowej, on jednak pozostawał wobec niej obojętny. Aż do tej chwili. Cóż za ironia, pomyślał. Musiała stracić przytomność, by wydała mi się godna pożądania. Zachichotał bez wesołości i uniósł jej spódnice.

Rozluźnił i ściągnął jej bieliznę, a potem rozsunął nogi. Uda miała miękkie i gładkie, być może trochę zimne, lecz był to przewidywalny efekt uboczny narkotyku. Ich chłód nie odstręczał Baralisa. Zdał sobie z ulgą sprawę, że jest wystarczająco podniecony. Obawiał się, że nie będzie do niczego zdolny. Ostatecznie królowa nie była w jego guście. Jeśli miał jakieś szczególne upodobania, to wołał młode, bardzo młode dziewczyny. Jej uda mogły być miękkie, ale nie była niedawną dziewicą, a delikatne, niebieskie żyłki wyraźnie świadczyły o upływie lat. Była jednak piękna. Nogi miała długie i smukłe, a zaokrąglone biodra pociągałyby każdego mężczyznę. W przeciwieństwie do większości kobiet w tym wieku, jej ciało nie doznało spustoszeń wywołanych porodem. Piersi nadal miała sterczące, a brzuch płaski jak

kamienny ołtarz. Ściągnął nogą wice i wszedł w królową.

Był pewien, że jest w płodnym okresie. Szpiegował ją wystarczająco często, by wiedzieć, w których dniach miesiąca krwawi.

Słyszał, że w przeszłości istnieli mężczyźni potrafiący określić, w jakim stadium cyklu znajduje się kobieta. Wystarczyło, by znaleźli się z nią w tym samym pomieszczeniu, a wyczuwali pływ jej miesięcznych rytmów jako dotykalaną siłę. Podobnie znakomite osiągnięcia pozostawały jednak poza jego możliwościami i był zmuszony polegać na bardziej prozaicznych metodach.

Informacje, z których zrobił użytek dzisiejszej nocy, uzyskał od znachorki z wioski, w której się wychowywał. Wielu młodych chłopców gorąco pragnęło dowiedzieć się, w którym momencie najlepiej posiąść dziewczynę bez ryzyka poczęcia, lecz tylko on zapytał o to, w której chwili jest o nie najłatwiej. Znachorka popatrzyła na niego z wyrazem złowrogiego przecucia na starej, zgnębionej twarzy, odpowiedziała mu jednak. Nie miała w zwyczaju kwestionować motywów pytającego.

Baralis odczekał czternaście dni od chwili, gdy królowa zaczęła krwawić, nim przystąpił do akcji. To

jednak był tylko element jego układanki. Snuł plany i czekał przez długie lata. Wszystko, co robił dotąd i co miał uczynić w przyszłości, kręciło się wokół tej nocy. Latami studiował zapowiedzi, znaki, gwiazdy i systemy filozoficzne. Chwila nadeszła. Miał odmienić bieg dziejów znanego świata i zabezpieczyć własne przeznaczenie. Dzisiejszej nocy gwiazdy świeciły dla niego jasno.

Skupił się na wykonywanym zadaniu. Z początku był podenerwowany, lecz królowa nawet się nie poruszyła, zabrał się więc do roboty bardziej intensywnie. Zaskoczyło go, jak znajome wydało mu się budzące się pożądanie. W miarę jak podniecenie rosło, powściągliwość malała. Jego pchnięcia stawały się coraz silniejsze. Nie spodziewał się, że sprawi mu to przyjemność, i zdziwił się, gdy tak się stało. Wreszcie osiągnął orgazm i jego nasienie spłynęło w głąb ciała królowej.

Gdy się z niej wycofał, popłynęła strużka krwi, która ściekła leniwie po wewnętrznej stronie uda. Może był trochę zbyt brutalny, ale mniejsza o to. Po raz drugi tego wieczoru uniósł do warg zakrwawione palce. Nie zaskoczyło go, że krew królowej miała inny smak, słodszy i bardziej intensywny. Wytarł szybko strużkę z jej uda, przysunął nogi do siebie i opuścił

spódnice.

Nim założył jej stanik, przesunął dłonią po łuku lewej piersi, bladej i nieskazitelnej. Pod wpływem impulsu uszczypnął ją mocno, ściskając z okrucieństwem delikatne ciało między palcami. Następnie ułożył królową uważnie i nawet podsunął jej pod głowę miękką poduszkę.

Zostało mu tylko odejść i czekać. Później wróci, by dokończyć robotę. Nie odsunął rygla. Nie chciał, by ktoś zakłócił spokój królowej pod jego nieobecność.

Bevlin wpatrzył się w głębokie, bezchmurne niebo w poszukiwaniu znaku. Śledził wzrokiem niezliczone gwiazdy. Wiedział, że dzisiejszej nocy na świecie dzieje się coś złego. Czuł ciężar uciskający jego wiekowe kości i słabość w starych trzewiach. Jeśli chodzi o wyczuwanie niepokoju na świecie, jego wnętrzności były równie niezawodne, jak kwiaty na wiosnę, nawet jeśli ich zapach był mniej słodki.

Siedział, patrząc w górę, przez blisko godzinę. Zaczynał już winić za jelitowe dolegliwości kaczkę w tłuszczu, którą spożył wcześniej, gdy wreszcie coś się wydarzyło. Jedna z gwiazd na dalekiej północy rozjarzyła się nagle. Kiszki Bevlina zaburczały nieprzyjemnie, gdy północne niebo rozświetliła jasność. Dopiero kiedy zaczęła opadać ku

horyzontowi, zdał sobie sprawę, że nie była to cała gwiazda, a jedynie jej fragment: meteor pędzący ku ziemi z prędkością światła. Na jego oczach wpadł do atmosfery, lecz zamiast się spalić, rozpadł się na dwie części, czemu towarzyszyła przeszywająca powietrze fontanna iskier i płomieni. Blask przygasł i Bevin zobaczył dwa odrębne fragmenty, tam gdzie przedtem był tylko jeden. Gdy przecinały niebo, ciągnąc za sobą ślad gwiazdznego pyłu, stwierdził, że jeden świeci blaskiem białym, a drugi czerwonym jak krew.

Po jego policzku spłynęła łza. Z pewnością był już za stary na to, co miało się wydarzyć.

W ciągu wszystkich lat, które spędził na obserwacji gwiazd i studiowaniu ksiąg, nie odkrył żadnej wzmianki ani proroctwa, które dotyczyłyby tego, co przed chwilą zobaczył. Nawet teraz, gdy dwa meteory gnały ku dalekiemu horyzontowi i unicestwieniu, nie mógł niemal uwierzyć w to, co się wydarzyło. Czuł wewnętrzną pewność, że nie zobaczy już nic więcej.

W pewnym sensie odczuł ulgę. Tak długo czekał na znak z nieba. Teraz wreszcie nadszedł i Bevin poczuł, że doznawane wcześniej przez niego napięcie zelżało. Nie miał pojęcia, co oznaczał ten omen i czy powinien w tej sprawie coś zrobić, a jeśli tak, to właściwie co? Wiedział jednak, że jego kiszki nie dawały fałszywych

wskazówek, a także, iż kaczką w tłustym sosie mu nie zaszkodziła. I całe szczęście, gdyż nic tak nie pobudzało apetytu, jak wiekopomny znak na niebie. Po drodze do kuchni śmiał się wesoło, lecz gdy dotarł na miejsce, w jego śmiechu pojawiła się lekka nuta hysterii.

Kuchnia Bevlina służyła mu również jako gabinet. Potężny, dębowy stół był zavalony księgami, zwojami i manuskryptami. Mędrzec odkroił sobie spory kawałek kaczki i nałożył na nią obfitą porcję skrzepłego tłuszczu, po czym zasiadł wśród poduszek na starej kamiennej ławie i ulżył swym kiszkom, pierdząc głośno. Nadszedł czas, by zabrać się do roboty.

Gdy Baralis wrócił do swej komnaty, dobiegł go przyjemny zapach pieczonego mięsa. Zdziwił się, lecz poczuł również głód. Minęła dłuższa chwila, nim zdał sobie sprawę, skąd dobiega woń. Wśród żarzących się węgielków w kominku dojrzał nieregularny kawał zwęglonego, posiekanego mięsa, w którym rozpoznał szczątki twarzy Łuska.

– Za mocno wypieczone, jak na mój gust – powiedział, ciesząc się żartem oraz brzmieniem własnego głosu. – Na Borca! Ależ jestem głodny. Croke! – krzyknął głośno, wystawiając głowę za drzwi.

– Crope, ty leniwy durniu, dawaj żarcie i wino.

Po kilku sekundach jego sługa pojawił się w korytarzu. Był wysoki i potężny, lecz miał nieproporcjonalnie małą głowę. Wyglądał groźnie, a zarazem głupio.

– Wołałeś mnie, panie?

Jego głos brzmiał zaskakująco łagodnie.

– Tak, wołałem cię, ty głupcze. Kogo niby mogłem wołać, samego Borca?

Crope miał minę lekko zbaraniałą, lecz nieszczerze zaniepokojoną. Potrafił poznać, kiedy jego pan jest w dobrym nastroju.

– Wiem, że już późno, Crope, ale jestem głodny. Przynieś mi żarcie! – Baralis zastanawiał się przez chwilę. – Czerwone mięso, krwiste, i trochę dobrego czerwonego wina, nie tej kiry, którą podałeś mi wczoraj. Jeśli te śmierdzące głąby z kuchni nie zechcą ci dać wina z dobrego rocznika, powiedz im, że będą mieli do czynienia ze mną.

Crope skinął z przygnębieniem głową i oddalił się.

Baralis wiedział, że jego sługa nie lubi wykonywać zadań wymagających rozmowy z ludźmi. Był nieśmiały i nieobyty, co – zdaniem Baralisa – było u służącego wielką zaletą. Lusk był zbyt gadatliwy, co mu nie wyszło na dobre. Spojrzał na podłogę. Na lewo

od drzwi leżało owinięte w dywan to, co zostało z pechowego sługi. Croke najwyraźniej nie zauważył osobliwego pakunku, a jeśli nawet zwrócił na niego uwagę, nigdy nie przyszłoby mu do głowy o nim wspominać. Był jak karny pies – wierny i ślepo posłuszny. Baralis uśmiechnął się na myśl o tym, co się stanie, gdy Croke pojawi się w kuchni tak późną nocą. Z pewnością nieźle przestraszy tych złodziei.

Po krótkiej chwili sługa wrócił z dzbanem wina i porcją mięsa wypieczonego tak słabo, że na talerz sączył się różowawy sok. Baralis odprawił Croke'a i napełnił puchar aromatycznym, mocnym trunkiem. Uniósł go pod światło, by podziwiać ciemnokarmazynową barwę, po czym przytknął do ust. Wino było ciepłe i słodkie, a jego zapach przypominał krew.

Ostatnie wydarzenia sprawiły, że był głodny jak wilk. Gdy ucinał gruby plaster krwistego mięsa, nóż omsknął się i skaleczył go w kciuk. Baralis uniósł odruchowo palec i possał ranę, która zasklepiła się szybko. Zadrżał nagle, przypominając sobie fragment starej rymowanki, która wspominała coś o smaku krwi. Wyteżył pamięć, lecz bezskutecznie. Wzruszył ramionami. Zje kolację i prześpi się trochę, nim noc zacznie się zbliżać do końca.



Po wielu godzinach, tuż przed świtem, raz jeszcze zakradł się do komnaty królowej. Musiał zachować szczególną ostrożność, jako że sporo pałacowych sług wstało już, by zająć się wypiekiem chleba w kuchniach, dojeniem krów w oborach czy rozpalaniem ognia na kominkach. Nie czuł się jednak zbyt zaniepokojony, gdyż jego ostatnie zadanie nie wymagało wiele czasu.

Przestraszył się odrobinę, zobaczywszy, że królowa leży w dokładnie tej samej pozycji, w jakiej ją zostawił, bliższe oględziny wykazały jednak, że oddycha miarowo. Poczul w lędźwiach wspomnienie wieczornych wydarzeń. Miał ochotę posiąść ją raz jeszcze, lecz wyrachowanie odniosło zwycięstwo nad pożądaniem i Baralis nakazał sobie zrobić to, po co tu przyszedł.

Czuł lęk na myśl o Sondowaniu. Wykonywał je dotąd tylko raz i owo wspomnienie prześladowało go po dziś dzień. Był wówczas aroganckim młodzikiem, pewnym swych umiejętności, którymi tak bardzo przerastał rówieśników. Pokładano w nim wielkie nadzieje. I czyż ich nie spełnił? Dręczyło go niezaspokojone pragnienie wiedzy i osiągnięć. Cechował się też pychą, ale przecież było to typowe dla wielkich ludzi. Wszystko, o czym przeczytał,

natychmiast wypróbował, by następnie przejść do większych dokonań. Miał najbystrzejszy umysł w całej klasie. Wyprzedzał pod tym względem swych nauczycieli, których na koniec przerósł. Parł przed siebie z impetem szarżującego odyńca, budząc dumę mistrzów i zazdrość przyjaciół.

Pewnego dnia, gdy miał trzynaście lat, natrafił w bibliotece na stary butwiejący manuskrypt. Rozwinął delikatny pergamin drżącymi z podniecenia dłońmi. Początkowo poczuł się lekko rozczarowany. Tekst zawierał typowe wskazówki – czerpanie światła i ognia, leczenie przeziębienia. Przy jego końcu wspomniano jednak o rytuale zwanym Sondowaniem. Miał on podobno sprawdzać, czy kobieta jest w ciąży.

Przeczytał chciwie tekst. Nauczyciele nigdy nie wspominali o Sondowaniu. Być może nie potrafili go wykonywać albo – co byłoby jeszcze lepsze – nigdy o nim nie słyszeli. Pragnąc opanować umiejętność nie znaną swym mistrzom, wsunął manuskrypt do rękawa i zabrał do domu.

Po kilku dniach był już gotów wypróbować ów rytuał, ale właściwie na kim? Kobiety z wioski nigdy nie pozwoliłyby mu się dotknąć. Zostawała tylko jego matka, a był pewien, że ona nie spodziewa się dziecka. Nie mając jednak innego wyboru, postanowił użyć jej

jako królika doświadczalnego.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, zakradł się do sypialni rodziców, upewniwszy się najpierw, że ojciec wyszedł już w pole. Wstydził się, że ma za ojca zwykłego chłopca, pocieszał się jednak myślą, że jego matka pochodzi z lepszej rodziny. Była córką handlarza soli. Kochał ją bardzo i był dumny z jej dobrego pochodzenia. Szanowano ją w wiosce, a starsi zasięgali jej opinii we wszystkich sprawach, od żniw aż po swaty.

Matka Baralisa obudziła się, gdy jej syn wszedł do izby. Odwrócił się, by się wycofać, lecz wezwała go skinieniem.

– Chodź. Barsi. Czego chciałeś?

Otarła senność z oczu i uśmiechnęła się z czułą pobłażliwością.

– Wypróbować nową umiejętność – wymamrotał zawstydzony. Jego matka mylnie wzięła poczucie winy za skromność.

– Barsi, kochanie, czy dasz radę zrobić tę nową sztuczkę, gdy nie będę spała?

Jej twarz była pełna miłości i zaufania. Chłopaka natychmiast nawiedziło niedobre przeczucie.

– Tak, mam, ale może lepiej wypróbuję ją na kimś innym.

– Miedziane garnki! Co za bzdura. Wypróbuj ją na mnie. Nie mam nic przeciwko temu, pod warunkiem, że włosy nie zrobią mi się zielone.

Ułożyła się wygodnie na poduszkach i poklepała łożę.

– Nic ci nie będzie, mamó. To Sondowanie... żeby sprawdzić, czy jesteś zdrowa.

Kłamstwo przyszło mu z łatwością. Wielokrotnie już okłamywał matkę.

– Pokaż, co potrafisz! Uśmiechnęła się zachęcająco.

Baralis położył dłonie na brzuchu matki. Czuł ciepło jej ciała przez cienką tkaninę koszuli nocnej. Rozpostarł palce i skoncentrował się na poszukiwaniu. Manuskrypt przestrzegał, że ma ono charakter raczej umysłowy niż fizyczny, chłopak skupił więc wszystkie myśli na wnętrznościach badanej.

Poczuł krew płynącą przez jej żyły i mocny rytm serca. Wydzielanie soków w żołądku i delikatne ruchy jelit. Przesunął dłonie niżej. Popatrzył jej w oczy i dodała mu spojrzeniem odwagi. Znalazł punkt, o którym wspominał manuskrypt: plamkę płodnej czerwieni. Z narastającym podnieceniem zbadał złożone z mięśni schronienie, którym była macica jego matki.

Coś tam odkrył: delikatny pączek. Nie miał pewności, sięgnął więc głębiej. Na twarzy kobiety pojawił się wyraz niepokoju, nie zwracał jednak na to uwagi. Jego zapach był coraz silniejszy. Coś tam było, coś nowego i oddzielnego. Ogarnęło go radosne oszołomienie. Pragnął dotknąć owego tworu swym umysłem. Posunął się jeszcze głębiej. Jego matka krzyknęła z bólu.

– Barsi, przestań!

Jej piękną twarz wykrzywił grymas udręki.

Wpadł w panikę i spróbował jak najszybciej się wycofać, lecz pociągnął coś za sobą. Poczł Jak się poruszyło, zmieniło położenie. Doszło do rozdarcia ciała. Cofnął przerażony dłonie. Jego matka krzyczała histerycznie. Zgięła się wpół z bólu, trzymając się za brzuch. Baralis zauważył, że na pościeli pojawiła się nagle plama krwi. Te krzyki! Nie mógł znieść jej rozpaczliwych krzyków. Nie wiedział, co robić. Nie mógł zostawić jej samej, by wezwać pomoc. Ciałem jego matki targnęły spazmy. Krew wypływała z niej szeroką strugą, pokrywając białą pościel jaskrawymi plamami.

– Mamo, proszę cię, przestań. Przepraszam. Nie chciałem ci zrobić krzywdy. Proszę cię, przestań. – Po policzkach spływały mu łzy przerażenia. – Mamo,

przepraszam. – Objął ją, nie zważając na krew. –  
Przepraszam – powtarzał przerażonym szeptem.

Tulił matkę, gdy wykrwawiała się na śmierć. Trwało to tylko kilka minut, lecz Baralisowi wydawało się, że minęła wieczność, nim siły i życie wyciekły z jej kochanego ciała.

Otrząsnął się ze wspomnień. To było wiele lat temu. Był wtedy młody i niedoświadczony. Teraz sam został mistrzem. Nie popełni żadnych błędów wywołanych brakiem doświadczenia. Rozumiał już, że podjęcie podobnego mentalnego wysiłku w wieku chłopięcym było czystą głupotą. Ledwie wtedy wiedział, co to znaczy “być w ciąży”, a tylko podszepty własnego dojrzewania mówiły mu, w jaki sposób powstają dzieci.

Zdawał sobie sprawę, że poddając królową Sondowaniu, podejmuje pewne ryzyko, musiał to jednak sprawdzić. Nawet w najkorzystniejszej chwili poczęcie bynajmniej nie było pewne. Nie odważył się nawet pomyśleć o tym, co zrobi, jeśli okaże się, że jego nasienie nie spotkało się z uznaniem. Częścią jaźni był świadomy, że może być jeszcze zdecydowanie za wcześnie, by cokolwiek stwierdzić, inna część żywiła jednak przekonanie, że potrafi wyczuć nawet maleńką zmianę, a to wystarczy.

Nachylił się nad ciałem królowej i położył dłonie na jej brzuchu. Natychmiast zrozumiał, że tkanina zdobnej, dworskiej sukni jest zbyt gruba. Raz jeszcze podniósł spódnice i ze zdumieniem zauważył, że zapomniał założyć jej bieliznę. I całe szczęście, pomyślał. Ona również była wyjątkowo gruba.

Mógł mieć więcej doświadczenia niż w wieku trzynastu lat, żałował jednak, że jego dłonie nie są już młode. Trudno mu było rozpostrzeć palce na jej brzuchu. Przygryzł wargę z, bólu, nie mógł jednak pozwolić, by odczuwane niedogodności przeszkodziły w jego przedsięwzięciu. Natychmiast odnalazł właściwe miejsce. Nie był już nowicjuszem.

Rozpoczął Sondowanie. Wszystko to wydawało mu się znajome: skupione ciepło narządów, pulsująca czerwień naczyń krwionośnych, żar wątroby. Posuwał się z filigranową precyzją w głąb ciała królowej i jeszcze głębiej, do jej macicy. Odnalazł skomplikowaną płataninę mięśni i ścięgien, poczuł zmysłową krzywiznę jajników. I nagle odnalazł coś ledwie dostrzegalnego, ledwie istniejącego, delikatną zmarszczkę na powierzchni ścianki, pulsującą odrębność. Mikroskopijne życie, oddzielone i odróżnialne od życia królowej. Właściwie nawet nie życie, a tylko jego migotliwą sugestię... niemniej

jednak rzeczywistą.

Uniesiony radością, nie wycofał się gwałtownie, lecz zrobił to z nieskończoną powolnością i cierpliwością, zręcznie jak chirurg. W ostatniej chwili poczuł, jak druga obecność wyraziła się mrocznym naciskiem.

Przerwał kontakt. W tym końcowym momencie było coś, co nakazywało ostrożność, ale jego niepokój szybko pochłonęła radość wynikająca z sukcesu.

Zdjął dłonie z ciała królowej i poprawił jej suknie. Jęknęła lekko, lecz Baralis nie poczuł się zaniepokojony. Nie miała się obudzić prędzej niż za kilka godzin. Czas już, by zniknął. Podszedł lekkim krokiem do drzwi i odsunął rygiel. Zatrzymał się jeszcze na moment, by podziwiać własne dzieło, po czym wrócił do swych komnat, ledwie rzucając cień w słabym blasku jutrzenki.



# 1

– Nie. nie masz racji. Bodger. Uwierz mi. to nieprawda, że najlepsze w seksie są młode kobitki. Pewnie, że galanto wyglądają na zewnątrz, takie ładne i gładkie, ale jeśli chodzi o ostry numer, nie ma to jak stara szkapa.

Grift pociągnął łyk *ale* i uśmiechnął się radośnie do towarzysza.

– No, Grift. nie mogę powiedzieć, żebyś miał rację. Na pewno wolałbym posuwać tę cycatą Karri niż starą wdowę Harpit.

– Osobiście. Bodger. nie powiedziałbym “nie” żadnej z nich. Obaj mężczyźni ryknęli głośnym śmiechem, waląc dzbankami o blat. zgodnie ze zwyczajem straży pałacowej.

– Hej, ty, chłopcze, jak tam ci na imię? Chodź no tutaj, niech ci się przyjrę.

Jack podszedł do stołu. Grift zlustrował go wzrokiem od stóp do głów.

– Zapomniałeś języka w gębie, chłopcze?

– Nie, proszę pana. Nazywam się Jack.

– No, to ci dopiero rzadkie imię! – Obaj mężczyźni ponownie wybuchnęli ochryłym rechotem. – Jack, przynieś no nam trochę *ale*. Byle nie tej wodnistej lury.

Jack opuścił izbę jadalną dla służby i udał się na poszukiwanie *ale*. Podawanie strażnikom piwa nie należało do jego obowiązków, to samo dotyczyło szorowania wielkiej, pokrytej kafelkami podłogi kuchennej, a to również musiał robić. Nie uśmiechała mu się perspektywa spotkania z piwnicznym, gdyż nie raz zdarzyło mu się oberwać od Willocka w ucho. Popędził przed siebie kamiennymi korytarzami. Robiło się późno. Wkrótce będzie musiał stawić się w kuchni.

Po kilku minutach, już wracał z kwartą pieniącego się *ale*. Z przyjemnością stwierdził, że Willocka nie było w piwnej piwnicy. Obsłużył go jego pomocnik, Pruner, który poinformował go, mrugając znacząco, że Willock poszedł się wyszumieć. Jack nie był do końca pewien, co to mogło znaczyć, przypuszczał jednak, że było to związane z procesem warzenia piwa.

– To z całą pewnością. był lord Mayhor – mówił Bodger. gdy Jack wszedł do izby jadalnej. – Widziałem go na własne oczy. Gadali z lordem Baralisem jak starzy kumple, szybko i zawzięcie. Szkoda tylko, że nie widziałeś, jak nawiewali, kiedy

mnie zobaczyli. Szybciej niż baby z gnojowiska.

– No. no. no – odparł Grift. unosząc znacząco brwi.

– Kto by pomyślał. Wszyscy wiedzą, że Maybor i Baralis nie mogą na siebie patrzeć. Nigdy nie słyszałem, żeby powiedzieli do siebie uprzejme słowo. Jesteś pewien, że to byli oni?

– Nie jestem ślepy. Grift. To było tych dwóch huncwotów. Ukryli się w ogrodzie za żywopłotami i gadali jak para zakonnic na pielgrzymce.

– A niech mnie fretka wygrzmoci!

– Jeśli tylko woreczek w kroku będzie odpowiednich rozmiarów, Grift – wyszczebiotał radosnym tonem Bodger.

Grift zauważył obecność Jacka.

– Jeśli już mowa o woreczkach, tu stoi chłopczyk tak mały. że nie ma co do niego włożyć!

Bodgerowi wydało się to tak zabawne, że aż spadł z krzesła ze śmiechu.

Grift postanowił wykorzystać tę okazję. Nim Bodger zdołał się podnieść, wstał z ławy i przyciągnął Jacka do siebie.

– Słyszałeś, o czym tu mówiliśmy, chłopcze? – zapytał, ściskając jego ramię i przesywając go spojrzeniem załzawionych oczu.

Jack dobrze się orientował w zamkowych intrygach

i wiedział, jak brzmi najbezpieczniejsza odpowiedź.

– Proszę pana, nie słyszałem nic oprócz jakiejś uwagi o woreczku. Palce Grifta wpiły się boleśnie w ciało chłopca. Głos strażnika brzmiał cicho i groźnie.

– Dla twego własnego dobra, chłopcze, mam nadzieję, że mówisz prawdę. Jeśli się dowiem, że mnie okłamałeś, to pożałujesz. – Grift raz jeszcze ścisnął i uszczypnął ramię Jacka, po czym go puścił. – Naprawdę bardzo pożałujesz. Zjeżdżaj już.

Zwrócił się ku swemu towarzyszowi i wznowił rozmowę, jakby przykra scenka w ogóle się nie wydarzyła.

– Widzisz, Bodger. starsza kobitka jest jak przejrzała brzoskwinia. Na zewnątrz poobijana i pomarszczona, ale w środku słodka i soczysta.

Jack złapał pośpiesznie pusty dzbanek i pobiegł do kuchni tak szybko, jak tylko potrafił.

To nie był jego szczęśliwy dzień. Mistrz piekarski Frallit był w nastroju tak paskudnym, że jego normalne zachowanie mogłoby się wydawać niemal uprzejme. Szorowanie wielkich form do pieczenia powinno należeć do Tilly, ona jednak umiała postępować z Frallitem. Jeden uśmiech jej pulchnych, wilgotnych warg wystarczał, by uchronić ją przed czarną robotą.

Ze wszystkich swych zadań Jack najbardziej nienawidził szorowania masywnych kamiennych form. Trzeba je było czyścić żrącą mieszaniną sody i ługu, która wżerała mu się w dłonie, powodując powstawanie pęcherzy, a czasem też złuszczenie skóry. Musiał potem taszczyć nieporęczne gruchoty, niemal dorównujące mu ciężarem, na kuchenny dziedziniec, by tam je opłukać.

Przeniesienie ich było etapem chyba najtrudniejszym. Były kruche i gdyby któryś upuścił, roztrzaskałby się na setki kawałków. Stanowiły dumę i radość Frallita, który przysięgał, że to dzięki nim udaje mu się mu znakomity chleb i że matowy, ciężki kamień zapobiega zbyt szybkiemu pieczeniu. Jack niedawno przekonał się, jaka kara grozi za potłuczenie jednej z cennych form mistrza piekarskiego.

Przed kilkoma tygodniami Frallit, który przez cały dzień zdrowo sobie popijał, zauważył, że jednej z nich brakuje. Nie zwlekając, zaczął szukać Jacka. Znalazł go ukrytego wśród garnków i rondli po kucharskiej stronie kuchni.

– Ty tępy kretynie – wrzasnął, wyciągając go z kryjówek za włosy. – Wiesz chociaż, co zrobiłeś, chłopcze? Wiesz?

Jack nie miał wątpliwości, że mistrz piekarski nie

oczekuje odpowiedzi. Frallit spróbował trzepnąć go w ucho, lecz chłopak uchylił się zręcznie i ręka mistrza przeszła powietrze. Wspominając później ten incydent, Jack zdał sobie sprawę, że ten unik był poważnym błędem. Frallit zapewne złałby go porządnie i na tym poprzestał, ale najbardziej ze wszystkiego nie lubił wychodzić na durnia – i to na oczach szczwanej, lecz apetycznej Tilly. Jego wściekłość była przerażająca. Skończyło się na tym, że wyrwał Jackowi całą garść kłaków.

Chłopak miał wrażenie, że Frallit wziął się na jego włosy. Wyglądało na to, że chce, by wszyscy jego uczniowie stali się równie łysi jak on. Pewnego ranka Jack, obudziwszy się, odkrył, że głowę mu wystrzyżono niczym owcę. Tilly wrzuciła kasztanowe loki do ognia i poinformowała go, iż Frallit kazał go ostrzyć, gdyż podejrzewał, że ma wszy. Włosy Jacka zemściły się w jedyny dostępny dla nich sposób i odrosły irytująco szybko.

W gruncie rzeczy, to właśnie rośnięcie było teraz jego głównym problemem. Nie było tygodnia, by nie dostrzegał jakichś oznak przerażająco gwałtownego wzrostu. Spodnie stały się dla niego nieustannym źródłem zawstydzenia. Przed czterema miesiącami sięgały dyskretnie gdzieś do kostek, teraz zaś groziło

mu odsłonięcie łydek. A były one przerażająco białe i chude! Jack był przekonany, że wszyscy w kuchni zauważają żaloszny skrawek nagiego ciała.

Jako zaradny chłopak postanowił, że uszyje sobie drugą, korzystniej wyglądającą parę. Niestety, krawiectwo było rzemiosłem wymagającym cierpliwości, nie desperacji, i nowe spodnie pozostały nieosiągalnym marzeniem. Musiał uciec się do bardziej ryzykownego sposobu poprawienia swojego ubioru i zaczął nosić starą parę spodni nie dopiętą. Zwisaly mu luźno na biodrach, zabezpieczone kawałkiem szorstkiego powroza. Wznosił niezliczone rozpaczliwe modlitwy do Borca, błagając go, by rzeczony powróż nie pękł w obecności kogoś ważnego – a szczególnie kobiet.

To niewytłumaczalne rośnięcie przysparzało mu ciągle nowych zmartwień. Po pierwsze, rósł wzwyż, a wszere ani trochę, i zaczął żywić silne podejrzenie, że przypomina teraz wyglądem kij od miotły. Najgorszy jednak był fakt, że zaczął przerastać swych zwierzchników. Był o głowę wyższy od Tilly, a Frallit sięgał mu do ucha. Mistrz piekarski zaczął uważać wzrost Jacka za osobistą zniewagę. Często słyszano, jak mamrocze pod nosem, że z wysokiego chłopaka nigdy nie będzie porządny piekarz.

Głównym obowiązkiem Jacka jako piekarczyka było pilnowanie, by nie wygasł ogień pod wielkim piecem. Piec ów był wielkości małego pokoju i w nim właśnie co rano wypiekano pieczywo dla setek mieszkających w zamku dworzan i służących.

Frallit pysznił się tym, że codziennie piecze świeży chleb. W tym celu musiał zrywać się o piątej rano, by dopilnować roboty. Ogień pod masywnym kamiennym piecem płonął przez całą noc. każdą noc, gdyby bowiem pozwolono mu zgasnąć, potrzeba by było całego dnia. by uzyskać temperaturę potrzebną do wypieku. Jack musiał więc pilnować pieca w nocy.

Co godzinę otwierał kamienne palenisko umieszczone w dnie potężnej konstrukcji i dorzucał opału do ognia. Nie miał nic przeciwko temu. Przyzwyczał się już do drzemania z cogodzinną przerwą, a zimą. gdy w kuchni panował przenikliwy ziąb, przyciskał przez sen chude ciało do ciepłego kamienia.

Czasami, w zachwycających chwilach między snem a jawą, wyobrażał sobie, że jego matka jeszcze żyje. W ostatnich miesiącach choroby jej skóra stała się gorąca jak piec. Głęboko w piersiach kryło się źródło żaru, który spalał ją skuteczniej niż ogień. Jack pamiętał dotyk jej ciała. Kości miała lekkie i kruche



jak suchy chleb. Nie był w stanie myśleć o tak przerażającej słabości. Przez większą część dni wypełnionych dźwiganiem worków mąki ze spichrza i wiader ze studni, czyszczenia pieca z popiołów i pilnowania, by drożdże się nie zepsuły, udawało mu się zapomnieć o bólu wywołanym jej utratą.

Odkrył w sobie talent pozwalający mu obliczać, ile mąki, drożdży i wody należy zużyć, by uzyskać różne rodzaje ciast, jakich potrzebowano każdego dnia. Potrafił nawet rachować szybciej niż sam mistrz, miał jednak tyle rozsądku, by ukrywać tę umiejętność. Frallit zazdrośnie strzegł swej wiedzy.

Ostatnio spotkał go zaszczyt. Mistrz pozwolił mu miesić ciasto.

– Musisz je ugniatać jak pierś dziewicy – zwykł mówić. – Najpierw delikatna, ledwie wyczuwalna pieszczota. Później coraz mocniej, aż wreszcie ustąpi.

Po pierwszym kuflu *ale* mistrz piekarski wpadał w niemal liryczny nastrój. To drugi kufel przyprawiał go o zły humor.

Wyrabianie ciasta było dla Jacka krokiem naprzód, oznaczającym, że niedługo osiągnie pozycję ucznia. Gdy już zostanie pełnoprawnym uczniem piekarskim, jego przyszłość w zamku będzie zabezpieczona. Do owej chwili był zdany na łaskę tych, którzy byli

postawieni wyżej od niego, a w hierarchii rywalizujących ze sobą zaciekle pałacowych sług oznaczało to wszystkich.

Gdy zmierzał z izby jadalnej dla służby do kuchni, spostrzegł zaskoczony, że zdążyła zapaść już noc. Jack przekonał się, że czas często umyka mu jak nie spływająca z nowego wrzeciona. W jednej chwili miesił ciasto, by urosło, w następnej zaś Frallit dawał mu kuksańca za to, że zostawił je na tak długo, iż stwardniało i zaczęło przyciągać muchy. Tak wiele spraw wymacało przemyślenia, a do tego jego wyobraźnia lubiła go zaskakiwać. Wystarczyło, by popatrzył na drewniany stół, a zaczynał sobie wyobrażać, że w cieniu drzewa, z którego zrobiono ów mebel, chronił się ongiś jakiś dawno już nie żyjący bohater.

– Spóźniłeś się – powiedział Frallit. Stał przy piecu z założonymi rękami, patrząc na zbliżającego się Jacka.

– Przepraszam, panie Frallicie.

– Przepraszasz – przedrzeźniał go Frallit. – Przepraszasz. Masz za co przepraszać. Mam już dość tego spóźniania. Temperatura pieca obniżyła się niebezpiecznie, chłopcze. Naprawdę niebezpiecznie. – Mistrz piekarski postąpił krok naprzód. – A kto będzie

miął kłopoty, jeśli ogień wygaśnie i przez cały dzień nie będzie chleba? Ja. – Frallit ściągnął z półki mieszadło i walnął nim boleśnie Jacka w rękę. – Ja ci pokażę narażać na szwank moją reputację!

Znalazłszy punkt, w który wygodnie było uderzać. Frallit kontynuował bicie, aż powstrzymała go nieoczekiwana zadyszka. Krzyki przyciągnęły spory tłumek.

– Daj chłopakowi spokój, Frallicie – odważyła się powiedzieć jedna z nędznych pomywaczek. Willock, piwniczny, uciszył ją szybkim policzkiem.

– Cisza, zuchwała dziewczko. To nie twój interes. Mistrz piekarski ma pełne prawo postępować ze swymi chłopcami, jak uzna za stosowne. – Zwrócił się w stronę pozostałych sług. – Niech to będzie dla was nauką.

Piwnicy uklonił się uprzejmie Frallitowi, po czym rozpedził tłum.

Jack dygotał. W rękę czuł pulsujący ból. Mieszadło zostawiło na skórze głębokie ślady. W jego oczach lśniły łzy bólu i wściekłości. Zaciśnął mocno powieki, zdecydowany powstrzymać płacz.

– Gdzieżeś się podziewał tym razem? – Mistrz piekarski nie czekał na odpowiedź. – Idę o zakład, że bujałeś w obłokach. Wyobrażałeś sobie, że jesteś kimś

lepszym od nas. – Frallit zbliżył się do Jacka i złapał go za szyję. Jego oddech pachniał silnie piwem.

– Coś ci powiem, chłopcze. Twoja matka była kurwą, a ty nie jesteś nikim więcej jak skurwysynem. Możesz spytać, kogo zechcesz. Wszyscy w zamku powiedzą ci to samo. Co więcej, powiedzą ci, że była cudzoziemską kurwą.

Krew uderzyła Jackowi do głowy. Wstrzymywany oddech palił mu płuca. W głowie miał tylko jedną myśl – ból był niczym, ryzyko ośmieszenia się nie liczyło – musiał się dowiedzieć.

– Skąd pochodziła? – krzyknął.

Zadał pytanie, które było dla niego najważniejsze w życiu. Dotyczyło w równym stopniu jego, jak jego matki, gdyż pochodził stamtąd, skąd i ona. Nie miał ojca i pogodził się z tym faktem, ale matka powinna była dać mu coś, czego od niej nie otrzymał. Tożsamość. Wszyscy w zamku wiedzieli, kim są i skąd pochodzą. Dostrzegał ich milczącą pewnością siebie. Nie dla nich było życie pełne pozbawionych odpowiedzi pytań. Nie. Znali swe miejsce, swą rodzinną historię, swych dziadków i babki. A uzbrojeni w tę wiedzę, znali siebie.

Jack zazdrościł im tego. On również pragnął uczestniczyć w rozmowach na temat rodzin, móc od

niechcenia rzucić: – Och, krewni matki pochodzili z Calfernu. To na zachód od rzeki Ley.

Pozbawiono go jednak tej przyjemności. Nie wiedział nic o matce. Nie znał miejsca jej urodzenia, rodziny ani nawet prawdziwego imienia. Wszystko to było dla niego tajemnicą. Gdy ludzie wyzywali go czasem od bękartów, nienawidził jej z tego powodu.

Frallit złagodził uścisk.

– Skąd mam to wiedzieć? – warknął. – Nigdy nie korzystałem z jej usług. – Ścisnął Jacka po raz ostatni i wypuścił go wreszcie.

– Dorzuć trochę drew do pieca, nim zmienię zdanie i uduszę cię na amen.

Odwrócił się, pozostawiając chłopca jego pracy.

## 2

Bevlin spodziewał się gościa. Nie wiedział, kto to będzie, wyczuł jednak, że się zbliża. Pora natłuścić kolejną kaczkę, pomyślał z roztargnieniem. Zmienił jednak zdanie. Ostatecznie nie wszyscy przepadali za jego ulubionym przysmakiem. Bezpieczniej będzie upiec ten wołowy udziec. Co prawda, miał już kilka tygodni, ale to nic nie szkodziło. Wołowina z robakami nigdy jeszcze nikogo nie zabiła. Powiadano nawet, że jest bardziej krucha i soczysta od świeżej.

Przyniósł mięso z piwnicy, natarł je solą i korzeniami, owinał w wielkie liście szczawiu i wetknął między rozżarzone węgielki w wielkim kominku. Pieczeń wołowa wymagała znacznie więcej starań niż kaczka w tłuszczu. Miał nadzieję, że gość doceni jego starania.

Kiedy się wreszcie zjawił, na dworze zapadła już ciemność. W kuchni Bevlina było jednak ciepło i jasno. Wypełniały ją też smakowite aromaty.

– Proszę, przyjacielu – wychrypiał Bevlin w

odpowiedzi na stukanie do drzwi. – Otwarte.

Mędrzec poczuł się zaskoczony, ujrawszy, że mężczyzna, który wszedł do środka, jest bardzo młody. Był też wysoki i przystojny. Jego złote loki lśniły w blasku ognia, choć pokrywał je kurz długiej wędrówki. Szaty były jednak w znacznie gorszym stanie. Miały nie rzucający się w oczy, szary kolor. Nawet skóry, które były ongiś czarne lub brązowe, świadczyły dobitnie o wszechobecności pyłu. Jedyny jaskrawy punkt stanowiła owiązana wokół szyi apaszka. Bevlinowi przemknęło przez głowę, że w jej wyblakłej, szkarłatnej wspaniałości jest coś wzruszającego.

Przybysz sprawił na mędrca wrażenie wyczerpanego jazdą, nie było w tym jednak nic dziwnego. Bevlin mieszkał w bardzo odludnej okolicy. Od najbliższej wioski jego dom dzieliły dwa dni konnej jazdy, a osada ta składała się tylko z trzech gospodarstw i gnojowiska.

– Witaj, nieznajomy. Życzę, ci szczęśliwej nocy. Chodź, podzielę się z tobą jadłem i dachem nad głową.

Bevlin uśmiechnął się. Młodzieńca zdziwiło, że się go spodziewano, lecz dobrze ukrył swe zaskoczenie.

– Dziękuję, wielmożny panie. Czy to jest dom mędrca Bevlina? Jego głos miał przyjemne niskie

brzmienie, z wyczuwalnym śladem wiejskiego akcentu.

– Ja jestem Bevlin. Nie mnie decydować, czy jestem mędrcem.

– Jestem Tawl, rycerz z Valdis.

Pokłonił się z gracją. Bevlin wiedział wszystko na temat ukłonów. Bywał na największych dworach Znanych Krain i kłaniał się najpotężniejszym władcom. W ukłonie młodzieńca wyczuwało się niedawno opanowany artyzm.

– Rycerz z Valdis! Mogłem się tego domyślić. Ale dlaczego przysłano do mnie tylko nowicjusza? Liczyłem na kogoś starszego.

Bevlin zdawał sobie sprawę, że obraża młodzieńca. Uczynił to jednak bez złośliwości. Chciał sprawdzić jego cierpliwość i wychowanie. Odpowiedź go nie rozczarowała.

– A ja spodziewałem się ujrzeć kogoś młodszego, panie – odparł z uśmiechem rycerz. – Ale nie zamierzam cię ganić za twój podeszły wiek.

– Celną odpowiedź, młody człowieku. Musisz mi mówić “Bevlin”. Cała ta bzdura z “panami” tylko mnie denerwuje. Powiedz mi, czy wolisz soloną, pieczoną wołowinę czy smaczną kaczkę w tłuszczu?

– Chyba wołałbym wołowinę, pa... hmm, Bevlinie.



– Znakomicie – odparł mędrzec, kierując się do kuchni. – W takim razie sam zjem kaczkę!

– Proszę, wypij trochę lakusa. To uspokoi szaf w twoim brzuchu.

Bevlin napełnił puchar srebrzystym płynem i podał go swemu towarzyszowi. Zjedli posiłek w milczeniu. Rycerz opierał się wszelkim próbom nawiązania niezobowiązującej pogawędki. Bevlin był skłonny wybaczyć młodzieńcowi jego małomówność, gdyż jej powodem mógł być ból brzucha. Tawl skosztował napoju. Twarz miał pobladłą i naznaczoną wyrazem cierpienia. Z początku pił ostrożnie, lecz płyn najwyraźniej przypadł mu do gustu, gdyż opróżnił puchar do końca. Podobnie jak wielu innych, w niezliczonych wiekach, uniósł kielich, prosząc o więcej.

– Cóż to za napój, na stworzenie? Smakuje jak... nie przypomina niczego, co piłem w życiu.

– Mogę cię zapewnić, że w pewnych częściach świata jest powszechnie znany. Wytwarza się go, ściskając delikatnie treść koziego żołądka. – Twarz gościa nic nie wyrażała, Bevlin wdał się więc w szczegóły. – Z pewnością słyszałeś o koczownikach, którzy wędrują po wielkich równinach? – Tawl skinął głową. – No więc, podstawowym źródłem utrzymania

dla tamtejszych plemion są kozy, które dostarczają koczownikom mleka i szorstkiej wełny, a po zabiciu mięsa i tego nadzwyczajnego płynu. Równinna koza to niezwykle stworzenie. Bardzo użyteczne. Czyż nie mam racji?

Młodzieniec skinął niepewnie głową, Bevlin jednak widział, że jego gość czuje się już znacznie lepiej.

– Najciekawsze w lakusie jest to, że gdy podać go na zimno, leczy dolegliwości brzucha i... jak by to powiedzieć... hmm. części intymnych. Kiedy jednak go ogrzać, zmienia właściwości i zwalcza boi stawów oraz głowy. Słyszałem nawet, że jeśli go zagęścić i zrobić z niego maść na rany, przyspiesza ich gojenie i zapobiega infekcji.

Bevlin czuł lekkie wyrzuty sumienia. Zdawał sobie sprawę, że chorobę gościa wywołała nieświeża wołowina, postanowił więc, że nim młodzieniec odjedzie, wynagrodzi mu poniesione szkody, oddając mu swój ostatni bukłak lakusa.

– Czy ten napój jest czymś więcej niż suma jego składników? Rycerz był bystry. Bevlin zmienił opinię na jego temat.

– Można by powiedzieć, że jest w nim pewien dodatkowy element, który nie ma nic wspólnego z kozą.

– Czary.

Bevlin uśmiechnął się.

– Jesteś nadzwyczaj bezpośredni. W dzisiejszych czasach ludzie nazbyt często obawiają się nazwać głośno to, co niewidzialne. Bez względu na nazwę, nic nie zmieni taktu ich zanikania.

– Ale są jeszcze ludzie...

– Tak. są jeszcze ludzie, którzy je praktykują. – Mędrzec wstał z miejsca. – Większość jednak sądzi, że lepiej by było, gdyby tego nie czynili.

– A jakie jest twoje zdanie? – zapytał rycerz.

– Sądzę, że tak jak wiele innych rzeczy – gwiazdy na niebie czy burze w przestworzach – nic są właściwie rozumiane, a ludzie z reguły boją się tego, czego nie potrafią pojąć.

Bevlin uważał, że powiedział już wystarczająco wiele. Nie miał ochoty zaspokajać młodzieńczej ciekawości rycerza. Jeśli Tawl chciał się czegoś na ten temat dowiedzieć, mógł się uczyć na własnym doświadczeniu. Mędrzec był już za stary, by bawić się w nauczyciela. Wrócił do poprzedniego lematu.

– Może powinieneś się, trochę przespać – zaproponował. – Jesteś osłabiony. Musisz wypocząć. Porozmawiamy rano.

Rycerz zrozumiał, że gospodarz chce już udać się

na spoczynek. Gdy wstawał z miejsca. Bevlin dostrzegł znak na jego przedramieniu. Było to piętno – dwa kręgi, jeden wewnątrz drugiego. Wewnętrzny krąg wypalono niedawno. Skóra wokół niego wciąż była uniesiona i pomarszczona. Przez środek obu kół biegła zadana nożem rana, z której nie zdjęto jeszcze szwów. Bevlin pomyślał, że w walce trudno jest otrzymać cios w to miejsce.

Bez względu na blizny, rycerz był młody, jak na posiadacza drugiego kręgu. Bevlin wziął go za nowicjusza. Być może powinien był powiedzieć mu więcej o źródłach mocy lakusa. Tawł chętnie by tego wysłuchał. Drugi krąg oznaczał, że nie tylko zręcznie władał mieczem, lecz również zdobył wykształcenie. Niemniej jednak mędrzec miał mu zaoferować szansę zdobycia chwały, dlaczegóż więc miałby dzielić się z nim również wiedzą?

Gdy tylko Melli weszła do komnat swego ojca, lorda Maybora, pognała prosto do jego sypialni, w której można było znaleźć ów najcenniejszy z przedmiotów: zwierciadło. Było ono jedynym, do którego miała dostęp, lustro uważano bowiem za zbyt cenne, by dawać je dzieciom. Odsunęła ciężkie, czerwone zasłony, pozwalając, by do bogato urządzonej sypialni wpadło światło.

Osobiście uważała, że owo pomieszczenie – całe w złocie i czerwieni – jest nazbyt krzykliwe. Postanowiła, że gdy pewnego dnia będzie miała własną komnatę, wykaże się lepszym smakiem w doborze umeblowania. Dobrze wiedziała, że dywan, po którym kroczy, jest bezcenny, a zwierciadło, z którego chciała skorzystać, uważa się za najpiękniejsze w królestwie, lepsze od tego, które miała królowa. Niemniej jednak owe przejawy niezmiernego bogactwa jej ojca nie robiły na niej większego wrażenia.

Ruszyła prosto w stronę zwierciadła. Rozczarowało ją to, co w nim ujrzała. Jej klatka piersiowa wciąż była płaska jak deska. Wciągnęła głęboko powietrze i wypchnęła wątlą pierś do przodu, usiłując sobie wyobrazić, jak to będzie, gdy wyrośnie jej kobiecy biust. Była pewna, że stanie się to już niedługo, lecz za każdym razem, gdy zakradała się do komnat ojca, jej odbicie prezentowało się tak samo.

Po części pragnęła zostać już kobietą. Och, gdybyż mogła wreszcie używać dorosłego imienia Melliandra – zamiast krótkiej i niezbyt imponującej formy Melli. Nie cierpiała tego imienia. Starsi bracia dokuczali jej bezlitośnie, wołając: “Melli, Melli, skąd cię wzięli!” Słyszała tę rymowaną już tysiąc razy. Gdyby tylko zaczęła wreszcie krwawic. Wtedy pozwoliliby jej

używać właściwego imienia... oraz sukni galowej.

Wszystkie młode damy z chwilą osiągnięcia dojrzałości otrzymywały w prezencie suknię galową, w której przedstawiano je królowej. Melli wiedziała, że jako córka lorda Maybora będzie miała przewagę nad innymi dziewczętami. Jej ojciec był jednym z najmajętniejszych ludzi w Czterech Królestwach i z pewnością nie zmarnuje nadarzającej się okazji, by popisać się swym bogactwem.

Wiedziała już z czego powinna być uszyta jej suknia: ze srebrzystej tkaniny, bardzo drogiej i niezwykle pięknej, wykonanej z jedwabiu wzbogaconego nitkami czystego srebra. Na północy dawno już zaginęła sztuka tkania podobnej materii. Trzeba by ją sprowadzić specjalnie dla niej z dalekiego południa. Zdawała sobie sprawę, że nic nie sprawiłoby ojcu większej przyjemności niż szansa wydania pieniędzy na podobny, nadający się do publicznej demonstracji nabytek.

Stanie się kobietą miało też jednak swoje wady. Nadejdzie moment, gdy zmuszą ją do małżeństwa. Dobrze wiedziała, że nie będzie miała w tej sprawie wiele do powiedzenia. Córka była uważana za wyłączną własność ojca, który mógł z nią postąpić, jak uzna za stosowne. Było pewne, że przehandluje ją za

to, co wyda mu się godne pożądanía: ziemię, prestiż, tytuły, bogactwo, sojusze... tyle warte były kobiety w Czterech Królestwach.

Nie przepadała zbytńio za przyszczatymi, uśmiechającymi się głupekowato chłopcami z dworu. Słyszała nawet wzmiankę o możliwości jej małżeństwa z księciem Kylockiem. Ostatecznie byli w tym samym wieku. Drżała na samą myśl o tym. Nie lubiła tego zimnego, aroganckiego chłopaka. Choć opowiadano, że jest bardzo uczony, jak na swój wiek, i po mistrzowsku włada mieczem, budził w niej strach. Coś w jego przystojnej, ogorzałej twarzy wywoływało niepokój w jej sercu.

Miała już opuścić sypialnię, gdy usłyszała kroki, a potem głosy w sąsiednim pokoju. Ojciec! Będzie bardzo zły, jeśli znajdzie ją tutaj. Może ją nawet ukarać. Zamiast wyjść z komnaty i pozwolić, by ją zauważył, postanowiła się schować i zaczekać, aż ojciec i jego towarzysz sobie pójdą. Usłyszała niski potężny głos Maybora, a potem drugi, głęboki i uwodzicielski. Było w nim coś znajomego. Miała pewność, że już go kiedyś słyszała...

Lord Baralis! To był on. Połowa kobiet na dworze uważała, że jest fascynujący, w drugiej połowie budził zaś odrazę.

Melli była zdziwiona. Choć nie wiedziała wiele o polityce, była świadoma, że między jej ojcem a Baralisem panuje nienawiść. Podeszła do drzwi, by usłyszeć, o czym rozmawiają. Uspokoila samą siebie, że to nie podsłuchiwanie, a jedynie dziewczęca ciekawość. Mówił lord Baralis. chłodnym, sugestywnym głosem.

– Byłoby katastrofą dla naszego kraju, gdyby królowi Leskethowi pozwolono na zawarcie pokoju z Halcusami. Szybko rozejdzie się wieść, że król ma słaby charakter i zaleją nas wrogowie. Zapukają do naszych drzwi i wyrwą nam ziemię spod nóg.

Nastala przerwa. Melli uslyszala szelest jedwabiu, a potem odgłos nalewania wina. Baralis znowu zaczął mówić.

– Obaj wiemy, że Halcusowie nie poprzestaną na kradzieży naszej wody, lecz skierują swe chciwe spojrzenia również i na ziemię. Jak długo twoim zdaniem będą przestrzegać tego pokoju? – Po chwili ciszy Baralis sam odpowiedział na własne pytanie. – Przez czas potrzebny, by zebrać i wyszkolić armię. Później, nim zdążymy się zorientować, pomaszerują do samego serca Czterech Królestw.

– Nie musisz mi mówić, że zawarcie pokoju na Rogowym Moście byłoby katastrofą, Baralisie. – Głos



jej ojca ociekał pogardą. – Przez ponad dwieście lat, od czasów znacznie poprzedzających przybycie twoich krewnych do Czterech Królestw, mieliśmy wyłączne prawa do Nestora. Wyrzeczenie się tych praw w traktacie pokojowym jest poważnym błędem.

– Zaiste, Mayborze – odezwał się znowu lord Baralis, tonem uspokajającym, lecz nie pozbawionym ironii. – Woda Nestora jest dla naszych wieśniaków cenna niby krew i, o ile się nie mylę, rzeka ta przepływa przez znaczną część twoich wschodnich posiadłości.

– Dobrze wiesz, że przepływa, Baralisie! – Melli usłyszała w głosie ojca znajomy ton gniewu. – Znakomicie zdajesz sobie sprawę, że jeśli ten pokój zostanie uchwalony, najbardziej ucierpią moje posiadłości, a także te, które zamierzam przekazać synom. To jedyny powód, dla którego się dziś spotkaliśmy. – I dodał nieprzyjaźnie brzmiącym, warczącym głosem. – Nie łudź się, Baralisie. Nie dam się wciągnąć w sieć twych intryg bardziej, niż uznam to za stosowne.

Przez chwilę panowała cisza, po czym lord Baralis odezwał się ponownie, zupełnie innym, niemal pojednawczym tonem.

– Nie jesteś jedynym dostojnikiem, któremu

zaszkodzi ten pokój. Poprze nas wielu ludzi, którzy dzierżą posiadłości na wschodzie.

Raz jeszcze rozmowa zamarła. Gdy Baralis zaczął mówić dalej, jego głos przeszedł niemal w szept.

– Przed wszystkim trzeba unieszkodliwić króla i zapobiec planowanemu spotkaniu z Halcusami na Rogowym Moście.

To była zdrada. Mdlī zaczynała żałować, że podsłuchuje. Jej ciało ogarnął chłód. Poczwała, że dygocze. Nie potrafiła jednak zdobyć się na odejście od drzwi.

– Trzeba to zrobić szybko. Mayborze – mruknął Baralis. W jego głosie brzmiała nuta nieustępliwości.

– Wiem. ale czy koniecznie jutro?

– Chcesz zaryzykować, że Lesketh zawrze pokój na Rogowym Moście? Jest w pełni zdecydowany to uczynić, a od terminu spotkania dzieli nas jedynie miesiąc. – Mdlī usłyszała potwierdzające chrząknięcie ojca. – Jutro przyniesie nam najlepszą okazję. Grupa myśliwych będzie nieliczna. Tylko król i jego faworyci. Możesz zabrać się z nimi. żeby uniknąć podejrzeń.

– Zgodzę się na to jedynie pod warunkiem, że zapewnisz mnie, iż król nie zginie od odniesionych obrażeń. Baralisie.

– Jak możesz mnie prosić o takie zapewnienia, Mayborze, kiedy to twój człowiek wypuści strzałę?

– Nie drwij ze mnie, Baralisie. – W głosie jej ojca zabrzmiała wyraźna wściekłość. – Tylko ty wiesz, jaką ohydną miksturą wysmarujesz grot.

– Zapewniam cię, lordzie Mayborze, że owa ohydna mikstura wywoła u Lesketha jedynie łagodną, trwającą kilka tygodni gorączkę i spowolni proces gojenia się rany. Za dwa miesiące będzie wyglądał na w pełni zdrowego.

Melli dosłyszała w słowach lorda Baralisa pewną nieszczerłość.

– Proszę bardzo. Nocą przyślę do ciebie swojego człowieka – zgodził się Maybor. – Przygotuj dla niego strzałę.

– Jedna wystarczy?

– To znakomity strzelec. Nie będzie potrzebował więcej. Zachowaj ostrożność, gdy będziesz odchodził, by nie dostrzegły cię czyjeś wścibskie oczy.

– Nie obawiaj się, Mayborze. nikt mnie nie zauważy. Jeszcze jedno. Radziłbym zniszczyć strzałę po wyrwaniu jej z ciała króla.

– Zgoda. Dopilnuję tego. – Głos jej ojca zabarwiło przygnębienie. – Życzę dobrego dnia. Baralisie.

Melli usłyszała stukot zamykanych drzwi i cichy

brzęk szkła. To Baralis nalewał sobie kolejny kielich wina.

– Możesz już wyjść, ślicznotko – zawołał. Nie mogła uwierzyć, że zwraca się do niej. Zamarła, nie ważąc się nawet oddychać. Po krótkiej chwili głos Baralisa rozległ się raz jeszcze. – Chodź, maleńka. Wejdź do komnaty albo będę zmuszony cię znaleźć.

Melli miała właśnie ukryć się pod łóżem, gdy Baralis wszedł do sypialni, rzucając przed sobą długi cień.

– Och, Melli, ależ masz wielkie uszy. – Potrząsnął głową w wyrazie lekkiej nagany. – Ależ z ciebie niedobra dziewczynka.

Jego głos brzmiał hipnotycznie. Melli poczuła, że ogarnia ją senność.

– Jeśli będziesz grzeczną dziewczynką i obiecasz, że nikomu nie powiesz, co tu słyszałaś, ja z kolei obiecuję, że nie zdradzę twojemu ojcu, iż podsłuchiwałaś.

Baralis odstawił kielich na niską ławę i zwrócił się w stronę Melli, unieruchamiając ją spojrzeniem ciemnych, lśniących oczu. – Czy dojdziemy do porozumienia, ślicznotko?

Miała w głowie tak wielki zamęt, że niemal nie mogła sobie przypomnieć, na co właściwie się zgadza.

Skinęła głową. Baralis usiadł na łożu.

– Grzeczna z ciebie dziewczynka. Jesteś grzeczną dziewczynką, prawda? – Melli raz jeszcze skinęła sennie głową. – Chodź, usiądź mi na kolanach i pokaż, jaka potrafisz być grzeczna.

Poczuła, że jej ciało poruszyło się niezależnie od jej woli. Usiadła Baralisowi na kolanach i zarzuciła mu ręce na szyję. Poczuła jego woń, równie nieodpartą jak głos: zmysłowy aromat nieznanych korzeni zmieszany z zapachem potu.

– Bardzo grzeczna dziewczynka – powiedział cicho, obejmując dłońmi jej talię. – A teraz powiedz mi, ile zapamiętałaś z tego, co słyszałaś. – Melli przekonała się, że nie może wykrztusić ani słowa, a już z pewnością nic nie pamięta. Jej umysł ogarnęła pustka. Baralis sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego jej milczeniem. – Bardzo ładna dziewczynka. – Poczuła, jak popieścił sztywną tkaninę jej sukni. Potem jego dłoń powędrowała niżej, wzdłuż nogi i pod spódnicę. Poczuła chłodny dotyk na łydce. Ogarnął ją niejasny lęk. lecz nie była w stanie nic zrobić. Dłoń powędrowała wyżej. Palcami drugiej Baralis przebiegł po jej chudej piersi. Po raz pierwszy zauważyła, jak obrzydliwe są jego łapska, opuchnięte i pokryte bliznami.

Coś w niej drgnęło pod wpływem wstępu wywołanego widokiem tych brzydkich rąk. Olbrzymim wysiłkiem woli wyrwała się z letargu, skupiła myśli i odsunęła od Baralisa. W mgnieniu oka zerwała się na nogi i wybiegła z komnaty. Odgłos śmiechu mężczyzny niósł się echem w jej uszach.

To małe dziewczątko nie sprawi mi kłopotów, pomyślał Baralis, obserwując ucieczkę Melli. Wielka szkoda, że postanowiła oddalić się tak szybko. Nasze spotkanie zaczynało się robić” interesujące.

Miał jednak na głowie ważniejsze sprawy, a zew pożądania wygasał już w jego krwi.

Opuścił komnaty Maybora tajnym przejściem i udał się do swego apartamentu. Musiał przygotować truciznę, którą wysmaruje przeznaczoną dla króla strzałę. Było to zadanie trudne i czasochłonne, a także niebezpieczne. Świadczyły o tym liczne blizny i pęcherze pokrywające mu dłonie. Trucizna, którą pomalował grot, była szczególnie złośliwa. Nie zdziwi się, jeśli przed końcem dnia na jego obolałych rękach pojawią się nowe pręgi i zaczerwienienia.

Czekało go jeszcze inne zadanie, które z niecierpliwością pragnął wykonać: musiał znaleźć nie potrafiącego czytać skrybę. Niedawno załatwił sobie pożyczkę całej zawartości bibliotek Tavaliska.

Wydarzenia, o których przed chwilą rozmawiali z Mayborem, były w gruncie rzeczy częścią zapłaty za ową pożyczkę. Uśmiechnął się do siebie. Zaaranżowałby wypadek króla nawet bez Tavaliska i całej tej jego biblioteki, lecz w obecnej chwili było dla niego wygodniej pozwolić tłuściochowi wierzyć, że to on kieruje biegiem wydarzeń.

Inna sprawa, że nawet by mu się nie śniło nie doceniać arcybiskupa. Ten człowiek miał niebezpieczny talent do mącenia wody. Jednym gestem bogato upierścienionej dłoni mógł usankcjonować zburzenie wielu wiosek. Gdy tylko odpowiadało to interesom jego ukochanego Rornu. słyszało się głos Tavaliska, krzyczący donośnie: “Heretycy”. Baralis nie mógł nie podziwiać szczególnie efektywnej władzy, jaką zapewniała tłuściochowi jego pozycja.

Nie była ona jednak zbyt pewna. W gruncie rzeczy, to właśnie stanowiło jeden z powodów, dla których Tavalisk zgodził się wypożyczyć mu swą bibliotekę. W jego interesie leżał dobrobyt Rornu. Jak długo miasto radziło sobie z tym, co robiło najlepiej – zarabianiem pieniędzy za pośrednictwem handlu i banków – jego stanowisku nic nie zagrażało. Rorn – podobnie jak chirurg podczas zarazy – prosperował najlepiej wtedy, gdy innym było ciężko. Wybuch walk

na północy mógł sprawić, że ostrożny kapitał odpłynie na południe.

Kryło się w tym rzecz jasna coś więcej. W kontaktach z Tavaliskiem zawsze należało zachowywać ostrożność, gdyż wiedział on co nieco o czarach. Trudno było odgadnąć, jak wiele, jako że plotki nie stanowiły pewnego źródła informacji. Baralis spotkał się z nim tylko raz i niełatwo mu było go ocenić. Otyłość okazała się skuteczną zasłoną. Wystarczyło jednak, że obaj wiedzieli, kim jest ten drugi. Lepiej wystrzegać się Tavaliska: najniebezpieczniejszym wrogiem jest ten, kto wie wszystko o broni używanej przez przeciwnika. Baralis nigdy nie zapominał, że pewnego dnia tłuszcioch stanie się jego wrogiem.

Na razie jednak ich sojusz był obopólnie korzystny: Tavaliskowi udało się sprowokować przynoszący zyski konflikt w Czterech Królestwach, a w zamian za to Baralis uzyskał dostęp do niektórych z najrzadszych i trzymany w największej tajemnicy tekstów w Znanych Krainach.

Nie był głupcem i nim jeszcze w zeszłym tygodniu przybyły ogromne kufry, wiedział, że pewnych tomów w nich nie znajdzie. Tavalisk z pewnością zatrzymał te książki, które uważał za zbyt cenne lub zanadto



niebezpieczne, jeśli by dostały się w ręce Baralisa.

To, co pozostało, stanowiło jednak prawdziwy skarb wiedzy. Były tam wspaniałe, fantastyczne wręcz woluminy, o jakich nigdy nawet nie marzył, oprawne w skórę i jedwab, zawierające historie ludzi, o których nigdy nie słyszał, podobizny zwierząt, których nigdy nie widział, oraz szczegóły dotyczące trucizn, których nigdy nie przyrządzał. Nieskończenie delikatne manuskrypty, kruche ze starości, zszyte wytartą nicią, dostarczające informacji o starożytnych konfliktach. zawierające mapy gwiazd na niebie, przedstawiające listy skarbów dawno utraconych dla świata... i wiele, wiele więcej. Baralisowi zakręciło się w głowie na myśl o podobnym bogactwie wiedzy.

Był absolutnie zdeterminowany skopiować całą zawartość biblioteki Tavaliska. nim mu ją zwróci. Do tego celu potrzebny mu był skryba-analfabeta: ktoś. kto potrafi skopiować znak po znaku zawartość stronicy, nie rozumiejąc ani słowa. Baralis nie miał zamiaru dzielić się z nikim trudno dostępną, cudowną wiedzą ukrytą w tych księgach.

Potrzebował chłopca o zręcznych dłoniach i spostrzegawczych oczach, bystrego chłopca, który nie umiałby czytać. Ten skończony dureń o wielkich łapskach. Croke. nie nadawał się. Synów szlachty i

dziedziców uczono czytać w młodym wieku, oni więc również mu się nie przydadzą. Musi poszukać “ślepego” skryby gdzie indziej.

Jacka obudziła Tilly. Piekareczce sprawiło wielką przyjemność potrząsanie nim znacznie silniej, niż było to konieczne.

– Co się stało? – zapytał, zaniepokojony, że zaspał. Światło padające z kuchni było blade i niewyraźne. Świt wstał niedawno. Gdy się podniósł, poczuł w ręce przeszywający ból. któremu towarzyszyło wspomnienie wczorajszych słów Frallita.

Tilly przytknęła palec do ust. nakazując mu zachować milczenie. Skinęła dłonią, kierując go do magazynu, w którym trzymano mąkę.

– Willock chce z tobą rozmawiać.

Odsunęła na bok jeden z worków, odsłaniając ukryty zapas jabłek. Wybrała jedno, zawahała się chwilę, zastanawiając się, czy dać drugie Jackowi, postanowiła tego nie robić i przeciągnęła worek z powrotem na miejsce.

– Jesteś pewna, że właśnie ze mną. Tilly?

Jack był szczerze zaskoczony. Rzadko miał do czynienia z piwnicznym. Powrócił myślą do wydarzenia sprzed kilku tygodni, kiedy to za namową jednego z chłopców stajennych spuścił potajemnie z

beczki kilka dzbanków *ale*. Nagle wydało mu się całkiem prawdopodobne, że Willock odkrył ten brak. Ostatecznie piwniczny słynał ze skrupulatności. Chłopca ogarnęło straszliwe podejrzenie, że spostrzegawcze, lekko wyłupiaste oczy Willocka zwróciły się w jego stronę.

– Jasne, że jestem pewna, ty głąbie! Masz iść prosto do piwnej piwnicy. No. jazda. – Ostre zęby Tilly wbiły się w skórkę jabłka. Dziewczyna przyglądała się, jak Jack wyglądza ubranie i włosy. – Szkoda wysiłków. Żadna pielęgnacja nie zrobi ogiera z konia jucznego.

Obrzuciła go wyniosłym spojrzeniem, ocierając sok z brody.

Popędził do piwnej piwnicy, zastanawiając się, jaka kara go czeka. W zeszłym roku, gdy przyłapano go na okradaniu beczek z jabłkami – miał zamiar pędzić własny jabłecznik – Willock sprawił mu solidne lanie. Jack miał szczerą nadzieję, że spotka go następne. Alternatywa była znacznie gorsza: wygnanie z zamku.

Kuchnie zamku Harvell były jego domem przez całe życie. Urodził się w izbie jadalnej dla służby. Gdy matka była już zbyt chora, by się nim opiekować, zajęły się nim pomywaczki; kiedy potrzebował jedzenia, zwracał się do kucharzy; jeśli zrobił coś

złego, łącał go mistrz piekarski. Kuchnie były jego schronieniem, a olbrzymi piec ogniskiem domowym. Życie w zamku nie było łatwe, lecz za to dobrze znane. Dla chłopca, który nie miał ojca i matki, ani nikogo na świecie, było to jedyne miejsce, które mógł zwać własnym.

Piwna piwnica była wielkim pomieszczeniem wypełnionym szeregiem miedzianych kadzi, w których produkowano różne odmiany *ale*. Gdy oczy Jacka przywykły już do półmroku, zauważył ze zdziwieniem, że obok Willocka stoi Frallit, popijający z kubka piwo. Obaj mężczyźni sprawiali wrażenie mocno podenerwowanych. Pierwszy odezwał się Willock.

– Czy ktoś widział, jak tu szedłeś?

Skierował małe oczka na drzwi, by sprawdzić, czy z tyłu nie ma nikogo.

– Nie, proszę pana.

Willock wahał się przez chwilę, pocierając gładko wygoloną brodę.

– Mój drogi przyjaciel, mistrz piekarski, poinformował mnie, że masz zręczne dłonie. Czy to prawda, chłopcze?

W głosie piwnicznego brzmiało napięcie. Jack zaczął odczuwać silny niepokój. Odsunął włosy z czoła, chcąc okazać obojętność.

– No. gadaj, chłopcze. To nie pora na fałszywą skromność. Mistrz piekarski twierdzi, że wyrabiasz ciasto z wielkim wycuciem. Mówi też, że lubisz rzeźbie i strugać z drewna różne rzeczy. Czy to prawda?

– Tak. proszę pana.

Jack był zbity z tropu. Po wczorajszym zajściu z Frallitem raczej nie spodziewał się pochwał.

– Widzę, że jesteś uprzejmym chłopcem. To dobrze, ale mistrz piekarski powiedział mi również, że niezły z ciebie rozrabiaka i od czasu do czasu potrzebne ci solidne lanie. Czy to prawda?

Jack nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

– Może ci się przytrafić niezwykła okazja – ciągnął Willock. – Nie chciałbyś zmarnować takiej szansy, prawda, chłopcze?

Odgarnięty przed chwilą kosmyk włosów miał wyraźną ochotę znowu opaść mu na oczy. Jack musiał pochylić lekko głowę, by temu zapobiec.

– Nie chciałbym, proszę pana.

– To dobrze.

Willock rzucił nerwowe spojrzenie w kierunku kilku wielkich kadzi. Wyszedł zza nich jakiś mężczyzna. Jack nie widział go wyraźnie, gdyż stał poza zasięgiem światła, lecz miękki szelest jego szat

świadczył o tym, że nieznajomy jest szlachcicem.

Jego słodko brzmiący głos wydawał się dziwnie nie na miejscu w ponurej piwnej piwnicy.

– Jack, chcę, żebyś mi odpowiedział na jedno pytanie. Musisz powiedzieć prawdę. Nie łudź się, że nie rozpoznam kłamstwa.

Jack nigdy w życiu nie słyszał podobnego głosu. Był cichy i gładki, lecz pełen mocy. Nie miał wątpliwości, że nieznajomy potrafi odróżnić prawdę od kłamstwa. Skinął posłusznie głową. Przy tym nagłym ruchu włosy znowu opadły mu na oczy.

– Powiem prawdę, panie.

– Świetnie. – Cienkie wargi nieznajomego skrzywiły się nieznacznie. – Podejdź bliżej, żebym mógł cię lepiej widzieć. – Chłopak postąpił kilka kroków ku niemu. Mężczyzna wyciągnął zniekształconą dłoń i odgarnął włosy z jego twarzy. Dotykał ciała Jacka tylko przez okamgnienie, lecz chłopiec musiał użyć całej siły woli, by się nie wzdrygnąć. – Chłopcze, jest w tobie coś, co wydaje mi się znajome. – Zatrzymał na nim spojrzenie. Choć w piwnicy by to zimno. Jacka zalał pot. Ból w jego ramieniu stał się ostry, jak ukłucie igła.. – Nieważne – ciągnął nieznajomy. – Przejdźmy do pytania. – Przesunął się odrobinę. Blask świecy padł prosto na

twarz. Ciemne oczy zalśniły. – Jack, czy uczyłeś się kiedyś czytać?

– Nie, panie.

Treść pytania sprawiła mu niemal ulgę. Gdy je usłyszał, opuścił go strach przed wygnaniem z zamku.

Nieznajomy przeszył go hipnotycznym spojrzeniem.

– Powiedziałeś prawdę, chłopcze. To mnie cieszy.

– Zwrócił się w stronę Willocka i Frallita. – Zostawcie nas samych.

Jack nigdy dotąd nie widział, by któryś z tych dwóch ruszał się tak szybko. Gdyby nie obecność nieznajomego, mógłby wybuchnąć śmiechem.

Mężczyzna obserwował zimnym wzrokiem ich ucieczkę. Następnie wszedł w krąg światła. Jego jedwabne szaty zalśniły delikatnie.

– Wiesz, kim jestem, chłopcze? Jack potrząsnął głową.

– Jestem Baralis, kanclerz królewski. – Mężczyzna odczekał dłuższą chwilę, by dać Jackowi czas potrzebny na dokładne zrozumienie tego, jak ważna jest osobistość, przed którą stoi. – Twoja mina świadczy, że przynajmniej o mnie słyszałeś. – Uśmiechnął się. – Pewnie ciekawi cię, czego mogę od ciebie chcieć. Nie będę już wystawiał twojej

cierpliwości na próbę. Słyszałeś o “ślepych skrybach”?

– Nie, panie.

– Ślepy skryba to sprzeczność. W rzeczywistości nie jest on ślepy, a jedynie nie rozumie tego, co widzi. Mam wrażenie, że mnie nie pojmujesz. Powiem to prosto. Potrzebuję kogoś, kto będzie mógł poświęcić kilka godzin dziennie na kopiowanie manuskryptów, słowo po słowie, znak po znaku. Dasz radę tego dokonać?

– Panie, nie umiem posługiwać się piórem. Nigdy nawet nie trzymałem go w ręku.

– O to właśnie mi chodzi. – Mężczyzna, który miał już imię, cofnął się w cień. – Twoje zadanie polega wyłącznie na kopiowaniu. Umiejętność władania piórem nie ma znaczenia. Frallit mówił mi, że jesteś bystrym chłopcem. Nauczysz się tego w kilka dni.

Jack nie mógł się zdecydować, czy bardziej zdumiewa go propozycja Baralisa. czy takt. że Frallit mógł o nim powiedzieć coś dobrego.

– No więc. Jack, czy podejmiesz się tego zadania? Głos Baralisa ociekał słodyczą.

– Tak, panie.

– Znakomicie. Zaczнешz już dziś. Przyjdź do moich komnat dwie godziny po południu. Będziesz mi potrzebny codziennie przez kilka godzin. Nie zwolni



cię to z kuchennych obowiązków. – Jack nie widział już Baralisa. Twarz kanclerza ginęła w mroku. – Jeszcze jedno. Jack. Potem będziesz mógł odejść. Wymagam całkowitej dyskrecji. Nie wolno ci nikomu mówić, co robisz. Mistrz piekarski coś wymyśli, gdyby okazało się potrzebne jakieś wytłumaczenie.

Baralis zniknął w ciemności między kadziami. Jego odejściu nie towarzyszył żaden dźwięk.

Jack dygotał od stóp do głów. Jego kolana groziły buntem, a ręka czuła się jak przeciągnięta pod stępką. Usiadł na podłodze, ogarnięty nagłym zmęczeniem i słabością. Kamień był wilgotny, lecz chłopcu to nie przeszkadzało. Pograżył się w rozmyślaniach. Dlaczego królewski kanclerz wybrał akurat jego?

Wreszcie, doszedłszy do niemal filozoficznego wniosku, że w świecie dorosłych trudno dopatrzeć się sensu, zwinął się w kłębek i zapadł w sen.

To był idealny ranek na łowy. Ziemia stwardniała od pierwszego szronu, a porastające ją rośliny chrzęściły pod kopytami koni. Słońce świeciło jasno, lecz nie dawało ciepła, a powietrze było czyste i bezwietrzne.

Król Lesketh poczuł znajomy ucisk w żołądku, zawsze towarzyszący polowaniu. Ucieszyło go to. Owo uczucie wzmagало szybkość decyzji i bystrość

oka. Grupka myśliwych wyruszyła do lasu przed świtem. Teraz, gdy zbliżali się już do miejsca przeznaczenia, konie stały się narowiste, a psy ujadły głośno, wyraźnie już zniecierpliwione. Król omiół spojrzeniem towarzyszy. Byli to dobrzy myśliwi, połączeni z nim owego pogodnego dnia więzią towarzyszącego łowom lęku. Lordowie Carvell, Travin, Rolack i Maybor, psiarczykowie i garstka łuczników.

Nie żałował nieobecności syna. Poczul wręcz ulgę, gdy Kylock nie zjawił się na spotkaniu przed świtem. Chłopak wyrastał na znakomitego myśliwego, ale jego okrucieństwo w stosunku do zwierzyny niepokoiło króla. Kylock lubił się bawić z ofiarą, raniąc ją niepotrzebnie i ćwiartując. Starał się jej zadać przed śmiercią jak najwięcej bólu. Jeszcze bardziej niepokojący był wpływ, jaki wywierał na tych, którzy mu towarzyszyli. Ludzie byli w jego obecności zamknięci w sobie i skrepowani. Łowy bez niego będą radośniejsze. Myśliwi zaczęli, aż spuszczone psy. Minęło kilka minut, nim wytropiły zwierzynę. Królewskie ogary uczone ignorowania drobiazgu, takiego jak króliki i lisy. Ściagały wyłącznie większe zwierzęta: dziki, jelenie i kudłate niedźwiedzie. Na twarzy każdego z oczekujących myśliwych rysowało

się napięcie. Ich oddechy białały w zimnym powietrzu. Po chwili ton ujadania psów zmienił się, przechodząc w gwałtowny zew. Wszyscy skierowali wzrok na króla.

– Na łów! – wrzasnął szaleńczo Lesketh i pogalopował w las. Jego ludzie podążyli za nim. Powietrze wypełnił tętent kopyt, granie rogu i poszczekiwanie psów.

Połowanie przedłużało się, pełne niebezpiecznych sytuacji. Trudno było omijać pędząc galopem drzewa i przeskakiwać rowy. Psy wiodły myśliwych krętą ścieżką aż do serca puszczy, gdzie drzewa rosły tak gęsto, że jeźdźcy często musieli zwalniać. Król tego nie znośił. Zew psów skłaniał go do pośpiechu, ryzyka, dopadnięcia zwierzyny za wszelką cenę. Lord Rolack jechał już u jego boku i wyglądało na to, że zamierza go wyprzedzić. Lesketh spiął konia ostrogami i pognął szybciej. Ludzie zbliżali się do psów. Przeskoczyli strumień i pień zwałonego drzewa, przemknęli przez polanę i przedarli się przez zarośla. Nagle, nieoczekiwanie, dostrzegli jakiś wielki, szybko poruszający się kształt.

– Dzik! – krzyknął radośnie król. Widok zwierza przeszył go dreszczem strachu. Bestia była masywna, znacznie większa od tych, które z reguły spotykało się

w tej okolicy.

Jeźdźcy otoczyli ogary i odyńca. Łucznicy wypuścili pierwsze strzały. Większość chybiła, gdyż dzik czmychnął w chaszczę. Niemniej, gdy zobaczono go znowu, z jego cielska sterczały dwa drzewce: jedno z szyi, a drugie z zadu. Król zdawał sobie sprawę, że owe trafienia podrażniły tylko bestię, budząc w niej groźny, ślepy szał. Zawrócił szybko konia i pognął za zwierzem głębiej w zarośla.

Psy, które poczuły woń posoki, oszalały z podniecenia. Ich skowyt nabrał dzikiego brzmienia. Mężczyźni zareagowali na ów dźwięk. Przelano krew. Łowy rozpoczęły się na dobre.

Król nie miał czasu na zastanowienie. Jego życie zależało tylko od odruchów – jego własnych i wierzchowca, który bez żadnych wskazówek swego pana wiedział, kiedy skoczyć, a kiedy skręcić. Znowu ujrzano dzika. Tym razem drogę ucieczki odciął mu głęboki jar. Łucznicy wystrzelili raz jeszcze. Odyńca ugodziły trzy strzały. Zwierz wydał z siebie przenikliwy kwik. Jedna ze strzał chybiła celu, trafiając prosto w oko jednego z ogarów. Zdezorientowana bestia zwróciła się w stronę myśliwych i przemknęła między nimi. Król był wściekły.

– Skróćcie męki tego psa! – wycedził przez

zaciśnięte zęby. Następnie zawrócił konia, spinając go ostrogami aż do krwi. i pognął za umykającym zwierzem.

Ten nie tracił sił. Ścigany przez ogary, zmierzał w głąb puszczy, zostawiając za sobą krwawy trop.

Wreszcie psy go osaczyły. Dotarł do cichego stawu i nie miał już dokąd uciekać. Ogary odcięły mu odwrót, otaczając go półokręgiem. Potężny zwierz grzebał racicami w ziemi, przygotowując się do szarży. Ludzie sięgnęli po broń. Król zbliżył się, ani na chwilę nie spuszczał oczu z odyńca. Jeden błędny ruch, jedna sekunda wahania, mogły prowadzić do śmierci. Lesketh wiedział, że została mu tylko chwila nim bestia rozpocznie atak. Podjechał bliżej, uniósł włócznię i – wzmacniając cios całym ciężarem ciała – wbił ją głęboko w bok dzika. Zwierz wydał z siebie przeszywający dreszczem śmiertelny kwik. Z rany trysnęła gorąca posoka.

W chwilę później wszyscy lordowie rzucili się na odyńca, niezliczoną ilość razy dźgając go długimi włóczniami. Krew spłynęła na ziemię i pociekła do stawu. Psiarczykowie odwołali ogary. Myśliwi triumfowali.

– Utnijmy mu jaja! – zawołał Carvell.

– Tak jest! – poparł go Maybor. – Komu ma

przypaść ten zaszczyt?

– Chyba tobie, Mayborze. Podobno jesteś biegły w sztuce kastracji.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Towarzyszące łowom napięcie zelżało.

Maybor wyciągnął sztylet i zsiadł z konia.

– Na Borca! Chyba nigdy nie widziałem takich wielkich jaj.

– Myślałem, że masz zwierciadło, Mayborze! – zażartował Rolack. Lordowie ryknęli głośnym śmiechem. Jednym szybkim cięciem Maybor pozbawił martwe zwierzę jąder, które następnie uniósł wysoko, by zademonstrować je towarzyszom.

– Jako żywo. mam wrażenie, że moje są większe! – rzucił z udawaną powagą.

Wszyscy zachichotali. Królowi wydało się, że słyszy znajomy, turkoczący dźwięk. W następnej chwili zleciał z siodła, ugodzony mocno w bark. Upadając, zobaczył... strzałę. Gdy ją rozpoznał, ogarnął go nagły niepokój. Coś było nie w porządku. Nie raz już raniły go strzały i znał towarzyszące temu ukłucie. Poczuł je i tym razem, lecz zarazem coś więcej – zupełnie jakby do jego ciała przenikała jakaś substancja. Poczuł słaby, lecz przeszywający ból i stracił przytomność.

Bevlin obudził się w złym nastroju. Miał okropną noc. Spał w kuchni, wśród swych ksiąg. Zastanawiał się, gdzie podział się jego zdrowy rozsądek. Był stary jak świat, ledwo mógł chodzić, a mimo to odstąpił łożu młodemu i wyjątkowo zdrowemu rycerzowi, sam zaś położył się na twardym blacie kuchennego stołu. Mógł rzecz jasna spać w zapasowej izbie, ale dach nad łożem przeciekał, a Bevlin osiągnął już wiek, w którym przedkładał suchość nad wygodę.

Jego humor poprawił się nieco, kiedy zobaczył, że gość przygotowuje śniadanie.

– Jak ci się udało mnie nie obudzić? – zapytał poirytowany.

– Nic trudnego, Bevlinie. Spałeś głęboko.

Mędrcomu nie podobała się myśl, że ów przystojny młodzieniec widział go śpiącego w tak mało komfortowym miejscu. Był jednak gotów mu wybaczyć, jako że jedzenie pachniało smakowicie.

– Nie musiałeś przygotowywać śniadania. Sam bym to zrobił.

– Wiem – jęknął Tawl. – Tego właśnie się bałem.

Bevlin postanowił zostawić tę uwagę bez komentarza. Młodzieniec miał powody obawiać się przyrządzanych przez niego potraw.

– Co gotujesz?

– Golonki faszerowane grzybami w *ale* z korzeniami.

– Brzmi nieźle, ale czy nie powinieneś ich trochę okrasić tłuszczem? Wyglądają na trochę zbyt suche.

Mędrzec lubił tłuszcz, dzięki któremu potrawy łatwiej przechodziły przez jego stare, wyschnięte gardło.

– Powiedz mi. gdzie taki młody, przystojny człowiek zdobył umiejętności kucharskie. Nigdy nie słyszałem, by w Valdis uczono gotowania.

Tawł uśmiechnął się ze smutkiem.

– Moja matka zmarła przy porodzie, gdy byłem jeszcze chłopcem. Zostawiła pod moja opieką *dwie* młodsze siostry i niemowlę.

Rycerz zawahał się. wpatrzony w ogień. Jego twarz stała się nic nie wyrażającą maską.

Gdy znowu się odezwał, jego ton się zmienił. Pobrmiewała w nim fałszywa wesołość.

– Dlatego nauczyłem się gotować. – Wzruszył ramionami. – Dzięki temu byłem lubiany w Valdis i zarobiłem trochę miedziaków, smażąc wczesnym rankiem wieprzową wątróbkę.

Bevlin nie był człowiekiem wysoko ceniącym takt. Zawsze dawał pierwszeństwo nurtującej go ciekawości.



– A gdzie teraz są oni wszyscy? Przypuszczam, że ojciec zaopiekował się twymi siostrami.

– Lepiej nic nie przypuszczaj, mędrze.

Bevlina aż wstrząsnęła wściekła gorycz, która zabrzmiała w głosie rycerza. Uniósł rękę, chcąc go przeprosić, lecz Tawl okazał się szybszy.

– Bevlinie – powiedział z twarzą zwróconą w stronę ognia. – Wybacz mi mój gniew. Nie...

– Nie mów nic więcej, przyjacielu – przerwał mu mędrzec. – Każdy z. nas ma wiele wspomnień, o których lepiej nie mówić.

Gdy zdążyła wypalić się już świeca, a mężczyźni skończyli spożywać potrawy i siedzieli w ciepłej kuchni, popijając zaprawione korzeniami *ale*, Bevlin ostrożnie otworzył gruby, zakurzony tom.

– Tawl, to jest najcenniejszy przedmiot, jaki posiadam – powiedział. – *Księga słów* Maroda. Nie jakiś tam stary egzemplarz, ale kopia, wiernie przepisana przez oddanego sługę wielkiego człowieka. Galdera, który przed śmiercią swego pana sporządził cztery niewiarygodnie dokładne kopie dzieła jego życia. To jest jedna z nich.

Stare palce Bevlina przebiegły po napisie wytłoczonym na okładce z owczej skóry.

– Jeśli uważnie przyjrzeć się stronicom, można

poznać, że to oryginalna kopia sporządzona przez Galdera, gdyż pod koniec życia Marod był tak biedny, że jego sługa nie mógł sobie pozwolić na nowy papier i był zmuszony korzystać z już zapisanego. Zmywał inkaust z kart krowim moczeni zmieszany z deszczówką, po czym zostawiał je na słońcu, żeby wyschły. Jeśli obejrzeć je uważnie, można jeszcze wypatrzeć duchy niektórych z owych dawnych dokumentów.

Tawl popatrzył na stronicę podsunętą mu przez Bevlina. Stary wskazał na słabiutki cień liter, widoczny pod nowym tekstem.

– Szkopuł tkwi w tym, że ten sam roztwór, którego Galder użył do oczyszczenia stron, trawi też je same, powodując, że stają się kruche i delikatne. Obawiam się, że nim upłynie wiele czasu, księga stanie się całkowicie nieczytelna i będzie miała wartość jedynie jako zabytek kolekcjonerski. Będzie to bardzo smutne wydarzenie, albowiem w dziele Maroda można znaleźć wiele informacji ważnych dla współczesnych.

Mędrzec zamknął tom.

– Ależ z pewnością istnieją tysiące kopii *Księgi słów*. Mają ją chyba wszyscy kapłani i uczeni w Znanych Krainach – zaoponował Tawl.

Bevlin potrząsnął ze smutkiem głową.

– Niestety kopie często bardzo się różnią od oryginału. Żaden ze skrybów nie omieszkiał zmienić tekstu w jakiś drobny sposób: albo przekształcił go celem dopasowania do przekonań własnych lub swych patronów, albo pomiął fragmenty, które uznał za niemoralne czy nieistotne bądź też przeredagował wersety, które wydały mu się błędnie przepisane, frywolne albo po prostu nudne. – Bevlin westchnął ciężko. Na jego bladej twarzy wyraźnie rysowało się wywołane wiekiem zmęczenie. – Interpretacja każdego z tłumaczy zmieniała w niewielkim stopniu zasadniczy sens słów i prorocत्व Maroda. W konsekwencji z biegiem stuleci w jego tekst wkradły się nieodwracalne zmiany. Kapłani i uczeni, o których mówiłeś, mogą posiadać księgi o tej samej nazwie, lecz nie są one tym samym dziełem. O ile mi wiadomo, pozostałe trzy kopie Galdera zaginęły lub zostały zniszczone. Możliwe, że jestem jedyną osobą będącą w posiadaniu prawdziwych słów Maroda. – Mędrzec dopił *ale* i postawił pusty kielich na stole. – Napawa mnie to głębokim smutkiem.

Bevlin przyjrzał się z uwagą twarzy rozmówcy. Tawł był młody, być może zbyt młody, by podjąć się oczekującej go misji. Mędrzec westchnął ciężko. Wiedział, że stoi przed nim niewiarygodnie trudne

zadanie. Siedzący obok młodzieniec, silny, złotowłosy i pewny siebie, miał przed sobą całe życie, które mógł zmarnować na bezowocne poszukiwania. Zgasił świece palcami. Cóż miał uczynić? Nie było wyboru. Nikt go nie pytał, czy pragnie wziąć na siebie odpowiedzialność za to, co ma się wydarzyć. Mógł jednak przynajmniej dać możliwość dokonania wyboru młodemu rycerzowi.

Ścisnął mocno dłonie, by powstrzymać je przed drżeniem, i spojrzał śmiało w niebieskie oczy Tawla.

– Na pewno zadajesz sobie pytanie, co ma wspólnego to wszystko z twoją obecnością tutaj?

– Co tu porabiasz, chłopcze? To nie miejsce dla takich, jak ty. Głos strażnika poniósł się echem w kamiennych korytarzach zamku.

– Muszę iść do szlacheckich komnat – odparł Jack.

– Do szlacheckich komnat! A jaki masz tam interes? Zjeżdżaj stąd, smarkaczu.

Był już spóźniony. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego po poprzednim spotkaniu z królewskim kanclerzem czuł się tak bardzo zmęczony. Miał wrażenie, że Baralis wyssał z niego wszystkie siły. Skończyło się to dla Jacka bardzo nieprzyjemnie: poranne bochny były gotowe znacznie później i należałoby je właściwie nazwać popołudniowymi

bochnami. Gdy Frallit usłyszał tę uwagę, jego wściekłość przeszła w piekielną furję. Jeszcze większy szał ogarnął mistrza piekarskiego, gdy zdał sobie sprawę, że nie może natychmiast zbić Jacka. Wysłanie do królewskiego kanclerza posiniaczonego i zakrwawionego chłopca byłoby nie do pomyślenia.

Jackowi było niemal żal Frallita, który okazał się bezsilny w obliczu prawdziwej władzy. Mistrz piekarski mógł być panem w kuchniach, ale Baralis był panem całego zamku. Niemniej jednak Jack był pewien, że Frallit wymyśli dla niego odpowiednią karę za spanie w czasie, gdy powinien być zajęty pieczeniem. Oprócz bogatego repertuaru kar fizycznych, mistrz piekarski dysponował różnymi sposobami upokarzania chłopca. Już po raz drugi dziś Jack przekonał się, że woli dobrze znany ból solidnego lania od nieoczekiwanego, podstępnie zadanego ciosu.

Przyjrzał się strażnikowi i zdał sobie sprawę, że gadaniem niewiele zwojuje. Ten typ nigdy nie uwierzy, że on, zwykły piekarczyk, idzie na spotkanie z królewskim kanclerzem. Pchany niewytłumaczalną ochotą Jack postanowił przejść do czynów. Dobrze byłoby choć raz przejąć panowanie nad sytuacją. Jego wzrok przyciągnął wiszący na ścianie wyblakły gobelin. Postąpił krok w jego stronę i pociągnął mocno

za róg. Dywanik spadł na podłogę, wzbijając kłęby kurzu. Na twarzy strażnika ledwie zdążył się pojawić wyraz zdumienia, gdy Jack już przeskoczył przez zwaloną tkaninę, ominął go i uciekł korytarzem.

Płuca wypełniał mu pył, żołnierz był tuż za jego plecami, pod stopami miał twardy kamień. Pościg trwał.

Dysząc ochryple, Jack zdał sobie sprawę, że jego pomysł nie był jednak zbyt dobry, jako że nie miał zielonego pojęcia, któredy należy się kierować do komnat Baralisa. Był jednak zachwycony całą sytuacją: tym, że prześcignął strażnika, zmierzył się z przeciwnikiem i wykorzystał szansę sukcesu. Po chwili tupot za jego plecami ucichł. Ścigający zaczął wykrzykiwać wulgarne wyrazy. Jack uśmiechnął się triumfalnie. Jeśli ktoś był zmuszony uciec się do obelg, znaczyło do, że zabrakło mu sił, by biec.

Trafić do komnaty nie było tak trudno, jak się tego spodziewał. Gdy stawały przed nim klatki schodowe i skrzyżowania, wiedział instynktownie, w którą stronę się udać. Wydawało się, że sam zamek jest posłuszny wielkiemu człowiekowi. Najważniejsze, najmroczniejsze korytarze wiodły prosto do drzwi Baralisa.

Jack zatrzymał się przed nimi, zastanawiając się,

czy lepiej byłoby zapukać uniznienie, czy też śmiało załomotać. Gdy wreszcie zdecydował, że korzystniej zapewne będzie okazać unizoność, drzwi się otworzyły.

– Spóźniłeś się.

Lord Baralis stał w przejściu, wysoki i imponujący, odziany w czerń.

Głos Jacka zabrzmiał spokojnie.

– Przepraszam, panie.

– Co, nie słyszę tłumaczeń?

– Nie, panie. To wyłącznie moja wina.

– No, no. niezwykle z ciebie chłopiec. Większość ludzi miałaby na podorędziu setkę usprawiedliwień. Tym razem ci wybaczę. Jack, ale już nigdy się nie spóźniaj.

– Tak jest, panie.

– Zauważyłem, że podziwiałeś moje drzwi.

Jack skinął z entuzjazmem głową, zadowolony, że wielki człowiek źle zrozumiał powód, dla którego zwlekał na progu.

Baralis przebiegł palcami pokrytymi bliznami po wyrytych w drewnie liniach.

– Jest co podziwiać. Jack. Mają one pewne bardzo interesujące właściwości.

Chłopiec spodziewał się usłyszeć więcej, lecz.

Baralis uśmiechnął się tylko, raczej wykrzywając usta. niż rzeczywiście układając je w uśmiech.

Jack podążył za nim przez pomieszczenie, które wyglądało na salon, i wszedł do wielkiej, jasno oświetlonej komnaty, zapchanej od podłogi po sufit różnego rodzaju przyborami pisarskimi.

– Będiesz pracował tutaj – oznajmił Baralis, wskazując mu drewnianą ławę. – Pióro, inkaust i papier znajdziesz na biurku. Sugeruję, byś dzisiaj nauczył się, jak ich używać. – Jack chciał coś powiedzieć, ale kanclerz nie dał mu dojść do słowa. – Nie mam czasu cię rozpieszczać, chłopcze. Do roboty.

Baralis zostawił go za biurkiem i zabrał się do przerzucania papierów po przeciwległej stronie komnaty.

Jack nie miał zielonego pojęcia, co robić. Nigdy dotąd nie widział, jak się używa pióra. Z pewnością nikt w kuchniach nie umiał czytać ani pisać. Przepisy na chleb, piwo czy budyń trzymało się w głowie. Jediną znaną mu osobą, która opanowała sztukę pisania, był piwniczny. Do jego obowiązków należało sporządzanie rejestrów kuchennych zapasów, ale Jack nigdy nie widział go z piórem w ręku.

Ujął je w dłoń i zaczął obracać. Następnie rozłożył kawałek papieru i przycisnął do niego koniuszek. Nic.



Zdał sobie sprawę, że o czymś zapomniał. Rozejrzył się po biurku. Inkaust. Tak jest. Wylał trochę płynu na stronicę i zaczął rozmazywać go piórem, kreśląc proste znaki. Miał wrażenie, że nie wyszło mu jak trzeba, spróbował więc jeszcze raz na nowej kartce papieru, ponownie wylewając na nią inkaust. Tym razem udało mu się nakreślić w cieczy trochę linii i kształtów.

– Ty durniu. – Jack uniósł wzrok i zobaczył stojącego nad nim Baralisa. – Inkaustu nie wylewa się na kartę. Zostaje w kałamarzu i macza się w nim pióro. O. tak. – Zademonstrował to, co opisywał. – Proszę. Teraz ty spróbuj.

Kanclerz ponownie zostawił go samego.

Po kilku godzinach Jack opanował już podstawy. Wiedział, pod jakim kątem zanurzyć pióro, by nabrać jak najwięcej inkaustu, i nauczył się kreślić znaki oraz zarysy rozmaitych przedmiotów. Dla wprawy narysował to, co znał najlepiej: kształty kilku bochnów – okrągłego, płaskiego i długiego. Naszkicował też przybory piekarskie oraz różne rodzaje noży i broni.

Po chwili jego myśli zaczęły błądzić. Nigdy dotąd nie widział podobnego luksusu. Kusily go stojące pod ścianami skrzynie i regały z księgami, wabiły flaszki pełne ciemnych płynów. Nie potrafił oprzeć się ich zewowi. Podkraść się do drewnianej półki i wyciągnął

zatyczkę z dzbanuszka o szczególnie pociągającym wyglądzie. Wydostała się z niego słodka, ziemista woń. Nie pozostało mu nic innego, jak spróbować zawartości. Uniósł naczynie do ust.

– Nie radziłbym tego robić, Jack – rozległ się drwiący głos Baralisa. – To trucizna. Na szczury.

Twarz chłopca zapłonęła ze wstydu. Nie słyszał zbliżania się kanclerza. Czyżby potrafił on unosić się w powietrzu? Zamknął szybko dzbanuszek, starając się ze wszystkich sił nie wyglądać na złapanego na gorącym uczynku. Niemal zakreśliło mu się w głowie z ulgi, gdy do komnaty ktoś wszedł. Natychmiast rozpoznał potężnego, paskudnie zniekształconego mężczyznę.

– Słucham, Croke – rzekł Baralis. – O co chodzi?

– Król.

– Co się stało z królem?

– Ugodzono go strzałą na polowaniu.

– Doprawdy. – Przez twarz kanclerza przemknął wyraz złości, którą jednak błyskawicznie zastąpił głębokim zatroskaniem. – To bardzo niedobra wiadomość. – Obrzucił Jacka ostrym spojrzeniem. – Wracaj natychmiast do kuchni, chłopcze.

Jack wypadł z komnaty i pobiegł do miejsca swej pracy. W głowie kłębiło mu się od myśli o królu.

Będzie zapewne pierwszym, który przyniesie na dół te wieści. Skupi na sobie uwagę. Może nawet Frallit da mu kufel *ale*. Myśl o trunku nie wydała mu się tak radosna jak zwykle. Minęła chwila, nim Jack zdał sobie sprawę dlaczego. Bał się. Wspomnienie grymasu, który przeniknął tak szybko przez twarz Baralisa. dręczyło go zbyt mocno. by mógł je wyrzucić z pamięci. Nie przestawał biec. Mina kanclerza będzie jedynym szczegółem, który pominie w swej relacji. Był bystrym chłopcem i wiedział, że o pewnych sprawach lepiej nie mówić.

– Nadchodzą ciężkie czasy. – Bevlin wypuścił powietrze z płuc i mówił dalej, osłabłym ze starości głosem. – Przed ponad dwunastu laty ujrzałem na niebie coś straszliwego. Z firmamentu spadł fragment gwiazdy. Gdy pędził ku ziemi, doszło do wielkiego rozszczepienia. Oba odłamki przeszły niebo, jarząc się z równą jasnością, nim zniknęły za wschodnim horyzontem.

Mędrzec podszedł do kominka i poruszył węgielki pogrzebaczem. Potrzebował więcej ciepła.

– Nie muszę ci tłumaczyć, że podobne wydarzenie jest nadzwyczaj ważnym znakiem. W owym czasie nie miałem właściwie pojęcia, co mogłoby oznaczać. Poświęciłem minione lata na poszukiwania

odpowiedzi. Przestudiowałem wszystkie wielkie księgi prorocत्व, wszystkie starożytne rękopisy. – Bevlin uśmiechnął się sztywno. – Podobne dzieła zawsze pełne są niejasnych zapowiedzi zagłady. Na horyzoncie mającą mroczne chmury, nad krajem ciężą zgubne klątwy. Rodzice straszą takimi rzeczami dzieci, żeby ich słuchały. Nie znalazłem w nich zbyt wielu cennych informacji. W większości przypadków autorzy wychodzili z założenia, że jeśli wystarczająco długo będą przepowiadać katastrofę, prędzej czy później, czyś przyzna im rację. Obawiam się, że nieszczęścia są równie nieuniknione jak opadanie liści jesienią.

Bevlin postawił dzbanek *ale* na kominku i dodał do niego odrobinę miodu.

– Rzecz jasna, to codla jednego jest kataklizmem, dla drugiego stanowi triumf.

Utarł trochę cynamonu i dosypał go do *ale*, zamieszał jeden raz zawartość dzbanka i splunął do niego na szczęście. Pozwolił, by płyn pogrzał się trochę, po czym nalał go chochlą do dwóch kufli i wręczył jeden z nich Tawłowi.

– Dzieło Maroda to coś całkiem innego. On ośmiela się podawać szczegóły. Nie bawi się w dwuznaczniki, jak tani wróżbita. – Dłoń mędrca

zneruchomiła na grubym tomie. – Marod był przede wszystkim filozofem i historykiem, ale, za co dzięki dobroczynnym bogom, od czasu do czasu nawiedzały go talenty wróżbiarskie. Niestety, choć był z natury konkretny, lubił zamieszczać odwołania do innych, mniej znanych dzieł, które czytał. Większość z nich nie przetrwała do naszych czasów. Albo zagięły, albo zostały zniszczone. Spalił je nadmiernie fanatyczny kler, pragnący uwolnić świat od ksiąg napisanych przez heretyków. Niedawno udało mi się wytropić jeden z wymienianych przez Maroda tekstów. Zapłaciłem bardzo słąną cenę, a otrzymałem w zamian praktycznie tylko kilka stron ze zniszczoną oprawą. Znalazłem jednak na nich to, czego szukałem. Wzmiankę o tym, co dostrzegłem przed dwunastoma laty na niebie. Napisano tam, że to znak zwiastujący narodziny. Podwójne narodziny. Owej nocy poczęto dwoje dzieci, dwóch mężczyzn, których przeznaczeniem jest odmienić świat, czy na dobre, czy na złe, tego nie wiem. Ich życie łączy ze sobą niewidzialna nić, a los skieruje ich przeciw sobie. Istnieje spisane przez Maroda proroctwo, które, jak sądzę, dotyczy jednego z nich. Niektóre jego fragmenty mogą być ci znane, jako że uczeni od lat debatują nad jego sensem, to jednak jest oryginał. Być

może nikt oprócz nas dwóch nigdy nie pozna prawdziwego tekstu:

*Gdy ludzie honoru zapomną o swej sprawie  
A krew trojga ludzi jednego dnia posmakowana  
będzie*

*Dwa bogate domy małżeństwem się połączą  
A rozkład zrodzą ich lędźwie  
Zjawi się człowiek nie mający ojca ni matki  
Lecz siostrę za kochankę  
I powstrzyma zarazę  
Kamienie się rozstąpią, świątynia upadnie  
Rozrost imperium mroku jego głos powstrzyma  
snadnie*

*A prawdę zna tylko głupiec.*

Bevlin objął kufel dłońmi, by je ogrzać. Popatrzył w oczy towarzysza. Tawł odwzajemnił jego spojrzenie. Przy akompaniamencie trzasków płonącego na kominku ognia nawiązali bezgłośnie porozumienie.

– Świat wciąż się zmienia – powiedział cicho Bevlin. naruszając ciszę. – A źródłem owych zmian zawsze jest chciwość. Arcybiskupa Rornu bardziej obchodzą pieniądze niż Bóg. diuk Brenu pragnie zagarnąć nowe ziemie. Marls, rozpaczliwie pragnąc rozwinąć handel z dalekimi krajami, ściągnął na siebie zarazę. Gdy tu rozmawiamy, władca Czterech

Królestw. Lesketh. usiłuje zapobiec wojnie z Halcusem... nie mnie zgadywać, czy mu się uda.

Bevlin i Tawl milczeli jeszcze przez pewien czas. zatopieni głęboko w swoich myślach. Zgodnie z oczekiwaniami mędrca, to młodzieniec odezwał się pierwszy.

– Dlaczego mnie tu przysłano? – zapytał. Bevlin podejrzewał, że rycerz zna już odpowiedź.

– Sądzę, że potrafisz wykonać pewną misję.

– Tyren mówił, że zlecisz mi zadanie. Na czym będzie polegało?

Tawl był tak pełen entuzjazmu i dobrej woli, że mędrca ogarnął niewytłumaczalny smutek.

– Będziesz musiał odnaleźć igłę w stogu siana.

– To znaczy?

Tawl wypowiadał należyte słowa, lecz Bevlin zdał sobie nagle sprawę, że rycerz wie, iż przyszłość jest już zdeterminowana, a wszystko, co teraz mówią, zrozumiano i ustalono już przedtem.

– Chcę, żebyś odnalazł chłopca. Mniej więcej dwunastoletniego.

– Gdzie mam go szukać?

– Obawiam się, że na to pytanie nie ma łatwej odpowiedzi.

– Jednego z dwóch? – zapytał Tawl. Mędrzec

skinał głową.

– Tego, o którym mówi prorocstwo. – Bevlin oparł się pokusie powiedzenia czegoś więcej na ten temat. Rycerz nie byłby zadowolony, gdyby usłyszał, dlaczego mędrzec jest przekonany, iż przepowiednia wkrótce się ziści. – Nie mam dla ciebie wielu wskazówek. Mogę ci jedynie poradzić, byś kierował się instynktem. Szukaj chłopca, który wydaje się kimś więcej niż można by się spodziewać, który trzyma się na osobności. Kiedy go znajdziesz, poznasz go.

– I co się wtedy stanie?

– Otrzymasz ostatni krąg. Po to właśnie cię tu przysłano, prawda? Bevlin pożałował swych słów. gdy tylko je wypowiedział. Młodzieniec nie uczynił nic. czym zasłużyłby na obrazę.

– Tak. po to właśnie przyjechałem – odparł rycerz łagodnym głosem. – Tylko to – odsłonił kręgi – jeszcze się liczy.

Bevlin patrzył, jak Tawl ściąga rękaw. Różni! się pod jakimś względem od innych spotkanych przez mędrca rycerzy. Jego zaangażowanie było podobne, lecz łagodził je jakiś ukryty słaby punkt. Valdis wychowywało rycerzy pełnych szczególnego poświęcenia: bezwarunkowe posłuszeństwo, żadnej mowy o małżeństwie, cały dochód oddawany sprawie.



A cóż to była za sprawa? Rycerstwo było początkowo moralnym zakonem, mającym nieść pomoc uciśnionym i będącym w potrzebie. W dzisiejszych czasach w komnatach Valdis najczęściej słyszało się jednak rozmowy o polityce, nie o dobroczynności.

Ważne były również pieniądze. To złoto sprowadziło tu rycerza, choć Bevlin był pewien, że Tawl nic nie wie o owej transakcji. Tyren zapewne powiedział mu, że ma dokonać wielkiego czynu, przynieść rycerstwu zaszczyt. Było to oczywiście prawdą, lecz w Valdis o tym nie wiedziano. Dla Tyrena Bevlin był jedynie starym głupcem marzącym o powstrzymaniu wojny, która nawet się jeszcze nie zaczęła. Cóż, jeśli jego złoto wykazało się większą siłą perswazji niż jego prorocтва, niechaj będzie i tak. Skutek był identyczny. Mędrzec otrzymał to, czego chciał: młodego, silnego rycerza, który pomoże mu w poszukiwaniach chłopca, Tyren zaś to, o co jemu chodziło: więcej pieniędzy mających sfinansować jego polityczne knowania.

Rycerstwo nie zawsze było takie. Ongiś otaczała je chwała. Słynęło z wierności kodeksowi oraz uczoności. Polegano na nim, gdy trzeba było utrzymać pokój w czasach zamieszek, głodu czy zarazy. Nie istniało miasto tak potężne, by mogło je zastraszyć, ani

wioska tak mała, że nie mogłaby prosić o jego pomoc. Pewnego razu cały legion rycerzy przejechał trzysta mil z beczkami na plecach, by zaopatrzyć w wodę dotknięte suszą miasteczko. Śpiewano o nich tysiące pieśni. Pokolenia kobiet mdlały na ich widok. A teraz upadli tak bardzo, że zniżali się do intryg.

Bevlinowi trudno było pojąć, co właściwie rycerze zamierzają osiągnąć przez swe matactwa. Valdis nie było już tak wielkim miastem, jak ongiś. Rorn dawno już zaćmił je jako finansową stolicę Znanych Krain. W widoczny sposób zazdrościło mu tego sukcesu. Być może Tyren próbował odbudować potęgę handlową, jako że potajemnie skupował udziały w warzelniach i kopalniach soli. Gdyby rycerzom udało się zapanować nad handlem solą, byłiby w stanie szantażować całe miasta, zwłaszcza te leżące na południu, które utrzymywały się z rybołówstwa. Stawką było jednak coś więcej niż handel. Tyren objął przywództwo zaledwie przed rokiem, a już głosił potrzebę bardziej zarliwego podejścia do wiary.

W najważniejszych miastach południa – Rornie, Marlsie i Toolay – wyznawano tę samą religię, co w Valdis. lecz obowiązywała tam bardziej liberalna interpretacja dogmatów. Dlatego Valdis usiłowało zdobyć moralne przywództwo południa i siało zamęt w

imię religijnej reformacji.

Wszystko to razem wzięte oznaczało kłopoty. Bevlin przewidywał nadejście konfliktu. Ileż kryło się w tym sprzeczności: rycerze, którzy przez swe szczególne połączenie chciwości z religijnym ferworem mogli wywołać wielką wojnę, oto wysłali jednego ze swych ludzi, by odnalazł chłopca, który miał ją zakończyć! W rzeczy samej, niewykluczone, że przysyłając tu Tawla nie z myślą o dobrych uczynkach, lecz o złocie, wprawili w ruch prorocstwo Maroda: “Gdy ludzie honoru zapomną o swej sprawie”.

Bevlin westchnął głęboko. Nadchodzące czasy przyniosą wiele cierpień. Odwrócił się i spojrzał na Tawla. Młody rycerz siedział spokojnie, pogrążony w myślach. Coś w jego pozycji, w tym, jak chłonał ogień całym ciałem, wzruszyło głęboko mędrca. Tawl usiłował zapanować nad jakimś dręczącym go bólem. Napięcie widać było w każdym mięśniu jego twarzy, każdym oddechu. Bevlin poprzysiągł sobie w myśli, że to nie on będzie tym, kto zdradzi Tawlowi prawdę o powodach, dla których przysłano go tu z Valdis.

– Podjąłeś już decyzję, przyjacielu? Pomożesz mi odnaleźć chłopca?

– To ani przez moment nie budziło wątpliwości. – Gdy Tawl podniósł wzrok, w jego błękitnych oczach

widniało głębokie przekonanie. – Spełnię twą prośbę.

Baralis wszedł do komnaty króla Lesketha. Zebrali się tam wszyscy myśliwi. Nie zdążyli nawet zdjąć splamionych krwią dzika szat. Królowa stała u łoża rannego. Na jej z reguły chłodnej i wyniosłej twarzy malował się głęboki niepokój. Chirurg zdejmował tkaninę z królewskiego barku, szepcząc jednocześnie odpowiednie modlitwy uzdrawiające.

– Co się stało? – spytał Baralis.

– Postrzelono króla.

Canell wbił wzrok w podłogę, jak gdyby była to częściowo jego wina.

– Któż ważył się uczynić coś podobnego! – krzyknął Baralis, starając się, by w jego głosie zabrzmiała nuta oburzenia. – Gdzie jest strzała? Czy ktoś się jej przyjrzał?

– Maybor ją wyrwał – odparł Carvell. Maybor podszedł bliżej.

– To prawda, ale ogarnęła mnie panika. Chciałem za wszelką cenę wyciągnąć ją z ciała króla. Wyrzuciłem to cholerstwo.

Spojrzał Baralisowi prosto w oczy.

– To nie było rozsądne posunięcie, Mayborze. – Baralis zwrócił się ku pozostałym mężczyznom. – A co, jeśli były na niej zadziory? Wyrrywając strzałę,

mogłeś zranić króla jeszcze dotkliwiej.

W komnacie rozległy się wyrażające potwierdzenie szeptu. Baralis dostrzegł przelotny błysk nienawiści w oczach Maybora.

– Skąd wiesz, że nie było zadziórów? – zapytał chłodnym głosem ten ostatni. W komnacie zapadła cisza. Wszyscy czekali na odpowiedź kanclerza.

– Wystarczyło przyjrzeć się ranie króla, by stwierdzić, że strzała ich nie miała.

Wszyscy skinęli z niechęcią głowami. Baralis obiecał sobie, że pewnego dnia policzy się z Mayborem. Ten człowiek stawał się stanowczo zbyt nieprzewidywalny. Ponadto kanclerz zaczynał podejrzewać, że grubas żałuje, iż zgodził się na współuczestnictwo w spisku.

Cóż, Mayborze, mam w rękawie jeszcze jedną kartę, o której nic nie wiesz, pomyślał Baralis. Pora już ją wyciągnąć.

– Czy ktoś jeszcze przyjrzał się strzale? – zapytał, zniżając głos, by przyciągnąć uwagę wszystkich obecnych w komnacie.

– Ja, panie – padła odpowiedź jednego z psiarczyków. Maybor podniósł wzrok. Twarz mu pobladła.

– Jak się nazywasz?

Baralis dobrze to wiedział. Przed zaledwie kilku dniami zapłacił mężczyźnie dziesięć sztuk złota za jego udział w owym małym przedstawieniu.

– Jestem Hist, królewski psiarczyk.

– Powiedz mi. Hiście. co dokładnie widziałeś?

– Panie, nie mogę mieć pewności, ale wydaje mi się. że na drzewcu były dwa nacięcia.

Maybor postąpił krok naprzód, unosząc rękę na znak protestu. Chciał coś powiedzieć, lecz Baralis nie dał mu szansy.

– Dwa nacięcia! – zawołał do zebranych. – Wszyscy wiemy. że Halcusowie używają strzał z dwoma nacięciami.

Komnata eksplodowała krzykami:

– Halcusowie. te podstępne sukinsyny.

– Halcusowie postrzelili naszego króla.

– Do diabła z pokojem na Rogowym Moście – włączył się Baralis.

– Trzeba pomścić tę zbrodnię.

– Trzeba im zdrowo dokopać.

Baralis uznał, że chwila jest odpowiednia.

– Musimy wypowiedzieć wojnę! – krzyknął.

– Tak jest! – odpowiedzieli chórem. – Wojna!

### 3

– Nie. Bodger, tylko jedno zdradzi ci. czy kobieta ma namiętą naturę, i nie jest to wielkość jej melonów.

Grift oparł się plecami o ścianę i złożył ręce za głową, jak zwykł robić człowiek mający zamiar podzielić się cenną wiedzą.

– No to jak można to poznać, Grift?

Bodger przysunął się bliżej, pragnąc zdobyć rzeczoną wiedzę.

– Po owłosieniu, Bodger. Im bardziej owłosiona jest kobieta, tym namiętniejsza jej natura. Na przykład stara wdowa Harpit. Ma ramiona kosmate jak kozi zad i na całym świecie nie znajdziesz bardziej niewyżytej baby.

– Ale wdowa Harpit nie jest zbyt ładna, Grift. Ma gęstsze wąsiska ode mnie.

– No właśnie. Bodger! Ten, kto z nią pójdzie do łóża, to szczęściarz. – Grift uśmiechnął się figlarnie i pociągnął długi łyk *ale*. – A co z twoją Nelly? Czy też jest owłosiona?

– Moja Nelly ma ramiona gładkie jak świeże maselko.

– To nie wyciągniesz z niej dużo, Bodger!

Obaj mężczyźni zachichotali wesoło. Grift napełnił kufle. Przez chwilę siedzieli spokojnie, sącąc piwo. Po porannym patrolowaniu zimnych pałacowych ogrodów najbardziej lubili popić sobie *ale*, prowadząc sprośne rozmówki. Zwykle trochę też plotkowali.

– Posłuchaj, Grift, ostatniej nocy, kiedy się odlewałem w ogrodach, słyszałem, jak lord Maybor zdrowo zwymyślał córkę. Do tego zdzielił ją porządnie w twarz.

– Maybor nie jest już taki. jak niegdyś. Odkąd zaczęła się ta cholerna wojna z Halcusami, zrobił się złośliwy i wybuchowy. Nigdy nie wiadomo, co mu strzeli do łba.

Obaj mężczyźni odwrócili się na dźwięk kroków.

– O, to nasz Jack. Jack, chłopcze, miałbyś ochotę na łyk *alei*

– Nie mogę, Bodger. Nie mam czasu.

– Jeśli wybierasz się w zaloty. Jack, lepiej wytrzep z włosów mąkę.

Chłopak uśmiechnął się szeroko.

– Specjalnie ją tam zostawiłem, Grift. Chcę, żeby dziewczyny myślały, że jestem już taki dorosły, że



posiwałem. Tak jak ty!

Nie czekał na odpowiedź strażnika. Zdązał do komnat Baralisa i jak zwykle był spóźniony. Królewski kanclerz kazał mu ostatnio pracować długimi godzinami, często aż do wczesnego rana. Jack podejrzewał, że biblioteka, którą kopiował, miała wkrótce wrócić do właściciela i że Baralis chciał jak najszybciej przepisać ją aż do ostatniej strony. W rezultacie chłopak spędzał całe dni na pieczeniu, a całe noce na pisaniu. Zostawało mu niewiele czasu na odpoczynek i nieraz mało brakowało, by zasnął za biurkiem.

W miarę jak nabierał wprawy, przepisywanie przychodziło mu z coraz większą łatwością. Z początku mógł skopiować nie więcej niż jedną stronę dziennie, lecz z czasem stał się lepszy w tej robocie i potrafił za jednym posiedzeniem uporać się nawet z dziesięcioma.

Musiał teraz strzec pewnego sekretu. Już od kilku lat potrafił przeczytać każde słowo, które kopiował. Minęło pięć zim od chwili, gdy Baralis zaangażował go jako “ślepego skrybę”, Jack jednak nie był już “ślepy”.

Po zaledwie trzech księżycach w pełni zaczaj dostrzegać w słowach i symbolach pewne

prawidłowości, lecz zasadniczy przełom nadszedł ponad rok później, kiedy Baralis dał mu do skopiowania księgę pełną rysunków zwierząt. Każdy z nich był starannie podpisany, a Jack rozpoznał wiele z przedstawionych na ilustracjach stworzeń: nietoperze, niedźwiedzie, myszy. Zorientował się, że litery umieszczone pod rysunkami odpowiadają nazwom i stopniowo zaczął rozumieć proste słowa oznaczające ptaki, kwiaty i zwierzęta.

Później poznał również inne słowa: łączące, opisujące i tworzące podwaliny języka. Gdy już zdobył podstawy, popędził szybko naprzód, gnany pragnieniem wiedzy. Znalazł w zbiorze Baralisa księgę zawierającą wyłącznie wyjaśnienia znaczeń słów. Byłby bardzo szczęśliwy, gdyby mógł zabrać drogocenny tom do kuchni, lecz kanclerz nie był skłonny do okazywania życzliwości i Jack nie odważył się go o to poprosić.

Od kilku lat czytał wszystko, co kopiował: opowieści z dalekich krain, historie o starożytnych ludach, życiorysy wielkich bohaterów. Wielu rzeczy jednak nie rozumiał, a do tego prawie połowa była pisana w obcym języku lub za pomocą dziwnych symboli, których nie był w stanie odcyfrować. Niemniej, to, co rozumiał, wzbudzało w nim tęsknotę.

Pragnął odwiedzić odległe kraje, o których czytał. Marzył o wędrówkach po jaskiniach Isro, żegludze po wielkiej rzece Silbur czy walkach na ulicach Brenu. Wizje te były tak intensywne, że aż czuł zapach kadzidła czy powiew chłodnej bryzy na policzku bądź też widział świadomość klęski w oczach przeciwników. W pewne noce, gdy niebo lśniło gwiazdami, a świat wydawał się niewiarygodnie wielki, musiał walczyć z pragnieniem ucieczki. Chciał opuścić zamek tak bardzo, że stało się to fizycznym doznaniem, kumulacją, która domagała się rozładowania.

Rankiem to dążenie ucieczki z reguły słabło, lecz ostatnio wzrok Jacka coraz częściej wędrował ku przypiętej do ściany gabinetu mapie. Przyglądał się całym Znanym Krainom, zastanawiając się, gdzie uda się najpierw: czy na północ, na śnieżne pustkowia leżące za górami; czy na południe, za równiny, ku egzotycznym, zakazanym ziemiom; czy może na wschód, gdzie znajdował się ośrodek władzy? Potrzebował jakiegoś celu. Gdy przebiegał wzrokiem po konturach mapy, przeklinał fakt, że nie wie, skąd pochodziła jego matka, gdyż z pewnością wyruszyłby właśnie tam.

Dlaczego miała przed nim tak wiele tajemnic? Co

w swej przeszłości chciała ukryć? Gdy był mniejszy, sądził, że powodem jej milczenia był wstyd, teraz jednak podejrzewał, iż chodziło o strach. Kiedy umarła, miał dziewięć lat. Jednym z najbardziej uporczywych wspomnień, jakie o niej zachował, było to, że co rano wytrwale obserwowała zamkowe bramy, chcąc zobaczyć wszystkich przybywających gości. Wspinali się oboje na blanki, skąd wyraźnie było widać tych, którzy domagali się wpuszczenia w obręb murów zamku Harvell. To były jego ulubione chwile. Lubił przebywać na świeżym powietrzu i przyglądać się setkom przechodzących przez bramy ludzi.

Byli wśród nich ważni posłowie z licznymi świtami, wielcy panowie i damy na pięknych białych koniach, bogato odziani kupcy z Annisu i Brenu oraz chłopci i rzemieślnicy z pobliskich miasteczek.

Matka zabawiała go opowieściami o tym, kim są ci ludzie i dlaczego są ważni. Gdy to teraz wspominał, najbardziej uderzało go, jak wiele wiedziała o sprawach Harvellu i jego północnych rywali. Była dobrze poinformowana i zawsze chętnie słuchała wieści dotyczących polityki i walki o władzę. Przez wiele lat po jej śmierci Jack sądził, że obserwowała bramy z ciekawości. Zwykła ciekawość nie wystarczyłaby jednak, by umierająca kobieta, która

pod koniec życia ledwie była w stanie chodzić, codziennie wdrapywała się na blanki, żeby przyjrzeć się twarzom nieznamym.

W owych chwilach jej oblicze przyoblekał strach. Och, starała się to ukryć. Opowiadała setki anegdotek, by odwrócić uwagę chłopca od zimna i prawdziwego powodu, dla którego tu przychodziła. Niemal jej się to udało. Jack jednak do dziś pamiętał, że w mocnym uścisku jej palców na swym ramieniu wyczuwał delikatną nutę lęku.

Co spowodowało tę ostrożność? Ową obawę przed obcymi? Jeśli chciał poznać odpowiedź na to pytanie, musiał się najpierw dowiedzieć, skąd pochodziła. Nie zostawiła mu żadnych wskazówek. Bezlitośnie zataiła wszystkie informacje o sobie. Wiedział jedynie, że nie urodziła się w Czterech Królestwach i że napiętnowano ją jako nierządnicę. Długimi nocami, gdy nie mógł zasnąć, Jack marzył o tym, że odnajdzie miejsce jej urodzin, niczym pełniący misję rycerz, odkryje prawdę kryjącą się za jej strachem.

Rzeczywiste życie w zamku nie miało jednak nic wspólnego z marzeniami. Noc mogła rozpalać jego wyobraźnię, lecz dzień ją gasił. Był przecież tylko piekarczykiem. Nie opanował żadnego zawodu, nie miał pieniędzy i nie mógł snuć planów na przyszłość.

Zamek Harvell był dla niego wszystkim. Gdyby go opuścił, nie pozostałoby mu nic. Widział, jak traktowano tu żebraków. Wyszadzano ich i opluwano. Każdy, kto nie przynależał do ludzi z zamku, był uważany za stojącego niżej niż najmniejsza pomywaczka. Gdyby wyruszył w świat, mógłby wylądować gdzieś za granicą jako pogardzany rozbiitek bez grosza przy duszy. Zamek zapewniał mu przynajmniej ochronę przed podobnym niepowodzeniem. Dopóki przebywał w jego murach, miał zagwarantowane ciepłe łóżko. Wikt i przyjaciół, z którymi mógł się śmiać.

Idąc po schodach do komnaty Baralisa. Jack nie mógł jednak powstrzymać się od myśli, że ciepłe łóżko i wikt zaczynają wyglądać na tchórzowski wykręt.

Baralis czuł się zadowolony z wydarzeń ostatnich pięciu lat. Kraj wciąż był pogrążony w osłabiającej go wojnie, której jedynym celem było wyczerpanie sił i zasobów zarówno Halcusu, jak i Czterech Królestw. Stoczono wiele krwawych bitew i obie strony poniosły dotkliwie straty. Gdy tylko zaczynało wyglądać na to, że jedna z nich zyskuje przewagę, druga natychmiast uzyskiwała nieoczekiwaną pomoc: ktoś wyszeptywał do zainteresowanego ucha wieści o taktyce wroga, szczegóły dotyczące szlaków zaopatrzenia wpadały w

niepowołane ręce bądź też przed nieprzyjawnymi oczyma odsłaniano miejsca możliwych zasadzek. Nie trzeba dodawać, że za każdą z owych fatalnych w skutkach zdrad odpowiedzialny był Baralis.

Sytuacja patowa bardzo mu odpowiadała. Gdy cały kraj kierował uwagę na wschód, kanclerz mógł spokojnie knuć spiski i realizować swe zamiary na dworze.

Popijając zaprawiony korzeniami holk, by złagodzić ból palców, pogrążył się w rozmyślniach o stanie króla. Lesketh nie wrócił do siebie po postrzale w bark. Rana zagoiła się po kilku miesiącach, lecz monarcha nie odzyskał sił i nie był już w stanie dosiąść konia. Co smutne, jego rozum również szwankował. Co prawda król nigdy nie był zbyt bystry, pomyślał złośliwie Baralis. Możliwe nawet, że dawka trucizny była zbyt mała. Ostatecznie pamiętał ciągle, jak ma na imię!

Na dworze nie mówiono głośno o przypadłości Lesketha. Jeśli w ogóle o niej wspomniano, to tylko szeptem, w zamkniętym gronie. Nie był to temat, który można by bez obaw poruszać. Królowa uważała wszelkie podobne wzmianki za zdradę. Arinalda nieoficjalnie zajęła miejsce małżonka u steru państwa. Baralis z niechęcią przyznawał, że radzi sobie z tym

lepiej niż jej tępy, zwariowany na punkcie polowań mąż.

Udawało jej się utrzymywać chwiejną równowagę polityczną. Dzięki jej wysiłkom Królestw nie uważano już za słabe, pozbawione przywódcy państwo. Utrzymała więzi dyplomatyczne z Brenem i Highwall, a nawet podpisała historyczne porozumienie handlowe z Lanholtem. Jej sukces doprowadzał Halcusów do szału, lecz królowa okazała nie tylko siłę, lecz również mądrość oraz umiarkowanie i nie dała im zbyt wielu powodów do niepokoju. W przeciwnym razie byliby zmuszeni poszukać sojuszników i wojna wymknęłaby się spod kontroli obu państw.

Dziś Baralis miał zamiar wreszcie rozwiązać problem, który czekał nie rozwiązany od dnia zamachu na króla. Lord Maybor był cierniem w jego boku już od wielu lat. Brał udział w spisku przeciw Leskethowi, było jednak oczywiste, że żałuje swego uczynku i Baralis obawiał się, że może wykorzystać ów incydent przeciwko niemu. Istniały możliwości szantażu i innych nieprzyjemności, a kanclerz nie lubił mieć powodów do obaw przed kimkolwiek.

Również inne poczynania tęgiego wielmoży budziły niepokój Baralisa. Maybor starał się zaaranżować zaręczyny swej córki, Melliandry, z



jedynym synem królowej, księciem Kylockiem. Kanclerz nie zamierzał do tego dopuścić. Miał inne plany odnośnie do następcy tronu.

– Crope! – krzyknął, niecierpliwie czekając chwili, gdy uwolni się od swego problemu.

– Słucham, panie.

Potężny sługa podszedł blisko, przesłaniając światło. Zawsze nosił ze sobą małą, malowaną szkatułkę, którą właśnie starał się schować pod szatą.

– Zejdź do kuchni po wino.

– Mamy już tu wino. Zaraz ci je podam, panie. Zaczął sięgać po dzban.

– Nie, ty odrażający prostaku. Potrzebny mi inny gatunek. Słuchaj uważnie, bo wiem, że inaczej zapomnisz. – Baralis mówił powoli, wyraźnie wypowiadając każde słowo. – Potrzebny mi dzban czerwonego lobanfernu. Zrozumiałeś?

– Tak, panie, ale zawsze mówiłeś, że czerwony lobanfern smakuje jak kurewskie szczyny.

– Nie potrzebuję go dla siebie, tylko na prezent, ty nieudolny imbecylny. – Baralis wstał z miejsca i wygładził czarne, jedwabne szaty. Gdy Crope wyszedł z komnaty, dodał cichym głosem: – Słyszałem, że lord Maybor przepada za czerwonym lobanfernem.

Po jakimś czasie pojawił się Crope z dzbanem

wina. Baralis wyrwał mu go z rąk.

– Idź już, głupcze.

Kanclerz wyciągnął zatyczkę i powąchał zawartość. Skrzywił się. Ta mdła lura mogła smakować tylko barbarzyńcy.

Wziął w rękę dzban, podszedł do wiszącego na ścianie gobelinu, uniósł go, przesunął palcem po jednym z kamieni i wszedł do swego prywatnego gabinetu. Nikt oprócz niego nie wiedział o jego istnieniu. Tu właśnie Baralis zajmował się najbardziej tajemnymi przedsięwzięciami, pisał najpoufniejsze listy i przygotowywał najpotężniejsze trucizny.

Trucizna stała się jedną z jego specjalności, a od chwili, gdy uzyskał dostęp do biblioteki Tavaliska – który sam był sławnym trucicielem – przerodził swe umiejętności w prawdziwą sztukę. Zdawał sobie teraz sprawę, że mikstura, którą zatrul przeznaczoną dla króla strzałę, była nadzwyczaj prymitywna.

Potrafił obecnie produkować jady nieporównanie subtelniejsze i trudniejsze do wykrycia, a do tego wywołujące znacznie różnorodniejsze skutki. Byłoby głupotą sądzić, że trucizny mogą jedynie zabijać lub wywoływać kalectwo. Nadawały się też do wielu innych celów: mogły, stosowane przez wiele lat, osłabić powoli człowieka, imitując skutecznie przebieg

określonej choroby; zmienić kogoś bystrego w idiotę; osłabić serce do takiego stopnia, że samo przestawało bić; sparaliżować ciało, zachowując sprawny umysł.

Trucizna mogła ograbić człowieka z męskości, pamięci, a nawet młodości. Mogła zahamować wzrost dziecka lub – jak w przypadku królowej – zapobiec jego poczęciu. Wszystko zależało od umiejętności truciciela, a Baralis stał się teraz mistrzem.

Podszedł do masywnego, drewnianego biurka, na którym stał szereg słoików i fiolek. Większość trucizn lepiej było przygotowywać na nowo w miarę potrzeby, gdyż – podobnie jak ludzi – z wiekiem opuszczała je moc. Baralis uśmiechnął się do siebie. Pora sporządzić nową miksturę.

Tavalisk wszedł do małej, wilgotnej celi, podtykając sobie pod nos uperfumowaną chusteczkę. W podobnych miejscach zawsze panował nadzwyczaj nieprzyjemny zapach. Przed chwilą spożył znakomity posiłek: pieczoną bażancicę nadzianą jej własnymi jajami, naprawdę pyszne danie, którego smaki wciąż igrały w jego ustach, drażniąc język smakosza. Niestety nieustępliwy ptak najwyraźniej nie zadowolił się pozostawieniem posmaku. Jego kawałek uwiązał między zębami Tavaliska. Arcybiskup wydobył spod szat gustowną, srebrną wykałaczkę i zrećźnie usunął

dokuczliwe resztki drobiu.

Doświadczenie nauczyło go, że jedzenie i zadawanie bólu znakomicie się uzupełniają. Po smacznym posiłku największą przyjemność sprawiała mu odrobina zabawy w tortury.

Przyjrzał się obojętnie więźniowi. Jego ręce przykuto do muru, a stopy ledwie dotykały podłogi. Tavalisk musiał przyznać, że młodzieniec wykazał się niezwykłą odpornością na ból. Przebywał w lochu już ponad rok. Kogoś innego mogłoby to zabić, on jednak był wyjątkowo wytrzymały.

Arcybiskup osobiście nadzorował program męczarni. Uważał je za swą specjalność. Ułożył dla swego więźnia specjalny harmonogram, ale czy ten okazał mu wdzięczność? Nie. Nie miał nawet na tyle przyzwoitości, by się załamać. Przypalanie stóp okazało się nieskuteczne, głodzenie okazało się nieskuteczne, rozciąganie ramion i nadgarstków okazało się nieskuteczne. Nawet ulubiona tortura Tavaliska – wbijanie rozżarzonych igieł w miękkie ciało – okazała się nieskuteczna. Arcybiskup starał się jednak nie spowodować zbyt poważnych uszkodzeń ciała i wykazał się wielkim opanowaniem. Miał w swym repertuarze znacznie brutalniejsze metody.

Nie chciał przyprawić młodzieńca o trwałe

kalectwo. Wiedział, że więzień jest rycerzem z Valdis. Świadczył o tym znak na jego ramieniu – dwa kręgi, jeden wewnątrz drugiego. Oznaczały one, że rycerz, zdobył środkowy krąg i to w bardzo młodym wieku. Niestety, bardzo się postarzał, odkąd znalazł się pod opieką arcybiskupa. Jego włosy nie lśniły już złociście, a policzki utraciły gładkość.

Tavalisk jednak nie przejmował się tym zbytnio. Ważna była kwestia, co właściwie robił młodzieniec w chwili, gdy go schwytano. Myszkował po mieście, zadając pytania. Szukał kogoś, jak mówił, jakiegoś chłopca. Gdy jednak szpiedzy przyprowadzili go, związanego i zakneblowanego, do swego pana, odmówił zeznań.

Arcybiskup podejrzewał, że rycerz jest zamieszany w coś ważnego, gdyż, kiedy go ujęto, miał ze sobą bukłak lakusa, ozdobiony znakiem Bevlina. Tavalisk był zdecydowany dowiedzieć się, co łączy rycerza z postarzałym mędrce.

Większość osób uważała Bevlina za starego durnia. Tavalisk jednak nie był o tym do końca przekonany. Przed osiemnastu laty na nocnym niebie pojawiło się niezwykle zjawisko. Wieści o nim dotarły nawet do jego uszu. Z reguły sądzono, iż był to znak zapowiadający pięć lat dobrych żniw. I rzeczywiście,

od tego czasu Rorn nic zaznał złego roku – choć w tym pięknym mieście zbierano nie zboże, lecz złoto. Niemniej jednak arcybiskupa nie opuszczało niesamowite przeczucie, mówiące, że omen przepowiadał coś więcej i że Bevlin w jakiś sposób odgadł jego znaczenie. Mędrzec bredził coś o katastrofie i jej nieodłącznym towarzyszu – zniszczeniu. Wszyscy go wyśmiewali. Wszyscy oprócz Tavaliska. Nigdy nie szkodziło mieć oko na mędrców. Niczym ptaki, zawsze potrafili wyczuć nadciągającą burzę. Jeśli temu więźniowi zlecił misję Bevlin, arcybiskup był zdecydowany odkryć kryjącą się za całą sprawą tajemnicę.

Zaczął się już jednak czuć sfrustrowany milczeniem młodzieńca, postanowił więc uciec się do innego sposobu, który powie mu, kogo i w jakim celu szukał rycerz. Dlatego właśnie tu dziś przyszedł. Miał zamiar wypuścić więźnia. Potem wystarczy śledzić go i czekać, aż sam zaprowadzi go do poszukiwanych odpowiedzi.

– Strażnicy! – zawołał, odsuwając od twarzy jedwabną chusteczkę. – Rozkujcie tego człowieka i dajcie mu trochę wody.

Mężczyźni wybili z kajdan metalowe ćwieki i więzień runął ciężko na podłogę.

– Zemdłał. Wasza Eminencjo.

– Widzę. Zabierzcie go i zostawcie gdzieś w mieście.

– A gdzie konkretnie. Wasza Eminencjo?

Tavalisk zastanawiał się przez chwilę. Na jego tłustych wargach pojawił się figlarny uśmieszek.

– Dzielnica nierządu będzie w sam raz.

Miasto Rorn szczyliło się największą dzielnicą nierządu w całym znanym świecie. Szeptano, że za odpowiednią cenę można tu przeżyć każdą wyobrażalną przyjemność, choćby najbardziej zakazaną i dziwaczną.

Dzielnica dawała schronienie biednym i nieszczęśliwym. Prostyucją trudniły się tam nawet dziewczęta, które zaledwie skończyły jedenaście lat. a na każdym rogu można było spotkać żebraków dręczonych najróżniejszymi chorobami. W mrocznych zaułkach kryli się kieszonkowcy i mordercy, czekający na szansę pozbawienia niczego nie podejrzewającego przechodnia sakiewki bądź życia. W niezliczonych gospodach i szynkach stojących przy pełnych plugastwa ulicach można było kupić broń, truciznę i informacje.

Owe ulice były tak gęsto usiane ludzkimi odchodami i gnijącymi resztkami roślin, że powiadano,

iż obcego można poznać po tym, że osłania nos szmatką. Niedobrze było być obcym w dzielnicy nierządu. Stanowili oni łatwy łup dla oszustów i złodziei. Sama ich obecność była niemal zaproszeniem, by siłą lub podstępem pozbawić ich pieniędzy. Mimo to zjawiali się tu, wabieni obietnicą zakazanych rozrywek bądź dreszczykiem niebezpieczeństwa. Z nadejściem zmierzchu młodzi szlachcice i ucziwi kupcy zakradali się tu, szukając szansy w grze hazardowej, kobiety na noc... albo obu tych rzeczy.

Do świadomości Tawła najpierw dotarł ostry smród ekskrementów. Potem ból. Był nie do zniesienia. Wszystkimi mięśniami rycerza targały spazmy przeszywającego bólu. Spróbował się poruszyć, powlec tam, gdzie widział teraz światło, był jednak zbyt słaby. Runął na spotkanie pustki i przekonał się, że ona również jest przepelniona bólem.

Znowu nawiedził go znajomy koszmar. Znajdował się w małej izbie. Przy palenisku siedziały dwie dziewczynki o złotych lokach i różowych policzkach. Uśmiechały się do niego. W rękach trzymał niemowlę. Drzwi otworzyły się i cos zamigotało jaskrawo na progu. Światło bijące od tej wizji przyćmiło blask ognia, lecz nie pozbawiło go ciepła. Gdy ruszył w



tamtą stronę – dziecko wysunęło mu się z rąk. Kiedy przekroczył próg, drzwi zatrzasnęły się za nim. Wizja umknęła, stając się punktem na horyzoncie. Odwrócił się ku drzwiom, te jednak nie chciały się otworzyć. Mimo uporczywych wysiłków, nie mógł powrócić do izby i siedzących przy palenisku dzieci. Rzucił się zrozpaczony na drzwi. Jego ciało uderzyło w kamień.

Ocknął się gwałtownie. Z kącików ust spływały mu krople potu. Coś się zmieniło. Płuca wypełniało mu nieznane powietrze. Poczul strach. Przyzwyczał się już do swej celi, a teraz odebrano mu nawet to znajome schronienie.

Kiedy go wypuszczono? Nie mógł sobie niemal przypomnieć, kiedy po raz ostatni czuł na wargach chłodny dotyk wody. Jedno jednak pamiętał z całą pewnością: swe imię. Nazywał się Tawl. Tawl... ale powinno być jeszcze coś więcej. Z pewnością był Tawlem skądś lub Tawlem jakimś. Poczul w piersi słabe poruszenie. Spróbował skupić myśli, lecz bezskutecznie. Wspomnienie umknęło. Był po prostu Tawlem. Do niedawna trzymano go w więzieniu, a teraz był wolny.

Zmusił swój umysł, aby zaczął rejestrować otaczającą go rzeczywistość. Zaczynał dostrzegać fragmenty otoczenia. Leżał między dwoma wielkimi

budynkami, powietrze było chłodne i był sam.

Spróbował unieść rękę. Jego ciało przeszył ból. Na swym nagim ramieniu dostrzegł dwa kręgi. Ten znak wydawał się znajomy, coś oznaczał, Tawl jednak nie wiedział co. Podniósł wzrok, usłyszawszy zbliżające się głosy.

– Hej, Megan, nie idź do tego gościa. To już prawie trup.

– Cicho, Wenno. Pójdę, gdzie będę chciała.

– Nie wydusisz z niego ani grosza. Nie ma na to siły.

Tawl przyglądał się podchodzącej do niego dziewczynie. Nie był w stanie uczynić nic więcej. W chwilę później jej przyjaciółka również się zbliżyła. Ich badawcze spojrzenia zaczęły go niepokoić.

– Ale paskudnie śmierdzi. Zupełnie jakby nie widział wody przynajmniej od roku.

– Spokój, Wenno. może cię usłyszeć. Popatrz, ma otwarte oczy! – Dziewczyna imieniem Megan uśmiechnęła się łagodnie. – Nie przypomina typów, których tu zwykle oglądamy.

– To półtrup. nie? Takich tu oglądamy najczęściej.

– Nie, jest młody i złotowłosy. – Dziewczyna wzruszyła ramionami, jak gdyby chciała wytłumaczyć sobie własne szaleństwo. – Ma w sobie... popatrz,

Wenno. próbuje coś powiedzieć.

Tawl nie odezwał się ani słowem od wielu miesięcy. Zdołał wydusić z siebie jedynie sła biutki szept.

– To pewnie jego imię. Brzmi jak Tork czy Tawl.

– Megan, chodź stąd, nim wpadniemy w kabałę. Masz rację. To nie jest typowy gość, a to oznacza kłopoty.

Dziewczyna zwana Wenną pociągnęła przyjaciółkę za rękaw, ta jednak nie chciała ustąpić.

– Jak chcesz, to idź, Wenno. Nie zostawię go tu samego. Na pewno wykitowałby do rana.

– To nie moja sprawa, dziewczyno. Spływam stąd. Marnuję tylko cenny czas. Muszę coś zarobić. Gdybyś miała choć trochę rozumu w tej ładnej główce, zrobiłabyś to samo.

Powiedziawszy to, starsza z dziewcząt oddaliła się w mrok, zostawiając go sam na sam z młodszą.

Tawl raz jeszcze spróbował podnieść rękę. Tym razem dziewczyna ujęła go za nią.

– Daj, pomogę ci wstać. – Zauważyła znak. – Oj, to dziwne. Nigdy nie widziałam rycerskiego kręgu przesytego blizną.

Pozwolił, by dziewczyna go podniosła, po czym natychmiast runął z powrotem na ziemię. Nogi nie były

w stanie go utrzymać. Odzwyczały się od dźwigania ciężaru.

– Och, biedaku. Chodź, spróbujemy jeszcze raz. Mój pokoiik jest niedaleko stąd. Gdybyś tylko zdołał tam dojść.

Podjęli kolejną próbę. Tym razem Tawł wspierał się na dziewczynie. Była wątłej budowy i zdziwiło go, że potrafi utrzymać jego ciężar.

– No, chodź – zachęcała go. – To niedaleko. Zaraz będziemy na miejscu.

Tawł włókł się u jej boku, starając się panować nad bólem.

Baralis ostrożnie odmierzył cztery krople różowawej trucizny, którą dodawał do wina. Utworzyła na powierzchni fale, które rozprószyły się szybko. Jej śmiercionośna przezroczystość stała się niewidoczna dla oczu. Był dumny ze swej nowej mieszanki, jako że była ona prawie bezwonna. Umył starannie ręce w misce zimnej wody. Nie mógł dopuścić, by pozostały na nich ślady użytych składników, gdyż była to szczególnie toksyczna mikstura i już w tej chwili zaczynał czuć, jak pali mu skore.

Dłonie pokrywały mu ślady powstałe w ciągu lat pracy ze śmiercionośnymi substancjami. Żrące kwasy

zniszczyły mu tkanki, pozostawiając tylko kości i skórę, która była naciągnięta i zaczerwieniona. Baralis czuł, jak się kurczy, zniekształcając jego palce. Codziennie wcierał w obolałe ciało ciepłe oleje, w nadziei, że zachowa choć tę niewielką ruchliwość dłoni, jaka mu pozostała. Palce, w młodości długie i wypielęgnowane, wyglądały teraz znacznie starzej od ich właściciela.

Była to cena za opanowanie tajemnej sztuki – wysoka dla kogoś, kto tak wielką wagę przywiązywał do szybkości i zręczności dłoni. Baralis jednak niczego nie żałował. Za wszystko trzeba było płacić, a chwałę mogli osiągnąć jedynie ci, którzy byli gotowi zaakceptować jej koszty.

Nadszedł już czas, by podrzucić dzban wina do komnat Maybora. Po południu wielmoża zwykle przebywał poza zamkiem, polując lub jeżdżąc konno. Kanclerz będzie musiał zrobić to osobiście. Nie mógł zlecić Croke'owi zadania wymagającego tak wielkiej przemyślności.

Trzeba będzie zachować ostrożność. Wolałby zakraść się do komnat Maybora nocą, mając za sojusznika ciemność, nie mógł jednak czekać do zapadnięcia nocy. Mógł liczyć co najwyżej na półmrok. Przemknął się do labiryntu przez piwną

piwnicę. Nikt go nie zauważył. Miał talent pozwalający unikać przyciągania uwagi. Zawdzięczał go naturalnej skłonności do krycia się w cieniu.

Posuwał się naprzód szybko. Wkrótce znalazł się w pobliżu komnaty Maybora. Usłyszał jakieś głosy. Zdziwiony zbliżył się do ściany i przystawił ucho do wąskiej szczeliny w kamieniu. Ze zdumieniem rozpoznał głos królowej. Arinalda u Maybora? Cóż to była za intryga? Królowa nigdy nie odwiedzała nikogo w prywatnych komnatach. Wzywała ludzi do siebie. Baralis skoncentrował się, wsłuchawszy w głosy rozmówców.

– Z zadowoleniem słyszę, że twoja córka, Melliandra, zgadza się na małżeństwo. Obawiałam się, że może być mu niechętna.

W wyniosłym głosie królowej przesączającym się przez szparę między kamieniami nie było wicie ciepła.

– Wasza Wysokość, mogę cię zapewnić, że moja córka bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnie zostać żoną twego syna.

Maybor przemawiał z przesadnym szacunkiem. Baralis przymrużył pogardliwie oczy.

– Znakomicie – mówiła królowa. – Ceremonię zaręczyn wyprawimy za dziesięć dni. Jestem pewna, że zgadzasz się, iż powinniśmy działać szybko.

– Zgadzam się. królowo. Sadzę też, za wybaczeniem Waszej Wysokości, iż powinniśmy utrzymywać zaręczyny w tajemnicy aż do chwili ich ogłoszenia.

Nastąpiła krótka przerwa. Gdy królowa wreszcie się odezwała, jej zimny głos dotarł prosto do ucha Baralisa.

– Masz rację. Wolałabym, żeby pewne osoby na dworze nic o tym nie wiedziały. Muszę cię już opuścić, lordzie Mayborze. Życzę miłego dnia.

Baralis przystawił oko do szczeliny i zobaczył, jak Maybor kłania się nisko królowej. Kiedy wyszła, pokorę na twarzy grubasa zastąpił triumf.

Kanclerz uśmiechnął się zimno, gdy jego ofiara napełniła kielich winem.

– Życzę smacznego, Mayborze – wyszeptał. – Następny puchar może ci mniej przypaść do gustu.

Usiadł wygodnie, by zaczekać, aż wielmoża sobie pójdzie. Zatrute wino grzało się w jego dłoni.

Melli była wzburzona. Jej brat. Kedrac, wyszedł przed chwilą. Poinformował ją, że uzgodniono już zaręczyny i królowa wyznaczyła datę ich oficjalnego ogłoszenia.

Gdy usłyszała, że o jej losie zdecydowano, nie pytając jej nawet o zdanie, ogarnął ją buntowniczy

nastrój. Nawet za milion lat nie zgodzi się wyjść za zimnego, aroganckiego księcia Kylocka. Nie pragnęła zostać królową, jeśli władcą Czterech Królestw miał być Kylock. Nie potrafiła właściwie powiedzieć, dlaczego tak bardzo go nie lubi. Kiedy się spotykali, zawsze był dla niej uprzejmy. Miał jednak w sobie coś, co wzbudzało w niej niepojęty niepokój. Za każdym razem, gdy go widziała, przeszywał ją dreszcz. A teraz jej ojciec zaaranżował ich małżeństwo.

Dobrze wiedziała, na czym polega jego plan. Król był słaby i każdy z możnowładców pragnął zaganiać władzę dla siebie. Jej ojciec nie różnił się od pozostałych. Gdy tylko wracał z wojny, oddawał się spiskom i intrygom. Teraz uknuł najskuteczniejszą z nich. Postanowił, że uczyni córkę przyszłą królową. Ona sama nic go nie obchodziła. Dbął tylko o swych wspaniałych synów. Jednym z powodów wojny z Halcusami były ziemie, które chciał zostawić jej braciom.

Owe plany spaliły jednak na panewce, gdyż jego położone nad Nestorem posiadłości stały się polem bitwy i plony ze sławnych nestorskich jabłkowych sadów były nad wyraz niskie. Wojna odbiła się boleśnie na jego własnej kieszeni.

Nienawidziła go! Nie była pewna, czy ma na myśli



ojca. czy Kylocka. Ostatniej nocy, gdy zdecydowanie odmówiła wyjścia za księcia. Maybor ją spoliczkował. W ogrodach! Gdzie wszyscy mogli to zobaczyć. Zauważyła, że ostatnio często urządziła spotkania właśnie tam. Wyglądało na to, że przestał ufać nawet ścianom.

Pięć minionych lat przyniosło Melli wielkie rozczarowanie. Gorąco pragnęła zostać kobietą, lecz choć wyrosły jej piersi, a krew zaczęła płynąć, przekonała się, że wciąż jest małą dziewczynką. Długo oczekiwane przedstawienie jej królowej nie okazało się wspaniałym triumfem, jakiego pragnęła. Kraj toczył wojnę i nikt nie miał czasu na błahe ceremonie. Tylko nieliczni zjawili się, by podziwiać jej suknię. Nie to jednak okazało się największym zawodem.

Najbardziej rozczarowana była życiem damy dworu. Przekonała się, że suknie i klejnoty, o których ongiś marzyła, zaczęły ją nudzić. Młodzi mężczyźni, których spotykała w zamku, byli naiwnymi, nadętymi głupcami. Nie chciała mieć z nimi nic do czynienia. Szczególnie jednak dręczyły ją ograniczenia, jakim podlegała kobieta jej stanu. Jako dziecko mogła biegać po korytarzach, zakradać się do kuchni po jakiś zakazany smakołyk i śmiać się ile sił w płucach. Teraz, jako młoda dama, miała tak mało swobody, że równie

dobrze mogłaby nie opuszczać własnych komnat. Ciągle słyszała:

- Trzymaj głowę uniesioną, Melliandro.
- Mów cichym, miłym głosem, Melliandro.
- Nigdy, ale to nigdy nie sprzeciwiaj się mężczyźnie, Melliandro.

Lista obowiązujących kobiety zasad nie miała końca. Wymagano od niej, by przebierała się trzy razy dziennie, nie mogła chodzić do ogrodu bez towarzystwa służącej, wolno jej było jeździć tylko w damskim siodle, musiała rozcieńczać wino wodą i jeść mało jak ptaszek. Na domiar złego, wszystkie dni spędzała zamknięta ze starymi matronami, zajęta szyciem i plotkowaniem.

Jej przyjaciółki mogły uwielbiać stroić się i flirtować, ale udawanie głupiego kobieciątka było poniżej jej godności. Nigdy, ale to nigdy nie zamierzała udawać, że mężczyzna ma rację, kiedy tak nie było. Nienawidziła tego wszystkiego tak bardzo, że nie mogła znieść nawet dźwięku swego imienia, które ongiś tak gorąco pragnęła nosić. Żałowała teraz, że nie jest już zwykłą Melli.

Usiadła w rogu łoża, zastanawiając się, co począć. Nie miała żadnego wyboru w kwestii zaręczyn. Jej ojciec był zdecydowany do nich doprowadzić, a nie

śmiała mu się przeciwstawić. Słyszała mrożące krew w żyłach opowieści o córkach, które sprzeciwiły się ojcom. Mówiły one o biczowaniu, głodzeniu i jeszcze gorszych karach. Jej postarzała piastunka powtarzała je z wielkim upodobaniem.

Do niedawna żywiła wątłą nadzieję, że królowa zawetuje w ostatniej chwili zaręczyny, dojdzie do wniosku, że Melliandra nie spełnia wymagań, nie jest wystarczająco ładna czy dobrze wychowana dla jej syna, wyglądało jednak na to, że Arinalda pragnie sfinalizować sprawę równie szybko jak Maybor.

Pozycja królowej była słaba. Krajowi groziła inwazja. Niepokoiła ją zachłanność diuka Brenu. Owo miasto stało się tak wielkie, że nie mogło się wyżywić, zaczynało więc szukać pożywienia na swe stoły na obcych ziemiach. Cztery Królestwa były łakomym kąskiem. Arinalda pragnęła, by kraj czynił wrażenie silnego, co wybiłoby diukowi z głowy wszelkie plany podboju. W tym celu musiała się sprzymierzyć z najpotężniejszym możnowładcą w królestwach: ojcem Melli. Maybor byłby wówczas zmuszony bronić niedołęznego króla przed tymi, którzy chcieliby rzucić wyzwanie jego władzy bądź też najechać kraj. Bez względu jednak na kryjące się za zaręczynami plany i oczekiwania, Melli wiedziała jedno: była tylko

pionkiem w tej grze.

Ostatniej nocy próbowała przemówić ojcu do rozsądku, przekonać go, by zrezygnował z zaręczyn. Nie chciał jej słuchać. Oświadczył, że jest właścicielem każdego kawałka tkaniny, który nosiła, każdego pierścienia na jej palcach i – choć tego nie powiedział – każdego jej oddechu. Była jego własnością i nadszedł czas wystawić ją na sprzedaż.

Nie. pomyślała Melli. Nie pozwolę, żeby mnie przehandlowano jak worek zboża.

Ucieknie. Wizyta Kedraca była kroplą, która przepełniła czarę. Brat oznajmił jej protekcjonalnym tonem, że zaręczyny przynoszą wielki zaszczyt ich rodzinie, stanowią wielki krok naprzód, szansę zdobycia ziemi i prestiżu. O niej nie wspomniał ani słowem. Bredził tylko o swej przyszłości, swych nowych perspektywach i oczekiwaniach. Była dla niego niczym. Widział w niej jedynie środek pozwalający zdobyć więcej władzy i chwały. To samo dotyczyło ojca. Sam fakt, że przysłał Kedraca, zamiast samemu poinformować ją o zaręczynach, świadczył o tym, jak mało dla niego znaczyła.

Zaczerpnęła głęboko tchu. Opuści zamek. Uwolni się od zobowiązań wobec ojca i braci. Nie będzie już przedmiotem, pionkiem w ich rozgrywce o władzę.

Byli w błędzie, jeśli sądzili, że bez mrugnięcia okiem przystanie na ich zamiary.

Chodziła w kółko po komnacie, usiłując rozniecić gniew. Dodawał on jej siłę, budził pragnienie pokierowania własnym życiem. Podeszła do okna, by popatrzeć na świat, którego częścią miała się stać. Na zewnątrz było ciemno i cicho. Siąpił lekki deszczyk. Zimne, nocne powietrze pieściło jej policzki. Zamiast uniesienia ogarnął ją strach. Wzywał ją szeroki świat... pełen nieznanych zasadzek. Zasuwała z drzeniem ciężkie, brokatowe kotary.

Zrealizuje swój plan. Dziś w nocy opuści zamek.

Tok jej myśli przerwało wejście garderobianej. Lynni obrzuciła ją spojrzeniem przebiegłych oczu, po czym zajęła się przygotowaniem wieczornej sukni.

– Lepiej się pośpiesz, pani, bo spóźnisz się na wieczerzę.

– Nie czuję się dobrze, Lynni. Zjem zimną kolację w komnacie.

– Wyglądasz zdrowo. Musisz zejść na dół. Przybyli goście z Lanholtu. Spodziewają się twojej obecności.

– Rób, co ci każe – rzuciła ostro Melli. Dziewczyna wyszła z komnaty, kołyszając wyzywająco biodrami.

Melli zaczęła przerzucać rzeczy, by zdecydować, co zabrać ze sobą. Nie posiadała własnych pieniędzy,

ale pozwolono jej trzymać w komnacie garść biżuterii. Wsypała wszystkie klejnoty do niedużego, płóciennego mieszka. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Miała teraz własne zwierciadło. Zatrzymała wzrok na swym odbiciu. Sprawiała wrażenie małej i wystraszonej.

Ujęła w dłoń proste, ciemne włosy i związała je rzemieniem. Pomyślała, że w takim uczesaniu jest jej znacznie bardziej do twarzy niż w niektórych nadmiernie zdobnych dworskich fryzurach. Następnie włożyła swą najskromniejszą, wełnianą suknię, owiązała z uwagą wokół talii sznurek podtrzymujący sakiewkę z klejnotami i wybrała najgrubszy płaszcz do konnej jazdy. Zostało tylko poczekać, aż Lynni przyniesie jej kolację. Potem wyruszy w drogę, wykradnie się z zamku pod osłoną ciemności. Ani na chwilę nie przyszło jej do głowy, żeby uciec bez kolacji. To byłaby głupota.

Wsunęła się pod pościel, by poczekać na Lynni, zastanawiając się, gdzie się skierować. Matka przed śmiercią wspominała coś o krewnych w Annisie. Pojedzie do nich.

Lord Maybor był bardzo zadowolony z minionego dnia. Królowa zaaprobowала związek między Kylockiem a jego córką, a do tego spożył dziś bardzo dobrą kolację.

Gdy podczas posiłku rozglądał się po komnacie, jego wzrok przyciągnęły olbrzymie gobeliny, ukazujące historię straszliwych wojen o wiarę, które rozdarły Cztery Królestwa, a także przedstawiające człowieka, który przeszło sto lat później zjednoczył na nowo owe cztery wspaniałe krainy, sprzeciwiając się woli kościoła. Cztery Królestwa szczyciły się najżyźniejszą glebą na całej północy. Ich położenie sprzyjało uprawie ziemi i wzrostowi lasów, ludzie byli tłuści i zamożni, a armie dobrze wyszkolone i wykarmione. Wojny zjednoczeniowe były w pierwszej kolejności zasługą Harvella Gwałtownego. To dzięki niemu tętniąca życiem, zielona kraina odzyskała jedność.

Maybor lubił sobie wyobrażać, że jest w nim coś z Harvella. Z pewnością przed końcem roku stanie się częścią wielkiej tradycji, którą był rodowód królów. Będzie ojcem królowej! Ledwie mógł opanować podniecenie.

Dostrzegł, że wielu zasiadających za wielkim stołem wielmożów dziwi jego niezwykle dobry humor. Bardzo cieszył go też fakt, że nic nie wiedzą o czekającym go zaszczycie. Poczul gwałtowny przyływ dobrej woli. Zażądał więcej dziczyzny i *ale*, a nawet nagroził głośnymi okrzykami minstreli.

których zazwyczaj z przyjemnością obrzucał jarzynami i kurzymi kośćmi.

Trzeba zmusić króla do abdykacji. pomyślał. Jest już tylko pustym naczyniem i nie powinien zajmować miejsca na tronie Czterech Królestw. U steru potrzebna była świeża krew. krew jego przyszęgo zięcia, Kylocka. Co prawda, był on jeszcze młody, lecz Maybor zamierzał zrobić użytek z tej młodości, pokierować decyzjami nowego króla, ukształtować go. To on będzie szarą eminencją.

Porzucił na chwilę te rozkoszne marzenia, by zastanowić się nad księciem Kylockiem. Coś w tym chłopaku przyprawiało go o dreszcze.

Mniejsza o to. pomyślał. Pod moim przewodnictwem zostanie znakomitym władcą.

Melliandra. jego niewdzięczna, zbuntowana córka, naprawdę odważyła się powiedzieć, że za niego nie wyjdzie. Cóż, było już za późno na protesty. Jeśli okaże się to konieczne, sam ją zleje tak, że odechce się jej sprzeciwiać.

Pierwszym pociągnięciem, do którego skłoni nowego króla, będzie zakończenie raz na zawsze wojny z Halcusami. Miał już dość tego, że jego posiadłości służyły jako obozowiska i pola bitew. Gdy tylko walki się skończą, przejmie we władanie ziemie



leżące na wschód od Nestora, które znakomicie nadawały się pod uprawę jabłek na jabłecznik.

Pomijając osobiste korzyści, istniały też inne, pilniejsze powody, dla których wojnę należało jak najszybciej wygrać. Bren coś knuł. Diuk rozpoczął już program aneksji ziem leżących na południowym wschodzie. Nie minie wiele czasu, nim zwróci spojrzenie na zachód. Highwall i Annis były silne i dobrze uzbrojone, królestwa jednak tak mocno zaangażowały się w wojnę z Halcusem, że wręcz prosiły się o najazd. Co prawda leżały daleko, lecz przodkowie czcigodnego diuka władali ongiś ziemiami leżącymi na zachód od Nestora, a uzasadnione pretensje, bez względu na to, jak wątpliwa była ich podstawa, zawsze skutecznie budziły święte oburzenie w kandydatach na najeźdźców.

Maybor osuszył puchar. Robiło się już późno. Pożegnał się z towarzyszami, chwając się lekko na nogach od wielkiej ilości spożytego *ale*. Po powrocie do komnaty pragnął jedynie wypić kielich czerwonego lobanfernu, żeby wspomóc trawienie, a potem zwałić się na łoże i zasnąć głęboko.

– Kelse, ty leniwy prostaku! – krzyknął, nim jeszcze wszedł do środka. – Chodź pościelić mi łoże i napalić na kominku. Noc jest zimna.

Maybor zdziwił się, nie usłyszawszy tupotu stóp sługi uderzających o kamienną posadzkę. Kelse zazwyczaj szybko reagował na jego wezwania. Możliwe, że już był w komnacie i ogrzewał pościel gorącymi cegłami.

Maybor wszedł do środka. Było tu zimno. Ogień na kominku wygasł.

– Do licha! – mruknął. – Kelse, gdzie, na Borca, się podziałeś? Podeszedł do stołu, na którym zawsze trzymał dzban swego ulubionego wina. Nalał sobie pełen kielich i przeszedł do sypialni.

Unosząc puchar do ust, zauważył, że na podłodze obok łoża ktoś leży. Był to jego sługa, Kelse. Zdziwiony wielmoża odstawił kielich, podeszedł do leżącego i spoliczkował go mocno.

– Kelse, ty zapijaczony symulancie. Jeśli się natychmiast nie obudzisz, przyrzekam, że wypruję ci flaki. – Kelse nie zareagował. Maybor zaniepokoił się. Sługa w ogóle się nie poruszył. – Co to za zdrada? – Jego wzrok padł na przewrócony kielich leżący obok Kelse'a. Maybor podniósł go do nosa i powąchał: czerwony lobanfern. Dotknął nieruchomego ciała. Było zimne.

– Trucizna – powiedział.

Poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Nie miał

wątpliwości, że trucizna była przeznaczona dla niego. Pechowy Kelse ukradł kielich skażonego wina i przypłacił to śmiercią. Maybor uśmiechnął się z satysfakcją. Nieszczęśnik nieświadomie wyświadczył mu największą przysługę, jaką sługa mógł wyświadczyć panu. Oddał za niego życie. Zadrżał na myśl o tym, co by się stało, gdyby wino dostało się do jego ust. To on leżałby teraz martwy na zimnym kamieniu. Wiedział, czyja to była robota.

– Baralis – wyszeptał pod nosem. Właściwie nie zaskoczy. Już od wielu miesięcy dostrzegał wyraz nienawiści na twarzy królewskiego kanclerza. Mieli nie załatwione porachunki i wyglądało na to, że jego wróg wykonał pierwszy ruch.

Baralis wolał truciznę, broń tchórz, Maybor był wojownikiem, weteranem wielu kampanii i czuł jedynie pogardę dla tak podstępnych metod. Jeśli miałby zaplanować zabójstwo – a po dzisiejszych wydarzeniach wyglądało na to, że będzie musiał, gdyż trudno było wymagać, by zignorował zamach na własne życie – użyłby bardziej konwencjonalnych metod. Nóż wbity w gardło był piękniejszy i bardziej niezawodny niż dzban zatrutego wina.

– Twe plany spaliły na panewce tej ciemnej nocy – wyszeptał. – Spij smacznie w swym łożu. Baralisie.

lordzie i kanclerzu, bo możesz już nie przespać wielu nocy.

Jack jak zwykle wstał o czwartej. Nie musiał już przez całą noc podtrzymywać ognia pod piecami. To zadanie przekazano młodszemu chłopcu. Nadzorował teraz pierwszy wypiek i – gdy chłopiec od pieca już sobie poszedł – miał z reguły całą kuchnię przez godzinę tylko dla siebie, nim zjawiał się pan Frallit wraz z resztą piekarzy.

Odział się błyskawicznie. Panujący w pomieszczeniu chłód przyśpieszał jego ruchy. Choć spodnie miały już cztery miesiące, Jack z radością zauważył, że pasują na niego równie dobrze, jak w chwili uszycia. Znaczyło to, że wreszcie przestał rosnąć. Najwyższy czas. Rola najwyższej osoby w kuchni nie była zbyt przyjemna. To jego zawsze wołano, gdy trzeba było wygnać pająki z sieci lub wytrząsnąć ćmy z suszących się ziół.

Wciągając lekką bluzę, poczuł, że trochę już za mocno cuchnie polem. Miał nadzieję, że za dnia uda mu się spotkać z podkuchenną, Findrą, a przekonał się niedawno, że dziewczęta nie lubią zbyt silnego zapachu mężczyzny. Oczywiście Grift zbił Jacka z tropu, informując go, że całkowity brak woni jest jeszcze gorszy niż najstraszliwszy smród.

– Kobiety wybierają kochanków, kierując się przede wszystkim nosem. Odór mężczyzny musi odzwierciedlać jego zamiary – zwykł mawiać. Jack zdecydował, że posypie później bluzę mąką, by uzyskać delikatną równowagę potrzebną do zalotów, po czym ruszył do kuchni.

Na początek dorzucił do pieca trochę wonnych szczap. Frallit utrzymywał, że na świecie są tylko dwa rodzaje drewna: drewno do ogrzewania i drewno do gotowania. Nocą używano wydajnego opału. takiego jak dąb i jesion, dzienne pieczenie wymagało jednak delikatniejszego paliwa. Nim do pieca wsunięto chleb, do paleniska wędrowały głóg, leszczyna i orzech. Mistrz piekarski przysięgał, że nadają one ciastu aromat, który przy wysokim płomieniu przeradza się w smak.

Wykonawszy to zadanie. Jack zdjął ciasto z umieszczonej nad piecem półki. Buchał na nie żar. dzięki czemu przez noc porządnie wyrosło. Ściągnął z tacy wilgotną lnianą szmatę i zaczął machinalnie nadawać kształt poszczególnym kawałkom, a potem wyrabiać je wprawnymi dłońmi. Szybko ułożył je w formach w równe szeregi, po czym uchylił wielkie, żelazne drzwi. Uderzyła z nich znajoma fala gorąca. Niejeden już raz przypalił sobie przy tym włosy.

Postawił formy na półkach i zamknął drzwi. Następnie dolał do pieca trochę wody. Powstała w ten sposób para dodawała skórce jędrności.

Wreszcie zajął się przygotowywaniem ciasta na “południowe bochenki”, które stanowiły trzeci i czwarty wypiek. Zamek Harvell miał tak wielu mieszkańców, że piec musiał za dnia pracować niemal bez przerwy. Pierwszym porannym wypiekiem był żytnio-pszenny chleb stanowiący pokarm tak panów, jak i sług. Co pieczono później, często zależało od tego, kto akurat odwiedzał zamek. Gdy obecna była zagraniczna szlachta i posłowie, mistrz piekarski zwykle przygotowywał na ich cześć chleb i smakołyki wywodzące się z ich ojczyzny. Późnym popołudniem, gdy ciasta i galanteria stygły jeszcze, Frallit robił użytek z tego, co nazywał swym “piekarskim przywilejem”.

Podobnie jak w większości miast, w Harvellu funkcjonowało kilka komunalnych pieców, do których kobiety przynosiły ciasto na chleb. Opłata wynosiła miedziaka za bochen. Frallit wynajmował miejsce w zamkowym piecu za podobną cenę, lecz jako obrotny przedsiębiorca pozwalał wypiekać jeden bochen na tuzin za darmo. Dzięki temu załatwił sobie korzystne boki. Główny piwniczny i główny kucharz

otrzymywali swoją działkę w zamian za milczenie, lecz Jacka Frallit uciszał wyłącznie groźbą solidnego lania.

Gdy ciasto na południowe bochenki było gotowe, a drożdże odstawione, żeby wyrosły, Jack mógł poszukać sobie czegoś do jedzenia. Zwykle wykorzystywał czas rośnięcia drożdży, by wpaść do izby jadalnej dla służby po odrobinę *ale* i miskę tego, co poprzedniego dnia podawano na kolację. Dziś jednak Baralis kazał mu przepisywać tak długo, że Jack pragnął tylko posiedzieć trochę i odpocząć.

Usiadł na piekarskiej ławie, wspierając głowę o jej listwę. Powieki miał ciężkie z niewyspania. Udało mu się przespać zaledwie trzy godziny. Był niewypowiedzianie zmęczony. Nim zdążył się zorientować, zapadł w płytką, pozbawioną snów drzemkę.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał zatrważający widok. Z pieca buchał czarny dym.

– Miedziane garnki! – zawołał. Natychmiast zrozumiał, że zasnął podczas pieczenia chleba. Podbiegł do pieca, lecz nos już wcześniej wyjawiał mu to, co zobaczyć miały oczy. Chleb się spalił. Całe sto sześćdziesiąt bochnów. Jackowi zrobiło się zimno ze strachu. Frallit na pewno go zabije. Połowa porannego

wypieku obrócona w węgiel. Och, dlaczego zasnął?!

Czuł rosnącą panikę, gdy patrzył na zwęglone bochny. Rozpaczliwie pragnął, by okazało się to snem. Kiedyś pewien chłopiec spalił chleb i pan Frallit wybatożył go tak, że zeszła mu skóra. Nigdy już nie widziano go w kuchniach. Przed niespełna tygodniem mistrz piekarski zganił Jacka za fuszerkę i ostrzegł, że odeśle go z zamku, jeśli się nie poprawi. Co innego było marzyć o odejściu, a co innego zostać wygnanym.

Cóż miał począć? Pan Frallit mógł się zjawić w każdej chwili. Gdyby tylko można było zmienić bochny, przerobić je z powrotem na ciasto. Zmarszczył czoło w desperacji. Czaszkę przeszył mu ból. Nagle ogarnęła go słabość. Zakręciło mu się w głowie. Padł na podłogę, tracąc przytomność.

Baralis nie spał całą noc. Głowę wypełniały mu myśli o tym, co podsłuchał pod komnatą Maybora. Królowa najwyraźniej zaczęła się bawić w politykę. Usiłowała wzmocnić swą pozycję, aranżując ślub Kylocka z córką tęgiego możnowładcy. Była głupia, jeśli sądziła, że to przymierze zapewni królowi bezpieczeństwo. Maybor natychmiast usunąłby starego monarchę i zastąpił go Kylockiem, sądząc, że potrafi zapanować nad młodym, niedoświadczonym chłopcem.



Tyle, że do zaręczyn nie dojdzie. Po śmierci Maybora, jego czarująca córka Melliandra przestanie być użyteczna dla królowej jako narzeczona jej syna. Baralis uśmiechnął się. Jego zęby zabłysły w blasku ognia. Planował dla Kylocka wspanialsze małżeństwo. Dopilnuje, by ożenił się z kobietą postawioną wyżej niż córka byle magnata. Czas już, by królestwa zajęły bardziej znaczącą pozycję na arenie cywilizowanego świata.

Kanclerz rzucał się w łóżu i przewracał z boku na bok w bladym świetle poranka. Z radością wyobrażał sobie, co przyniesie mu nowy dzień. Wreszcie uwolni się od tej podstępnej zmił Maybora! Będzie musiał udzielić Croke'owi dokładnych wskazówek odnośnie swego alibi. Obaj zbierali wczoraj specjalne zioła, potrzebne do produkcji medykamentów. Było to poniekąd prawdą. Wysłał Croke'a do lasu po trochę kwiatów. Kwiatów na grób Maybora.

Nagle Baralis poczuł łatwe do rozpoznania wrażenie sygnalizujące użycie mocy. Ktoś w zaniku czerpał ją w niewprawny, niewyszkolony sposób. Przeszył go złowrogi dreszcz. Moc była zaiste potężna, lecz dziwnie surowa. Królewski kanclerz wyostrzył swe zmysły, przerodził całe ciało w narząd postrzegania. Jego mentalna świadomość wystrzeliła

na zewnątrz w poszukiwaniu źródła impulsu.

– Jack, Jack, obudź się. Co ty wyrabiasz? Jak mogłeś zasnąć, kiedy chleby były w piecu? – skarciła go Tilly. – To cud, że się nie spaliły. Frallit dopiero by ci pokazał.

Jack poderwał się zdumiony.

– Ale przecież się spaliły, Tilly, sam...

– Cisza, ty głupi drażalu. Na pewno ci się przyśniło. Dopiero ładnie pobrażowały. Popatrz.

Jack zajrzał do pieca przez otwór przeznaczony do nadzorowania procesu pieczenia i ze zdumieniem ujrzał, że Tilly miała rację. Bochny nie były spalone. Kiedy leżał zemdlny, ktoś musiał je wyjąć i zastąpić nowymi. Podźwignął się na nogi. Poczował, że zalewa go fala mdłości.

Sprawdził tace z czekającym ciastem. Było ich tyle samo, co przedtem. Gdyby w piecu były nowe chleby, tace musiałyby być puste. Powąchał powietrze. Unosił się w nim słaby odór spalenizny. To nie był sen. Jack podbiegł do koszy na śmieci. Nie było tam żadnych zwęglonych bochnów.

Tilly patrzyła na niego, jakby był obłąkany. Nie miał wątpliwości, że cały incydent nie był snem. Chleby faktycznie się spaliły. Co właściwie zrobił? Przypomniał sobie, że na chwilę przed zemdleniem

nawiedziły go mdłości i potężny ucisk w głowie.

Poczuł, że jego los się odmienia. Coś się tu wydarzyło, coś, co zaprzeczało prawom natury, coś straszliwego – i to on był za to odpowiedzialny. Zaczął dygotać. Ledwo mógł utrzymać się na nogach. Chciał się położyć, zasnąć, zapomnieć.

– Tilly, nie czuję się zbyt dobrze. Muszę odpocząć. Dziewczyna, która zauważyła dziwny wyraz jego twarzy, złagodniała.

– Dobra. Wy tłumaczę cię przed Frallitem. Leć już.

Baralis wyczuł, że uwolnienie mocy nastąpiło na dole. Przerodził się w psa, który zwęszył trop. Ubrał się szybko i wezwał Croke'a. Gdy przerośnięty prostak się zjawił, obaj opuścili komnaty i ruszyli ku podziemiom zamku.

Po raz pierwszy od wielu lat kanclerz poczuł strach. Nienawidził nieznanego. Był wielkim zwolennikiem starannego planowania i dbałości o szczegóły. Nic nie niepokoiło go bardziej niż niespodzianki. Władający czarami byli nieliczni i żyli daleko od siebie, zwłaszcza na północy. W gruncie rzeczy, właśnie dlatego tu zamieszkał. Chciał być jedynym człowiekiem na dworze Czterech Królestw mającym do swej dyspozycji diabelskie sztuczki.

Albowiem głupcy właśnie tak odczuwali czary:

jako diabelski dar. Niech sobie myślą, co chcą. Już dawno przekonał się, że ludzka ignorancja jest jednym z jego największych sojuszników. Mieszkańcy zamku bali się go. Szeptali między sobą, że jest demonem, czarnoksiężnikiem, obłąkańcem. Cieszyły go te pogłoski. Ludzie się go obawiali i ten stan rzeczy mu odpowiadał.

Przyśpieszył gwałtownie kroku na myśl, że jeszcze ktoś w zamku ma dostęp do tego samego nieuchwytnego źródła.

Zbliżał się już do miejsca, w którym zaczerpnięto moc. Crope włókł się ciężko za nim. Kuchnie! Nie było wątpliwości, że wydarzyło się to w kuchniach. Nie zwracał uwagi na służących i strażników, którzy pośpiesznie schodzili mu z drogi.

Gdy już znalazł się w olbrzymich kuchennych pomieszczeniach, wyczuł pozostałość, od której skórę pokryły mu ciarki. Nie odzywając się ani słowem do zdumionych pracowników, przeszedł z części kucharskiej do kuchni piekarskiej. To było tutaj. Potwierdzał to każdy włos na jego ciele. Gdy podszedł do olbrzymiego pieca, ślady użycia mocy zalały go kolejnymi falami. To wydarzyło się tutaj. Rozejrzał się wokół jak szalony, nie zwracając uwagi na mistrza piekarskiego i Tilly. Obok pieca stał wielki drewniany

stół, na którym stygły dziesiątki bochnów chleba. To były one! Moc zaczerpnięto do bochnów.

To było szaleństwo. Któż czerpałby moc do stu sześćdziesięciu bochnów chleba? Popatrzył na mistrza piekarskiego i Tilly. Z pewnością nie było to żadne z tych przerażonych indywiduów. Zaskoczył dziewczynę, łapiąc ją za rękę i wykręcając ją boleśnie.

– Posłuchaj, mała ładna dziewczko – odezwał się łagodnym tonem, któremu przeczył jego ucisk. – Widzę, że przestraszyłaś się mojego sługi, Croke’a. – Wzmocnił ucisk. – Masz rację, że się go boisz. Jest niebezpieczny. Prawda, Croke? – Zwrócił się w stronę sługi, który skinął entuzjastycznie głową. – Odpowiedz na moje pytanie. Co wydarzyło się tu dziś rano?

Tilly była oszołomiona.

– Nic, panie.

W jej oczach wezbrały łzy.

– Kto był dzisiaj w kuchni? Wykręcił rękę jeszcze mocniej.

– Nikt, panie. Tylko ja, pan Frallit i Jack.

– Jesteś pewna, że nie było nikogo więcej?

– Jestem tu dopiero od kilku minut, panie. Lepiej zapytaj Jacka. On przyszedł wcześniej.

– A gdzie jest teraz?

Głos Baralisa był gładki i nęcący jak jedwab.

– Poszedł się położyć. Mówił, że czuje się niedobrze. Baralis wypuścił Tilly. W jego głowie zaczęła się formować pewna myśl.

– Co to znaczy niedobrze? Co mu było?

– To wyglądało bardzo dziwnie, panie. Kiedy zesłam na dół, spał głęboko na podłodze. Bredził coś, że bochny się spaliły, a przecież to nieprawda... a potem powiedział, że czuje się niedobrze.

– Gdzie jest jego izba?

– Po południowej stronie kwater dla służby, na samej górze.

Baralis umilkł na chwilę, wbijając wzrok w piec.

– Trzeba zniszczyć te wszystkie bochny.

– Ale to połowa porannego wypieku...

– Zrób, co ci kazałem!

Baralis przeszył wzrokiem mistrza piekarskiego, by sprawdzić, czy odważy się mu sprzeciwić. Upewniwszy się, że jego polecenie będzie wykonane, odwrócił się i wyszedł z kuchni. Crope podązał za nim.

Jack postanowił, że zamiast iść do siebie, spróbuje zaczerpnąć trochę powietrza. Czuł w głowie ból i ciężar, zupełnie jakby wypił za dużo *ale*.

Nogi ugięły się pod nim. Usiadł na trawie. Gdy podniósł wzrok, ujrzał w oddali charakterystyczny

postać Baralisa. Szedł za nim Croke. Zmierzali przez zamkowe ogrody w kierunku kwater dla służby. Wyszli z kuchni. Coś w widoku ciemnego, łopoczącego na wietrze płaszcz Baralisa nappełniło Jacka lękiem.

Choć dzielił ich pewien dystans. Jack dostrzegł w twarzy kanclerza determinację. Ten widok przyprawił go o dreszcz. Chłopak nie miał wątpliwości, że to jego szukają.

Spróbował skupić myśli. Uczynił dziś rano coś strasznego. Złamał jakieś fundamentalne prawo i teraz wyglądało na to, że Baralis, jedyna osoba w zamku, która podobno znała się na takich sprawach, dowiedział się o tym. Kanclerz i jego sługa szukali go, zapewne po to. by go ukarać albo nawet gorzej. Zmienił bieg wypadków, dopuścił się zaburzenia praw natury... a w tych okolicach groziło za to ukamienowanie.

Wszyscy wiedzieli, że na świecie istnieją siły, których nie sposób wytłumaczyć, nikt jednak nie lubił o nich wspominać. Mówić o czarach, znaczyło przywoływać diabła. Grift powtarzał mu to setki razy. Wszyscy wiedzieli, czym grozi wzywanie diabelskiego imienia. Co jednak mówiło to o nim? Nie czuł się zły. Czasami pracował zbyt powoli i nie okazywał

należnego szacunku panu Frallitowi, ale czy to czyniło go złym?

Chmury przesłoniły słońce, rzucając na Jacka cień. A jednak było w nim coś złego. W jego głowie kryła się myśl równająca się grzechowi. Darzył straszliwą nienawiścią człowieka, który go spłodził, a potem porzucił. Pragnął śmierci własnego ojca. Po raz pierwszy przyznał sam przed sobą, jak silne jest owo uczucie. Już od zbyt dawna oszukiwał się. próbował sobie wmówić, że nic go nie obchodzi, kto jest jego ojcem. Dzięki wydarzeniom dzisiejszego ranka zdał sobie jednak sprawę z głębi swych uczuć. Nikt nie miał wątpliwości, że jego matka nie była święta, ale zasługiwała na lepszy los niż porzucenie. Oboje zasługiwali.

Wydawało mu się, że wszystko to jakoś się łączy: bochny, matka, ojciec. Usiłował dostrzec ich wspólną cechę, lecz ta wymykała się mu. Po chwili wrażenie zniknęło.

Pozostała jedynie rzeczywistość poranka. Musiał podjąć decyzję, czy zostanie w zamku, narażając się na gniew Baralisa i potępienie ze strony przyjaciół, czy też opuści go, by poszukać dla siebie miejsca w szerokim świecie.

Być może dlatego, że cień chmur przywodził na



myśl noc. Jack skłaniał się ku ucieczce. Gdyby słońce nadal świeciło, jego życie mogłoby podążyć innym szlakiem.

Gdy już dokonał wyboru, uspokoił się. Możliwe, że ten poranek okaże się błogosławieństwem. Miał teraz powód, by zrobić to, o czym do tej pory jedynie marzył. Szybko, nie oglądając się za siebie, ruszył przez zamkowe ogrody w kierunku zewnętrznych murów. Z każdym krokiem jego postanowienie się wzmacniało. W chwili, gdy wyszedł przez bramę, nie wątpił już, że podjął słuszną decyzję.

Lord Maybor obudził się późno. Natychmiast odczuł przepelniające go zadowolenie i radość życia. Człowiek, który uratował się przed niechybną śmiercią, miał do tego powody. Istniała też jednak inna przyczyna. Jego córka miała zostać królową.

Kiedy już będzie królem – nie, poprawił się – kiedy jego zięć będzie królem, sprawy na harvelskim dworze przybiorą inny obrót. W Znanych Krainach panowało ogólne zamieszanie. Ci przekłęci rycerze z Valdis, ze swymi wzniosłymi ideałami i brakiem tolerancji, siali wszędzie zamęt. Stracili pozycję w handlu na południu na rzecz Rornu, próbowali więc zdobyć wpływy na północy. Nie zamierzał na to pozwolić. Słyszał, że rycerze są niedorzecznie uczciwi, a uczciwość była

bardzo niebezpieczną cechą u partnera handlowego. Bren również należało mieć na oku. Maybor nie miałby nic przeciwko zawarciu przymierza z kilkoma z pozostałych północnych mocarstw, po to tylko, by wybić z ambitnej głowy diuka Brenu myśli o podbojach. Tak jest. będzie miał dużo do roboty jako szara eminencja.

Ubrał się pośpiesznie, uważając, by nie nadepnąć na martwego sługę. Miał ochotę tego pięknego poranka przywdziać jedną ze swych bardziej strojnych szat. Wybrał uszytą z pięknego, ciemnoczerwonego jedwabiu. Nigdy nic wiadomo, kiedy będzie trzeba podejmować zagranicznych dygnitarzy. Prawie każdego dnia u bram zamku prosił o wpuszczenie kogoś interesującego lub wpływowego.

Zaczął odczuwać lekkie wyrzuty sumienia z powodu tego, że przed kilkoma dniami spoliczkował córkę. Teraz, gdy już wiedział, że przyszłość jest zapewniona, będzie dla niej lepszy. Prędzej czy później. Melliandra pogodzi się z losem. Kupi jej jakiś prezent. Tak jest. Piękny i bardzo drogi prezent. Słyszał ostatnio o rzadko spotykanym, wspaniałym klejnocie, który pochodził z Suchych Krain. Jak on się nazywał? Isslt. Podobno jarzył się wewnętrznym blaskiem. Maybor słyszał, że ma on barwę głębokiego

morskiego błękitu, taką jak oczy Melliandry. A nawet piękniejszą. Nie będzie żałował pieniędzy. Podaruje córce największy klejnot, jaki zdoła odnaleźć, wielki jak pięść. Postara się kupić go już dzisiaj.

Gdy podziwiał w zwierciadle swą tęgą postać, ktoś zastukał do drzwi.

– Proszę.

Ze zdziwieniem ujrzał, że do komnaty weszła garderobiana jego córki. Lynni. Nagle nastrój mu się poprawił. Może dzierlatka miała ochotę się zabawić.

– O co chodzi, ślicznotko? – Dziewczyna wyglądała na wystraszoną. – No, gadaj, nie ma czego się wstydzić. Wiele kobiet pociągają starsi mężczyźni.

Lynni zrobiła się czerwona jak szata Maybora.

– Nie o to chodzi, panie. – Zawahała się, mrużąc oczy. – Chociaż przyznaję, że jesteś wyjątkowo przystojny.

– Tak, zwierciadło mówi mi to każdego dnia. No szybciej, dziewczyno. Wyduś z siebie, co masz do powiedzenia, a potem możemy się chwilkę zabawić, jeśli masz ochotę.

– Bardzo chętnie, panie, ale boję się, że moje wieści pozbawią cię mocy.

– Co się stało? Czy lady Melliandra nie ma czystej sukni? Maybor uśmiechnął się pobłaźliwie. Takie to

były problemy kobiet: zgubiony grzebień, zepsuty medalionik, za ciasny bucik uciskający stopkę.

Dziewczyna wbiła wzrok w podłogę.

– Lady Melliandra zniknęła. Maybora przeszył zimny dreszcz.

– Co to znaczy zniknęła? Dokąd poszła?

Służąca bała się spojrzeć mu w oczy. Przebierała nerwowo palcami.

– Panie, weszłam rano do jej komnaty, jak co dzień, ale jej tam nie było.

– Może poszła na spacer albo spotkać się z przyjaciółką?

– Powiedziałyby mi o tym, panie.

Ogarnął go nagły atak gniewu. Złapał dziewczynę za chude ramiona i potrząsnął nią.

– Czy ma kochanka? – zapytał.

– Nie, panie.

Głos służącej drżał ze strachu.

– Jeśli kłamiesz, każę ci wyrwać język.

– Jestem pewna, że jest dziewicą, panie. Maybor skierował swe dociekania na inne tory.

– Czy spała w swym łóżu?

– Pościel była trochę zmierzwiona, panie, ale wydaje mi się, że nikt w niej nie spał.

– Chodź ze mną.

Złapał Lynni za rękę i pociągnął ją za sobą do sypialni Melli. Baralis! Jeśli ten demon miał z tym coś wspólnego, nie dożyje wieczoru.

Gdy dotarli do komnaty jego córki, Maybora ogarnął już szal. Nigdzie nie było śladu Melliandry. Jego wzrok padł na szkatułkę z kości słoniowej, w której pozwalał jej trzymać mniej cenną biżuterię. Puzderko było puste!

– Sprawdź, czy brakuje jakichś strojów... szybko! – zagrział, gdy dziewczyna się zawahała. Maybor czekał z delikatną szkatułką w dłoniach, potrząsając głową.

Po chwili Lynni wypadła z garderoby.

– Nie ma jednej z wełnianych sukien i grubego płaszcza do konnej jazdy.

Maybor dostał białej gorączki. Co się z nią stało? Za zamkowymi murami na młodą dziewczynę czyhało tysiąc niebezpieczeństw. Melliandra nie miała zielonego pojęcia, jak wygląda prawdziwy świat. Była jagniątkiem idącym na rzeź.

– Do licha. – Cisnął puzderkiem na drugą stronę komnaty. Roztrzaskało się o ścianę. – To jeszcze dziecko!

Gdy spojrział na to, co zrobił, opuścił go szal.

Kawałki kości słoniowej rozsypały się po podłodze.

– Trzeba ją sprowadzić z powrotem – powiedział cicho, bardziej do siebie niż do dziewczyny. – Nie mogła odjechać daleko. Lepiej się módl, żebyśmy ją znaleźli – dodał, zwracając się w stronę Lynni. – W przeciwnym razie ciebie obciążę odpowiedzialnością. Miałaś ją mieć na oku. – Lynni dygotała od stóp do głów. – Wiesz dokąd mogła się udać? Zastanów się dobrze, dziewczyno.

– Nie mam pojęcia, panie.

Maybor przyjrzał się uważnie służącej. Była za głupia, żeby coś przed nim ukrywać.

– Przyjdź w nocy do mojej komnaty – dorzucił po chwili namysłu, po czym wypadł na zewnątrz, nie czekając, aż służąca się zgodzi.

Jego córka uciekła! Samowolna, uparta dziewczyna, podobniejsza do niego niż synowie, jego najcenniejsza własność i najsilniejsza karta, uciekła z zamku. Będzie musiał wysłać za nią ludzi. Wezwie synów, by kierowali poszukiwaniami. Ostatecznie jej odnalezienie leży w ich interesie, pomyślał. Zatrzymał się nagle. Królowa! Nie może dopuścić, żeby się dowiedziała o ucieczce jego córki. Ta dumna kobieta z pewnością odwołałaby małżeństwo, gdyby uznała, że Melliandra jest mu niechętna. Będzie musiał zachować

wielką ostrożność. Nie wezwie strażników. Użyje do poszukiwań wyłącznie własnych ludzi.

Gnając w dół po schodach, zauważył głupiego służącego Baralisa, Croke'a. Pokłonił mu się z udawaną uprzejmością.

– Nie zapomnij przekazać pozdrowień swemu panu. Znajdował pewną pociechę w myśli, że nie tylko jego plany spaliły dziś na panewce.

## 4

– Proszę, wypij trochę holku z korzeniami. Poczujesz się od niego lepiej.

Megan wręczyła Tawlowi puchar wonnego, dymiącego płynu. Pijąc go, najwyraźniej przypomniał sobie, że kiedyś dano mu już napój, od którego miał się poczuć lepiej. Starał się przypomnieć sobie jego nazwę. Miał ją na koniuszku języka.

– Lakus – powiedział na głos.

Megan obrzuciła go pytającym spojrzeniem.

– Czy to miejsce, z którego pochodzisz? – zapytała. Tawl zdobył się na słaby uśmiech.

– Nie. lakus to napój, który przed laty dał mi mądry starzec, twierdzący, że to lekarstwo na większość chorób.

– Szkoda, że nie masz już tego napoju.

Uśmiechnęła się promiennie z błyskiem w zielonych oczach. Tawl po raz pierwszy zauważył, że jest bardzo ładna.

– Dlaczego mi wczoraj pomogłaś? Łatwiej byłoby



mnie zostawić, żebym zdechł.

Wzruszyła ramionami.

– Kto to wie? Sama nie jestem pewna. Może to przez twoje złote włosy? W tych okolicach rzadko się widzi podobne.

Dziewczyna wyglądała na nieco zawstydzoną. Tawl porzucił więc ten temat.

Holk złagodził nieco ból w jego ramionach, dzięki czemu Tawl mógł podjąć próbę przypomnienia sobie, co go spotkało.

– Co to za miasto?

– Rorn, oczywiście. Największe miasto na wschodzie. Uśmiechnął się pobłaźliwie, słysząc dumę w jej głosie. Rorn, pomyślał. Skąd, u licha, wziąłem się w Rornie?

Gdy Megan przyprowadziła go wczoraj do swej skromnej izby, wykapała go i nakarmiła łyżką jak potrafiła najdelikatniej. Wtarła w jego obolałe ciało lecznicze olejki i otuliła go ciepłymi kocami.

Tawl pomacał nagą skórę pod nimi i przekonał się, że nie ma ubrania. Megan zauważyła jego ruch. Uśmiechnęła się zuchwale.

– Daj spokój, chyba nie jesteś wstydlivy. – Był nawet bardzo wstydlivy. Miał właśnie zamiar to wyznać, ale Megan nie dała mu dojść do słowa. – Poza

tym, w mojej pracy ciągle ogląda się te rzeczy. – Spojrzała prosto na niego, chcąc go sprowokować do jakiejś reakcji. – Widzę, że jesteś zgorzony – rzuciła po chwili.

Tawl potrząsnął głową.

– Raczej zatroskany o ciebie.

– Dziękuję bardzo! Niepotrzebna mi twoja troska. – Megan zacisnęła ładne usta. Mówiła teraz z nutą ironii. – Bardziej bym się troskała, gdyby mnie porzucono półżywą w ciemnym zaułku. – Jej twarz złagodniała w wyrazie skruchy. – Przepraszam. Tawl. Wiem, że nie chciałeś mnie obrazić. – Powiedziawszy to, narzuciła płaszcz. – Muszę na chwilę wyjść. Przyniosę coś do jedzenia. Potrzebne ci też nowe ubranie. Twoje stare wyrzuciłam na ulicę. Niedługo wrócę. Dobrego dnia.

Zniknęła z błyskiem kasztanowatych loków.

Tawl popijał powoli płyn. Holk łagodził ból ciała i pomagał rozjaśnić myśli. Zaczynał sobie przypominać, jak się tu znalazł. Był rycerzem z Valdis i wysłano go do mędrca Bevlina, który z kolei polecił mu szukać chłopca. Zalał go potok wspomnień. Pięć lat spędzonych na poszukiwaniach kogoś, kto nie miał imienia ani twarzy. Odwiedził mnóstwo miast, rozmawiał z niezliczonymi ludźmi, poświęcił kawał życia na pogoń za snem starca mieszkającego w małej

chatynce.

Przypomni ł sobie noc, kt rej go pojmano. Pi  wtedy w mrocznej gospodzie. Zaatakowa o go czterech ludzi. Wywlekli go na zewn trz i pobili, a potem, nim jego krew zd ży a zaschn c, zakuli w  ańcuchy. Z pocz tku nie m g  ich znie c, lecz gdy tylko przyst powali do tortur, zaczyna  t skni c za okowami. Zadr  . Wola  o tym nie pami ta c. Przez, ca y czas zadawali mu tylko jedno pytanie, na kt re nie by  w stanie odpowiedzie c:

– Kim jest ten ch łpiec, kt rego szukasz?

Pytali go o to niezliczon  ilo c  razy i niezliczon  ilo c  razy nie potrafi  udzieli  odpowiedzi.

Zastanawia  si , ile czasu sp dzi  w  ańcuchach. Nie zachowa   adnych wspomnie  z okresu poprzedzaj cego zwolnienie. Dlaczego go wypu cili? Nie powiedzia  im tego, czego chcieli si  dowiedzie c. Sam tego nie wiedzia . Dlaczego wi c zwr cili mu wolno c ?

Przypomina  sobie  ust , masywn  postac , m czyzn , kt ry cz sto majaczy  w mroku, gdy go torturowano. Grubas pachnia  egzotycznymi wonno ciami, a ton jego g osu  wiadczy  o uprzywilejowanej pozycji. To on sprawowa  tam w adz . On zadecydowa  o zwolnieniu Tawla. Jak

długo trzymano go w lochu? Ile czasu stracił?

Musiał przypomnieć sobie coś jeszcze, coś ukrytego głębiej. Wyteżył pamięć. Wspomnienie powróciło z przyprawiającą o mdłości jasnością. Za nim nadeszła znajoma fala rozpaczy. Tawł znów poczuł się cały. To było jego brzemię i tak już przywykł do jego ciężaru, że bez niego czuł się nieważki. To ono mówiło mu, kim jest i kim musi się stać.

Lato trzynastego roku jego życia było upalne. Chmury komarów wznosiły się z mokradeł niczym dym z ogniska. Świat wypełniała melodia ich brzęczenia. Cień warto było opuszczać jedynie wczesnym rankiem. Tawł wędrował bagiennymi ścieżkami do kurczącej się z dnia na dzień sadzawki, w której zwykł łowić ryby. Wbijał wędzisko między dwa kamienie, by je unieruchomić, po czym zasiadał spokojnie na parę godzin, żeby dać rybom czas na złapanie przynęty. Dzisiaj jednak nie mógł usiedzieć w miejscu. Jego myśli, zwykle wypełnione marzeniami o walce i chwale, wciąż powracały do izby, w której leżała matka.

Poród nie przebiegał dobrze. Położna przekroiła świece na pół przed ich zapaleniem. Jak wszyscy, którzy pochodzili z Wielkich Bagienn, Tawł wiedział,

co to oznacza. Co prawda, nie potrzebował rytuałów, by domyślić się tego, co widział na własne oczy. Matka umierała. Poród ciągnął się za długo. W izbie było zbyt gorąco. Nie spał przez pół nocy, rzucając się w pościeli wilgotnej od potu. Oddech matki przyciągał komary. Odór moczu przywabiał muchy.

Gdy wreszcie nadszedł ranek, ze wstydem poczuł ulgę. Miał pretekst, by wymknąć się z domu. Położnej trzeba było zapłacić bez względu na wynik porodu, a ryby były jedyną walutą, jaką mieli do zaoferowania. Tawł zostawił siostry za sobą. Były za małe, by dotrzymać mu kroku, a on chciał być sam. Ryby nie śpieszyły się z braniem. Dawno już minęło południe, nim nałapał tyle, ile potrzebował: trzy dla położnej, dwie dla matki, po jednej dla sióstr i dla siebie i jeszcze jedną na wypadek, gdyby dziecko jednak się urodziło. Ojciec sam mógł o siebie zadbać.

Położna zatrzymała go w drzwiach.

– Jest za słaba, żeby urodzić. Czy mam ją rozciąć, by uratować przynajmniej dziecko?

Walnął pięścią w ścianę. Ból pozwolił mu wrócić do rzeczywistości. Jak mogła to zrobić! Jak mogła złożyć w jego ręce ciężar decyzji o zakończeniu życia matki? Miał dopiero dwanaście lat. Nikogo, bez względu na wiek, nie powinno się obarczać taką

odpowiedzialnością. Ból skryztałizował się, przechodząc w gniew. Gdzie był jego ojciec? Jego bezużyteczny, zapijaczony ojciec. Gniew przyniósł ze sobą ulgę. Dzięki niemu mógł znieść wszystko. Tak właśnie sobie radził. I dopóki nie myślał o tym, co wydarzyło się później – dużo później – to wystarczało.

Megan wpadła do izby. Jej radosny nastrój odwrócił jego uwagę od wspomnień.

– No i jestem. Nie trwało to długo, prawda? Przyniosłam różne różności. – Ręce miała pełne paczek. – Popatrz. Mam trochę gorącego pasztetu z węgorka, gęsie wątróbki w galarecie, a nawet świeże figi!

Rozpakowała wszystkie produkty i zaprezentowała je z dumą Tawlowi. Rycerz uśmiechnął się z aprobatą. Cieszył się z jej obecności. Pomagała powstrzymać jego demony.

– Chyba zjem parę fig. Nie *mam* odwagi jeść węgorka. – Natychmiast pożałował swych słów, gdyż radość na twarzy Megan ustąpiła miejsca rozczarowaniu. Szybko naprawił swój błąd. – Ale może uda mi się przełknąć trochę wątróbek w galarecie.

Uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

– Och, bardzo się cieszę, Tawl. Wybrałam je

specjalnie dla ciebie. Sama zjem pasztet z węgorza. Oj, prawie bym zapomniała! Kupiłam ci też trochę ubrań. – Otworzyła największą z paczek. – Przykro mi, że nie mam nowych, ale nie są takie złe. Popatrz. – Wyciągnęła kanarkowożółtą bluzę i parę spodni w paski. – Aha, i jest jeszcze płaszcz. Z prawdziwej koziej wełny. Proszę, dotknij.

Podawała mu zakupiony ubiór. By sprawić jej przyjemność, Tawl wyraził podziw dla jego jakości. Błysk w jej zielonych oczach był dla niego wystarczającą nagrodą za kłamstwo, którego się dopuścił.

Gdy już zjedli posiłek, Megan napełniła kielichy jabłecznikiem o barwie miodu.

– Odkąd na północnym zachodzie wybuchła wojna, okropnie trudno jest dostać nestorski jabłecznik. W ciągu kilku lat jego cena wzrosła trzykrotnie.

Tawl wypił łyk złocistego płynu, napawając się jego subtelnym, owocowym smakiem. Zaczęło mu się lekko kręcić w głowie.

– Chyba powinieneś jutro wyjść, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. – Megan uśmiechnęła się ładnie. – Poza tym, jutro mamy tu paradę. Będzie na co popatrzeć. Będą śpiewy, tańce i żonglerzy z Isro.

Tawl skinął głową, choć nie był pewien, czy będzie

się czuł na siłach.

Megan popatrzyła na niego w zamyśleniu, po czym przeszła na drugą stronę izby. mrucząc, że musi się przebrać. Zdjęła ubranie w mrocznym kącie. Tawl spróbował zrobić to, czego wymagano od rycerzy: odwrócić wzrok. Skóra Megan lśniła jednak jak letnie brzoskwinie i nie był w stanie oderwać od niej spojrzenia.

– Nie mam zupełnie nic przeciwko temu, żebyś sobie popatrzył. Tawl zaczerwienił się mocno.

– Przepraszam cię, pani.

Twarz Megan przybrała poważny wyraz. Dziewczyna podeszła do niego. Była naga. Jej ciało wyglądało pięknie w łagodnym świetle.

– Nie jestem damą i nie mówi się do mnie “pani”, Tawl, ale dziękuję ci za uprzejmość.

Uklękła i pocałowała go w usta.

– Nie sędzę, bym był dziś w stanie zadowolić damę.

– Ale dama może zadowolić ciebie.

Uśmiechnęła się słodko, ściągnęła z niego koc i przesunęła głowę niżej. Pożądanie, o którym dawno zapomniał, wróciło do niego, przynosząc ze sobą słodkie zobojętnienie. Kochać znaczyło zapomnieć, a zbliżenie z nieznaną w blasku dogasającego ognia



wystarczyło, by złagodzić na chwilę ból.

Melli zaczynała żałować, że opuściła zamek. Przez kilka pierwszych godzin wydawało się jej to ekscytującą przygodą. Wykradła się przez bramę po ciemku, z twarzą osłoniętą kapturem, wymykając się strażnikom. Na zewnątrz było jednak zimno i dziewczyna zaczęła podejrzewać, że jest rozpaczliwie nieprzygotowana do ucieczki. Przespała noc pod zewnętrznym murem. Postanowiła, że nie wynajmie pokoju w gospodzie. Nie mogła ryzykować, że ją rozpoznają, a poza tym nie miała pieniędzy.

Czuła się okropnie nieszczęśliwa. Była głodna i przemarznięta. a choć nie padał deszcz, zdołała w jakiś sposób się przemoczyć. Niczego nie pragnęła bardziej niż gorącego posiłku i odrobiny holku z korzeniami, żeby złagodzić bóle w kościach. Przekonała się, że spanie na dworze, na twardej ziemi, jest nadzwyczaj nieprzyjemnym doświadczeniem. Głód zwyciężył ostrożność i dziewczyna naszyła w stronę Harvellu.

Nie był on zbyt wielkim miastem. Większość mieszkańców utrzymywała się z zaspokajania potrzeb setek dworzan oraz tysięcy sług i żołnierzy, którzy mieszkali w zamku albo na jego terenach. Ładne miasteczko złożone z porządnie zbudowanych, drewnianych domów, leżało w odległości półtorej mili

na zachód od królewskiej siedziby.

Melli bywała tam wielokrotnie, aby kupić wstążki albo bukiety kwiatów.

Kupić! – pomyślała ze wzgardą. Nigdy nie pozwalano jej nic kupować. Mówiła tylko sprzedawcom: “Rachunek pokryje lord Maybor” – i pozwalali jej wziąć, wszystko czego tylko zapragnęła. Uniosła nagle dłoń do twarzy, tak jest! Oczywiście. Dlaczego nie pomyślała o tym przedtem! Mogła pójść na rynek, nabyć wszystko, czego potrzebowała, a kosztami obciążyć ojca! To byt znakomity pomysł. Maybor będzie finansował jej ucieczkę. Nie mogła się nie uśmiechnąć. Wścieknie się, kiedy zaczną napływać rachunki.

Jej krok stał się lżejszy, gdy sporządzała w myślach listę rzeczy, które kupi. Potrzebowała żywności. Była tam mała piekarenka, w której sprzedawano gorące ciasta i bułki. Mogła też zafundować sobie kufel jabłecznika albo nawet ciastko z kremem.

Zwolniła kroku. Nie wybierała się na wycieczkę. To nie był wypad na zakupy. Uciekała od wszystkiego, co знаła w życiu, zmierzając do miasta położonego daleko za polami bitew w Halcusie.

Wciągnęła w płuca zimne powietrze wczesnego poranka. Gnębiły ją samotność i strach. Jej drogę

przeciął jakiś cień. Podniosła wzrok i ujrzała na niebie szarego łabędzia. Szlachetny ptak odlatywał na południe, uciekając przed zimą. To był znak. Szary łabędź wchodził w skład herbu jej rodziny. Na gładkim czole Melli pojawił się wyraz determinacji. Czyż nie była córką lorda Maybora? Dewiza jej rodu brzmiała: “Odwaga i stanowczość”. Będzie pierwszą kobietą, która dowiedzie prawdziwości owej maksymy. Gdy dotarła do osady, postanowiła, że jednak zje ciastko z kremem.

Po godzinie była już najedzona i kupowała zapasy na podróż, poddając towary uważnym oględzinom.

– Mój brat. Kedrac, zapewnił mnie, że będę tu mogła nabyć wszystko, czego potrzebuje na wyprawę myśliwską. Powiedział mi, żebym zapytała o...

Nie mogła sobie przypomnieć imienia na szyldzie.

– O pana Trouta, pani.

– A tak, pana Trouta. Czego będzie potrzebował mój brat?

– To zależy, gdzie się wybiera i na jak długo. Melli podjęła próbę wiarygodnego kłamstwa.

– Na zachód.

– Na zachód, pani? Na zachodzie nie ma o tej porze na co polować.

Postanowiła zmienić taktykę.

– Posłuchaj mnie, panie Troucie. Nic mnie nie obchodzi, czy jest tam na co polować. Przyszłam tu tylko na prośbę brata. Jeśli nie potrafisz zaopatrzyć mnie w to, czego mu potrzeba, udam się gdzie indziej.

Odwróciła się w stronę wyjścia.

– Nie śpiesz się, pani. Znajdę wszystko, czego ci trzeba. Na pewno wybiera się na ryby. Czy ma dobre wędzisko?

– Ma, panie Troucie. Proszę się pośpieszyć!

Patrzyła, jak kupiec wypełnia worek suszoną żywnością o dziwnym wyglądzie. Następnie udał się na zaplecze i przyniósł stamtąd pustą manierkę oraz kilka garnków.

– Koce też?

– Tak. I dobry, ciepły płaszcz.

Melli przekonała się, że ten, który ma na sobie, jest zupełnie niewystarczający.

– O ile znam lorda Kedraca, na pewno zechce używać żujki. Czy mam dorzucić puszczykę?

– Proszę bardzo.

Melli była już okropnie zniecierpliwiona. Cała ta operacja trwała dłużej, niż się spodziewała. Wreszcie sprzedawca wręczył jej worek.

– Jest trochę dla ciebie za ciężki, panienko. Czy

mam kazać mojemu chłopcu zanieść go do zamku?

– To nie będzie konieczne, panie Troucie. Mój chłopiec czeka pod sklepem. Rachunek ureguluje lord Maybor.

– Oczywiście, pani. Życzę przyjemnego dnia. Melliandra wyniosła ciężki worek ze sklepu i szybko wdziała gruby płaszcz. Pod wpływem impulsu postanowiła nie wyrzucać starego. Nie waży! zbyt wiele, a noce będą zimne. Ruszyła w stronę gospody. Brakowało jej odwagi, by obciążyć kredyt ojca ceną konia, postanowiła więc, że zapłaci za niego biżuterią.

Czekała pod gospodą kilka minut, aż wreszcie zjawił się wyrostek prowadzący starą, zmęczoną szkapę. Była przyzwyczajona do czegoś lepszego, nie miała jednak czasu.

– Chłopcze! Ile za tego konia? Obrzucił ją zachłannym spojrzeniem.

– Jest okrutnie szybki i silny, panienko.

– Nie pytałam cię o to, chłopcze. Pytałam, ile za niego chcesz. Rozejrzała się wokół nerwowo. Słońce stało coraz wyżej. Poranek ulatniał się przed nadchodzącym dniem.

– Nie mógłbym wziąć za niego mniej niż dwie sztuki złota. Dziewczyna wiedziała, że jest to skandalicznie wysoka cena za tak starą chabetę.

Odwróciła się od wyrostka, wsadziła rękę do sakiewki i wydobyła złotą bransoletkę.

– Proszę, weź to.

Jego twarz stała się brzydka z chciwości.

– To będzie w sam raz. Bardzo odpowiednia zapłata. Wręczył jej wodze. Gdy oddalała się z koniem, spoglądał na nią chytrze.

Melliandra pogłaskała zwierzę po pysku.

– Nie zapytałam o twoje imię, prawda, koniku? – odezwała się. – Muszę też kupić dla ciebie siodło. – Uściskała szkapę. Objęła na chwilę rękami jej grzbiet i brzuch, przytulając głowę do boku. – Co się z nami stanie? – wyszeptała cicho.

Baralis zignorował Croke'a, gdy ten wszedł do jego komnat, musiał jednak się odwrócić, kiedy jego sługa odchrząknął głośno.

– Co znowu, ty przerośnięty głąbie? Czy znaleziono chłopca?

– Nie, panie, ale z pewnością nie ma go w zamku.

– Skąd wiesz? – zapytał Baralis.

– Jeden ze strażników widział wczesnym rankiem, jak wychodził. Mówił, że ruszył w stronę lasu.

– Ach. lasu. – Baralis zastanawiał się nad tym faktem przez kilka minut. – Idź już. Croke. Powiedz

strażnikom, żeby przeszukali las. Potrzebna mi chwila na zastanowienie.

Crope kołysał się niepewnie na nogach, nie zwracając się w stronę wyjścia.

– Jest coś jeszcze, panie – powiedział zażenowany. Poirytowany Baralis uniósł wzrok.

– Zjeżdżaj już, ty imbecyłu.

– Już się robi, ale myślałem, że zechcesz się dowiedzieć, iż lord Maybor przesyła ci pozdrowienia.

Baralis zerwał się z miejsca.

– Co takiego!

– Przesyła pozdrowienia. Pewnie jest wdzięczny za to wino, które mu wczoraj podarowałeś.

– Chcesz powiedzieć, że widziałeś dziś w zamku lorda Maybora?

– Tak. panie, kilka godzin temu. Uśmiechał się bardzo miło.

– Zostaw mnie samego.

W głosie Baralisa brzmiała zimna groźba. Sługa, nie tracąc czasu, wykonał jego rozkaz.

Kanclerz wpadł w szal. Chodził w kółko po komnacie, pocierając roztargnionym ruchem obolałe dłonie. Jak to się mogło zdarzyć? Jak Maybor zdołał uchronić się przed trucizną? Baralis wiedział z całą pewnością, że zapijaczony magnat zawsze wychyla na

noc kielich wina, żeby lepiej spać. Na pewno odkrył truciznę. A przecież była pozbawiona smaku i zapachu. Miał szczęście jak sam diabeł!

Kanclerz zapanował nad sobą. Musiał myśleć jasno. Miał teraz do rozwiązania kilka problemów. Nie mógł pozwolić, by zaręczyny doszły do skutku. Jeśli nie zdoła im zapobiec, mordując Maybora, będzie musiał skierować swą uwagę na jego córkę – słodką i piękną Melliandrę. Pozbędzie się dziewczyny. Być może zrobi to własnoręcznie. Zadrżał z podniecenia. Pozbawić życia taką ślicznotkę byłoby wielką przyjemnością. Mógłby nawet najpierw trochę się z nią zabawić. Nieraz już się przekonał, że przerażenie w oczach dodaje kobietom atrakcyjności.

Istniała też kwestia piekarczyka. A więc Jack uciekł do lasu. Z pewnością chciał się ukryć wśród gęstych drzew. Był głupi, jeśli sądził, że to mu w czymś pomoże. Istniały metody pozwalające zajrzeć w najgłębsze ostępy. Baralis uniósł gobelin i wszedł do gabinetu.

Dotykał ptaka delikatnie, starając się nie uszkodzić piór. Uspokoił go i choć stworzenie wierciło się w jego dłoniach, nie próbowało ucieczki. Gdy kanclerz pogłaskał je po małej główce, zagruchało cicho. Baralis zamierzał zmienić jego naturę.



Był zdecydowany odnaleźć Jacka. Pościg zapewne tego dokona, ale nigdy nie szkodzi się zabezpieczyć. Nie pokładał zbyt wielkiego zaufania w zamkowych strażnikach. Upłynie wiele dni, nim przeczesa gęsty bór otaczający większą część zamku, a nawet wtedy tym nieudolnym durniom może się nie udać odszukać chłopaka. Sam miał na głowie inne sprawy, musiał więc wykorzystać coś, co zrobi to za niego.

Gołębia. Cóż lepiej niż ptak nadawało się do wytropienia człowieka w głębi lasu?

W tym celu zmieni jego naturę, nałoży na naturalne skłonności stworzenia własne życzenia. Wielokrotnie już czerpał w ten sposób moc, działając na ptaki, koty i myszy. Była to delikatna operacja wymagająca bliźniaczych zwierząt, zrodzonych z tego samego jaja. Tak jak inni mistrzowie, Baralis potrafił hodować podobne stworzenia i z reguły miał pod ręką cały zestaw absolutnie identycznych par.

Uspokoił pierwszego ptaka, który zapadł w nerwowy sen. Następnie nalał do miski świeżej wody, po czym rozciął ostrożnie pierś drugiego gołębia na samym środku. Krew spłynęła do naczynia. Baralis ujął między palce bijące jeszcze serce i w chwili, gdy ze stworzenia uciekało życie, wypowiedział zaklęcie. Uniósł serce do ust i połknął serce. Więź. Następnie

wziął w rękę pierwszego gołębia i zanurzył go w krwawej wodzie. Szarobiałe pióra przybrały różową barwę. Kanclerz wytarł ptaka miękką szmatką i rozkazał mu się obudzić. Stworzenie otworzyło oczy i było gotowe odlecieć.

Wyniósł je z gabinetu i wypuścił przez okno. Odfrunęło szybko. Nie miało już własnej woli. Należało do Baralisa.

Cieszył się, że ma już za sobą tę paskudną robotę. Nie przepadał za ciepłymi gołębimi sercami, pocieszał się jednak myślą, że przynajmniej są małe.

Nadszedł czas, by sprawdzić, co knuje Maybor. Z pewnością wykombinuje jakąś nieprzyjemną zemstę za zamach na swe życie.

Niech sobie próbuje, pomyślał Baralis, schodząc do niżej położonej piwnicy. Nie uda mu się mnie zaskoczyć.

Po krótkiej chwili znalazł się pod komnatami swego wroga, gdzie z wielkim zainteresowaniem wysłuchał rozmowy między ojcem a synem.

– Była dziś rano w osadzie, ojczu.

– Kto ją widział?

Głos Maybora był cichy i pełen napięcia.

– Sporo ludzi, ojczu. Kupiła nawet trochę zapasów.

– Jakich zapasów? Nie miała czym za nie zapłacić.

– Nie musiała nic płacić. Kupiec przedstawił mi rachunek. Powiedziała, że go pokryjesz.

– Ale z niej spryciara. I co kupiła?

– Najwyraźniej zapasy na wyprawę wędkarską.

– Wędkarską!

Baralis usłyszał zdumienie w głosie Maybora.

– Tak. Widziano, jak szła na wschód, prowadząc konia.

– Niech to licho! Trzeba ją znaleźć, Kedracu. Wyślij naszych najlepszych ludzi. Każ im przysiąc, że dochowają tajemnicy. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Zwłaszcza królowa. Jeśli ktoś będzie pytał o Melliandrę, powiedz, że leży w łożu, dręczona gorączką.

Baralis wykrzywił usta w pełnym zachwyty uśmiechu. Jego gołąb nie był jedynym ptaszkiem, który wyfrunął z gniazdka. Melliandra załatwiła problem za niego. Jeśli jej nie odnajdą, zaręczyny nie będą mogły się odbyć. Ponadto, pomyślał z radością, jeśli królowa dowie się o haniebnym zachowaniu córki Maybora, może je odwołać na dobre. Czuł się niemal zadowolony, że grubas jeszcze żyje. Z radością będzie obserwował, jak plany potężnego wielmoży obracają się wniwecz.

Jack szybko stracił wiarę we własne siły. Był

przemarznięty, przemoczony i zgubił drogę. W końcu był tylko zwykłym piekarczykiem. Przygody nie były dla niego. Bohaterowie nigdy nie zapominali zabrać ciepłego ubrania, a nawet jeśli im się to przytrafiło, zabijali jakąś dziką bestię i obdzierali ją ze skóry, by zrobić sobie płaszcz. On nie wziął nawet noża.

Sądząc po szarej barwie nieba, było późne popołudnie. Z reguły o tej porze mieszał ciasto na galanterię. Były to ciastka, które razem z Frallitem przygotowywali dla szlachetnie urodzonych kobiet z zamku, ciężkie od miodu i syropu, nasyczone masłem i alkoholem albo aromatyzowane owocami i korzeniami. Ich skład zależał od dwóch czynników: od tego jakie składniki były akurat dostępne, z uwagi na sezon bądź liczne zapasy, oraz od panującej aktualnie na południu mody. Co Roni robił dziś. królestwa powtarzały jutro.

Jack lubił przyrządzać galanterię. W przeciwieństwie do zwykłego chleba, nie było pośpiechu z ładowaniem jej do pieca, mógł więc spędzić trochę czasu na wyrabianiu ciasta, pogrążony w marzeniach. A jeśli składniki były niestarannie dobrane i słodczyce nie piekły się zgodnie z planem, zawsze mógł wykręcić się od bicia, mówiąc Frallitowi, że chciał wypróbować nowy przepis. Mistrz piekarski zdobył wiele uznania, przywłaszczając sobie pomysły

Jacka.

O tej porze, dwie godziny przed zmierzchem, kuchnie były ciepłe i pełne ruchu, ale gdzieś rozpierzchał się piwniczny chłód, a na piecu grzał się rosół. Musiał jeszcze tylko wypłukać i rozsmarować drożdże i mógł zakończyć pracę. Jeśli miał szczęście. Findra. podkuchenna, mogła uśmiechnąć się do niego i poprosić, by usiadł przy niej podczas kolacji.

Utracił to. Wszystko, co miał. i wszystkich, których znał. I przez co? Jedną chwilę szaleństwa i sto sześćdziesiąt bochnów chleba.

Po raz pierwszy w życiu był zupełnie sam. To, co wydarzyło się dziś rano, oddzieliło go od pozostałych. Gdyby przeniósł się do innego miasta i został tam piekarzem, mogłoby się to powtórzyć, tyle, że na oczach świadków, co zakończyłoby się jego całkowitym potępieniem. Jaki jednak miał wybór. Był piekarzem i znał piekarskie rzemiosło. Będzie podróżował przez pewien czas, nim znajdzie jakieś miejsce, w którym mógłby się osiedlić. Przyśpieszył kroku, by znaleźć drogę wyjścia z lasu.

Puszcza Harvelska zaczynała się jako skupisko z rzadka rozsianych krzaków i drzew, potrafiła jednak zaskoczyć wędrowca. Nim Jack zdążył się zorientować, znalazł się w jej sercu. Wszędzie było

gęsto od drzew i chaszczy, a choć zima przerzedziła już listowie, między gałęziami przebijało się bardzo niewiele światła. Miał wrażenie, że przy każdym kroku robi niepokojąco wiele hałasu. Gałązki i paprocie trzaskały ostro pod jego stopami, mącąc leśną ciszę.

Jego zmysły zaatakowały wonie wczesnej zimy: żyznej, lecz coraz chłodniejszej ziemi, butwiejących liści, wilgotnej kory i niosącego zapowiedź deszczu wiatru.

Jack poczuł lekką trwogę. Uderzające do głowy zapachy i gęsto rosnące drzewa zbijały go z tropu. Był pewien, że przeszedł najwyżej ze trzy mile. Nie pamiętał, by podczas zbierania jagód znalazł się kiedykolwiek w tak gęstej puszczy.

Skórzane sandały przemoczyła mu rosa. Marzył w zbyt lichym ubraniu. Bał się. Prześladowało go wspomnienie bochnów. Przypominał sobie mdłości i wrażenie, że czaszka z pewnością mu pęknie. To były czary, a każde dziecko wiedziało, że czary to zło i że używali ich dawni poganie. Nawet sam Borc je potępił. Jack westchnął głęboko. Nie chciał, by ukamienowano go jako heretyka albo uznano za wyrzutka.

Leśne powietrze wypełniało mu płuca, przenikając delikatnie do krwi. Uspokoił się i z tego spokoju zrodziło się postanowienie.

I tak już był wyrzutkiem. Wszyscy w zamku Harvell wiedzieli, że jego ojciec był nieznany, a matkę napiętnowano jako nierządnicę. Ludzie z reguły byli dla niego uprzejmi, ale gdy tylko się odwrócił albo gdy zrobił coś złego, szeptaki zaczynały się na nowo. Dopóki mieszkał w zamku, dopóty pozostawał tylko bękartem. Opuścić go oznaczało pozostawić za sobą swój wstyd. Istniała dla niego nadzieja. Mógł zostać piekarzem w innym mieście, gdzie nie musiałby przygryzać języka, czy powstrzymywać się przed zadaniem ciosu, słysząc ludzkie szeptaki. Zacznie nowe życie. Nikt się nie dowie, że nie ma rodziny ani historii. Myśl o odszukaniu miejsca narodzin matki była nierealnym marzeniem. Nie miał żadnych wskazówek. Lepiej będzie zacząć od nowa, wyrzec się dziecinnych fantazji.

Odzyskawszy optymizm, Jack ruszył dalej w las. Drzewa tworzyły coś w rodzaju ścieżki i nie miał nic przeciwko temu, by iść tam, dokąd go ona zaprowadzi.

Po chwili dobiegł go czyjś krzyk.

– Ratunku! Ratunku!

To był głos kobiety. Jack bez wahania pognał w tamtą stronę. Wypadł na drogę i zobaczył, że krzyczącą atakuje uzbrojony w nóż wyrostek. Bez zwłoki popędził jej na pomoc, napastnik był jednak szybki i umknął do lasu. Jack spróbował go ścigać,

lecz łotrzyk zniknął mu już z oczu. Zwrócił się w stronę napadniętej i zobaczył, że to młoda dziewczyna.

– Jesteś ranna, pani? – zapytał łagodnym tonem, podchodząc bliżej.

– Zostaw mnie proszę. To tylko draśnięcie. Zauważył, że mówi o szramie na nadgarstku.

– Proszę cię, pani. pozwól, bym ci pomógł. Dla mnie wygląda to na coś gorszego niż skaleczenie.

Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

– Nie nad raną boleję. Zrabował mi sakiewkę.

Jack rozpaczliwie próbował wymyślić jakąś inteligentną radę.

– Pani, powinnaś w rocie do miasta i poinformować o tym straż królewską. Złapią go.

Dziewczyna nie zwracała uwagi na jego słowa.

– Przynajmniej nie zabrał mi koma i mam jeszcze zapasy. Pociągnęła za wielki worek z tkaniny.

– Pani, powinnaś natychmiast wrócić do Harvellu. by opatrzone ci ranę.

Dziewczyna zastanawiała się chwilę nad jego słowami.

– Nigdy już nie wrócę do Harvellu – powiedziała wreszcie. W jej głosie brzmiała siła. Choć miała na sobie niewyszukany płaszcz. Jack domyślał się, że jest szlachetnie urodzona.



– Dokąd zmierzasz.

– Zadajesz zbyt wiele pytań. To nie twoja sprawa. Muszę już ruszać w drogę.

Zarzuciła worek na koński grzbiet i skierowała się na wschód. Jack nie miał ochoty się z nią rozstawać.

– Ja też wybieram się w tę stronę – oznajmił. Rozważył pośpiesznie tę sprawę i doszedł do wniosku, że faktycznie ruszy na wschód.

– Nic mnie to nie obchodzi. Pójdę sama.

Zmarszczył brwi. zmartwiony, słysząc jej zimny ton, nie pozwolił jednak zniechęcić się tak łatwo.

– Następnym razem mogą ci ukraść konia.

Dziewczyna zawahała się. Spojrzała na zwierzę i dźwigane przez nie brzemie z błyskiem w intensywnie niebieskich oczach.

– Proszę bardzo, możesz mi przez jakiś czas towarzyszyć, nim oddalimy się od miasta i zamku.

Szli przez chwilę w milczeniu. Dziewczyna ssła rękę, by powstrzymać krwawienie.

– Chyba lepiej będzie, jeśli zejdziemy z gościńca – odezwała się nagle, zaskakując Jacka. Właśnie przed chwilą pomyślał o tym samym. Zastanawiał się, z jakiego powodu to zasugerowała, lecz ton jej głosu nie zachęcał do stawiania pytań.

Powiódł ją w las. starając się posuwać równolegle

do traktu, lecz w pewnej odległości od niego. Stojące coraz niżej nad horyzontem słońce rozświetlało twarz dziewczyny. Jack nigdy dotąd nie widział tak nieskazitelnie młocnej skóry, czy wielkich, ciemnych oczu. Wizja Findry, podkuchennej, która od dawna była dla niego wcieleniem kobiecej urody, wydała mu się nagle mniej atrakcyjna. U jego boku szedł ktoś piękniejszy, bardziej królewski i w związku z tym bardziej nieosiągalny od wszystkich kobiet, jakie spotkał w życiu.

Zaczął cierpieć męki samokrytycyzmu. Nigdy dotąd własne nogi nie wydawały mu się równie długie i pozostające poza wszelką kontrolą. Każdy stawiany krok zdawał się grozić kompromitacją. Co będzie, jeśli potknie się o gałązkę? Albo stopa wpadnie mu do króliczej nory? Włosy ogarnął mu całkowity nieład. Opadały mu na oczy co czwarty krok... wiedział to, bo liczył. Na domiar złego odebrało mu umiejętność prowadzenia rozmowy. Nie tylko wargi nie chciały się poruszać, lecz umysł również odmówił współudziału w tym procesie i podsuwał mu wyłącznie nedorzeczne tematy. Ta dziewczyna o nieskazitelnym profilu i policzkach białych jak świeżo wyrobione ciasto z pewnością nie miałyby ochoty rozmawiać o podagrze pana Frallita!

Spojrzał na nią z ukosa. Coś w jej twarzy silnie na niego oddziaływało. Po chwili zaczął rozumieć, co tam widzi: lustrzane odbicie własnych uczuć. Bała się i próbowała to ukryć. Postanowił, że zaryzykuje i spróbuje się odezwać. Jeśli zrobi z siebie durnia, to trudno.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– A ty? – odcięła się błyskawicznie. Nie mógł się nie uśmiechnąć:

– Jack.

Dziewczyna najwyraźniej nie chciała zdradzić własnego imienia, zapytał więc, jak nazywa się jej koń.

– Nie ma imienia. A właściwie ma, ale ja go nie znam. Jackowi wydało się zabawne, że można nie znać imienia własnego konia. Roześmiał się. po raz pierwszy tego dnia. Zrobiło mu się od tego lżej na duchu.

– Kupiłam go dzisiaj – wyjaśniła dziewczyna. – Jeśli uważasz, że to takie śmieszne, to wymyśl dla niego jakieś imię.

Ucieszyło go, że go o to poprosiła. Zastanawiał się przez chwilę.

– Może Srebrzynek. tak jak kwiat. Przed chwilą go widziałem. Tym razem to dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

– Nie może nazywać się Srebrzynek. Jest brązowy.  
W jej głosie zabrzmiała nuta lekkiej drwiny. Jack poczuł się głupio.

Srebrzynek! Gdzie zgubi! rozum?

Przeszukał pośpiesznie pamięć w poszukiwaniu jakiejś inteligentnej odpowiedzi. Gdy nic nie przyszło mu do głowy, przybrał mądrą minę. by dodać powagi swemu milczeniu.

Szli jeszcze chwilę, nim dziewczyna odezwała się ponownie.

– Mam na imię Mciii. Mówię ci to. ale błagam, nie zadawaj mi już więcej pytań.

Skinął powoli głową. Wiedział, że jest damą i w związku z tym nie mogło to być jej prawdziwe imię. Damy nosiły długie i piękne imiona. Cieszył się, że zdradziła mu choć część swego. Radość wywołana faktem, że przedstawili się sobie, wystarczyła, by zapomniał na chwilę o tym, co wydarzyło się rano.

Słońce skryło się powoli za drzewami i niebo pociemniało. Na las, który poznał już nieruchomość zimy, opadła jeszcze głębsza cisza nocy. Jack i Melli zgodzili się, że są głodni. Dzień miał się ku końcowi, postanowili więc rozbić obóz na noc. Natknęli się na wydeptaną przez jelenie ścieżkę, która zmierzała na południowy wschód. Znajdowali się już w odległości

kilkunastu mil od wschodniego traktu harvelskiego.

Melli bezceremonialnie wysypała zawartość worka na ziemię. Było tam mnóstwo suszonego mięsa o bardzo nieapetycznym wyglądzie oraz kilka paczek sucharów, a także dwie puszki, z których jedną zapieczętowano szczelnie woskiem. Melli otworzyła je. W pierwszej była żujka, a w drugiej – ku jej przerażeniu – żywe czerwie.

– Brr!

Odrzuciła puszkę, co okazało się katastrofalnym posunięciem, jako że larwy wysypały się na ziemię i na cenne zapasy. Jack złapał szybko jedzenie, garnki oraz koce i wytrząsnął z nich niepożądanych intruzów. Następnie odsunął się o kilka jardów, oparł o drzewo i zaczął przeżuwać kawał wieprzowiny.

– Jak możesz jeść coś. na czym były robaki?

Melli skrzywiła twarz, pełna niesmaku z powodu takiej niewybredności.

– To proste. Nie mamy nic innego.

Ta odpowiedź nie spodobała się jej w najmniejszym stopniu. Melli była wściekła. Po co. u licha, pan Trout dał jej czerwie?

– Wybierałaś się na ryby? – zapytał Jack. – Nie wyglądasz mi na wędkarza.

– O czym, u licha gadasz?

– No przecież o przynęcie. Jeśli już o tym mowa, nie wyglądasz mi też na taką, która używałaby żujki.

Melli wiedziała, że Jack próbuje coś z niej wyciągnąć, nie miała jednak ochoty mu się zwierzać. Niemniej cieszyła się, że nie jest sama. Incydent z wyrostkiem bardzo ją przestraszył.

Po raz pierwszy przyjrzała się dokładniej swemu towarzyszowi. Był wysoki, choć odrobinę za chudy, a brązowe włosy ciągle opadały mu na twarz. Dłonie miał wielkie i pokryte stwardnieniami – potężne dłonie, przyzwyczajone do ciężkiej pracy. Tak jest, było w nim coś atrakcyjnego. Z pewnością był odważny. Przybiegł jej na pomoc, nie myśląc o grożącym mu niebezpieczeństwie. Wschodni gościniec słynął z band rabusiów, a ludzie, wietrząc jakieś kłopoty, w które mogliby się wplątać, zazwyczaj jak najszybciej się oddalali. Ten chłopak jednak tego nie zrobił, a nie wiedział przecież, czy w krzakach nie ukrywa się więcej napastników. To nie byłby pierwszy przypadek, gdy użyto dziecka jako przynęty.

Zauważyła, że jest ubrany zupełnie nieodpowiednio na zimową porę roku. Nie miał nawet płaszcza. Pod wpływem impulsu postanowiła dać mu swój płaszcz do konnej jazdy, utkany z owczej wełny. Zachowa ten, który miała na sobie, ponieważ był znacznie cieplejszy.

– Proszę, weź to.

Wręczyła mu szary strój. Przyjął go z wdzięcznością. Natychmiast poczuła lekkie wyrzuty sumienia, że zatrzymała cieplejsze okrycie.

Zmusiła się do przełknięcia odrobiny sucharów, co niestety wzmogło tylko jej pragnienie. Manierka była oczywiście pusta. Jack zaproponował, że pójdzie poszukać strumyka, ale nie podobała jej się myśl, że zostanie sama. Ruszyli więc na poszukiwanie wody razem. Melli prowadziła konia.

Gdy szli między drzewami, żadne z nich się nie odzywało. Dziewczyna cieszyła się z tej ciszy. Ojciec z pewnością wszczął już poszukiwania. Było jej go niemal żal. Będzie się wstydził przyznać przed królową, że jego córka uciekła. Kochała ojca. Pod jego zachłanną maską możnowładcy kryła się delikatność. Zawsze był dla niej wyrozumiały. Musiała jednak myśleć przede wszystkim o sobie. Nie, nie żałowała ucieczki. Mając u swego boku nowego sojusznika, przestała nawet się bać.

Dostrzegła spojrzenie Jacka, który uśmiechnął się łagodnie. W jego twarzy widać było siłę i dobroć. Musiała powstrzymać pokusę dotknięcia go. otarcia od niechcenia ręki o jego dłoń. Powiedziała sobie, że to szaleństwo, skutek pełnego napięcia dnia. Był tylko

prostym wyrobnikiem i do tego zarozumiałym. Podczas incydentu z czerwiami celowo się z niej naśmiewał. Oburzenie, połączone ze strachem, że naprawdę mogłaby go dotknąć, sprawiły, że Melli zostawiła go za sobą.

Wędrowała wśród drzew, ciesząc się piękną nocą. Powietrze było zimne. Wkrótce miał pojawić się szron. Z mroku wyłaniały się smukłe pnie drzew, których konary sięgały ku niebu w cierpliwym oczekiwaniu na wiosnę. Jej wzrok przyciągnął biały błysk. Wysoko na gałęzi przysiadł ptak. Melli stanęła jak wryta. Nagle zapragnęła, by Jack ją dogonił.

– Myślałam, że gołębie nie latają nocą – powiedziała, unosząc rękę, gdy znalazł się obok niej.

No, no, pomyślał Baralis. To interesujący obrót rzeczy. Mój sprytny gołąbek odnalazł nie jedną, lecz dwoje uciekinierów z zamku.

Patrzył oczyma ptaka, co było niepokojącą perspektywą. Obserwował, jak dwoje towarzyszy wędrowki podchodzi do płytkiego strumyka. Było już prawie ciemno. Na płynącą powoli wodę padał delikatny blask księżyca.

Zobaczył wszystko, czego potrzebował. Ta parka nigdzie już dziś nie pójdzie. Każe ich pojmać jutro. Nie było potrzeby się śpieszyć. Jego ptak będzie śledził ich



ruchy. Pozwolił mu zasnąć. Gdy wycofał świadomość ze swego posłańca, zdał sobie sprawę, że gołąb przemarzył i zupełnie nic jadł.

Lord Maybor leżał w łóżu z garderobianą swej córki, Lynni. Cieleśne przyjemności nie ulżyły jednak jego niedoli. Jeśli nie odnajdzie Melliandry, nic nie wyjdzie z jego starannie przygotowywanych planów.

Już od najmłodszych lat, jedynym celem, jaki sobie stawiał, było gromadzenie ziemi i władzy. Urodził się jako drugi syn drobnego szlachcica. Jego ojciec nie był zwolennikiem poglądu, że ziemię powinno się dzielić równo między synów i po śmierci zostawił wszystko starszemu bratu, Reskorowi.

Maybor czekał na odpowiednią chwilę, ukrywając gorycz pod maską braterskiego oddania. Pewnego dnia wreszcie nadarzyła się sposobność. Choć była już wiosna, spadła gruba warstwa śniegu. Obaj bracia ruszyli na pola w poszukiwaniu jagniąt. Znajdowały się one w części posiadłości, którą Maybor – w przeciwieństwie do Reskora – znał dobrze. Zasugerował bratu, że w oddali, za niskim wzniesieniem, mogą jeszcze być jakieś owce. Reskor pogalopował w tamtą stronę. Po krótkiej chwili nieruchome powietrze wypełnił straszliwy dźwięk pękającego lodu. Maybor usłyszał krzyki wzywającego

pomocy brata oraz kwik przerażonego konia. Nie zwrócił na nie uwagi. Wrócił do dworu, nie oglądając się za siebie.

Po wiosennej odwilży znaleziono ciała Reskora i jego wierzchowca, które pływały w małym jeziorku. Śnieg ukrył skutą lodem tafłę. Uznano, że Reskor przypadkowo wjechał w mroźną pułapkę. Maybor odziedziczył jego posiadłości, wkrótce jednak zapragnął zdobyć więcej.

Skierował spojrzenie na wschód, gdzie zbiory były lepsze, a klimat bardziej umiarkowany. Ożenił się z jedyną córką potężnego wschodniego możnowładcy. W jego wyrachowanie nie można było wątpić, gdyż dziewczyna była słaba na umyśle i urodziła się z kikutem zamiast prawej ręki. Jej ojca łatwo było przekonać, że nieszczęśnica pewnego dnia postanowiła skoczyć z blanków. Ucieszył się z jej śmierci w równym stopniu jak mąż. Pozycja Maybora jako dziedzica włości była bezpieczna, krótkotrwały związek doprowadził bowiem do narodzin syna. Po pięciu latach jego teść zmarł i Maybor został właścicielem rozległych, żyznych ziem leżących na zachód od Nestora.

Miesiąc po śmierci teścia Maybor ożenił się po raz drugi. Nigdy nie kierował się sercem przy wyborze

partnerki, poślubił więc dziewczynę o przeciętnej urodzie i kiepskim guście, lecz za to będącą córką właściciela majątku sąsiadującego z jego włościami. Jego nowa żona miała brata, który miał odziedziczyć ojcowskie ziemie. Był to chorowity, ośmioletni chłopiec, który po niedługim czasie przeziębził się straszliwie podczas wycieczki konnej z Mayborem i wkrótce potem wyzionął ducha.

W ten sposób Maybor został największym właścicielem ziemskim na wschodzie. Jego druga żona zmarła po jakimś czasie śmiercią naturalną, zostawiając mu jeszcze dwóch synów oraz córkę. Wiodła nieszczęśliwą egzystencję, niekochana i niedostrzegana przez męża.

Maybor zaczął prowadzić agresywną politykę wykupu sąsiednich ziem. Jeśli właściciele nie chcieli ich sprzedać, zmuszał ich do tego. Wynajmował ludzi, którzy palili zbiory i stodoły, wypuszczali zwierzęta i wznosili tamy, by pozbawić ich dostępu do wody. Większość, prędzej czy później, ustępowała pod naciskiem i Maybor skupował sąsiednie grunty za bardzo umiarkowaną cenę.

Wkrótce przekonał się, że ziemia mu nie wystarcza. Pożądał władzy i prestiżu. Pragnął stać się kimś ważnym, mieć dostęp do ucha najwyższej postawionych

osób. Udało mu się. Dzięki przekupstwu i ambicji zdobył łaski króla. Teraz chciał osiągnąć jeszcze więcej. Zostać ojcem królowej. Musiał odnaleźć Melliandrę, gdyż to ona trzymała w ręku jedyny klucz do sali tronowej.

Przekonał się, że nie ma już ochoty na towarzyszącą mu dziewczynę. Kazał jej odejść. Była ognistą dziewczką o obfitych udach i biodrach i w normalnej sytuacji nacieszyłby się nią po raz drugi, lecz ucieczka córki leżała mu na sercu, a niepokój tłumił pożądanie.

Długo zastanawiał się nad tym, dokąd mogła się udać Melliandra.

Wreszcie przypomniał sobie, że jego druga żona miała krewnych w Annisie. Żywił żarliwą nadzieję, że dziewczyna nie udała się do nich, gdyż droga do Annisu wiodła przez pola bitew i halcuskie terytorium. Wrogowie z radością pojmaliby jego córkę: zgwałciliby ją, a potem poćwiartowali. Nie mógł znieść myśli o tym. Drżącymi dłońmi nalał sobie kielich czerwonego wina. Na chwilę przed tym, nim płyn dotknął jego języka. Maybor zrobił coś, czego nie czynił od trzydziestu lat: odmówił w myśli modlitwę do Borca, błagając go, by uchronił Melliandrę przed niebezpieczeństwem.

Tavalisk był zachwycony śniadaniem. Spożywał jagnięce nerki, napawając się delikatnym smakiem krwi i moczu.

Dzisiejszy dzień był ważny dla Rornu. Wszyscy w mieście mieli wolne. Tłumy gromadziły się na ulicach, by obserwować procesję. Właśnie tego dnia, prawie dwa tysiące lat temu, wielki bohater Kesmont założył miasto. Zgodnie z legendą, ścigali go wrogowie, którym zdołał się wymknąć tylko dzięki rączości swego wierzchowca. Nieszczęsne zwierzę pędziło tak szybko, że podobno padło martwe pod wielkim człowiekiem. Bohatera natychmiast dopadły straszliwe wyrzuty sumienia. Wykopał dla swej ukochanej klaczy głęboki grób i ze łzami w oczach ślubował, że zbuduje w miejscu jej ostatniego spoczynku wielkie miasto. Na cześć zwierzęcia nadał mu nazwę Rorn.

Tavalisk, który studiował dzieje życia Kesmonta, uważał go za sentymentalnego durnia. Podobno założył on też drugie miasto, tym razem noszące imię jego matki. Niestety leżało za blisko Wielkich Bagien, z czasem więc uległo niepowstrzymanemu, powolnemu przyciąganiu błota i nigdy później o nim nie słyszano. Tak jest, pomyślał Tavalisk, Kesmont mógł po mistrzowsku władać mieczem, ale rozpaczliwie brakowało mu zdrowego rozsądku.

Tavalisk wprawnie przeciął kolejną nerkę i włożył ją z namaszczeniem w otchłań swoich tłustych ust. Miał dzisiaj mnóstwo roboty. Nie tylko musiał wdziać piękny strój i wziąć udział w procesji, lecz również czekały go inne zadania. Nocą dotarła do niego bardzo interesująca informacja.

Jego sekretarz, Gamil, wcisnął mu w ręce list, który był zaiste bardzo ciekawy. Poinformował arcybiskupa, że pismo przechwycili jego szpiedzy w Brenie. Autorem listu był ten parweniusz. Baralis, który pisał do diuka Brenu, proponując małżeństwo między Catherine z Brenu, córką diuka, a księciem Kylockiem. A więc Baralis chciał doprowadzić do sojuszu między Czterema Królestwami a Brenem. To z pewnością wymagało uwagi Tavaliska. Arcybiskupa szczególnie irytowało, gdy ludzie układali plany bez jego wiedzy i zgody.

Pociągnął za atlasowy sznureczek, zwisający poręcznie tuż przy jego stole. Po kilku chwilach pojawił się Gamil.

– Słucham. Wasza Eminencjo.

Tavalisk celowo kazał sekretarzowi czekać, aż przełknie ostatni kawałek.

– Gamilu. sądzę, że powinniśmy mieć oko na to, co knuje nasz sprytny przyjaciel, lord Baralis. –

Potrzebował czegoś, co oczyściłoby jego podniebienie po atłasowej suchości nerek. Napełnił miseczkę miodem i zaczął maczać w bursztynowym płynie kawałeczki chleba. – Nakaż naszemu szpiegowi w zamku Harvell wzmóc czujność.

– Wedle rozkazu.

– O ile się nie mylę. Baralis wkrótce otrzyma ode mnie monit w sprawie zwrotu ksiąg. Powinienem je dostać już kilka miesięcy temu. – Tavalisk pociągnął głęboki łyk ze złotego kielicha. – Ów list posłuży jako użyteczne przypomnienie o moim istnieniu.

Arcybiskup uśmiechnął się słodko, przypominając sobie wybór wysłanych tomów. Uważnie dopilnował, żeby w chciwe łapska Baralisa nie wpadło nic naprawdę istotnego. Nie była to zbyt wygórowana cena za przyjemność, jaką było wywołanie konfliktu między Czterema Królestwami a Halcusem. Fakt, że wojna trwała dłużej niż przewidywał, był dla niego źródłem dodatkowej satysfakcji. Odsetki od wojennych pożyczek, których udzielił Halcusom, bardzo sympatycznie narastały. Zgodnie z duchem neutralności, zaoferował rzecz jasną podobną pożyczkę Czterem Królestwom, lecz jego propozycję odrzucono. Królestwa były nieprzyzwoicie bogate. Gdy tylko ich władcy potrzebowali pieniędzy, wystarczyło, że

wycięli trochę tych swoich przeklętych lasów. Drewno było na południowym wschodzie cennym towarem, a królestwa dysponowały największymi jego zasobami w Znanych Krainach. Annis, Halch i Highwall również miały lasy, lecz głównie jodłowe i sosnowe. Który cieśla wybrałby sosnowe drewno, jeśli mógł nabyć orzech, dębinę albo jesion?

Tavalisk zlizął miód z palca. To było znacznie przyjemniejsze niż jedzenie łyżką.

– A co słyhać u naszego rycerza?

Przygruchała go prostytutka. Wasza Eminencjo. Arcybiskupowi wydało się to zabawne. Roześmiał się, ukazując małe, białe zęby.

– No. no. Myślałem, że to prostytutki się przygruchuje. Spojrzał wyczekująco na sekretarza, lecz Gamila nie rozśmieszył jego żart.

– Co mamy teraz zrobić. Wasza Eminencjo?

– Nic, oczywiście. Całe szczęście, że ktoś się nim zaopiekował. Byłaby wielka szkoda, gdyby umarł tak młodo. – Tavalisk napełnił puchar winem. – Nie rób nic. Gamilu... ale obserwuj go jak jastrząb. – Machnął ręką, odprawiając sekretarza. – Możesz już odejść. Muszę się ubrać na dzisiejsze uroczystości. Ludzie byłiby rozczarowani, gdybym nie założył najlepszego stroju.



– Tak jest. Wasza Eminencjo.

Tavalisk spoglądał za oddalającym się sekretarzem.

– Swoją drogą, Gamilu, ty nie musisz się przebierać – odezwał się, gdy sługa miał już otworzyć drzwi. – Sądzę, że po zeszłorocznym nieszczęśliwym wypadku z końskim łajnem lepiej będzie, byś nie pokazywał się publicznie.

Arcybiskup uśmiechnął się dobrodusznie, udając, że nie dostrzega błysku nienawiści na obliczu wychodzącego z komnaty sekretarza.

## 5

– Chcesz mi powiedzieć, Bodger, że nigdy nie słyszałeś o Glinffach? – zapytał Grift z figlarnym błyskiem w oku.

– Nie. Grift, chyba nie słyszałem – odparł ściszone głosem Bodger, pochylając się do przodu.

– Och, Glinffowie to kaducznie dziwny naród, Bodger. Mieszkają w głębi lasu. Jak tylko cię zobaczą, zaraz cię wygrzmocą.

– To znaczy kobiety?

– Tak, i mężczyźni też. Glinffowie to srodze namiętna rasa.

– To chyba wkrótce wybiorę się na spacer do lasu, Grift.

Na twoim miejscu bym tego nie robił, Bodger. Glinffowie chętnie się z tobą pogrzmocą, ale jak tylko odwrócisz wzrok, ciach i po twoich klejnotach!

– Po moich klejnotach!

– Ehe. Jedzą je na śniadanie. Jak myślisz, dlaczego są tacy niewyżyci?

Bodger spojrział na Grifta z niedowierzaniem. Nigdy nie potrafił odgadnąć, kiedy przyjaciel go nabiera. Obaj mężczyźni wypili jeszcze trochę *ale*.

– W kuchniach stało się wczoraj coś pierońsko dziwnego. Bodger.

– Skąd wiesz. Grift?

– Sam lord Baralis zbiegł na dół jak szalony. Tak się wnerwił, że kazał Frallitowi zniszczyć połowę porannego wypieku.

– To faktycznie brzmi deczko dziwnie. Grift.

– To więcej niż dziwne. Bodger. To czary, jeśli mnie o to pytasz.

– Czary?

– Ehe. Bodger. największe zło w Znanych Krainach.

– Myślałem, że nie ma nic takiego, jak czary, Grift.

– To znak, że jesteś dureń. Bodger. Czary istnieją. To tak pewne, jak to, że lady Helliarna ma grube uda. W czasach Borca było ich pełno. To on położył kres większości z nich. Wyrznął tylu posługujących się czarami, ilu tylko zdołał złapać.

– Wszystkich. Grift?

– Niestety nie. Jego miecz był ostry, ale umysł stracił bystrość.

– To bluźnierstwo. Grift.

– Mów sobie, co chcesz, Bodger. Borc nas zawiódł. Lord Baralis, biegający po kuchniach i nakazujący niszczyć pięknie wypieczone chleby, pokazuje, do jakiego stopnia.

– Może ich smak mu nie odpowiadał, Grift.

– Nikomu przyzwoitemu nie odpowiada smak czarów, Bodger.

Dokuczliwy ból w boku obudził wreszcie Jacka. Chłopak zmienił pozycję. Zdał sobie sprawę, że większą część nocy przespał na kupce małych kamieni. Potarł posiniaczony bok, wspominając minioną noc.

Udało im się w końcu znaleźć mały strumyk i napełnili manierkę czystą zimną wodą. Postanowili, że nie będą już iść dalej i rozbili skromny obóz. Melli zgodziła się z nim, że nie powinni rozpalać ogniska, by nie przyciągać uwagi. Żadne z nich nie odważyło się jednak przyznać, kogo się obawiają.

Noc była zimna i rozświetlona blaskiem księżyca. Spali pod gwiazdami. Melli ostentacyjnie zachowywała dystans między sobą a Jackiem. Nie przyszło im do głowy, by stać na straży, na wypadek pojawienia się intruzów lub dzikich zwierząt. Dwoje towarzyszy skuliło się pod szorstkimi kocami i zasnęło na twardej ziemi.

Między drzewami przesączało się słabe światło

poranka. Jack miał ochotę wstać i rozprostować trochę nogi. Odczuwał również czysto fizjologiczną potrzebę i rozejrzył się w poszukiwaniu odpowiednio gęstych krzaków, w których mógłby ją załatwić.

Oddalił się cicho od obozu, by nie obudzić śpiącej Melli. Postanowił, że zbierze jeszcze trochę drewna i paproci na opał. Zaskoczy dziewczynę, przyrządzając ciepłą owsiankę z sucharów i wody ze strumyka.

Gdy przeszedł już kawałek drogi, usłyszał w oddali tętent kopyt. Serce zabiło mu szybciej. Wiedział, że jadą po niego. Znieruchomiał na mgnienie oka, starając się zdecydować, czy wrócić, czy też wykorzystać niewielką przewagę, którą miał, i uciec samotnie w głąb puszczy.

Zawrócił i pobiegł szybko w stronę obozu, wykrzykując imię Melli.

Dziewczynę obudził odległy łoskot. Otworzyła oczy i zobaczyła, że Jacka nie ma. Skierowała spojrzenie na konia i zapasy. Przynajmniej jej nie okradł. Zdała sobie sprawę, że uporczywy odgłos jest coraz bliższy. Dobrze go znała. To byli jeźdźcy. Wiedziała, że jadą po nią. Zbliżali się. Nie miała wiele czasu. Wepchnęła błyskawicznie koce do worka i przytroczyła go do końskiego grzbietu. Następnie odwiązała wierzchowca i wskoczyła na niego.

Nigdy jeszcze nie jeździła konno na oklep. Nie miała teraz czasu na naukę. Złapała za wodze i ścisnęła mocno udami boki zwierzęcia, skłaniając je do szybkiego cwału. Intruzi nadciągali od północy, skierowała się więc na południe, w głąb lasu.

Gdy jej wierzchowiec zerwał się do biegu, wydało jej się, że słyszy własne imię, dźwięk jednak stłumiły odgłosy tratowania liści, nie zwróciła więc na niego uwagi.

Mężczyźni zbliżali się. Odważyła się obejrzeć za siebie i dostrzegła ich mającące blisko sylwetki. Jej stare konisko nie było w stanie biec szybciej. Postanowiła skryć się między gęstniejącymi drzewami, gdzie trudniej będzie manewrować całej grupie.

Wierzchowiec poruszał się tam zdumiewająco zręcznie, choć niezbyt szybko. Sprawiał wrażenie nawykłego do jazdy w lesie. Wsłuchiwała się w zbliżający się odgłos przedzierających się przez podszycie jeźdźców, nawołujących się nawzajem ochryplymi głosami. Wyglądało na to, że jest ich wielu. Nie miała czasu, by poczuć strach. Musiała działać. Instynktownie skierowała się jeszcze głębiej w las.

Jej plan okazał się skuteczny, gdyż ścigający zwolnili, przedzierając się przez coraz gęstszy bór.

Próbowała skłonić opornego wierzchowca do biegu, lecz puszcza była teraz tak bujna, że musiał przejść w kłus. Pełno tu było nisko zwisających konarów, które z łatwością mogły strącić ją na ziemię.

Gdy usłyszała, że jeźdźcy nie przestają się zbliżać, zdawała sobie sprawę, że nie ma wielkiej nadziei na ucieczkę. Obejrzała się. Widziała już z tyłu pierwszego ze zbrojnych. Ze zdziwieniem zauważyła, że nie jest odziany w czerwono-srebrne barwy jej ojca. Nie miała czasu zastanawiać się nad tym, co to oznacza. Koń zaniósł ją już na brzeg wartkiego potoku.

– No, chodź, koniku – zachęcała go. – Nie jest tu chyba zbyt głęboko.

Oporny wierzchowiec zarżał głośno. Melli pochyliła się i pogłaskała go po uszach. W jej piersi narastał strach. Jeźdźcy byli coraz bliżej. Gdyby tylko ta szkapa zechciała się ruszyć!

Baralis nie miał czasu ani ochoty obserwować, jak jego ludzie pojmagają chłopaka i dziewczynę. To nie byli nieudolni durnie, tacy jak królewscy strażnicy. Zrobili to, za co im zapłacili. Był zadowolony, że skorzystał z usług najemników. Dyskretny wypadek do Harvellu i osiem sztuk złota na głowę wystarczyły, by wynająć fachowców. Było to bardzo uspokajające doświadczenie. Wiedział, czego się spodziewać po

najemnikach. Znacznie łatwiej było sobie radzić z chciwością niż z wiernością.

W tej chwili jednak miał na głowie ważniejsze sprawy. Czekala go audiencja u królowej.

Ubrał się bardzo starannie, przywdział swą najwspanialszą szatę, czarną jak noc, obszytą najkosztowniejszym futrem. Osobiście nie dbał zbytnio o piękne stroje, ale podczas rozmowy z Arinaldą podobne popisy były konieczne. Była kobietą, która przywiązywała wielką wagę do pozorów.

Wyglądził od niechcenia miękkie, czarne futro zniekształconymi dłońmi. Myślał o czekającym go spotkaniu. Wiedział, że będzie musiał zachować wielką ostrożność. Doskonale zdawał sobie sprawę, że królowa darzy go niechęcią. Miał jednak dla niej interesujący podarunek, który z pewnością gorąco zapragnie otrzymać.

Wszedł do gabinetu i wydobył małą szklaną fiolkę. Zawarty w niej płyn był tłusty jak olej. Jarzyło się w nim światło. Baralis obrócił naczynie w dłoniach ze śladem uśmiechu na bladych ustach. Zawartość buteleczki uczyni Jej Wysokość znacznie bardziej zainteresowaną wysłuchaniem jego propozycji.

Ruszył w stronę pomieszczeń królowej. Gdy już znalazł się u progu drzwi pokrytych pięknymi



płaskorzeźbami, załomotał w nie głośno. Nie zwykł pukać dyskretnie. Odczekał kilka sekund.

– Proszę – rozległ się zimny głos królowej, gdy miał już zastukać po raz drugi.

Wszedł do wielkiej komnaty. Na ścianach wisiały przepiękne jedwabne gobeliny. Fotele i ławy obite były najkosztowniejszymi tkaninami, wyszywanymi złotą i srebrną nicią. Królowa przywitała go niewypowiedzianą zniewagą, nie odwracając się w jego stronę, by go pozdrowić. Był zmuszony przemówić do tyłu jej głowy.

– Życzę Waszej Wysokości wielkiej radości w nadchodzącym dniu.

Odwróciła się szybko.

– Nie mam ochoty na pogaduszki z tobą, lordzie Baralisie. Mów szybko, o co ci chodzi, i zostaw mnie.

Kanclerz nie przejął się jej jadowitymi słowami.

– Mam dla ciebie podarunek, Wasza Wysokość.

– Nie pragnę od ciebie niczego poza szybkim odejściem, Baralisie.

Była piękna w swej wyniosłości. Jej plecy były proste i szlachetne, a profil chłodny jak marmur.

– Właściwie nie jest przeznaczony dla ciebie, pani, tylko dla twego męża, króla.

Baralis przyglądał się z zainteresowaniem, jak

przez czoło Arinaldy przemknęła zmarszczka zainteresowania. Ukryła je pośpiesznie.

– Jaki to podarunek mógłby zainteresować króla? Męczysz mnie, lordzie Baralisie. Opuść już, proszę, tę komnatę.

Królowa była zaiste znakomitą aktorką. Baralis ją podziwiał.

– Wasza Wysokość, podarunek, o którym mowa, nie tylko zainteresuje króla. On może mu pomóc.

– W jaki sposób, lordzie Baralisie? – Jej głos przepełniony był wzgardą. – Król nie jest aż tak chory, by potrzebował twojej pomocy.

– Och. Wasza Wysokość. – Baralis potrząsnął głową, udając współczucie. – Oboje wiemy, że jest poważnie chory i nie widać nadziei na poprawę. W ciągu pięciu lat, które upłynęły od nieszczęśliwego zdarzenia na polowaniu, jego stan pogorszył się wyraźnie. Cały dwór jest zasmucony tym faktem.

– Jak śmiesz mówić takie rzeczy o królu! – Arinalda podeszła blisko. Przez chwilę kanclerzowi wydawało się, że go uderzy. Napotkał spojrzenie jej niebieskich oczu. Poczul jej zapach, delikatną woń, która przebudziła wspomnienia w jego ciele. Zaniepokojona jego bliskością, cofnęła się o krok. – Nie zniosę twej obecności ani chwili dłużej. Wynoś

się!

Gdy wypowiadała ostatnie słowa, była naprawdę wściekła. Baralis wycofał się posłusznie.

Kiedy wracał do swej komnaty, na jego wąskich ustach pojawił się cień uśmiechu. Wszystko poszło zgodnie z planem. Królowa rzecz jasna okazała dumę i oburzenie. Tego właśnie się spodziewał. Nie udało jej się jednak ukryć zainteresowania. Połknęła przynętę. Zostało mu tylko czekać na jej nieuniknione wezwanie. Bez względu na dumę, pożałuje swych lekkomyślnych słów i wkrótce nawiąże z nim kontakt, pragnąc poznać naturę jego daru.

Wydawało się, że wszyscy mieszkańcy wielkiego miasta, jakim był Rorn, wylegli na ulice. Ludzie pili, tańczyli i zbierali się w grupy, by wymieniać żarty i plotki. Budynek obwieszono barwnymi sztandarami, a na pokryte plugastwem ulice rzucono kwiaty.

Sprzedawcy zachwalali głośno swe towary: świeże jabłka, gorące pasztety czy chłodne *ale*. Dzieci biegały w tłumie bez niczyjej opieki, a staruszki kryły się w cieniu. Młode dziewczęta nosiły suknie o dekoltach tak głębokich, że wydawało się, iż biusty zaraz wyskoczą im na zewnątrz. Niekiedy naprawdę się to zdarzało, ku wielkiemu zachwytowi mężczyzn, którzy przyglądali się pożądliwie, jak zawstydzone dziewczyny wciskają

swe walory z powrotem w staniki.

Dla Rornu był to najważniejszy dzień roku. Doroczne święto przyciągało do miasta dziesiątki ludzi mieszkających w odległości wielu mil. Zapowiadano wielką paradę, występy egzotycznych artystów i sławnych śpiewaków, a także zdumiewające pokazy fajerwerków. Miasto miało się bawić i świętować całe trzy dni. Dla kieszonkowców było to największe wydarzenie roku. Na ulicach przebywały tysiące ludzi o kieszeniach pełnych pieniędzy, a umysłach zamroczonych trunkami. Był to łup tak okazały i łatwy do zdobycia, że złodzieje niemal ubolewali nad upadkiem swej sztuki. Nie trzeba było żadnych umiejętności, by ukraść sakiewkę człowiekowi zamarynowanemu w *ale*. Potrafiłoby to zrobić nawet dziecko. Niemniej nawet podczas tych trzech dni idyllicznej obfitości trzeba było przestrzegać pewnych zasad. Żaden ceniący życie kieszonkowiec nie ważył się wtargnąć na teren innego. W Rornie, tak jak we wszystkich miastach, obowiązywał zorganizowany system haraczów i korupcji.

Kieszonkowcy, mordercy, złodzieje, prostytutki i oszuści żyli w ciągłym strachu przed ludźmi kierującymi podziemnym życiem miasta. Ludzie ci pobierali od nich haracz, sami zaś byli odpowiedzialni

przed jednym człowiekiem. Mężczyzna władający światem przestępczym Rornu nie miał twarzy ani imienia. Znano go tylko jako "Starego". Po mieście krążyły liczne opowieści o jego władzy i wpływach. Mówiono, że wie on o wszystkim, co dzieje się na ulicach albo w gospodach. Jeśli kurwa żądała zbyt wysokich stawek, trafiało to do jego uszu. Jeśli kupiec oszukiwał na wadze, "Stary" wiedział o ile, a jeśli złodziej okradł dom, znał wartość wszystkich wyniesionych rzeczy, aż do ostatniej cynowej łyżki. Krążyły pogłoski, że w Rornie roi się od jego szpiegów i informatorów i że ma on bardzo wysoko postawionych przyjaciół.

Dziś jednak ludzie nie pamiętali o mroczniejszych aspektach miejskiego życia. Zaczęło się święto i mieszkańcy Rornu byli zdecydowani się radować.

Kłębiące się tłumy trącały i popychały Tawla. Nie podobała mu się myśl, by wychodzić dziś z domu. lecz Megan uparcie twierdziła, że powinien rozprostować nogi i odetchnąć trochę świeżym powietrzem. Reakcja jego ciała była dla niego przyjemną niespodzianką. Zawsze był silny fizycznie, nie spodziewał się jednak, że jego mięśnie tak szybko odzyskają sprawność. Choć był jeszcze słaby, czuł już, jak przepływająca przez ciało krew niesie nowe życie tkankom i ścięgnom.

Po miesiącach uwięzienia, niepokoił go widok licznych i hałaśliwych tłumów. Był pewien, że nigdy w życiu nie widział tak wielu ludzi.

Megan dała mu sześć sztuk srebra, żeby kupić sobie nóż. Zacytowała powiedzenie mówiące, że w Rornie człowiek bez broni jest człowiekiem bez przyszłości. Tawl nie chciał wziąć tych pieniędzy, gdyż podejrzewał, że to jej ostatnie, potrzebował jednak jakiejś broni, nim odważy się opuścić miasto, przyjął je więc. przysięgając, że któregoś dnia spłaci dług.

Z zaskoczeniem przekonał się, że jego dziwaczny strój doskonale harmonizuje z nastrojem święta. W gruncie rzeczy, ów ubiór wyglądał skromnie w porównaniu z tym, co mieli na sobie niektórzy mieszkańcy. Mężczyźni Rornu pysznili się jak pawie, odziani w jaskrawe bluzy i nogawice. kobiety zaś nosiły szale o barwach tęczy. Posuwając się przez ulice, zauważył zbliżającą się wielką paradę. Zarówno jeźdźcy, jak i piesi mieli na sobie bajkowe kostiumy. Tłum rozstępował się, by ich przepuścić.

Z początku Tawl nie interesował się zbyt parumą. Nie przepadał za żonglerami i akrobatami. Po chwili jednak zagrały rogi. Ciżba ucichła, gdy przejeżdżał przez nią masywny mężczyzna na potężnym wierzchowcu. Gapię uspokoił się wyraźnie,

spoglądając z czcią na majestatyczną postać jeźdźca. Był on ubrany w nieskazitelnie biały strój i przyozdobiony fantastycznymi klejnotami: bransoletami, pierścieniami i naszyjnikami, które lśniły ostro w blasku słońca. Miał nawet koronę na głowie. Coś w jego opasłym profilu wydało się Tawłowi znajome.

Gdy jeździec go mijał, rycerz skrył się instynktownie w tłumie, szukając osłony. Obserwował nieznajomego z daleka. Był pewien, że to ta sama osoba, która nadzorowała jego torturowanie. Zwrócił się do stojącego obok chłopca.

– Kim jest ten człowiek w białym stroju? – zapytał.

Chłopiec spojrzał na niego z niesmakiem.

– Przecież to arcybiskup – odparł. – Każdy głupi to wie. Pewnie jesteś nietutejszy – dodał po chwili, obrzucając go łaskawszym spojrzeniem. Tawł skinął głową i ruszył dalej.

Kierował się w stronę gospody, w której Megan radziła mu kupić nóż. Czuł się osłabiony, a oczy nie przyzwyczyaiły się jeszcze do dziennego światła. Zbliżając się do miejsca przeznaczenia, natknął się na kolejne zbiegowisko. Ludzie zebrali się wokół młodego, przystojnego mężczyzny w jaskrawym stroju. Czerwone chwasty na jego kapeluszu

świadczyły o tym, że to wróżbita.

– Tak, pani – mówił dramatycznym tonem. – Widzę, że twoja córka pragnie kolejnego dziecka. Powiedz jej, by wzniosła modlitwę do bogini Huski, a jej życzenie się spełni.

W tłumie rozległ się pomruk aprobaty. Wróżbita przeszedł do następnego w kolejce. Ujął jego dłoń i spojrzał enigmatycznie ku niebiosom.

– Panie, potrzebujesz pieniędzy. Tawł nie mógł się nie uśmiechnąć.

Pokaż mi człowieka, który ich nie potrzebuje, pomyślał.

– Pod podłogą swego domu znajdziesz siedem sztuk złota – oznajmił wróżbita po teatralnej przerwie.

– Gdzie? – zapytał mężczyzna.

– Tylko dwa kroki od drzwi – odparł młodzieniec. W jego głosie zabrzmiała nuta znudzenia, jak gdyby chciał powiedzieć, że jest zbyt ważny, by zajmować się podobnymi szczegółami.

– Teraz ty, pani – zwrócił się do kobiety, która chciała już się oddalić. Gdy do niego podeszła, ujął jej dłoń i raz jeszcze skierował wzrok ku niebu. – Dostrzegam dla ciebie wielką przyszłość. – Zamknął oczy, jakby otrzymywał boskie wskazówki. – Zostaniesz krawcową królowej.



W tłumie rozległy się okrzyki podziwu, gdy kobieta wyznała, że faktycznie szyje trochę na boku.

Tawl chciał już ruszyć dalej, lecz mężczyzna go powstrzymał.

– Teraz ty, panie!

Rycerz nie zamierzał do niego podchodzić, potrząsnął więc tylko głową i cofnął się. Wróżbita był jednak od niego szybszy. Złapał go za ramię, po czym uściskał jego dłoń i skierował spojrzenie ku niebu.

– Szukasz pewnego chłopca, panie. – Twarz Tawla nic nie wyrażała. – Nie znajdziesz go w tym mieście – ciągnął wróżbita. – Musisz odwiedzić jasnowidzów z Łamu. Oni wskażą ci miejsce jego pobytu.

Wróżbita spojrzawszy przelotnie w oczy Tawlowi i przeszedł do następnej osoby.

– Podaj mi rękę, pani. Jesteś wdową, która potrzebuje męża... Tawl oddalił się, pocierając brodę. Zastanawiał się nad słowami wróżbity. Nigdy nie słyszał o Larnie ani o tamtejszych jasnowidzach. Starał się zlekceważyć całe zdarzenie, uznać, że wszystko było płodem wyobraźni lub oszustwem, gdy jednak szedł przez bogato przystrojone, lecz nędzne ulice, nie był w stanie o nim zapomnieć. Wreszcie zdecydował, że musi dowiedzieć się czegoś więcej o Larnie.

Wkrótce dotarł do gospody, o której mówiła

Megan. Wśliznął się do środka, zadowolony, że uwolnił się od hałasu i tłumów. Usiadł w ciemnym kącie, co przyniosło ulgę jego wciąż słabym nogom. Podeszła do niego dziewczyna o skwaszonej minie.

– Co ma być? – zapytała bez żadnego przywitania.

– Proszę kufel *ale*.

Szynkarka była wyraźnie oburzona podobnie skąpym zamówieniem. Odeszła poirytowana. Wróciła dopiero po dłuższym czasie, z kuflem zwietrzałego, wodnistego piwa.

– Nim sobie pójdziesz, powiedz mi proszę, czy zastałem Tuckera?

– A kto pyta?

– Przyjaciel Megan.

Dziewczyna zniknęła na zapleczu. Uplęnęło kilka minut. Wreszcie pojawił się jakiś mężczyzna, który obrzucił Tawla krytycznym spojrzeniem, a potem podszedł do niego.

Nie tracił czasu na pozdrowienia.

– Co ma być?

W padającym przez okno świetle nie prezentował się korzystnie. Podkreślało ono głębokość dziobów po ospie pokrywających mu policzki.

– Potrzebny mi nóż.

– Jaki?

– Długi.

Tawl miał nadzieję, że wystarczy mu pieniędzy. Podejrzał, że cena podobnych towarów w Rornie jest wysoka.

– Będzie kosztował dziesięć srebrników.

– W takim razie nic z tego.

Tawl ruszył w stronę wyjścia. Jego blef poskutkował.

– Osiem – zaproponował nieznajomy.

– Sześć.

– Zgoda.

Mężczyzna udał się na zaplecze. Po kilku minutach wrócił z długim nożem, który wydobył spod płaszcza. Tawl z zaskoczeniem stwierdził, że broń jest bardzo dobrej jakości. Z pewnością pochodziła z przemytu. Gdy dokonali transakcji, rycerz ruszył ku drzwiom.

– Swoją drogą, słyszałeś kiedyś o Larnie? – zapytał. Nieznajomy obrzucił go badawczym spojrzeniem i potrząsnął głową.

Tawl odniósł wyraźne wrażenie, że tamten coś wie, ale nie chce nic powiedzieć. Wyszedł na zalaną słońcem ulicę i skierował się w stronę domu Megan. Wróżbita zasiał płodne ziarno i Tawl był zdecydowany odnaleźć kogoś, kto udzieli mu informacji o Larnie i tamtejszych jasnowidzach.

Jack patrzył, jak Melli przemknęła na wyciągnięcie ręki od niego. Nie zobaczyła go ani nie usłyszała. Wsłuchał się w tętent zbliżających się jeźdźców, po czym zawrócił szybko w stronę, z której przyszedł. Nie mógł już w niczym pomóc swej towarzyszce, znajdował jednak niejaki pocieszenie w fakcie, że przynajmniej miała konia. Oceniając niewprawnym okiem, odniósł wrażenie, iż Melli jeździ po mistrzowsku.

Biegł tak szybko, jak tylko pozwalały mu jego długie nogi. Przedzierał się przez paprocie i przeskakiwał leżące na ziemi kłody. Oddychał szybko i ciężko. Oglądając się, by sprawdzić, czy go ścigają, źle postawił stopę i skręcił sobie boleśnie nogę w kostce. Runął na twarz w wilgotne podszybie lasu. Podniósł się z wysiłkiem, lecz nadwreżona kończyna nie zdołała utrzymać jego ciężaru.

– Niech to licho! – wyszeptał z bólu i gniewu. Zrozumiał, że będzie musiał się ukryć. Ze skręconą kostką nie miał szans na ucieczkę.

Rozejrzawszy się pośpiesznie dookoła, zauważył płytki rów. Pokuśtykał w jego stronę tak szybko, jak tylko potrafił, i rzucił się do niego. Nie było to przyjemne, gdyż boki zagłębienia porastał posępny grzyb, a dno pokrywała zimna, ohydnie cuchnąca

woda. Uznał jednak, że nadal jest zbyt odsłonięty, położył się więc w lodowatej wilgoci i nakrył mokrymi, zeschniętymi liśćmi. Woda przesączała się przez jego płaszcz i spodnie, co sprawiło, że już po chwili przemarzył do kości.

Czuł się nieswojo w tej sytuacji. Melli ścigali ludzie Baralisa. a on schował się w rowie jak tchórz.

Nie miał wątpliwości, że to Baralis stoi za pościgiem. Jeśli ktoś w zamku wiedział cokolwiek o czarach, to tylko królewski kanclerz. Wielu szeptało, że para się on starożytną sztuką, był jednak tak potężny, że nikt nie ważył się powiedzieć tego głośno, a tym bardziej go oskarżyć. Jack doznał olśnienia. Potrafił wyczuć czary. Wspominając czas, który spędził jako “ślepy skryba”, zdał sobie sprawę, że były chwile, gdy dręczyły go mdłości i ból głowy. Do tej pory sądził, że był to jedynie skutek zmęczenia oczu i nie przespanych nocy, wrażenie było jednak podobne do tego, które nawiedziło go wczoraj rano. Baralis praktykował czary, a on potrafił to w jakiś sposób wyczuć. Przypominał sobie wiele ataków nudności. Gdy tego samego dnia spotykał Baralisa, kanclerz zawsze wydawał się błydy i osłabiony.

Podniecenie wywołane owym odkryciem szybko ustąpiło miejsca strapieniu. Wszak oznaczałoby to

tylko, że nie jest normalny. Jakby na przekór jego największemu pragnieniu – by być zwyczajnym chłopcem, móc przejść przez zamek, nie słysząc, jak ktoś wyzywa go od bękartów. Chciał mieć ojca, tak jak wszyscy, i matkę, której nikt nie nazywałby kurwą. Marzył o tym, by być równym ludziom zrodzonym z prawego łoża, dzielić z nimi poczucie przynależności do normalnej społeczności. Teraz wydawało się to jeszcze mniej możliwe niż kiedykolwiek dotąd.

Mógłby powędrować na wschód i zostać uczniem piekarskim, lecz w takim przypadku byłby w stanie co najwyżej ukryć swą przeszłość. Nie chciał kłamać. Nie. Jeśli ktoś zapyta go o rodziców, a z pewnością tak się stanie, obraziłby siebie i swoją matkę, gdyby opowiadał zmyślane historyjki.

Zadrzał gwałtownie, przemarznięty do szpiku kości. Wyglądało na to, że jego droga nie będzie łatwa. Dokądkolwiek się uda, zawsze będzie wyrzutkiem. Wczorajszy incydent przypieczętował tylko jego przeznaczenie. Im szybciej pogodzi się z losem i przestanie marzyć o tym, że odnajdzie krewnych matki, którzy przyjmą go z otwartymi ramionami jako dawno utraconego kuzyna, tym lepiej dla niego. Musiał stawić czoło rzeczywistości, a rzeczywistością był ten rów, bochny oraz fakt, że nigdy nie będzie nikim

więcej niż bękartem.

Zanurzył się w zimnej wodzie i wsłuchał w tętent kopyt. Po chwili poczuł drzenie gruntu. To część ścigających zbliżyła się do jego kryjówki. Sądząc po dźwięku, nie było ich wielu. Usłyszał, jak zwolnili i zaczęli wykrzykiwać do siebie. Mówili z nieznanym mu akcentem.

– Mówiłeś, że chłopak uciekł w tę stronę.

– Tak było. Jestem tego pewien.

– Nie mógł zwiać daleko. Pojedź tamtędy. My sprawdzimy tę ścieżkę. Pośpiesz się.

Jack usłyszał, że jeden z koni oddalił się galopem. Dwaj pozostali jeźdźcy uciszyli się na jakiś czas. Doszedł do wniosku, że nasłuchują z wielką uwagą. Leżał tak nieruchomo, jak tylko zdołał. Niemal nie oddychał. Wreszcie ścigający ruszyli naprzód. Dopiero gdy oddalili się na znaczny dystans, chłopak uznał, że może już bezpiecznie zaczerpnąć powietrza.

Choć w rowie nie było przyjemnie, nie ośmielił się poruszyć. Dręczył go pulsujący ból w kostce, lecz bardziej dokuczliwy był chłód przesączający się przez ubranie w głąb ciała. Czuł lekki ucisk pod lewą nogą. Poruszył ostrożnie ręką, by zbadać jego przyczynę. Było to coś kosmatego. Nie mógł ryzykować dalszych ruchów, zdobył już jednak pewność, że wypełniający

rów ohydny smród pochodził od rozkładającej się padliny małego stworzenia.

Miał nadzieję, że to nie szczur. Bał się tych zwierząt. Ze wszystkich zadań, które zlecał mu Frallit, najbardziej nie lubił chodzić do magazynu po mąkę. Gdy tylko otworzył drzwi, słyszał odgłos pierchających gryzoni. Zawsze dawał im parę chwil, by mogły się ukryć, nim uniósł latarnię. Nie chciał oglądać ich mięsistych łapek i ogonów. Nawet jednak gdy trzymał latarnię przed sobą, zawsze trafiały się szczury, które nie bały się światła i żarły spokojnie dalej. Te były najgorsze. Ich paciorkowate oczy miały zimny, wyzywający wyraz. Kopnął kiedyś jednego z nich i jego ciało roztrzaskało się o ścianę. Gdy następnego dnia wszedł do magazynu, zobaczy! ze dwadzieścia szczurów karmiących się ścierwem towarzysza. Było tam też coś innego, zbyt ciemnego, by mógł to dostrzec. Zęby tego stworzenia rozbłysły na chwilę, zanim zniknęło.

Pan Frallit zbił go. gdy opowiedział o swym niecnym postępku.

– Żywe szczury są wystarczająco paskudne – stwierdził – ale martwe przyciągają diabła.

Dla Frallita lista rzeczy, które przyciągały diabła, nie miała końca. Jego ulubionymi pozycjami były



jednak długie włosy i marzenia. Jack wiedział, że mistrz piekarski mówił to tylko po to, by go zastraszyć, nie miał jednak zamiaru narażać się na kontakt ze zdechłym szczurem.

Wygramolił się z rowu. Ubranie miał przemoczone i pokryte błotem. Gdy wiatr się wzmógł, chłopak zaczął dygotać z zimna. Kuśtykając głębiej w las, myślał o Melli. Miał nadzieję, że nie złapali jej zamiast niego.

– Grzeczny konik.

Wierzchowiec Melli wszedł niechętnie do potoku. Ścigający byli na wyciągnięcie ręki. Nie zwracając na nich uwagi, starała się skłonić konia do przekroczenia strumienia. Lodowata woda sięgała mu już po pęciny.

– Grzeczny konik, grzeczny konik.

Starała się uspokoić raczej siebie niż zwierzę, które potykało się lekko na kamienistym podłożu.

– Wszystko w porządku, koniku – wyszeptwała łagodnie. Strażnicy zatrzymali się w odległości zaledwie kilku jardów od niej.

Dwóch z nich podjechało do strumienia. Jeden wyciągnął miecz.

– Ani kroku dalej, pani – ostrzegł.

Nakazał skinieniem swym ludziom, by ją otoczyli. Melli czekała na środku potoku, okrążona przez

siedmiu mężczyzn. Wszyscy wyciągnęli już miecze. Pogłaskała wierzchowca, usiłując zapanować nad szalonym biciem serca. Nie poniży się, okazując strach.

– Ściągnąć ją z konia i związać.

Okrutne dłonie pochwyciły ją za nogi i tułów. Niektóre z nich zatrzymały się bez potrzeby na piersiach i udach. Zdjęto ją z wierzchowca, zanesiono na brzeg i rzucono na ziemię. Jej nozdrza wypełniła woń suchych liści i gleby.

– Jest ładniutka – zauważył mężczyzna, który najwyraźniej był hersztem.

– Ehe. i nieźle wypełniona pod tym płaszczem – dodał jeden z tych, którzy ją ścigali. Bała się coraz bardziej. Mężczyźni schowali miecze i spojrzeli na swego dowódcę.

– Jestem pewien, że nie miałby nic przeciwko temu, żebyśmy się z nią trochę zabawili – powiedział, uśmiechając się do swych towarzyszy. Podszedł do Melli, przyklęknął obok niej i rozwiązał jej płaszcz. Spróbowała go uderzyć.

– Ty dziwko!

Herszt spoliczkował ją brutalnie. Głowa dziewczyny zatrzęsała się od potężnego ciosu. Napastnicy krzyknęły głośno.

– Przeleć ją na ostro, Traff! Tylko się pośpiesz, żebyśmy wszyscy zdążyli! – zawołał jeden z nich.

Dowódca złapał stanik sukni i ściągnął go z Melli. Mężczyźni ujrzeli jej blady biust. Rozpaczliwie usiłowała go zasłonić, lecz herszt przycisnął ją ciałem, wpił usta w jej wargi i złapał gwałtownie za piersi. Jedną ręką szarpał sprzączkę jej pasa, drugą zaś unosił spódnice. Krzyczała histerycznie, usiłując go zrzucić z siebie.

Nagle dał się słyszeć tętent kopyt. Herszt zerwał się szybko. Na jego czole pojawiła się zmarszczka niepokoju. Melli wykorzystała tę okazję, by owinąć się tym, co zostało z sukni.

– Na koń – rozkazał herszt, obrzucając pojmaną pogardliwym spojrzeniem. – Wyciągnąć miecze.

Zbliżała się grupa jeźdźców. Dziewczyna dostrzegła z oddali, że to ludzie jej ojca. Srebrno-czerwone barwy były wyraźnie widoczne. Zalała ją fala ulgi. Zauważyła, że napastnicy poświęcają jej teraz bardzo niewiele uwagi. Czekali w napięciu na przeciwników. Skryła się za pobliskimi krzakami.

Rozgorzała walka. Ludzie Maybora wydobyli broń. Powietrze wypełnił szcęk stali. Z początku wydawało się, że siły są równe. Mężczyźni rąbali bezlitośnie

mieczami, żądni krwi.

Dla Melli bój w niczym nie przypominał eleganckich turniejów, które oglądała na dworze. Bronią władano bez żadnej finezji. Walczący rąbali i cięli w gorączkowym szale, nie dbając o to, czy trafiają przeciwnika. czy jego wierzchowca. Starcie było długie i krwawe. Ciężkie, tępe miecze przecinały skórzane stroje, raniąc skryte pod nimi ciała. Melli odniosła wrażenie, że wśród wymachujących orężem dostrzega swego brata. Nie mogła już dłużej patrzeć na te wzajemna rzeź.

Odczołgała się na bok. nie zauważona przez nikogo. Pełzła na rękach i kolanach. Jej delikatna skóra ocierała się o suchą, szorstką, zimową roślinność. Oddalając się. słyszała odgłosy bitwy: jęki i krzyki ludzi, kwik przerażonych koni i szczęk oręża.

Ruszyła w dół stłumienia, aż wreszcie dotarła do miejsca, w którym mogła bezpiecznie przejść. Weszła w nurt. z radością czując na nogach dotyk zimnej wody. która zmyła z niej ślady nie chcianych dłoni.

Przeszedłszy na drugą stronę, znalazła małą polankę, padła na ziemię i zaczęła dygotać. Wkrótce popłynęły łzy. Łkała przez długi czas. Ucieczka z domu. ograbienie przez wyrostka. pościg, pojmanie i wreszcie walka – to było dla niej za wiele. Płakała

cicho, przyciskając do ciała resztki sukni. Nie dbała już o to, czy znajdują ją ludzie ojca. Ważne było, by nie uczynili tego ci pierwsi. Poprzysięgła, że prędzej zginie, niż pozwoli się dotknąć.

Po chwili uspokoiła się. Nie słyszała już odgłosów walki, nie pamiętała jednak, kiedy umilkły.

Wyciągnęła z włosów sznurek i przewiązała nim suknię najlepiej, jak potrafiła. Nie miała już płaszcza. Został na polu walki. Wątpiła, by zdołała przeżyć bez niego noc. Odwróciła szybko głowę, słysząc szelest liści i trzask pękających gałązek. Ktoś się zbliżał. Nie była już w stanie uciekać. Zerwała się na nogi i uniosła wysoko głowę, gotowa powrócić do zamku.

To był jej koń! Na pewno przeszedł na drugi brzeg, gdy ściągnięto ją z jego grzbietu. Podbiegła do zmęczonego zwierzęcia i zarzuciła mu ręce na szyję. Całowała stare konisko raz za razem. Nagle spojrzała na jego grzbiet. W jakiś sposób zdołało ocalić jej cenne zapasy! Odwiązała szybko worek, pozwalając, by spadł na ziemię. Zrobił sobie płaszcz z jednego z koców. Gdy już nim owinęła się, poczuła się znacznie lepiej. Było jej ciepło, miała konia i żywność.

Uznała, że już najwyższy czas coś zjeść. Ze smakiem wzięła się za suszoną wieprzowinę i suchary. Nigdy jeszcze żaden posiłek nie wydawał się jej

równie pyszny.

Lorda Maybora ogarnął straszliwy szal. którego ofiarą padł jego najstarszy syn. Kedrac.

– Ty imbecyłu, jak mogłeś pozwolić jej uciec? – Maybor cisnął kielichem na drugą stronę komnaty. Trafił w swe cenne zwierciadło, roztrzaskując je. – Jak mogłeś do tego dopuścić?

– Byli uzbrojeni, musieliśmy z nimi walczyć – odparł jego syn.

– Kto był uzbrojony? Dlaczego musieliście? – wściekał się Maybor. – Po co walczyliście z uzbrojonymi ludźmi, jeśli mieliście szukać twojej siostry?

– Pojmali ją. W ten właśnie sposób ją znaleźliśmy. Usłyszeliśmy jej krzyki.

– Co to byli za ludzie?

– Nie jestem pewien, ojcze. Nie nosili żadnych barw. Chyba najemnicy.

– Na Borca! Co to znaczy? – Maybor poczuł, jak krew gwałtownie wypełnia mu tętnice szyjne. – Dlaczego najemnicy pojmali moją córkę?

Omiótł wzrokiem komnatę w poszukiwaniu kolejnego przedmiotu, którym mógłby cisnąć. Czuł potrzebę niszczenia.

– Ojcze, może po prostu natknęli się na nią w lesie i

postanowili trochę się z nią zabawić.

– Co takiego?

Głos Maybora był zimny jak lód. Kedrac nie mógł spojrzeć ojcu w oczy.

– Chyba próbowali ją zgwałcić. Nie mam pewności, ale sądząc po jej krzykach... a potem znaleźliśmy jej płaszcz.

Twarz ojca zrobiła się popielata.

– Pojmaliście któregoś z nich?

– Nie, ojczu. Zabiliśmy dwóch i raniliśmy jeszcze trzech, ale uciekli w las.

– A ciała?

– Przeszukaliśmy tych, których zabiliśmy. Odkryliśmy tylko jeden interesujący fakt. Obaj mieli przy sobie po osiem sztuk złota.

Maybor zastanawiał się przez chwilę, uspokajając się powoli.

– Osiem sztuk złota, co? Zapłacono im za to, i to hojnie. Jesteś pewien, że nikt oprócz ciebie i moich ludzi nie wie o ucieczce Melliandry?

– Ojczu, byliśmy bardzo dyskretni. Sam wypytywałem o nią w mieście i pilnowałem się, by nie okazać nadmiernego zainteresowania. Co do twoich ludzi, wiesz, że są ci wierni.

Maybor skinął głową. Kedrac mówił prawdę. Nadal

jednak odnosi! wrażenie, że ktoś zapłacił najemnikom za schwytanie jego córki.

– Kedracu. musisz jutro wrócić do lasu. Weź ze sobą tropiciela i psy. Trzeba ją odnaleźć za wszelką cenę.

– Tak. ojciec. Kedrac oddalił się.

Gdy wyszedł z komnaty. Maybor podszedł do potłuczonego lustra i przyjrzał się mu. Przed dziesięcioma laty zapłacił za nie przeszło sto sztuk złota.

Nie wątpił, że najemników opłacił Baralis. Królewski kanclerz nie miał własnych ludzi. Choćby to wskazywało na niego. Skąd ta podstępna zmija się dowiedziała? Maybor walnął pięścią w zwierciadło. Skaleczył się ostrym szkłem i popłynęła krew, nie zważał jednak na to. Baralis wysłał najemników, by pojмали i zgwałcili jego córkę!

Jack zaczynał odczuwać pierwsze objawy gorączki. Był doszczętnie przemoczony. Chłód przenikał go do szpiku kości. Nie miał nic do jedzenia ani suchego ubrania, a na domiar złego podczas ucieczki zgubił gdzieś jeden but.

Resztę dnia spędził, krążąc po lesie w nadziei, że zobaczy Melli. W pewnej chwili usłyszał w oddali szcęk oręza. Uznał, że nie byłoby zbyt rozsądnie



zbliżać się do miejsca, w którym toczono walkę, skierował się więc w przeciwną stronę, w głąb puszczy.

W mroźnym powietrzu ubranie schło powoli i po chwili zaczął gwałtownie dygotać. Kostkę wciąż miał obolałą i utykał. Próbował znaleźć jakieś jagody albo orzechy, ale zima była już blisko i daremnie byłoby szukać leśnych płodów.

Zmęczony, wygłodniały i całkowicie przemarznięty Jack przygotował sobie na noc skromne posłanie. Zwinął się pod wielkim dębem, licząc na jakąś niewielką osłonę przed wiatrem. Przykrył się leżącymi w pobliżu gałęziami i liśćmi, po czym zapadł w niespokojny sen.

Rankiem obudziła go woń deszczu. Spojrzenie na przesłonięte nagimi konarami dębów niebo potwierdziło jego obawy. Było szare i pochmurne. Zanosilo się na ulewę. Zauważył, że jego ciało nie zachowuje się normalnie. Wszystkie mięśnie miał obolałe, dręczyły go zawroty głowy, a jego kończyny poruszały się ospale. Skórę miał wilgotną i naciągniętą, a do tego, choć panował chłód, było mu gorąco i zalewał go pot. Nieraz już miał gorączkę i wiedział, co oznaczają te objawy. Nie miał jednak pojęcia, jak im zaradzić w lesie, w odległości wielu mil od domu.

W zamku piekły się już pierwsze bochny. Powietrze wypełniał intensywny zapach drożdży. Dostałby na śniadanie rosół z wieprzowiny, a potem mógłby zmitrężyć godzinę przy kominku. Nie potrafił się nie roześmiać. To naprawdę było zabawne. Jak mógł liczyć na to, że zostanie bohaterem, jeśli wystarczyło, by spędził poza domem dwa dni, a już złapał gorączkę, a do tego był gotów wyrzec się wszelkich przygód w zamian za sute śniadanie i brakujący but?

Dzięki śmiechowi poczuł się silniejszy. Dźwignął się na nogi. Jego pustym żołądkiem targnęły mdłości. Potknął się. Minęła dłuższa chwila, nim odzyskał równowagę. Przyszło mu do głowy, że gdyby Frallit zobaczył go w tej chwili, uznałby, że jest pijany i ograniczyłby mu na tydzień racje *ale*. Perspektywa ograniczonych racji *ale* wydała mu się w owej chwili bardzo atrakcyjna. Chętnie zgodziłby się narazić na wzgardę Frallita w zamian za choćby kubek skwaśnialej wody.

Brnął przed siebie. Przypomniawszy sobie, że poprzedniej nocy pił ze źródła, skierował się więc w tamtą stronę. Jego myśli przeskakiwały z tematu na temat: Bodger i Grift ostrzegali go przed wodą z rowu, a Findra, podkuchenna, drwiła z jego bosych stóp.

Coraz bardziej tracił orientację. Ludzie z zamku zdawali mu się równie realni jak drzewa. Mógłby przysiąc, że przedzierał się przez las całą wieczność. W końcu jednak wylądował pod dębem podejrzenie przypominającym ten, pod którym spał.

Wszystkie drzewa i krzaki wydawały mu się teraz podobne do siebie. Zaczynał majaczyć. Nie pamiętał już nawet, czego właściwie szuka. Rozpaczliwie pragnął się położyć, uciszyć rozbrzmiewające pod czaszką, czyniące mu wymówki głosy. Małą częścią jaźni zdawał sobie sprawę, że nie byłby to dobry pomysł, lecz zignorował własne ostrzeżenie. Chciał wreszcie przestać się zataczać. Musiał się przespać. Osunął się na ziemię u stóp drzewa. Nim zapadł w nieświadomość, zdążył zauważyć, że zaczął padać deszcz. Ucieszył się z tego. Woda cudownie chłodziła jego rozpaloną skórę.

Inne oczy również obserwowały ulewę, podobnie jak młodzieńca, który przez większą część poranka chodził w kółko po lesie. Mężczyzna, do którego należały, zatrzymał się, by zdecydować, co powinien uczynić. Wiedział, że chłopak umrze, jeśli zostawi go na zimnie i deszczu. Nie był jednak człowiekiem skłonny do współczucia. Mieszkał w głębi puszczy i nie obchodził go świat ludzi. Znał życie zwierząt i

drzew. Mało dbał o sprawy, które go nie dotyczyły.

Musiał jednak się przyglądać. W swoim czasie widział wiele: morderstwa i rabunki, ścigających i ściganych. Obserwował to wszystko ze swej zielonej kryjówki i ani razu nie interweniował.

Niedola chłopaka wzruszyła go jednak. Był on niewinny, a takich w lesie spotykało się rzadko. Kryło się w tym jednak coś więcej. Nieraz już widział, jak ludzie giną z zimna czy głodu. Młodzieniec poruszył jakąś ukrytą w nim strunę. Mężczyzna odniósł wrażenie, że w tym wędrowcu jest coś szczególnego. Wydawało mu się, że dostrzega wokół niego bladą lunę przeznaczenia. Potrząsnął głową, uśmiechając się do swych urojeń.

Zastanawiał się bardzo długo, wpatrzony w nieruchomą postać. Jeśli coś zrobi, narazi się na niebezpieczeństwo. Może przyciągnąć do siebie niepożądaną uwagę, a poświęcił wiele lat na to, by jej uniknąć. Gdy jednak owe myśli ukształtowały się w jego głowie, wiedział już, że je zlekceważy. Wyszedł z gąszczy i ruszył ku chłopcu.

Baralis spotkał się ze swymi najemnikami pod murami zamku. Dzień był zimny, więc owinał się ciasno płaszczem. Wiedział już, że im się nie powiodło, wołał jednak udawać, że jest inaczej.

– Czy chłopiec i dziewczyna są w umówionym miejscu? – zapytał Traffa, ich herszta.

– Nie, panie. Złapaliśmy oboje, ale zaatakowali nas ludzie Maybora.

Baralis wiedział, że mężczyzna nie mówi prawdy. Nie udało im się pojmać chłopca. Jego gołąb obserwował pościg. Kanclerz nie przejął się jednak tym kłamstwem. Ostatecznie byli to najemnicy, nie kapłani.

– A ilu ich było? – zapytał z przekąsem, dobrze wiedząc, że odpowiedź brzmi: mniej niż dziesięciu.

– Dwa tuziny – odparł herszt.

– Chyba więcej – wtrącił inny najemnik. Pozostali mruknęli na znak potwierdzenia.

– Ilu ludzi straciliście?

Tego Baralis naprawdę nie wiedział. Wysłał gołębia za chłopcem i nie był świadkiem zakończenia starcia.

– Dwóch, ale zabiliśmy dwukrotnie więcej przeciwników.

– Hmm – mruknął sceptycznie kanclerz. – Ukryjcie się teraz w umówionym miejscu. Wezwę was. byście pojмали zbiegów, gdy tylko zdobęde o nich dokładniejsze dane.

Herszt nie ruszył się z miejsca.

– Nie zapłacono nam za udział w walce. Powiedziałeś, że mamy tylko złapać parę dzieciaków. Dwóch moich ludzi zabito, a reszta jest niezadowolona.

– O co ci chodzi? – zapytał zimnym głosem Baralis. Wiedział dokładnie, czego chce herszt.

– Musimy dostać więcej. Jeszcze po osiem sztuk złota na głowę. Traff położył dłoń na rękojeści miecza w geście subtelnej groźby. Baralisa nie tak łatwo było zastraszyć. Rozpostarł nagłym ruchem płaszcz.

– Nie sądzicie, że chciwość ujdzie wam na sucho, głupcy – przemówił ochryłym szeptem, gdy był pewien, że wszyscy skierowali uwagę na niego. – Jednym ruchem palca mógłbym was unicestwić tak doszczętnie, że nawet najbliższe rodziny zapomniałyby o waszym istnieniu. – Popatrzył w oczy każdemu z najemników po kolei. Żaden nie wytrzymał jego spojrzenia. Usatysfakcjonowany, zmienił ton. – Wezwę was dziś wieczorem albo jutro rano. Bądźcie gotowi. Znikajcie już!

Patrzył z nikłym uśmiechem na posepnej twarzy, jak najemnicy dosiadają koni i oddalają się. Raz jeszcze owinał się płaszczem i ruszył w stronę zamku. Miał wiele spraw do przemy sienią. Jeśli chciał powodzenia swych planów, nie mógł dopuścić, by na

dworze Czterech Królestw ujrzano jeszcze kiedyś ładna twarzyczkę Melliandiy.

Przeniósł się myślami na wschód, do księstwa Brenu. najpotężniejszego z północnych mocarstw Diuk zaczynał okazywać chciwość. Pragnął posiadać więcej ziemi, drewna i zboża. Baralis wiedział, że będzie musiał zachować wielką ostrożność, by zrealizować swe plany. Mieszkańcy Czterech Królestw obawiali się zachłannej polityki Brenu. O ironio. to właśnie ich obawy mogły pomóc w zawarciu przymierza. Zawsze łatwiej było zneutralizować zagrożenie niż je wyeliminować.

W przypadku pięknej Melliandry nie mógł jednak użyć owej taktyki. To zagrożenie wymagało szybkiej eliminacji.

Wrócił wreszcie do swej komnaty i – popijając holka korzeniami, by złagodzić ból w palcach – zaczął zastanawiać się nad tym. co pokazał mu gołąb. Pożegnawszy się wczoraj z królową. Baralis wrócił do komnat, zdecydowawszy, że jednak chce obejrzeć pojmanie. Ptak widział, jak jego ludzie runęli na zbiegów. Przyglądał się, jak chłopak i dziewczyna zostali rozdzieleni. Kanclerz ujrzał, że większość najemników podążyła za Melliandrą. Chłopaka ścigało tylko trzech. Nakazał gołębiowi śledzić dziewczynę,

która jechała konno i z łatwością mogła zniknąć mu z oczu. Zauważył zbliżających się ludzi Maybora i był świadkiem tego, jak obie strony pozwoliły uciekinierce się wyniknąć.

Gołąb jednak ją śledził. Gdy Baralis upewnił się, że Melliandrą dalej nie ucieknie, wysłał ptaka na poszukiwania chłopca. Nigdzie go jednak nie znalazł.

Kanclerz zachował spokój. Piekarczyk był jedynie zagadką, która wymagała rozwiązania, podczas gdy córka Maybora stanowiła przeszkodę na jego drodze do chwały. Nakazał opornemu ptakowi ponownie obserwować dziewczynę. Gdy tylko rozbiła obóz na noc, Baralis pozwolił gołębiowi zasnąć. Nieszczęsne stworzenie było zmarznięte i wyczerpane. Kanclerz, obawiał się, że niedługo padnie.

Gdy holk złagodził nieco ból w jego stawach, zastanowił się, co robić dalej. Maybor najprawdopodobniej wiedział już, że to on opłacił szukających Melliandry ludzi. Z pewnością spróbuje się zemścić. Ci przekłeci dumie próbowali zgwałcić jego jedyną córkę! Trzeba będzie na niego uważać. Oburzony ojciec może się okazać niebezpiecznym przeciwnikiem.

– Nie. Bodger. to nie wielkość rzepek powie ci. czy mężczyzna ma dobre zawieszenie.



- Tak mówi stary pan Pesk. Grift.
- To dlatego, że sam ma rzepki wielkie jak arbuzy.
- Nie mogę zaprzeczyć, że są wyjątkowo duże.

Grift.

– Nie. Bodger, żeby poznać, czy mężczyzna ma naprawdę dobre zawieszenie, musisz przyjrzeć się białkom jego oczu.

– Białkom oczu?

– Ehe. białkom oczu, Bodger. Im bielsze oko. tym większa pała. Ta zasada zawsze się sprawdza.

Obaj mężczyźni rozważali przez chwilę tę myśl. Bodger po cichu postanowił przyjrzeć się przy okazji własnym oczom. Wypili jeszcze trochę *ale*, po czym przeszli na inne tematy.

– Posłuchaj, Grift, coś się u nas dzieje. Najemnicy na zamkowych terenach, walki w lesie. Dziś rano zobaczyłem gębę, której dawno już nie widziałem.

– A czyją, Bodger?

– Pamiętasz Scarla?

Grift wciągnął gwałtownie powietrze.

– Scarl. To nie wróży nic dobrego, Bodger. Jest z niego szczwany łotrzyk. Nie chciałbym mu wchodzić w drogę.

– Czysta prawda, Grift, gdy Scarla ostatnio widziano w zamku, paru ludziom poderżnięto gardło.

– O ile dobrze sobie przypominam, Bodger, kiedy się tu pokazał, marny koniec spotkał lorda Glayvina.

– To ten, który nie chciał sprzedać lordowi Mayborowi gruszowych sadów, zgadza się?

– Ehe, Bodger. Wdowa nie miała podobnych skrupułów. Po śmierci męża sprzedała sady lordowi Mayborowi tak szybko, jakby były zarażone brązowym robakiem.

Maybor uznał, że najlepiej będzie wyznaczyć spotkanie na otwartym terenie, z dala od podsłuchujących dworzan. Z uwagą wybrał miejsce, w którym nikt nie przeszkodzi w rozmowie – położone pod wiatr od gnojowiska. Przytknął chusteczkę do twarzy, by choć częściowo uchronić nos przed ohydny smrodem. W ten sposób zamaskował się również w miarę skutecznie.

Obserwował zbliżającego się skrytobójcę. Był to drobny mężczyzna, niezbyt silny, lecz podobno żyłasty i szybki. Powiadano, że nikt nie włada nożem sprawniej i zręczniejszo od niego.

– Miło cię spotkać, przyjacielu – odezwał się wielmoża.

– Życzę przyjemnego dnia. lordzie Mayborze. – Skrytobójca rozejrzał się wokół. – Wybrałeś ohydne miejsce na spotkanie.

- Trzeba dokonać ohydneho czynu.
- Kto tym razem ma rozstać się z tym światem, panie? Skrytobójca nieustannie obserwował otoczenie, by się upewnić, czy nikt nie nadchodzi.

Maybor nie lubił owijania w bawełnę.

- Pragnę śmierci Baralisa. królewskiego kanclerza. Spojrzeli sobie w oczy i to skrytobójca pierwszy odwrócił wzrok.

- Posłuchaj. Mayborze. Chyba wiesz, jak potężny jest Baralis. Jest kimś więcej niż zwykły człowiek. To podobno mistrz.

Wielmoża nie lubił myśleć o takich sprawach. Usiłował przekonać sam siebie, że pogłoski o mocach Baralisa są fałszywe, lecz nie udało mu się to do końca. Zawsze pozostawał cień wątpliwości. Nie miał jednak zamiaru pozwolić, by skrytobójca się o tym dowiedział. Gdyby uznał, że w grę wchodzi czary, zażądałby podwójnej ceny.

- Posłuchaj. Scarlu. Baralis nie jest taki potężny i wszechwiedzący, jak się wszystkim wydaje. Ma słabe punkty. Ostry nóż poderżnie mu gardło tak samo. jak każdemu innemu.

- Jego komnaty z pewnością mają ochronę przed intruzami.

- To już nie moje zmartwienie. Musisz się

wymknąć każdemu, kto znajdzie ci drogę – odparł Maybor, celowo źle interpretując słowa Scarla. Niech go licho, jeśli pozwoli, by skrytobójca otwarcie wspomniał o czarach! Obaj podejrzewali istnienie tego zagrożenia. Po co dodawać mu wagi, przyznając to głośno? – Twoim zadaniem jest znaleźć czas i miejsce, gdy będzie najbardziej podatny na atak. Domagam się tylko tego, byś nie zostawił śladu wiodącego do mnie.

– Chcesz mnie uczyć, jak mam wykonywać swoją robotę, Mayborze?

Skrytobójca mówił lekkim tonem, lecz w jego głosie brzmiał cień wyrzutu.

– Nie. nie. Pragnę, by to dokonało się jak najszybciej. Baralis zbyt długo już dzierży władzę na dworze.

Maybor zaczerpnął głęboko tchu. zapominając, gdzie się znajduje. Płuca wypełnił mu smród ludzkich odchodów. Zakasłał gwałtownie, wykrztuszając z siebie cuchnące powietrze.

Scarl przyglądał się mu z cieniem niesmaku na inteligentnej twarzy.

– Nie podoba mi się zbytnio to zadanie. Jest bardzo ryzykowne.

– Podaj cenę – burknął Maybor, pragnąc bezzwłocznie odejść.

- Będzie wysoka.
- Skrytobójca uniósł brwi w pytającym wyrazie.
- To nieważne. Zapłacę tyle. ile zażadasz.
- Nie potrzebuję pieniędzy, Mayborze. Dobrze wiesz, że za moją pracę otrzymuję solidną zapłatę. Nie. szukam czegoś na starość.
- Tak, tak. słucham cię.
- Chcę dostać ziemię. Mayborze. Chciałbym w podeszłym wieku zająć się uprawą jabłek.
- Mayborowi to się nie spodobało. Nic nie było dla niego cenniejsze niż ziemia.
- Zapłacę dwieście sztuk złota – zaproponował.
- Nie. – Skrytobójca odsunął się od niego. – Nie, Mayborze, chcę dostać ziemię, albo zaproponuję swe umiejętności komu innemu.
- Wielmoża ustąpił.
- Proszę bardzo. Dam ci trochę ziemi na północy. Mam za Jessonem trzydzieści akrów, które mogę ci odstąpić.
- Jabłka lepiej się udają na wschodzie – zauważył skrytobójca.
- Nie rozumiem, po co ci ziemia na wschodzie. Przecież trwa wojna z Halcusami.
- Ludzkie wojny mijają. Ziemia zostaje. Maybor raz jeszcze ustąpił.

– Niech będzie i tak. Dam ci dwadzieścia akrów sadów na wschodzie.

– Byłeś gotowy dać mi trzydzieści akrów na północy – odparł skrytobójca, cofając się o kolejny krok.

– Niech będzie. Dostaniesz trzydzieści akrów. Ale nie zobaczysz ani źdźbła trawy, dopóki nie dostarczysz dowodu, że wykonałeś robotę.

Skrytobójca skinął głową.

– Sądzę, że to uczciwa umowa. Podejmę się tego zadania.

– Dobrze. Czy mogę ci je w jakiś sposób ułatwić? Lord Maybor otrzymał odpowiedź, na którą liczył.

– Nie. Muszę sam znaleźć sposób. Dobre morderstwo często bywa owocem natchnienia. Wolę pracować w pojedynkę.

Scarl pokłonił się elegancko Mayborowi i zniknął. Wielmoża nakazał sobie zaczekać kilka minut, nim podążył w jego ślady. Gorąco pragnął uwolnić się od otaczającego go smrodu rozkładu.

Gdy tylko Melli się obudziła, zauważyła gołębia. Siedział wysoko na gałęzi. Wydał się jej symbolem nadziei i ucieszyła się z jego obecności.

Spędziła noc zaskakująco wygodnie. Znalazła spokojną polankę i opatulila się ciepłymi kocami.

Mech był miękki i sprężysty. Dziewczyna obudziła się wypoczęta i głodna. Koń znalazł dla siebie pożywienie i pasł się spokojnie na porośniętym trawą obrzeżu polanki. Melli żałowała, że ma tylko wieprzowinę i suchary.

Przyszło jej do głowy, by sprawdzić położenie słońca, zamierzała bowiem udać się na wschód. Nigdzie jednak nie było go widać. Niebo miało posępną, szarą barwę. Zdała sobie sprawę, że wkrótce będzie musiała odnaleźć jakieś schronienie. Chmury stanowiły zapowiedź deszczu, przed którym nie miała właściwie osłony. Koc, który służył jej jako płaszcz, nie był impregnowany i woda bez trudu przez niego przesiąknie. Nagle ją olśniło: osłoni się ciężkim workiem, w którym trzymała zapasy. Był wykonany z szorstkiej i kłującej tkaniny, z pewnością więc ochroni ją przed deszczem lepiej niż wełniany koc.

Wysypała zawartość worka. Następnie, wzięwszy w rękę mały, lecz ostry nożyk do czyszczenia ryb, który przezornie zapakował pan Trout, wycięła małe otwory w dnie i bokach worka. Owinęła pierś kocem, po czym wciągnęła worek przez głowę, wysuwając ręce przez boczne otwory. Pasował znakomicie, osłaniając jej ciało aż do łydek. Parsknęła śmiechem. Musiała wygłądać bardzo zabawnie. Co by powiedział

pan Trout, gdyby zobaczył, co się stało z jego workiem?

Napawała się brzmieniem własnego śmiechu. Skakała wesoło po polanie, udając, że kłania się wyimaginowanym damom dworu.

– Tak, lady Fiandrell, to najnowszy szał w Rornie. Materiał kazałam sprowadzić spoza suchych krain. Jak już jednak mówiłam, warto było zapłacić tak wygórowaną cenę.

Zaczęła chichotać jak szalona, wyobraziwszy sobie, że zjawia się na dworze odziana w worek.

Stary koń uniósł łeb, przywabiony dźwiękiem jej śmiechu.

– Na co się gapisz? – krzyknęła. – To nie ja zmoknę, kiedy zacznie lać.

Wybrała kierunek, w którym niebo wydawało się jej odrobinę jaśniejsze, i ruszyła w tamtą stronę, gryząc kawałek suchara. Swój dobytek zapakowała zgrabnie w drugi koc. Po drodze zastanawiała się, jak ma nazwać swego wierzchowca. Nie pasowały do niego romantyczne imiona, jak Złota Strzała, ani militarne, jak Wojownik. Potrzebne było zwykłe imię, jak Reneta albo Kasztanek. Tyle, że te imiona jej się nie podobały.

– Obawiam się, że jest ci przeznaczony pozostać koniem bez imienia – powiedziała, klepiąc



wierzchowca po boku. Jedno było pewne: nie miała już więcej zamiaru jeździć bez siodła. Okazało się to nadzwyczaj niewygodne, a na pamiątkę zostały jej obolałe uda.

Po drodze wciąż wracała myślą do swego towarzysza, Jacka. Żywiła gorącą nadzieję, że nie natknął się na ścigających ją ludzi. Mógł ją porzucić, ale nie żywiła do niego pretensji. Żałowała nawet, że nie ma go już przy niej, gdyż nie podobała jej się myśl, że będzie wędrować sama, mając do obrony tylko nóż do czyszczenia ryb. W ciągu dwóch dni obrabowano ją i próbowano zgwałcić. Co stanie się teraz? – zastanawiała się, wszyscy bowiem wiedzieli, że kłopoty chodzą trójkami.

Wreszcie zaczęło padać. Melli starała się prowadzić konia najbardziej osłoniętą trasą. Ruszyła w stronę najgęstszego boru, gdzie szerokie konary choć trochę osłaniały ją od deszczu. Zanuciła kilka piosenek, by poczuć się raźniej. Starła się nie myśleć za dużo o przyszłości.

Tavalisk delectował się jednym ze swych ulubionych smakołyków: surowymi ostrygami. W Rornie zaczął się na nie sezon i ich zapasy były niewyczerpane. Tłuscioch jednak nie jadał zwyczajnych małży. Codziennie dostarczano mu

świeże, pochodzące z zimnych mórz w pobliżu Toolay. Nie przejmował się kosztami tego przedsięwzięcia. Pokrywał je kościół. Ostatecznie arcybiskup zasługuje na odrobinę skromnych przyjemności, jakie można odnaleźć w życiu, pomyślał. Otworzył wprawna, dłonią, kolejną muszlę i spryskał mlecznobiałe stworzenie octem. Z zadowoleniem zauważył lekkie drżenie, gdy płyn dotknął ciała. Świadczyło to, że małż jest żywy i zdrowy. Uniósł ostrygę do ust, napawając się jej dotykiem. Uważał, by nie przebić stworzenia ostrymi zębami. Lubił połykać je żywe i całe. Z niezadowoleniem usłyszał pukanie do drzwi. Dlaczego ten dureń Gamil zawsze musiał mu przeszkadzać w jedzeniu?

– Słucham? O co chodzi? – zapytał, nadając swemu głosowi znudzony, pobłażliwy ton.

– Pomyślałem sobie, że zechcesz się dowiedzieć, co porabia nasz przyjaciel, rycerz. Wasza Eminencjo.

Tavalisk zlekceważył sekretarza, przystępując do otwierania kolejnej muszli. Natychmiast zauważył, że ostryga jest zepsuta. Jej skórkę pokrywał szarawy nalot.

– Może zjadłbyś ostrygę. Gamilu? – zaproponował, podsuwając sekretarzowi nieświeżego małża. Gamil zrobił zdumioną minę. Tavalisk nigdy go niczym nie

częstował. Był zmuszony przyjąć smakołyk. Przełknął go pośpiesznie, z nieprzyjemnym siorbnięciem.

– Czyż nie pyszna? – Arcybiskup uśmiechnął się z dobrodusznym pobłażaniem. – Wiesz, że sprowadzam je aż z Toolay? – Gamil skinął głową. – Wspominałeś coś o rycerzu.

Tavalisk otworzył następną ostrygę.

– Tak, Wasza Eminencjo. Udał się wczoraj na ulicę Frong i zajrzał “Pod Winogrona”, gdzie kupił długi nóż.

– Bardzo dobrze. Gamilu. Czy pokazuje kręgi?

– Nie. Schował je pod ubraniem.

– To rozsądne. Mieszkańcy Rornu nie darzą miłością rycerzy z Valdis. – Tavalisk pozwolił sobie na leciutki uśmieszek, zaledwie odsłaniając koniuszki zębów. – Mam wrażenie, że o to zadbałem. Co prawda, ich nienawiści właściwie nie trzeba obecnie pobudzać. Rycerze chcą uchodzić za religijnych fanatyków, ale w rzeczywistości interesuje ich handel, nie nawrócenia. – Napełnił puchar przejrzystym, gęstym płynem. – Coś jeszcze?

– Jedna sprawa. Rycerz pytał o Lam.

Tavalisk, który miał już pociągnąć łyk z pucharu, odstawił go natychmiast.

– O Larn. Dlaczego pytał o Lain?

– Nie wiem tego. Wasza Eminencjo.

– O ile dobrze sobie przypominam, ten stary głupiec Bevlin nie kocha Larnu. Próbował kiedyś położyć kres temu, co się tam dzieje. Oczywiście jego próba zakończyła się żalonym niepowodzeniem. Larn nie toleruje niczyjej ingerencji. – Tavalisk przerwał na chwilę, bawiąc się pucharem. – Może chce wykorzystać rycerza do rozpoczęcia drugiej ofensywy. Naprawdę powinien pozostać przy swych księgach i prorocत्वach. Jest zdecydowanie za stary, by bawić się w moralne krucjaty.

Arcybiskup zwrócił się w stronę Gamila.

– Możesz już odejść. Przez tę rozmowę o Larnie odebrało mi apetyt.

Gamil wycofał się posłusznie. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, Tavalisk natychmiast ponownie zabrał się za ostrygi. Jego oczy poszukały chciwie największej.

## 6

Tawl ponownie wyszedł na ulice Rornu. Kiedy wrócił wczoraj do Megan, zapytał ją o jasnovidzów z Larnu. odpowiedziała jednak, że nigdy o nich nie słyszała. Pragnął dokonać dwóch rzeczy: po pierwsze chciał odzyskać siłę w mięśniach, odbywając kilkunastomilowy spacer, po drugie zaś odnaleźć kogoś, kto powiedziałby mu coś o Larnie.

Po ulicach wciąż krążyły tłumy, lecz znacznie mniej liczne niż wczoraj. Ludzie wydawali się bladzi i wynędzniali. Pijaństwo i uleganie żądzom odebrały sprężystość ich krokom.

Tawl czuł się już znacznie lepiej. Ramiona i nadgarstki wracały powoli do zdrowia. Nogi również odzyskały sprawność. Ćwiczenia, które przeszedł jako rycerz, wyrobiły w nim zdolność regeneracji sił, która nie opuściła go nawet po pięciu latach. Potrafił dzięki koncentracji kontrolować przepływ krwi w mięśniach, rozszerzać tętnice, nadawać tkankom giętkość i przygotowywać je do działania. Przekonał się, że owa

metoda, która miała służyć mobilizacji przed bitwą, pomagała również jego uszkodzonym mięśniom szybciej odzyskiwać siłę.

Szkolenie wydawało mu się teraz czymś bardzo odległym. Stał się inną osobą. Nie był już. młodym, pełnym ideałów i żadnym ich osiągnięcia niedorostkiem, klon przed tak wieloma laty stawiał się pod murami Valdis. Wówczas głowę wypełniała mu nadzieja, marzenia i ekscytująca perspektywa wielkich dokonań.

Podczas pierwszego roku szkolenia kładziono nacisk na siłę fizyczną. Nowicjuszom wyznaczano serię zadań, które sprawdzały i rozwijały ich wytrzymałość. Tawła wysłano do Wielkiego Wododziału, uzbrojonego tylko w nóż u boku. Miał szczęście. Część spośród tych, którzy wyruszyli tam wcześniej, zaskoczyły śnieżyce. Nigdy nie powrócili. Dotarcie do górskiej świątyni zajęło mu dwa miesiące. Do dziś pamiętał przeraźliwe zimno, włosy sztywne od lodu. ślinę zamarzającą na zębach. Budynek wznosił się na szczycie drugiej pod względem wysokości góry w Znanych Krainach. Stanowił symbol. By zdobyć pierwszy krąg. trzeba było odbyć medytację w jego pustej sali.

Kiedy wrócił do Valdis. przepelniony dumą z

odniesionego sukcesu, wyznaczono mu kolejne zadanie. Tym razem miał przeszukać całe mleczne płaszczyzny. W Valdis nie tolerowano dumy.

Mleczne płaszczyzny leżały na południe od Leiss. Ich nazwa wprowadzała w błąd. Składały się z białej, porowatej skały, a płaskie wydawały się tylko z oddali. Z bliska okazywały się labiryntem tuneli i lejów. Skała była krucha jak stara kość. Jeden błędny krok, nagła ulewa, czy choćby najłżejsze drżenie ziemi mogły prowadzić do śmierci. Tawlowi rozkazano odnaleźć rycerza, który wyruszył na płaszczyzny w poszukiwaniu miecza Borca. Na jałowych skałach nie było żadnego życia. Bezwzględna władzę dzierżyły tam dzień i noc. Słońce było bezlitosne, a księżyc nieczuły. Gdy wreszcie znalazł ciało, był bliski obłędu i śmierci głodowej. Rycerz sam poderżnął sobie gardło. Przed śmiercią wyrzył w skałę słowa: *cy nil hesrl...Nie jestem godny*”.

Okazać się godnym. To tylko liczyło się dla rycerza z Valdis. Temu podporządkowane było całe szkolenie, nauka i poszukiwania. Tawl wspominał nowicjat z mieszanymi uczuciami. Pierwszy krąg przyniósł mu rozgłos. Prześcignął wszystkich w szermierce, choć przed rozpoczęciem szkolenia nigdy nie trzymał w dłoni miecza. Dotarł do świątyni w dwa miesiące,

podczas gdy większość potrzebowała na to ponad trzech. Było też ciało, które przywlókł z mleczych płaszczyzn na własnym grzbiecie. W Valdis dbano o należyty pochówek rycerzy.

Rozgłos wzbudził zazdrość. Nadanie mu pierwszego kręgu wzbudziło skrywane napięcia. Powtarzano, że jest za młody, zbyt nisko urodzony, przesadnie faworyzowany.

Drugi krąg wywołał drwiny. Tawłowi brakowało wykształcenia. Jediną książką, jaką przeczytał w życiu, był Marod. Po zdobyciu pierwszego kręgu znalazł się jednak w towarzystwie ludzi kulturalnych. Z wysiłkiem przebijał się przez klasyczne teksty, studiował dzieła wielkich historyków, uczył się obcych języków. Nieustannie wypominano mu, kim jest: nisko urodzonym chłopakiem z bagien. Większość rycerzy wywodziła się ze szlachty. Ich atutami były dobre maniere, wychowanie i prawidłowa wymowa. Nigdy nie pozwalali mu zapomnieć, że nie jest jednym z nich.

Spotykały go niezliczone upokorzenia: nie potrafił się kłaniać, właściwie ubierać, rozmawiać z wielkimi panami. Wszystko to wzmagało tylko jego determinację. Pragnął nauczyć się ich zwyczajów nie po to, by się do nich upodobnić, lecz po to, żeby udowodnić, iż każdy może zostać rycerzem. Gdyby nie



ich szyderstwa, nie udałoby mu się zdobyć drugiego kręgu tak szybko. Powinien być im wdzięczny przynajmniej za to.

Miał kilku przyjaciół, porządnych ludzi, którzy byli dla niego jak bracia. Gdy już uzyskał drugi krąg i mógł wyruszyć w świat, mieli zamiar odbyć wspólnie podróż za suche krainy w poszukiwaniu świętych skarbów. Wszystko jednak się zmieniło. Wszystko przybrało inny obrót, gdy pojechał do domu, chcąc odwiedzić rodzinę. Jego życie przeistoczyło się na zawsze. Teraz pozostała mu tylko misja.

Wąsał się bez celu po ulicach Rornu w poszukiwaniu czegoś, co pochłonęłoby jego umysł. Gdy jego myśli zanadto zbliżały się do wspomnienia o rodzinie, rozpaczliwie pragnął zmienić ich kierunek. Kobiety, z ich zdolnością do czułego dawania siebie, zwykle potrafiły zawładnąć jego ciałem tak, że i umysł podążał za nim. Gdyby znajdował się w innym mieście, zapewne poszukałby u nich pociechy. Tu, w Rornie, była jednak Megan, która zrobiła dla niego tak wiele, żądając w zamian tak mało, że był jej winien przynajmniej wierność.

Wybierał ulice pełne jaskrawo odzianych ludzi. Wszystko, co przyciągało jego uwagę, było użyteczne. Na koniec ruszył w stronę portu. Zapach morza był

ostry. ale przyjemny. Nastrój Tawła poprawiał się z każdym haustem przesyconego solą powietrza.

Rorn był największym handlowym miastem na wschodzie. Przez jego port przechodziły rzadkie korzenie, znakomite jedwabie, bajeczne klejnoty i świeże produkty morza. Tereny leżące na północ od miasta były skaliste i jałowe. W okolicach Rornu praktycznie nie istniały rolnictwo i hodowla. Miasto zawdzięczało dobrobyt sprzyjającym pasatom, które łagodnie kierowały do jego bezpiecznych przystani statki ze wszystkich zakątków Znanych Krain.

Port był olbrzymi. Ciągnął się przez kilkanaście mil wybrzeża. Tawł z radością oddychał rześkim, słonym powietrzem. Stanowiło ono miłą odmianę po smrodzie rozkładu wypełniającym dzielnicę nierządu.

Szedł jakiś czas. nim wybrał sympatycznie wyglądającą tawernę. Na starym, odłóżającym szyldzie widniał napis: "Pod Różą i Koroną". Tawł wśliznął się do środka, gdzie znalazł osłonę przed wiatrem.

Wewnątrz panował spory ruch. Goście rozmawiali głośno, ludzie domagali się krzykiem *ale*. grupa mężczyzn wznosiła hałaśliwe toasty na cześć miejscowych piękności, inni zaś zakładali się o czas przybycia statków do portu. Niektórzy siedzieli przy stołach, pogrążeni w ożywionej dyskusji, pozostali pili

w samotności. To była portowa tawerna, którą odwiedzali marynarze, by rozmawiać o morzu.

Do Tawla podeszła rośła, urodziwa kobieta.

– Czego sobie życzysz? – zapytała z uśmiechem, eksponując jednocześnie imponujący biust. Tawł, niemal wbrew sobie, dał się wciągnąć w znajomy rytm flirtu. Wystarczyło wymienić uśmiechy, by pojawiła się szansa zbliżenia. Czuł pokusę, by odbyć ów taniec do końca, poczuć radość – choćby nawet czysto cielesną – wiążącą się z intymnym kontaktem. Kobieta czekała tylko na znak, pewna siły swych wdzięków.

Tawł oderwał wzrok od jej oczu. Spojrzał na podłogę.

– Wystarczy mi kufel *ale*, jeśli łaska.

Uniosła brwi, zaskoczona, lecz nie zniechęcona jego powściągliwością.

– Proszę bardzo – odparła z lekkim uśmiechem na pełnych ustach. – Mam nadzieję, że piwo rozgrzeje twoją krew.

Oddaliła się powoli, by Tawł miał czas pożałować rozstania z jej ponętными kształtami.

Wróciła po kilku minutach. Rycerz zauważył, że wielu mężczyzn śledziło wzrokiem jej wspaniale ukształtowaną sylwetkę. Cechowała się obfитоścią kształtów, której rozpaczliwie brakowało wielu

współczesnym kobietom.

– Proszę bardzo. Nie zapomnij mnie powiadomić, jeśli zmienisz zdanie i zażyczysz sobie czegoś więcej.

Odwzajemniła smętny uśmieszek Tawla i oddaliła się, kołysząc zuchwale biodrami.

Rycerz usiadł wygodnie i wypił łyk *ale*. Było znakomite: chłodne i pienne, o przyjemnym, orzechowym smaku.

– Właściciel warzy je sam. – Tawl uniósł wzrok i zobaczył stojącego obok staruszka o czerwonej twarzy.

– Czy mogę się przysiąść?

– Proszę bardzo. Czuję się zaszczycony. Mężczyźnie najwyraźniej spodobała się uprzejmość Tawla.

– Jesteś dobrze wychowany, młody człowieku, ale mówisz z dziwnym akcentem. Nie potrafię go rozpoznać.

– Urodziłem się na Nizinach.

Rycerz nie miał ochoty o tym mówić. Staruszek wyczuł jego niechęć i zmienił temat.

– Znają mnie tu jako Jema. – Uśmiechnął się miło.

– Czy zechciałbyś zdradzić mi swe imię?

– Jestem Tawl.

Bez zwyczajowego tytułu brzmiało to dziwnie krótko.

– Życzę ci udanego dnia, Tawl.

Mężczyzna dopił *ale* i z głośnym stuknięciem postawił pusty kufel na ławie. Tawl zaproponował, że postawi mu następny. Staruszek zgodził się uprzejmie. Po kilku minutach obaj już siedzieli, sącząc piwo.

– Czym się zajmujesz, Jem?

– Lepiej zapytaj, czym się zajmowałem. – Westchnął ciężko, wpatrując się w *ale*. – Byłem żeglarzem. Większą część życia spędziłem na pełnym morzu. Dalej bym żeglował, gdyby nie chora noga. Na suchym lądzie jest za nudno, jak na mój gust.

– To znaczy, że odwiedziłeś wiele krajów? – zapytał od niechcienia Tawl.

– Tak. i to na obu brzegach.

– Powiedz mi, Jem. czy słyszałeś kiedyś o miejscu zwanym Laniem?

Staruszek wessał powietrze do płuc. Milczał przez dłuższą chwilę. Gdy wreszcie się odezwał, jego głos zmienił barwę.

– Dlaczego cię to interesuje?

Tawl postanowił spróbować szczęścia.

– Chciałbym odwiedzić tamtejszych jasnowidzów.

– Na twoim miejscu nie ryzykowałbym tego. – Jem potrząsnął głową. – W żadnym wypadku.

– A więc wiesz, gdzie to jest?

– Jak mógłbym zwać się żeglarzem, gdybym tego nie wiedział? – odpowiedział ostro. – Larn leży niedaleko od miejsca, w którym się znajdujemy – ciągnął łagodniejszym tonem. – Tylko parę dni żeglugi na południowy wschód. To maleńka wysepka, tak mała, że nie znajdziesz jej na mapach. Marynarze jednak znają ją dobrze. Jest dla nich śmiertelnym zagrożeniem. Otacza ją wiele mil płytkiego, pełnego raf morza. Biada tym, którzy zбочą z kursu i trafią w pobliże tej przeklętej wyspy.

– Ale chyba musi być jakiś sposób, by się tam dostać? Tawl spróbował ukryć podniecenie, pociągając długi łyk *ale*.

– Żaden kapitan, który ceni swój statek, nie zabierze cię tam. Najlepiej jest zbliżyć się na bezpieczną odległość, a resztę drogi pokonać łodzią wiosłową.

– Jak daleko trzeba wiosłować?.

– Rozsądny kapitan nie podpłynie bliżej niż na sześćdziesiąt mil.

– Ale przecież ludzie muszą tam jakoś docierać, żeby poradzić się jasnowidzów.

– Nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby się radzić jasnowidzów z Larnu, chłopcze – ostrzegł go staruszek.

– Co o nich słyszałeś?

– Wiele... – Marynarz pociągnął łyk *ale*. Rozejrzał się ostrożnie po pomieszczeniu. – Naprawdę wiele – ciągnął szeptem. – Opowieści tak przerażające, że nawet człowiek w moim wieku nie chciałby ich powtarzać.

– A może kupiłbym ci jeszcze jedną kolejkę, żebyś mógł mi opowiedzieć wszystko, co wiesz?

Jem zastanowił się nad tą propozycją.

– Proszę bardzo, chłopcze. Zrobisz dobry interes.

Tawł zamówił kolejne kufle. Młodzieniec i staruszek czekali w milczeniu. Gdy szynkarka przyniosła *ale*, żaden z mężczyzn nie zwrócił uwagi na jej wdzięki.

Jem zaczął mówić.

– Jasnovidze z Larnu istnieli, odkąd ludzie sięgają pamięcią. Byli na wyspie na długo przed założeniem Rumu. Podobno przebywają tam od czasów wielkiej czystki. Nie mam pojęcia, jakie dziwne wierzenia wyznają. Nie potrafię ci powiedzieć, jakich czczą bogów. Wiem jednak, w jaki straszliwy sposób kształcą kolejnych jasnovidzów. Władze zwierzchnie Larnu wybierają małe dzieci, chłopców, którzy podobno mają odrobinę wieszczych zdolności. Płacą ich rodzicom sto sztuk złota. Rodzice nigdy już potem

nie widzą swych synów. Dzieciaki przewozi się na tę straszliwą wyspę, gdzie przez cały rok przetrzymuje się je w zaciemnionej izbie celem oczyszczenia dusz i umysłów. Karmią je tylko chlebem i wodą, gdyż są przekonani, że inne pokarmy przeszkadzają w przepowiadaniu. Po roku spędzonym w ciemności, z malców bierze się miarę. Dla każdego z nich wykuwa się potężny gładz, ważący wiele ton. Następnie kamienie te przeciąga się do Wielkiej Komnaty Jasnowidzenia i kładzie płasko na ziemi. Potem przywiązuje się do nich chłopców. Rozpościerają szeroko ich kończyny i przytwierdzają je do kamienia najmocniejszą liną. Zaciągają ją tak mocno, jak tylko się odważą. Nieszczęśnicy nie są w stanie poruszyć nawet palcem. Mogą tylko patrzeć i oddychać. Spędzają w ten sposób całe życie, zupełnie unieruchomieni. Z upływem miesięcy kończyny więdną, przeradzając się w bezużyteczne kikuty. Wszystko to ma ułatwić myślenie i przepowiadanie. To najstraszniejszy los, jaki potrafię sobie wyobrazić. Władze zwierzchnie pilnują, by jasnowidzów karmiono i myto. Twierdzą, że są oni bliżej Boga. Że dzięki swemu poświęceniu mogą poznać jego wolę. Dzień za dniem spędzają na kontemplacji wielkiego gobelinu życia. Żyją i umierają przywiązani do



kamienia. Zagubieni w świecie halucynacji i obłądu.

Staruszek umilkł. Tawl niemal nie potrafił uwierzyć w to, co usłyszał. Zadrżał na myśl o losie jasnowidzów. Zastanawiał się, jak zdesperowana musi być rodzina, by sprzedać swych synów do podobnego piekła.

Wreszcie rycerz, nie mógł już dłużej znieść milczenia.

– Starcze, twoja opowieść zmroziła mi krew w żyłach. Obawiam się, że jestem ci winien coś więcej niż kolejkę.

– Nie jesteś mi nie winien. – Jem mówił szybko, jakby miał już przygotowaną odpowiedź. – Obiecuj tylko, że nigdy nie odwiedzisz tego przekłętego miejsca.

– Do tego nie mogę się zobowiązać. Obawiam się, że moim przeznaczeniem jest tam się udać. – Staruszek wstał. Tawl złapał go za ramię. – Powiedz mi jeszcze, jaka jest cena za przepowiednię?

– Sami ją określają – odrzekł Jem, odchodząc. – Strzeż się, by nie zażądali twojej duszy.

Tawl spoglądał za oddalającym się mężczyzną. Robiło się późno. Zapragnął wrócić do Megan, poczuć wokół ciała jej ciepłe ramiona.

Arinalda przebywała w królewskiej komnacie,

zapewne najwspanialszej w całym zamku. Przyglądała się, jak służący kąpie króla. Dziś mąż nie potrafił nawet przypomnieć sobie jej imienia. Baralis miał rację: było z nim coraz gorzej. Jeszcze na wiosnę był w stanie dosiąść konia, a teraz niemal nie wstawał z łoża.

Od owego wypadku na polowaniu żyła z wrakiem mężczyzny. Z początku rana nie wydawała się zbyt groźna. Goiła się normalnie i choć pozostała po niej paskudna blizna, medycy nie byli zbyt zaniepokojeni. Po kilku tygodniach pojawiła się jednak dotkliwa gorączka, która pozbawiła go sił. Tygodnie przeszły w miesiące. Medycy zaczęli potrząsać głowami. Mówili o infekcji, gorączce mózgowej, zatrutej strzale. Nie potrafili jednak w niczym mu pomóc.

Najpierw użyli gorących okładów, by wyciągnąć zakażenie. Potem sięgnęli po pijawki, które miały oczyścić krew ze złych humorów. Próbowali usunąć złośliwą żółć, robiąc dziurę w królewskim brzuchu. Golili mu głowę, wrywali zęby. puszczała krew. lecz nic to nie dało.

Królowa obserwowała owe przerażające zabiegi, a także wiele innych, widziała jednak, że osłabiają one tylko jej męża. Wreszcie wygnała wszystkich lekarzy i sama przejęła opiekę nad królem. Sprowadziła

znachorkę, która знаła się na ziołach.

Po odjeździe medyków król rzeczywiście poczuł się lepiej. Lekarstwa znachorki były znacznie łatwiejsze do zniesienia: zaprawiony korzeniami holk z gałązką jałowca, łaźnie parowe nasycone dymem z ziół. nacieranie leczniczymi balsamami. Niestety, owe metody spowalniały tylko pogarszanie się jego stanu, zamiast je powstrzymać. Z upływem lat siły opuszczały króla, a jego umysł był coraz bardziej zmaćony. Królowa nie potrafiła zliczyć, ile nocy przeplakała samotnie w łóżu. Była dumną kobietą i nie zamierzała pozwolić, by ktokolwiek dostrzegł jej ból.

Sługa wytarł z brody króla kapkę śliny. Widok tego drobnego gestu rozdarł jej serce. Co się stało z jej mężem? Pełen ongiś godności król Lesketh karmiony łyżką jak dziecko! Nie był jeszcze stary. Inni mężczyźni w jego wieku byli u szczytu sił.

Wróciła myślą do audiencji, której udzieliła Baralisowi. Kanclerz dał do zrozumienia, że posiada coś. co mogłoby pomóc królowi. Postanowiła go wezwać, bez względu na to. jak bardzo nim gardziła. Była zdesperowana. Gotowa spróbować wszystkiego, co poprawiłoby stan jej męża. Spotka się z Baralitem i dowie się. czego od niej chce. Nie była głupia. Wiedziała, że będzie musiała mu zapłacić.

Obudziwszy się. Jack leżał przez pewien czas nieruchomo, nim otworzył oczy. Otaczała go świeża woń drzew i paproci oraz woń drzewnego dymu. Następnie poczuł zapach jedzenia: zupy albo smakowitego gulaszu. Na koniec do jego nozdrzy dotarł rozkoszny aromat ciepłego holku.

Skuszony tak oszałamiającym zestawem woni, otworzył wreszcie oczy. Na twarz padało mu łagodne zielone światło przesączające się między gałęziami drzew. Rozejrzał się po otoczeniu. Znajdował się w czymś w rodzaju gniazda czy kryjówki, która wyglądała na utkaną z liści i gałęzi. Leżał na niskim posłaniu, ustawionym na pokrytej paprociami i aksamitnym mchem ziemi. Był sam.

Skierował wzrok w stronę, z której nadlatywała woń jedzenia, i zobaczył stojący pośrodku schronienia mały ceglany piec. W plątaninie gałęzi zostawiono przerwę, przez którą uciekał dym. Jack postawił niepewnie stopę na ziemi i z zaskoczeniem przekonał się, że mech jest ciepły w dotyku. Gdy zdjął z posłania obie nogi, jego ciałem targnęła fala mdłości. Zakręciło mu się w głowie. Zastanowił się, czy nie byłoby lepiej, gdyby został w łóżku. Obietnica gorącego jedzenia i holku okazała się jednak zbyt kusząca, by mogły go powstrzymać zwykle fizyczne dolegliwości. Podniósł

się z miejsca.

Podszedł na chwiejnych nocach do piecyka. W otwartym garnku znajdował się gęsty ciemny gulasz. Chłopiec rozejrzał się po schronieniu i znalazł szereg kubków i talerzy czekających na niskim drewnianym stole. Naładował trochę wonnej mieszaniny na talerz, kubek zaś wypełnił holkiem z korzeniami.

Gulasz był pyszny. Składał się z grzybów, króliczego mięsa, marchewki i cebuli, a smaku dodawały mu mocne zioła oraz korzenie. Jack był pewien, że wyczuwa też delikatny posmak jabłek i jabłeczniaka. Zjadł solidną porcję, a potem drugą. Miał wrażenie, że od jego ostatniego posiłku upłynęło wiele czasu. Nie przyszło mu do głowy, by zastanawiać się nad tym, gdzie jest i skąd się tu wziął. Jedzenie i ciepło całkowicie zaprzętnęły jego uwagę.

Zjadłszy posiłek, zapragnął załatwić potrzebę. Rozejrzał się w poszukiwaniu wyjścia z kryjówki. Nie znalazł go. Nie przejął się tym zbyt, gdyż zauważył pod łóżkiem nocnik. Kiedy skończył, położył się z powrotem i natychmiast zapadł w głęboki, spokojny sen.

Po pewnym czasie obudził go jakiś ruch w schronieniu. Otworzył oczy i zobaczył wysokiego mężczyznę o długiej brodzie, który wpatrywał się w

niego.

– Widzę, że zdrowo się najadłeś, młody człowieku. Nieznajomy mówił z osobliwym, śpiewnym akcentem. Jack był w stanie jedynie skinąć głową. Czuł lekkie wyrzuty sumienia. Poczęstował się bez pozwolenia. Mężczyzna najwyraźniej rozumiał przyczynę jego zatroskania.

– Dobrze zrobiłeś, że się najadłeś. Zostawiłem to dla ciebie. Mam nadzieję, że ci smakowało?

Chłopak skinął z entuzjazmem głową.

– Pychota. Najlepszy gulasz, jaki w życiu jadłem. – Zawahał się. – Dziękuję panu.

Do jego świadomości dotarła niezwykła powierzchowność mężczyzny. Nie wyglądał on ani młodo, ani staro. Odziany był w skóry i szorstkie tkaniny. Jego najbardziej rzucającą się w oczy cechą była wspaniała, długa, popielata broda.

– Nie jestem panem, młody człowieku. Przestałem nim być już wiele lat temu i nie zamierzam nim zostać teraz.

Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Przepraszam, jeśli cię obraziłem.

Jack miał wrażenie, że brodacz dworuje sobie z niego.

– Nie szkodzi, nie szkodzi. Pewnie będę ci się

musiał przedstawić.

– Jeśli wolisz tego nie robić, nie będę miał ci za złe. Ja mam na imię Jack. Nie muszę tego ukrywać.

Te słowa wyraźnie spodobały się mężczyźnie.

– Zawstydzasz mnie. Jack. Bez oporów podajesz swe imię nieznanemu, który ci się nie przedstawił. Wielu ludzi wierzy, że jeśli pozna się czyjeś imię, zdobywa się nad nim władzę. Co sądzisz na ten temat?

Chłopakowi trochę trudno było zrozumieć słowa mężczyzny, gdyż jego akcent sprawiał, że głos brzmiał jak śpiew.

– Zdradzę ci moje imię. Jack – ciągnął brodacze – ale mogę ci podać tylko jego połowę. Nie wypowiadałem go już od wielu lat. Drzewa nie pytają, mnie o nie. ptakom na nic się ono nie przyda, a strumienie nie przestają płynąć dlatego, że go nie znają. Zdradzę ci je jednak, Jack, gdyż w przeciwieństwie do natury ludzie potrzebują imion. Mimo to mają rację, że się ich wystrzegają. Jest w nich moc. Gdybym nazwał drzewo, uczyniłbym je swoją własnością, a żaden człowiek nie powinien mieć takiej władzy nad drzewem, strumykiem czy źdźbłem trawy.

Mężczyzna zniechęcił się. Wydał z siebie znużone westchnienie.

– Jeśli ptak nie pyta cię o imię, ja również tego nie

zrobię – odezwał się Jack, by wypełnić ciszę. – Nie chcę poznać nawet jego połowy.

Brodacz uśmiechnął się i potrząsnął ze smutkiem głową.

– Połowa mojego imienia brzmi Falk.

Jack miał wrażenie, że zdradzono mu wielką tajemnicę. Pragnął dodać gospodarzowi otuchy, lecz nie wiedział, co mógłby powiedzieć.

– Byłeś chory, Jack – odezwał się mężczyzna po dłuższej chwili. – Złapałeś mokrą gorączkę. Powinieneś teraz wypocząć, odzyskać siły. Muszę gdzieś pójść. Później przyniosę ci więcej jedzenia. Nim wyjdę, chciałbym, żebyś wypił trochę tego lekarstwa.

Falk przeszedł na drugą stronę izby i wrócił z kubkiem płynu o ostrym zapachu. Jack posłusznie przełknął całą miksturę, niezbyt przekonany. czy mu smakuje. Zastanawiał się. z czego ją sporządzono. Obrzucił brodacza pytającym spojrzeniem. Ten uśmiechnął się wyrozumiale.

– Zdradziłem ci połowę swego imienia. Czy chciałbyś poznać wszystkie moje tajemnice?

Jack zaakceptował wymówkę i zwrócił kubek właścicielowi. Przyglądał się. jak Falk podchodzi do ściany. rozsuwa delikatnymi dłońmi płataninę gałęzi, tworząc otwór, i wychodzi na zewnątrz, w chłodne



powietrze. Gdy już znalazł się po drugiej stronie, zasunął z powrotem giętkie gałązki, które zamykały i maskowały wejście do kryjówki.

Kiedy przybył wysłannik królowej. Baralis ledwie mógł zapanować nad zadowoleniem. Nie tylko złapała przynętę, lecz połknęła ją w całości. Miał ofiarę na haczyku i pozostawało mu tylko ją wyciągnąć.

Wszystkie inne sprawy były jedynie drobin mi kłopotami. Nie stracił z oczu Melliandry. Następną próbę pojmania przeprowadzi z większą uwagą. Nie wymknie mu się po raz drugi, *Co* zaś do Jacka, cóż. jak daleko mógł zawędrować na piechotę w ciągu kilku dni? Wkrótce go znajdzie.

Wydobył z szuflady dawkę białego proszku, którego używał jako środka przeciwbólowego. Miał już zamiar przełknąć kryształki o ohydny smaku, powstrzymał się jednak. Lepiej zachować jasność umysłu. Będzie musiał jakoś wytrzymać ból w dłoniach, dopóki audiencja u królowej nie dobiegnie końca. To nie była wygórowana cena.

Ponownie ubrał się starannie, pamiętając, by założyć inną szatę niż poprzednio. Przestrzeganie obowiązujących na dworze zwyczajów było mu na rękę.

Tym razem królowa nie kazała mu czekać pod

drzwiami. Gdy tylko zapukał, zaprosiła go skinieniem do środka. Jej głos brzmiał jednak równie zimno, jak zawsze.

– Dzień dobry, lordzie Baralisie.

Ubrała się bardzo starannie. Założyła suknię wyszywaną rubinami i perłami, a na jej szyi i nadgarstkach połyskiwały te same klejnoty.

– Życzę Waszej Wysokości wiele radości w tym dniu.

– Nie zajmę ci wiele czasu. Wolałabym od razu przejść do rzeczy, lordzie Baralisie.

Królowa przyglądała nerwowo włosy. Kanclerz, z zadowoleniem zauważył, że jej dłoń drży.

– Wedle życzenia Waszej Wysokości.

– Podczas naszego ostatniego spotkania napomknąłeś, że jesteś w posiadaniu czegoś, co mogłoby pomóc królowi. Czy mam rację, sądząc, że to właśnie chciałeś wówczas powiedzieć?

– Masz rację. Wasza Wysokość.

Baralis postanowił, że będzie mówił jak najmniej. Wolał oddać głos królowej.

– W takim razie mam chyba również rację, zakładając, że miałeś na myśli jakieś lekarstwo lub eliksir, który pomoże królowi w jego chorobie?

– Tak, Wasza Wysokość.

Widział, że jego krótkie odpowiedzi zaczynają ją niecierpliwzić.

– Lordzie Baralisie, jaka jest natura owego lekarstwa i skąd mam wiedzieć, czy okaże się skuteczne?

– Odpowiedź na pierwsze pytanie jest taka. że nie mogę zdradzić jego natury, na drugie zaś. że nie dowiesz się tego, dopóki go nie wypróbujesz.

– Jaką mam gwarancję, że jest bezpieczne? Skąd mam wiedzieć, czy to nie trucizna albo coś jeszcze gorszego?

Spojrzała Baralisowi prosto w oczy. rzucając mu wyzwanie.

– Wasza Wysokość, masz moje solenne zapewnienie, że lekarstwo nie wyrządzi królowi żadnej szkody.

– A co, jeśli nie wierzę w owo zapewnienie?

– Wasza Wysokość, mam pewną propozycję. – Baralis wsunął rękę pod płaszcz i wydobyl szklaną buteleczkę zawierającą eliksir. Uniósł ją pod światło. Brązowawy płyn załśnił obiecująco.

– Ta fiołka zawiera nadzieję dla króla. – Wręczył ją Arinaldzie.

– Zapas lekarstwa wystarczy na dziesięć dni. Weź

je i podaj mężowi. Jeśli zauważysz poprawę w jego zdrowiu, będę gotów dostarczyć ci dowolną ilość remedium.

Królowa przyglądała mu się z twarzą bez wyrazu. Podejrzewał jednak, że pod tą spokojną maską skrywają się gwałtowne emocje.

– Powtarzam, lordzie Baralisie, skąd mam wiedzieć, że owo remedium jest bezpieczne?

Kanclerz zachował spokój. Spodziewał się tego pytania i był na nie przygotowany. Podeszedł do królowej. Zauważył, że wzdrygnęła się lekko, gdy się zbliżył. Powolnym ruchem – jako że dłonie go bolały, a nie chciał się z tym zdradzie przed nią – wyciągnął zatyczkę. Następnie uniósł buteleczkę do ust i przełknął! odrobinę gęstego, brązowego płynu, po czym zamknął fiolkę i wyciągnął rękę do królowej.

Stał tak nieruchomo przez czas, który wydawał mu się wiecznością, choć w rzeczywistości trwało to zaledwie kilka chwil. Wreszcie podeszła bliżej i wzięła buteleczkę. Ich palce zetknęły się na mgnienie chwili.

– Jeśli poskutkuje, co będziesz chciał otrzymać w zamian?

– Wasza Wysokość, najpierw przekonajmy się, czy interesuje cię towar. O cenie porozmawiamy potem.

Jej twarz była nieruchoma jak kamień.

– Możesz już odejść, lordzie Baralisie.

Oddalił się posłusznie. Wszystko poszło znakomicie. Lekarstwo z pozoru podziała. Poprawi stan króla, jako że było częściowym antidotum na truciznę, którą pokrył grot strzały. Rzecz jasna. Lesketh nigdy już nie będzie sobą, ale remedium mogło zahamować pogarszanie się jego stanu. Niewykluczone, że zacznie sobie przypominać niektóre imiona i będzie w stanie trochę chodzić. A nawet przestanie się bez przerwy ślinić. Nic nazbyt drastycznego, myślał Baralis. Nic, co przeszkodziłoby w jego planach.

Było tylko kwestią dni, nim królowa zwróci się do niego ponownie, pragnąc otrzymać więcej lekarstwa. Pragnąc tak gorąco, że zgodzi się na każde jego żądanie. Musi pamiętać, by druga partia była znacznie słabsza. Nie może dopuścić, by król poczuł się za dobrze.

Wracając do siebie, Baralis miał niejasne wrażenie, że ktoś go obserwuje. Gdy jednak się odwrócił, nie zobaczył nikogo. Potrząsnął głową. Zapewne był to tylko wymysł wyobraźni, być może nawet uboczny skutek przeznaczonego dla króla lekarstwa. Uśmiechnął się do siebie. Wśród licznych gnębiących monarchę dolegliwości, lekka paranoja pozostanie nie

zauważona.

Skrytobójca śledził wracającego do komnat Baralisa. Uważał, by nie zbliżyć się zanadto do drzwi. Widział już kiedyś podobne znaki i wiedział, że to czary ochronne. Maybor próbował zlekceważyć moce kanclerza, on jednak nie był głupcem. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Po części dlatego właśnie przyjął to zadanie. Zamordowanie Baralisa będzie jego najwspanialszym osiągnięciem, ukoronowaniem długiego życia ze śmiercią. Ekscytowała go perspektywa przerwania tak starannie strzeżonego życia.

Searl poświęcił kilka dni na siedzenie ruchów królewskiego kanclerza. Podejrzewał, że ma on dostęp do tajnych przejść, spędził bowiem wiele czasu pod drzwiami komnat, do których Baralis wchodził i już ich nie opuszczał, a minio to pojawiał się później w innych częściach zamku. Myśl o tajnych przejściach niepokoiła go. podobnie jak i innych mieszkańców zamku. Postanowił dowiedzieć się więcej na ich temat.

Przyznawał, że obawia się trochę Baralisa. Choć Maybor starał się temu zaprzeczyć, było oczywiste, że kanclerz dysponuje wielką mocą. By zamordować czarodziej!., trzeba było wziąć go z zaskoczenia, nie dać mu czasu na obronne zaczerpnięcie mocy. Scarl

najchętniej zabiłby go podczas snu. lecz do jego komnat nie sposób było się dostać. Strzegły ich czary ochronne oraz Croke. Będzie musiał znaleźć chwilę, w której coś odwróci uwagę ofiary równie skutecznie jak sen.

Jeden moment nieuwagi i nóż przypieczętuje jego los. Scarl nie spotkał jeszcze człowieka, który oparłby się ostrzu. Wszyscy ginęli równie szybko, kiedy przecięto im tchawicę. Tak właśnie lubił wykonywać robotę: jedno czyste, głębokie cięcie ostrym nożem. Dotychczas okazywało się nadzwyczaj skuteczne. Poskutkuje również w przypadku Baralisa.

Poderżnięcie gardła miało wiele zalet. Natychmiast uciszało ofiarę, było szybkie, nigdy nie dochodziło do szamotaniny, zabójca zbliżał się od tyłu i na koniec – jeśli był zręczny, tak jak Scarl – nie plamiła go nawet kropla krwi.

Tak, pomyślał skrytobójca, inni mogą wybierać bardziej efektowne metody – sztylet wbity w oko, cios nożem w serce – ale nic nie dorówna porządnemu poderżnięciu gardła.

Wiedział, że musi z uwagą wybrać odpowiedni moment. W zamkowych korytarzach panował zbyt wielki ruch. W każdej chwili mogli się tam zjawić strażnicy lub inni ludzie, którzy pokrzyżowaliby jego

plany. Nie zamierzał się śpieszyć. W jego naturze leżało obserwować i czekać. W pewnej chwili jego ofiara wystawi się na atak i poczuje na gardle dotknięcie ostrego noża Searla.

Po odejściu Baralisa królowa siedziała przez długi czas na krześle, obracając w dłoni buteleczkę. Wpatrywała się w przelewający się w niej brązowawym. Pod wpływem impulsu wyciągnęła zatyczkę i powąchała zawartość. Cofnęła głowę, poczuwszy silny, nieprzyjemny odór. Wylała lśniąca kropelkę na palec i uniosła ją do warg. Wołała narazić na niebezpieczeństwo siebie niż króla. Smak był gorzki.

Odczekała wiele godzin, nic nie jedząc ani nie pijąc. Nie stwierdziła u siebie żadnych szkodliwych skutków. Co prawda, wypła tylko kroplę. To jej jednak wystarczyło. Postanowiła podać lekarstwo królowi.

Idąc do jego komnaty, natknęła się na swego syna. Kylocka. Zdała sobie nagle sprawę, jak rzadko go widuje. Był dla niej kimś obcym. Nie wiedziała, czym wypełnia swe dni. Jego komnaty były dla niej zamknięte. Nigdy nie zaprosił jej do środka. Przed kilkoma miesiącami, gdy wyruszył na cały dzień na polowanie, zakradła się do nich. Ten uczynek nie był jej godny, lecz ciekawość wzięła górę nad dumą i



królowa udała się do wschodniego skrzydła. Gdy weszła do komnaty, jej pierwszym uczuciem była ulga. Było tam bardzo czysto i porządnie. Wszystkie kufry stały na miejscu. Nie było żadnej nieodpowiedniej fałdy. Nagle przyszło jej na myśl, że jest tu za schludnie. Dywany były idealnie kwadratowe, na parapetach nie widziało się nawet pyłka, a na kominku śladu popiołu. Stanowczo zbyt porządnie, jak na siedemnastoletniego chłopca. Wyglądało to tak, jakby w ogóle tu nie mieszkał. Jej spojrzenie przyciągnął jeden z dywanów. Wyszyto go intensywnie szkarłatną nicią w dziwnie bezładny wzór. Przykucnęła i przebiegła palcami po jedwabiu. Nim jeszcze uniosła dłoń do twarzy, wiedziała już, co to jest: krew. Lepka, niemal wyschła, nie mająca jeszcze dnia.

Najbardziej niepokojąca była nie tyle sama krew, co jej obecność w tak nieskazitelnym otoczeniu. Jak piękna dziewczica w towarzystwie starych wdów. rzucała się w oczy przez kontrast.

Następnego dnia spotkała syna w stajniach. Zapytał ją, jak się czuje.

– No i, matko, jak ci się podobały moje komnaty? – zapytał, gdy zeszła mu z drogi. W jego głosie dźwięczała drwina. Nie czekał na odpowiedź. Uśmiechnął się tylko i odszedł.

Nigdy nie czuła się swobodnie w jego obecności. Był tak bardzo niepodobny do niej i do króla i to nie tylko z wyglądu – miał włosy bardzo ciemne, a ona i Lesketh bardzo jasne. Również jego zachowanie było zupełnie inne. Był bardzo skryty, zamknięty w sobie. Już jako dziecko wolał przebywać sam, zamiast bawić się z innymi chłopcami. Jego jedynym przyjacielem był Baralis.

Kylock podszedł do niej, wykrzywiając usta w ironicznym uśmiechu.

– Dobry wieczór, matko.

Jego niski, uwodzicielski głos przywodził jej na myśl kogoś innego, nie potrafiła sobie jednak uzmysłwić kogo.

– Dobry wieczór, Kylocku.

Syn spojrzał na nią. Nie przyszło jej do głowy nic, co mogłaby mu powiedzieć.

– Co tu masz?

Wskazał na buteleczkę, którą trzymała w dłoni.

– To lekarstwo dla twojego ojca.

– Doprawdy. Myślisz, że w czymś mu pomoże? Królową zaniepokoił jego nonszalancki ton.

– Przygotował je lord Baralis.

Och, w takim razie na pewno wywoła jakiś skutek. Arinalda nie potrafiła odgadnąć, co miała oznaczać

wymijająca uwaga jej syna. Żałowała, że zdradziła mu. iż lekarstwo pochodzi od Baralisa. Kylock wywierał na nią niedobry wpływ: całkowicie odbierał jej zdolność mowy albo skłaniał do mówienia nierozsądnych rzeczy, tak jak teraz. Podniosła wzrok, by powiedzieć coś jeszcze, lecz księżę zniknął.

Pomyślała, że szczerze żałuje, iż została królową. Nie przyniosło jej to wiele radości. Ostatnimi czasy zastąpiła króla we wszystkim oprócz tytułu. Wolałaby wyrzec się władzy, zabrać chorego męża do ich zamku na północy i wieść tam ciche, spokojne życie. Coś jednak ją przed tym powstrzymywało. Częściowo była to duma, lecz poza tym coś w niej wzdragało się na myśl o jej synu w roli władcy.

Nigdy nie kochała go jak należy. Nie obdarzyła go prawdziwym macierzyńskim uczuciem. Pamiętała dzień jego narodzin. Gdy go jej wręczono, był blady, milczący i pachniał goździkami. Jej piersi nie wypełnił nagły przyływ ciepła. Nie zalała jej lala wzruszenia. Położna skinęła głową z mądra mina i powiedziała jej, że miłość przyjdzie z czasem. Poniekąd rzeczywiście tak się stało. gdyż Arinalda darzyła syna gorączkowym, zazdrosnym uczuciem. Nie było w niej jednak czułości ani sympatii.

Niepokoili ją myśl o tym, że przez tak długi czas

pozostawała bezdzietna. Lata tęsknoty za dzieckiem, niezliczone rozczarowania, nie kończące się upokorzenia. Była żoną króla dziesięć długich lat. nim wreszcie udało się jej począć dziecko.

Z początku Lesketh nie żałował jej rad i wyrozumiałych pocieszeń.

– Nic nie szkodzi, kochanie – powtarzał, gdy co miesiąc jej krew płynęła na nowo. – Mamy mnóstwo czasu. Jesteś młoda i płodna. Bogowie postanowili zaczekać, aż będziemy gotowi.

Uśmiechał się. ścisnął jej dłoń i zapraszał ją do łóża, by podjąć kolejną próbę.

Wreszcie jednak dały o sobie znać wymogi związane ze statusem monarchy. Lesketh rozpaczliwie pragnął mieć syna. Dziedzic był niezbędny dla zachowania stabilności kraju. Do uszu króla docierały chytre podszepty:

- Kraj bez następcy tronu to zaproszenie do wojny.
- Jest twym świętym obowiązkiem spłodzić dziedzica.
- Królowa jest bezpłodna.
- Rozwiąż swe małżeństwo. – Zastąp ją płodną kobietą.

Król bardzo kochał Arinaldę i nie chciał słyszeć ojej odesłaniu. Niemniej natarczywe nalegania

dworaków nie pozostały bez skutku. Nie mogła właściwie mieć do niego pretensji. Mieli rację. Kraj potrzebował następcy tronu.

Arinalda rozpaczliwie pragnęła być brzemienna. Próbowwała wszystkiego, od gorących okładów aż po tajemne ceremonie. Nic nie okazało się skuteczne. Oczywiście nikt nie wspomniał, że to jej mąż może być bezpłodny. To byłaby niedorzeczność. Był królem: symbolem życia, odnowy i ciągłości. Nawet królowa nie pozwoliła sobie na podobnie zdradziecką myśl. W końcu pogodziła się z tym, że pozostanie bezdzietna.

Lesketh ani razu nie wspomniał o unieważnieniu małżeństwa, choć miał do tego prawo, jako że okazała się bezpłodna. Zamiast tego brat do swego łóżka inne kobiety, w nadziei, że spłodzi dziecko, które potem zalegalizuje. Starał się zachować dyskrecję, lecz o czym słudzy szeptali, o tym dworacy mówili głośno. Zadrżała na wspomnienie tego wstydu. Z pewnością żadna królowa w dziejach nie musiała znosić podobnego upokorzenia – pojawiać się codziennie publicznie, jakby wszystko było w porządku, zachowywać się statecznie i po królewsku, podczas gdy jej małżonek figlował z licznymi kobietami.

Dziwne jednak było to, że żadna z nich nie urodziła mu syna. Nieliczne, które poczęły, wydały na świat

córki, a w zdominowanym przez mężczyzn Harvellu córka nie miała żadnej wartości. Król odesłał kobiety i ich dzieci, mało dbając o ich los.

Wreszcie zrezygnował z prób spłodzenia syna i oboje pogodzili się z myślą, że pozostaną bezdzietni.

I nagle, pewnego mroźnego zimowego miesiąca, prawie osiemnaście lat temu. jej krew nie popłynęła. Niemal nie ważyła się mieć nadziei. Dziesięć lat bez dziecka stanowiło niepodważalny dowód bezpłodności. Minął drugi miesiąc, a potem trzeci. Jej brzuch powiększył się, a piersi stały obolałe. Była ciężarna. Król i dwór triumfowali. Urządzano parady, tańce i uczty na jej cześć. W swoim czasie wydała na świat syna.

Odliczyła dziewięć miesięcy od chwili narodzin. Kylock został poczęty na samym początku zimy. a królowa nie przypominała sobie, by król odwiedzał w owym okresie jej łożo. Oczywiście nie mogła być tego pewna. Przypominała sobie, że pewnego razu wypła tak wiele, że nie zachowała żadnego wspomnienia o tym, co wydarzyło się poprzedniego dnia. Pamiętała, że gdy obudziła się rano, czuła znajomy ból pozostający po uprawianiu miłości. Mąż musiał ją posiąść, gdy była pijana. Niepokojąca myśl.

Uniosła palec do warg i przygryzła go delikatnie.

Uklucie bólu przywróciło ją do terażniejszości. Ucieszyło ją to, gdyż przeszłość kryła w sobie zbyt wiele pytań bez odpowiedzi, zbyt wiele smutku, zbyt wiele strat.

Ruszyła pośpiesznie wysokimi korytarzami, pragnąc jak najszybciej podać królowi lekarstwo.

Tawl wśliznął się w ciemny zaułek. Choć byt dzień, między wysokimi budynkami panował półmrok, gdyż wystające okapy przesłaniały światło. Wybierał się na spotkanie z człowiekiem, który – zgodnie ze słowami Megan – potrafił załatwić miejsce na statku bez żadnych zbędnych pytań. Tawl nie miał jednak pieniędzy, a z oszczędności dziewczyny zostało zaledwie kilka marnych miedziaków. Postanowił, że najpierw porozmawia z owym mężczyzną, by się przekonać, czy da się z nim coś załatwić, a dopiero potem zastanowi się, skąd wziąć pieniądze na opłacenie podróży i tej transakcji.

Podobnie jak wiele otoczonych złą sławą miejskich okolic, rornijska dzielnica nierządu miała lepsze i gorsze części. Za lepsze uważano te, w których ulicznice i naganiacze swobodnie czekali na klientów. kieszonkowcy kręcili się po zatłoczonych ulicach, a ludzie mówili: – Przynajmniej jest tu lepiej niż na ulicy Shariett.



Ulica Shariett była w rzeczywistości nie tylko ulicą, lecz całym fragmentem dzielnicy nierządu. W jej zaułkach nie spotykało się na wpół ubranych prostytutek, uprzejmych kieszonkowców czy pełnych nadziei oszustów, a w gruncie rzeczy nikogo, kto cenił własne życie. Ulica Shariett była przeznaczona dla tych, którzy nie dbali o swój los, tak udręczonych chorobą czy nieczystym sumieniem, że nic martwili się o to, czy dotrważą do następnego dnia.

Nie tylko zaraza i plugastwo odstraszały ludzi od posępnych uliczek Shariett. Samo powietrze cuchnęło tu zepsuciem. W atmosferze unosiła się zapowiedź złych uczynków i rozkładu.

W takie to miejsce wybierał się Tawl. Zauważał zmiany zachodzące stopniowo w otoczeniu: na ulicach było coraz mniej przechodniów, a wśród stosów ludzkich odchodów przemykały szczury, nie zważające na fakt, że ich gatunek zwykł prowadzić nocny tryb życia.

Tawl z uwagą omijał plugastwo, zastanawiając się nad opowieścią, którą usłyszał od staruszka z tawerny. Zadrżał na myśl o nieszczęsnych jasnowidzach, przywiązanych na całe życie do kamienia. Wiedział, co czuje skrepowany człowiek. Pamiętał wpijające się w ciało sznury. Zastanawiał się nad psychiką ludzi

zdolnych do tak nieludzkiego okrucieństwa. Gorzko żałował, że jest zmuszony skorzystać z ich usług.

Jeśli uda się na Lam, by poradzić się jasnowidzów, będzie to znaczyło, że pochwała to, co się tam dzieje. A przecież jako rycerz z Valdis powinien walczyć o ich uwolnienie. Rycerstwo opierało się na jednej podstawowej zasadzie: pomaganiu ludziom. Już od ponad czterystu lat zakon starał się umniejszyć ludzkie cierpienia. Jego największym triumfem była kampania przeciwko niewolnictwu na wschodzie. To dzięki rycerzom, miasta takie jak Rorn i Marls nie mogły już handlować żywym towarem pochodzącym z dalekiego południa. Po dziś dzień rycerze utrzymywali we wschodnich portach posterunki sprawdzające statki kupieckie.

Odsłonił podwójny krąg, który miał na ramieniu. Kiedyś, wiele zim temu, miał nadzieję zdobyć trzeci i ostatni. Po to właśnie Tyren wysłał go do Bevlina. By uzyskać ostatni krąg i zostać pełnoprawnym rycerzem, nowicjusz musiał wyruszyć w świat i nie wracać, aż zasłuży się w oczach Boga”.

Pierwszy krąg zdobywało się za sprawność fizyczną, drugi za wiedzę, trzeci zaś za dokonania. Trudno było ocenić, co stanowiło zasługę w oczach Boga i dlatego liczni rycerze spędzali wiele lat na

poszukiwaniu chwalebnych, lecz często nieuchwytnych zadań. Większość wyruszała z misją. W roku, gdy Tawlowi nadano krąg, dwóch rycerzy wybrało się na północny zachód, by podjąć się mediacji w sporze o Nestora, kilku pożegłowało w dół Silburu, ścigając rzecznych piratów, jego przyjaciele zaś wyruszyli na dalekie południe w poszukiwaniu zaginionych skarbów. Nie miał pojęcia, co się z nimi stało.

Na koniec, gdy rycerze uznawali, że są gotowi, stawiali się w Valdis, by poddać się osądowi. Ich relacji wysłuchiwało czterech ludzi. Następnie, zgodnie z ich rekomendacją, wódz, Tyren, albo nadawał rycerzowi ostatni krąg, albo odsyłał go, by zaczął od nowa. Rycerz, który poddał się osądowi i został uznany za niegodnego, okrywał się straszliwą hańbą. Wielu spędzało poza Valdis całe lata, a nawet dziesięciolecia, pragnąc uniknąć podobnego upokorzenia. Niektórzy nigdy nie wracali.

Tawl nie potrafił sobie wyobrazić chwili, gdy będzie gotowy. Wyznaczono mu niemal niewykonalne zadanie i nie mógł pokazać się w Valdis, dopóki go nie zrealizuje. Wydawało mu się, że minęło już wiele lat od chwili, gdy przywódca zakonu wysłał go w drogę.

Do dziś pamiętał słowa Tyrena: – Udaj się do

mędrca Bevlina. Odnajdziesz go na północy. Wierzę głęboko, że wykonasz to. czego od ciebie zażąda.

Były to trudne lala. Mato brakowało. by dał za wygraną. Podtrzymywało go na duchu jedynie poczucie, że jest potrzebny i myśli. że jeśli będzie uczciwy, okryje się chwałą.

Rzeczywistość w niczym nie przypominała marzeń. Wszystkie te lata – poza ostatnim rokiem – spędził na bezowocnych poszukiwaniach. Przemierzył znaczną część Znanych Krain, wypytując ludzi, czy słyszeli o chłopcu, który pod jakimś względem różni się od pozostałych.

Opowiadano mu o chłopcach mających sześć palców albo żółte oczy czy dotkniętych wyzerającym mózg obłędem. Tawł odnalazł ich. podobnie jak wielu innych, po to tylko, by poczuć wgłębi duszy, że żaden z nich nie jest tym właściwym.

Gdy wreszcie trafił do Rornu. był bliski rozpaczy. Jego sytuacja była beznadziejna. Popełnił błąd. pytając o chłopca w niewłaściwym miejscu, i zatrzymały go władze. Groziło to wszystkim rycerzom z. Valdis. Nie patrzono już na nich łaskawie. Gdy tylko jakieś miasto miało trudności, robiono z nich kozłów ofiarnych. Jeśli w Lanholcie zebrano marne plony, winą obarczono rycerzy. Kiedy w Rornie spadały obroty, mówiono, że

to oni utrudniali handel. Tawl westchnął ciężko. Słyszał wszystkie pogłoski o gromadzeniu przez rycerzy pieniędzy, o ich religijnym fanatyzmie i dążeniu do władzy. Jeśli rycerstwo było skorumpowane, to musiało dotyczyć to również jego wodza, a Tawl nie pozwalał nikomu powiedzieć złego słowa o Tyrenie.

Miał wiele powodów do wdzięczności wobec głowy zakonu. Tyren był dla niego dobry. To on umożliwił wstąpienie do rycerstwa prostemu chłopcu z bagien, nie mającemu bogatej rodziny, która opłacałaby jego szkolenie. Pomógł mu w najgorszych momentach życia, gdy wszystko wydawało się pozbawione znaczenia, a ciężące na nim brzemie wyrzutów sumienia było zbyt ciężkie, by mógł je znieść. Wysłał go do Bevlina. Dzięki temu wyjazdowi odnalazł sens życia.

Cichy odgłos spieszących za nim stóp przywołał Tawla do terażniejszości. Ktoś go śledził. Wyciągnął ukradkiem nóż. Zacisnął palce na chłodnym ostrzu. Jego śmiertcionośna gładkość uspokoiła go. Był znacznie silniejszy niż przed tygodniem, solowy w razie potrzeby stawie czoło napastnikowi.

Szedł spokojnie przed siebie, uważając, by nie przyspieszyć kroku i nie zdradzić, że wie, iż ktoś za

nim podąży. Wyteżał uszy, by usłyszeć ciche kroki. Jego cień musiał mieć szmaciane buty. Wykrzywił usta z odrazą. Nie chciałby chodzić po tych ulicach chroniony przed plugastwem jedynie cienką warstwą materiału.

Musiał zwolnić kroku. Nie był do końca pewien, czy dokładnie przestrzega instrukcji Megan. Miał wrażenie, że to do tego zaułku kazała mu się udać. powiedziała jednak, że będzie tam odgałęzienie wiodące w lewo. Nie dostrzegał niczego w tym rodzaju. Uliczka była prosta, bez żadnych zakrętów. Po skórze przebiegły mu ciarki. Poczul czyjś oddech, zobaczył błysk broni i napastnik runął na niego.

Odwrócił się błyskawicznie, wyciągając długi nóż jednym płynnym ruchem. Przeciwnik uzbrojony był w zakrzywiony miecz. Tawł widywał już przedtem taką broń i wiedział, że we wprawnych rękach jest śmiertelnie groźna. Mężczyzna machnął mieczem, zmuszając Tawła do cofnięcia się. Ponowił próbę, jego atak był gwałtowny, lecz nierozważny. Rycerz odskoczył. Gdy przeciwnik przygotowywał się do następnego cięcia. Tawł wykorzystał okazję i ugodził go nożem w ramię. Szybko pojawiła się krew, która na chwilę odwróciła uwagę napastnika. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył nóż Tawła wbity w swą pierś.

Cios był czysty. Rycerz nie lubił tych, którzy przedłużali pojedynk okrutnymi, mającymi wywoływać męki cięciami. Nieznajomy runął na ziemię. Z jego rany trysnęła krew. Zakrzywiony miecz upadł u jego boku. Zabrzęczał głośno, uderzając o bruk.

Tawł dygotał lekko. Dawno już z nikim nie walczył. Zwycięstwo nie wprawiło go w zachwyty. Zrobił to, co było konieczne.

Przyjrzał się mieczowi napastnika. Ostrze było całkowicie stępione. Nie była to broń odpowiednia dla kogoś, kto poważnie planował morderstwo. Mężczyzna zapewne był tylko złodziejem... i to zdesperowanym. Tawł podniósł miecz. Zauważył z zaskoczeniem, że jest dosyć ciężki. Kiedy go wypoleruje i naostrzy będzie wyglądał lepiej. Może uda mu się go sprzedać, by zdobyć trochę pieniędzy na opłacenie przejazdu. Przytroczył oręż do pasa. tak by nie mogli go dostrzec przypadkowi gapie.

Musiał teraz odnaleźć właściwy zaułek. Postanowił, że ruszy dalej uliczką, w którą zabrnął. Po chwili jednak ku swej irytacji przekonał się, że kończy się ona ślepo. Zawrócił, pogodzony z myślą, że będzie musiał jeszcze raz, przebyć zdradziecki zaułek. Odwracając się poczuł potężny cios w głowę.

Spróbował wyciągnie nóż. lecz otrzymał drugie uderzenie w czaszkę i ogarnęła go ciemność.

Jack powoli wracał do siebie po ataku mokrej gorączki. Mógł luz chodzić po schronieniu. nie czując zawrotów głowy.

W powrocie do zdrowia niewątpliwie pomagały mu rozmaite lekarstw a i maści sporządzane przez Falka. uważał jednak, że więcej zawdzięcza smakowitemu jadłu. który ni karmił go gospodarz. Codziennie dostawał smakowity gulasz, pieczonego królika albo rzepy zapiekane w gęsty ni. mięsny sosie. Jack spędził całe życie w pałacowych kuchniach, lecz nigdy nie pozwalano mu jeść takich pyszności. Dieta piekarczyka składała się głównie z wodnistej owsianki i nieograniczonych ilości chleba.

Czuł niemal wyrzuty sumienia, że jedzenie sprawia mu taką przyjemność. Wydawało się. że to nie w porządku. Znajdował się wiele mil od domu. Miał wyruszyć na wielką wyprawę w poszukiwaniu nowego życia, prawdy o pochodzeniu matki, czy tego, co mu akurat w padło do głowy, a zamiast tego siedział sobie w wygodnym, ciepłym schronieniu, z niecierpliwością oczekując następnego posiłku.

Falk codziennie przy nosił nowe produkty, po czym zabierał się do kucharzenia. Siekał cebule, kroił



marchewki, odzierał króliki ze skóry i ucierał korzenie. Jack widział, że brodacz lubi tę pracę. Podziwiał go za to, że znajduje wielką przyjemność w tak prozaicznych zajęciach. W zamku Harvell zdarzało mu się niekiedy czuć podobną radość, lecz w miarę dorastania marzenia i niezadowolenie sprzysięgły się, by go jej pozbawić.

Chłopak nie lubił beczynności, zapytał więc Falka, czy mógłby mu w czymś pomóc.

– Nie – padła odpowiedź. – Zajmowanie się płodami natury jest dla mnie błogosławieństwem. Uwielbiam gotować. Biorę tylko to, czego potrzebuję, i niczego nie marnuję. Kości z pieczeni wylądają w jutrzejszej zupie, a skórkę z jabłka się wysuszy.

Jack nie wiedział, co na to odpowiedzieć, zaproponował więc, że upiecze dla Falka chleb.

– Chłopcze, jesteś jeszcze słaby. Pieczenie chleba musi poczekać. Poza tym, mam tylko prowizoryczny piec.

– Mógłbym zrobić podpłomyki – odrzekł Jack. Miał nadzieję, że Falk się zgodzi, gdyż brakowało mu w diecie chleba.

– Proszę bardzo. Jack. Widzę, że czujesz potrzebę, by mi się odwdzińczyć. Postąpiłbym nieuprzejmie, gdybym ci na to nie pozwolił.

Słowa Falka często sprawiały, że Jack zapominał języka w gębie.

Dziś więc gospodarz przyniósł mąkę i jaja. o które prosił Jack, i chłopiec zabrał się do przygotowywania ciasta na podpłomyki. Mieszając składniki, miał nieodparte wrażenie, że zostawił już za sobą życie piekarczyka. Będzie jeszcze czasami piekł chleb, nie było jednak powrotu do przeszłości. Zapewne mógłby gdzieś daleko na wschodzie znaleźć miasto, w którym zdobyłby pozycję ucznia piekarskiego, nie był już jednak pewien, czy tego właśnie pragnie.

Wiedział, że wkrótce będzie musiał ruszyć w dalszą drogę. Choć czas w domu Falka mijał mu przyjemnie, pragnął być niezależny. Martwił się o przyszłość. Ścigał go Baralis, nie miał grosza przy duszy i nie wiedział, dokąd się udać. Szybko zbliżała się chwila, w której będzie musiał podjąć decyzję. Mógł zapomnieć o incydencie z bochenkami i żyć spokojnie jako piekarz, albo zmienić kurs swego życia i zacząć od nowa.

Choć Jack pograżył się w myślach, nie przestał przygotowywać ciasta. Dolał do niego piwa zmieszanego z wodą, by rozrzedzić mieszaninę. Rozbełtał ją i dodał szczyptę soli. Zostawi ją teraz na krótką chwilę, by mąka zdążyła nasiąknąć. Gdyby

czekał zbyt długo, urosłaby pod wpływem zawartych w piwie drożdży. Pan Frallit zbiłby chłopca, jeśli podplomyki nie byłyby należycie płaskie.

Falk właśnie wrócił z jednej ze swych tajemniczych wycieczek. Jack z chęcią zapytałby go, co podczas nich robi, lecz nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

– A więc rzeczywiście jesteś piekarzem – stwierdził Falk, wskazując głową ciasto.

– Nie zdążyłem zostać piekarzem. Byłem tylko uczniem piekarskim.

– Słowa! Tytuły! Jeśli potrafisz piec, to znaczy, że jesteś piekarzem.

Po raz kolejny Jackowi nie przyszła do głowy żadna odpowiedź.

Sprawdził ustawioną na ogniu gorącą, żelazną płytę i posmarował ją odrobina świńskiego tłuszczu. Buchnął z niej dym. Temperatura była odpowiednia. Raz jeszcze rozbełtał ciasto, po czym wylał je na rozżarzona powierzchnię, formując oddzielne, okrągłe podplomyki. Płyta zaskwierczała i zadymiała. wkrótce jednak uspokoiła się. Po kilku minutach schronienie wypełnił smakowity aromat. Nie miał drewnianej łyżki, która mógłby przewrócić placki na drugą stronę. pożyczył więc w tym celu stan nóż Falka.

Brodacz z początku przyglądał się Jackowi z pewną

rezerwą, teraz jednak sprawiał wrażenie żywo zainteresowanego jego poczynaniami.

– Jestem pod wrażeniem, chłopcze – powiedział, gdy Jack wypełnił talerz gorącymi, wonnymi podkłomykami.

– Powiedz mi, kim jesteś – poprosił Falk, gdy najedli się już do syta i odpoczywali przy ciepłym piecu.

Ogień przygasł, a wiatr uspokoił się, jak gdyby czekały na jego odpowiedź. Chwile upływały Jackowi niepostrzeżenie. Gdyby ktoś zapytał go o to później, chłopak nie potrafiłby odpowiedzieć, ile czasu minęło, nim zaczął mówić.

– Nie wiem, kim jestem. Jeszcze kilka dni temu sądziłem, że to wiem, ale teraz wszystko się zmieniło.

– Jack odczekał moment, by się przekonać, czy Falk coś powie. Gospodarz, milczał, co dało chłopcu odwagę potrzebną, by wyznać prawdę. Temu człowiekowi mógł zaufać.

– Przed ponad tygodniem coś mnie spotkało. Coś złego. Spaliłem trochę bochnów, a potem poczułem straszliwy ból głowy. Kiedy spojrzałem na nie po raz drugi, dopiero brązowiały.

Wyznanie przyniosło Jackowi ulgę. Dobrze było powiedzieć to na głos. W ten sposób odebrał moc

całemu wydarzeniu.

– I dlatego opuściłeś zamek?

– Tak. – Jack cieszył się, że Falk nie wygląda na zgorzzonego. – Nie mogłem ryzykować, że ktoś się dowie, co zrobiłem. Mogliby mnie ukamienować.

Ludzie ze Znanych Krain to głupcy. Próbuja zniszczyć wszystko, czego nie rozumieją! – Falk potrząsnął gniewnie głową. – Twierdzą, że są cywilizowani, a nie mają pojęcia, jak urządzony jest świat. Czary, bo nie mam zamiaru ukrywać, że to były czary, nie są darem diabła. Nie są ani dobre, ani złe. To człowiek, który je czerpie, kontroluje ich naturę.

– Ale wszyscy w zamku mówią, że są złe i tylko niegodziwi ludzie ich używają – sprzeciwił się Jack.

– Maja racje, a zarazem jej nie mają. Najczęściej czerpią je ludzie, którzy są źli, czy raczej chciwi. Nie zawsze jednak tak było. W dawnych czasach, przed wieloma wiekami, czary były w Znanych Krainach czymś pospolitym. Wywodziły się z ich substancji i były stare jak sama ziemia. Stopniowo jednak tych, którzy dzierżyli władzę, zaczął oburzać fakt, że czarodziejskie dary trafiają się przypadkowym osobom. Prosty parobek mógł je otrzymać z równą łatwością, co wielki pan. Wysoko postawieni ludzie nie mogli tolerować takiego niebezpiecznie

nieprzewidywalnego podziału mocy. Szybko przystąpili do działania, eliminując wszystkich, którzy potrafili praktykować...Łatwiej jest rządzić mieczem niż czarami”. Z wielkiej czystki ocalała tylko garstka praktykujących. W dzisiejszych czasach sztuka trwa raczej dzięki pogłoskom niż faktycznemu używaniu. Jej czas już niemal minął. Świat stał się zbyt nowoczesny, by do niego pasowała. Jak w przypadku wielu starych rzeczy, dawno zapomniano o jej wartości. Jest jednak kilka miejsc, w których kwitnie nadal. Miejsc odizolowanych od niosącego zmianę czasu, w których sama ziemia ma właściwości równie magiczne jak stąpający po niej ludzie. Podupadają one jednak nieustannie i coraz mniej osób potrafi czerpać moc z jej źródła.

W głowie Jacka zapanował zamęt. Czy to, co mówił Falk, mogło być prawdą? Przez całe życie uczono go, że czary pochodzą od diabła, a teraz ten człowiek postawił wszystko na głowie.

– To znaczy, że nie jestem zły?

– W każdym człowieku jest ciemność i światło, tak jak w każdym dniu. – Falk wzruszył ramionami. – Nie sądzę, byś był zły. Aczkolwiek wiele przede mną ukrywasz. – Spojrzał mu prosto w oczy. – Nie powiedziałaś mi, kim właściwie jesteś. Co z twoją

rodziną? Skąd pochodziła?

Jack zapłonął gniewem. Tak to wyglądało zawsze. Ludzie od niechcienia zadawali pytania, nie zdając sobie sprawy, jak trudno mu na nie odpowiedzieć.

– Jestem bękartem! Zadowolony? Moja matka była kurwą i nie prowadziła spisu klientów!

Wstał i cisnął kubek do ognia.

– A gdzie jest teraz?

Czy ten człowiek nigdy nie przestanie go dręczyć? Jack przyglądał się, jak płomienie pochłaniają drewniane naczynie. Gniew opuścił go równie szybko, jak się zjawiał.

– Umarła osiem lat temu – odpowiedział, zwracając się w stronę Falka. – Miała w piersi narośl, która ją zżerała.

– Jak sobie bez nici poradziłeś?

Oczy brodacza były niewiary godnie niebieskie. Błyskało w nich tak wiele współczucia, że Jack potrafił wyznać to, co zawsze dotąd trzymał w tajemnicy

– To było łatwe. Pod pewnymi względami, jej śmierć okazała się wręcz błogosławieństwem. Docinki ustały na pewien czas i mogłem udawać, że jestem normalny.

Jack po raz drugi oczekiwał potępienia za swe słowa, a spotkał się ze zrozumieniem.

– To nie grzech wstydzic się rodziców. Nie należy jednak bez zastrzeżeń wierzyć w słowa innych. To, że ludzie nazywali ją kurwą, wcale nie znaczy, że nią była.

Chłopiec zwrócił się w stronę Falka. Ale dlaczego...

– Dlaczego ludzie poniżają innych? To tak samo, jak z czarami. Jeśli jej nie rozumieli, jeśli była pod jakimś względem inna, nienawidzili jej za to.

– Była inna! – Jack czuł w piersi narastające podniecenie. Falk nie tylko uwolnił jego myśli, lecz zmienił samą ich naturę. – Była cudzoziemką. Gdy przybyła do królestw, była już dorosła.

– Skąd pochodziła?

Jack potrząsnął głową.

– Nic wiem. Nie powiedziała mi tego. Chyba bała się kogoś albo czegoś ze swej przeszłości.

– Ach. – Falk pogłaskał się po brodzie i zatopił na chwilę w myślach. – Być może bała się raczej o ciebie niż o siebie – powiedział po chwili. – Gdyby niepokoiła się tylko o własne bezpieczeństwo, dlaczego nie miałyby ci wszystkiego wyznaczyć? Mam wrażenie, że trzymała swą przeszłość w tajemnicy po to, by chronić ciebie.

Co takiego było w tym człowieku, że potrafił z taką



łatwością podważać opinie, którym Jack hołdował od  
lal? Chłopak cofnął się myślą do czasów dzieciństwa,  
do poranków spędzanych na blankach. Przypomniał  
sobie jej słowa...Trzymaj głowę nisko. Jack, bo cię  
zauważą. Kto mógł go zauważyć? Zakreśliło mu się w  
głowie od nowych myśli. Miał wrażenie, że do tej  
chwili, do rozmowy z Falkiem. patrzył na świat przez,  
piwowarski sącdek. Teraz nagle dostrzegł wszystko  
jasno.

– A jeśli chodzi o to, że pochodzisz z nieprawego  
łoża. Jack, muszę ci powiedzieć, że to samo dotyczy  
niektórych z najpotężniejszych ludzi w Znanych  
Krainach. Sam arcybiskup Rornu nie ma pojęcia, jak  
nazywał się jego ojciec, tyle że nikt o tym nie wie. –  
Falk wstał z miejsca i objął Jacka ramieniem. – Coś ci  
jednak poradzę. Nie czuj nienawiści do człowieka,  
który był twoim ojcem.

Jack odsunął się.

– Dlaczego myślisz, że ją czuję?

– Mam doświadczenie w podobnych sprawach.  
Mnie również zwano bękartem. Popełniłem błąd,  
pozwalając, by zrujnowało to moje życie. Radziłem  
sobie nieźle do chwili, gdy skończyłem dwadzieścia  
trzy lata. Miałem żonę, troje dzieci i własną ziemię.  
Pewnej nocy podsłuchiłem w karczmie rozmowę

dwóch mężczyzn. Jeden z nich wymienił moje imię i stwierdził, że dobrze mi się powodzi. Drugi zachichotał i odparł, że kto urodził się bękartem, ten zawsze nim pozostanie. Skoczyłem mu do gardła. Potrzeba było czterech mężczyzn, żeby mnie odciągnąć. Mało brakowało, by umarł. Skazano mnie na rok pracy w kamieniołomach. Zamiast jednak żałować, że nie jestem z rodziną, gnilem w kałuży nienawiści. Nienawidziłem własnego ojca za to, że uczynił mnie przedmiotem wzgardy. Uznałem, że wszystko to jego wina. W przeciwieństwie do ciebie wiedziałem, kim był. Gdy już odsiedziałem wyrok, zacząłem go szukać. Minęło wiele lat, nim go wreszcie odnalazłem. Byłem pełen gniewu i gotowy do walki. Spotkałem żałośnie wyglądającego starca, zeszywniałego od reumatyzmu. Gdy podsunąłem mu pod twarz pięść, zaczął błagać o litość. Po dziś dzień się cieszę, że mu ją okazałem. Siedzieliśmy przez jakiś czas razem, rozmawiając i posilając się. Powiedział mi, że nie ożenił się z moją matką dlatego, iż pochodziła z dobrej rodziny i uznał, że będzie dla niej lepiej, jeśli za niego nie wyjdzie, jako że nie miał pieniędzy i nie mógł zadbać o nią i o dziecko. Nie wiem, czy mu uwierzyłem. To nie ma właściwie znaczenia. Rzecz w tym, że był tylko człowiekiem. Nie był zły ani

podstępny i nie zasługiwał na karę. Wróciłem do domu. Moja żona i dzieci wyprowadziły się. Zostawili list z prośbą, bym za nimi nie jechał. Reszta mojej historii jest zbyt długa, bym mógł ją opowiedzieć. Zwiedziłem kawał świata, byłem w dziesiątkach miast, rozmawiałem z niezliczonymi ludźmi i znano mnie pod wieloma imionami. Na koniec wylądowałem tutaj sam. Chcę cię ostrzec. Jack, byś nie popełnił tego samego błędu. Nie marnuj czasu na snucie fantazji o zemście. To zrujnuje ci życie.

Falk odstawił kubek i wyszedł ze schronienia, pozostawiając Jacka samego, by mógł rozważyć jego słowa.

Baralis postanowił wreszcie pojmać dziewczynę. Wezwał w tym celu najemników. Po raz kolejny spotkali się poza murami zamku. Towarzyszący mu ostatnio niejasny niepokój sprawił, że podczas wszystkich wypraw towarzyszył mu Croke. Potężne cielsko sługi dawało Baralisowi poczucie bezpieczeństwa. Przyniosło to też pewną nieoczekiwaną korzyść. Obecność Croke'a wyraźnie onieśmiała najemników.

– Chcę, żebyście schwytali dziewczynę. Wiem, gdzie się znajduje. Przebywa na południowy wschód od Harvelli, w odległości czterech dni szybkiej jazdy.

Baralis przeszył ich wyzywającym spojrzeniem, by sprawdzić, czy ośmielą się wątpić w jego informacje.

– A co z chłopakiem? – zapytał herszt. Kanclerz nie miał zamiaru pozwolić, by się zorientowali, że nie ma pojęcia, gdzie się podział Jack. Nie chciał, by ktokolwiek mógł pomyśleć, że nie jest nieomylny.

– Zajmę się nim osobiście. Już jej nie towarzyszy. – Z rozbawieniem zauważył, że najemników niepokoi myśl, skąd wie tak dużo. Wykonał ostatnie pchnięcie nożem. – Kiedy już ją złapiecie, stanowczo zabraniam wam tknąć ją choć palcem. Nie chcę, by została zgwałcona przez najemników, jak zwykła dziewczka karczemna. – Ujrzał na ich twarzach mozaikę różnych uczuć: zdumienie, poczucie winy, nienawiść i strach. Ucieszyło go to. – Idźcie już i nie ważcie się zawieść mnie po raz drugi.

Dosiedli koni i oddalili się. Baralis zastanawia! się, czy nie zwlekał zbyt długo. Dziewczyna wkrótce opuści las i spotka na swej drodze wioski i miasteczka. Pomyślał jednak, że dopóki nie ma jej na dworze, do zareczyn nie dojdzie. Gdy już złapie ją i uwięzi w schronieniu, poświęci całą uwagę poszukiwaniom Jacka. Gołąb był coraz słabszy. Nie pożyje już długo. Piekarczyk mógł tymczasem oddalić się o wiele mil. poza zasięg lotu drugiego ptaka. Baralis nie był jednak

zbyttnio zaniepokojony. Przeszukać las można było nie tylko za pomocą gołębia.

– Chodź. Croke. Zejdźmy z tego paskudnego wietrzyska. Czeka mnie wiele roboty.

– A czy dla mnie masz jakieś zadanie, panie? – zapytał Croke. z ręką skrytą pod bluzą. Niewątpliwie trzymał tam swą bezcenną szkatułkę. Baralis zastanowił się. co w niej chowa. Pewnie zęby nieżyjącej matki.

– Jeśli nie mam. to z pewnością coś znajdę. Potężny mężczyzna uśmiechnął się.

– Coś wymagającego twoich szczególnych zdolności – dodał Baralis.

Gdy wracali pod zanikowe mury. kanclerz myślał o królowej. Wszyscy już wiedzieli, że stan króla się poprawił. Było tylko kwestią czasu, nim Arinalda wezwie go znowu. Będzie chciała dobić targu.

Zbliżyli się do odległego odcinka murów. Kanclerz pomacał uważnie kamień zniekształconymi dłońmi w poszukiwaniu maleńkiego występu. Popieścił go delikatnie i ściana otworzyła się. Nozdrza wypełniła mu woń wilgotnej ziemi. Weszli do środka. Baralis zamknął przejście i ruszył ku mrocznym głębinom zamku.

Skrytobójca patrzył, jak ściana się zamyka. Patrzył

i czekał. W ostatecznym rozrachunku to zawsze się opłacało. Przyglądał się przedtem, jak Baralis i jego olbrzymi sługa opuszczają dyskretnie zamek. Spodziewał się, że wrócą tą samą drogą, którą przyszli. Z narastającym zainteresowaniem obserwował, jak zbczyli ze spodziewanej trasy i podeszli do nie wyróżniającego się niczym szczególnym fragmentu murów.

Scarl nie był człowiekiem skłonny do okazywania jakichkolwiek uczuć, kiedy jednak zobaczył, że Baralis otworzył przejście w murze, pozwolił sobie na pełen zadowolenia uśmiešek. Usiadł w wysokiej trawie, wyrwał długa łodygę, i zaczął ją przeżuwać, czekając spokojnie.

Gdy już uznał, że minęło wystarczająco wiele czasu, podszedł do muru. Był z natury dokładny, upewnił się więc, czy to na pewno ten właśnie odcinek. Tak jest. Do ściany wiodły pozostawione w mokrym błocie odciski dwóch par stop: płytkie i – zdaniem Scarla – wyglądające na pozostawione przez kogoś, kto się skradał, ślady Baralisa. oraz wielkie i głębokie tropy Croke'a.

Skrytobójca przebiegł delikatnie palcami po gładkim kamieniu. Nic. Nie zniechęciło go to. Spróbował powtórzyć gesty, które widział wcześniej w

wykonaniu Baralisa. Na dodatek wsunął zrecznie stopy w odciski pozostawione przez kanclerza. Nadal nic. Nie czuł się zaniepokojony. Był cierpliwym człowiekiem, świetnie nadającym się do pracy, którą wykonywał. Spróbował po raz kolejny, tym razem sprawdzając każdy kamień z osobna. Jego bystry wzrok poszukiwał czegoś niezwykłego. Nic nie znalazł.

Cofnął się od muru, by zastanowić się nad następnym posunięciem. Był pewien, że wejścia nie chroni czar. Potrafił wywęszyć podobne rzeczy. Nie istniał jakiś sposób, by je otworzyć. Musiał po prostu wpaść na właściwy pomysł. Znów zaczął przeżuwać źdźbło trawy, delektując się jej gorzkim smakiem. Popatrzył na ścianę.

Ekscytowało go to poszukiwanie ukrytego wejścia. Był pewien, że zamek wypełnia labirynt tajemnych przejść i komnat. Wszystkie te stare zamczyska budowali ludzie, którzy znali wartość dyskretnej drogi ucieczki. Zadanie Scarla nie ograniczało się do wytropienia ofiary. Uwielbiał tajemnice, zakulisowe układy, oszustwa, ukryte motywy, a w gruncie rzeczy wszystko, co było przesiąknięte zdradą i podstępem.

Oczywiście! Dlaczego nie wpadł na to wcześniej? Baralis był wyższy od niego o przeszło stopę. Stał w

odpowiednim miejscu, ale jego dłonie były za nisko. Nagle zdał sobie sprawę, dlaczego nie przyszło mu to do głowy wcześniej. Przy olbrzymim Cropie wszyscy wydawali się niewysocy, nawet Baralis, który w rzeczywistości był roslym mężczyzną. Owładnęło nim narastające podniecenie, które zdradziło jedynie lekkie zaciśnięcie wąskich warg.

Wrócił do ściany, tym razem sięgając dłońmi wyżej. Kamień był gładki, lecz gdy przebiegł po nim palcami, na coś natrafił. Znalazł wąziutką szparkę. Przesunął po niej koniuszkami palców w jedną, a potem w drugą stronę, po czym odsunął się na bok. gdy przejście się otworzyło.

Wszedł do środka. Jego zmysły zaatakowała wilgotna woń stęchlizny. a nie przygotowane oczy zaskoczyła ciemność. Sięgnął do kieszeni, gdzie znalazł krzesiwo i łojowy ogarek. Już od pewnego czasu był przygotowany na taką sytuację. Zapalił świeczkę nieruchomymi dłońmi skrytobójcy. Jej blask był słaby, ledwie wystarczający. Scarl przystąpił do badania wewnętrznej ściany w poszukiwaniu sposobu zamknięcia przejścia za sobą. Po jakimś czasie odkrył występ podobny do tego, który znajdował się na zewnątrz, i ściana wróciła na miejsce.

Oczy stopniowo przyzwyczyaiły mu się do



ciemności. Bez świeczki nie zobaczyłby nic. Stał przed nim wybór: w lewo czy w prawo. Postanowił ruszyć w lewo. Korytarz zaprowadził go w dół. Wkrótce przerodził się w tunel o łukowym sklepieniu. Ociekające wilgocią ściany porastały blade mchy, jakich Scarl nigdy w życiu nie widział. Pod wpływem impulsu wyciągnął rękę i dotknął jednego z nich. Był miękki i sprężysty, a na palcach zostawiał delikatny osad. Skrytobójca przyjrzał się lepkiej substancji, po czym starannie wytarł palce do czysta. Gdy miało się do czynienia z nieznanym mchem, konieczna była szczególna ostrożność. Choć Scarl nie był znawcą trucizn, wiedział, że do ich produkcji wykorzystuje się te rośliny.

Tunel wiódł w dół jeszcze przez pewien czas. Potem odchodziła od niego następna odnoga. Scarl postanowił w nią skrócić. Wkrótce natknął się na kręte kamienne schody. Był pewien, że znajduje się już pod zamkiem. Schody przyniosły wiele możliwych rozwiązań, a zatem i konieczność podejmowania decyzji. Prowadziły w górę i na każdym poziomie odchodziło od nich wiele korytarzy. Gdy skrytobójca uznał, że wspiał się już dostatecznie wysoko, ruszył jednym z nich. Tunel był długi i prosty. Znajdowało się w nim wiele drzwi, niektóre z nich były

opieczętowane. Scarl zaczął sobie uświadamiać, jak olbrzymi i skomplikowany jest labirynt, w którym się znajduje.

Był pełen podziwu dla ludzi, którzy go zaplanowali i zbudowali. Czuł również pewną zazdrość wobec Baralisa, któremu udało się go poznać. On także pragnął wiedzieć, dokąd prowadzą wszystkie drzwi i korytarze. Był pewien, że widział zaledwie drobny ułamek całości. Zdawał sobie sprawę, że plątanina lunęli może umożliwić dotarcie do wielu zakazanych pomieszczeń: sypialni, magazynów. miejsc spotkań. Dobrze wiedział, jak można wykorzystać podobnie złożony system. Zmienił opinie o swej ofierze. Batalia nie tylko dysponował wielką mocą. lecz również był bardzo sprytny.

Scarl popatrzył przed siebie, zastanawiając się. jak ma się dostać do wnętrza zamku. Wybrał na chybi! trafił jedno z drzwi i znalazł się w ślepej uliczce. Wiedząc, że korytarze zwykle dokądś prowadzą, pomacał końcową ścianę. Faktycznie poczuł maleńką wypukłość otwierającą przejście. Odsunął się na bok. gdy ciężki kamienny blok cofnął się bezgłośnie.

Znalazł się w nieznannej sobie części zamku. Rozejrzawszy się wokół, przekonał się z zaskoczeniem, że nadal przebywa pod ziemią. Sądził,

że dotarł już na parter albo nawet pierwsze piętro gmachu, pomieszczenie jednak wyglądało na nie używany loch. Zobaczył przed sobą stare narzędzia katowskie. Stało tam butwiejące drewniane łoże tortur, koło. prasa i wiele innych.

Scarl przyjrzał się owym urządzeniom z zainteresowaniem zawodowca. Nim został skrytobójcą, zdobył pewne doświadczenie w tej dziedzinie. Okiem znawcy dostrzegł, że sprzęt jest niemal nie używany, a do tego przestarzały. Przed kilkoma miesiącami był w Rornie i zaimponowały mu nowe urządzenia, które tam widział. Rorn był miastem idącym z duchem czasu.

Zaczął szukać drogi wyjścia z lochu, przyrzekając sobie, że postara się poznać wszystkie tajne przejścia. Był pewien, że okażą się dla niego użyteczne.

Melli zauważyła, że drzewa wokół niej rosną coraz, rzadziej. Las był teraz mniej gęsty. Więcej było polan i otwartych przestrzeni. Wczoraj dostrzegła nawet dach niewielkiej chatki. Kusiło ją. by do niej pójść, lecz ostrożność wzięta górę nad ciekawością i dziewczyna ruszyła w dalszą drogę.

Spędziła w lesie już dziesięć dni i zdumiewało ją. jak łatwo się do tego przyzwyczaiła. Lady Melliandrze z Czterech Królestw naprawdę sprawiało przyjemność spanie pod gwiazdami i picie wody ze strumyków.

Perspektywa opuszczenia lasu ekscytowała ją, lecz również niepokoiła. Puszcza pod pewnymi względami chroniła ją przed niebezpieczeństwami świata zewnętrznego. Życie było tu proste: wędrowała, jadła, spała. Teraz oczekiwały ją inne problemy: ludzie, pieniądze, schronienie. Również pogoda jej dotąd sprzyjała. Choć było zimno, nie padał śnieg, a gęsty las dawał naturalną osłonę przed wiatrem. Wiedziała, że zamieć wkrótce nadejdzie i zdawała sobie sprawę, że będzie wówczas potrzebowała cieplejszego ubrania.

Gdyby tylko nie skradziono jej sakiewki! Mogłaby kupić sobie siodło, co przyśpieszyłoby jej podróż. Straciła jednak kosztowności i nie miała pojęcia, co zrobi, gdy zabraknie jej jedzenia. Został jeszcze koń, podejrzewała jednak, że dostanie za niego najwyżej sztukę srebra albo dwie. Poza tym, nie podobała jej się myśl o rozstaniu z nim.

Wędrując w jasnym świetle zimnego poranka, Melli zaczęła wokół zauważać ślady ludzkiej obecności: dym bijący w górę w oddali, połać trawy po wypasie bydła, wykopany rów. Przyśpieszyła kroku. Las zaczęły zastępować otwarte tereny. Pojawił się wzniesiony na wzgórzu wiejski dom, a za nim następny. Ujrzała polną drogę i skierowała na nią konia.

Po południu dotarła do małej wioski, w której można było znaleźć gospodę, lecz nie kuźnię. Pojawienie się Melli przyciągnęło uwagę miejscowych: kobiety przyglądały się jej nieufnie, a mężczyźni z zainteresowaniem. Było dla niej oczywiste, że wzbudza podejrzliwość w nieprzychylnie nastawionych wieśniakach. Nadal miała na sobie worek, a zamiast płaszcza otulał ją koc. Sądziła, że twarz ma czystą, gdyż kiedy tylko mogła opłukiwała ją wodą, podejrzewała jednak, że jej włosy są straszliwie potargane.

Zauważywszy nieprzyjazne spojrzenia, postanowiła, że lepiej będzie nie zatrzymywać się w tej wiosce. Gdy mijała ostatnie zabudowania, usłyszała kobiecy głos, wyraźny i przenikliwy.

– Wynocha stąd! Nie chcemy tu takich jak ty. Idź sobie do Duvitt. To odpowiednie miejsce dla ciebie.

Nie mogła niemal uwierzyć, że zwrócono się do niej w taki sposób. Całe życie traktowano ją uprzejmie i z szacunkiem. Odrzucenie, które brzmiało tak okrutnie w głosie kobiety, sprawiło jej więcej cierpienia niż wszystkie dni spędzone w lesie. Była jednak zdecydowana zachować godność, nie obejrzawszy się więc za siebie, czym prędzej opuściła wioskę.

Szła całe popołudnie. Trakt, którym wędrowała, stawał się coraz szerszy i bardziej zadbane. Wreszcie, gdy już zaczął zapadać zmierzch. Melli ujrzała w oddali światła miasteczka. Nie chcąc dwukrotnie popełnić tego samego błędu, zdjęła worek i wygładziła włosy najlepiej, jak potrafiła. Po chwili weszła na teren Duvitt.

Przeżywało ono właśnie okres wielkiego dobrobytu. Leżało między Harvellem i Nestorem, co pozwalało mu czerpać korzyści z wojny między Czterema Królestwami a Halcusem. Ostatnie pięć lat przyniosło znaczny wzrost obrotów. Świadczone tu usługi setkom żołnierzy, którzy przejeżdżali tędy co tydzień. Choć Duvitt leżało w głębi terytorium Czterech Królestw, jego pełni inicjatywy przedsiębiorcy nie mieli nic przeciwko halcuskim klientom. Dzięki temu miasteczko przerodziło się w nieoficjalną strefę neutralną, w której znużeni żołnierze spod wszystkich barw mogli znaleźć schronienie i kufel zimnego, choć dość drogiego *ale*.

Rzecz jasna, układ ów miał też pewne wady. Pijanym żołnierzom trudno było zachować neutralność, dochodziło więc do wielu gwałtownych bijatyk. Niewielkie uszkodzenia własności i garstkę zabitych uważano jednak za niezbyt wygórowaną cenę

za panujący dobrobyt. Miasteczko miało obecnie najwięcej gospód w całych Czterech Królestwach i niejednen z ich właścicieli modlił się nocą, sam we własnym łożu. by wojna nigdy się nie skończyła.

Melli była ostrożna. Po ulicach kręciło się wielu ludzi, lecz żaden z nich nie zatrzymał na niej spojrzenia. Nie miała pojęcia, co robić dalej. Może spróbuje sprzedać kilka garnków i rondli, które nabyła od pitna Trouta. Miała wrażenie, że Duvitt jest większe od Harvellu. Z. pewnością było bardziej ruchliwe. Zauważyła, że większość ludzi na ulicach stanowili żołnierze. Uznała to za znak. że nie zboczyła zanadto z drogi, która miała ją doprowadzić do krewnych z Harvellu.

Zwolniła w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca, w którym mogłaby zostawić konia. Żałowała, że nie wpadła na to. by przed wejściem do miasteczka przywiązać go do odległego drzewa lub krzewu. Postanowiła, że zaryzykuje i przytroczy zwierzę do drewnianego płotu w widocznym dla wszystkich miejscu, w nadziei, że nikt nie odważy się na tak jawną kradzież. Uśmiechnęła się blado na myśl o stosowanych właśnie środkach ostrożności. Jej chabeta nie byłaby zbyt cennym łupem dla złodzieja.

– Powiedz mi. gdzie mogłabym sprzedać parę

przedmiotów – zwróciła się do przechodzącego obok chłopca.

Ten natychmiast się zainteresował.

– Jakich przedmiotów? – zapytał, udając obojętność.

– Dwa cynowe kubki, talerz i miedziany garnek. Chłopiec wyraźnie zobojętniał.

Możesz spróbować u pana Huddle'a. dwa domy dalej. Melli chciała mu podziękować, lecz chłopiec oddalił się już w poszukiwaniu korzystniejszych interesów.

Posłuchała jego rady i weszła do małego, brudnego sklepiku zapchanego najróżniejszymi towarami. Sprzedawca obrzucił ją uważnym spojrzeniem, zobaczył jej nędzne ubranie i zlekceważył ją ostentacyjnie, zwracając się do drugiej klientki.

– Tak. pani Greal. Spróbuję do jutra naprawić pani buty.

– Liczę na to. I to ma być dobra robota. Żadnych półszwów.

– Osobiście dopilnuję, żeby mój uczeń zrobił pełne szwy.

– Bardzo dobrze. Dobranoc panu.

Kobieta odwróciła się. Gdy miała już wyjść, zauważyła dziewczynę. Zmrużyła oczy i zmierzyła ją



badawczym wzrokiem od stóp do głów. Gdy Melli podeszła do sprzedawcy, kobieta nadal ją obserwowała.

– Czego chcesz, dziewczyno? – zapytał tonem zupełnie niepodobnym do tego, którego używał przed chwilą.

– Chciałabym sprzedać kilka przedmiotów – odparła z godnością.

– Co masz?

– Dwa cynowe kubki, talerz i miedziany garnek.

– To mnie nie interesuje, dziewczyno. Zjeżdżaj stąd!

Twarz Melli zapłonęła z gniewu i wstydu. Wypadła ze sklepu i miała już ruszyć po swego konia, gdy poczuła, że ktoś klepnął ją w ramię. Odwróciła się i zobaczyła, że to kobieta ze sklepu.

– Po co się śpieszyć, kochanie? – zapytała. – Nie masz pieniędzy, nie masz. gdzie przemocować? – Melli nie odpowiedziała. – Widzę, że pod całym tym brudem jesteś ładną dziewczyną – ciągnęła kobieta. – Melli zaczerwieniła się jeszcze bardziej i spróbowała wyminąć nieznajomą, która blokowała jej drogę. Ta jednak na to nie pozwoliła. – Dam ci gorącą kolację i łóżko na noc.

– Ale dlaczego? – zapytała Melli, nie ufając jej

zamiarom. Na twarzy kobiety na mgnienie oka pojawił się wyraz chytrłości.

– Potrzebuję paru garnków i rondli.

Mciiii nie uwierzyła w to. lecz propozycja ciepłej kolacji i łóżka brzmiała dla niej bardzo kusząco.

– A czy znajdzie się też stajnia dla konia?

– Oczywiście, malutka. Chodź ze mną. Każę chłopcu zająć się twoją szkapą.

Kobieta poprowadziła ją do dużej gospody.

– Och. pokoje mam na górze – powiedziała, zobaczywszy zdziwiony wyraz twarzy Melli. – Zamieszkasz lam ze mną.

Musiały przejść przez cały lokal, by dotrzeć do znajdujących się na zapleczu schodów.

– Pani Greal. widzę, że masz nową dziewczynę – krzyknął jeden z mijanych przez nie mężczyzn do jej towarzyszki. Ta nie wyglądała na zbyt zadowoloną. Powiodła ją szybko na górę. Melli zastanawiała się, co miały znaczyć słowa nieznajomego, szybko jednak o nich zapomniała, gdy pani Greal pokazała jej pokój.

– Tu się zatrzymasz, kochanie. Każę ci przynieść coś do jedzenia i gorącą wodę na kąpiel.

Powiedziawszy te słowa, zniknęła. Melli rozejrzała się po małej izdebce. Było w niej łóżko, komoda z szufladami i stojąca umywalka. Przez chwilę czuła się

jak w klatce, przyzwyczała się bowiem, że jej sypialnią był przestrzenny las.

Poczuła się jednak lepiej, gdy pani Greal wróciła z wielką tacą pełną smakowicie pachnącego jedzenia. Był tam gorący pasztet z dziczyzny, gęsta zupa z porów, kawałek kruchego, białego sera i chrupiący chleb grubo posmarowany masłem. Ku zachwytowi Melli, pani Greal zostawiła ją samą, dzięki czemu mogła zjeść, ile tylko zapragnęła, tak szybko, jak tylko mogła. Gdy się już nasyciła, zawinęła resztki pasztetu i sera w kawałek tkaniny, po czym je schowała. Po chwili zastanowienia sięgnęła ręką do koca, by wyciągnąć kubki i garnek, stanowiące połowę zapłaty. Ustawiła je na komodzie. Nikt jej nie oskarży, że nie płaci długów.

Wysuszyła do dna wysoki kufel, który pani Greal przyniosła wraz z posiłkiem. Gdy była damą dworu, pozwalano jej pić jedynie rozcieńczone wodą wino i mocny jabłecznik produkowany w tych okolicach błyskawicznie uderzył jej do głowy. Położyła się do łóżka, zauważając, że nie pościelono go zbyt starannie, i natychmiast zasnęła.

Lord Maybor nie był bynajmniej zadowolony z tego, co musiał uczynić. Poprosił królową, o audiencję i udzielono mu jej. Minęło już dziesięć dni od chwili,

gdy uzgodnili ze sobą zaręczyny, lecz ich ogłoszenie wydawało się coraz mniej prawdopodobne. Chodził w kółko po komnacie. Przekłęta Melliandra. Obróciła wniwecz jego plany, a teraz był zmuszony powiedzieć królowej niebezpieczne kłamstwo.

Przyjrzał się sobie w rozbitym zwierciadle, nie poczuł jednak satysfakcji, którą zwykle sprawiał mu widok własnej postaci odzianej w piękne szaty. Nic nie szło jak trzeba. Nawet skrytobójca nie śpieszył się z podejrzeniem gardła zdradzieckiemu Baralisowi. Gdy poprzednim razem korzystał z usług Searla, uwiął się z tym znacznie szybciej. Lord Glayvin pożegnał się z życiem w ciągu trzech dni.

Maybor ruszy! z niechęcią do komnaty audiencyjnej. Zapukał do drzwi i nakazano mu wejść.

Królowa podsunęła mu dłoń do ucałowania. Na jej wargach pojawił się ciepły uśmiech.

– Jak rozumiem, pragniesz omówić szczegóły planowanych zaręczyn, lordzie Mayborze?

– Tak. Wasza Wysokość. Obawiam się jednak, że konieczna może być pewna zwłoka.

– Zwłoka? – Głos królowej utracił miłe brzmienie.  
– Jaka zwłoka? Miałam nadzieję ogłosić zaręczyny w dzień Wigilii Zimy. Mielśmy uczcić dwie okazje. Poprawę królewskiego zdrowia i zapowiedź zaręczyn.

A teraz mówisz mi o zwłóce. Nie mogę się zgodzić na zwłókę, lordzie Mayborze.

Wielmoża potrafił zrozumieć przyczyny niepokoju królowej. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu nadeszły wieści o nowych podbojach diuka Brenu. Tylko w tym roku zdobył on trzy miasta leżące na południowy wschód od jego stolicy. Wkrótce każe tytułować się królem.

– Wasza Wysokość, moja córka nie czuje się dobrze. Maybor raz jeszcze przeklął w duchu Melliandrę.

– To w niczym nie przeszkadza. Do małżeństwa nie dojdzie wcześniej niż na wiosnę. Ceremonia zaręczyn trwa krótko. Z pewnością będzie w stanie wziąć w niej udział.

– Wasza Wysokość, Melliandra nie może wstać z łoża. Ma wysoką gorączkę i jest bardzo poważnie chora.

Twarz królowej przybrała poważny wyraz.

– Mayborze, czy ona ma ospę? Nic mogę ożenić Kylocka z dziewczyną, która przeszła tę chorobę.

Powszechnie wiadano, że ospa powoduje oszpecenie i bezpłodność.

– Nic. Wasza Wysokość, to tylko mokra gorączka. Za kilka dni wróci do siebie. Proszę tylko o dziesięć

dni.

– Dziesięć to więcej niż kilka, lordzie Mayborze. – Królowa zaczęła chodzić po komnacie. – Proszę bardzo. Odłożę zaręczyny.

Maybor odetchnął z ulgą.

– Słyszałem, że stan króla bardzo się poprawił. Wasza Wysokość.

– Tak. Lord Baralis przyrzadził lekarstwo, które zdaje się trochę mu pomagać.

Maybora przebiegł dreszcz. Co znowu kombinował Baralis? Czyżby próbował wkraść się w łaski królowej?

– Możesz już odejść, lordzie Mayborze. Mam nadzieję, że ujrę cię podczas Wigilii Zimy.

Wracając do komnaty, Maybor postanowił, że rankiem spotka się ze skrytobójcą i rozkaże mu jak najszybciej wykonać zadanie. Baralis coś knuł.

## 8

Ktoś silnie potrząsał Tawlem. Gdy odzyskał przytomność, chluśnięto mu zimną wodą w twarz.

– Ocknij się, przyjacielu. Rycerz otworzył oczy.

– Popatrz, jest już przytomny. Zostaw go. Stary nie będzie zadowolony, jeśli potraktujesz go zbyt brutalnie, Ciem.

Tawł otrzymywał właśnie serię bolesnych policzków.

– Chyba jeszcze nie wrócił do siebie, Moth. Rycerz poczuł kolejne gwałtowne uderzenie.

– Ciem, otworzył już oczy. Zostaw go.

Tawł rozejrzał się wokół. Znajdował się w małej, mrocznej izdebce. Stało nad nim dwóch mężczyzn. Ręce miał związane za plecami.

– Główka trochę boli? – odezwał się niższy z nieznanym. – Przykro mi. Cierna ciupkę poniosło, jeśli wiesz, co mam na myśli. Prawda, Ciem?

Osobnik zwany Clemem skinał głową.

– Nie mamy nic do ciebie – ciągnął ten pierwszy. –

Stary mówi: “przyprawdźcie go”, to przyprawdźmy. Zgadza się. Ciem? – Ciem ponownie skinął głową. – Oczywiście będziesz miał na łbie parę pięknych śliwek, ale wiesz, co zawsze mówi Ciem?

– Co mówię. Moth? – zainteresował się Ciem.

– Lepsza dobra śliwka niż marna dziwka. Tak zawsze mówisz.

– Tak zawsze mówię. Moth – zgodził się Ciem.

– No. lepiej już chodźmy. Nie możemy kazać Staremu czekać. Obsłużysz naszego gościa, Ciem?

Ciem wyciągnął długi, groźnie wyglądający nóż i przeciął więzy krepujące Tawlowi nadgarstki.

– Ciem przeprasza, jeśli walnął cię ciupkę za mocno. Prawda. Ciem? – Ciem skinął posłusznie głową. – Przeprasza też za to, że będzie ci musiał założyć opaskę. Prawda, Ciem?

Tawl nie zdążył tym razem zobaczyć skinienia głową, gdyż oczy przesłoniła mu gruba, czarna tkanina. Poczuł, że wzięto go za ramię i wyprowadzono z pokoju.

– Wyglądasz, jakbyś miał stracha, przyjacielu. Nie bój się, Ciem nie skieruje cię w przepaść. Mam rację, Ciem?

Rycerza poprowadzono w dół po schodach, a potem przez obszar, w którym unosił się silny smród



ludzkich odchodów.

– Nie przejmuj się zapachem, przyjacielu. Nie umrzesz od niego. Ciem spędził tu, na dole, całe życie i nie zaszkodziło mu to. Prawda, Ciem?

– Nie zaszkodziło, Moth. Pójdziemy zwykłą drogą czy specjalną?

– Chyba lepiej specjalną. Mam rację, Ciem? Chciałbym trochę odetchnąć morskim powietrzem.

Tawla poprowadzono schodami w górę, a potem w blask słońca. Natychmiast poczuł słoną morską bryzę.

– Ładna dzisiaj pogoda, prawda, Moth?

– Nie mógłbyś tego wyrazić lepiej, Ciem. Piękna, spokojna bryza, tak rzadka o tak późnej porze roku.

– Powinieneś zostać minstrelem, Moth.

– Mogłem wybrać to zajęcie, lecz niestety skusiło mnie życie przestępcy. Cleni.

– To wielka strata dla minstreelskiego cechu.

Tawla sprowadzono w dół kuchennymi schodami. Smród ścieków powrócił, silniejszy niż dotąd. Po chwili znowu zaczęli iść w górę i odór stal się mniej dokuczliwy. Pokonali serię dezorientujących zakrętów i zatrzymali się nagle. Zmysły Tawla zaatakowała woń świeżych kwiatów.

– Stan lubi słodkie zapachy. Mam rację. Ciem? Mógłbyś popilnować chwilkę naszego przyjaciela?

Skoczę powiedzieć Staremu, że już jesteśmy.

– Mam mu zdjąć opaskę. Moth?

– Lepiej zaczekaj na zgodę Starego. Ciem.

Tawl i Ciem stali w milczeniu kilka minut. Wreszcie Moth wrócił.

– Zdejmij mu opaskę. Ciem. jeśli łaska. – Oślepiiony Tawl zamrugał powiekami. – Stary kazał cię wprowadzić.

Przepchnięto go delikatnie przez drzwi.

Znalazł się w pokoju pełnym kwiatów. Przy jasno płonąącym kominku siedział niewysoki, wiekowy człowieczek.

– Proszę, młodzieńcze. Napijesz się herbaty z pokrzyw? – Stary nie czekał na odpowiedź. – Pewnie, że się napijesz, co? Nic lepiej nie pomaga na spuchnięta, głowę. Wszyscy, których każę tu przyprować, przysięgają, że to prawda. Oczywiście dla mnie najlepszym lekarstwem na wszystko jest lakus. ale sam to wiesz najlepiej, młodzieńcze. Zgadza się? – Stary obrzucił Tawla chytrym spojrzeniem. Ten uznał, że najlepiej będzie zachować milczenie. Gospodarz napełnił kubek zielonkawym naparem i wręczył rycerzowi naczynie.

Tawl nie sięgnął po nie.

– Nie krępuj się. młodzieńcze. Kiedy wyrosną ci na

głowie guzy większe od twoich jaj. będziesz żałował, że jej nie wypięś. – Rycerz z niechęcią ujął w dłonie kubek nieapetycznie wyglądającego płynu.

– Usiądź. Tawl. Nie masz chyba nic przeciwko temu, że zwracam się do ciebie po imieniu? W moim wieku szkoda czasu na formalności. W każdej chwili może mnie trafić szlag.

Tawl pomyślał, że nigdy w życiu nie widział zdrowiej wyglądającego staruszka.

– Oczywiście przykro mi, że przyprowadzono cię tu w taki sposób, ale przekonałem się, że na dłuższą metę to najlepsza metoda. Unika się nieprzyjemności i kłopotliwych pytań. Jestem pewien, że to rozumiesz.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Do środka wszedł Moth.

– Przepraszam, że przerywam. Stary, ale Noad właśnie mi powiedział, że Purtilan zaczął sprawiać kłopoty.

– Wiesz, co masz zrobić. Moth. – Odpowiedzią było poważne skinienie głową. – Tylko boleśnie. Moth

– dorzucił Stary, gdy przestępca miał już zamiar wyjść.

– Wykonajcie z Clemem jeden ze swych specjalnych numerów. Ostatnio mieliśmy stanowczo zbyt wiele kłopotów w dzielnicy targowej.

– Jesteś człowiekiem, który przyciąga uwagę

wysoko postawionych osób – ciągnął Stary, gdy Moth opuścił pokój. – Czy wiesz, że kazał cię śledzić arcybiskup Rornu? – Stary nie czekał na odpowiedź Tawla. – Cóż, gdy tylko czcigodny arcybiskup zainteresuje się jakąś osobą, ja również kieruję na nią swą uwagę. Zwłaszcza wtedy, gdy ta osoba i ja mamy wspólnego przyjaciela. – Stary miał wyjątkowo zadowoloną minę. – A mędrzec Bevlin od bardzo dawna jest moim przyjacielem.

Tawl wreszcie postanowił się odezwać.

– A co, jeśli nigdy nie słyszałem o tym Bevlinie?

– Rozczarowujesz mnie, Tawl. Nigdy bym się nie spodziewał, że rycerz z Valdis może się mijać z prawdą. – Stary przeszedł na drugą stronę pokoju i wyjął z jednego z licznych wazonów pomarańczową chryzantemę. Podsunął ją sobie pod nos i wciągnął głęboko powietrze. – Gdy złapali cię sługusi Tavaliska, znaleźli przy tobie bukłak lakusa. Mam pewne dojścia i udało mi się zdobyć owo naczynie. Tak jak podejrzewałem, był na nim znak Bevlina. Jak sądzisz, dlaczego ci go dał? Pozwól, że ci to wyjaśnię. Bevlin nie jest głupcem. Wiedział, że bukłak jest oznaczony i miał nadzieję, że może ci to w pewnym momencie pomóc. Ma wielu przyjaciół gotowych wesprzeć jego poczynania. Niestety Tavalisk również zauważył ów

znak. Dlatego właśnie spędziłeś rok w jednym z jego lochów.

Stary włożył kwiat z powrotem na miejsce, starannie odtwarzając poprzedni układ.

– Jestem gotów służyć ci pomocą. Zaciągnąłem u Bevlina dług wdzięczności i choinie spłaciłbym choćby jego niewielką część. Tawl rozważył wszystko. co powiedział Stary, i podjął decyzję.

– Potrzebuje szybkiego statku, który zabierze mnie na Lam. Stary nie spuścił z niego spojrzenia bystrych oczu.

– Zgoda. Załatwię ci go. Cos jeszcze?

– Ja również chciałbym spłacić dług.

– Wobec tej Megan? Dopilnuję, by otrzymała odpowiednią rekompensatę.

Tawl starał się ukryć zaskoczenie. Czy len człowiek wiedział wszystko? Ucieszył się jednak, że nie usłyszał pytania, po co wybiera się na Larn.

– Nie chcę wiedzieć, jakie zadanie wykonujesz dla Bevlina – odezwał się Stary, jakby czytał w jego myślach. – Muszę ci jednak udzielić dwóch rad. Po pierwsze, mam wiele kontaktów w Znanych Krainach, dzięki czemu wiem, że w wielu miejscach rycerze nie są już mile widziani, a nienawiść do waszego zakonu navasia. Lepiej dobrze ukrywaj swoje kręgi. Przyniosą

ci tylko kłopotu – Zauważył wyraz twarzy Tawla. – Jesteś młodym idealistą i zapewne nie widzisz, co się dzieje.

– Wiem. że w Rornie rzuca się na rycerzy kalumnie.

– Nie bezpodstawnie. Tyren prowadzi zakon na manowce. Pożąda pieniędzy oraz władzy i stara się je zdobyć, kryjąc się za dymną zasłoną religijnego fanatyzmu.

Tawl podniósł się i ruszył w stronę wyjścia.

– Nie wolno potępiać człowieka na podstawie samych pogłosek. Tyren okazał mi przyjaźń wtedy, gdy najbardziej jej potrzebowałem.

Stary powstrzymał go skinieniem dłoni.

– Siadaj, siadaj. Nie chciałem cię obrazić. Nic mnie nie obchodzi rycerstwo. Jeśli chcesz mu służyć, nie będę ci stawał na drodze. Masz w głowie pełno marzeń i wydaje ci się. że jedyne, co liczy się w życiu, to zdobycie ostatniego kręgu. Pozwól, że coś ci powiem. Znałem wielu rycerzy i trzeci krąg to tylko początek, nie koniec. – Obrzucił Tawla przenikliwym spojrzeniem. – Co zamierzasz robić, gdy już go uzyskasz, hę? Chcesz dokonać wielkich czynów, które zapewnią, że pamięć po tobie przetrwa nawet po śmierci.

Tawł poczuł, że się czerwieni. Te słowa były bardzo bliskie prawdy. Nie zastanawiał się nad tym, co uczyni po zdobyciu trzeciego kręgu. Ograniczał się tylko do niejasnych snów o chwale. Przyszłość nie była dla niego. Mógł bezpiecznie myśleć jedynie o terażniejszości.

Stary uśmiechnął się miło.

– Na czym to stanąłem?

– Miałeś mi udzielić dwóch rad. Nie usłyszałem jeszcze drugiej.

– Ach, tak. Druga przestroga brzmi następująco: Larn to zdradziecka wyspa. Strzeż się ceny, której tam od ciebie zażądatają.

Wziął kubek z rąk Tawła.

– Moth zadba o twoje potrzeby. Niestety obaj z Clemem poszli załatwić pewną drobną sprawę. Odprowadzi cię mój chłopak. Noad. Moth skontaktuje się z tobą, gdy wszystko będzie załatwione.

Gospodarz wypowiedział cicho imię Noady i do pokoju wszedł mały chłopiec. Gdy wyprowadzał rycerza. Stary odwrócił się w stronę kominka.

Tawłowi ponownie przesłonięto oczy i odbył podróż tą samą śmierdzącą trasą, tym razem jednak nie poczuł orzeźwiającej bryzy morskiej. Chłopiec zaprowadził go z powrotem do małej, ciemnej izby.

zjął z wysoko umieszczonej półki długi nóż i zakrzywiony miecz, po czym zwrócił je rycerzowi.

– Stary nie chce, żebyś znowu dostał w łeb.

Ponownie założył Tawłowi opaskę, powiódł go schodami w górę i wyprowadził na zewnątrz. Gdy przeszli jeszcze kawałek, chłopiec odsłonił mu oczy.

– Możesz już iść. Przy końcu ulicy skręć w lewo i za chwilę trafisz do dzielnicy nierządu.

Chłopiec oddalił się, szybko znikając w wąskim zaułku. Kierując się jego wskazówkami, Tawł wkrótce znalazł się w znajomej okolicy. Zatopiony głęboko w myślach, wrócił do Megan.

Tavalisk jadł śliwki. Miał przed sobą misę pełną intensywnie fioletowych owoców. Włożył jeden z nich do swych mięsistych ust. Gdy go przeżuwał, sok spływał po jego brodzie. Wylał go wykwintnym ruchem jedwabnej chusteczki, po czym wypluł pestkę na podłogę.

– Proszę.

Gamil wszedł do komnaty z misą laskowych orzechów.

– Orzechy dla Waszej Eminencji – oznajmił, stawiając ją na biurku.

– Jakie wieści masz dziś dla mnie. Gamilu?

Tavalisk wybrał pokazną, błyszczącą śliwko i



umieścił ją między ostrymi zębami.

– Nasz rycerz wydostał się z łap Starego.

– W jakim jest stanie? Czy go pobito? Tavalisk splunął pestką w kierunku śpiącego psa.

– Nic na to nie wskazuje. Wasza Eminencjo.

– Och. cóż za rozczarowanie. Zastanawiam się. co też mogli uknuć?

Tavalisk nie zdołał trafić zwierzęcia pestką, obudził je więc szturchaniem.

– Nie mam pewności. Wasza Eminencjo. Nawet ty nie możesz wiedzieć, co planuje Stary.

Tavalisk miał już ugryźć kolejną śliwkę, lecz usłyszawszy słowa Gamila. odłożył ją natychmiast.

– Nie waż się mnie pouczać, co mogę, a czego nie. Gamilu. Byłbyś głupcem, gdybyś sądził, że jesteś dla mnie jedynym źródłem informacji.

Gamil pochylił głowę ze skruszoną miną.

– Stary ma władzę tylko dzięki temu. że na to pozwalam – ciągnął Tavalisk. – W obecnej sytuacji jego działania osłabiają pozycję Gavelny. a leży w moim interesie, by władza premiera pozostawała... – Tavalisk wybrał najpokaźniejszą śliwkę – ograniczona. To ja muszę być najpotężniejszym człowiekiem w Rornie. Staruszek diuk żyje jak pustelnik, uchylając się od pełnienia należnej mu funkcji przywódcy. Ktoś

musi wypełnić próżnię i w tej chwili odpowiada mi, by zarówno Stary, jak i premier sądzili, że tym kimś są właśnie oni. Gdy obaj zajmują się kopaniem pod sobą dołków, Rorn należy do mnie.

Arcybiskup wytarł kącik ust jedwabną serwetką, by usunąć kropelkę śliwkowego soku, która spłynęła z jego nienasyconych warg.

– Chcę, byś skontaktował się z naszym szpiegiem w zamku Harvell.

– Oczywiście, Wasza Eminencjo. Co mam mu przekazać?

– Chcę się dowiedzieć, jakich wrogów ma Baralis. Ten człowiek stara się doprowadzić do małżeństwa Kylocka z Catherine z Brenu. Nie potrzebuję ci mówić, jak mało podoba mi się myśli o tym związku. Bren już teraz jest zbyt potężny. Jeśli diuk będzie miał królestwa po swojej stronie, z pewnością zdominuje całą północ. Kto wie, do czego może doprowadzić ów sojusz? Oba mocarstwa mogłyby podbić wszystkie leżące między nimi terytoria. Halcus. Annis. Highwall. Nim byśmy się obejrżeli, nasz drogi diuk władałby praktycznie połową Znanych Krain.

Tavalisk czuł narastające podniecenie. Nalał sobie puchar wzmocnionego wina. Skrzywił się, gdy trunek zetknął się z jego podniebieniem. Nie harmonizował ze

śliwkami.

– Nie wspominając już o handlu. Diuk Brenu zawarł jakiś układ z tymi przekłętymi rycerzami. Chcą ukraść nasze kontakty handlowe. Żądają niższych cen. by Roni wydał się chciwy. To taktyka szarlatanów!

– W rzeczy samej, ustalanie uczciwych cen to straszliwa niegodziwość. Wasza Eminencjo.

Tavalisk obrzucił Gamila badawczym spojrzeniem. Pociągnął drugi łyk wina. Smak nie był lepszy niż za pierwszym razem.

– Sytuacja staje się naprawdę bardzo poważna. Muszę uważnie śledzić wypadki i mieć na podorędziu sojuszników. Baralis z pewnością ma potężnych wrogów, z którymi mógłbym nawiązać kontakt. Po co mam robić sam coś. co ktoś inny może zrobić za mnie?

Tavalisk wypił trzeci łyk. Wino. choć wciąż lekko cierpkie, przyjemnie podziałało na jego język.

– Dowiem się, kto ma powody, by nienawidzić lorda Baralisa. Wasza Eminencjo.

– Znając go. nie mam wątpliwości, że w zamku Harvell znajdzie się sporo źle życzących mu ludzi.

Tavalisk pociągnął kolejny łyk wina. Jak mógł uważać ten nektar za cierpki?

– Coś jeszcze, Wasza Eminencjo? Arcybiskup podniósł pieska i wręczył go Gamilowi.

– Wyprowadź Comiego na spacer do ogrodów. Gamilu. Nie wychodził cały dzień. Musi się załatwić.

Gamil obrzucił Tavaliska pełnym nienawiści spojrzeniem, ten jednak udał, że tego nie zauważył.

Gdy tylko sekretarz wyszedł, arcybiskup wziął w rękę talerz z orzechami i zaczął je rozłupywać z cwany uśmiechem na twarzy.

Jack postanowił, że dziś opuści schronienie Falka i ruszy dalej na wschód. Nie chciał się z nim rozstawać, musiał jednak sam zadbać o własny los, a do tego brodacz przywrócił mu nadzieję. Życie nie było tak proste, jak mu się zdawało, niemniej jednak oferowało wiele możliwości. Stwierdził, że dotąd spoglądał na świat jedynie przez pryzmat własnych doświadczeń. Zaczynał pojmować, że istnieje więcej niż jeden sposób patrzenia na sprawy, a przekonania, które żywił od lat, można podać w wątpliwość. Rozmowa z Falkiem dała mu wiele do myślenia. Musiał spędzić trochę czasu w samotności, by wszystko rozważyć.

– Dlaczego mi pomogłeś, kiedy byłem chory? – zapytał. Siedzieli przy piecu i *ale* wprawiło ich w melancholijny nastrój. Falk popijał je w milczeniu. Jack pomyślał, że pytając go o motywy postępowania, złamał reguły ich szczególnej przyjaźni. Miał już zamiar przeprosić, gdy Falk wreszcie się odezwał.

– Nie mogę cię okłamywać, Jack. Zrobiłem to dlatego, że było w tobie coś, czego nie dostrzegłyby zwykłe oczy.

– Zobaczyłeś we mnie to coś, co zmieniło bochny? Odpowiedź Falka zaskoczyła Jacka.

– Nie. Nie jestem magiem. Tylko oni potrafią dostrzec w podobnych sobie czarodziejski potencjał. Jestem człowiekiem z lasu. Znam się na ziemi, nie na niebie.

Jack poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku.

– W takim razie co zobaczyłeś?

– Jesteś wytrwały – odparł Falk. – Muszę to przyznać. Pomogłem ci, gdy leżałeś chory w deszczu, ponieważ poczułem zew w swej krwi. Zobaczyłem potencjał... – Wbił wzrok w ziemię, wdeptując w nią butem liście – ...nie potrafię tego nazwać. Towarzyszy ci przeznaczenie i jeśli będzie miało sposobność, zaprosi cię do tańca.

Falk poderwał się nagle. Ten temat wyraźnie mu nie odpowiadał.

– Mam wrażenie, że pragniesz już ruszać w drogę. Chciałbym ci podarować kilka drobiazgów.

Przeznaczenie? Jack pomyślał, że jego życie nigdy nie było bardziej zagmatwane: czary, decyzje do podjęcia, a do tego jeszcze jakieś towarzyszące mu

przeznaczenie. Był tylko zwykłym piekarczykiem. Wszystko wydawało się znacznie prostsze, gdy obchodziły go jedynie wypiek chlebów, przepisywanie i zaloty.

Przesunął dłońmi po włosach. Były dłuższe niż kiedykolwiek. Pan Frallit na ich widok natychmiast złapałby za nóż. Dziewczynom z kuchni jednak podobały się długie włosy. Co prawda, nie był już nimi zainteresowany. Trudno oczekiwać od człowieka, by myślał o kobietach, gdy niedawno wyzdrowiał z mokrej gorączki i miał zamiar rozpocząć nowe życie. Niemniej jednak nie opuszczało go wspomnienie pewnej kobiety: młodej Melli. Nawet w tej chwili widział jej nieskazitelną skórę, potrafił niemal wyczuć kształty jej ciała.

Czuł się lekko zawstydzony kierunkiem, w który uciekały jego myśli. Kobiety wkradały się w jego marzenia, bez względu na chęć pozbycia się ich i dręczące go problemy. Nie dalej, jak przed kilkoma minutami Falk powiedział mu coś ważnego – co prawda trochę niejasnego, niemniej jednak ważnego – a on właśnie sobie wyobrażał, jak wyglądałaby Melli w sukni z głębokim dekoltem!

Roześmiał się głośno. Falk również wybuchnął śmiechem. Nie miał zamiaru pytać go, dlaczego to

zrobił. Obawiał się usłyszeć, że brodacz potrafi czytać w jego myślach. Roześmiał się jeszcze głośniejsze. Sprawiało mu to radość. Trudno było uwierzyć, że na świecie istnieje zło, które nie uciekłoby przed brzmieniem śmiechu.

Falk podszedł do kąta schronienia, przyklęknął i uniósł kępę mchu, odsłaniając ukryty pod nią płytki dołek. Przerzucił jego zawartość, znalazł to, czego szukał, i ułożył mech z powrotem na miejsce, po czym wrócił do Jacka, usiadł obok niego i zaczął rozpakowywać różne, zawinięte w lniane szmatki przedmioty.

– Kiedy cię znalazłem, nie miałeś nic, nie mogę ci jednak pozwolić odejść z pustymi rękami. Nie po to uratowałem ci życie, byś je stracił, gdy tylko mnie opuścisz. – Wręczył Jackowi mały, lecz ciężki sztylet. – Będziesz potrzebował noża. – Rozwinał następny przedmiot. – Będziesz potrzebował manierki. – Ostatnim prezentem był piękny, gruby płaszcz. – Będziesz potrzebował ciepła.

Jack spoważniał natychmiast, widząc taką hojność.

– Falk, nie wiem, jak ci dziękować.

Brodacz chrząknął lekceważąco, ratując chłopca przed koniecznością powiedzenia czegoś więcej.

– Nie ma sprawy. Proszę w zamian tylko o jedno.

– O co?

– Nie poddawaj się rozgoryczeniu. Jack. Jesteś młody i życie skierowało cię na niełatwą ścieżkę. Nie czyni jej trudniejszą, obciążając winą innych.

Wbił w niego pełne mądrości spojrzenie. To Jack pierwszy odwrócił wzrok.

Uspokojony tym Falk zajął się układaniem wiktuałów na płachcie. Następnie uformował z niej worek, który związał mocno sznurem. Przeszukał szybko kufer i wydobył z niego parę butów. Przyjrzał się krytycznie stopom Jacka, potrząsając z niedowierzaniem głową. Gdy wręczył mu buty, chłopak uśmiechnął się lekko zażenowany. Na koniec Falk dał mu skórzany mieszek.

– Nie ma tego dużo – powiedział. – Tylko kilka sztuk złota, ale przydadzą ci się, gdy już opuścisz las.

Jack ponownie spróbował mu podziękować, lecz słowa brzmiały sztywno i formalnie.

– Zaciągnąłem wobec ciebie wielki dług, Falk. Dziękuję ci za twą dobroć i obiecuję, że kiedyś go spłacę.

– Nie pragnę żadnych podziękowań i niczyich obietnic. Zwalniam cię z wszelkich zobowiązań wobec mnie.

Jack starał się znaleźć właściwą odpowiedź. Gdy



mu się nie udało, uznał, że najlepsze będzie milczenie.

Dwaj towarzysze wyszli ze schronienia i stanęli obok siebie. Choć chłopak widział je już kilkakrotnie z zewnątrz, po raz kolejny wzbudziło w nim podziw. Wyglądało zupełnie jak gęsta kępa krzaków. Falk zauważył jego spojrzenie.

– Niewiele jest rzeczy, z których mógłbym być dumny. Jedną z nich jest mój dom.

Stali w milczeniu przez kilka minut, napawając się pięknem lasu. Falk zaskoczył Jacka, podchodząc do niego i całując go lekko w policzek.

– Zazdroszczę ci, chłopcze. Jesteś młody i masz życie przed sobą. Wypełnij je przygodami!

Po raz ostatni młodzieńcowi zabrakło słów. Spojrzenia obu przyjaciół spotkały się, po czym Jack odwrócił się i odszedł.

Nie obejrzał się za siebie. Ruszył w głąb lasu, sprawdzając pozycję słońca, by się upewnić, że zmierza na wschód. Tam leżały wszystkie wielkie miasta. Nie miało znaczenia, gdzie w końcu trafi. Ważne było zdobycie doświadczenia. Falk zapalił w jego umyśle płomień i Jack musiał *znaleźć* dla nich opał.

Zerwał się do biegu. Dotyk chłodnego powietrza na twarzy sprawiał mu przyjemność. Gdy zaczął padać

deszcz, chłopak uznał to za błogosławieństwo. Pokonał tak wiele mil. Jego nastrój był zbyt radosny, by było go stać na kontemplację. Wypełni swe życie przygodami. Ta myśl podtrzymywała go na duchu przez cały dzień.

Gdy noc zaczęła objawiać swoje nadejście zimnymi powiewami i ciemniejącym niebem, Jack zwolnił i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłby ułożyć się do snu. Znalazł płaski kawałek gruntu położony przy brzegu wąskiego strumyka i rozpakował zawiniątko. Oszołomiła go jego zawartość: była tam cała wędzona szynka, krążek żółtego sera, solona dziczyzna, soczyste jabłka, orzechy, suszone owoce i suszone mięso. Pociągnął łyk z manierki i przekonał się, że jest wypełniona jabłecznikiem. Z uśmiechem zadowolenia ukroił sobie wielki kawał sera i zajadał się nim, popijając wybornym trunkiem.

Zajrzał do skórzanego mieszka i znalazł w środku pięć sztuk złota. Dla chłopca, który nigdy w życiu nie miał ani grosza, była to fortuna.

Spożył suty posiłek, sprawdzając na szynce ostrość noża. Poczuł żal, że nie potrafił z większą elokwencją podziękować Falkowi za wszystko, co ten dla niego uczynił. Zastanawiając się nad niezwykłą osobą swego dobroczyńcy, doszedł jednak do wniosku, że najlepsze,

co może zrobić, to po prostu radować się darami, które od niego otrzymał.

– Za Falka, człowieka, który żyje w samotności, lecz odnalazł spokój – wznosił toast, unosząc do ust manierkę. Wypił resztę jabłeczника i beknał z zadowoleniem. Napój był nadzwyczaj smaczny.

Baralis czuł się niepocieszony. Jego gołąb padł. Nieszczęsny ptak przegrał wreszcie walkę z głodem i zimmem. Kanclerz nie był w stanie się upewnić, czy jego najemnicy schwytali dziewczynę.

Będzie musiał wysłać następnego gołębia. Zrobi to jutro. Dziś wieczorem czekało go spotkanie z królową i powinien zachować jasność umysłu. Jego irytację zwiększał fakt, że przed chwilą goniec dostarczył mu list od tego podstępного tłuszciocha Tavaliska, który domagał się zwrotu biblioteki. Korpulentny, zdeprawowany arcybiskup coś knuł. Baralis czuł to we krwi. Ten człowiek żył intrygami. Z pewnością nie pozwoli bez oporów na coś tak istotnego, jak małżeństwo Kylocka. Mapa Znanych Krain wkrótce zacznie się zmieniać. Władza przesunie się z opasłego południa na głodną północ. W świecie zdominowanym przez chude, chciwe imperium nie będzie miejsca dla żarłoka.

Musi mieć Tavaliska na oku. Nie pozwoli, by jego

plany pokrzyżowało pulchne łapsko arcybiskupa.

Miał jednak powody do zadowolenia. Królowa zgodziła się wreszcie udzielić mu audiencji. Chciała otrzymać więcej lekarstwa. Jutrzejszej nocy będzie Wigilia Zimy. Baralis miał nadzieję, że do tego czasu Arinalda zaakceptuje jego propozycję.

Pograżony w takich myślach, przygotowywał świeżą porcję trucizny. Była to nowa formuła, której jeszcze nigdy nie próbował. Ucierał składniki i dozował płyny dłońmi, którym sprawność przywróciły środki przeciwbólowe. Z uwagą zachowywał odpowiednie proporcje. Nadmierna dawka wyciągu z mchu mogłaby stłumić działanie pozostałych składników, mącąc delikatną równowagę. Wyrób trucizn wymagał dokładnego oka i pewnej ręki.

Ta mikstura nie była przeznaczona do spożycia. Użyje jej w bardziej subtelny sposób. Uśmiechnął się złowieszczo, przyglądając się swemu dziełu. Była to niewątpliwie najzabawniejsza trucizna, jaką w życiu sporządził. Służyła do wylania na szaty ofiary. Była bardzo silna. Wystarczy kilka kropel, najlepiej wokół kołnierza i barków. Założywszy płaszcz, ofiara nie wykryje przezroczyściego i niemal bezwonnego eliksiru. Zajmie się swoimi sprawami, nie wiedząc, że wdycha śmiertcionośne wyziewy. Umrze powoli, jako

że oparów będzie niewiele i minie sporo godzin, nim zakończą swe mordercze dzieło.

Baralis dotarł do punktu, w którym musiał założyć maskę. Nie chciał się narażać na żadne ryzyko. Śmierć powodowana przez tę truciznę była nie tylko powolna, lecz również bolesna. Ofierze coraz trudniej było zaczerpnąć tchu, gdyż toksyczna substancja wżerała się w delikatne tkanki gardła i płuc. Zatruty uzna, że cierpi na niestrawność lub bóle serca, i zlekceważy objawy. Trucizna strawi powoli jego płuca, aż wreszcie nieszczęśnik się udusi, rozpaczliwie i bezskutecznie usiłując zaczerpnąć powietrza.

Baralis zakończył przyrządzanie trucizny, po czym ostrożnie wypełnił nią szklaną buteleczkę, którą następnie szczelnie zamknął zatyczką. Jutro, gdy uwaga całego zamku będzie zwrócona na ostatnie przygotowania do święta, wślizgnie się do komnat Maybora i zatruje jego najlepsze szaty. Ponieważ wieczorem na dworze urządzano tańce, próżność z pewnością skłoni wielmożę do przywdziania najdroższego i najbardziej ekstrawaganckiego stroju. Nie będzie podejrzewał, że ubranie, które założył, by zaimponować dworowi, stanie się przyczyną jego ostatecznego upadku.

Baralis był bardzo zadowolony z tego planu. Tym

razem żaden niczego nie podejrzewający sługa nie uratuje swego pana. Przy pierwszym zamachu Mayborowi się poszczęściło, lecz to już się nie powtórzy.

Maybor ponownie wybrał się w miejsce położone pod wiatr od gnojowiska. Zniecierpliwiony czekaniem, tupał po zmarzniętym gruncie. Wreszcie skrytobójca się zjawił. Jego drobna postać pojawiła się na łagodnym wzniesieniu. Maybor nie tracił czasu na ceregiele.

– Dlaczego nie zrobiłeś tego, co uzgodniliśmy?

Scarl nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego gniewnym tonem wielmoży.

– Nie nadeszła jeszcze właściwa chwila. Nie mam zamiaru narażać życia, przystępując do akcji zbyt wcześnie i bez zachowania należytej ostrożności.

Mayborowi nie przypadła do gustu ta odpowiedź.

– Od naszego spotkania minęło wiele dni. Można by oczekiwać, że przez ten czas znajdziesz odpowiednią okazję.

– Z uwagą śledziłem ruchy lorda Baralisa. Nigdzie nie chodzi bez swojego głupca, Croke’a.

– To nie moje zmartwienie. Chcę, żeby zginął, i to szybko.

– Nie będziesz już musiał długo czekać, lordzie

Mayborze. Mam zamiar wkrótce wykonać zadanie.

– To znaczy kiedy? – naciskał wielmoża.

– Lordzie Mayborze, nie podam ci szczegółów. Lepiej żebyś nie wiedział, kiedy i gdzie się to stanie. Niech będzie to dla ciebie niespodzianką. W ten sposób łatwiej ci będzie odegrać rolę zaskoczonego. Maybor wiedział, że skrytobójca ma rację.

– Niech będzie i tak. Ale musisz dać mi słowo, że to nastąpi wkrótce.

– Masz moje słowo, lordzie Mayborze.

Scarl miał już zamiar odejść, gdy jego rozmówcy przyszło do głowy pewne pytanie.

– I czego dowiedziałeś się o Baralisie? Z pewnością śledząc go, musiałeś odkryć parę interesujących sekretów.

Skrytobójca wahał się przez krótki czas.

– Nie poznałem wielu jego tajemnic – odparł. – On bardzo rzadko opuszcza swe komnaty.

Maybor podejrzał, że rozmówca coś przed nim ukrywa, postanowił jednak nie naciskać na niego, dopóki zadanie nie zostanie wykonane. Nie mógł ryzykować, że go do siebie zrazi. Potem sytuacja będzie wyglądała inaczej. W gruncie rzeczy, mógł nawet spowodować, by samego Scarla również spotkał wypadek. Kochał swe jabłoniowe sady i nie miał

ochoty rozstawać się z ich trzydziestoma akrami. Ta myśl wyraźnie podniosła go na duchu.

– Dobrze, Scarlu. Wierzę, że spełnisz swą obietnicę. Skrytobójca obrzucił go ostrożnym, przelotnym spojrzeniem.

Nie obawiaj się, lordzie Mayborze. Wykonam zadanie. Powiedziawszy to, oddalił się, zostawiając wielmożę sam na sam ze smrodem gnojowiska.

Maybor obserwował odchodzącego skrytobójcę. Nie ufał mu. Ostatecznie był to tylko wynajęty morderca. Był pewien, że Scarl zrobi to, czego od niego żądał. Potem jednak on również mógł paść ofiarą skrytobójczego noża.

Odczekał chwilę, zastanawiając się, kiedy wreszcie uda się odnaleźć Melliandrę. Od jej ucieczki upłynęło już dwanaście dni. Nie wątpił, że jest żywa i zdrowa. Dziewczyna miała odwagę i inicjatywę. Ostatecznie była jego córką. Wysłał swych ludzi do wszystkich miasteczek i wiosek graniczących z wielką puszczą na wypadek, gdyby pojawiła się w którymś z nich. Rozesłał nawet dyskretnie wieści o nagrodzie czekającej na tego, kto udzieliłby informacji prowadzącej do odnalezienia jego córki. Wiązało się z tym pewne ryzyko, lecz zaczynało mu brakować czasu. Był zmuszony uciec się do szerzej zakrojonych



działań. Musiał odszukać Melliandrę. Zaręczyny się odbęda! Będzie ojcem królowej!

## 9

Melli obudziła się i natychmiast poczuła mdłości. Podbiegła do stojącej umywalki, gdzie zwymiotowała gwałtownie. Czuła się okropnie. Musiała usiąść na łóżku. Spróbowała się zastanowić, co zrobić dalej. Nie ufała pani Greal. Musi odzyskać konia i ruszyć w dalszą drogę. Niestety miała tak mało sił, że całodzienna wędrówka była ostatnią rzeczą, której miałyby ochotę się podjąć.

Usłyszała cichutkie stukanie do drzwi. Do środka weszła pani Greal.

– Ojej! Co ci się stało? – Zobaczyła wymiociny w umywalce. – Och, widzę, że nie jesteś przyzwyczajona do trunków, co? Nic ci nie będzie. Nikt jeszcze nie umarł od dzbanka jabłecznika, jeśli nie liczyć starej mamy Crutly, która oberwała nim w głowę.

Kobieta zabrała się do sprzątnięcia izby.

– Bardzo dziękuję za gościnność, ale muszę dziś ruszyć w drogę. Naczynia, o których mówiłyśmy, zostawiłam na komodzie. Mam nadzieję, że zapłata jest

wystarczająca.

Wskazała na talerz i garnki.

Pani Greal zmrużyła już przedtem małe oczka.

– Nie jesteś w stanie nigdzie jechać, kochanie. Lepiej zostań jeszcze jeden dzień. Wypocznij. Weź gorącą kąpiel. Przygotowałam ją dla ciebie już wczoraj, ale kiedy przyszedłam po ciebie, spałaś głęboko.

Myśl o gorącej kąpeli i całodniowym odpoczynku była zdecydowanie zbyt kusząca, by jej nie ulec.

– Zgoda, pani Greal, zostanę jeszcze dzień. Ale ostrzegam, że nie mam czym pani zapłacić.

– Nie przejmuj się tym, kochanie. To nie ma znaczenia. Chciałam tylko pomóc drugiej kobiecie. Każę ci przynieść na górę smaczne śniadanko i przygotuję następną kąpiel. Pozwoliłam też sobie zakupić dla ciebie nową suknię. Nie możesz przecież po przyjemnej kąpeli założyć tych wstrętnych łachów, prawda?

Popatrzyła z niesmakiem na brudne i wymięte ubranie Melli. Dziewczyna poczuła się zawstydzona.

– Jest pani dla mnie za dobra, pani Greal. Jeśli tylko każe pani wyprać moje stare ubranie, nie będę prosiła panią o nowe.

– Nonsens. Ta suknia jest zupełnie podarta. Poza tym, to nie będzie nowe ubranie. Ale jest bardzo ładne.

Pokaże cię z najlepszej strony.

Pani Greal wyszła z izby i Melli nie miała okazji zapytać, co chciała powiedzieć przez to, że suknia pokaże ją z najlepszej strony. Nie chciała się nigdzie pokazywać.

Jej uwagę odwróciło pyszne, gorące śniadanie złożone z chrupiącego boczku, jajka w koszulce, smażonych grzybów oraz mnóstwa chleba z masłem. Najadła się do syta. Bez względu na zamysły pani Greal, Melli była jej wdzięczna za tak smakowity posiłek.

Gdy go spożyła, pojawiła się dziewczyna o pożółkłej twarzy, która zaprowadziła ją do małej izdebki. Znajdowała się tam okrągła drewniana balia. Woda była gorąca. Melli moczyła się w niej przez długi czas, by przynieść ulgę obolałemu ciału. Po chwili pozwoliła, by dziewczyna wyszorowała jej plecy i umyła włosy. Wytarła się wełnianym ręcznikiem. Cudownie było być czystą. Spojrzała na pozostałą po kąpieli wodę i ze zgrozą zobaczyła jej ciemnobrązowy kolor. Musiała być znacznie brudniejsza niż jej się zdawało.

Gdy już się wytarła, dziewczyna wręczyła jej suknię ciemnokarmazynowej barwy. Nie przypadła ona Melli do gustu, lecz zabrano jej stare ubranie, była

więc zmuszona ją włożyć. Stanik był głęboko wycięty i odsłaniał znaczną część biustu. Następnie służąca zaciągnęła sznurówki tak mocno, że Melli niemal nie mogła oddychać. Piersi wypchnęły jej wysoko pod brodę. Nie było tam zwierciadła, nie mogła więc sprawdzić, jak wygląda, podejrzewała jednak, że prezentuje się raczej nieprzyzwoicie, zupełnie nie jak dama dworu. Poprosiła dziewczynę o poluzowanie sznurówek, ta jednak odmówiła.

– Taki sposób podoba się Greal – wyjaśniła.

Po kilku chwilach, gdy służąca czesała jej włosy, pojawiła się gospodyni we własnej osobie. Sprawiała wrażenie usatysfakcjonowanej tym, co zobaczyła. Obeszła Melli wokół, cmokając z zadowolenia językiem.

– Ojej – powiedziała wreszcie. – Kto by się spodziewał, że okażesz się taka ładna? Oczywiście umiem zauważyć urodę, ale widzę, że tym razem prześcignęłam samą siebie.

– Keddi, zostaw włosy rozpuszczone – dodała, – Są takie piękne, że szkoda by je było wiązać.

Dziewczyna posłusznie wyjęła szpilki z włosów. Następnie pani Greal podeszła do Melli i przebiegła dłonią po jej twarzy i biuście.

– Ojej, ale jesteś ładniutka. – Zauważyła, że Melli

wzdrygnęła się z niesmakiem pod jej dotykiem. – Nie bądź taka skromna, dziewczyno. Taka ślicznotka jak ty na pewno jest przyzwyczajona do tego, że wszyscy ją podziwiają.

– Proszę, pani Greal. Wszystko to mnie krępuje. Gdyby mogła pani poprosić służącą, by szybciej wyprała moją suknię, byłabym bardzo wdzięczna. Obawiam się, że ta nie jest w moim guście.

Na słowa Melli z twarzy pani Greal zniknęła wesołość.

– Nonsens. Ta suknia jest w sam raz. Powinnaś być wdzięczna! Ten brudny łach, który miałaś na sobie, był znacznie gorszej jakości.

Melli musiała przygryźć wargi, by nie powiedzieć o kilka słów za dużo. Choć jej suknia była brudna i podarta, zrobiono ją z najdelikatniejszej owczej wełny i była bez porównaniu lepsza od tej, którą miała na sobie. Dziewczyna zdawała sobie jednak sprawę, że nie powinna mówić tego głośno. Nie chciała, by pani Greal dowiedziała się, że była damą dworu.

Gospodyni najwyraźniej pożałowała swych ostrych słów.

– Może napiłabyś się ze mną *ale* w karczmie? – zapytała przymilnym tonem. Melli zdecydowanie nie miała na to ochoty.

– Wolałabym spędzić dzień w pokoju. Oczywiście najpierw chciałabym sprawdzić, jak się ma mój koń.

– Nie ma potrzeby – odparła szybko kobieta. – Mój chłopak dobrze się nim zaopiekował.

Melli zaczęła odczuwać wyraźny niepokój, nie naciskała jednak na panią Greal. Postanowiła, że później sama pójdzie zobaczyć konia.

– Dlaczego nie zejdziesz ze mną? Szkoda by było zmarnować taką piękną suknię. Poza tym, na pewno jesteś głodna, a właściciel nie podaje południowych posiłków do pokoiów.

Pani Greal obrzuciła służącą przelotnym spojrzeniem, ostrzegając ją, by nie ważyła się zaprzeczyć jej słowom. Melli wiedziała, że gospodyni wywiera na nią nacisk, lecz zdawała sobie sprawę, iż nie może jej teraz odmówić.

– Proszę bardzo, zejść na chwilę na dół. Pani Greal była niesłychanie zadowolona.

– Znakomicie, znakomicie. Będzie bardzo przyjemnie.

Obie kobiety przeszły przez gospodę i znalazły stół, za którym mogły spocząć. Melli nie podobało się, że stoi on na samym środku sali. Gdy jednak poprosiła, by usiadły w jakimś bardziej dyskretnym miejscu, pani Greal powiedziała coś o ciepłym bijącym z kominka i

świeżym powietrzu dobiegającym od drzwi. Melli miała wrażenie, że stół jest daleko i od kominka, i od drzwi.

Usiadła spokojnie i wypła trochę *ale*. Wyglądało na to, że pani Greal zna wszystkich w karczmie. Każdego z obecnych mężczyzn pozdrawiała skinieniem głowy i machnięciem ręki. W gruncie rzeczy, wydawało się, że uwaga całej sali skupiła się na nich dwóch. Melli miała nadzieję, że nie ma tu nikogo, kto znałby ją z zamku Harvell. Rozejrzała się pośpiesznie po sali, lecz nie dostrzegła żadnej znajomej twarzy.

Po krótkiej chwili podszedł do nich jakiś mężczyzna. Rozmawiał z panią Greal, lecz nie spuszczał wzroku z Melli.

– Życzę przyjemnego dnia, pani Greal – powiedział, gapiąc się na odsłonięty biust dziewczyny.

– Nawzajem, Edradzie – odparła pani Greal, z zadowoleniem dostrzegając zainteresowanie w oczach mężczyzny.

– Czy raczy mnie pani przedstawić swej pięknej towarzyszcze?

– Ależ oczywiście. To jest Melli. Nie pamiętam, skąd pochodzisz, moja droga.

Melli jej tego nie mówiła. Spróbowała pośpiesznie



wymyślić odpowiednią nazwę.

– Z... Głębokiego Lasu.

– Z Głębokiego Lasu? Nigdy o nim nie słyszałem. Gdzie to może być? – zapytał mężczyzna.

– Daleko na południu.

– Na pewno bardzo daleko, bo ja też o nim nie słyszałam – zauważyła ostrym tonem kobieta.

– Pani Greal, czy mógłbym porozmawiać z panią na osobności? – zapytał mężczyzna, gdy Melli zastanawiała się nad tym, jak uprzejmie przeprosić swych towarzyszy. Kobieta wyraziła zgodę i oboje oddalili się poza zasięg słuchu Melli. Dziewczyna widziała, że mężczyzna o coś zapytał, a kobieta potrząsnęła głową. Potem spytał o coś jeszcze. Tym razem pani Greal przytaknęła. Edrad oddalił się, raz jeszcze spoglądając na Melli. Kobieta wróciła do stołu.

Wyglądała na bardzo zadowoloną. Rozejrzała się po sali. Zobaczywszy, że wielu mężczyzn gapi się z podziwem na Melli, uśmiechnęła się szeroko.

– Myślę, że starczy ci już wrażeń na dziś, moja droga. Widzę, że jesteś zmęczona. Jeśli poproszę właściciela, każe ci przynieść posiłek do pokoju.

Melli zaskoczyła ta nagła uprzejmość.

– Bardzo dziękuję. Chciałabym się trochę przespać. Pani Greal uśmiechnęła się raz jeszcze.

– Tak, kochanie, śpij, ile tylko chcesz. Jutro będziesz potrzebowała dużo sił.

Melli natychmiast stała się podejrzliwa.

– Co pani ma na myśli?

– Nic takiego, moja droga – odparła słodkim tonem pani Greal. – To tylko takie miejscowe porzekadło.

– Zdejmij tę suknię, nim się położysz, Melli – dodała jeszcze, gdy dziewczyna wstała, gotowa się oddalić. – Nie chcę, żeby się pogniotła.

Baralis udawał się na audiencję u królowej ze ściskiem w żołądku wywołanym podnieceniem. Zastukał do drzwi komnaty audiencyjnej i Arinalda gestem nakazała mu wejść.

Nawet w oczach beznamiętnego kanclerza wyglądała pięknie i imponująco. Gęste, jasne włosy miała wysoko upięte, a suknia z połyskliwego jedwabiu rzucała delikatny, złocisty blask na urodziwą twarz. Nim zaczęła mówić. Baralis pozwolił sobie na przelotne wspomnienie pewnej nocy sprzed wielu lat, podczas której nacieszył się jej wdziękami. Owo wspomnienie dało mu poczucie władzy. Stał się nagle bardziej pewny siebie niż w chwili, gdy wchodził do komnaty.

– Witaj, lordzie Baralisie.

Zauważył, że królowa zawahała się, niepewna, czy

uściskać mu dłoń, i w końcu postanowiła tego nie robić.

– To zaszczyt przebywać w twojej obecności, Wasza Wysokość. Pokłonił się nisko.

– Lordzie Baralisie. z pewnością słyszałeś, że zdrowie króla poprawiło się nieco?

Skinął głową.

– Mam nadzieję, że Wasza Wysokość jest zadowolona z lekarstwa.

– Zaiste jestem. Król ostatnio czuł się coraz gorzej. Po raz pierwszy od owego tragicznego wypadku jego stan zaczął się poprawiać.

– Z radością słyszę, że stałem się sprawcą tak korzystnych zmian.

Baralis pokłonił się lekko, przypominając królowej o swych zasługach. Zauważyła to.

– Tak, lordzie Baralisie. jestem ci bardzo wdzięczna. Czy wiesz, że jutro z okazji powrotu króla do zdrowia odbędzie się wielka uczta?

– Z pewnością będę na niej obecny, Wasza Wysokość. Baralis nie śpieszył się z przejściem do rzeczy. Pozwoli, by to królowa pierwsza zaproponowała układ.

– Lordzie Baralisie, sędzę, że wiesz, po co cię tu dziś zaprosiłam. Nie zamierzał ułatwić jej zadania.

– Nie ośmieliłbym się snuć domysłów. Wasza Wysokość.

Z zadowoleniem zauważył, że przez jej twarz przemknął grymas gniewu.

– Nie będę marnowała czasu na pogawędki, lordzie Baralisie. Chodzi o to, że potrzebuję więcej twojego lekarstwa dla króla. Jakiej zapłaty oczekujesz?

Baralis starannie ukrył swe zadowolenie.

– Wasza Wysokość jest nadzwyczaj bezpośrednia. W rzeczy samej oczekuję w zamian pewnej przysługi.

– Mów, czego chcesz. Ziemi, złota, tytułów? Odwróciła się od niego z lekceważącym gestem.

– Chcę mieć głos w sprawie małżeństwa księcia Kylocka. Spojrzała na niego błyskawicznie.

– Co to za podstęp? Nie pozwolę ci decydować, kogo poślubi mój syn.

Dygotała z gniewu. W przeciwieństwie do niej, Baralis był bardzo spokojny, a nawet zaczynał się dobrze bawić.

– Nie ma potrzeby posuwać się do kłamstwa, Wasza Wysokość. Wiem, że lord Maybor zamierza wydać za księcia swą córkę.

Królowa dobrze ukryła zaskoczenie.

– Skąd się o tym dowiedziałeś? – zapytała zimnym tonem.

– Lord Maybor trzepie ozorem, kiedy ma w czubie.

Arinalda przyjrzała mu się z ledwie skrywaną nienawiścią, wiedział jednak, że uwierzyła w jego wytłumaczenie. Maybor na całym dworze słynął z notorycznego pijaństwa.

– Cóż, lordzie Baralisie. jeśli wiesz o planowanych zaręczynach, musisz również zdawać sobie sprawę, że decyzja już zapadła. Nie unieważnię umowy.

– Niestety, Wasza Wysokość mało wie o pewnych sprawach – rzucił niemal pobłażliwym tonem Baralis.

– Jakich sprawach? – wysyczała królowa.

– Sprawach dotyczących Melliandry, ślicznej córeczki lorda Maybora.

– Jeśli chcesz mi powiedzieć, że jest chora, to już o tym wiem, lordzie Baralisie. Jej ojciec zapewnił mnie, że to nie jest ospa.

– To przykre, ale lord Maybor okłamał Waszą Wysokość. – Spojrzał królowej prosto w oczy. – Jego córka uciekła z zamku – ciągnął. – Nie ma jej już od ponad dziesięciu dni. Lord Maybor poinformował cię, że jest chora, po to, byś nie poznała prawdy.

Widział, że królowa już w tej chwili wątpi w słowa Maybora.

– Jaki był powód tej ucieczki?

– Nie mogę mieć w tej sprawie pewności. Któż

odgadnie, jakie tajemnice kryją się w dziewczęcych sercach? – Baralisowi udało się niemal tęskne westchnienie. – Słyszałem jednak, że Melliandra uciekła dlatego, iż nie mogła znieść myśli o poślubieniu twego syna.

Królowa pobladła z wściekłości.

– Mówisz, że słyszałeś tę ohydłą plotkę. Kto jeszcze o tym wie?

– Połowa dworu, Wasza Wysokość – skłamał Baralis.

– To nie do zniesienia!

Przebiegła w zdenerwowaniu palcami po hacie sukni.

– Serdecznie współczuję Waszej Wysokości – powiedział Baralis pokornym tonem, który jeszcze bardziej poirytował Arinaldę.

– Osobiście sprawdzę, czy te oskarżenia są prawdą. Do tej pory nie zamierzam więcej poruszać tego tematu.

– Jak Wasza Wysokość sobie życzy. Sądzę jednak, że mam obowiązek wskazać, iż jeśli nie osiągniemy obopólnie zadowalającego rozwiązania, niewielka poprawa zdrowia króla pójdzie zapewne na marne. Lekarstwo trzeba podawać regularnie. W przeciwnym razie jego skutki mogą się cofnąć.

Te podstępne słowa wyraźnie wzburzyły królową.

– Lordzie Baralisie, nie zwykłam tolerować szantażu. Odejdź. Wezwę cię ponownie, gdy uznam to za stosowne.

Baralis pokłonił się i wyszedł. Królowa z pewnością wkrótce zażąda następnego spotkania. Uśmiechnął się z zadowoleniem na myśl o zbliżającym się upadku Maybora. Szkoda, że wielmoża nie dożyje tego upokorzenia.

Tawl siedział spokojnie w izbie Megan, gdy głośne stukanie wyrwało go z zamyślenia. Podszedł ostrożnie do drzwi i zapytał, kto idzie.

– To ja, Moth. Przyjaciel Starego.

Rycerz otworzył drzwi i wpuścił go do środka.

– Jak się masz, przyjacielu? – zapytał Moth, rozglądając się z ciekawością po izbie. – Mam nadzieję, że nie boli cię już głowa. Znasz Cierna. Jego praca to dla niego źródło prawdziwej dumy. Stary mówi, żeby sprowadzić gościa po cichu i Ciem bierze to dosłownie. Każdy by na jakiś czas ucichł po dwóch takich ciosach. Trzy uciszają na wieki. No, ale dość już tego gadania. Przejdźmy do rzeczy.

Oszołomiony tym słowotokiem Tawl zdołał skłonić Motha, by usiadł na krześle.

– Jak rozumiem, chodzi ci o statek?

– Tak jest, przyjacielu. Stary mówi, żeby znaleźć statek, to go znajduję. Dowiedz się też, że jest szybki. Bardzo piękny. Sam nie miałbym nic przeciwko temu, żeby spędzać życie na szerokim morzu, gdybym tylko miał czas. Kapitan. Chętnie zostałbym kapitanem. Ciem byłby moim zastępcą. No, ale wracajmy do szczegółów. Statek nazywa się “Rybacka Szajka”. Dziwna nazwa, co? No więc, zamieniłem słówko z czcigodnym kapitanem. Nie trzeba dodawać, że kilka monet przeszło z rąk do rąk, ale tym nie musisz sobie zaprzętać głowy, przyjacielu. Kiedy Stary mówi, że coś załatwi, to załatwi. Na czym to stanąłem?

– Zamieniłeś słówko z czcigodnym kapitanem – podpowiedział Mothowi rozbawiony jego dygresjami Tawl.

– Zgadza się. Pogadałem z czcigodnym kapitanem i powiedziałem mu, że przyjaciel Starego chce się wybrać na Larn. Powiem ci szczerze, że nie miał zbyt zadowolonej miny. Przypomniałem mu jednak, że Stary ma wielkie wpływy wśród rornijskich kupców. Powiedziałem, że może mu bardzo pomóc w interesach. Oczywiście, znowu kilka monet przeszło z rąk do rąk. Muszę ci powiedzieć, że podróż na Larn nie jest tania.

– A co z łodzią wiosłową, którą mógłbym



podpłynąć do brzegu? – przerwał mu Tawl.

– Nie ma sprawy. Czcigodny kapitan powiedział, że jeśli ktoś wybiera się na Larn, musi zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze zbadać sobie głowę pod kątem zniekształceń, a po drugie znaleźć łódź wiosłową. Da ci łódź, a nawet wioślarza. Nalega jednak, byś nie kazał mu czekać zbyt długo. Najwyraźniej tamtejsze morza są bardzo burzliwe. Mówi, że nie może tam sterczeć dłużej niż dobę. Lepiej, byś do tego czasu wrócił, przyjacielu, bo inaczej czcigodny kapitan, nim zdążysz się zorientować, podniesie kotwicę i odpłynie ku zachodowi słońca. A sądząc z tego, co słyszałem o Lamie, nie jest to miejsce, w którym chciałbyś się zatrzymać na dłużej.

– Kiedy odpływa ten statek?

Tawl miał nadzieję, że zdąży pożegnać się z Megan.

– Jutro z pierwszym brzaskiem. Będziesz musiał wstać wcześniej jak skowronek. Napisałem kiedyś pieśń o tym ptaku. Któregoś dnia namówię Cierna, żeby ci ją zaśpiewał. Mój przyjaciel Ciem ma piękny głos. Na czym to stanąłem?

– Na statku.

– Tak jest, na statku. “Rybacka Szajka” wypływa z północnego portu. Znajdziesz ją bez trudu. To

dwumasztowiec. Kapitan ma na imię Quain. Wie, że masz przyjść.

– Przekaż Staremu podziękowania, Moth.

– Na mur, przyjacielu.

– Tobie również dziękuję, Moth. – Tawl zastanawiał się przez chwilę. – Nie zapomnij też o wyrazach uznania dla Clema – dodał.

– Będzie nadzwyczaj wdzięczny. Co do mnie. to była czysta przyjemność. Miałem okazję przespacerować się po porcie.

– Aha, jeszcze jedno, Moth. Stary wspominał, że pomoże mojej przyjaciółce. Megan.

– On zawsze dotrzymuje słowa. Dobrze, że mi przypomniałeś. – Pogrzebał za pazuchą i wręczył Tawlowi ciężką sakiewkę. – Nie byłby zadowolony, gdybym zapomniał ci to dać. Kazałby mnie powiesić... i Cierna też. Tworzymy parę. Jak sknoć robotę, on za to płaci. Zresztą nie chciałby, żeby było inaczej. Aha, jeszcze jedno. Stary mówi, że powinieneś wziąć trochę złota dla siebie. Nie znosi widoku rycerza bez porządnego miecza. Bez obrazy, ale ten twój nóż nie jest wiele wart. Oczywiście widziałem, jak załatwiłeś tego złodzieja. Jesteś naprawdę szybki, ale z przyzwoitym sprzętem poradziłbyś sobie jeszcze lepiej. Szkoda, że nie możesz zostać tu dłużej.

Wykołowałbym dla ciebie jakąś elegancką broń. Nie szkodzi, będą jeszcze następne okazje. Muszę już pędzić. Ciem potrzebuje mojej pomocy w załatwieniu pewnego drobiazgu. Życzę powodzenia, przyjacielu.

Moth opuścił izbę.

Kiedy wyszedł, Tawl zaczął się zastanawiać, jaki to drobiazg mieli załatwić Moth z Clemem, uznał jednak, że lepiej tego nie wiedzieć. Otworzył sakiewkę i wysypał z niej dwadzieścia sztuk złota. Włożył je z powrotem, zatrzymując jedną dla siebie.

Po pewnym czasie do izby weszła Megan. Jak zwykle przyniosła mu różne smakołyki i pyszne napoje. Miała już zabrać się do przygotowywania posiłku, gdy wezwał ją skinieniem, by usiadła obok.

– Megan, jutro muszę cię opuścić. Jej ładna twarz spoważniała nagle.

Nie spodziewałam się, że odejdziesz tak szybko. Odsunęła się od niego, wstała, pochyliła głowę i zaczęła kroić pomarańcze.

Włosy opadały jej na twarz, tworząc wspaniałą orzechowo-złotą kaskadę. Anna, najmłodsza z jego siostr, byłaby teraz w mniej więcej tym samym wieku. Coś w zarysie policzków dziewczyny i jej złocistych włosach przywodziło Tawlowi na myśl siostry. Były bardzo wrażliwymi dziewczętami, podobnie jak

Megan, lecz w przeciwieństwie do niej sprawował nad nimi opiekę. Wrócił myślą do chatki na bagnach. Był wszystkim, co miały, i za wiódł je tak fatalnie.

Położna skinęła z uznaniem głową. Tawl pamiętał krew na jej fartuchu. Krew jego matki.

– To rozsądna decyzja – stwierdziła. – Rozetnę ją teraz, gdy pępowina jeszcze trzyma.

Gdy odwróciła się, by wejść do chaty, chwycił ją za ramię.

– Pozwól mi najpierw ją zobaczyć.

Sapnęła na znak dezaprobaty, lecz przepuściła go przed sobą. Przywitały go siostry, które wyjęły z torby ryby. Anna, która niedawno nauczyła się rachować, zaczęła liczyć je powoli na tłusciutkich paluszkach. Sara, starsza, nie miała dla niej cierpliwości i policzyła głośno ryby z pyszałkowatą miną.

– Jest jedna dodatkowa – zauważyła. Pyszałkowatość ustąpiła miejsca podnieceniu. – Czy to dla dziecka?

Tawl skinął głową i odwrócił się. Łzy wezbrały mu w oczach. Otarł je, nim zdążyły wypłynąć. Za plecami słyszał głosy sióstr, które wybierały największą rybę dla dziecka.

– Czy może dostać tę? – krzyknęła Anna, kładąc sobie na kolanach wielką sztukę.

– Tak – odparł Tawl. Przyklęknął i objął dłońmi jej ramiona. – Dziecko musi dostać największą.

Pocałował Sarę w policzek i cofnął ręce. Podeszła do niego, tak jak zawsze, i wsparła głowę na jego barku. Tawl uściskał ją i pogłaskał złote włosy Anny. Były delikatne, jak u niemowlęcia, ale przecież miała dopiero pięć lat. Już wkrótce poznają prawdę. Przycisnął mocno siostry do piersi, używając siły, by wyrazić to, czego nigdy nie potrafiłby oblec w słowa.

Chwila minęła. Uspokoił się, wstał, zostawił dziewczynki siedzące na klepisku wśród ryb i otworzył drzwi izby matki. To on powie jej prawdę. Usłyszy ją z ust syna, nie obcej kobiety.

Odór przyprawiał o mdłości. Wokół łóżka latały bzyzące muchy, które bez przeszkód siadały na krzepnącej krwi.

– Tawl, czy to ty?

Głos matki był cichy. Chłopak słyszał w nim strach.

– Tak, mamó, to ja.

Podszedł do łóżka i usiadł na stojącym obok niego stołku, spuszczać wzrok, by nie patrzeć na wielki brzuch.

– Ile złapałeś ryb?

To dziwne, że w tak dramatycznej chwili matka

próbowała mówić o codziennych wydarzeniach. Odpowiedział jej, zbyt młody, by zrozumieć, do czego zmierza.

– Dziewięć, ale brały powoli. Westchnęła współczująco.

– Nie szkodzi, jutro pewnie będzie wam potrzeba mniej.

A więc wiedziała. Brzemie spadło na chwilę z jego barków, powróciło jednak niemal natychmiast, cięższe niż kiedykolwiek dotąd.

– Mamo, tak mi przykro.

– Psst, Tawl. – Uścisnęła mocno jego dłoń. – Nie martw się o mnie. To twoje siostry cię teraz potrzebują. Musisz być silny dla nich. – W jej oczach widniała determinacja tak potężna, że nie sposób było uwierzyć, iż jest z nią aż tak źle. – Musisz mi obiecać, że się nimi zaopiekujesz.

Nacisk jej dłoni był niemal nie do zniesienia.

– I dzieckiem – dodał pół twierdzącym, pół pytającym tonem.

– I dzieckiem, jeśli wyżyje.

Megan ujęła jego dłoń.

– Dobrze się czujesz, Tawl?

Nogi ugięły się pod nim. Usiadł na podłodze. Połączenie przeszłości z teraźniejszością zamieszało

mu w głowie. Wizje utrzymywały się dłużej niż zwykle. Dziecko przeżyło, a położna wskazała mu mamkę. Cena wynosiła dwie ryby – porcję jego matki. Okazało się, że zmarła się myliła. Potrzeba im było tyle samo ryb.

Megan podała mu kubek wypełniony parującym płynem. Ostra woń pomarańczy przywróciła go do terażniejszości skuteczniej niż mogłyby tego dokonać słowa. Na bagnach nie znano tych owoców.

– Wybacz mi, Megan – powiedział. – Jestem jeszcze trochę słaby.

– W takim razie, czy powinieneś wyjeżdżać? Zostań jeszcze jakiś czas. Nie dla mnie, ale dla siebie.

Musiał ruszyć w drogę. Misja była wszystkim, co miał. Nie mógł pozwolić, by zaczęło się liczyć coś innego. Jego przeznaczeniem było zawsze odjeżdżać w ten sposób: ciche pożegnanie bez szansy powrotu.

– Nie, Megan, muszę już jechać.

Szukał w pamięci znajomych słów towarzyszących rozstaniu, nie chciały jednak przyjść. Dając mu tak dużo, Megan coś mu jednocześnie zabrała. Nie był w stanie pożegnać się z nią gładkimi frazesami. Zasługiwała na więcej. Ujął jej twarz w dłonie.

– Obawiam się, że gdybym został choć chwilę dłużej, mógłbym nigdy nie odejść. Lepiej będzie, jak

znajdziesz sobie kogoś innego. Wielu rzeczy o mnie nie wiesz.

– Wiem, że cierpisz z jakiegoś powodu. – Głos Megan przepełniała czułość. – Tawl, wiem, że nie jesteś szczęśliwy. Popełniasz błąd, sądząc, że gdy już wykonasz swą misję i znajdziesz tego, kogo szukasz, wszystko będzie dobrze. Nie będzie. To miłość uwolni cię od twych demonów, nie bohaterskie czyny.

Czy aż tak łatwo było go przejrzeć? A może po prostu była spostrzegawcza? Pocałował ją delikatnie. To była jedyna odpowiedź, jakiej jej udzielił.

Potem, gdy namiętność minęła, ustępując miejsca tkliwości, wręczył jej ciężką sakiewkę.

– Weź ją. Pomoże ci rozpocząć niezależne życie.

Megan wzięła sakiewkę w rękę i otworzyła ją. Zobaczywszy tak wiele sztuk złota, oddała ją rycerzowi.

– Nie chcę od ciebie żadnej zapłaty, Tawl, poza obietnicą, że będziesz uważał na siebie.

Odepchnął delikatnie mieszek.

– To nie zapłata, tylko dar. Błagam cię, byś go przyjęła. Wzięła woreczek.

– Czy cię jeszcze kiedyś zobaczę?

– Jestem rycerzem z Valdis, Megan, i poprzysiągłem nigdy nie składać obietnic, których nie



mogę dotrzymać.

Te oficjalnie brzmiące słowa dodały mu sił. Wiedział, że wydały się jej zimne, przede wszystkim jednak był rycerzem i nadszedł czas, by spełnił swój obowiązek. Megan odsunęła się od niego, tak jak się tego spodziewał. Potrzebował całej siły woli, by nie przytulić jej do siebie.

Baralis wśliznął się do ukrytego przejścia i ruszył w stronę komnaty Maybora. Po drodze zauważył na wilgotnych kamiennych ścianach zupełnie nową odmianę mchu. Zapisał sobie w pamięci, by wrócić tu któregoś dnia z miseczką próbkową. Mchy zawsze go fascynowały. Nowy gatunek mógł oznaczać interesujące innowacje w jego trucicielskim rzemiośle.

Postanowił, że ruszy do celu drogą bardziej okreśną niż zwykle. Czuł wielką potrzebę ostrożności, choć nie potrafił określić jej przyczyny. Wreszcie, krętą trasą, dotarł pod komnatę wielmoży. Upewnił się, że jest pusta, po czym zakradł się cicho do środka.

Niewiele wiedział o takich sprawach, lecz nawet on potrafił ocenić, że w wyposażenie pomieszczenia włożono więcej pieniędzy niż smaku. Na ścianach wisiały obrzydliwe szkarłatne gobeliny, na podłodze leżały srebrne i karmazynowe dywany, nawet łoże nakrywała jaskrawoczerwona, jedwabna narzuta. Nie

miął jednak zbyt wiele czasu na naśmiewanie się ze złego gustu swego wroga. Przemknął się do sąsiadującej z sypialnią małej garderoby.

Uśmiechnął się półgębkiem, oglądając zawartość szafy Maybora. Wielmoża posiadał więcej ubrań niż większość dam dworu, a ich kolory mogłyby przyćmić każdego pawia. Baralis szybko doszedł do wniosku, że Maybor założy wieczorem jeden z dwóch czerwonych strojów. Na balu z okazji Wigilii Zimy będzie obecna królowa i grubas z pewnością wykorzysta tę okazję, by popisać się najwspanialszym kostiumem. Kanclerz wybrał dwie zdecydowanie najbardziej wystawne szaty, ozdobione złotymi haftami, żabotami i perłami. Zadrżał. Sam zamierzał nałożyć dyskretny, czarny ubiór. Nigdy nie lubił niepotrzebnie przyciągać uwagi.

Spryskał pośpiesznie górne części obu szat, po czym oddalił się błyskawicznie. Dobrze wiedział, jak groźna jest ta trucizna. Nie miał zamiaru przebywać w małym, wypełnionym jej śmiercionośnymi oparami pomieszczeniu ani chwili dłużej niż było to konieczne.

Zadowolony z tego, że wykonał zadanie, opuścił komnatę i wrócił do swych pokojów tą samą krętą trasą, którą przyszedł.

Skrytobójca nie przejął się zbyt tym, że stracił lorda Baralisa z oczu, gdy ten wśliznął się do tajnych

przejsć. Kanclerz zapewne kogoś szpiegował albo knuł jakiś inny podły uczynek. Scarla to już nie obchodziło. Ważne było to, co zaplanował na nadchodzącą noc.

Dzisiaj przystąpi do akcji, wykona zadanie. Zastanawiał się długo i intensywnie nad tym, kiedy najlepiej to zrobić. W końcu zdecydował się na tańce z okazji Wigilii Zimy. W wielkiej komnacie biesiadnej będzie gęsto od pijących i jedzących ludzi. Baralis nie odważy się przyprowadzić na tak wspaniały bal swego sługi, Croke'a.

Podczas licznych wypadów do labiryntu skrytobójca odnalazł korytarz prowadzący do małego przedpokoju sąsiadującego z komnatą biesiadną. Łatwo mu przyjdzie wśliznąć się do środka i wypatrzeć ofiarę wśród bawiących się, pijanych gości.

Dobrze już poznał zwyczaje Baralisa. Kanclerz nie był człowiekiem lubiącym wysuwać się na czoło. Prędzej czy później, wycofa się do odległego kąta, by łatwiej podglądać słabostki pozostałych. Potem, gdy będzie ich obserwował, udając znudzenie, skrytobójca przystąpi do akcji. Potężny możnowładca ledwie zdąży poczuć dotknięcie noża, zanim padnie martwy na podłogę. Scarl wróci do tajnego przejścia, nim ktokolwiek zauważy, co się stało.

Zaczynał już odczuwać znajomy ucisk w żołądku,

który zawsze nawiedzał go w chwilach poprzedzających wykonanie zadania. Gorąco pragnął mieć je już za sobą. Chciał też uporać się z nim jak należy. Nie wątpił w swe umiejętności – władał nożem najlepiej w Znanych Krainach – niepokoiła go jednak perspektywa, że coś może pójść nie po jego myśli. Niemniej dotąd zawsze mu się udawało, a plan był dobry.

A nawet znakomity. Popelnić morderstwo w komnacie pełnej ludzi było znacznie łatwiej niż mogłoby się wydawać. Zaczeka na moment, gdy trunki osłabiają czujność tłumu. Nikt nie zauważy widmowej postaci przemykającej przez komnatę. Poza innymi, plan miał również tę zaletę, że lord Maybor będzie w sali, na oczach wszystkich, i nie sposób będzie obciążyć go winą.

Scarl zastanowił się nad swym zleceniodawcą. Nie ufał mu. Co prawda, w przeszłości Maybor bez oporów płacił za jego usługi, lecz podczas ostatniego spotkania skrytobójca dostrzegł w jego twarzy coś, co źle wróżyło. Będzie musiał uważać. Podjął ryzyko, nie godząc się na zapłatę w złocie. Gdyby opłacono go w tradycyjny sposób, miałby już w kieszeni połowę umówionej sumy, w obecnej sytuacji zaś musiał się zadowolić tym, że lord Maybor obiecał, iż po

wykonaniu zadania przeleje na niego tytuł własności do kawałka ziemi. Miał szczerą nadzieję, że wielmoża nie spróbuje złamać umowy... to byłby wielki pech... naprawdę wielki.

Postanowił nie myśleć na razie o tych sprawach. Zajmie się nimi, jeśli zaistnieje taka konieczność. Dziś musi skupić się na oczekującym go zadaniu. Niemal odruchowo wyciągnął nóż z za pasa i musnął lekko palcem ostrze. Delikatny ruch wystarczył, by popłynęła krew. Ów widok ucieszył skrytobójcę. Jego ořeż nigdy nie był ostrzejszy.

Jack szedł przez las w kierunku wschodnim. Posuwał się naprzód w szybkim tempie. Od czasu do czasu zrywał się nawet do krótkiego biegu, podczas którego worek obijał się mu o plecy. Chłopak nigdy w życiu nie czuł się bardziej wolny. Swobodne bieganie po puszczy wypełniało go radością. Całe życie był na każde zawołanie innych: pana Frallita, głównego piwnicznego, lorda Baralisa. Teraz po raz pierwszy doświadczył tego, co to znaczy robić to, co się chce. Jadł wtedy, gdy był głodny, a spał, kiedy czuł się zmęczony.

Kręciło mu się w głowie od wolności. Miał bardzo wielki dług wobec Falka. To dzięki niemu nie sądził już, że to, co zrobił z bochnami, było złe. Teraz, gdy

upływ czasu i urok natury pozwoliły mu spojrzeć obiektywnie na całe wydarzenie, chłopak zdał sobie sprawę, że Falk miał rację. Nie chciał nikogo skrzywdzić. Był wówczas tylko wystraszony, a wystraszony człowiek niekoniecznie musi być zły.

Niemniej jednak to się stało. Nie mógł zanegować owego faktu. W gruncie rzeczy, jakaś jego część wcale nie chciała tego robić. Czyniło go to innym, a nie pragnął już przemożnie być taki sam jak wszyscy. Przez jego umysł przemknęła pewna myśl. Gdy zdał sobie sprawę, jak jest ważna, wypowiedział ją na głos: – Mogłem to odziedziczyć.

Bez względu na to, jak nazwać to, czym władał mocą, czarami, magią – niewykluczone, że otrzymał to w spadku po rodzicach.

Falk przekonał go, że jego matka nie bała się o siebie, lecz o niego. A jeśli bała się o nich oboje? O ile dysponowała podobnymi mocami, z pewnością musiała je ukrywać, by ocalić życie w Harvellu. Gdyby tylko wyznała mu prawdę. Czy jednak dał jej taką szansę? Był za mały. Interesowały go tylko zabawy, podczas gdy ona chciała siedzieć przy piecu i rozmawiać.

Żałował, że nie ma przy nim Falka. On wiedziałby, czy magię można odziedziczyć, tak jak piwne oczy

albo wielkie stopy.

Było to niewiarygodne: zwykły piekarczyk – i to, według Frallita, niezbyt dobry – zdołał w jakiś sposób zmienić naturalny porządek rzeczy. Nie czuł się inny niż przedtem. Być może zmądrzał trochę po pobycie u Falka, lecz poza tym pozostał taki sam. Nadal nie był pewien, co zrobić ze swym życiem. W jego głowie pojawiały się wciąż nowe pomysły. W zależności od chwilowego nastroju chciał wyruszyć na poszukiwania krewnych matki, osiedlić się w którymś ze wschodnich miast jako piekarz albo wędrować po świecie w poszukiwaniu przygód. Nie pozwolił, by zawładnęła nim myśl o zemście na ojcu, którą uzmysłowił mu Falk.

Na razie jednak wystarczało mu, że wędruje przez las. Decyzje mogły poczekać. Jedzenie było dobre, grunt pewny, a jego czas nareszcie należał tylko do niego.

Znowu zrobiło mu się zimno. Zerwał się do biegu, by się ogrzać. Przeskakiwał przez rowy i kłody, omijał drzewa i tratował podszycie. Gdy wreszcie się zatrzymał, stopy bolały go lekko. Buty, które dostał od Falka, nie pasowały za dobrze. Choć zapewniały ochronę przed zimnem i wilgocią, uwierały go w palce. Zawsze miał kłopoty z ubraniem i obuwiem. Wszystko

było na niego za małe. Przyzwyczał się już do tego, że każdy kaftan obwiązuje sznurkiem, a w butach wycina dziury na palce.

Padł na ziemię bez tchu. Jak zwykle był głodny, postanowił więc, że coś przekąsi. Ukroił sobie plaster dziczyzny i uznał, że przegryzie go jabłkiem. Pogrążył się w marzeniach o tym, dokąd się uda. W grę wchodziły Annis, klejnot północy, piękny i dumny; Highwall, surowe i majestatyczne; albo Bren, potężny ponad wszelką miarę. Odgryzł spory kawałek jabłka. Tylko jedna z tych możliwości sprawiała wrażenie odpowiedniej. Tylko jedno miasto zdawało się go przywoływać. Postanowił, że wyruszy do Brenu.

Usłyszał jakiś hałas, z początku niewyraźny, zagłuszany przez chrupanie jabłka. Przelknął szybko kęs i skupił się. Zaburczało mu w brzuchu ze strachu, gdy rozpoznał dobiegający z oddali tętent galopujących koni. Ścigał go Baralis! Upłynęło tak wiele czasu, że myślał, iż nic mu już nie grozi. Rozejrzał się szybko wokół w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłby się ukryć. Znajdował się na niemal całkowicie odkrytej przestrzeni. Nie było tu krzaków, a tylko cienkie pnie wysokich drzew. Złapał worek i rzucił się do ucieczki.

Konie były coraz bliżej. Jack uznał, że najlepiej



będzie pognać ku odległemu wzniesieniu. Zaczynało mu już brakować tchu, zmusił się jednak do dalszego biegu. Ścigający byli tuż za nim. Rzucił się na ziemię w nadziei, że go nie zauważą. Zimny grunt dudnił pod uderzeniami kopyt. Chłopak zobaczył pędzących między drzewami jeźdźców. Byli to ci sami ludzie, których napotkał poprzednio, tym razem jednak było ich więcej.

Pomyślał, że może go nie zauważą, gdyż udało mu się zejść z ich drogi, a wyraźnie zmierzali w określonym kierunku. Niestety, pierwszy z jeźdźców coś krzyknął i cały oddział zwolnił. Jack starał się jak najmocniej przycisnąć ciało do ziemi. Mężczyzna zeskoczył z konia i wpatrzył się w podszycie. Pochylił się, podniósł coś z ziemi i pokazał to pozostałym. Z początku Jack nie widział, co to jest, potem jednak zdał sobie sprawę, że uciekając zostawił plaster dziczyzny i resztę jabłka. Przeklął własną tępotę. Był głupi jak but!

Najemnicy patrzyli teraz w jego stronę. Na pewno pozostawił ślady. Zrobiło mu się słabo ze strachu. Czy powinien zostać na miejscu, czy też przynajmniej spróbować im umknąć? Nie czuł się dobrze w ukryciu. Czuł potrzebę działania. Ścisnął mocno worek, zerwał się na nogi i zaczął biec. Usłyszał krzyki zbrojnych, którzy dostrzegli go z oddali. Biegł na skrzydłach

wiatru, z szybkością zrodzoną z desperacji.

Pognał w najgęstszy las, wiedząc, że tylko tam może próbować się ukryć. Usłyszał krzyk herszta, nakazującego swym ludziom uformować wachlarz. Ścigający byli coraz bliżej. Jack przyśpieszył kroku. Drzewa i krzaki przerodziły się w zamazane plamy. Jego umysł wypełniała tylko jedna myśl. Musiał uciec. Jeden z jeźdźców jechał już równolegle do niego. Drugi był tuż za jego plecami. Spróbował skrócić, wbiec w lukę między dwoma drzewami.

Poczuł opadającą na niego sieć. Rzucił ją najbliższy z napastników. Stopy Jacka zaplątały się w nią. Runął na ziemię, wciąż szarpiąc się i usiłując uwolnić. Kopał gorączkowo nogami, ciągnąc ze wszystkich sił szorstki sznur. Gdy tylko zdołał się wyrwać, otoczyli go uzbrojeni ludzie. Zsiedli z koni, a w rękach mieli miecze i włócznie.

– Nie ruszaj się, chłopcze, bo przebiję ci nogę włócznią – ostrzegł herszt. Jack znieruchomiał natychmiast. – Widzę, że jesteś rozsądny. Związać go, chłopaki. Tym razem wolę się zabezpieczyć.

Do Jacka zbliżyło się dwóch uzbrojonych ludzi. Jeden z nich kopnął go brutalnie po nerkach.

– Spokojnie, chłopaki, nie chcemy zrobić nic, co rozniewałoby lorda Baralisa. – Mężczyzn wyraźnie to

wystraszyło. – Poza tym, jeśli dostarczymy go w dobrym stanie, możemy dostać premię. Lord Baralis nie liczył na to, że go znajdziemy. Chyba zarobiliśmy trochę dodatkowego złota. – Herszt popatrzył na swych ludzi. – Nie zmarnujmy okazji, katując go, dobra?

Jack zgiął się wpół z bólu. Kopniak trafił w czułe miejsce. Dwaj najemnicy związali mu ręce i nogi rzemieniami, tak mocno, że chłopak skrzywił się z bólu, gdy wpiły mu się w skórę.

– Wrzućcie go na zapasową kobyłę. Tylko tak, żeby się nie mógł uwolnić. Czeka nas długa jazda, a nie chcę, żeby sobie gdzieś poszedł.

Jacka przerzucono przez grzbiet wielkiego konia i przywiązano do niego grubym powrozem.

– Wracamy do zamku, czy jedziemy poszukać dziewczyny, Traff? – zapytał któryś z najemników.

Traff, herszt, zastanawiał się chwilę.

– Jedziemy poszukać dziewczyny.

Ludzie dosiedli koni i ruszyli przez las na południowy wschód, wioząc ze sobą Jacka.

Maybor wychylił właśnie kielich czerwonego lobanfernu, co zawsze zwykł czynić przed ubraniem się na wielką uroczystość. Trochę niepokoił go fakt, że królowa wezwała go następnego dnia na audiencję, wytłumaczył sobie jednak, że zapewne chce

wyznaczyć dzień zaręczyn. Zaczynało mu brakować czasu. Musi natychmiast odnaleźć córkę albo wszystko przepadnie.

Odczuwał już pierwsze skutki słodkiego wina i skierował myśli na mniej niepokojące tematy. Co miał włożyć? Na tańcach będzie obecna królowa i wszyscy najszlachetniej urodzeni dostojnicy, musi więc przywdziać najwspanialszą z szat. Przerzucił w myślach zawartość garderoby. Najlepsze będzie coś czerwonego, pomyślał. Ważniejsze niż czerwień były jednak złote hafty, chwasty i klejnoty. Tej dobrze wróżącej nocy cały dwór musi zazdrościć mu bogactwa.

– Crandle! – krzyknął do nowego sługi. Potulny Crandle wszedł do komnaty potężnego wielmoży.

– Słucham, panie.

– Przynieś mi szatę. Chcę się ubrać na wieczór.

– Którą, panie?

– Tę czerwoną, ze złotymi haftami i perłami. Chciałbym na tej uroczystości wyglądać jak król.

Crandle udał się po wspomnianą szatę. Wrócił po kilku minutach, trzymając w jednej ręce strój, a w drugiej zdechłego szczura.

– Co to ma znaczyć! – ryknął Maybor, wskazując na zwierzę.

– Przepraszam, panie. Nie wiem, jak się dostał do szafy, ale wygląda na to, że zdechł, nim zdążył narobić szkód.

Mayborowi w najmniejszym stopniu nie przypadła do gustu myśl, że wśród jego wspaniałych strojów znalazł się szczur, martwy czy żywy.

– Ty durniu! – Zastanowił się szybko nad odpowiednią karą. – Jeśli to się powtórzy, każę ci urwać uszy. – Sługa miał należycie skruszoną minę, dzięki czemu Maybor częściowo odzyskał dobry humor. – Mniejsza o to, Crandle. Pomóż mi się ubrać. Chyba nie będę sobie zawracał głowy kąpielą. Takie ceregiele są dobre dla dandysów i kapłanów.

Sługa pomógł Mayborowi włożyć szatę.

– Uważaj, idioto! – krzyknął wielmoża, gdy Crandle przypadkowo nadepnął mu na nogę. – Bo każę ci wyrwać palce u nóg razem z uszami.

Na Melli po raz kolejny zawiązywano czerwoną suknię. Nie czuła się bynajmniej zadowolona, gdy Keddi, służąca o pożółkłej twarzy, zacisnęła mocno sznurówki, wypchnęło to bowiem jej piersi tak wysoko, że była pewna, iż wyskoczą na zewnątrz, jeśli tylko głębiej zaczerpnie tchu.

– Keddi, co się stało z moim ubraniem? – zapytała.

– Pani Greal kazała je wyrzucić. Powiedziała, że

nie chce, żebyś przebywając tutaj, nosiła takie bure, wszystko zakrywające stroje.

– Keddi, spędzę tu tylko jeden dzień. Jestem zdecydowana jutro opuścić to miasteczko i zrobię to we własnej sukni. Znajdź ją natychmiast.

Dziewczyna wypadła na zewnątrz. Po kilku minutach do izby wkroczyła pani Greal.

– Kazałam podrzeć twoją suknię na szmaty. Musisz nosić tę. Jeśli będziesz grzeczna, może kupię ci kiedyś nową. – Kobieta okrążyła oburzoną Melli. – Myślę, że najlepsza będzie czerwona.

Ten kolor podkreśla twoją delikatną cerę. Mężczyźni uwielbiają taką białą kremową skórę.

– Pani Greal, nic mnie nie obchodzi, co się podoba mężczyznom. Jest pani w błędzie, jeśli pani sądzi, że tu zostanę. Pragnę panią powiadomić, że jutro wyjeżdżam.

Pani Geal w najmniejszym stopniu nie przejęła się wybuchem Melli. Podeszła do niej, by poprawić jej włosy i suknię.

– Przydałoby ci się trochę rózu, moja droga. – Uszczypnęła mocno policzki dziewczyny. – No dobra, na razie to wystarczy.

– Niech się pani nie waży mnie szczypać!

Spróbowała spoliczkować panią Greal, lecz kobieta

była od niej szybsza. Złapała ją za ramię.

– Spokojnie, moja droga. Nie ma powodu tak się zachowywać. Zejdźmy na posiłek. To cię uspokoi. Jesteś zbyt nerwowa, jak na mój gust.

– Nie pójdę już więcej do tej obrzydliwej gospody! Pani Greal odsłoniła w uśmiechu ostre, nierówne zęby.

– Chodź, moja droga. Nie możesz zostać w izbie. Keddi musi ją posprzątać.

Wyprowadziła opierającą się Melli na korytarz i niemal ściągnęła ją za sobą na dół.

I tym razem uparła się, by usiadły na środku sali. Był wczesny wieczór i w gospodzie przebywało znacznie więcej ludzi niż wczoraj. Melli odniosła wrażenie, że wszystkie spojrzenia są skierowane w ich stronę. Pani Greal natychmiast to zauważyła.

– Widzisz, ci mężczyźni potrafią docenić ładną dziewczynę – powiedziała. – Machała ręką do gości i pozdrawiała ich. – Dzisiaj chyba nie będziemy musiały płacić za piwo.

Melli początkowo nie rozumiała, co miała znaczyć ta uwaga, nagle jednak do ich stołu podeszła grupka mężczyzn. Jednym z nich był ten, któremu przedstawiono ją wczoraj.

– Życzę miłego wieczoru, pani Greal. – Edrad pokłonił się z przesadną uprzejmością. – Jak czuje się

pani dzisiaj, a jak pani piękna towarzyszka?

Melli ze wszystkich sił starała się nie oddychać, gdy bowiem to robiła, jej piersi uwypuklały się niepokojąco.

– Obie mamy się nie najgorzej, Edradzie – odparła pani Greal, pochylając z wdziękiem głowę. – Ale trochę zaschło nam w gardłach.

Edrad natychmiast okazał skruczę.

– Och, błagam panie o wybaczenie. Cóż ze mnie za bezmyślny prostak!

Natychmiast złożył zamówienie.

– Nie przepadamy za mocnym piwem, Edradzie. Prosimy o rezerwę.

– Niech będzie rezerwa. – Pani Greal zrobiła zadowoloną minę. – Czy ma pani coś przeciwko temu, bym przysiadł się do was ze swymi towarzyszami?

Ku przerażeniu Melli kobieta przystała na to chętnie.

– To są moi przyjaciele, Larkin i Lester. – Mężczyźni pozdrowili panią Greal skinieniem głowy, do Melli zaś uśmiechnęli się szeroko. – A to wspinała pani Greal i jej towarzyszka, Melli z Głębokiego Lasu.

– Z Głębokiego Lasu? – zdziwił się człowiek zwany Larkinem.

– Tak, z Głębokiego Lasu. To daleko stąd, na



południu, prawda, Melli? – zapytał Edrad figlarnym tonem.

– Nigdy nie słyszałem o Głębokim Lesie – nie ustępował Larkin.

– Nonsens. To niedaleko za Wysokim Lasem. Edrad mrugnął chytrze do Melli.

Pani Greal postanowiła zmienić temat rozmowy.

– Oczywiście łatwo zauważyć, że moja droga Melli nie pochodzi z tej okolicy. Któż tutaj ma tak nieskazitelną, białą cerę?

– Nigdy takiej nie widziałem, pani Greal – przyznał Edrad, obrzucając biust Melli pełnym podziwu spojrzeniem.

– Ja też nie – zgodził się Larkin. Mężczyzna o imieniu Lester zachował milczenie.

Po krótkiej chwili przyniesiono piwo. Melli ucieszyła się, że coś wreszcie odwróci od niej uwagę. Pociągnęła potężny łyk, zupełnie nie jak dama. Pani Greal obrzuciła ją ostrzegawczym spojrzeniem.

– Rezerwa jest mocna, moja droga. Wiem, że nie jesteś przyzwyczajona do *ale*, więc lepiej uważaj.

Melli z przyjemnością puściła mimo uszu jej słowa. Pociągnęła kolejny długi łyk. Mogło się to nie spodobać pani Greal, lecz za to mężczyźni krzyknęli z zachwyty.

– Co za dziewczyna! – zawołał Edrad. – Widzę, że w Głębokim Lesie kobiety uczą się pić jak mężczyźni.

Melli nie mogła się nie uśmiechnąć. Zakręciło się jej w głowie od mocnego *ale*. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego jeszcze przed chwilą skarżyła się na to, że musi siedzieć w tak miłym lokalu. Zobaczywszy jej uśmiech, mężczyźni również się uśmiechnęli, co z kolei wywołało uśmiech pani Greal.

Po chwili dziewczynę ogarnął beztroski nastrój. Śmiała się z żartów, które stroili sobie z Lestera Edrad i Larkin. Wypiła też więcej rezerwy. Zauważyła, że Edrad i pani Greal wymienili spojrzenia. Kobieta skinęła leciutko głową.

– Wiesz, czego ci potrzeba, moja droga? – zapytała.

– Nie. Czego mi potrzeba, pani Greal? – odparła Melli.

– Odrobiny świeżego powietrza. Krótkiego spaceru, żeby ochłodzić twarz i rozjaśnić sobie w głowie.

Pomysł wyjścia na chłodne, wieczorne powietrze wydał się Melli bardzo atrakcyjny. Była zgrzana i zaczerwieniona. Skinęła z entuzjazmem głową.

– Czy zechcesz nam towarzyszyć, Edradzie? – zapytała od niechcienia pani Greal.

– To będzie dla mnie *zaszczyt*.

Pokłonił się i zaoferował obu kobietom ramiona. Podeszli we troje do drzwi, odprowadzani ciekawymi spojrzeniami pozostałych gości, po czym wyszli na zewnątrz.

Po panującym w karczmie ciepłym zaduchu, wieczorny chłód był bardzo odświeżający. Melli chwiała się lekko na nogach. Trudno jej było iść prosto. Edrad podtrzymał ją mocnym ramieniem.

– Wybaczcie mi. Muszę wrócić do karczmy po szal – odezwała się pani Greal, gdy przeszli już kawałek. – Chyba go zapomniałam. Zaraz wrócę.

Oddaliła się.

Edrad skorzystał z okazji i poprowadził Melli w stronę stajni. Wydało jej się to dobrym pomysłem.

– Będę mogła sprawdzić, co z moim koniem – powiedziała. Edrad uśmiechnął się i skinął głową. Wprowadził ją do ciemnego wnętrza budynku, a następnie powiódł w jeszcze ciemniejsze zakamarki.

– Tu chyba go nie ma – zauważyła dziewczyna, bełkocząc odrobinę.

– Obejrzymy go później – odparł Edrad. Oparł Melli o ścianę i zaczął przesuwając dłoń z jej ramienia na pierś. Pochylił się i przycisnął wargi do jej ust. Dziewczynie kręciło się w głowie. Była zdezorientowana. Zgodziła się niechętnie na pocałunek

i wkrótce poczuła język Edrada w ustach, a następnie ucisk jego dłoni na biuście.

– Och. ale z ciebie ślicznotka – wyszeptał, pochylając się, by pocałować ją w pierś. Melli zaczynała odnosić wrażenie, że nie jest to zbyt przyzwoite zachowanie, lecz myśli miała leniwe od *ale*, a jej reakcje były znacznie spowolnione. Edrad przyciskał ją do ściany, obśliniając piersi. Poczowała ciepłą dłoń, sięgającą pod jej spódnicę. Poczowała lekką panikę. Całowanie to jedno, a ręka pod spódnicą to coś całkiem innego.

Nagle przypomniała sobie zbrojnych mężczyzn, którzy rozdarli jej suknię. W zmaconej głowie dziewczyny zaświtała myśl, że Edrad wcale nie jest od nich lepszy. Postanowiła, że nie będzie dłużej tolerować jego zakusów. Uniosła kolano i z całej siły grzmotnęła go w pachwinę. Natychmiast padł na klepisko, trzymając się za krocze, i z cicha warknął: – Dziwka!

Nie spodziewała się, że cios okaże się aż tak skuteczny. Mężczyzna sprawiał wrażenie niezdolnego do rewanzu. Zadowolona z siebie, lecz wciąż oszołomiona alkoholem, zastanawiała się, co zrobić teraz. Miała niejasne poczucie, że pani Greal nie będzie zadowolona z tego, co się stało. Melli uznała, że

skoro jest już w stajni, może zabrać konia i odjechać. Weźmie też siodło. Nie zamierzała wracać do gospody. Mogą sobie zatrzymać jej dobytek jako zapłatę.

Przeszła obok jęczącego Edrada, zastanawiając się, dlaczego nadal leży zgięty w pół i wyraźnie cierpi wielki ból. W bardzo wesołym nastroju rozpoczęła poszukiwanie swego konia.

Po chwili macania rękami w ciemności udało się jej go odnaleźć. Zwierzę sprawiało wrażenie zadowolonego z jej widoku. Zarżało cicho. Melli znalazła ładne siodło i założyła je na koński grzbiet, nie przejmując się zbytnio tym, czy pasuje. Następnie wyprowadziła wierzchowca ze stajni i po kilku próbach jakoś zdołała go dosiąść, choć nadal kręciło się jej w głowie.

Opuściła miasteczko tak cicho, jak tylko zdołała. Niedługo jednak zarówno głowa, jak i żołądek zaczęły jej bardzo dokuczać i zdała sobie sprawę, że nie da rady w tym stanie jechać dalej. Sprowadziła konia z traktu. Udało się jej odszukać małą, niewidoczną z drogi polankę. Zsunęła się z wierzchowca, wymiotowała w krzakach i zasnęła na zimnej ziemi.

## 10

Wielka komnata biesiadna lśniła od blasku tysiąca świec. Ściany zdobiły girlandy zimowych kwiatów o słodkiej woni, a z krokwi zwisały niezliczone jedwabne wstążki.

Długie stoły gęsto zastawiono przeróżnymi daniami. Były tam cztery całe prosiaki z brzoskwiniami w ryjach, pięć pieczonych jagniąt, dwie ćwiartki dziczyzny zaprawione rozmarynem i tymiankiem, dwadzieścia srebrnych łososi z Dalekich Krain i tyle samo jeziorowych pstrągów ze wschodu, a także talerze z delikatnymi owczymi nerkami i gotowanymi na parze bażantami. Podano tuzin gatunków sera oraz wielkie kosze wypełnione świeżymi owocami importowanymi z południa.

Wybór trunków był równie bogaty: dla wybrednych dam wina i winiaki, słodkie jabłeczniki i aromatyczne poncze, dla mężczyzn zaś krzepkie *ale* i łagodne ciemne piwa, mocne jabłeczniki i cierpkie miody.

W komnacie roiło się od wytwornie ubranych

kobiet, wystrojonych w niebieskie, zielone i złote suknie bez dekolców, o włosach upiętych wysoko w kunsztowne fryzury, a ramionach i szyjach zdobionych klejnotami, które połyskiwały jaskrawo w blasku świec. Mężczyźni również przywdziali najlepsze szaty, w barwach jaskrawego fioletu i szkarłatu. Mieszali się swobodnie z damami, kłaniając się im, obsypując je komplementami i flirtując z nimi dwuznacznie.

Służący także założyli najlepsze liberie. Uwijali się po sali, wypełniając puchary i talerze, oraz spełniając wszelkie życzenia dworzan. Gdyby goście byli bardziej spostrzegawczy i mniej pijani, zauważyliby wielu chłopców chowających pod bluzy kawałki łososia i sera.

Wigilia Zimy była drugim pod względem ważności świętem roku. Z reguły najhuczniej obchodzono Środek Zimy. W tym roku jednak na dworze zamku Harvell było wiele powodów do świętowania. Wojna z Halcusami podobno przebiegała pomyślnie, a jeszcze ważniejszy był fakt, że stan króla się poprawił. W komnacie wyczuwało się nastrój nadziei i podniecenia. Przyszłość Czterech Królestw rysowała się różowo i dwór gorąco pragnął to uczcić.

Komnata biesiadna była olbrzymia i wypełniona po brzegi. Do zamku przybyli ludzie ze wszystkich stron

królestw. Byli też goście z Annisu i Highwall oraz posłowie z Lanholtu i Silburu. Wszyscy przybyli złożyć wyrazy szacunku królowej i wkraść się w jej łaski. Mężczyźni dyskutowali o wojnie, kobiety zaś o polityce. Byli tu wszyscy, którzy się liczyli. Zdawali sobie sprawę ze swego znaczenia i napawali się blaskiem posiadanych przywilejów.

Wino było mocne i szybko uderzało do głowy. Damy dworu, które zwykle dolewały do niego wody, stały się rozchichotane, wesołe i gotowe do tańca. Mężczyźni zauważyli tę zmianę. Ze wszystkich sił starali się je zadowolić. Znosili im delikatne smakołyki, całowali szarmancko dłonie i wiedli na parkiet.

Charakter wieczoru zmieniał się z upływem czasu. Polityka ustępowała miejsca namiętności. Powietrze wypełniły tony smyczków i fletów. Ich delikatne kadencje przebijały się przez rozmowy i śmiech, zachęcając ludzi do tańca. Muzyka subtelnie wywierała swój magiczny wpływ. Damy rumieniły się i ulegały podnieceniu, kusząc mężczyzn do nietaktownych propozycji i umawiania się na potajemne schadzki.

Na później zapowiedziano śpiewy. Piękna Hanella z Marlsu miała wykonać wybrane przez królową pieśni traktujące o miłości, namiętności i intrygach. Po niej



miał wystąpić sławny miejscowy tenor Tarivall, który czarował damy wspaniałym głosem i imponującą postawą. Szeptano również o pięciu oszałamiających kobietach z odległego Isro, które miały wykonać egzotyczny taniec, odziane wyłącznie w złote bransolety.

Zaczynała się najważniejsza i najwspanialsza noc roku. Nie szczędzono żadnych środków. Pokojówki spędziły całe miesiące na szyciu sukien, kucharze tygodnie na przygotowywaniu potraw, a służący dni na rozwieszaniu girland. Wigilia Zimy w komnacie biesiadnej była niezwykle ekscytującym i porywającym widowiskiem.

Baralis omiół salę cynicznym spojrzeniem, z niesmakiem przyglądając się frywolnym poczynaniom bawiących się gości. Wielkie damy zachowywały się jak karczemne dziewczki, możnowładcy pili i jedli jak żarłoki, a drobniejsza szlachta usiłowała wkraść się w łaski każdego, kto był gotów słuchać.

Uważał cały ten wieczór za stratę czasu i pieniędzy. Patrząc na jaskrawo odziane kobiety, widział próżność i sprzedajność, a spoglądając na pijanych wielmożów, dostrzegał chciwość i głupotę. Na dworze Czterech Królestw roіło się od durniów!

Odegra jednak starannie swą rolę. Nie pozwoli, by

ktokolwiek odgadł, jakie mroczne myśli kryją się w jego głowie. Spojrzał w oczy jednej z dworskich piękności i pokłonił się szarmancko. Niedorzeczne stworzenie zarumieniło się i zachichotało. Kobieta miała stanowczo zbyt czerwoną twarz i za duży biust, by mógł ją uznać za atrakcyjną. Wolał młode dziewczęta o szczupłych biodrach i niemal płaskich biustach. Wiedział jednak, że musi brać udział w tej grze, pozdrawiał więc wszystkie napotkane damy ukłonem i uśmiechem.

Pamiętał jednak o tym, by porozmawiać z naprawdę liczącymi się dostojnikami: tymi, którzy mieli wielkie posiadłości ziemskie, wpływy na dworze albo dostęp do ucha królowej. Wszyscy okazywali w jego obecności pewien niepokój. Bawiło go to. Zachęcał swych towarzyszy do pijaństwa, sam jednak przełknął zaledwie kilka łyków wina.

Podszedł do lorda Carvella, który prowadził pewne interesy w Brenie i w najbliższych miesiącach mógł się okazać użytecznym sojusznikiem. Pogрузzył się on w ożywionej rozmowie ze szlachcicem z Annisu. Fergil z Grallisu był sprytny i majątny. Miał córkę w wieku Kylocka, według wszelkich relacji chorowitą dziewczynę o oczach wielkich jak kapelusze grzybów.

– Annis ma rację, trzymając się na dystans od

Brenu – odezwał się Baralis. Mówił do Fergila, lecz jego słowa były przeznaczone dla uszu Carvella. – Wątpię jednak, by wiodło mu się równie dobrze, gdyby zdecydował się na przymierze z królestwami. Bren jest zadowolony z pozycji największego mocarstwa na wschodzie i połączenie sił dwóch rywali mogłoby mu się nie spodobać. – Baralis wzruszył ramionami. – Oczywiście nie musiałyby to doprowadzić do wojny. Gdyby jednak do niej doszło, Bren w pierwszej kolejności skonfiskowałby wszystkie zagraniczne aktywa.

Tak jest. To powinno wystarczyć, by zamknąć uszy Carvella na wszystkie propozycje odnoszące się do związku córki Fergila z. Kylockiem. Carvell lubił bawić się w politykę, lecz najważniejsze były dla niego interesy finansowe. Upewniwszy się, że jego słowa odniosły pożądaną skuteczną, Baralis pokłonił się uprzejmie i ruszył dalej. Odstępcanie potencjalnych narzeczonych Kylocka weszło mu już niemal w krew. Od prawie dwudziestu lat niezliczeni diukowie i lordowie usiłowali wydać swe córki za dziedzica Czterech Królestw. Fakt, że żadnemu z nich się nie udało, uważał za jedno ze swych największych osiągnięć. Pozycja królewskiego kanclerza umożliwia mu skuteczne wznoszenie bariery między

zalotnikami a oczami i uszami dworu, a jeśli nawet polityka zawodziła, czary bądź trucizna zawsze okazywały się skuteczne.

Ucałował dłoń lady Helliarny. Stara wdowa uśmiechnęła się głupkowato jak dziewczica. Po królowej była najpotężniejszą kobietą na dworze. W miarę jak traciła urodę, rosła jej determinacja. Miała większy wpływ na Arinaldę niż ktokolwiek inny. Miała również syna, interesującego chłopca, równie ambitnego jak ona. Gdyby doszło do konfrontacji, oboje z pewnością opowiedzą się po zwycięskiej stronie.

Baralis nie miał jednak zamiaru do tego dopuścić. Nie, wszystko pójdzie gładko, ale, jak to mówią, nigdy nie zaszkodzi dmuchać na zimne.

Lord i lady Hibray przywitani go z pełnymi rezerwy minami współpiskowców. W znacznej mierze to im zawdzięczał fakt, że przed wieloma laty otrzymał tytuł lordowski. Czcigodna lady Hibray miała trudności z donoszeniem ciąży. Powiła przedwcześnie sześcioro dzieci, w tym czterech synów. Pomógł jej, czego nie potrafił dokonać nikt inny, w zamian za przedstawienie wysoko postawionym osobom oraz przepisanie na niego jednego z ich licznych, nie używanych tytułów. Interes był uczciwy. Mieli troje dorosłych dzieci, dwie córki i syna. Baralis był pewien, że może liczyć na ich

poparcie w sprawie wyboru żony dla następcy tronu. Gdyby zresztą nie udzielili go dobrowolnie, zawsze mógł uciec się do szantażu.

Lord Vernal wrócił z pola walki, by wziąć udział w uroczystościach. Jego nieobecność zaszkodzi działaniom wojennym. Był dobrym dowódcą. Baralis nie zapomniał o pozdrowieniu wielkiego człowieka uniesieniem pucharu. Vernal mógł być bliskim przyjacielem Maybora, miał jednak synów i – podobnie jak Helliarna – zrobi wszystko, by zabezpieczyć ich pozycję.

Zjawili się również dwaj rycerze z Valdis. Już od pięciu lat podróżowali między dworami w Harvellu i w Helchu, bawiąc się w mediatorów. Ich wysiłki skłaniające do zawarcia rozejmu stały się w ostatnich latach mniej gorliwe i Baralis podejrzewał, że chodzi im raczej o informacje niż o pokój. Wódz zakonu był niebezpiecznym głupcem. Tyren zawarł ścisły sojusz z diukiem Brenu i z pewnością wykorzystywał obecnych w królestwach rycerzy do szpiegowania na rzecz swego przyjaciela. Nic nie szkodzi. Diuk dowie się tylko tego, że w wojnie doszło do sytuacji patowej.

Baralis zapisał sobie w pamięci, by podzielić się z lordem Vernalem swymi podejrzeniami w odniesieniu do rycerzy. Leżało w jego interesie, by na dworze

obawiano się zainteresowania Brenu królestwami. Strach przed inwazją przyczynił się do zawarcia niejednego sojuszu.

Baralisowi udało się spojrzeć w oczy królowej, która odpowiedziała mu ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy. Uśmiechnął się do niej. Mógł sobie pozwolić na uprzejmość. Kiedy Maybor i jego córka zostaną usunięci, królowa szybko zgodzi się na jego propozycję. Będzie miał wpływ na to, kogo poślubi księżę Kylock.

Omiótł wzrokiem komnatę w poszukiwaniu lorda Maybora. Z początku nie mógł go wypatrzeć, gdyż w sali było tłoczno. Wreszcie jednak dostrzegł tęgiego wielmożę. Udało mu się otoczyć wianuszkami ładnych córek drobnej szlachty. Flirtował z nimi bezczelnie, robiąc z siebie durnia. Miał na sobie zatrutą szatę. Baralis uśmiechnął się, niemal ze smutkiem. Już niedługo Maybor poczuje w gardle działanie trucizny. Nim noc dobiegnie końca, zwali się z nóg. Ludzie pokiwiają tylko głowami i powiedzą, że to skutek nieumiarkowania w picciu i słabego serca.

Po jakimś czasie Baralis uznał, że ma już dość dworskich uprzejmości. Postanowił wycofać się do mniej zatłoczonej części komnaty. Przepchnął się na tył, gdzie było ciemniej. Przebywała tam zaledwie

garstka ludzi, pomijając kilka par, którym namiętność lub trunki zamąciły w głowie do tego stopnia, że nie zauważały jego obecności. To mu odpowiadało. Mógł obserwować słabostki dworzan, samemu im nie ulegając.

Ukryty w tajnym przejściu skrytobójca wyteżał słuch. Wydawało się, że wieczór osiągnął już fazę pijackiego szału, której potrzebował, by skutecznie wykonać zadanie. Sprawdził po raz ostatni nóż. raczej z przyzwyczajenia niż pod wpływem niepokoju, po czym ruszył naprzód z twarzą zastygłą w wyrazie skupienia.

Wszedł z korytarza. W małym przedpokoju przebywali jedynie starszy mężczyzna i młoda dziewczyna. Oboje byli tak zawstydzeni, że przyłapano ich w podobnie kompromitującej sytuacji, że nie zauważyli, skąd wyłonił się intruz. Staruszek miał zamiar coś powiedzieć – zapewne wygłosić jakieś usprawiedliwienie – Scarl jednak uciszył go. unosząc palec do ust. Następnie uśmiechnął się ze zrozumieniem i ledwie zauważalnym ruchem ręki skłonił mężczyznę, by wrócił do rozpoczętego dzieła. Starowina z widoczną ulgą ponownie zabrał się do obmacywania pomarszczonymi dłońmi piersi swej młodocianej towarzyszki.

Skrytobójca wśliznął się do komnaty. Natychmiast oślepiły go jaskrawe światła i ogłuszył hałas. Upewnił się starannie, że nikt na niego nie patrzy, po czym przycisnął się do ściany. Czując pod plecami dotyk gobelinów, skrył się w najgłębszym cieniu. Wielcy panowie i damy zdawali się nie zauważać jego drobnej, nie rzucającej się w oczy postaci na tle mrocznych nisz.

Dotarłszy do tylnej części sali, wypatrzył ofiarę. Lord Baralis miał na sobie piękne, czarne szaty. Popijał wino ze złotego kielicha, z obojętnością obserwując bawiących się dworzan.

Scarl znalazł się wreszcie przy końcu komnaty. Z sufitu zwisała wielka atlasowa kotara, która zasłoni go do chwili, gdy będzie gotowy do ataku. Skrytobójca podkradł się wprawnie do tylnej ściany, uniósł ciężką zasłonę i wsunął pod nią. Przycisnął ciało do kamienia i ruszył w stronę ofiary. Zatrzymał się tuż za Baralidem, od którego dzieliło go zaledwie kilka stóp.

Wyjrzał przez szparę w zasłonie i z zadowoleniem przekonał się, że nie licząc dwóch mężczyzn w kącie – którzy byli tak zamroczeni alkoholem, że ledwie trzymali się na nogach – lord Baralis jest sam. Serce skrytobójcy zabiło szybciej z podniecenia. Wszystko układało się zgodnie z planem.



Wyciągnął nóż, uniósł atlasową zasłonę i ruszył naprzód z uniesioną bronią.

Lord Maybor zdał sobie sprawę, że jest pijany. Nie tylko pijany, a wręcz zalany jak bela. Świetnie się bawił.

Jego wspaniałe szaty wzbudziły powszechny podziw, a na dodatek udało mu się przyciągnąć do siebie wszystkie młode ślicznotki z dworu. Pomyślał, że wielkie bogactwo i efektowny wygląd nikomu nie imponują tak, jak młodym dziewczętom. Kto wie, może nawet znów się ożeni! Chciałby mieć dla odmiany atrakcyjną żonę. Oczywiście szkopał tkwił w tym, że ładne dziewczęta nie miały żadnej ziemi. Tylko brzydkim dawano najlepsze posagi. Postanowił, że jego następna małżonka będzie jednak brzydka.

Po co mu ładna, jeśli tak wiele młodych dzierlatek było gotowych wskoczyć do jego łóża, nie prosząc w zamian o nic więcej niż złota błyskotka czy nowa suknia?

Spróbował skupić spojrzenie załzawionych oczu. Był pewien, że królowa przeszyla go przedtem wyjątkowo wściekłym wzrokiem. Nie szkodzi, rano, podczas audiencji, z pewnością się dowie, o co chodzi Jej Wysokości. Wieczór był zbyt ekscytujący, by przejmować się chmurnym obliczem Arinaldy.

Zażądał głośno więcej *ale* i poczuł nagły ból w gardle. Miał nadzieję, że to nie początek gorączki albo ospy. Już wcześniej zauważył, że trochę trudno mu oddychać, zlekceważył jednak ten objaw, jako skutek wypitego *ale*. Było ono szczególnie mocne i z łatwością mogło spowodować podobne skutki.

Przez cały wieczór ani razu nie zauważył Baralisa. Miał szczerą nadzieję, że jego skrytobójca nie będzie już długo zwlekał z zamordowaniem tego demona! Myśl o rychłej śmierci kanclerza rozweseliła go. Pociągnął kolejny łyk *ale*. Zimny płyn przyjemnie łagodził palenie w gardle. Pora się trochę zabawić.

Wybrał najbardziej urodziwą ze swych towarzyszek, młodą kobietę o szerokich biodrach i szarych oczach. Poklepał ją po wydatnym tyłeczku.

– Ale z ciebie ładna dzierlatka – powiedział, starając się nie przemawiać bełkotliwie. Dziewczyna spojrzała na niego zimno, Maybor jednak nie zniechęcał się łatwo. Uścisnął delikatnie jej pierś.

– Lordzie Mayborze! Proszę nad sobą panować! – ostrzegła dziewczyna, spoglądając na niego z oburzeniem. Wielmoża nie przejął się tym protestem. Bardziej interesowało go dotknięcie wydatnych obłości tylnej części jej ciała. Uśmiechnął się do niej i zapuścił dłoń głęboko w fałdy sukni, łapiąc dziewczynę za

pośladek.

Odwróciła się gniewnie i chlusnęła mu zawartością pucharu prosto w twarz.

– Ty dziwko! – wrzasnął, licząc na współczucie, ale ludzie spoglądali na niego zimno lub wręcz się z niego śmiali. Popatrzył na swój cenny strój, zmoczony mdłym, owocowym ponczem.

Upokorzono go na oczach całego dworu. Stał się pośmiewiskiem. Będzie musiał oddalić się i ściągnąć lepkie, mokre szaty. Ta szarooka suka doszczętnie je zniszczyła! Nigdy już nie będzie mógł ich nałożyć. Opuścił pośpiesznie komnatę. Tłumy rozstępowały się przed rozwścieczonym, pijanym wielmożą.

Baralis zdawał sobie sprawę, że na drugim końcu komnaty doszło do jakiegoś incydentu, nie widział jednak, co się stało. Pewnie jakiś pijany możnowładca zrobił z siebie durnia, pomyślał ze wzgardą.

Miał już unieść do ust złoty puchar, gdy usłyszał za plecami cichy szelest ałtasu. W mgnieniu oka pojął, co się dzieje.

Bez chwili zastanowienia odwrócił się, uwalniając swą potężną moc. Zobaczył jakiegoś mężczyznę z nożem uniesionym do ciosu. Na obliczu mordercy pojawił się wyraz przerażenia, gdy pierwsze fale ataku Baralisa rozrywały jego ciało. Krzyknął z bólu, kiedy

gwałtowna burza wypaliła mu oczy. Wypuścił nóż i uniósł dłonie, by osłonić głowę. Było już jednak za późno. Twarz napastnika zniekształciła się groteskowo. Żar zwęglał pokrywającą ją skórę. Szaty eksplodowały płomieniami i całe ciało przerodziło się w pochodnię.

Ogień przeniósł się na atłasową zasłonę. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, trzymając się za miejsce, gdzie przed chwilą miał twarz. Baralis nie panował nad wściekłą mocą, którą uwolnił. Przyglądał się ze złowieszczą satysfakcją, jak ogień pochłania poczerniałą postać napastnika.

Poczuł uderzający go podmuch powrotny mocy, który poparzył mu skórę i osmalił włosy. Cofnął się, by uniknąć poważniejszych obrażeń, lecz w tej samej chwili ogarnęła go straszliwa słabość. Nigdy dotąd nie uwolnił tak wielkiej mocy. Spróbował zaczerpnąć ją z powrotem do siebie, lecz było już na to za późno. Dygoczący i wyczerpany, podtrzymywany jedynie siłą woli, oddalił się chwiejnym krokiem od płomieni.

Bevlin jadł późną kolację. Gdy spożywał kaczkę w tłuszczu, poczuł nagłą słabość w kiszkaach. Ogarnęła go fala towarzysząca zaczerpnięciu wielkiej mocy. Wypuścił nóż z dłoni. Po brodzie spłynęła mu kropla tłuszczu, a włoski na ramionach i karku zjeżyły się. Zadrżał pod wpływem nagłego chłodu. Nie pamiętał,

kiedy ostatnio wyczuł uwolnienie tak olbrzymiej energii.

Ten, kto to uczynił, musiał być zaiste potężny. Niemniej jednak Bevlin wyczuł, że mocy nie przyciągnięto z powrotem, lecz pozwolono jej się rozproszyć. Mędrzec potrząsnął powoli głową. Człowiek, który uwolniłby tak wiele mocy i potem jej nie odzyskał, byłby tak fizycznie wyczerpany, że groziłoby mu omdlenie... albo coś gorszego.

Poczuł się nagle bardzo zmęczony. Wstał, zamknął księgę, którą czytał, i skierował się do łóżka, zostawiając kaczkę w tłuszczu, by stygła powoli. Stracił apetyt.

Maybor wrócił do swej komnaty. Zrzucił z siebie mokrą, poplamioną szatę i padł na łożo. Był pijany jak bąk, a do tego gardło go bolało i nie mógł oddychać. Wezwał słabym głosem sługę.

Crandle zjawił się natychmiast.

– Słucham, lordzie Mayborze.

Był wyraźnie wstrząśnięty wyglądem pana.

– Czemu tak się na mnie gapisz, durniu? Czy wyrosła mi druga głowa?

– Nie, panie. Jesteś tylko trochę zaczerwieniony i masz na twarzy i szyi lekką wysypkę.

– Jaką wysypkę? – Coraz trudniej było mu mówić.

– Przynieś mi trochę wody i kawałek zwierciadła, żebym mógł się przejrzeć.

– Tak, panie.

Crandle wypadł posłusznie na zewnątrz. Maybor dotknął ręką gardła. Było gorące. Gdy sługa przyniósł odłamek szkła, wyrwał mu go z rąk niecierpliwie. Przeraziło go to. co ujrzał. Skórę wokół nosa i ust, a także na szyi, miał czerwoną i obrzękłą.

– Co to jest? – krzyknął, oszołomiony i przerażony tym widokiem. Crandle przyniósł też wodę, wydawało się jednak, że boi się zbliżyć do swego pana.

– Może to tylko skutek trunków, panie – powiedział bez większego przekonania. Maybor wypił zimną wodę, która podziałała na jego obolałe gardło niczym balsam.

– Jeśli to ospa, Crandle, każę ci urwać jaja, jeśli komukolwiek o tym wspomnisz.

Wszyscy na dworze bali się zarażenia ospą. Zwykła pogłoska wystarczała, by podejrzanego o tę chorobę wykluczono z towarzystwa. Dlatego każdy, kogo dotknęła, ze wszystkich sił starał się ukryć swa dolegliwość.

– Nie szepnę ani słówka, panie.

Mayborowi coraz trudniej było oddychać. Nakazał służącemu ułożyć poduszki w stos. mając nadzieję, że

poczucie się lepiej, jeśli usiądzie. Pełen obaw Crandle był zmuszony pociągnąć ciężkie ciało swego pana ku poduszkom. Gdy grubas na nich spoczął, oddychanie przychodziło mu trochę łatwiej.

– Ominęły mnie wszystkie atrakcje wieczoru – poskarżył się. – Zdażyłem tylko wypić ze dwa dzbanki *ale*.

– Może to i dobrze, że położyłeś się wcześniej, panie. Lepiej, żeby nikt cię nie oglądał w takim stanie.

Crandle nie widział poplamionej szaty i nie zdawał sobie sprawy z prawdziwego powodu, dla którego jego pan przedwcześnie opuścił bal.

– Nie bądź bezczelny!

Głos Maybora nie zabrzmiał zbyt groźnie, gdyż znowu zaczęło mu brakować tchu. Zaczął kasłać. Jego ciało dygotało. Ujrzał przerażony, że jego podkoszulek pokrywają plamki krwi.

Widok maleńkich szkarłatnych kropelek wzbudził w nim lęk. Jaka to choroba rozwijała się tak szybko? Jeszcze dziś rano jechał konno przez pola, zdrowy jak zawsze. Teraz, po zaledwie kilku godzinach, pluł krwią i nie mógł złapać tchu. Ogarnięty strachem, opadł na poduszki i zapadł, charcząc, w niespokojny sen.

Crope usłyszał pod drzwiami cichy dźwięk. Przebywał w komnatach swego pana, co było jego

obowiązkiem pod nieobecność Baralisa. Zastanowił się, czy powinien sprawdzić, co jest źródłem dźwięku. Nikomu nie było wolno tu wchodzić bez pozwolenia kanclerza, Croke nie bał się więc intruzów. Możliwe nawet, że były to dzieciaki z zamku, które lubiły się z niego nabijać i wszędzie za nim łąziły. Mogły czekać pod drzwiami, aż je otworzy, by oblać go kwaśnym mlekiem, jak to już kiedyś zrobiły. Doszedł do wniosku, że to na pewno one, zlekceważył więc dźwięk i wrócił do przeglądania książek.

Nie umiał czytać, ale jego ulubioną rozrywką było oglądanie obrazków przedstawiających kwiaty i zwierzęta. Gdy Baralis zauważył zachwyty, z jakim to robi, podarował mu kilka książek na własność. Pełno w nich było pięknych rysunków roślin, owadów, zwierząt i ryb. Croke uważał je za swój najcenniejszy skarb. Przeglądał je niezliczoną ilość razy, zawsze pamiętając, by umyć ręce, nim dotknie cennych kart.

Dzisiejszej nocy przeglądał swą ulubioną książkę, tę, w której były wszystkie piękne kwiaty. Pograżył się całkowicie w tej czynności i upłynęła dłuższa chwila, nim ponownie usłyszał cichy dźwięk. Tym razem przyszło mu do głowy, że jest już za późno, by dzieci kręciły się po korytarzach, otworzył więc ciężkie drewniane drzwi. Na posadzce, u jego stóp, leżał



Baralis.

Nie tracąc czasu, podniósł go, pognął do sypialni i – z delikatnością zaskakującą u tak potężnego mężczyzny – ułożył swego pana na łożu.

Zastanawiał się, co robić dalej. Zauważył, że Baralis drży, popędził więc po dodatkowe koce. Po paru chwilach wrócił i nakrył nimi kanclerza. Następnie zmoczył szmatę chłodną wodą i zaczął zwilżać nią rozpalone czoło chorego. Zauważył, że Baralis wygląda na poparzonego: skóra na jego twarzy i dłoniach była czerwona i obrzękła.

Spróbował sobie przypomnieć, co się robi w przypadku poparzeń. Pamiętał, że jego pan ma na takie okazje specjalne maści, poszedł więc do biblioteki, gdzie stały podobne lekarstwa. Po kilku minutach wrócił z maścią. Miał nadzieję, że wybrał właściwą. Wylał sobie odrobinę na dłoń, by się upewnić. Był to jakiś olej, łagodny i chłodzący. Bardzo ostrożnie wysmarował nim poparzoną twarz i dłonie Baralisa. Miał wrażenie, że maść ochłodziła je nieco.

Na koniec napełnił puchar aromatycznym ciemnym winem, uniósł lekko głowę Baralisa i wlał mu trochę trunku między wargi. Część wina spłynęła po brodzie. Crope delikatnie wytarł strużkę trunku miękką szmatką.

Przez cały ten czas kanclerz nawet się nie poruszył. Croke zaczynał się niepokoić. Był przekonany, że Baralisowi dolega coś więcej niż poparzona twarz i dłonie, nie potrafił jednak mu pomóc. Podeszedł do kominka i dodał dREW do ognia, po czym usiadł przy łóżku swego pana, by znowu zwilżyć mu czoło. Będzie czuwał przy nim przez całą noc z nadzieją, że jego stan się nie pogorszy.

## 11

Tawl ruszył w stronę portu. Zbliżał się świt i było jeszcze zimno, otulił się więc szczelnie płaszczem. Kiedy wyszedł zza rogu, w twarz uderzyła go słona bryza. Ujrzał głębokie, siwe morze, które Rorn uważał za swoją własność.

Gdy dotarł do nabrzeża, skierował się na północ. Po drodze mijał szeregi statków i łodzi. Było tam wiele skromnych rybackich stateczków, garstka potężnych okrętów wojennych, trochę pięknych barek wycieczkowych oraz znaczna liczba statków handlowych. Tawl nigdy nie widział podobnej różnorodności: łodzie z południa o kadłubach zdobionych niezwykle kolorowymi malowidłami fantastycznych stworów morskich lub nagich kobiet, statki z Rornu o żółtych żaglach i te z Toolay, pięknie pociągnięte lakierem, lecz pozbawione ozdób.

Wkrótce znalazł się w północnym porcie i ruszył spieszenie wzdłuż szeregu statków, zdając sobie sprawę, że jest spóźniony. Upłynęło już trochę czasu od

pierwszego brzasku. Znalazł dwumasztowiec, którego szukał, “Rybacką Szajkę”. Marynarze odwiązywali właśnie grube cumy, przygotowując się do odpłynięcia.

Gdy Tawl wszedł po schodni, natychmiast przywitał go ochryply krzyk.

– Hej, ty, gdzie leziesz?

Głos należał do niskiego człowieczka o czerwonej twarzy i włosach tego samego koloru.

– Mam pozełgować na Larn. Kapitan Quain wyraził już zgodę.

– Na jaja Borca! Ty jesteś tym szalonym diabłem, który chce tam popłynąć. – Tawl mógł jedynie skinąć głową. – No to włącz na pokład, tylko migiem.

Rycerz wszedł na statek. Rudy marynarz omiół go krytycznym spojrzeniem.

– Źle zniesiesz żeglugę. Widać to na pierwszy rzut oka.

– Żeglowałem już kiedyś – sprzeciwił się Tawl.

– I co to było? Mała wycieczka po Silburze? – Mężczyzna splunął z niesmakiem. – Nie, nie jesteś marynarzem. Zaczнешь rzygać jak kot, gdy tylko podniesiemy kotwicę.

Tawl pływał już kilkakrotnie na statkach i choć nie sprawiało mu to zbytnej przyjemności, nigdy nie

cierpiał na chorobę morską.

– Jak się nazywasz? – zapytał marynarz.

– Tawl.

Rudzielec splunął raz jeszcze.

– Tawl! Wstydziłbym się wypływać na morze z takim imieniem. Przyjrzał mu się z lekką wzgardą.

Rycerz postanowił zapytać o kapitana. Nie miał zamiaru dłużej znosić obelg.

– Chciałbym porozmawiać z kapitanem Quainem.

– Kapitanie! – ryknął marynarz tak głośno, że Tawlowi zadzwoniło w uszach. Po chwili pojawił się następny mężczyzna, również rudy.

– Spóźniłeś się.

Obejrzał Tawla od stóp do głów.

– Nie wiedziałem, że do północnego portu jest aż tak daleko.

– Usprawiedliwienia! Morza nic nie obchodzą usprawiedliwienia. – Splunął dla podkreślenia swych słów. – Powiedz morzu, że się spóźniłeś – mówił jadowitym głosem. – Przekonaj się, czy zrobi dla ciebie wyjątek i zaczeka chwilkę z odpływem.

Tawl zaczynał żałować, że zdecydował się popłynąć “Rybacką Szajką”.

– Wszyscy na pokład – ryknął kapitan głosem nie ustępującym donośnością wrzaskowi jego

podwładnego.

Na statku zapanowała gorączkowa bieganina. Załoga składała się z dziesięciu marynarzy. Kapitan zauważył, że Tawl ich policzył.

– Przez ciebie mam jednego człowieka mniej – poskarżył się. Wyraźnie czekał, by Tawl zapytał go o przyczynę. Rycerz spełnił jego pragnienie.

– A to dlaczego, kapitanie?

– Powiem ci. Jedenastu marynarzy i ja. Jeśli dodać ciebie, razem byłoby trzynastu. Nikt o zdrowych zmysłach nie wyruszy w rejs z trzynastoma ludźmi na pokładzie. Już sama podróż na Larn jest szaleństwem. Podróż na Larn w trzynastu byłaby samobójstwem. Powiem ci jedno, chłopcze. Złoto nie wynagrodzi mi utraty statku. Na pierwszą oznakę niebezpieczeństwa zawrócimy do Rornu tak szybko, że mewy nie zdążą nas osrać.

Kapitan obrócił się na pięcie, pozwalając Tawlowi rozważyć te słowa.

Rycerz uznał, że najlepiej będzie, jak zejdzie pod pokład. Odnalazł człowieka, z którym rozmawiał, wchodząc na statek, i zapytał go, gdzie znajdzie swoją kajutę.

– Kajutę! Słuchajcie go, chłopaki – zawołał marynarz do swych towarzyszy. – Chce się

dowiedzieć, gdzie znajdzie kajutę. Nie wystarczy mu. że musimy przez niego płynąć na tę przeklętą wyspę. Chce jeszcze dostać kajutę. Niedługo zażąda, żebyśmy upiekli mu tort.

Tawł uznał, że ma już dość drwin, nim jednak zdążył się odezwać, wtrącił się jeden z marynarzy:

– Daj mu spokój. Carver, bo jeszcze ktoś pomyśli, że boisz się popłynąć na Larn.

– Nie boję się – bronił się Carver. – W swoim czasie pływałem w gorsze miejsca.

– No. ale jeśli zaraz nie zabezpieczysz tych lin. to nigdzie nie dopłyniemy.

Carver obrzucił mężczyznę pełnym urazy spojrzeniem i wziął się do roboty. Marynarz zwrócił się w stronę Tawła.

– Dzień dobry, przyjacielu. Nazywam się Fyler. Nie przejmuj się Carverem. Ma ostry język, ale nic poza tym.

– Wcale się nie przejąłem. Fyler. Miałem właśnie zamiar mu powiedzieć, że chętnie zjadłbym kawałek tortu.

Uśmiechnął się do marynarza, który natychmiast klepnął go mocno w plecy.

– Świetnie sobie poradzisz na pokładzie “Rybackiej Szajki”. Marynarz potrzebuje tu tylko dwóch rzeczy.

Po pierwsze – poczucia humoru, a po drugie – umiejętności pływania. – Fyler mrugnął do niego wesoło. – Jak sobie radzisz z gotowaniem?

– Nie najgorzej.

Tawl zastanowił się, co miało znaczyć to pytanie.

– To dobrze. Musieliśmy zrezygnować z kucharza, żeby zrobić miejsce dla ciebie. Będiesz mógł przejąć tę zaszczytną funkcję. Oczywiście wiąże się z nią ta zaleta, że można spać w kambuzie. Będiesz go miał tylko dla siebie. – Fyler uśmiechnął się szeroko, odsłaniając szpary między wielkimi, żółtymi zębami. Tawl odniósł wrażenie, że złapano go w pułapkę. – W takim razie, może pokażę ci kambuz. Ludzie cały dzień nie jedli, a nic nie wzmacnia apetytu bardziej niż stawianie żagli.

Marynarz sprowadził Tawla pod pokład. Następnie ruszyli wąskim korytarzem, wiodącym do maleńkiej izdebki.

– To jest kambuz. przyjacielu – oznajmił. – Zapasy znajdziesz pod stołem i w spiżarni. No to leceć. Nie można sterować statkiem bez nawigatora.

Fyler zostawił go w maleńkim, zagraconym pomieszczeniu, nie przypominającym żadnej kuchni, jaką w życiu widział. Był tam tylko długi drewniany stół, wyposażony na brzegach w bandy nie



pozwalające spaść garnkom i rondlom, oraz ceglany piec o osobliwym wyglądzie.

Tawl nie miał pojęcia, jak rozpalić w nim ogień. Nie widział też żadnego drewna na opał. Doszedł do wniosku, że marynarze będą musieli zjeść zimne śniadanie. Zajrzał pod stół i znalazł tam worki pełne warzyw w rozmaitych stadiach kiełkowania: stare rzepy, marchewki i pasternaki. Nie potrafił sobie wyobrazić nic, co smakowałoby gorzej na surowo. Uśmiechnął się złośliwie. Już on pokaże marynarzom z “Rybackiej Szajki” dobre śniadanie!

Tavalisk moczył w miednicy tłuste stopy o krótkich palcach. Ręce miał zajęte rozbijaniem skorupy wielkiego, żywego homara. Walił w niego z całej siły filigranowym srebrnym młoteczkim, niecierpliwie pragnąc dobrać się do delikatnego, przezroczystego mięsa. Gdy usłyszał pukanie do drzwi, był bardzo poirytowany.

– Proszę! – krzyknął.

– Wyładował gniew na homarze, pozbawiając go cienkich nóg ciosami młoteczka. Do komnaty wszedł jego sekretarz.

– O co chodzi, Gamilu? – zapytał ze złością Tavalisk. Homar najwyraźniej nie pożegnał się jeszcze z życiem, gdyż zaatakował jego palce potężnymi

szczypcami. Arcybiskup pomścił tę zniewagę, rozbijając głowę stworzenia. Włożył w cios całą siłę swego tłustego ciała. Kawałki pancerza i mięsa poleciały w powietrze.

– Sądziłem, że zechcesz się dowiedzieć, co się stało z rycerzem, Wasza Eminencjo.

– Mów, co masz do powiedzenia, Gamilu.

Tavalisk zauważył z zadowoleniem, że cios odebrał chęć walki homarowi, który mógł już tylko wymachiwać jedyną pozostałą mu nogą.

– No więc, Wasza Eminencjo, wygląda na to, że nasz rycerz wstał dzisiaj wcześniej.

– Tak, tak. Do *rzeczy*, Gamilu.

Tavalisk rozejrzał się wokół w poszukiwaniu brakujących odnóży homara. Nie miał zamiaru pozwolić, by soczyste mięso się zmarnowało.

– No więc, Wasza Eminencjo, nasz rycerz zdołał zdobyć miejsce na statku.

– Na statku! A jakim?

Tavalisk uznał, że potrzebny jest jeszcze jeden cios, by rozbić skorupę jak należy i walnął homara po raz kolejny.

– Małym. Dwumasztowym. Nazywa się “Rybacka Szajka”.

– “Rybacka Szajka”!

Tavalisk odłożył młoteczek i otworzył wprawnymi dłońmi pancierz skorupiaka, odsłaniając szarawe, opalizujące mięso.

– Tak, Wasza Eminencjo. Sprawdzalem to. Kapitan ma na imię Quain. Z reguły transportują ryby z Marlsu.

– Z Marlsu. To ciekawe. Stamtąd właśnie pochodzi mój mały przyjaciel.

Tavalisk wskazał na rozbitego homara, z którego zaczęła wyciekać zielonkawa, plamiąca talerz ciecz.

– Nie jestem pewien, czy tym razem statek płynie do Marlsu, Wasza Eminencjo.

– Chcesz powiedzieć, że już odbił od brzegu? Z rycerzem na pokładzie?

Tavalisk odkroił sobie spory kawałek mięsa, unikając dotyku nieprzyjemnych wydzielin.

– Tak, Wasza Eminencjo. Odplynał z pierwszym brzaskiem.

– A dokąd?

Mięso było ciepłe i słone. Tavalisk najbardziej ze wszystkiego lubił świeżo zabite homary. Ten jednak był nadal żywy. Jego noga wciąż poruszała się lekko. Arcybiskup uśmiechnął się i raz jeszcze ujął w dłoń młoteczek. Widok trzymającego się nieustępliwie życia czegoś, co stanowiło już jego posiłek, był bardzo irytujący.

– No więc, Wasza Eminencjo, trudno to określić. Niemniej wypytałem robotników portowych i powiedzieli mi, że pożegłował na Lam.

– Ojej, to rzeczywiście interesujące. Nasz rycerz okazał się bardzo przedsiębiorczy. Jak sądzisz, skąd wziął pieniądze na opłacenie podobnej podróży?

Tavalisk zauważył z zadowoleniem, że ostatni cios wykończył wreszcie żalosne stworzenie. Mógł teraz w spokoju napawać się jego mięsem.

– Każdy kapitan z pewnością zażądałby wysokiej ceny za rejs na Lam, Wasza Eminencjo.

– Jestem pewien, że masz rację. Gamilu. Arcybiskup wypatroszył skorupiaka wprawnym ruchem.

– Wasza Eminencjo, podejrzewam, że miał coś z tym wspólnego Stary.

– Sądzę, że możemy przyjąć takie założenie, Gamilu. Dlaczego jednak Stary miałby pomagać naszemu rycerzowi? – Tavalisk wbił zęby w soczystą szyjkę. Ślinka ciekła mu na myśl o tym przysmaku. – To na pewno znowu ten przekłety Bevlin. Ten człowiek zupełnie nie ma gustu, jeśli chodzi o wybór przyjaciół. Zapewne poprosił Starego, żeby miał oko na jego młodego rycerza.

W język Tavaliska wbiło się coś ostrego.

Arcybiskup poczuł ostry, lecz całkiem przyjemny smak krwi. To był kawałek pancerza. Sprytny skorupiak zdołał wyrzucić zemstę z za grobu!

– Gamilu, czy mamy szpiegów na Larnie?

Tavalisk napychał sobie usta homarową szyjką. Jego własna krew okazała się niezłą przyprawą.

– Nikt nie ma szpiegów na Lamie. Wasza Eminencjo.

– Och, jestem bardzo rozczarowany – zauważył Tavalisk w przerwie między kęsami.

Arcybiskup wychylił puchar lekkiego wina.

– Powiedz mi, Gamilu, czy wyczułeś nocą coś niezwykłego?

– Co macie na myśli, Wasza Eminencjo?

– Ja coś wyczułem. Obudziło mnie to.

Urwał homarowi ostatnią nogę i wyssał z niej mięso.

– Co to było, Wasza Eminencjo?

– Sądzę, że pozostałość zaczerpnięcia mocy. Musiało być piekielnie potężne. Przed zaledwie kilkoma tygodniami poczułem coś podobnego. W obu przypadkach mogło chodzić o tę samą osobę. – Używał teraz zębów, by wyrwać z nogi resztki mięsa. – Chciałbym się dowiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny. Warto poznać człowieka władającego

podobną mocą. Zajmij się tym, dobrze, Gamilu?

Tavalisk przyjrzał się homarowi, by się upewnić, że nie przeoczył jakiegoś skrawka mięsa. Nie znalazł nic. skierował więc uwagę na stojącą z boku miskę wiśni.

– Jeśli mi wybaczysz. Wasza Eminencjo, pójdę już. Czeka mnie wiele zadań.

Tavalisk zmrużył nagle złośliwie oczy.

– Gamilu, czy mógłbyś, nim odejdiesz, posprzątać ten bałagan, który został po homarze? Wiem, że bardzo lubisz porządek.

Ktoś obudził Melli gwałtownym potrząśaniem. Czyjeś ręce uniosły ją i postawiły na ziemi. Jej uszy wypełnił nieprzyjemny dźwięk głosu pani Greal.

– Tak, panie Hulbicie, to ta mała złodziejka.

Pani Greal podeszła do Melli i uderzyła ją z całej siły w twarz. Dziewczyna nie mogła jej oddać, gdyż pan Hulbit, właściciel gospody, trzymał ją mocno. Zdała sobie sprawę, że skostniała z zimna. Zasnęła na środku pola, ubrana tylko w cienką suknię. Pan Hulbit wykręcił brutalnie jej rękę i poprowadził ją w stronę traktu. Znalazła się obok pani Greal, która obrzuciła ją jadowitym spojrzeniem. Melli udała, że jej nie dostrzega i zapytała pana Hulbita, co się stało z jej koniem.

– Nie masz już żadnego konia, młoda damo –

wtrąciła pani Greal, nim zdążył odpowiedzieć. – Pan Hulbit skonfiskował go jako zapłatę za dług, jaki zaciągnęłaś, zatrzymując się w jego gospodzie.

– Nie zaciągnęłam żadnych długów! – odparła rozgniewana Melli. – Zatrzymałam się tam jako pani gość, pani Greal.

Kobieta spoliczkowała ją po raz drugi.

– Ty mała dziwko! – krzyknęła. – Widział pan kiedyś taką bezczelną kłamczuchę? – dodała, zwracając się do pana Hulbita. – Mój gość, dobre sobie! Coś ci powiem, dziewczyno. Wpadłaś w poważne kłopoty. Uciekłaś, nie płacąc rachunku, bezczelnie zabrałaś jedną z moich sukni, ukradłaś skórzane siodło, a na domiar wszystkiego napadłaś na jednego z gości karczmy pana Hulbita.

Melli nie wierzyła własnym uszom. Jak ta kobieta mogła opowiadać podobne kłamstwa?

– To pani Greal kłamie – oświadczyła panu Hulbitowi. – Zabrała i podarła moją suknię. Zmusiła mnie do założenia tego. A co do tego mężczyzny, to on na mnie napadł! Chciałam tylko, żeby przestał mnie dotykać. Błagam, panie Hulbicie, musi mi pan uwierzyć. Oberżysta jednak nie zważał na jej błagania.

– Znam panią Greal od wielu lat, dziewczyno. Jest moją przyjaciółką i pomaga mi w prowadzeniu

interesu. Jeśli mówi, że jesteś kłamczuchą i złodziejką, to jej wierzę.

Melli zobaczyła, że pani Greal obrzuciła szynkarza zadowolonym spojrzeniem.

Poprowadzono ją do traktu, gdzie z wielką ulgą zauważyła swego konia. Bystre oczy pani Greal dostrzegły wyraz ulgi na jej twarzy.

– Mówiłam ci już, młoda damo, że ten koń jest teraz własnością pana Hulbita. Co więcej, nie tylko musisz mi zwrócić koszty sukni, którą zniszczyłaś, lecz również odpowiedzieć przed panem Edradem, którego siodło ukradłaś.

Pani Greal pomaszerowała do wioski, zostawiając Melli sam na sam z panem Hulbitem.

Dziewczyna dygotała gwałtownie, przemarznięta do szpiku kości. Zastanawiała się, skąd przyszło jej do głowy, żeby zasnąć zimą na samym środku pola. Czuła też mdłości. Tym razem wiedziała już, że to skutek wczorajszego nadużycia trunków. Zobaczywszy, że Melli drży w za cienkiej sukni, pan Hulbit podał jej końską derkę, by się nią okryła. Ten przejaw dobroci sprawił, że dziewczynie zachciało się płakać. Miała wrażenie, że od chwili opuszczenia zamku Harvell spotyka ją jedynie samo zło.

Pan Hulbit zauważył łzy wzbierające w jej oczach.



Poklepał ją lekko po ramieniu.

– Spokojnie, maleńka. Nie jest tak źle. Przyjąłem twojego konia jako zapłatę, ale sam muszę przyznać, że zrobiłem marny interes. To strasznie mizerna szkapa. – Melli nie wiedziała, czy się oburzyć, czy roześmiać. Była to prawda. Jej koń rzeczywiście był stary i zapracowany. – Widzisz, zawsze znajdzie się powód do uśmiechu. Dopilnuję, żeby pani Greal nie zjadła cię na obiad. Zabrałaś jej tylko jedną suknię. Dam ci pracę w karczmie, żebyś mogła ją spłacić. Oczywiście siodło to inna sprawa. Kradzież siodła to poważne przestępstwo, ale jestem pewien, że Edrad potraktuje cię wyrozumiale.

Melli pomyślała, że to bardzo mało prawdopodobne. Pamiętała, że wczoraj kopnęła go boleśnie. Tak boleśnie, że nie mógł nawet się podnieść. Nie wspominając już o uszczerbku na dumie, jakim z pewnością było odrzucenie jego zalotów. Drżała na myśl o ponownym spotkaniu z tym mężczyzną, nie miała jednak żadnego wyboru. Choć pan Hulbit był dla niej dobry, wyraźnie nie miał zamiaru jej wypuścić.

Cały czas trzymał ją mocno za ramię. W drugą rękę ujął wodze jej konia i razem ruszyli z powrotem do Duvitt. Melli zdziwiła się, że są tak blisko. Była pewna, że przebyła w nocy dłuższy odcinek. Uznała,

że wypity trunek musiał zmać jej zmysły. Policzyła dni, które upłynęły, odkąd opuściła zamek, i natychmiast tego pożałowała. Trzynastka nie była szczęśliwą liczbą.

Gdy dotarli do miasteczka, pojawiła się pani Greal, która natychmiast przejęła inicjatywę. Zaprowadziła Melli do gospody, gdzie ku swemu przerażeniu dziewczyna znalazła się twarzą w twarz z Edradem.

– A więc znalazła pani tę małą ladacznicę, pani Greal – powiedział, obrzucając Melli groźnym spojrzeniem.

– Rolnik Trill zauważył rano jej konia, Edradzie – odparła pani Greal. Melli zauważyła, że jest tu obecny również ktoś inny, kogo nigdy dotąd nie widziała.

– Zrelacjonuj mi proszę wydarzenia wczorajszego wieczoru, Edradzie – odezwał się mężczyzna. Jego nadęty ton przekonał Melli, że to z pewnością miejscowy sędzia.

– Proszę bardzo. Ta młoda kobieta poprosiła mnie, bym udał się z nią na spacer. Wieczór był piękny, więc lekkomyślnie wyraziłem zgodę. Zwabiła mnie do stajni, obiecując mi pocałunek. Nim zdążyłem się zorientować, wyciągnęła nóż. Zagroziła, że mnie nim przebije, jeśli tylko się poruszę. Nie miałem zamiaru pozwolić, żeby obezwładniło mnie takie dziewczątko,

ale nim zdążyłem uciec, ta mała żmija kopnęła mnie w słabiznę. Potem ukradła mi siodło.

Melli musiała przyznać, że opowieść Edrada brzmi przekonująco.

– Czy są jacyś świadkowie? – zapytał sędzia, omiatając wzrokiem pomieszczenie.

– Byłam obecna, gdy ta mała dziewczka zaprosiła Edrada na spacer. Słyszałam też, że obiecała mu pocałunek.

Pani Greal obrzuciła Edrada wymownym spojrzeniem.

– Cóż, przy dziewczynie znaleziono siodło. Do tego rzeczywiście opuściła gospodę, nie płacąc rachunku. Muszę ją uznać za winną.

Sędzia był wyraźnie zadowolony z wyniku rozprawy. Melli nie mogła już tego dłużej znieść.

– Oni kłamią! – krzyknęła. – To Edrad zwabił mnie do stajni. Pocałował mnie wbrew mojej woli. Dlatego go kopnęłam.

– Niech pan słucho! – zawołała pani Greal. – Ta dziewczka sama przyznaje, że nie ma wstydu. Niech pan wybaczy, że się wtrącam, ale uważam, że powinien ją pan potraktować z całą surowością. Choć jest jeszcze młoda, nie ulega wątpliwości, że to notoryczna kłamczucha i zatwardziała złodziejka.

Melli nie wierzyła własnym uszom. Jak sędzia mógł uwierzyć im, a nie jej? Z drzeniem pomyślała o czekającej ją karze. Sędzia kaszlnął głośno.

– Widzę, że mówi pani prawdę, pani Greal – powiedział.

– Ta dziewczyna to niezłe ziółko. Pan Hulbit zgodził się przyjąć jej konia jako zapłatę za pobyt w karczmie, uważam jednak, że winowajczynię trzeba ukarać. Musimy biciem wyplenić z mej zło. Nie tylko zapłaci pięć sztuk złota, lecz również wymierzy się jej publicznie, na rynku, dwadzieścia batów.

Sędzia popatrzył na panią Greal i Edrada. Oboje sprawiali wrażenie usatysfakcjonowanych jego słowami.

– To sprawiedliwy wyrok, panie sędzio, bardzo sprawiedliwy

– powiedział Edrad.

– Czy wychłoszcze się ją rzemieniem, czy sznurem?

– spytała pani Greal.

– Sądzę, że sznur okaże się bardziej bolesny. Zgadza się pani ze mną?

– Jest pan nadzwyczaj mądry, sędzio. Sznur z pewnością wygna z niej zło. – Pani Greal miała zadowoloną minę. – Czy mogę ośmielić się zgłosić pewną sugestię?

– Oczywiście, pani Greal. Wysoko cenię pani rozsądne opinie na każdy temat.

– Być może sznur powinno się przedtem nasączyć słoną wodą. Nie chcemy chyba ograniczać się do półśrodków?

– Jest pani nadzwyczaj rozumna, pani Greal – odparł sędzia.

– Słyszałem, że pan Hulbit zgodził się zatrudnić dziewczynę w gospodzie, by mogła spłacić dług?

– W rzeczy samej, sędzio – przyznała pani Greal, spoglądając ze złością na Melli.

– Bardzo dobrze. Kiedy już wróci do siebie, wyśle się ją do pracy. Możemy uznać sprawę za załatwioną. Chłosta odbędzie się jutro o drugiej po południu. Do tego czasu zatrzymam podsądną w areszcie. – Zwrócił się w stronę Melli. – Chodź ze mną, dziewczyno, i to szybko.

Wyprowadził Melli z gospody. Wszyscy na ulicach gapili się na nią. Zwiesiła zawstydzona głowę. Po chwili dotarli do kamiennego budynku.

– Spędzisz noc w dole – oznajmił sędzia. – Niech to będzie dla ciebie nauczką.

Jack spróbował rozerwać więzy. Jego ramię i plecy przeszył ból, który na mgnienie oka przerodził się w coś dotykającego. Żołądek skurczył mu się nagle, a w

głowie poczuł gwałtowny ucisk. Gdy tylko jednak zorientował się, co to jest, wrażenie minęło. Bochny. Nim je zmienił, doświadczył tego samego. Wsparł głowę o potężny dąb. Nie mógł już mieć wątpliwości. To nie było przypadkowe wydarzenie. Ponownie poczuł moc. Jej znajomy smak przyprawiał go o mdłości.

Nagle ogarnął go strach. Wydało mu się, że jego los został przypieczętowany. Całe życie spędził w świecie, którym władał rozum: ciasto rosło ze względu na drożdże, im większy był bochen, tym dłużej zachowywał świeżość – proste prawdy, które nigdy się nie zmieniały. Teraz znalazł się w rzeczywistości, w której nie było nic pewnego: spalone chleby mogły się zmienić w ciasto, a gniew lub ból rozpalić iskrę mocy, przyszłość zaś nie niosła ze sobą obietnicy spokoju.

Szarpnął sznury, lecz bez rezultatu.

Najemnicy przywiązali go do drzewa, by nie mógł uciec. Cały ranek galopowali bez przerwy, kierując się na wschód w poszukiwaniu Melli. Teraz pozwolili koniom na odpoczynek. Jackowi chciało się pić. Cały dzień nie miał w ustach jadła ani napoju. Teraz, gdy czuł metaliczny posmak czarów, dręczyło go jeszcze silniejsze, rozpaczliwe pragnienie. Zawołał strażników. Jeden z nich podszedł niespiesznie do niego.

– Czego chcesz?

– Proszę mi dać wody.

Gardło miał wyschnięte i obolałe. Najemnik kopnął go mocno po łydkach.

– Butny z ciebie jeniec.

– Daj mu się napić, Harl – polecił herszt, Traff, gdy strażnik chciał już odejść. – Ostatecznie chłopak wziął dla nas kilka prezentów. To bardzo uprzejme z jego strony, moim skromnym zdaniem.

Reszta mężczyzn ryknęła gromkim śmiechem. Traff mówił o pełnym zapasów worku Jacka, który najemnicy, nie tracąc czasu, zaczęli natychmiast rozbebeszać. Chłopak był zły, patrząc, jak chciwie pochłaniają jego cenną żywność, wbijają zęby w kawały pieczeni, a potem odrzucają je na wpół zjedzone. Suszone owoce i orzechy wysypali na zimną ziemię, nie zainteresowani nimi.

– Znajdź mu też pół bochna – dorzucił Traff. – O ile dobrze sobie przypominam, wczoraj była Wigilia Zimy. Nie powinno się nieuprzejmie traktować gościa.

Te słowa wywołały kolejną eksplozję śmiechu. Jackowi podano kubek rozcieńzonego wodą *ale* oraz kawał chleba.

Wigilia Zimy. Czyżby nie było go w zamku aż tak długo? Frallit na pewno się nie ucieszył, że utracił

jednego ze swych ludzi przed drugim pod względem ważności świętem roku. Trzeba było upiec mnóstwo różnych ciast: pierniki na miodzie i z imbirem, ciasto ze słodowanymi owocami. O tej porze dłonie Jacka były już zwykle żółte od szafranu. Podczas świąt rzadkimi przyprawami szafowano równie hojnie, jak solą. Zadaniem Jacka było gotowanie pszennej kaszy na mleku z dodatkiem jaj i szafranu. Święto nie byłoby ważne, gdyby nie podano wielkich ilości uwielbianej przez wszystkich złotej owsianki.

Jack czuł się bardzo samotny. Nic nie mogło się równać ze świątecznymi dniami w kuchni. Było tam wówczas mnóstwo jedzenia i *ale*, a ludzie krzatali się, pełni radości. Tęsknił za tym wszystkim. Po raz pierwszy od chwili opuszczenia zamku zdał sobie sprawę, co utracił: przyjaciół, życie, wspomnienie o matce. Wszystko to zostało w Harvellu. Tam było jego miejsce. Jego dom.

Podniósł kubek i obrócił go powoli w dłoni. Z boku naczynia wyciekał płyn. Uplynęła dłuższa chwila, nim zauważył cienką jak włos szczelinę.

Może i było to jego miejsce, lecz nigdy do niego nie pasował.

Jeszcze przed wydarzeniem z bochnami uważano go za obcego. Każdy cechował się czymś, co



odróżniało go od innych. Pan Frallit był łysy jak jagoda, piwniczny Willock miał szpotawą stopę, nawet Findra. podkuchenna, okryła się wstydem, gdy przyłapano ją na sianie z kowalem. Dla nich wszystkich kpiny były świadectwem akceptacji. Osoby, z których dobrodusznie drwiono, czuły się raczej włączone niż wyłączone z zamkowej społeczności.

W jego przypadku wyglądało to inaczej. Nie żartowano z niego w jego obecności, a jedynie za plecami. Wziął kubek w wolną rękę. Zauważył, że dłoń wciąż mu drży z powodu tego, co wydarzyło się wcześniej. Czy taki właśnie los go oczekiwał? Czy zawsze miał być wyrzutkiem, kimś innym od pozostałych? Odrzucił kubek. Niech smak czarów zostanie w jego ustach. Był on smakiem samotności, a do niej będzie musiał się przyzwyczać.

– Nie, Bodger, jeśli ciupciasz się z dziewczuchą, kiedy pada, to wcale nie znaczy, że nie zrobisz jej dzieciaka.

– Ale pan Trout przysięga, że tak jest. Mówi, że to niezawodna metoda zabezpieczenia przed ciążą.

– Pan Trout nigdy nie zrobił żadnej dziewczce dzieciaka tylko dlatego, że zdrowa na umyśle kobieta nie pozwoliłaby mu się nawet do siebie zbliżyć.

- Jest już deczko za stary, Grift.
- Ehe, Bodger, jest tylko jeden sposób, żeby dziewczka nie zaszła w ciążę i nie jest to pieprzenie podczas deszczu.
- A co, Grift?
- Rzecz w tym, żeby nigdy nie robić tego na golasa.
- Kobieta ma być ubrana?
- Nie, ty durniu, mężczyzna. Pamiętaj, żeby nigdy nie zdejmować koszuli, Bodger, a na pewno nie zostaniesz ojcem wbrew swej woli.
- Grift zrobił mądrą minę i skinął głową do Bodgera, który odwzajemnił się tym samym.
- Słyszałeś, co wydarzyło się nocą w komnacie biesiadnej? To okropne, Grift.
- Ehe, Bodger. Wszyscy mówią, że pożar wywołał wielką panikę. Wielcy panowie i damy czmychali jak szczury.
- Poszedłem rano obejrzyć komnatę. Grift. Ogień strawił całą tylną ścianę.
- Ehe, Bodger. Ciekawe, skąd się wziął.
- Królowa ogłosiła, że to był wypadek, Grift. Twierdzi, że pożar wywołały przewrócone świece.
- Było w tym coś więcej, Bodger. Zamieniłem słówko z jednym z chłopaków, którzy podawali trunki.

Mówił, że cała komnata poruszyła się ludziom pod stopami. Coś zważyło ich z nóg, a wszystkie metalowe puchary parzyły przy dotknięciu. Wydarzyło się tam coś bardzo paskudnego, jeśli mnie o to pytasz.

– Całe szczęście, że zginął tylko jeden człowiek.

– Rzuciłeś okiem na ciało, prawda. Bodger?

Wiedzą już, kto to był?

– Nie ma szans, Grift. Biedak spalił się na węgiel. Straszna śmierć.

– Nikt go nie rozpoznał, Bodger?

– Nie meldowano o niczym zaginięciu, Grift. Przy tylnym wejściu do komnaty siedział pijany dziedzic, który twierdzi, że widział jakiegoś ubranego na czarno mężczyznę, ale nikt nie zwraca uwagi na jego gładzenie. Jediną wskazówkę stanowi sztylet zabitego. Znalaziono go na podłodze tuż obok zwłok. Oczywiście żar zniszczył ostrze, ale to jedyny przedmiot, który ocalał. Całe ubranie spłonęło. Strasznie to wyglądało, Grift. Nigdy w życiu nie widziałem nic gorszego od tego czarnego, zwęglonego trupa.

– Co to był za nóż, Bodger?

– To właśnie jest najdziwniejsze, Grift. To nie był zwykły nóż do jedzenia. Jeden z wielmożów mówił, że to dziwne, że ktoś wziął taką broń na tańce.

– Dzieje się tu więcej, niż by się zdawało. Królowa mogła ogłosić, że to był wypadek, ale ja dam głowę, że ten człowiek nie zginął przypadkowo.

Lord Maybor był poważnie chory. Dyszał rozpaczliwie przez całą noc.

Rankiem jego stan pogorszył się do tego stopnia, że wezwano medyków i kapłanów. Leżał w łóżu ledwie przytomny, walcząc o każdy oddech. Wypluł z płuc wiele krwi. Czerwona wysypka wyglądała teraz znacznie gorzej. Skórę pokryły drobne grudki i pęcherzyki, a wokół nosa i ust uformowały się owrzodzenia, z których sączyły się krew i ropa.

Lekarze nie wiedzieli, co sądzić o chorobie potężnego wielmoży. Nigdy dotąd nie spotkali się z czymś takim. Natychmiast wykluczyli ospę i mokrą gorączkę. Przyszło im do głowy, że coś wypala tchawicę i płuca Maybora od wewnątrz. Potrząsali z powagą głowami, nie dając mu większej nadziei. Zalecili wypełnić komnatę wonnym drzewnym dymem, który ukoji płuca i przegna złośliwe humory.

Maybor nie wyraził na to zgody. Charcząc głośno, przegnał medyków. Zastąpili ich kapłani, ze swymi drogocennymi olejkami i wodami. Polewali nimi chorego i śpiewali hymny, by przygotować go na śmierć.

– Zmykajcie, przekłete klechy, nie jestem jeszcze trupem! Maybor opadł z powrotem na poduszki, kaszląc słabo. Ledwie mógł oddychać, lecz mimo to rozbawił go widok kapłanów czmychających w pośpiechu.

Wezwał synów, lecz dwaj najmłodszy wyruszyli na front, by walczyć z Halcusami. Taki już był los młodszych synów – albo szukali chwały na polu bitwy, albo litości w stanie kapłańskim. Wielmożę cieszył fakt, że wśród jego potomków nie trafił się żaden kapłan.

Kedrac wszedł do komnaty i zmarszczył nos, czując zgniły odór choroby. Bezskutecznie próbował ukryć grozę, jaką poczuł na widok Maybora.

– Ojczy, co się z tobą stało?

Wielmoża dostrzegł odrazę na twarzy syna. Skinął na Crandle'a, by podał mu kawałek zwierciadła, Kedrac jednak zabrał je służącemu i nie chciał go wręczyć ojcu. Maybor nie miał sił, by się sprzeciwić.

– Ojczy, rozmawiałem z tobą nie dalej jak wczoraj. Co spowodowało tę niemoc?

– Nie mam pojęcia, synu.

Maybor zdołał z siebie wykrztusić jedynie ochryply szept.

– Czy to mogła być trucizna?

– Potrawy i *ale* spożywane wczoraj przez jego lordowską mość kosztowało również wielu innych – odparł Crandle. – Nie słyszałem, żeby ktoś jeszcze zachorował.

Obaj mężczyźni zwrócili się w stronę Maybora, którego dopadł straszliwy atak kaszlu. Kiedy się skończył, poduszki pokryły plamki krwi.

– Co mówią lekarze? – zapytał Crandle’a Kedrac.

– Nie wiedzą, co dolega jego lordowskiej mości. Zalecili dym.

– Dym! Czy do cna ogłupieli? On i tak ledwo oddycha. Rozległo się ciche pukanie do drzwi i do środka weszła królowa.

Gdy zobaczyła, w jakim stanie jest lord Maybor, jej zimna, wyniosła twarz zmieniła nagle wyraz. Zamarła wpół kroku.

– Czy to ospa? – spytała Kedraca.

– Nie, Wasza Wysokość – odparł ten, kłaniając się. Arinalda zaczerpnęła tchu i podeszła do łoża.

– Twój ojciec miał spotkać się ze mną rano – wyjaśniła, zobaczywszy wyraz zdumienia na twarzy Kedraca. – Kiedy się nie zjawił, postanowiłam go odszukać. Widzę, że jest bardzo chory. Co mu dolega?

Maybor próbował jej odpowiedzieć, lecz przeszkodził mu atak kaszlu.

– Lekarze tego nie wiedzą, Wasza Wysokość. Kedrac wygładził włosy i poprawił ubranie.

– Lekarze! To durnie. Kiedy zajmowali się królem, czuł się coraz gorzej. Przyślę wam moją znachorkę. Ona zna się na ziołach. Jeśli ktoś może mu pomóc, to tylko ona. – Popatrzyła ze współczuciem na cierpiącego. – Przyzwyczaiałam się już do choroby, ale tego nie potrafię zrozumieć. Widziałam lorda Maybora nie dalej jak wczoraj. Był zdrowy jak zawsze. Czy to skutek pożaru?

– Nie, Wasza Wysokość – wtrącił unizonym tonem Crandle. – Lord Maybor opuścił komnatę na krótko przed jego wybuchem.

Królowa uściśniła delikatnie ramię chorego.

– Muszę już iść, ale cieszę się, że tu przyszłam. Gdy tylko wrócę do komnaty, przyślę moją kobietę. Życzę dobrego dnia.

Skinęła głową do Kedraca i wyszła. W tej samej chwili Maybor wyrwał synowi z ręki fragment lustra i drżącą dłonią przysunął go do swej twarzy. Gdy tylko ujrzał ohydne odbicie, dopadł go straszliwy atak kaszlu.

Crope pełnił straż, kiedy jego pan to odzyskiwał przytomność, to ją tracił. Nie spał całą noc, wpatrując się w bezwładną postać Baralisa.

Później, gdy do komnaty wpadło pierwsze światło jutrzeńki, kanclerz zrobił się niespokojny. Rzucił się w łóżu i przewracał z boku na bok. Crope podbiegł do niego i zobaczył, że chory jest zlany potem i dygocze gwałtownie. Popędził po wodę, by ochłodzić skórę, po czym zwilżył mu delikatnie czoło.

Przyjrzał się poparzeniom pokrywającym twarz i dłonie kanclerza. Gdzieś tam pojawiały się już blizny. Widać też było czerwone, opuchnięte pęcherze oraz otwarte rany.

Baralis zaczął mamrotać jakieś niezrozumiałe dla sługi słowa. Sprawiał wrażenie podnieconego. Miotał się niespokojnie w łóżu. Widząc swego potężnego pana w podobnym stanie, Crope poczuł dojmujący strach. Bał się, że gorączkowe ruchy wyczerpią śpiącego kanclerza, spróbował więc go uspokoić, przyciskając delikatnie jego kończyny do łóża i przykrywając go narzutami oraz grubymi kocami.

Uważał, że jego panu potrzebny jest spokojny sen, by mógł odzyskać siły, widział jednak, że nie będzie mu to dane. Baralisa dręczył wewnętrzny niepokój, który nie pozwalał ciału na odpoczynek. Postanowił, że poda mu łagodny wywar nasenny, by mógł zasnąć głębiej. Poszedł do biblioteki, chcąc odszukać go wśród licznych buteleczek. Wielokrotnie widział, jak



Baralis zażywał go późną nocą, gdy nie mógł zasnąć. Wiedział, że to właściwe naczynie, gdyż zatyczka była oznaczona sową. Croke uwielbiał sowy.

Wrócił do sypialni i wielkimi, niezgrabnymi łapskami wlał odrobinę płynu między obrzękłe wargi Baralisa, po czym znowu usiadł na krześle i wsadził rękę pod bluzę, by dotknąć szkatułki. Sam jej widok wystarczał, by go uszczęśliwić. Była piękna. Jej pokrywę zdobiły maleńkie podobizny morskich ptaków. Usiadł wygodnie, obracając w dłoni pudełeczko, gotowy czuwać nad swym panem tak długo, jak będzie to konieczne.

## 12

Tawł stał na pokładzie “Rybackiej Szajki”, gapiąc się na ciemny, połyskujący ocean. Od Larnu dzieliły go tylko dwa dni drogi i nie wiedział, czy powinien czuć ulgę czy strach.

Z zamyślenia wyrwał go ochryply głos Carvera.

Hej, ty! Co ci strzeliło do łba, żeby nas karmić surową rzepą? Całą noc rzygałem dalej, niż widziałem.

– To nie od rzepy, Carver – krzyknął Fyler, podchodząc bliżej. – Po prostu morze wreszcie na ciebie podziałało. Nikt, kto urodził się w górach, nie zostanie dobrym marynarzem. Było tylko kwestią czasu, nim ujawni się twoja prawdziwa natura.

– Nie urodziłem się w górach, tylko na podgórzu. – W głosie Carvera brzmiało adekwatne do rzuconej obelgi oburzenie. – Nauczyłem się żeglować wcześniej niż chodzić. Choroba morska! Nie dopadła mnie nigdy w życiu. To okropna kuchnia tego chłopaka wywróciła mi flaki do góry nogami. – Ponownie skierował uwagę na Tawła. – Lepiej uważaj, chłopcze. Jeszcze jeden

taki numer, jak ta sałatka z rzepy i pasternaku, i nim się obejrzysz, wylądujesz za burta.

– Przykro mi, że kolacja nie przypadła ci do gustu, Carver. Jeśli ktoś pokaże mi, jak rozpala się w piecu i znajdzie trochę szczap na opał, może uda mi się dzisiaj ugotować rzepę.

– Nie chcę już widzieć rzepy na oczy, nim zejść z pokładu. W gruncie rzeczy, gdybym nie zobaczył rzepy już nigdy w życiu, umarłbym szczęśliwy. Chcę dostać coś porządnego.

– To dlaczego nie nałapiasz trochę ryb, Carver? – zapytał niewinnym tonem Tawl.

– Nie znoszę ryb.

Tawl i Fyler roześmiali się wesoło, słysząc słowa Carvera,

– Co robi na morzu, na statku o nazwie “Rybacka Szajka”, człowiek, który nie znosi ryb? – Fyler świetnie się bawił. – To musiało być bardzo wysokie podgórze, Carver. Jesteś jedynym znanym mi marynarzem, który nie jada ryb.

Carver miał już zamiar udzielić ciętej odpowiedzi, gdy na pokładzie zjawił się kolejny mężczyzna.

– Hej ty, kapitan chce zamienić z tobą słówko – zwrócił się do Tawla. – Ruszaj się migiem. Czeka w swojej kajucie.

– Pewnie chce wygarnąć ci za tę rzepe – wymamrotał Carver, gdy Tawl się oddalał.

Pod pokładem “Rybackiej Szajki” panowała ciasnota. Korytarze były tak niskie, że Tawl nie mógł się wyprostować i musiał iść z pochyloną głową. Zapukał do drzwi i polecono mu wejść. Małeńka mroczna kajuta pełna była książek. Oświetlała ją tylko niewielka lampka oliwna.

Kapitan spojrział na niego z dezaprobatą i nakazał mu spocząć. Gdy rycerz usiadł. Quain napełnił dwa kielichy.

– To najlepszy rum w Znanych Krainach, chłopcze – powiedział, wręczając puchar Tawlowi. – Uważaj, żebyś go nie wypił jednym haustem. Nie chcę odpowiadać przed Starym, jeśli wypadniesz za burtę.

Obrzucił rycerza wzgardliwym spojrzeniem.

– Nie wątpię, że dobrze ci zapłacono za ten rejs, kapitanie – odrzekł ten. – Nikt cię do niczego nie zmuszał. Sam się zgodziłeś pożeglować na Larn.

Quain nie zwrócił uwagi na jego słowa. Pociągnął powoli łyk trunku, napawając się jego smakiem.

– O jakości rumu nie świadczy moc, ale łagodny smak. Tylko najlepsze gatunki są tak delikatne, że nie czuje się ich prawdziwej mocy. No proszę, spróbuj.

Skinął na Tawla, zapraszając go do picia. Rycerz

pociągnął łyk rumu, zastanawiając się, czy kapitan słyszał jego słowa. Jego uwagę odwrócił jednak ostry aromat trunku. Nie rozumiał, jak żeglarz mógł nazwać go łagodnym. Jemu wydawał się mocny i palący.

Quain uśmiechnął się, widząc reakcję towarzysza.

– Za pierwszym razem ten smak zawsze zaskakuje. Pociągnij drugi łyk, tym razem bez pośpiechu. Pozwól, żeby rum zatańczył na twoim języku.

Tawl wypił jeszcze trochę, zatrzymując się na chwilę, by poczuć smak, nim przełknął trunek. Zaczął pojmować, że rum faktycznie jest łagodny. Przechodził przez gardło gładko jak późnoletni miód. Rozgrzał mu usta i wnętrzości oraz złagodził napięcie mięśni twarzy.

– Zaczynasz kapować, w czym rzecz. Tylko uważaj, jest piekielnie mocny. – Tawl postanowił posłuchać jego rady i odstawił niechętnie kielich. – Żaden szanujący się kapitan nie odważyłby się wyruszyć w rejs, nie mając na pokładzie przynajmniej czterech baryłek rumu. Wszyscy wiedzą, że marynarze mogą wytrzymać całe miesiące bez widoku lądu, całe tygodnie bez świeżego jedzenia i całe dni bez świeżej wody, ale jeśli choć na jedną dobę odebrać im przydział rumu, pojawia się groźba buntu.

Oczy Quaina zalśniły w bladym świetle. Tawl nie

potrafił określić, czy kapitan mówi prawdę, czy żartuje.

Żeglarz pociągnął kolejny łyk i przyjrzał się z uwagą rozmówcy.

– Powiedziałeś przedtem, że nie musiałem żeglować na Larn. Twoje słowa świadczą o tym, że nie znasz zbyt dobrze stosunków panujących w Rornie. – Nalał sobie jeszcze trochę rumu i zaczął mówić dalej: – Naprawdę liczy się tam tylko dwóch ludzi. Zapomnij o starym diuku i jego szlachcie. Nawet Gavelna, premier, to tylko marionetka. Prawdziwą władzę mają jedynie arcybiskup i Stary. Ten, kto chce żyć, nie wchodzi w paradę żadnemu z nich. Dlatego, kiedy przychodzi do mnie sługus Starego i prosi bardzo uprzejmie, żebym pożeglował na Larn, nie przychodzi mi do głowy, aby mu odmówić. Oczywiście wszystko odbywa się po przyjacielsku. Pilnują, by dobrze mi zapłacono, zapewniają, że polecą mnie odpowiednim ludziom. Ale obie strony wiedzą, że nie mam wyboru. Nie mogę sobie pozwolić na zakłócenie planów Starego. Prowadzony przeze mnie interes zależy od mojej opinii, dobrej reputacji, jeśli mogę tak powiedzieć. Gdybym odmówił wyświadczenia przysługi Staremu, równie dobrze mógłbym pożeglować ku zachodzącemu słońcu i nigdy nie wrócić.

Quain wysuszył kielich do dna i spojrzał Tawlowi prosto w oczy. Rycerz zaczął zdawać sobie sprawę, że błędnie ocenił swego rozmówcę.

– Kapitanie, nie miałem pojęcia, że tak to wygląda.

– Nie zrozum mnie źle, chłopcze. Nie boję się pożeglować na Larn. Prowadziłem już ten statek przez płytsze i bardziej zdradzieckie wody. Ta wyspa to jednak coś więcej niż niebezpieczne mielizny. Moi marynarze słyszeli o Lamie opowieści, od których włosy się jeżą. Nie mam pojęcia, czy są prawdziwe, ale wpływ, który wywierają na załogę, jest widoczny. Wszyscy czują lekki niepokój, choć nie chcą się do tego przyznać, a niespokojny marynarz jest złym marynarzem. To właśnie mnie martwi, chłopcze, a nie sama wyspa.

Wypił kolejny łyk rumu.

Tawl zaczął czuć lekkie wyrzuty sumienia z powodu tego, że nakarmił załogę surową rzepą.

– Posłuchaj, chłopcze – odezwał się kapitan, jakby potrafił odczytać jego myśli – znajdź kogoś, kto napali w piecu. Nie mam zamiaru więcej jeść surowej rzepy. Poproś Fylera, żeby przyniósł porządne żarcie z ładowni. Powiedz mu, że kapitan Quain zabronił chomikowania. Jestem pewien, że był jedynym marynarzem, który jadł wczoraj coś lepszego od rzepy.

– Nakazał skinieniem Tawlowi dopić trunek. – Nie śpiesz się. chłopcze. Rum trzeba smakować, nie przełykać od razu.

Melli z całego serca pragnęła znaleźć się z powrotem w zamku. Z pewnością małżeństwo z księciem Kylockiem nie mogłoby być gorsze od tego, co przeżywała teraz.

Po wczorajszym procesie sędzia zaprowadził ją do małej izdebki, w której ją przeszukał. Twarz dziewczyny płonęła z gniewu na wspomnienie tego, jak zatrzymywał dłonie na jej nogach i pośladkach. Z pewnością nie zdołałaby tam nic schować! Sędzia potraktował jednak ten obowiązek bardzo poważnie, mamrocząc, że mogła ukryć broń w każdym miejscu.

Gdy upewnił się, że dziewczyna nie ma żadnej broni, wyprowadził ją z powrotem na ulice. Ku jej zaskoczeniu zebrał się tam tłumek. Kiedy się pojawiła, ludzie zaczęli obrzucać ją obelgami. Nazywali ją kurwą i złodziejką. Jeden z gapiów cisnął w nią jajkiem, a potem drugi zgniła kapustą.

Nie mogła już tego znieść.

– Proszę mnie natychmiast wypuścić – zwróciła się do sędziego. – Nie pozwolę, by traktowano mnie jak zwykłą złodziejkę. Jestem lady Melliandra, córka lorda Maybora.



Uniosła wysoko głowę.

– Cicho, głupia dziewczyno. Nie pogarszaj swej sytuacji bzdurnymi kłamstwami. To oczywiste, że jesteś zwykłą ladaczną.

Wykręcił jej boleśnie rękę, po czym ruszył naprzód. Zmierzali na rynek. Zgromadzili się tam gapie, którym sędzia zdał relację z przestępstw Melli.

– Ta dziewczyna, znana jako Melli z Głębokiego Lasu, jest winna rabunku, napaści, prostytucji i oszustwa. Skazuję ją na dwadzieścia uderzeń biczem. Wyrok zostanie wykonany jutro o drugiej po południu.

Tłumek skierował w stronę Melli szydercze okrzyki. Następnie sędzia przeprowadził dziewczynę jeszcze kawałek i bez ostrzeżenia wepchnął ją do głębokiego dołu.

Upadła boleśnie na bok. Jej bark i miednicę przeszył ból. Gdy podniosła wzrok, ujrzała spoglądających na nią z góry ludzi. Wszyscy sprawiali wrażenie zadowolonych z tego, że się potłukła.

– Dobrze tak tej malej brudnej złodziejce! – zawołała jedna z kobiet.

– To ją oduczy kraść konie.

– Takim jak ona należy się solidna chłosta.

– Przekona się, że nie chcemy tu brudnych dziwek.

Melli była niemal pewna, że ten ostatni głos należy

do pani Greal. Nim jednak zdążyła się upewnić, spadł na nią deszcz zgniłych jarzyn i mięsa. Większość cuchnących przedmiotów była miękka, wreszcie jednak ktoś zaczął rzucać rzepami. Robił to celnie i Melli była zmuszona zasłonić twarz.

Zachwyciło to okrutny tłum i zwiększyło tylko jego entuzjizm. Ktoś wylał jej na włosy wielką ilość skwaśniałego mleka. Następnie obrzucono ją dzikimi jabłkami. Nie mogła nic zrobić. Była uwięziona. Zwiesiła nisko głowę, modląc się, by nikt nie zaczął ciskać kamieniami. Po chwili tłum utracił zainteresowanie, bądź też zabrakło mu przedmiotów do rzucania. Ludzie wycofali się powoli, krzyząc “Dziwka!” albo “Złodziejka!” Na koniec ktoś cisnął wielkim melonem, który trafił dziewczynę w obolały bark. Melli skrzywiła się z bólu.

Gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że wszyscy odeszli. W jej oczach wezbrały łzy. Ciało miała poobijane i posiniaczone. Przerażała ją myśl o chłóście. Wszyscy uwierzyli w to, co mówiła pani Greal. Wydawało się nawet, że wierzyli w jeszcze gorsze rzeczy. Nie ukradła konia ani nie była prostytutką.

Spróbowała oczyścić się choć trochę ze zgniłych jarzyn, strącając z sukni śliskie liście kapusty i

spleśniałe owoce. Nie mogła jednak nic poradzić na smród.

Rozejrzała się po posepnym dole. Był głęboki mniej więcej na dwóch wysokich mężczyzn i tak wąski, że ledwie mogła się w nim położyć. Ściany tworzyły wygładzone kamienie, a dno zimna ziemia. Sądząc po ilości płodów rolnych w różnych stadiach rozkładu, korzystano z niego często. Gdy spróbowała poruszyć lekko barkiem, poczuła w nim przeszywający ból. Udało jej się zwinąć w kłębek i zasnęła, łkając.

Po kilku godzinach obudziły ją męskie krzyki. Zdażyła już zapaść noc.

– Hej. panienko! Może byś tak pokazała nam cycki?

– Pokazuj melony albo polejemy cię *ale*. Patrzyła na nich w niemym przerażeniu.

– Mała dziwka! Pewnie robi to tylko za pieniądze.

– Brudna kurwa!

Wylali na głowę uwięzionej zawartość kufla.

– To marnowanie dobrego *ale*. jeśli mnie ktoś o to pyta.

Gdy ubranie nasiąknęło płynem. Melli zaczęła dygotać.

Widok przemoczonej dziewczyny wydał się mężczyznom zabawny. Wybuchnęli gromkim

rechosem. Jeden z nich trzymał zapaloną świecę i gdy wystawił ją nad dół, na nagie ramiona Melli zaczął skapywać gorący wosk. Intruzi nie zwracali na to uwagi, a dziewczyna uznała, że lepiej nic nie mówić, gdyż mogliby uznać, że to znakomity sposób, by ją dręczyć. Po chwili zabrakło im *ale* i zostawili ją samą. Odetchnęła głęboko z ulgą.

Zamarzała. Noc była zimna, a dzięki pani Greal miała na sobie tylko cieniutką suknię. Co gorsza, była teraz doszczętnie przemoczona. Czuła ból w każdym kawałku ciała. Rzepami i dzikimi jabłkami ciskano z okrutną precyzją i cała pokryta była siniakami. Najwięcej cierpień przysparzał jej lewy bark. Przebiegła delikatnie palcami po bolesnym miejscu. Był tam obrzęk, lecz nie wyczuła złamania.

Wraz z nadejściem nocy zrobiło się zimniej. Melli dygotała. Wreszcie zapadła w niespokojny sen, zwinięta ciasno w kłębek, by choć trochę się ogrzać.

Rankiem obudziło ją coś cuchnącego, co wylano jej na głowę. Stała nad nią pani Greal, trzymająca w rękach pusty już nocnik.

– Czeka ją dziś jeszcze gorsze rzeczy, panienko! Jesteś małą, niewdzięczną szmatą.

Pani Greal odwróciła się na pięcie i odeszła.

Przez resztę poranka Melli znosiła okrutne obelgi.

Obrzucano ją też resztkami śniadań.

Wiedziała, że czekają dziś chłosta. Mdlilo ją ze strachu na myśl o sznurze. Nie widziała żadnej możliwości ratunku. Próbowwała powiedzieć sędziemu, kim jest, ale w obecnym stanie nie poznałby jej nawet własny ojciec. Nagle ogarnęło ją gwałtowne pragnienie znalezienia się u jego boku. To prawda, że ją spoliczkował i próbował zmusić do nie chcianego małżeństwa, ale przecież ją kochał. Była jego najdroższą córką. Kupował jej wszystko, czego tylko zapragnęła, i zachwycił się, widząc ją w pięknych strojach. Pomyślała, że gdyby zobaczył ją dzisiaj, przeżyłby straszliwy szok.

Czas płynął bardzo powoli. Miała wrażenie, że każda minuta ciągnie się bez końca. Dręczyło ją straszliwe pragnienie. Już ponad dzień nie miała w ustach ani kropli płynu. Nie czuła jednak głodu, gdyż ohydny smród zgniłych jarzyn odbierał jej apetyt.

Z narastającym lękiem spoglądała na wspinające coraz wyżej na niebo słońce. Było już południe. Niedługo przyjdą ją wychłostać.

Jack myślał o Melli. Bał się, że żołnierze, którzy go pojмали, wkrótce schwytają również i ją. Niedawno mijali małą wioskę. Jeźdźców przywitały wrogie spojrzenia chłopów. Traft, herszt, zapytał jedną z

kobiet, czy widziała dziewczynę, która wyszła z lasu, zmierzając na wschód. Dwie srebrne monety skutecznie rozwiązały jej język.

– Tak, była tu taka jedna. Bardzo dziwaczne stworzenie. Miała na sobie worek. – Wieśniaczka zmrużyła oczy, zastanawiając się chwilę. – Ulitowałam się nad biedaczną i powiedziałam jej, że lepiej jej będzie w Duvitt.

– Kiedy to było?

– Nie jestem pewna. Może ze cztery albo pięć dni temu.

– Jak daleko jest do Duvitt?

– Jakieś ćwierć dnia jazdy na wschód. Łatwo tam trafić. W tej okolicy wszystkie drogi prowadzą do Duvitt.

Opuścili wioskę, gnając znacznie szybciej niż dotychczas, jako że wyjechali na otwarty trakt. Lasy ustąpiły miejsca polom, lecz Jack nie miał okazji podziwiać widoków, gdyż jechał przytroczony do końskiego grzbietu. Widział jednak, że droga jest szeroka i dobrze utrzymana, co świadczyło o dobrobycie i pokaźnej liczbie mieszkańców. Miasteczko, do którego zmierzali, musiało być bogate.

Żywił gorącą nadzieję, że Melli nie zatrzymała się w Duvitt na dłużej. Wydawało się pewne, że jeśli

jeszcze będzie w mieście, złapią ją ludzie Baralisa, którzy pędzili niepowstrzymanie w tamtą stronę.

Melli rzucono koniec sznura.

– Łap go! – zawołał ochryply głos.

Dziewczynie nie spodobała się perspektywa wyciągania z dołu na sznurze. Nie wiedziała, czyjej bark zniesie podobne obciążenie. Wpadła jej do głowy pewna myśl. Jeśli nie chwyci powroza, nie będą mogli wyciągnąć jej z dołu i w ten sposób uniknie chłosty. Odmówiła wykonania rozkazu, potrząsając uparcie głową.

– Jeśli nie złapiesz sznura, ty mała zdziro. twoja kurewska kariera skończy się na zawsze. – Melli wciąż nie reagowała. – Posłuchaj, panienko, daję ci ostatnią szansę. Chwytaj powróż albo powiem panu Hulbitowi, żeby zagotował kurzy tłuszcz i potem wyleję ci go na tę twoją piękną buzię. No jazda!

Melli złapała sznur. Jej bark przeszył ból, a w oczach wezbrały gorące łzy. Owinęła sobie linę wokół talii, trzymając się jej mocno, po czym stanęła pewnie na nogach, zaciskając zęby. Poczowała szarpnięcie. Gdy ją wyciągano, zdarła sobie o kamień skórę z ramion. Kiedy jej głowa znalazła się na poziomie ziemi, dwóch mężczyzn ujęło ją za ręce i wyciągnęło na zewnątrz. Wydawało jej się, że zaraz zemdleje z bólu.

Zapanowała z wysiłkiem nad sobą. Odziedziczyła po ojcu dumę i nie miała najmniejszego zamiaru sprawiać tłumowi satysfakcji, mdlejąc jak trzpiotowate dziewczę.

Rozejrzała się wokół. Na rynku zebrało się znacznie więcej ludzi niż wczoraj. Gapie posykiwali, gdy na nich spoglądała. Okrzyki “Dziwka!” i “Złodziejka!” nie robiły już na niej wrażenia. Puszczala je mimo uszu. Tłum uznał to za przejaw bezczelności i stał się złośliwy. Ludzie syczeli i wykrzykiwali odrażające obelgi. W mężczyźnie, który nazwał ją “ospowatą ladaczną”, rozpoznała Edrada. Choć bardzo cierpiała, nie mogła się nie uśmiechnąć na taką ironię losu. Dla tłumu było to najgorszą rzeczą, jaką mogłaby zrobić.

– Bezczelne ladaco!

– Ta mała dziwka jest z siebie zadowolona.

Melli po raz kolejny zasypał deszcz zgniłych owoców i jarzyn. Trzymający ją mężczyźni krzykiem nakazali tłumowi przestać, gdyż sami również oberwali.

Zaprowadzili ją na sam środek rynku, gdzie wzniesiono drewniane rusztowanie. Jeden z nich popchnął Melli do przodu, tak że zwróciła się plecami do tłumu. Złapał dziewczynę za ramiona, unosząc je do



wysokości barków, po czym przywiązał ją za nadgarstki do rusztowania.

Zaczęła się bać. Nie widziała już gapiów, słyszała jednak ich szydercze okrzyki. Gdy tylko mężczyzna cofnął się od rusztowania, bombardowanie zaczęło się na nowo. Dziewczyna przygryzała z bólu wargę, gdy w jej plecy i nogi trafiały twarde przedmioty. Rozciągnięte ramiona były wielkim obciążeniem dla obolałego barku. Najgorsze jednak było oczekiwanie.

Wyglądało na to, że nikomu nie śpieszy się z rozpoczęciem chłosty. Uznała, że przywiązanie do rusztowania i zdanie na łaskę tłuszczy stanowi część kary. Tłum wykrzykiwał dalsze obelgi. Czuła jego narastające podniecenie. Ludzie pragnęli dobrego widowiska. Żądali krwi.

Nagle gapie umilkli. Melli wyciągnęła szyję, by spojrzeć za siebie. Pojawił się sędzia w towarzystwie człowieka niosącego sznur. Nie była to cienka szpicruta, lecz gruby, szorstki, sztywny powróż zakończony węzłem. Dziewczyna zadrżała, a tłum krzyknął radośnie.

Sędzia zaczął mówić, raz jeszcze opowiadając ludziom o rozlicznych zbrodniach Melli. Dramatycznym tonem wymieniał każdą z nich z osobna, pozwalając tłumowi syczeć w przerwach

między poszczególnymi słowami. Lista była dzisiaj dłuższa. Oskarżył Melli również o kradzież konia i oszustwo. Gdy skończył, tłum ogarnął szal.

– Wychłostać dziwkę!

– Zedrzeć jej skórę z pleców.

– Nie ma dla niej litości! Wreszcie sędzia ogłosił wyrok:

– Trzydzieści uderzeń sznura! Tłuszcza eksplodowała radosnym rykiem.

Wczoraj było dwadzieścia! Melli zeszywniała ze strachu. Trzymający bicz człowiek pokazał swe narzędzie zachwyconemu motłochowi, unosząc je wysoko nad głowę, by mogły je zobaczyć małe dzieci i ludzie stojący z tyłu. Następnie uciszył gapiów, opuszczając sznur do wysokości pasa, i złapał kończący go węzeł w dłoń.

Podszedł do rusztowania. Na plecy Melli padł jego cień. Tłum wstrzymał oddech. Dziewczyna napięła mięśnie, czekając na cios.

Mężczyzna uniósł bicz. zatrzymał się na mgnienie oka. po czym smagnął ją w plecy. Usłyszała trzask, nim poczuła uderzenie. Targnęły nią spazmy bólu i szoku. Zachwycony tłum krzyknął: “Ach...!” Sędzia zaczął liczyć:

– Jeden.

Bicz uniósł się raz jeszcze i opadł ze straszliwą siłą na plecy Melli. Uderzenie odebrało jej dech w piersiach i rozerwało cienką suknię.

– Dwa.

Po policzkach dziewczyny spłynęły łzy bólu. Mężczyzna zgiął bicz, uniósł go wysoko nad ramiona i smagał okrutnie jej szczupłe plecy. Tym razem sznur uderzył w ciało.

– Trzy.

Bicz uniósł się znowu, zostawiając pręgę na delikatnej skórze. Pojawiły się pierwsze kropelki krwi.

– Cztery.

Szur wgrzył się głęboko, przecinając skórę i rozdzierając ciało.

– Pięć.

Dziewczyna poczuła ból, a potem ściekającą po plecach strużkę krwi.

– Sześć.

Gdy bicz uniósł się po raz kolejny, w tłumie doszło do zamieszania, które odwróciło uwagę oprawcy. Melli była zbyt osłabiona, by ją to obeszło.

Dał się słyszeć odgłos uderzających o bruk kopyt. Przez tłum przepychali się jeźdźcy. Sędzia zsiniał ze złości.

– Kto jedzie? – zawołał. – Oddalście się. Nie

przeszkadzajcie w biczowaniu.

– Jeśli natychmiast nie każesz odwiązać dziewczyny, każę moim ludziom pokroić tych czcigodnych mieszczan na plasterki – odezwał się zimny, śmiertelnie groźny głos.

– Nie odważyłbyś się – sprzeciwił się sędzia bez większego przekonania.

– Wesk, Harl – rzucił intruz. Dwóch jeźdźców wysunęło się przed grupę. Obaj dzierżyli w dłoniach długie miecze. Na tłum padł strach. Nikt się nie poruszył.

– Rób, co ci każe. Odwiąż dziewczynę – wymamrotał sędzia.

Oprawca przytroczył bicz do pasa, podszedł do Melli i przeciął nożem więzy.

Uwolniona, ledwie mogła utrzymać się na nogach. Zakręciło się jej w głowie. Potknęła się. Była osłabiona z bólu, a plecy ją paliły. Podniosła oszołomiona wzrok i zobaczyła zbliżającego się dowódcę zbrojnych. Poznała człowieka, który rozerwał jej w lesie stanik. Była zdezorientowana. Mężczyzna uśmiechnął się złowieszczo, pochwycił ją pewnie w silne ramiona i wsadził na konia. Nie mogła już wytrzymać dłużej. Zemdlała, pograżając się w czarnym mroku.

## 13

Baralis leżał w łóżu. Ostatnie dni były najgorsze w jego życiu. Był bliski śmierci. Dopiero teraz zaczął powoli odzyskiwać siły. Miotał się w pościeli i przewracał z boku na bok, zlany potem i słaby. Nie był w stanie myśleć jasno. Dręczyły go wizje i demony, a jego ciało nie mogło zaznać odpoczynku.

Doznał poważnych poparzeń, ale to nie one były najgorsze. Popułnił straszliwy błąd. Gdy tylko się zorientował, że atakuje go skrytobójca, uderzył w niego całą zawartą w swym ciele mocą. Postąpił odruchowo, ratując życie. Nie było w tym kalkulacji ani umiaru. Zaczepnął moc, nie myśląc o niczym poza unieszkodliwieniem groźby. Przepłynęła przez niego tak gwałtownie, że nie był w stanie zapanować nad jej szalem.

Gdy tylko się zorientował, że zaczepnął jej zbyt wiele, spróbował przyciągnąć ją z powrotem, okazało się to jednak niemożliwe. Była zbyt potężna, zbyt nieokiełznana. Obdarzona własną wolą. Mógł jedynie

obserwować jej skutki. Uczynił coś, co nie powinno się było zdarzyć nigdy i nikomu: stracił panowanie nad mocą. Zacerpnął z siebie wszystko. Nie zostało mu nic. Zużył całą swą siłę. Opróżnił się do cna. Gdyby nie opieka jego sługi, Croke'a, mógłby umrzeć.

Popełnił błąd, którego powinien się wstydzić nawet nowicjusz. Przez wszystkie lata szkolenia, które przeszedł w młodości, wpajano mu jedną, podstawową zasadę: nigdy nie bierz na siebie zbyt wiele. Do dziś pamiętał dłoń nauczyciela spoczywającą na jego ramieniu i słowa:

– Baralisie, otrzymałeś dar, lecz zarazem ciąży na tobie przekleństwo. Darem są tve zdolności, przekleństwem zaś ambicja. Czerpiesz moc w zbyt nieobliczalny sposób. Brak ci umiarkowania. Któregoś dnia zapłacisz straszliwą cenę za podobną zuchwałość.

Zawsze starali się go powstrzymywać. Zazdrościli mu jego talentu. Byli tylko garstką starych głupców, którzy złamali prawo, zakładając szkołę czarów. Chcieli przekonać ludzi, że magia nie jest zła i że Borc mylił się, potępiając ją. Jedyнным powodem, dla którego tak długo tolerowano ich działalność, był fakt, że Leiss było miastem szczycącym się swym liberalizmem. Oczywiście teraz sytuacja wyglądała tam zupełnie inaczej.

Na terenach położonych tak blisko Suchych Krain trzeba było geniuszu, by wydrzeć ziemi plony. W przypadku ojca Baralisa geniusz wspomagała odrobina czarów. Wywodził się on ze starej rodziny znakomitych rolników. Ich umiejętności odnosiły triumf nad marną glebą, na której wznosiło się Leiss. Jak dzicy, zawierali małżeństwa z bliskimi krewnymi: przyrodnią siostrą, daleką kuzynką, pasierbicą. W ten sposób wzmacniali mieszanekę. Ich krew przepajały czary, a ci biedni prostaczkowie nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Sądzieli, że zboże rośnie tylko dzięki ich wysiłkom.

Jego matka wiedziała jednak, że to nieprawda. Była o wiele za bystra na żonę rolnika. Odgadła prawdę kryjącą się za rekordowymi zbiorami. Dostrzegła też nadnaturalne talenty Baralisa i wysłała go w jedyne miejsce w Znanych Krainach, gdzie mógł się uczyć.

Tak jest, miał szczęście, że urodził się w tym ongiś liberalnym mieście. Gdyby nie szkoła, nigdy nie zostałby królewskim kanclerzem. Nauczyciel był w błędzie. Zarówno jego zdolności, jak i ambicja były darami.

Odbył wiele wędrówek, nim nauczył się wszystkiego, co umiał teraz. Na Dalekim Południu poznał sztukę rozkazywania zwierzętom, czynienia ich

przedłużeniem swej woli, od pasterzy z Wielkich Równin dowiedział się, jak sporządzać eliksiry, a w krajach leżących za Górami Północnymi opanował umiejętność opuszczania ciała i stawania się jednością z niebiosami. Odwiedził wiele miast, rozmawiał z niezliczonymi ludźmi i przeczytał mnóstwo manuskryptów. Nikt w Znanych Krainach nie mógł się z nim równać.

W Wigilię Zimy przekonał się jednak, że nie jest nieomylny.

Łatwo mógłby wyeliminować skrytobójcę, zużywając znacznie mniej mocy. Czułby po tym jedynie umiarkowane zmęczenie, zamiast leżeć dwa dni nieprzytomny, nim jego umysł powrócił do ciała. Czary wypływały z esencji człowieka: z jego krwi, wątroby i serca. Nawet najprostsze zaczerpnięcie mocy prowadziło do kilkugodzinnego osłabienia. Uczynienie tego na tak wielką skalę mogłoby dla kogoś słabszego skończyć się obłędem lub unicestwieniem.

Mimo wszystko był zdumiony potęgą mocy, którą zaczerpnął. Co prawda, naraził się przy tym na niebezpieczeństwo, ale wspomnienie przepływającego przez jego ciało strumienia energii – szybkiego i straszliwego – przyprawiało go o uniesienie. Gdy tylko odzyska pełnię sił, zrobi użytek ze swych nowo



odkrytych umiejętności. Zachowa jednak ostrożność. Nigdy już nie podejmie takiego ryzyka.

Czekało go mnóstwo roboty. Musiał poznać odpowiedzi na wiele pytań. Nie mógł pozwolić na to, by zmęczenie przeszkodziło w realizacji jego planów. Wezwał Croke'a.

– Słucham, panie – powiedział sługa, wchodząc do sypialni.

Croke, dobrze się mną zaopiekowałeś. Dziękuję ci za to. Olbrzym uśmiechnął się, rozciągając liczne blizny pokrywające wielką gębę.

– Zrobiłem, co tylko mogłem, panie – odrzekł, zadowolony, że doceniono jego wysiłki.

– Przejdźmy do ważniejszych spraw. Jak przyjęto na dworze wiadomość o śmierci lorda Maybora?

Croke wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem.

– Lord Maybor nie umarł, panie.

– Nie umarł! Cóż to za diabelskie sztuczki! Jesteś tego pewien, ty tępą pacanie?

– Tak, panie. – Wydawało się, że dziś obelgi sprawiają Croke'owi przyjemność. – Lord Maybor nie umarł. Ale jest okrutnie ciężko chory. Ludzie mówią, że jego twarz pokryły wrzody i trudno mu jest oddychać. Wezwano nawet kapłanów.

Baralis nie potrafił tego pojąć. Trucizna była

śmiertelna. Wypróbował ją na starej chabecie. Żalodne stworzenie zdechło po kilku godzinach.

– Kiedy lord Maybor opuścił salę biesiadną?

– Wszyscy o tym opowiadają. – Croke przerwał na dłuższą chwilę, usiłując przypomnieć sobie całą historię. – Podobno jakaś dziewczyna oblała go ponczem. Zrobił z siebie pośmiewisko i wyszedł, nim wybuchł pożar.

Baralis pomyślał, że Maybor ma szczęście jak sam Borc. Wiedział, że jego trucizna traci część mocy, gdy polać ją płynem, a poza tym grubas zapewne szybko zdjął moką szatę. Niech go szlag!

– Czy stan lorda May bora się poprawia?

– Nie wiem, panie. Podobno królowa użyła mu swej znachorki.

– Arinalda go odwiedziła?

Po zdemaskowaniu jego kłamstw z pewnością powinna zerwać z nim wszelkie kontakty.

– Tak, panie. Parę dni temu był tu jej wysłannik. Mówił, że królowa chce się z tobą widzieć, gdy tylko będzie to możliwe.

– Co mu powiedziałeś?

– Że złapałeś lekką gorączkę podczas konnej przejażdżki.

– Świetnie, Croke. Dobrze się spisałeś.

– A co mówią ludzie o pożarze w sali biesiadnej? – zapytał Baralis po krótkiej przerwie.

– Że spowodowały go przewrócone świece, panie.

– Świetnie. Czy są jacyś świadkowie?

– Jeden pijany dziedzic utrzymywał, że pożar wywołał mężczyzna w czerni, panie.

– Jak się nazywa?

– Nie wiem, panie.

– Dowiedz się! A jak już się dowiesz, dopilnuj, żeby przydarzył mu się nieszczęśliwy wypadek. – Kanclerz spojrzął w oczy słudze. – Zrozumiałeś mnie, Croke? – Olbrzym skinął głową. – Świetnie. Idź już. Chcę być sam. Muszę przemyśleć parę spraw.

Baralis spoglądał za oddalającym się chwiejnym krokiem sługą. Gdy Croke zniknął, kanclerz wstał z łoża. Zdumiała go własna słabość. Nogi mu drżały, nie przyzwyczajone do ciężaru ciała. Dowłókł się do swej pracowni. Gdy już się w niej znalazł, zaczął sprawdzać liczne buteleczki i fiołki, aż wreszcie odszukał tę właściwą. Wyciągnął zatyczkę i wychylił całą zawartość maleńkiego naczynka, licząc na szybką ulgę w cierpieniu.

Spojrzał na własne dłonie, poparzone przez pozostałość mocy. Pokrywały je blizny, a skóra na nich była lśniąca i naciągnięta. Lecznicze olejki z

pewnością pomogły i większość ran się zagoi. Baralis jednak obawiał się właśnie procesu zdrowienia. Skóra mogła zeszywnieć na dobre, uniemożliwiając mu prostowanie palców. Gdyby do tego doszło, byłby zmuszony przeciąć ją w stawach.

Zaczerpnięcie mocy celem przyśpieszenia powrotu do zdrowia nie wchodziło w grę. Był zbyt osłabiony. Przez kilka najbliższych dni nie będzie mowy o czarach. Oznaczało to, że nie nawiąże kontaktu z drugim gołębiem, którego wysłał na poszukiwania Melliandry.

Maybor drogo mu za to zapłaci. Baralis był niemal pewien, że to z jego rozkazu dokonano zamachu na jego życie. Co prawda miał na dworze wielu wrogów, ale żaden z nich nie pragnął jego śmierci równie gorąco. Wielmoża ze Wschodnich Ziem nie był głupcem. Nie chciał mieć rąk splamionych krwią, wynajął więc kogoś, kto wykonałby brudną robotę za niego.

Baralis miał na głowie wiele spraw. Musi się skupić na realizacji swych planów. Powinien jednak zachować ostrożność, gdyż wyglądało na to, że królowa wciąż darzy Maybora sympatią, bez względu na jego kłamstwa. Trzeba usunąć grubasa. Nie można dopuścić do tego, by Arinalda zawarła z nim sojusz.

Postanowił, że nie będzie już tracił czasu na próby otrucia swego wroga. Mogło się niemal wydawać, że Maybora chroni jakieś zaklęcie. Postara się odwrócić jego uwagę od wydarzeń na dworze. Wiedział, że jedyną rzeczą, którą grubas kocha bardziej niż samego siebie, są jego wschodnie posiadłości. Były bogate i żyzne, obsadzone znakomitymi sadami jabłoniowymi, dostarczającymi owoców, z których produkowano najlepszy jablecznik w Znanych Krainach. Na twarzy Baralisa pojawił się złowieszczy uśmieszek. Postara się, by Maybor na pewien czas skierował uwagę na wschód.

Tawl przymrużył oczy, spoglądając w kierunku wskazywanym przez Fylera.

– Nic nie widzę – stwierdził. Rozmówca poinformował go, że na horyzoncie widać już Larn, rycerz jednak nie potrafił go dostrzec.

– Pochodzisz z Nizin, chłopcze? – spytał marynarz. Tawl skinął głową, zdumiony przenikliwością nawigatora. Ten mrugnął do niego znacząco.

– Ludzie z Nizin słyną z kiepskiego wzroku – wyjaśnił. – Gazy wydzielane przez bagna szkodzą na oczy. Całe szczęście, że opuściłeś dom, nim doszło do znaczniejszych uszkodzeń.

Obaj stali na dziobie. Przez cały dzień fale stawały

się coraz wyższe. Wiał silny wschodni wiatr tworzący bałwany, bijące z impetem o kadłub małego stateczku. “Rybacka Szajka”, która przez pierwsze dwa dni wydawała się Tawłowi tak bardzo solidna, była teraz zdana na łaskę i niełaskę burzliwego morza.

Marynarze, którzy zaakceptowali już obecność Tawła, stali się poważni i milczący. Wszyscy przebywali na pokładzie. Trzeba było nieustannie zmieniać ustawienie żagli, z uwagi na kapryśny wiatr.

Pogoda pogarszała się na oczach Tawła i Fylera z minuty na minutę. Niebo pociemniało złowieszczo. Poczuli pierwsze krople deszczu. Wiał silny wiatr, burzący powierzchnię morza wysokimi falami. Rycerz musiał trzymać się mocno relingu.

– Jak daleko jeszcze do Larnu? – zapytał. Fyler, w przeciwieństwie do Tawła przyzwyczajony do burzliwego morza, stał na pokładzie ze skrzyżowanymi rękami.

– Jestem pewien, że dostrzegłem go na horyzoncie, ale zrobiło się tak cholernie ciemno i paskudnie, że straciłem go z oczu. Zostało pewnie z pół dnia żeglugi. Oczywiście w takich warunkach może to potrwać znacznie dłużej. Wiatr nam nie sprzyja. Nie podoba mi się też myśl o nawigacji na płycznach podczas sztormu.

– Czy wody wokół Larnu są bardzo niebezpieczne? Tawl musiał krzyczeć, by rozmówca go usłyszał.

– Żeglowałem już po gorszych, ale nie jest tu najlepiej. Rzecz nie tylko w płyciznach... choć jeśli nie zachowa się ostrożności, można wylądować na mieliźnie. – Wbił wzrok w horyzont. – Nie, prawdziwy problem to skały. Fale odbijają się od nich, wskutek czego morze jest wzburzone. Nie sposób określić, w którą stronę płynie prąd, ale jedno jest pewne. Jeśli nie będziesz uważał, zniesie cię na skały.

– Kapitan Quain mówił, że nie podpłyńcie zbyt blisko.

– Tak jest, chłopcze. Kapitan to niegłupi facet. Ale i tak nie będzie łatwo. Widzisz, co dzieje się ze statkiem.

Jakby na potwierdzenie jego słów, fale stały się nagle wyższe. Pokład zakołysał się pod ich stopami.

– Myślałem, że to tylko kiepska pogoda! – krzyknął Tawl.

– Wokół Larnu pogoda zawsze jest kiepska, chłopcze, i w tym cały problem. Na spokojnym morzu potrafię omijać skały i płycizny z zamkniętymi oczyma. Lam to jedno z tych przeklętych miejsc, które nie pozwalają morzu na odpoczynek.

– Chodzi o jego położenie?

– Nie. Chodzi o to, czym jest.

Rycerz popatrzył w ślad za oddalającym się towarzyszem, zdumiewając się jego umiejętnością zachowywania równowagi na kołyszącym się pokładzie. Został sam na dziobie. Wiatr i deszcz siekły mu twarz. Wbił wzrok przed siebie, starając się wypatrzeć wyspę na horyzoncie. Nie widział jej, lecz jakimś zmysłem wyczuwał jej obecność. Jego krew czuła zew Larnu, oszłamiający i kuszący. Wpatrując się w posępne szare niebo, poczuł strach.

Nie wiedział, jak długo tak stał, zdany na pastwę żywiołów, nim z zamyślenia wyrwał go czyjś ostry głos:

– Hej, ty! Co wyprawiasz? Przeziębisz się na śmierć przy takim sztormie. – Tawl obejrzał się i zobaczył Carvera. – Lepiej zejź pod pokład. Kapitan o ciebie pytał.

Rycerz zdał sobie sprawę, że jest mu zimno, a jego płaszcz przemókł doszczętnie. Niebo ciemniało, fale były coraz wyższe, a statek zlewały strugi deszczu.

– Teraz widzisz, co to znaczy Larn – mruknął Carver, gdy Tawl schodził na dół.

W kajucie kapitana było ciepło i przyjemnie. Przesiąknięta była wonią wygarbowanej skóry oraz rumu.



– Na Borca! Doszczętnie przemokłeś, chłopcze. Co ci strzeliło do łba? – Kapitan szybko nalał Tawlowi kielich rumu. – Ściągaj płaszcz. Możesz się owinąć tym.

Podał Tawlowi szorstki koc.

– Byłem na pokładzie. Nie zdawałem sobie sprawy, jak długo już tam stoję.

– Pograżyłeś się w myślach, co? Kapitan obrzucił go pytającym spojrzeniem.

– Myślałem o Lamie.

– Nie ty jeden, chłopcze. O tej wyspie trudno jest zapomnieć.

– Byłeś już tam kiedyś? Quain skinął głową.

– Podpłynąłem blisko, jeszcze jako chłopiec. Od tego czasu owo wspomnienie wciąż mnie prześladowuje.

– Czego tam szukałeś?

– Niczego. To był mój pierwszy rejs jako nawigatora. Byłem zielony jak wodorosty. Płynęliśmy do Toolay, ale przez moją nerwowość statek zboczył z kursu. – Kapitan pociągnął potężny łyk rumu. Milczał przez tak długą chwilę, że Tawl zdziwił się, gdy znowu zaczął mówić: – Nie mogę jednak powiedzieć, żebym tego żałował. Po dziś dzień uważam, że to los, nie ja, sterował statkiem w ten zimny, wietrzny poranek.

Quain walnął kielichem w blat, kończąc dyskusję

na ten temat.

– Jutro będziesz na miejscu. Oczywiście, jeśli pogoda się nie zmieni, nie będzie mowy o przybiciu do brzegu. Nikt o zdrowych zmysłach nie spuściłby łodzi na takie morze. Zaczynam podejrzewać, że musiało mi odbić, skoro zgodziłem się tu przyplłynąć, choćby i “Rybacką Szajką”. – Quain uniósł kielich. – Napijmy się, chłopcze. Ten rum rozgrzeje cię lepiej niż ogień.

Tawl wypił trunek i przekonał się, że kapitan miał rację. Ciepło wypełniło go aż po palce nóg.

– Pamiętaj, że gdy już dotrzesz na wyspę, nie będę na ciebie czekał dłużej niż dobę. Te wody są zbyt zdradzieckie. Narazam życie, zarzucając kotwicę. Jeśli do rana pogoda się nie zmieni, żadna kotwica nie pomoże. Ale to nie twój kłopot, chłopcze. Chcę tylko, żebyś mnie dobrze zrozumiał. Jeśli nie wrócisz przed upływem doby, odpływam. A wtedy niech Bóg cię ma w swej opiece, bo możesz być zmuszony spędzić na Larnie wiele miesięcy.

Obrzucił Tawla twardym spojrzeniem.

– Rozumiem cię, kapitanie. Postanowiłem, że popłynę sam. I tak brak ci jednego człowieka. Dam sobie radę z wiosłowaniem.

Quain chrząknął i ponownie napełnił kieliszki rumem.

– Módl się o spokojne wody, chłopcze.

Tavalisk wybrał się na popołudniową przechadzkę po pałacowych ogrodach, które na całym wschodzie słynęły z nadzwyczajnego piękna. Arcybiskupa jednak interesowało raczej to, co jadł, niż zdumiewająca urokliwość otoczenia. Kilka kroków za nim kroczył odziany w liberię sługa niosący tacę pełną smakołyków.

– Chłopcze, uważaj, żeby na kurzych wątróbkach nie siadały muchy.

Tavalisk wezwał służącego, by wybrać następny kąsek. Świeże powietrze dobrze działało na apetyt. Wziął sobie wielką, soczystą wątróbkę i wetknął ją do ust. Była taka, jak się spodziewał – krwista i krucha.

Westchnął ciężko na widok zbliżającego się Gamila.

– Chodź, chłopcze – rozkazał słudze. – Śpieszmy się. Arcybiskup ruszył szybko w przeciwnym kierunku. Faldziste szaty powiewały na wietrze.

– Nie upuść tacy, chłopcze – ostrzegł, gdy skręcili w biegnącą między żywopłotami aleję. Gamil jednak okazał się szybszy od Tavaliska i wreszcie udało mu się dogonić pana i sługę.

– Co tu robisz, Gamilu? Nie zauważyłem cię. A ty go widziałeś, chłopcze? – Arcybiskup popatrzył na

służącego, który posłusznie potrząsnął głową. Tłuścioch wyciągnął rękę i wziął z tacy kolejną wątróbkę. – Aczkolwiek muszę przyznać, że bardzo rzucasz się w oczy w tej nowej szacie. To jedwab, jeśli się nie mylę. Nie wiedziałem, że płacę ci aż tak dobrze.

Twarz Gamila przyoblekł lekki rumieniec.

– To nic nadzwyczajnego, Wasza Eminencjo. Kupiłem ją okazjnie w dzielnicy targowej.

– Nie jestem pewien, czy podoba mi się, gdy moi sekretarze ubierają się lepiej ode mnie. – Arcybiskup nie mógł się powstrzymać przed pewną dozą przesady. W całym Rornie nie sposób było kupić szat wspanialszych od tych, które miał na sobie. – Powiedz mi, co cię tu sprowadza.

Tavalisk wypluł kawałek chrząstki.

– Chodzi o rycerza – odparł Gamil, strząsając rzeczoną chrząstkę z szaty. – Moi szpiedzy...

Tłuścioch przerwał mu natychmiast.

– Twoi szpiedzy, Gamilu? Ty nie masz żadnych szpiegów. To ja mam szpiegów.

Małe oczka Tavaliska dostrzegły wyraz wrogości na twarzy sekretarza. Arcybiskup udął jednak, że tego nie zauważył. Wybrał sobie kolejny smakołyk.

– Twoi szpiedzy potwierdzili nasze podejrzenia, Wasza Eminencjo.

– A mianowicie jakie?

Tavalisk skupił się na podziwianiu późno zakwitającego kwiatu.

– Że to Stary opłacił statek płynący na Larn.

– To w rzeczy samej interesujące. Jak sądzisz, czy Stary wie, że kazałem śledzić rycerza?

Tavalisk zerwał kwiat, powąchał go i odrzucił na bok.

– Nie wątpię w to, Wasza Eminencjo.

– Pomijając jego przyjaźń z Bevlinem, nie zdziwiłbym się, gdyby pomógł rycerzowi tylko po to, żeby zrobić mi na złość, Gamilu. – Arcybiskup rozdeptał kwiat, wgniatając jego delikatne płatki w ziemię. – Wie, że nie darzę rycerstwa miłością. Co prawda, sam nie jest jego wielkim zwolennikiem, ale nie ma nic przeciwko temu, żeby od czasu do czasu ubić interes z Valdis.

Tavalisk ruszył dalej, gestem nakazując słudze podążyć za sobą. Ponieważ nie pozwolił Gamilowi odejść, sekretarz musiał udać się za nimi. Po chwili tłuszcioch zatrzymał się, by wziąć z tacy kolejny smaczny kąsek.

– Swoją drogą, Gamilu, czego się dowiedziałeś o tym zaczerpnięciu mocy sprzed paru dni?

Tavalisk podrzucił wątróbkę w powietrze i złapał ją

zgrabnie zębami.

– Wasza Eminencjo, wygląda na to, że inni również poczuli tę falę mocy. Rozmawiałem z kobietą, która zna się na takich sprawach. Była pewna, że pozostałość nadeszła z pomocnego zachodu.

– W rzeczy samej, z pomocnego zachodu. O ile się nie mylę, w tamtej stronie świata leżą właściwie tylko Cztery Królestwa. Zajmują tę wyjątkowo żyzną okolicę niemal w całości. – Tłuszcioch zaczął rozrzucać wątróbki ptakom. – Ile czasu upłynie, nim zdążysz wypytać moich szpiegów o tę sprawę?

– O ile w Czterech Królestwach wydarzyło się coś godnego uwagi, wkrótce się o tym dowiem, Wasza Eminencjo.

– Jeśli za ten incydent odpowiedzialny był lord Baralis, będę musiał skorygować moją opinię o nim, Gamilu. Zaczerpnięto wówczas potężną moc. Człowieka, który tego dokonał, trzeba obserwować bardzo uważnie. Rzadko się zdarza, by ludzie władający mocą byli pozbawieni ambicji. – Tavalisk doszedł do wniosku, że znacznie zabawniej będzie ciskać wątróbkami w ptaki, zamiast je nimi karmić. – Tym ważniejsze jest dowiedzieć się, kim są jego wrogowie.

– Za kilka dni poznam ich imiona, Wasza

Eminencjo.

– Świetnie. Gamilu, czy mogę, nim odejdiesz, udzielić ci pewnej rady?

– Oczywiście, Wasza Eminencjo.

– Bardzo źle wyglądasz w czerwieni. Ten kolor nieprzyjemnie podkreśla dzioby po ospie na twych policzkach. Na twoim miejscu następnym razem wdziałbym zieloną szatę.

Tavalisk uśmiechnął się słodko i ruszył w stronę pałacu.

Lord Maybor czuł się już znacznie lepiej. Charczał jeszcze i paliło go w gardle, gdy jednak znachorka królowej natarła mu skórę ciepłymi olejkami, poczuł, że wraca do zdrowia. Kobieta nie była zbyt urodziwa i miała już najlepsze lata za sobą, ale kiedy zaczęła masować jego ciało zręcznymi dłońmi, zaczęła mu się wydawać nader atrakcyjna.

Wcierając zdecydowanymi ruchami wonne olejki, zauważyła jego reakcję i uśmiechnęła się miło, odsłaniając małe, białe zęby.

– Widzę, że już wkrótce wstaniesz z łoża, lordzie Mayborze – powiedziała cicho. Nachyliła się nad nim, ocierając piersią jego twarz. Nie mógł się oprzeć pokusie i ścisnął lekko jej biust. Znachorka nie przestawała się uśmiechać. Jej zręczne dłonie

powędrowały niżej. Maybor stał się śmielszy. Ścisnął pierś mocniej.

Kobieta parsknęła przyjemnym, radosnym śmiechem.

– Lordzie Mayborze, nie sędzę, byś był już gotowy na figle. Może za kilka dni. – Słowa znachorki przygnębiły wielmożę. Wydawała mu się w tej chwili bardzo atrakcyjna. – Ale to dobry znak. Gdy mężczyzna zaczyna czuć pożądanie, wkrótce odzyska i zdrowie. – Wyprostowała się i wygładziła suknię. – Muszę już iść. Nie zapomnij wypić miodowego balsamu, panie.

Poklepała go lekko po ramieniu i wyszła z komnaty.

Starsze kobiety mają wiele zalet, pomyślał z żalem Maybor.

Po odejściu znachorki wezwał swego sługę Crandle'a, i kazał podać sobie zwierciadło. Zawsze był bardzo dumny ze swego wyglądu. Uważał się za przystojnego, grubokościstego mężczyznę. Najbardziej bał się tego, że po straszliwych owrzodzeniach, które pokryły jego twarz, pozostaną blizny. Uważnie przyjrzał się swemu odbiciu. Wyglądało na to, że czerwone plamy wyblakły nieco. Jego twarz wyglądała ohydnie. Wrzody utworzyły się przede wszystkim



wokół nosa i ust. Niektóre z nich zaczynały się już goić, z innych jednak nadal sączyła się wydzielina. Znachorka dała mu trochę ziołowej nalewki, która złagodziła nieco jego cierpienia.

Wciąż był zajęty kontemplacją własnego oblicza, gdy Crandle wpadł do komnaty, by ogłosić przybycie królowej. Arinalda weszła do środka w ślad za nim. Jej piękna twarz była blada i nieprzenikniona.

– Nie, lordzie Mayborze, nie próbuj wstawać.

Zwróciła się w stronę Crandle'a i nakazała mu odejść. Sługa wymknął się cicho.

– To dla mnie wielki zaszczyt, Wasza Wysokość.

Maybor z wielkim trudem zapanował nad głosem i oddechem. Nie chciał ukazywać królowej pełni swej choroby.

– Postanowiłam cię dziś odwiedzić, ponieważ przed chwilą rozmawiałam ze znachorką i dowiedziałam się, że twój stan znacznie się poprawił.

– Wasza Wysokość okazała wielką łaskawość, pozwalając mi skorzystać z jej usług.

Wielmożę dopadł atak kaszlu. Zakrył usta chustką. Nie chciał, by królowa zobaczyła, że pluje krwią. Arinalda zaczekała, aż atak minie.

– Moja znachorka jest lepsza od wszystkich lekarzy  
– powiedziała po chwili. – Cieszę się, że jej metody

okazały się skuteczne. Wyglądasz znacznie lepiej niż poprzednim razem. Bardzo mnie to raduje.

Cofnęła się od łoża Maybora i zaczęła chodzić w kółko po komnacie, z wyprostowanymi plecami i uniesioną głową.

– Lordzie Mayborze muszę ci zadać nieprzyjemne pytanie. Żądam jasnej odpowiedzi.

Wielmożę ogarnął lekki niepokój.

– O co chcesz spytać, Wasza Wysokość?

– Chcę poznać prawdę o twej córce, Melliandrze. Mych uszu doszły pogłoski, jakoby uciekła. – Królowa odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. – Czy to prawda?

Maybor natychmiast zdał sobie sprawę, że jeśli skłamię i powie, że jego córka przebywa w zamku, królowa zażąda dowodu. Był zmuszony wyznać prawdę. Skupił myśli, przewyciężając słabość wywołaną przez chorobę. Królowa darzyła go sympatią i najlepszą obroną będzie odwołanie się do tego uczucia.

– Niestety tak, Wasza Wysokość. Moja córka w rzeczy samej uciekła. Nie ma jej w zamku już od siedemnastu dni.

– Czy zbiegła z kochankiem?

Głos Arinaldy brzmiał twardo i nieustępliwie.

– Nie, Wasza Wysokość. Nigdy nie miała kochanka. Melliandra jest dziewczcą.

– W takim razie dlaczego to zrobiła? Czy nie chciała zaręczyn z księciem Kylockiem?

Maybor zastanawiał się gorączkowo, ciesząc się, że choroba nie pozbawiła go jasności umysłu.

– Nie, Wasza Wysokość. To nie ma nic wspólnego z księciem Kylockiem. W chwili ucieczki nic nie wiedziała o planowanym małżeństwie... uznałem, że lepiej będzie nie wspominać o zaręczynach, dopóki nie zapadnie ostateczna decyzja.

– W takim razie co pchnęło twą córkę do ucieczki, lordzie Mayborze?

Na twarzy królowej malował się wyraz niedowierzania.

– Niestety to ja jestem winien, Wasza Wysokość. – Maybor zwiesił nisko głowę i zakasłał żałośnie, starając się usilnie skłonić do płaczu. – Nie traktowałem jej jak należy. – Pierwsza łza zalśniła wreszcie. – Byłem złym ojcem. Melliandra chciała ode mnie tylko miłości i uwagi. Jest piękną i słodką dziewczyną.

Łza spłynęła majestatycznie po policzku Maybora. Wielmoża skrzywił się z bólu, gdy słona ciecz zetknęła się z otwartym wrzodem. Gest ów z łatwością można

było wziąć za przejaw wyrzutów sumienia.

– Przychodziła do mnie często, chcąc zwrócić na siebie moją uwagę, zagrać na flecie melodię, której właśnie się nauczyła, czy pokazać, jak pięknie wygląda w najnowszej sukni, a ja zawsze ją odsyłałem. Dostrzegałem jedynie synów. Ze wstydem wyznaję, że paskudnie ją zaniedbywałem.

Maybor zaczynał się rozgrzewać. W oku wezbrała mu druga łza.

– To ja skłoniłem ją do ucieczki. Domagała się jedynie ojcowskiej miłości. Skrzywdziłem swą córkę, Wasza Wysokość. W zasadzie sam ją wygnałem z zamku. Uciekła tylko po to, by zwrócić na siebie moją uwagę. Wyrzekłbym się wszystkich mych posiadłości, gdybym tylko mógł jej powiedzieć, że ją kocham. Oddałbym życie, żeby sprowadzić ją bezpiecznie do zamku.

Bez błędnie wybierając odpowiedni moment, druga łza spłynęła po nosie Maybora.

Królowa podeszła do łoża i położyła chłodną dłoń na ramieniu wielmoży. Wyglądała na głęboko wzruszoną.

– Lordzie Mayborze, wstyd mi, że w ciebie zwątpiłam. Wspólnie odnajdziemy twą nieszczęsną córkę. Wyślę na jej poszukiwania Królewską Straż.

Nie spocznę, dopóki Melliandra nie wróci do ciebie bezpiecznie. Nie obawiaj się. Zareczyny odbędą się zgodnie z planem, gdy tylko ją odzujemy.

Królowa pochyliła się, ucałowała lekko czoło Maybora i wyszła z komnaty.

Wielmoża opadł na poduszki i uśmiechnął się szeroko, nie zważając na bolesne owrzodzenia. Mimo wszystko zostanie ojcem królowej.

Jack przyglądał się, jak Traff kładzie Melli na zimnej ziemi. Bardzo żałował, że nie jest w stanie jej pomóc. Widział, że dziewczyna jest w okropnym stanie: dręczyła ją gorączka, a jej twarz pokrywała warstewka potu. Najgorzej wyglądały plecy, na których widniało sześć głębokich pręg. Dwie z nich były pokryte strupami i paskudnie obrzękłe, co stanowiło niezawodną oznakę zakażenia.

Najemnicy nie zrobili nic, by jej pomóc. Dali jej tylko koc, którym owinęła ledwie okryte pod rozdartą suknią ciało. Najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, jak poważny jest jej stan. Jack pragnął jedynie być blisko niej. Nie mógł znieść ludzkiego cierpienia, a widok pogrążającej się szybko w gorączce Melli przekraczał niemal jego wytrzymałość. Wczoraj, gdy najemnicy zwalili ją na ziemię, nierozważnie uderzając jej barkiem o twardy kamień, poczuł, że coś w nim

narasta. Gniew wywołany tym, jak ją traktowali, przerodził się w wyczuwalne w głowie napięcie. To samo uczucie nawiedziło go przed dwoma dniami. Starał się uchwycić, wiedząc, że stanowi drogę do mocy. Było tak bliskie, że czuł, jak pali mu gardło, tak potężne, że omal się w nim nie zatracił.

To Traff przez przypadek przywołał go do rzeczywistości. Podeszedł do niego, trzymając w dłoni kubek wody.

– Chłopcze, zajmij się nią.

To był koniec. Moc zniknęła jeszcze szybciej, niż się pojawiła, zostawiając Jacka z przyprawiającym o mdłości bólem głowy oraz dotykalnym poczuciem utraty.

Od tej chwili nie miał zbyt wiele czasu na zastanawianie się nad znaczeniem tego, co się wydarzyło. Myślał o Melli, nie o sobie. Zapewne było to najlepsze wyjście, gdyż Grift wiele razy ostrzegał go, że myślenie powoduje kłopoty. Nie potrzebował więcej kłopotów. Wystarczali mu zbrojni ludzie, wlokący go siłą do zamku Harvell.

Jechali na zachód już od trzech dni i Jack spodziewał się, że powinni jutro dotrzeć na miejsce. Oczekiwał tej chwili niemal z niecierpliwością, gdyż Melli będzie mogła wtedy otrzymać należną jej opiekę.

Było oczywiste, że rany trzeba oczyścić i opatrzyć.

Była słaba i oszołomiona. Wydawało się, że nie ma wiele sił. Jechała na koniu Traffa, wsparta ciężko na jego plecach. Zmuszało ich to do zwolnienia tempa, jako że wierzchowiec herszta był poważnie przeciążony. Jackowi udało się w pewnej chwili popatrzeć dziewczynie w oczy. Wydawało się, że go rozpoznała, lecz mogła co najwyżej odwzajemnić jego spojrzenie.

Zatrzymali się, by zjeść posiłek i pozwolić koniom na odpoczynek. Traff, najwyraźniej nie zdający sobie sprawy z pogarszającego się stanu dziewczyny, zostawił ją opartą o drzewo i poszedł do swoich ludzi. Jacka zdjęto z konia. Dostał też kubek wody i trochę sucharów. Na jego oczach Melli otrzymała taki sam poczęstunek. Niemal go nie zauważyła. Nawet nie spróbowała się napić. Jack bardzo się o nią martwił. Zlewał ją pot i trawiła gorączka. Potrzebowała wody. Miał kończyny spętane w nadgarstkach i kostkach, nie mógł więc do niej podejść.

– Pomóżcie jej! – krzyknął do najemników. – Nie widzicie, że ma gorączkę? Nie może nawet wypić wody.

Rozejrzeli się wokół, zdumieni jego wybuchem. Jeden z nich, noszący imię Wesk, podszedł do

chłopaka i kopnął go mocno w nogi.

– Hej, chłopcze, nie mów nam, jak mamy wykonywać swoją robotę. Dziewczyna nie umrze, nim dojedziemy do Harvelli. Nie obchodzi nas, co stanie się potem.

Pozostali najemnicy przywitali jego słowa chrząknięciami aprobaty, Traff jednak przyjrzał się Melli.

– Przetnij chłopakowi więzy, Wesk! – zawołał. – Pozwól, żeby się nią zajął. Osobiście wolałbym, żeby lord Baralis nie obciążył mnie odpowiedzialnością za jej śmierć. – Jack zauważył zdradziecki błysk w oczach Weska. – No jazda! – krzyknął Traff. Najemnik z niechęcią przeciął więzy.

Chłopak nie marnował czasu na napawanie się wolnością. Pokuśtykał do związanej Melli, przytknął kubek do jej ust i zmusił ją do picia. Gdy uznał, że już się nasyciła, oderwał kawałek tkaniny z podszewki płaszcza i zmoczył go resztką wody, po czym bardzo delikatnie przetarł pręgi na plecach dziewczyny, zmywając krew i brud. Z narastającym niepokojem zauważył, że skóra pod jedną z nich jest miękka i obrzękła. Wdało się paskudne zakażenie. Trzeba było odprowadzić ropę.

– Potrzebuję czystego noża – krzyknął do



najemników. Traff podszedł niespiesznie do niego, zatrzymując się, by wypluć kawałek żujki.

– A po co ci nóż, chłopcze?

Jacka poirytowało niedbałe zachowanie najemnika. Zapanował z wysiłkiem nad sobą.

– W ranę na jej plecach wdało się zapalenie. Zbiera się tam ropa, którą trzeba odprowadzić i to natychmiast.

Obrzucił najemnika twardym spojrzeniem. W tej sprawie nie zamierzał ustąpić.

Dostrzegł w twarzy Traffa coś zbliżonego do szacunku. Herszt wręczył mu swój nóż.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedział. Stał nad nim, gotowy przyglądać się operacji.

Napięcie, z którego Jack nie zdawał sobie sprawy, ujawniło dopiero swą obecność, gdy zniknęło. Kręciło mu się w głowie jak od trunku, a mięśnie jego brzucha napięły się niczym cięciwa łuku. Nawiedziła go moc, a on niemal nie zauważył jej przyływu. Mało brakowało, by stracił nad nią panowanie.

Musiał podjąć świadomy wysiłek, by skupić się na terażniejszości. W tej chwili liczyła się tylko Melli. Poczul ulgę, uwalniając się od myśli o tym, co mogłoby się stać, gdyby Traff nie spełnił jego prośby. Oczyszczył nóż trzęsącymi się rękami.

Dzięki gwałtownemu charakterowi Frallita i jego przykrym skutkom miał pewne doświadczenie w opatrywaniu ran. Pochylił się nad dziewczyną i wypowiedział cicho jej imię. Nie zareagowała.

– Postaram się nie zrobić ci krzywdy – obiecał, czując coraz silniejszy niepokój. Pomacał jej plecy, odnajdując miejsce, w którym obrzęk był największy. Delikatnie przeciął opuchnięte ciało. Na zewnątrz wypłynęła zielonkawożółta ciecz. Nozdrza Jacka zaatakował zapach zgnilizny. Nacisnął lekko skórę, wyciskając z rany resztę ropy. Gdy już się upewnił, że nic nie zostało, zażądał więcej wody, którą szybko mu podano. Oczyszczył ranę, a potem ją osuszył. Zakończył robotę, odrywając miękką tkaninę podszewki płaszcza. Darł ją na długie pasy, by zrobić z nich prowizoryczny bandaż, którym owiązał plecy i klatkę piersiową Melli.

Resztką wody ochłodził jej czoło. Gdy podniósł wzrok, przekonał się, że obserwują go wszyscy najemnicy. Oddał nóż Traffowi.

– Sądzę, że powinniście jej pozwolić na chwilę odpoczynku, żeby mogły się utworzyć strupy. Jeśli będzie jechała konno, krwawienie nie ustanie tak szybko.

Mężczyźni spojrzeli pytająco na Traffa.

– Zgoda – rzucił szorstko. – Rozbijemy tu obóz.

Dziś dalej nie pojedziemy.

Jacka ogarnęła ulga. Otulił Melli kocem. Nie wystarczyło to, by uchronić ją przed zimnem, zdjął więc płaszcz i okrył nim dziewczynę. Z zadowoleniem zauważył, że zasnęła. Przede wszystkim potrzebowała odpoczynku. Popatrzył na jej bladą, wynędzniałą twarz, która lśniła od potu. Wiedział, że gorączka musi jeszcze wzrosnąć, nim wreszcie zacznie opadać.

Odgarnął z czoła Melli kosmyk włosów i usiadł obok niej. Noc była już blisko. Zamknął oczy. Miał nadzieję, że zaśnie, lecz sen nie chciał przyjść. Jack miotał się i przewracał z boku na bok, gdy księżyc zataczał powolny łuk na niebie. Nie potrafił *odnaleźć* spokoju. Dręczyły go wizje nie zrealizowanych możliwości. Nie dalej jak przed kilkoma godzinami znalazł się na granicy nie kontrolowanej eksplozji. W jego wnętrzu krył się wielki potencjał zniszczenia. Wiedział o tym, tak jak wiedział, że do chleba trzeba dodawać soli. Moc karmiła się jego gniewem. Kiedy wydawało mu się, że Traff go nie posłucha, omal go nie pochłonęła. Któż potrafiłby odgadnąć, co mogłoby się wówczas zdarzyć? Był nieprzewidywalny, jak zwinięta sprężyna. Może skrzywdziłby Melli. Choć najemnicy nie byli jego przyjaciółmi, nie chciał mieć na sumieniu ich śmierci. Był piekarczykiem, nie

mordercą.

Odwrócił się na plecy, by napotkać zimne spojrzenie księżycy.

Mógł nie być zły, był jednak niebezpieczny, a wyglądało na to, że między jednym a drugim nie ma zbyt dużej różnicy.

## 14

Tawl wpatrzył się w dal. Mgła rozstąpiła się i po raz pierwszy udało mu się dostrzec Larn. Nie zobaczył wiele – tylko szare skalne urwiska. W górze szybowwały mewy. Śmiertelną ciszę mąciły jedynie ich natrętne krzyki.

Nad morzem, które wczoraj ogarnął tak wielki szal, zapadła cisza. Był wczesny ranek i nad wyspą wstało blade słońce, którego promienie osłabiała nisko wisząca, kłębiąca się mgła. Morze przypominało płynny metal. Ospale, ciężkie fale miały barwę srebra. Tawla ogarnął głęboki lęk.

Marynarze spuszczaali już za burtę małą łódź wiosłową. Wkrótce miał ruszyć w drogę. Podszedł do niego kapitan Quain. Obaj stali przez chwilę w milczeniu, wpatrując się w mgłę.

Gdy kapitan wreszcie się odezwał, wydawało się, że jego ciepły, niski głos rozproszył hipnotyzujący czar rzucany przez wyspę.

– Kiedy już zbliżysz się do brzegu, powiosłuj na

północ, żeby okrążyć urwiska. Jest tam kamienista plaża, na której będziesz mógł wylądować.

– Nigdy nie widziałem tak spokojnego morza – odezwał się Tawl.

– To prawda. Ciarki przebiegają mi od tego po grzbiecie. Mogłoby się wydawać, że wiedzą, iż się zbliżasz. – Quain wypowiedział na głos to, o czym myślał Tawl. – Powinienem się cieszyć ze spokojnej pogody. Dzięki niej mój statek na pewno nie osiadzie na mieliźnie. – Kapitan potrząsnął głową. Mówił cichym głosem, jak gdyby bał się, że ktoś go podsłucha. – Wiem jednak, że coś tu nie gra. Wczoraj mieliśmy straszliwy sztorm, a dziś morze jest gładkie jak brzuch dziewicy. Uważaj na siebie, chłopcze. Niech Borec użyczy szybkości twej podróży.

Kapitan oddalił się, zostawiając Tawla samego. Po chwili zawołał go Carver. Rudzielec otoczył jego barki ramieniem.

– Łódź już gotowa, chłopcze. Znajdziesz na niej zapas żywności i butelkę rumu od naszego czcigodnego kapitana. – Carver zawahał się, spoglądając na majaczący w oddali brzeg Larnu. – Jak rozumiem, chłopcze, mam ci za co dziękować.

– Nie rozumiem, co masz na myśli. Tawl był szczerze zdziwiony.

– To ja miałem z tobą popłynąć. Kapitan mówi, że uznałeś, iż nie potrzebujesz towarzystwa. Nie bałem się oczywiście, ale mam nadwreżony łokieć i kilka godzin wiosłowania fatalnie wpłynęłoby na jego kondycję.

– Cieszę się, że nie przysporzyłem ci dalszych dolegliwości, Carver – odparł Tawl poważnym głosem, w którym daremnie byłoby szukać śladu drwiny.

– Pomyślałem sobie, że warto, żebyś o tym wiedział – odparł opryskliwym tonem marynarz, po czym oddalił się.

Mgła rozstąpiła się na chwilę i rycerz ujrzał wyspę wyraźnie. Było to niemal zaproszenie. Odetchnął głęboko. Potarł brodę dłonią. Nadszedł już czas, by ruszać w drogę.

Zszedł do łódki po sznurowej drabince. Gdy już przestała się kołysać, podniósł wzrok ku pokładowi “Rybackiej Szajki”, gdzie ustawiała się w szeregu cała załoga, łącznie z kapitanem Quainem. Patrzyli w milczeniu, z poważnym wyrazem twarzy, jak Tawl ujmuje w ręce wiosła.

Zaczął nimi poruszać. Dotyk gładkiego drewna sprawiał mu przyjemność. Wkrótce oddalił się od statku i pogrążył we mgle. Na chwilę przed tym, nim stracił z oczu “Rybacką Szajkę”, usłyszał donośny głos

kapitana.

– Tylko jeden dzień, chłopcze. Do jutra musisz wrócić. Rycerza zdziwiło, jak bardzo wzmocnił się w ciągu tych kilku tygodni, które upłynęły od chwili uwolnienia go z rornijskich lochów. Wiosłował mocnymi, płynnymi ruchami. Wkrótce złapał rytm. Dobrze było wreszcie zająć się fizyczną pracą. Mięśnie i ścięgna rysowały się ostro na jego ramionach. Podwinął rękawy po raz pierwszy od chwili wypłynięcia w rejs. Zgodnie z radą Starego, ukrywał swą tożsamość.

Morze było spokojne i posuwał się naprzód w szybkim tempie. Nawet prąd mu sprzyjał. Wkrótce w pobliżu zamajaczyły larnijskie urwiska. Po chwili zmienił kurs na północ, w myśl sugestii kapitana.

Mgła uniosła się i promienie słońca raz jeszcze miały okazję musnąć morskie fale. Tawł obejrzał się za siebie. Choć przed nim mgła rzedła, z tyłu wciąż była gęsta. Kłębiła się i wirowała, ukrywając “Rybacką Szajkę”.

Wiosłując przez jakiś czas, stwierdził, że urwiska stopniowo stają się coraz niższe. Zagłębił się w przesmyk między skałami i wreszcie dostrzegł plażę, o której wspominał Quain. Nie przestawał wiosłować. Ręce miał coraz bardziej zmęczone. Cieszył się z



przyływu, który niósł łódź w stronę brzegu. Zbliżając się do kamienistego wybrzeża, dostrzegł samotną postać, czarną na tle szarych skał i nieba. Wiedział, że ów człowiek czeka na niego.

Po kilku minutach jego łódka przybiła do brzegów Larnu. Postać w ciemnym płaszczu nie wyszła mu na spotkanie. Tawl wciągnął łódź na plażę, przywiązał cumę do solidnej wyniosłości skalnej i ruszył po usianym kamykami brzegu w stronę nieznanego.

– Witaj, przyjacielu – powiedział.

Mężczyzna, którego twarz skrywał cień kaptura, nie odezwał się ani słowem. Skinął leciutko dłonią, nakazując rycerzowi podążać za sobą. Tawl ruszył za nim wzdłuż plaży i wszedł na dobrze zamaskowaną ścieżkę przebiegającą między potężnymi granitowymi płytami. Część jej wykuto w skale. Tawl dostrzegał wiele nieregularnych warstw kamienia.

Ścieżka wspinała się coraz bardziej stromo. Wiła się w górę urwiska. Teraz cała już była wykuta w skale. Wreszcie przeszła w tunel. Rycerz pogrążył się w mroku. Jego przewodnikowi ciemność najwyraźniej nie przeszkadzała. Zmierzał prosto przed siebie. Od czasu do czasu przez szczeliny w skałach przenikało światło, dzięki czemu Tawl mógł dotrzymać mu kroku. Ścieżka skończyła się nagle i wyszli w jasny blask

słońca.

Uniósł rękę, by osłonić oczy, i rozejrzał się wokół. Znajdowali się na szczycie urwiska. Widok na morze zapierał dech w piersiach. Rycerz był pewien, że niewyraźny cień mający na horyzoncie jest “Rybacką Szajką”. Odwrócił wzrok w stronę lądu. Wznosiła się tam potężna kamienna świątynia, surowa i prymitywna, niska, przygniatająca i niewyobrażalnie stara. Zbudowano ją z olbrzymich płyt granitu. Ich krawędzie w ciągu stuleci wygładziła erozja, a odchody niezliczonych pokoleń ptaków upstrzyły je bielą.

Mężczyzna w płaszczu skinął na Tawla, który podążył za nim w mrok świątyni.

Pierwsze, co go uderzyło, to było przenikliwe zimno. Na zewnątrz pogoda była ładna, lecz gdy wszedł do środka, temperatura powietrza spadła nagle. Wnętrze w niczym nie przypominało krzykliwych, pełnych zbytkownych kosztowności świątyń, jakie odwiedzał w Rornie czy Marlsie. Ściany były nagie i pozbawione ozdób. Tawl musiał przyznać, że goły kamień ma w sobie pewne surowe piękno. Przeszli przez kilka mrocznych, nisko sklepionych pomieszczeń. Na “Rybackiej Szajce” niskie stropy nie przeszkadzały Tawlowi, tu jednak tworzyły je potężne

granitowe płyty wywierające przytłaczające wrażenie.

Zaprowadzono go do małej izby, w której nie było nic poza kamienną ławą. Przewodnik skinął na niego bez słowa, nakazując mu usiąść, po czym oddalił się, zostawiając Tawla samego.

Tavalisk przypiekał krewetki. U jego boku stała wielka misa pełna morskiej wody, w której pływało wiele żywych skorupiaków. Złapał wielką, ruchliwą sztukę w srebrne szczypczyki, po czym nadział ją na wykonany z tego samego metalu szpikulec. Jego specjalnie zaostrzony czubek z łatwością przebił skorupkę. Arcybiskup z zadowoleniem zauważył, że wbicie na pal nie uśmierciło stworzenia, które nie przestawało się wić. Przysunął nieszczęsne stworzonko do gorącego płomienia. Pancerzyk pękł z przyjemnym trzaskiem pod wpływem żaru i poczerniał szybko. Po chwili krewetka znieruchomiała. Tavalisk zaczął, aż trochę ostygnie, nim ściągnął skorupkę i zjadł ukryte pod nią delikatne mięso.

Usłyszał znany odgłos pukania do drzwi, który zawsze zwykł rozbrzmiewać w chwili, gdy chciał się nacieszyć drobną przekąską.

– Proszę, Gamilu – wydyszał znudzony. Jego sekretarz wszedł do środka. Uwagi arcybiskupa nie umknął fakt, że sługa ma na sobie starą szatę, której

kolor był bezsprzecznie zielony.

– Gamilu, musisz mi wybaczyć.

– Nie rozumiem, Wasza Eminencjo. Co mam do wybaczenia?

– Udzieliłem ci złej rady. – Tavalisk przerwał, napawając się wyrazem zdziwienia na twarzy sługi. – Nie pamiętasz, Gamilu? Podczas naszego ostatniego spotkania powiedziałem, że w zielonej szacie będzie ci bardziej do twarzy. Dopiero teraz przekonałem się, że nie miałem racji. Wydaje się, że zieleń jest dla ciebie jeszcze gorsza od czerwieni. Wyglądasz, jakbyś cierpiał na ostrą żółtaczkę. – Tavalisk zwrócił się ku misie z krewetkami, chcąc ukryć satysfakcję. – Być może w przyszłości powinieneś się wystrzegać wszystkich jaskrawych kolorów. Popróbuj brązu. Nie poprawi to twego wyglądu, ale przynajmniej nie będziesz przyciągał uwagi. Arcybiskup zaczął wybierać następną ofiarę.

– Cóż masz mi dziś do powiedzenia, Gamilu?

Zdecydował się na małego, lecz pełnego życia skorupiaka. Nadziewanie na szpikulec ruchliwej sztuki było znacznie zabawniejsze. Wiele krewetek sprawiało wrażenie pogrążonych w letargu.

– Otrzymałem od naszego szpiega wiadomość na temat wrogów lorda Baralisa.

– Mów dalej.

Tavalisk przebił ofiarę szpikulcem.

– Wygląda na to, że Wasza Eminencja miał rację, twierdząc, iż z pewnością ma on wielu nieprzyjaciół. Najpotężniejszy i najbardziej wpływowy z nich ma na imię Maybor. Posiada on wielkie majątki ziemskie i ma silną pozycję na dworze.

– Hmm, lord Maybor. Nie słyszałem o nim. Gamilu, chcę, żebyś nawiązał z nim kontakt. Zachowaj ostrożność. Dowiedz się, czy byłby zainteresowany... pokazaniem naszemu przyjacielowi, lordowi Baralisowi, gdzie jest jego miejsce.

Tavalisk wetknął krewetkę do ognia.

– Powierzę list szybkiemu kurierowi, Wasza Eminencjo.

– Nie, zostaw to mnie, Gamilu. Wykorzystam do tego celu jedno ze swych stworzeń.

W takiej właśnie chwili warto było zrobić użytek z wyczerpującej siły sztuki czarów. Musiał się dowiedzieć, co się dzieje w Czterech Królestwach. Poczynania Baralisa niepokoiły go coraz bardziej. Intrygi tego człowieka posuwały się zbyt daleko. Wdał się w niebezpieczne konszachty z diukiem Brenu, którego żądza podbojów i niedawno zawarty sojusz z rycerzami budziły lęk wielu ludzi. Spiski Baralisa

dodawały kwasu do i tak już gorzkiej mieszaniny.

Arcybiskup wyciągnął szpikulec z ognia.

– Sformułuj list dyskretnie, Gamilu. Nie wymieniaj mojego imienia. Podobne pisma lubią wpadać w niepowołane ręce. Nim zaryzykuję swą reputację, chcę się przekonać, czy lord Maybor połknął przynętę.

Tavalisk zrzucił gorącą krewetkę na podłogę. Złapał ją piesek, który poparzył sobie pysk i ze skowytaniem wypuścił skorupiaka. Arcybiskup uśmiechnął się. Widok cierpienia nieodmiennie wprawiał go w zachwyty.

– Jeśli nie masz już dalszych poleceń, Wasza Eminencjo, pójdę już, by szybko napisać list.

– Jeszcze jedna sprawa. Czy byłbyś tak uprzejmy i natarł olejem pyszczek Comiego? Biedaczyna paskudnie się poparzył. Na twoim miejscu uważałbym na palce, Gamilu – dodał, spoglądając na pochylającego się sługę. – Comi ma zębki ostre jak sztylety.

Tavalisk uśmiechnął się słodko, zegnając skinieniem dłoni sługę i zwierzę.

Tawl zaczynał powoli tracić cierpliwość. Czekał już od pewnego czasu i nikt się nie zjawiał. Odnosił wrażenie, że celowo go tak traktują, chcąc wzbudzić w nim niepokój. Spostrzegł, że wciąż ma podwinięte

rękawy i jego kręgi są widoczne. Szybko ukrył je pod tkaniną. Wolał, żeby ludzie z Larnu wiedzieli o nim jak najmniej.

Upłynęła jeszcze długa chwila, nim wreszcie ktoś się zjawił. Był to starszy mężczyzna, rzucający przed siebie cień. Podobnie jak przewodnik, miał twarz skrytą pod kapturem. Poprowadził Tawla kamiennym korytarzem do wielkiej, słabo oświetlonej komnaty.

Większą część pomieszczenia zajmował olbrzymi niski stół, wykuty w jednej płycie granitu. Wokół czworokątnego blatu siedziało czterech mężczyzn, każdy po jednej stronie. Rycerz z ulgą zauważył, że ich twarze są odsłonięte. Trzech z nich było starych i posiwiiałych, czwarty zaś znacznie młodszy, o ostrych, lecz przystojnych rysach. Człowiek, który przyprowadził Tawla, oddalił się bez słowa.

Czterej nieznajomi przyglądali się przybyszowi przez pewien czas, nim wreszcie najstarszy z nich się odezwał.

– Co cię sprowadza na Larn?

Rycerza zdumiało tak bezpośrednie pytanie. Czwórka gospodarzy czekała beznamiętnie na jego odpowiedź.

– Przybyłem tu, ponieważ mi to doradzono.

W jego cichym głosie dało się słyszeć bezradność.

Tłumiła go wielka masa kamienia.

– To nie jest odpowiedź – odezwał się najmłodszy z czterech. Tawłowi nie spodobał się jego napastliwy ton.

– Przybyłem, ponieważ muszę odnaleźć chłopca. Czterej mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Jakiego chłopca?

Ton głosu najmłodszego z nieznanym sugerował, że przywykł on do tego, iż jego pytania spotykają się z natychmiastową odpowiedzią. Tawł postanowił rzucić mu wyzwanie. Odczekał dość długą chwilę.

– Nie wiem tego. Poznam go, gdy go zobaczę.

– Masz nadzieję, że nasi jasnowidze wskażą ci drogę?

W cichym głosie starszego mężczyzny brzmiał łagodny wyrzut pod adresem młodszego.

– Mam taką nadzieję. Starszy skinął głową.

– Czy jesteś skłonny zapłacić cenę?

– Jaką cenę? – Tawł zaczął się niepokoić. – Wymień ją.

– To nie takie proste. Cenę można ustalić dopiero po dokonaniu proroctwa.

– A jeśli proroctwo się nie uda? – zapytał Tawł,



wyczuwając zastawioną na niego pułapkę.

– To nas nie obchodzi. I tak będziesz musiał zapłacić. Musisz podjąć to ryzyko – kontynuował najmłodszy z czwórki. – Jeśli nie jesteś na to gotów, odejść.

Obrzucił Tawła prowokującym spojrzeniem. Rycerz nawet nie drgnął, gdy wszyscy czterej przyglądali mu się badawczo.

– Jestem skłonny zapłacić cenę. Stary raz jeszcze skinął głową.

– Zgoda. Najmłodszy wstał z miejsca.

– Chodź za mną.

Wyszli z pomieszczenia i ruszyli ciągiem korytarzy. Rycerz miał wrażenie, że schodzą w dół. Ściany stały się wilgotne, co potwierdziło jego podejrzenia, że sprowadzono go pod ziemię.

Jego uszu zaczął dobiegać jakiś dźwięk. Z początku nie potrafił go rozpoznać. Pomyślał, że to nietoperze albo inne dzikie zwierzęta. Był coraz bardziej niespokojny. Kiedy jednak zbliżyli się do źródła odgłosów, zdał sobie z przerażeniem sprawę, że to ludzkie krzyki. Gdy słuchał rozpaczliwego zawodzenia, ogarnął go chłód. Wyszli z za węgła i nagle znaleźli się w ogromnej, naturalnej jaskini.

Tawł niemal nie zauważył wspaniałej, wyniosłej

skały i olbrzymiej kopuły lśniącej kryształowymi spoinami. To, co zobaczył w grocie, wprawiło go w osłupienie. Stały tam szeregi masywnych granitowych bloków. Do każdego z nich przywiązano człowieka.

Przeraził go ich wygląd. Ciała mieli chude i wynędzniałe, a włosy długie i rozczochrane. Najgorsze jednak były kończyny. Mięśnie uległy zanikowi, zostawiając jedynie kości pokryte cienką warstwą skóry. Grube, szorstkie powrozy unieruchamiały ich całkowicie. Rycerz zastanawiał się, dlaczego wciąż są związani. Nie ulegało wątpliwości, że nigdy już nie będą chodzić.

Dźwięki wydawane przez jasnowidzów przeszyły go dreszczem do szpiku kości, w jeszcze większym stopniu niż ich widok. Straszliwe, udręczone wycie i gorączkowe krzyki. Każdy ton świadczył o cierpieniach, jakich doświadczają ich dusze. Życie jasnowidzów z Larnu było piekłem na ziemi. Tawł zadrzał. Celowo doprowadzano ich do obłędu.

Nie potrafił znieść widoku podobnych męczarni. Odwrócił głowę, wskutek czego spojrział w oczy najmłodszego z czwórki.

– Jasnowidze spełniają Bożą wolę – powiedział ten, widząc konsternację rycerza. Jego głos był pozbawiony wszelkich emocji. – Płacą za to wysoką cenę. Nikt, kto

ujrzy twarz Boga, nie może pozostać nie zmieniony.

– Myślałem, że Bóg jest dobry.

Tawlowi trudno było skupić myśli, gdy uszy wypełniały mu udręczone krzyki obłąkańców.

– To błąd. Dobro ani zło Go nie obchodzą. Bóg istnieje. To wszystko.

– Wasz Bóg nie jest moim Bogiem – odparł cicho Tawl.

– Wszyscy są tutaj jednym.

– Nie zadam pytania. Nie chcę przykładać ręki do tak niehumanitarnego okrucieństwa.

– Wiedziałeś, czym jest Lara, nim tu przybyłeś.

W głosie mężczyzny zabrzmiała ledwie wykrywalna nuta złości.

– Tak, opowiadano mi o tym, ale nie zdawałem sobie sprawy, że to będzie tak wyglądało.

Wskazał ręką szeregi przywiązanych na całe życie do głązów ludzi.

– Nie możesz się już wycofać. Zgodziłeś się zapłacić cenę. Proroctwo będzie ogłoszone. – Mężczyzna skinął lekko dłonią. Pojawiło się trzech zakapturzonych ludzi. – Nie opuścisz Larnu, nim nie spłacisz należności.

Ruszył naprzód. Tawl podążył za nim, eskortowany przez trzech strażników.

Mijał szeregi jasnowidzów, którzy wołali go, lamentując straszliwie. Ich ciała miały się niezgrabnie, skrępowane sznurami. Rycerza zaprowadzono do końca rzędu, tuż pod ścianę jaskini.

Przewodnik zatrzymał się i zwrócił w jego stronę.

– To twój jasnowidz. Pytaj, a otrzymasz odpowiedź. Powiedziawszy to, oddalił się razem z zakapturzonymi ludźmi. Tawł przyjrzał się leżącemu. Z odrazą dostrzegł, że jest on bardzo mocno skrępowany już od tak dawna, iż sznur zagłębił się w ciało, tak że skóra oblekła również i jego pokryła szorstkie węzły. Rycerz zdał sobie sprawę, że gdyby nieszczęśnika rozwiązano, doprowadziłoby to do rozdarcia ciała.

Jasnowidz bełkotał coś gorączkowo w nieznanym Tawłowi języku. Nie patrzył na przybysza, zatopiony w swych cierpieniach. Nagle oddał mocz. Wydawał się nieświadomy tego, że płyn przesączył się przez płócienną chustę, a potem utworzył kałużę wokół bioder.

Tawł pragnął jak najszybciej stąd odejść. Zadał swe pytanie:

– Gdzie znajdę chłopca, którego szukam?

Nie był pewien, czy jasnowidz go usłyszał. Ani na chwilę nie przestał bredzić od *rzeczy*. Tawł nie

dostrzegł u niego żadnych oznak zrozumienia. Czekał, gorzko żałując, że przybył na Larn. Nie potrafił uwierzyć, że spełnia się tu Bożą wolę.

Po chwili jasnowidz okazał wyraźne podekscytowanie. Z ust popłynęła mu piana. Zatokczył szaleńczo oczyma. Bełkot stał się głośniejszy dziwne, natrętnie brzmiące słowa, których sensu Tawl nie pojmował. Wydawało się, że nieszczęśnik powtarza raz za razem tę samą frazę. Rycerz nie potrafił jej zrozumieć. Zbliżył się do leżącego. Nozdrza wypełnił mu ostry odór moczu.

Spętany człowiek wpadł w szal. Ślina spływała mu po brodzie, skapując na chudą pierś. Tawl wyteżał słuch, starając się zrozumieć sens jego słów. Rozpoznał słowo "królestwa". Brzmiało to jak "szereg królestwa". Jasnowidz w kółko powtarzał te same, niezrozumiałe dla rycerza słowa. W jego głosie pojawiła się nuta hysterii. Tawl przyjrzał się uważnie wilgotnym wargom. Nagle zdanie nabrało dla niego kształtu. Zrozumiał, że jasnowidz nie mówi "szereg królestwa". Słowa brzmiały "w Czterech Królestwach".

Krew Tawla zmroził lód. Rycerz znieruchomiał, czując jak coś poruszyło się w jego wnętrzu. Otrzymał odpowiedź.

Z jakiegoś powodu spodziewał się, że spętany umilknie. Tak się jednak nie stało. Gadał dalej, z wielkim podnieceniem powtarzając tę samą frazę. Wreszcie pojawił się zakapturzony mężczyzna, który odciągnął Tawla od głazu i poprowadził go wzdłuż rzędu związanych ludzi ku wyjściu z jaskini. Rycerz obejrzał się za siebie. Jasnowidz wciąż powtarzał te same słowa, nie zważając na to, że nie ma już słuchacza. Mętnymi oczyma wpatrywał się w oblicze Boga.

Baralisowi nie chciało się podnieść wzroku, gdy do komnaty wszedł Croke.

– Czy naszego bystrookiego dziedzica spotkał już wypadek? Nie przestawał pisać.

– Tak jest, panie. I to bardzo nieprzyjemny. Nadział się na kosę.

– Miał wielkiego pecha. Nie zwracaj mi już głowy, Croke. Muszę uporać się z wieloma sprawami. W bibliotece znajdziesz księgę oprawną w niebieską skórę. Są w niej obrazki przedstawiające morskie stworzenia. Jest twoja. Weź ją sobie i zostaw mnie w spokoju.

W taki sposób Baralis wyraził swemu słudze wdzięczność za opiekę, którą ten go otoczył po utracie przytomności w noc Wigilii Zimy. Croke oddalił się

szybko, niecierpliwie pragnąc obejrzeć ilustracje.

Po jego odejściu kanclerz podniósł się i zaczął chodzić w kółko po komnacie. Miał wiele spraw do przemyślenia. Zaniepokoił go widok królewskich strażników, którzy wczesnym rankiem opuścili zamek. Musiał się dowiedzieć, jaką misję im zlecono. Królewska Straż odpowiadała jedynie przed królową. Wyczerpanie kosztowało go utratę kilku dni. Nie zamierzał już marnować więcej czasu. Rozległo się stukanie. Baralis otworzył ciężkie drzwi.

– Słucham? – warknął do odzianego w liberię pokojowego, poirytowany tym, że zakłócono mu spokój.

– Jej Wysokość, królowa, wzywa cię pilnie do komnaty audiencyjnej.

Kanclerz spodziewał się podobnego wezwania.

– Proszę bardzo. Przekaż Jej Wysokości, że za chwilę się zjawię.

Sługa odszedł. Baralis rozpoczął pośpieszne przygotowania do audiencji. Wdział wspaniałe szaty, by przypodobać się królowej. Spojrzał w małe ręczne zwierciadełko i przekonał się, że ślady po poparzeniach nadal są widoczne. Będzie musiał wymyślić jakieś usprawiedliwienie. Nie chciał, by Arinalda podejrzewała, że ma coś wspólnego z

pożarem w dniu Wigilii Zimy. Ubrał się szybko i ruszył do komnaty audiencyjnej.

– Lordzie Baralisie, mam nadzieję, że atak gorączki już minął? Przywitała go chłodno. Miała na sobie wspaniałą granatową suknię wyszywaną perłami. Nie była już młoda, wydawało się jednak, że wiek tylko jej dodał urody, zastępując młodzieńczy urok gracją i spokojem.

– Czuję się już znacznie lepiej, Wasza Wysokość.

– To musiała być bardzo dziwna gorączka, lordzie Baralisie. Twoja twarz wygląda na poparzoną.

Arinalda zacisnęła wargi.

– Nie, Wasza Wysokość, poparzeń nabawiłem się w pracowni, podczas sporządzania lekarstwa. Nieostrożnie obchodziłem się z płomieniem, to wszystko.

– Rozumiem. – Królowa odwróciła się, udając, że podziwia obraz. – Może było to lekarstwo dla króla?

– W rzeczy samej, Wasza Wysokość. Sporządziłem kolejną partię. Sądzę, że pierwsza została już zużyta?

Zaczynał odzyskiwać pewność siebie. Widział, że królowa próbuje ukryć fakt, iż rozpaczliwie potrzebuje jego medykamentu.

– Nie zostało już nic. Od dwóch dni król nie otrzymuje lekarstwa. Obawiam się, że jeśli potrwa to



dłużej, dojdzie do nawrotu.

– Wasza Wysokość zapewne gorąco pragnie otrzymać następną partię.

Królowa odwróciła się błyskawicznie.

– Dość już tych gier, lordzie Baralisie. Muszę dzisiaj dostać lekarstwo.

Zaczynała tracić panowanie nad sobą. Kanclerz zachował spokój.

– Wasza Wysokość zna cenę.

– Nie pozwolę ci decydować, kogo poślubi księżę Kylock.

– Kogoś musi poślubić, a córka lorda Maybora nie jest już odpowiednią kandydatką. Nawet jeśli uda się ją odnaleźć i sprowadzić do zamku, Wasza Wysokość z pewnością nie chciałaby, żeby ożenił się z dziewczyną, która nie może na niego patrzeć.

– Jesteś w błędzie, lordzie Baralisie. Lord Maybor osobiście wyznał mi prawdę. Wyjaśnił mi, dlaczego jego córka uciekła. Współczuję mu bardzo głęboko i dlatego zgodziłam się wysłać na poszukiwania Melliandry Królewską Straż. Po odnalezieniu dziewczyny zaręczyny odbędą się zgodnie z planem.

Baralis niemal nie mógł uwierzyć własnym uszom. Jakie to kłamstwa wykombinował Maybor, że udało mu się tak skutecznie oszukać królową?

Ukrył zaskoczenie.

– A jeśli nie uda się jej odnaleźć? Arinalda obrzuciła go ostrym spojrzeniem.

– Albo jeśli się uda, ale nie będzie już wtedy dziewczicą?

– Ani przez chwilę nie wątpię, że moi strażnicy odnajdą Melliandrę i że dziewczyna okaże się nietknięta. – Królowa ściągnęła brwi. – Lordzie Baralisie, mam dla ciebie pewną propozycję – dodała.

– Z chęcią jej wysłucham, Wasza Wysokość.

– Jeśli zgodzisz się bezterminowo zaopatrywać króla w leczniczą miksturę, a dziewczyna nie znajdzie się przed upływem miesiąca, przystanę na twoje warunki.

– A jeśli się znajdzie?

– Zareczyny odbędą się zgodnie z planem, a ty nadal będziesz dostarczał lekarstwa dopóty, dopóki król będzie go potrzebował.

– Proponujesz mi zakład, pani?

– Lubisz hazard, lordzie Baralisie?

Królowa znowu demonstrowała swą pogodną twarz, spokojną i opanowaną.

– Szczycę się tym, że nie obawiam się ryzyka. Przyjmuję zakład. – Baralis pokłonił się lekko.

Królowa odpowiedziała mu czarującym uśmiechem, odsłaniającym piękne białe zęby.

– Ostrzegam cię, lordzie Baralisie. Królewska Straż odnajdzie córkę Maybora, gdziekolwiek by przebywała.

– To się dopiero okaże, Wasza Wysokość. Na razie każę wysłać do królewskich komnat nową partię medykamentu.

Kanclerz pokłonił się raz jeszcze i wyszedł.

Gdy opuścił salę audiencyjną, jego krok stał się lekki. Królowa była bardzo przyjemną przeciwniczką. Był niemal skłonny ją podziwiać. Szkoda, że przegra zakład.

Maybor przyjrzał się sobie w zwierciadle, z zadowoleniem konstatuując, że odzyskuje dobry wygląd. Co prawda, wrzody szpeciły nieco jego przystojną twarz, z czasem jednak znikną. Ból w gardle nie był dla niego aż tak ważny. Z tym mógł żyć. Dziś miał po raz pierwszy od wielu dni opuścić sypialnię.

Podniósł się i klepnął w tyłek znachorkę, by wyrwać ją ze snu. Kiedy się obudziła, nie mógł się oprzeć pokusie zdercia z niej narzuty, by przyjrzeć się jej nagości. Ze zdziwieniem przekonał się, że starsze kobiety rzeczywiście nie są pozbawione zalet. Była

bardzo biegła w sztuce miłosnej i nie hamowała jej dziewczęca wstydlivość. Gdyby posiadała jakąś ziemię, mógłby się nawet z nią ożenić!

Zielarka wstała z łoża i zaczęła się ubierać, powoli i wyzywająco. Maybor przyjrzał się jej z uznaniem. Wdziawszy szaty, pocałowała go lekko w policzek i wyszła z komnaty. To jej kolejna zaleta, pomyślał Maybor. Nie żądała niczego w zamian za swe wdzięki. Przez mgnienie oka zastanawiał się, czy chory król korzystał kiedyś z jej usług. Ostatecznie nawet cierpiący wiedzą, co to pożądanie.

Nie zadał sobie trudu, by wezwać Crandle'a. Dzisiaj ubierze się sam. Podszedł niespiesznie do szafy. Pomyślał, że musi kupić nowe zwierciadło. Brak mu było widoku całej swej postaci.

Był bardzo zadowolony z siebie. Udało mu się wykaraskać z kłopotów i zdobyć sympatię królowej. Nie dalej jak dziś rano wysłała Królewską Straż na poszukiwania jego córki. Sprawy nie mogły się ułożyć lepiej. Do pełni szczęścia brakowało mu jedynie wiadomości o śmierci Baralisa. Postanowił, że spotka się ze skrytobójcą po raz ostatni. Przeklętnik stanowczo za długo zwlekał. Każe Crandle'owi zaaranżować spotkanie.

Otworzył drzwi garderoby i przyjrzał się jej

zawartości, zastanawiając się, którą szatę założyć. Przypomniał sobie z żalem, że czerwony, jedwabny strój, który przywdział na Wigilię Zimy, trzeba było wyrzucić. Plam z ponczu nie udało się sprać. Ta szarooka zdzira zniszczyła jego najlepsze ubranie! Wzrok wielmoży przyciągnęło coś leżącego w kącie. Przyjrząwszy się bliżej dostrzegł, że to zdechły szczur. Było to bardzo dziwne. O ile dobrze pamiętał, w noc Wigilii Zimy Crandle również przyniósł z garderoby nieżywego szczura. Te szkodniki występowały w zamku masowo, lecz rzadko można było natknąć się na martwą sztukę. Dwa padłe gryzonie były piekielnie podejrzane.

Maybor uniósł zeszywniałe zwierzę za ogon, trzymając je na wyciągnięcie ręki. Wszyscy wiedzieli, że te stworzenia przenoszą dżumę. Nie zauważył żadnych śladów mogących świadczyć o przyczynie śmierci. Przybliżył gryzonia do oczu i ujrzał, że jego nos jest czerwony i obrzękły. Nawiedziło go nagle olśnienie. Przyczyną jego nagłej choroby było to samo, co zabiło szczura. Coś, co kryło się w garderobie. Maybor powrócił myślą do dnia Wigilii Zimy. Czuł się wówczas znakomicie. Atak choroby dopadł go dopiero wtedy, gdy włożył strój wieczorowy. Zatruto jego szaty!

Baralisowi w jakiś sposób udało się nasaczyć je trucizną. To jej opary wywołały niespodziewaną niemoc. Wszystko się zgadzało. Ocalał jedynie dzięki temu, że zdjął na czas skażony strój. Szarooka jęzda mimo woli uratowała mu życie.

Wyszedł z garderoby. A jeśli wszystkie jego ubrania były zatrute? Trzeba je będzie spalić. Maybor był wściekły. Poświęcił lata na zgromadzenie najwspanialszej kolekcji szat w Czterech Królestwach. Kosztowały go majątek. Poprzysiągł, że Baralis drogo za to zapłaci. Co innego dosypać komuś trucizny do wina, a co innego zatruć szaty!

Tawla zaprowadzono z powrotem do izby, w której stał wielki kamienny stół. Czekali na niego ci sami ludzie.

– Otrzymałeś swą odpowiedź – powiedział najstarszy z nich. Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Skinął głową. – Rzadko się zdarza, by jasnowidze zawiedli. Bóg im sprzyja.

– Mam wrażenie, że bardziej sprzyja wam. – Rycerz nie potrafił powstrzymać gniewu. Musiał się wyładować po przeżytej w jaskini grozie. – To wy czerpicie korzyści z okrucieństwa, którego dopuszczacie się wobec nich. Wykorzystujecie ich dla zysku. Bóg nie ma z tym nic wspólnego!

Tawł dygotał. Czwórka mężczyzn nie przejęła się jego wybuchem.

– Nic nie wiesz o Bogu, a jeszcze mniej o Lamie. – Najstarszy z czwórki zachowywał absolutny spokój. – Nie wykorzystujemy jasnowidzów. Jesteśmy tu po to, by im służyć. Bóg ich pobłogosławił, a my to błogosławieństwo przyjmujemy z pokorą. Jesteśmy ich sługami. Nie pozwól, by ich widok wprowadził cię w błąd. Ich życie wypełnia Boża ekstaza. Możemy się jedynie domyślać, jak wielką radość czują.

– Nie dam się oszukać waszym pięknym słówkom. Miejsce, w którym przed chwilą byłem, nie należy do Boga. Nie ma w nim niebiańskiej ekstazy. Przypomina raczej piekło.

Wszyscy czterej popatrzyli na Tawła, jakby był głupim dzieckiem.

– Widok faktycznie nie jest zbyt przyjemny, widzę jednak, że po prostu nie chcesz nic zrozumieć. Niemniej skorzystałeś z ich usług i w związku z tym musisz zapłacić wyznaczoną cenę.

Najstarszy z mężczyzn spojrzał na Tawła z lekkim wyrazem pogardy.

– Co to za cena? – spytał rycerz, patrząc mu prosto w oczy.

– Żądamy od ciebie pewnej przysługi. – Głos

nabrał łagodnego, uwodzicielskiego brzmienia. – To właściwie nic, zupełny drobiazg. – Rycerz poczuł, że opadają mu powieki. Starał się zachować przytomność. – Drobną uprzejmość – ciągnął mężczyzna cichym, kuszącym głosem. – Zadanie będzie łatwiutkie. – Tawł zamknął oczy. – To naprawdę bagatela, całkiem niewinne przedsięwzięcie...



## 15

Tawl obudził się, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Gdy rozjaśniło mu się w głowie, zdał sobie sprawę, że nadal przebywa na Lamie. Zdziwił się, dlaczego zasnął. Leżał na kamiennej ławie, ustawionej w maleńkiej izbie. Kiedy się podniósł, dotkliwy ból w plecach świadczył o tym, że przez dłuższy czas spoczywał na twardej powierzchni.

Nie pamiętał, jak go tu przyniesiono. Nie przypominał sobie w ogóle nic od chwili opuszczenia jaskini. Ogarnął go niepokój. Wyraźnie zachował w pamięci proroctwo, ale nic z tego, co wydarzyło się później. Pomyślał, że musi wracać na statek. Kapitan Quain zapowiedział, że odpłynie po upływie doby. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło ani nawet, jaki jest dzień. Musiał wyruszyć natychmiast. Gdy skierował się ku wyjściu z izby, wszedł do niej najmłodszy z czwórki.

– Witam – powiedział. – Mam nadzieję, że dobrze wypocząłeś.

– Jak się tu znalazłem? – zapytał Tawl.

– To naturalny skutek uboczny prorocstwa. Człowiek, który szuka odpowiedzi, na ogół traci wszystkie siły. Nie ma powodu do niepokoju. Jasnowidzenie wszystkich nas kosztuje wiele. Ogarnęło cię wyczerpanie. Dlatego przynieśliśmy cię tutaj, byś mógł się trochę przespać.

– Jak długo spałem?

Tawl nie uwierzył w ani jedno słowo mężczyzny. Pamiętał, że w chwilę po prorocztwie czuł się znakomicie.

– Potrzebowałeś wielu godzin snu. Wstał już nowy dzień.

– Muszę ruszać w drogę. Mój statek wkrótce odpłynie. – Przypomniawszy sobie wcześniejszą rozmowę o cenie. – Powiedz mi, jakiej zapłaty żądam.

– Ach, to – odparł mężczyzna niedbałym tonem. – Cena chyba nie będzie wysoka. Sądzę, że wystarczy, jeśli zawieziesz do Rornu parę listów. Jak rozumiem, tam właśnie się wybierasz?

Coś w głosie rozmówcy wzbudziło podejrzenia Tawla. Wcześniej dano mu do zrozumienia, że zażądają od niego znacznie więcej niż tylko spełnienia roli posłańca.

– To wszystko? – zapytał.

– Ależ oczywiście. Nie powinieneś wierzyć w te wszystkie historie opowiadane o nas przy kominkach. Nigdy nie żądamy niczego więcej niż drobna przysługa. Spojrzeliśmy na ciebie łaskawym okiem i uznaliśmy, że nie powinieneś zapłacić zbyt wiele. Jeśli pójdziesz ze mną, wręcę ci listy.

Mężczyzna odwrócił się i wyszedł z pokoju. Tawł podążył za nim.

Otrzymał dwie zapieczętowane woskiem koperty. Powiedziano mu, gdzie i komu ma je doręczyć, po czym zakapturzony człowiek sprowadził go z urwiska. Po drodze, Tawł nie potrafił uwolnić się od niepokoju. Coś tu nie grało. Nie potrafił uwierzyć, by tych czterech wypuściło go tak łatwo. Miał dostarczyć listy do miasta, do którego i tak się wybierał? Najbardziej jednak dręczył go fakt, że większa część dnia i cała noc stały się dla niego białą plamą.

Gdy jednak zbliżył się do plaży, musiał skupić myśli na innych sprawach. Jeśli chciał zdążyć na “Rybacką Szajkę” przed jej odpłynięciem, będzie musiał wiosłować ze wszystkich sił. Świeże powietrze wydawało mu się błogosławieństwem po stęchłym zaduchu panującym w świątyni i grocie. Z każdym oddechem jego nastrój się poprawiał. Wkrótce opuści tę przeklętą wyspę. Postanowił, że gdy wreszcie wróci

do Valdis, porozmawia z Tyrenem o straszliwej doli jasnowidzów z Larnu. Zamierzał dopilnować, by nigdy już młodych mężczyzn nie skazywano na podobne życie.

Zepchnął łódź między fale, radując się dotykiem sięgającej pasa zimnej wody. Wskoczył do środka i chwycił za wiosła, zadowolony, że jego stopy nie stykają się już z gruntem wyspy. Wkrótce osiągnął dobre tempo. Wkładał w wiosłowanie całą energię. Pomagało mu to przegnać z pamięci to, co widział.

Trudno mu było sobie przypomnieć, gdzie zakotwiczyła "Rybacka Szajka". Mgła kłębiła się w dogodnej odległości od brzegów Larnu, ukrywając wyspę przed przepływającymi statkami. Tawł starał się utrzymać kurs na południowy zachód w nadziei, że wreszcie natrafi na statek. Po kilku godzinach wiosłowania stał się niespokojny. Z pewnością powinien już go zauważyć. Przestał wiosłować i wyteżył słuch. Wydało mu się, że słyszy odległy dźwięk. Po chwili rozległ się po raz drugi. Był to róg mgłowy. Załoga "Rybackiej Szajki" chciała mu pomóc odnaleźć drogę. Tawł natychmiast nabrał ducha. Ze zdwojonym zapałem powiosłował w kierunku, z którego dobiegał głos rogu.

Po krótkim czasie dostrzegł nad mgłą wysokie

maszty. Ten widok uradował jego serce. “Rybacka Szajka” nie porzuciła go. Kiedy się zbliżył, opary rozstąpiły się. Powitał go okrzyk:

– Łódź, ahój!

Popatrzył na załogę, która zebrała się na pokładzie. Dostrzegł postać kapitana Quaina unoszącego rękę na przywitanie. Wszyscy marynarze krzyknęli głośno z radości. Potem, gdy zbliżył się do statku, kapitan zawołał:

– Załoga, otwierać beczułkę, nasz przyjaciel wrócił.

– Nie, Bodger, to nie żonę młynarza możesz pieprzyć za sztukę płótna i trzyfuntowego kurczaka.

– Tak powiadają, Grift.

– Nie, Bodger, nikt nie żyje lepiej niż żona młynarza. To żonę wytapiacza łoju poobracasz w zamian za prezenty. Każdy wie, że z łoju nie da się wyżyć.

– Żona wytapiacza łoju nie wygląda mi na biedną, Grift. Zawsze nosi piękne suknie.

– No właśnie, Bodger! Jak to możliwe, że kobieta, której mąż zarabia najwyżej srebrnika na miesiąc, może sobie pozwolić na płótno wysokiej jakości? Prowadzi też świetną kuchnię. Mnóstwo pieczonych kurczaków.

– Ale, Grift, pan Gulch powiedział mi, że udało mu

się skusić żonę młynarza za sztukę płótna i trzyfuntowego kurczaka.

– Mógł sobie zaoszczędzić wydatku. Żona młynarza pieprzy się z każdym, kto nosi spodnie, bo jest po prostu niewyżyta.

– Myślisz, że miałbym u niej szansę, Grift?

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, Bodger.

– A to dlaczego, Grift?

– Niestety, Bodger, wygląda na to, że żona młynarza używała swych wdzięków zbyt wielu mężczyznom i w efekcie złapała trypra. Jeśli nie chcesz, żeby jaja zgniły ci powoli, a potem odpadły, lepiej trzymaj się od niej z dala.

– Dziękuję, że mnie ostrzegłeś, Grift. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

– Uważam za swój obowiązek mówić ci o takich sprawach, Bodger.

– A co z panem Gulchem, Grift? Czy on też złapał trypra?

– No więc, Bodger, sądząc z tego, jak ostatnio chodził, jego klejnoty już niedługo wylądują na podłodze.

Obaj strażnicy siedzieli oparci o ścianę, popijając spokojnie *ale*.

– Hej. Grift, mógłbym przysiąc, że kiedy byłem

rano na blankach, zauważyłem w lesie grupę jeźdźców.

– Czyje barwy nosili, Bodger?

– Byli dość daleko, Grift. ale wyglądali mi na najemników.

– W takim razie to musieli być ludzie na żołdzie lorda Baralisa. Ciekawe, czy znaleźli młodego Jacka.

– Jego nie widziałem. Grift.

– Mam nadzieję, że jest już daleko, Bodger. Lepiej mu będzie gdzie indziej. Nigdy nie pasował do zamku. Tak samo, jak jego matka. Oboje wiecznie chodzili z głowami w chmurach.

– Słyszałem, że była czarownicą.

– Ehe, krążyły takie plotki. Piękna z niej była dziewczyna. Sądząc po akcencie, pochodziła z południa. Nie potrafię ci powiedzieć, czy rzeczywiście parała się czarami, ale słyszałem różne pogłoski.

– A jakie, Grift?

– Mówiono, że pewien człowiek, który zbyt natrętnie się do niej zalecał, zrobił się nagle łysy.

– Łysy?

– Jak pała.

– Nie był to przypadkiem pan Frallit, Grift? Ma łeb tak samo łysy jak twój.

– Nic więcej nie powiem, Bodger.

Grift pociągnął długi łyk *ale* i umilkł na dobre.

Maybor zaczął się zastanawiać, co się stało z jego skrytobójcą. Kazał Crandle'owi go odszukać, lecz wysiłki sługi nie przyniosły żadnego rezultatu. Było oczywiste, że Scarl nie wykonał zadania, jako że dziś rano Maybor widział lorda Baralisa na własne oczy.

Wybrał się na przechadzkę po ogrodach, by zaczerpnąć powietrza, zgodnie z zaleceniami znachorki, i ujrzał kanclerza, który przemykał pod murami zamku. Towarzyszył mu ten wyrośnięty idiota, Croke. Maybor ucieszył się, że tamten go nie zauważył. Nie chciał otwartej konfrontacji z Baralisem. Wolał nie rzucać się w oczy do chwili, gdy jego wróg pożegna się z życiem. Teraz jednak wyglądało na to, że człowiek, któremu zlecił to zadanie, zniknął.

Nie wiedział nawet, czy Scarl zatrzymał się w zamku, czy też w miasteczku. Skrytobójca niechętnie odsłaniał swe poczynania. Być może doszedł do wniosku, że Baralis jest zbyt niebezpieczny, i wycofał się, Maybor jednak nie wierzył w taki obrót sprawy. Korzystał już przedtem z usług Scarla i znał go dobrze. Nie był to człowiek cofający się przed ryzykiem.

Wielmoża chodził w kółko po swej komnacie, odziany w szaty własnego sługi. Nakazał spalić wszystkie stroje, które miał w garderobie, wskutek



czego znalazł się w upokarzającej sytuacji. Nie miał się w co ubrać. Jego synowie byli zbyt szczupli, by mógł pożyczyć ich szaty, musiał więc założyć nędzny i do tego niezbyt czysty ubiór Crandle'a. Zamówił u zamkowego krawca kilka nowych strojów, lecz miały być gotowe dopiero za tydzień.

On, sam lord Maybor, musiał chodzić po pałacowych ogrodach odziany jak zwykły sługa. Baralis słono mu za to zapłaci!

Co zrozumiałe, Maybora zaczął dręczyć głęboki lęk przed trucizną. Do czego Baralis dobierze się w następnej kolejności? Do jego pościeli? Do butów? Próbował zmusić Crandle'a, by próbował przeznaczone dla niego jedzenie i wino, lecz niewdzięczny sługa stanowczo odmówił. Jeśli nie uda się szybko usunąć kanclerza, będzie zmuszony wydać sporą sumę na kosztującego żywność. Ich usługi nie były tanie. Ostatecznie to niebezpieczny zawód, przyznał z niechęcią Maybor.

Nie był zadowolony ze swego skrytobójcy. Scarl zwlekał zbyt długo. Postanowił, że gdy już ten nędznik upora się ze swym zadaniem, bez skrupułów każe mu poderżnąć gardło. W żadnym wypadku nie zamierzał oddawać trzydziestu akrów swych sadów człowiekowi, który wykonywał robotę tak opieszale.

Crandle zapukał do drzwi i wszedł do komnaty.

– Czego chcesz? Udało ci się odszukać człowieka zwanego Scarlem?

– Nie, panie. Wygląda na to, że nikt nie wie, gdzie go szukać.

– Gdzie ten sukinsyn się podział? Maybor tupnął nogą w podłogę.

– Wasza lordowska mość, przysłała mi do głowy pewna myśl. Oczywiście, mogę się mylić.

– Gadaj, człowieku. Nie trzęś się tak.

Wielmoża wziął w rękę kawałek zwierciadła i zaczął przyglądać się pokrywającym jego twarz wrzodom.

– Jak wiesz, panie, po twoim odejściu w komnacie biesiadnej wybuchł pożar.

– Tak. tak.

Maybor zaczął tracić cierpliwość.

– Zginął podczas niego jeden człowiek, poparzony na śmierć.

– Co to. u licha, ma wspólnego ze zniknięciem Scarla? Grubas z wielką satysfakcją wycisnął ropę z wrzodu.

– Nikomu nie udało się zidentyfikować ciała, wasza lordowska mość. Nikt też nie meldował o zaginięciu kogokolwiek.

Maybor znieruchomiał. Wiedział, co chce mu powiedzieć Crandle.

– W jakim stanie były zwłoki? – zapytał po chwili zastanowienia.

– Słyszałem, że nieszczęśnik spłonął na popiół. Z twarzy nic nie zostało.

– Czy coś przy nim znaleziono?

– Nie jestem pewien. Słyszałem, że jedyną rzeczą, która ocalała z płomieni, był nóż.

– Nóż?

– Tak mówią, panie. Podobno był bardzo dziwny. Niepodobny do zwykłego.

– Zjeżdżaj! – powiedział spokojnym głosem Maybor. Sługa wyszedł.

Nigdy nie widział noża Scarla, nie wątpił jednak, że skrytobójca używał czegoś szczególnego. Ostatecznie było to jedyne narzędzie jego pracy. Usiadł na łożu, zastanawiając się nad słowami Crandle'a. Ostatni raz widział Scarla dzień przed Wigilią Zimy. Od tego czasu nie otrzymał od niego żadnej wiadomości, a na dodatek skrytobójca nie wykonał zadania.

Maybor zadrzał mimo woli. Co, jeśli Scarl próbował zamordować Baralisa i nie udało mu się? Kanclerz mógł zabić skrytobójcę i wywołać pożar, żeby ukryć dowody. Wielmoża słyszał dziwne

pogłoski o tym pożarze. Crandle wspominał nawet, że jakiś dziedzic widział wychodzącego z płomieni odzianego na czarno mężczyznę. Wszyscy wiedzieli, że Baralis lubi ten kolor. Maybor ponownie wezwał dzwonkiem służbę. Nie mógł już robić tego krzykiem, gdyż jego gardło nie wytrzymało takiego wysiłku.

– Słucham, panie – powiedział Crandle.

– Chciałbym pomówić z tym dziedzicem, o którym wspominałeś. Tym, który widział, jak wybuchł pożar.

– Aha, z dziedzicem Tollenem. Parę dni temu spotkał go straszliwy wypadek.

– Co mu się stało? Maybora przeszył dreszcz.

– Upadł na kosę i rozpruł sobie brzuch. Zginął na miejscu.

– Czy nie wydaje ci się dziwne, że człowiek upadł na kosę, Crandle?

– Masz rację, panie. To faktycznie osobliwe. Dziedzic Tollen nie był rolnikiem.

– Zostaw mnie samego, Crandle. Muszę przemyśleć to, czego się od ciebie dowiedziałem.

Po odejściu służby Maybor znowu zaczął chodzić po komnacie. Nikt, nawet rolnik, nie pada sam na kosę. To robota Baralisa, pomyślał. Kazał zamordować

dziedzica, by nikt nie mógł go powiązać z pożarem. Udało mu się w jakiś sposób zabić skrytobójcę, a Scarl nie był zwykłym błaznem uzbrojonym w nóż, lecz najlepszym z zawodowców. Miał rację, obawiając się wyznaczonej ofiary. Baralis zaczynał się robić niebezpiecznie sprytny. Wielmoża chodził w kółko przez długi czas, zastanawiając się nad najlepszym rozwiązaniem swego problemu.

Bringe przyglądał się rozległym sadom. Ze swego mieszczącego się na wzgórzu punktu obserwacyjnego widział setki akrów ziemi porośniętej niskimi, pozbawionymi liści jabłoniami, których proste szeregi ciągnęły się tak daleko, jak okiem sięgnąć. Sady lorda Maybora. Uśmiechnął się chytrze do siebie, sięgając po ukryty w kieszeni list. Zadrżał z niecierpliwości, dotykając szorstkimi dłońmi gładkiej koperty.

Wiedział, że sady stanowią wielki majątek. Rosły w nich najwspanialsze jabłonie w Czterech Królestwach. Z ich soczystych owoców o ostrym smaku produkowano najlepszy jabłecznik w Znanych Krainach. Eksportowano go do niezliczonych miast, w których znawcy byli gotowi płacić wysoką cenę za kufel owego trunku o barwie miodu.

Sady jabłoniowe były najważniejszym bogactwem wschodu. Ludzie, którzy nie zajmowali się samymi

drzewami, parali się tu produkcją jabłeczniaka, wyrobem beczek bądź też uprawą chmielu, niezbędnego do fermentacji. W mieście Nestor wszyscy, od najmłodszego brzdąca aż po najstarszą babę, pomagali w zbiorze dojrzałych jabłek. Starcy twierdzili, że tajemnica znakomitego smaku jabłeczniaka polega na wyborze owoców o odpowiedniej barwie. Musiały być jasnożółte. Z pojawiającym się dopiero czerwonawym rumieńcem. Jeśli czerwieni na skórce było za mało, trunek był zbyt gorzki, jeśli zaś za dużo, robił się zanadto słodki.

Wyciągnął list z kieszeni i rozłożył go z wielką ostrożnością. Popatrzył na niego, niezdolny odczytać ani słowa. Gdy wczoraj, późnym wieczorem, przybył odziany w ciemny strój jeździec, który wręczył mu pismo. Bringe był zmuszony przełknąć upokorzenie i kazać żonie, by mu je przeczytała. Rzecz jasna, pobił później tę niechlujną szmatę do nieprzytomności, na wypadek, gdyby przyszło jej do głowy wygadać coś przed kimś z wioski. Gdy okładał jej plecy skórzanym pasem, wydało mu się, że dostrzega w jej załzawionych oczach błysk pogardy. Dręczyła go myśl, że może się uważać za lepszą od niego, tylko dlatego, że umie czytać. Gnany sprawiedliwym oburzeniem – w końcu mężczyzna musi pokazać żonie,

kto jest panem domu – rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby sprawić jej brutalniejsze lanie. Jego wzrok zatrzymał się na ciężkim żelaznym garnku. Walił ją nim z okrutną radością, aż znieruchomiła, nieprzytomna i złana krwią.

Gdy już skończył ją okładać, zdał sobie sprawę, że jest podniecony. Przyszła mu na myśl siostra pobitej, jego młoda szwagierka, Gerty. W Wigilię Zimy usiadła mu na kolanach, ocierając się o niego sugestywnie ciężkim, ciepłym tyłeczkiem. Gdy jego żona wyszła z izby, by zająć się gulaszem, Bringe poprosił Gerty o pocałunek. Dziewczyna zgodziła się bez oporów. W pocałunku nie było nic siostrzanego. Wsunęła mu ostry języczek między zęby, aż przeszył go dreszcz podniecenia.

Myśli Bringe'a zatrzymały się na obfitych wdziękach szwagierki. Pomyślał, że najwyższy czas znaleźć sobie nową żonę. Młoda Gerty o krągłych udach będzie w sam raz. Rzecz jasna, najpierw musiał coś zrobić ze swą obecną babą. W jego piersi wezbrało oburzenie. Ta niewdzięczna maciora zbyt długo już go powstrzymywała. Ciągłe tylko gderała i głądziła, a teraz, ze względu na list, uznała, że ma go w ręku. Już on jej pokaże.

Uniósł kartkę pod jasne niebo poranka. Wkrótce

osiągnie znaczącą pozycję. Będzie miał mnóstwo złota, przeniesie się do innego miasta, a do łóżka weźmie sobie nową żonę. Schował ostrożnie pismo do jedynej całej kieszeni, po czym zszedł ze wzgórza, kierując się ku wiosce. Maszerował dziarskim krokiem, a oczy mu błyszczały.

Gdy tylko za strażnikiem zamknęły się drzwi, Jack pognął ku leżącej na drugim końcu ciemnej izby Melli. Dziewczyna spała, leżąc na boku na niskiej drewnianej ławie. Starał się jej nie obudzić, dotykając pleców przez cienką tkaninę sukni. Wyczuwał każdą pręgę. Skóra wciąż była obrzękła. Zadrżał na myśl o tym, co by się z nią stało, gdyby chłosta trwała dłużej. Miała za co być wdzięczna najemnikom.

Pomacał delikatnie otoczenie pręg w poszukiwaniu obrzęku i płynu. Wydawało się, że skóra znacznie zjedrniała. Jack odetchnął z ulgą. Po wyciśnięciu ropy zakażenie najwyraźniej ustało. Rany goiły się prawidłowo. Poczul, że zalewa go fala troski. Blizny po biczu z pewnością zostaną na całe życie. Wyblakną, ale łatwo będzie rozpoznać w nich oznakę hańby. Z wielką czułością odsunął z twarzy dziewczyny lok ciemnych włosów. Choroba sprawiła, że jej uroda bardziej chwytала za serce. Zadrżał na myśl o okropnościach, jakie przeżyła w Duvitt. Pochylił się i



ucałował ją lekko w czoło.

Obudziła się. W jej oczach błysnęła panika, która ustąpiła miejsca rozpoznanemu, a potem irytacji.

– Czemu tak się nade mną nachylasz? – zapytała, siadając i pocierając oczy.

Jack natychmiast poczuł się jak dureń. Dał się przyłapać na kradzieży całusa! Odsunął pośpiesznie włosy z twarzy, chcąc lepiej wyglądać.

– Strażnik wyszedł na chwilę i pomyślałem sobie, że sprawdzę twoje... – zawahał się w poszukiwaniu delikatnego słowa – ... obrażenia.

Popatrzyła na niego z ledwie skrywaną wrogością.

– Dziękuję, ale sądzę, że wszystko w porządku. Wiem też, że tobie nic do tego.

Ośloniła ramiona kocem.

– Chodzi o to, że po... hmm, po incydencie w Duvitt dopadła cię gorączka.

Jack spojrzał swej towarzyszce w oczy i to ona pierwsza odwróciła wzrok.

– Nie chcę już słyszeć ani słowa o Duvitt. – Wydawało się, że natychmiast pożałowała tych szorstkich słów. – Proszę cię, Jack – dodała łagodniejszym tonem. – Nie potrafię znieść tego wspomnienia.

– Więcej już do tego nie wrócę – obiecał,

pochylając lekko głowę w, miał taką nadzieję, szarmanckim geście. – Musimy jednak pomówić o innych sprawach, dopóki mamy okazję. W każdej chwili może wrócić strażnik.

– Gdzie jesteśmy?

Melli rozejrzała się po małej mrocznej izbie.

– W odległości godziny drogi od zamku Harvell. Kiedy nas tu przywieźli, wstawał właśnie świt. Udało mi się zauważyć blanki.

– A więc jesteśmy w miasteczku?

– Nie. O ile się nie mylę to jakieś podziemne pomieszczenie. W jednej chwili szliśmy przez las, a w następnej wprowadzili nas do tunelu, razem z końmi. Przespałaś całą drogę. Przez kilka ostatnich dni spałaś bardzo dużo.

Przerwał na chwilę, zaczerpnął głęboko tchu i zadał pytanie, które dręczyło go już od pewnego czasu.

– Kim jesteś, Melli? – Spojrzał na nią z wyzwaniem w piwnych oczach. – I przed czym uciekasz?

Zbyt późno zdał sobie sprawę, że naraża się na jej indagacje.

– Mogłabym ci zadać to samo pytanie, Jack. Dlaczego banda najemników interesuje się tobą?

Melli przemawiała stanowczym tonem wielkiej

damy. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że jest szlachcianką, przywykłą do posłuchu i wydawania rozkazów.

– Jestem, czy raczej byłem, piekarczykiem w zamku. Zrobiłem coś, czego nie powinienem robić, i uciekłem, by uchronić się przed konsekwencjami.

Spuścił nisko głowę. Lepiej już, żeby uważała go za złodzieja.

– Ja też uciekłam z zamku. – Głos Melli brzmiał zaskakująco delikatnie. Gdy Jack podniósł wzrok, zauważył, że dziewczyna miętosi w palcach tkaninę sukni. – Zrobiłam to dlatego, że ojciec chciał mnie wydać za mąż za kogoś, kogo nie mogłam znieść.

– A więc to twój ojciec wynajął tych ludzi?

– Nie. On nigdy by się nie zniżył do korzystania z usług najemników. – W jej głosie brzmiała wyraźna nuta dumy. Odwróciła się gwałtownie w stronę Jacka. – Ty przecież chyba wiesz, komu służą.

Nim Jack zdecydował, co jej powiedzieć, drzwi otworzyły się i do izby wszedł Baralis.

– Masz odpowiedź na swoje pytanie, moja droga – powiedział cichym, przymilnym głosem. Jack spojrzał na Melli. Dobrze udało jej się ukryć zaskoczenie.

– Lordzie Baralisie – odezwała się, pochylając wdzięcznie głowę. – Mam nadzieję, że przybyłeś tu po

to, by mnie uwolnić.

Chłopak dosłyszał w jej opanowanym tonie nutę lęku.

– Jeśli raczysz mi towarzyszyć, pani, zaprowadzę cię na wygodniejszą kwaterę.

Kanclerz poruszył nieznacznie ręką, wskazując skromnie urządzoną celę. Jackowi udało się dostrzec jego dłonie. Zawsze były sękaty i powyginane, teraz jednak pokrywały je straszliwe blizny. Baralis dostrzegł jego zainteresowanie. Popatrzył mu w oczy. Jego zimne, stalowe spojrzenie przeraziło Jacka. Odwrócił wzrok, niezdolny je wytrzymać.

Kanclerz przeniósł uwagę z powrotem na Melli.

– Chodź ze mną.

– A jeśli nie zechcę?

Uniosła wysoko głowę we władczy geście.

– Nie masz wyboru, pani.

Baralis skinął dłonią i pojawiło się dwóch strażników z obnażonymi mieczami. Jack przyglądał się, jak dziewczyna usiłuje zapanować nad sobą.

– To ty nie dajesz mi wyboru, lordzie Baralisie. – Młodzieniec nie mógł nie podziwiać jej zimnej wyniosłości. – Mam nadzieję, że pozwolisz, by mój człowiek mi towarzyszył.

Jack nie był pewien, czy powinien się czuć

obrażony tym, że nazwała go sługą, czy też cieszyć się, iż o nim nie zapomniła.

– To niestety nie wchodzi w grę, moja droga. Twój człowiek... – Baralis przerwał na chwilę, by wskazać Melli, że choć wie, iż skłamała, dobre wychowanie nie pozwala mu tego powiedzieć głośno. – ...będzie musiał zostać tutaj. Chodź, proszę, ze mną.

Melli wyszła z izby, obrzucając Jacka ostatnim spojrzeniem. Kanclerz zaczekał, aż dziewczyna zniknie, po czym zwrócił się w stronę chłopaka. Jego głos utracił kuszące brzmienie. – Z tobą porozmawiam później.

Bystry słuch Melli wychwycił ostatnie słowa Baralisa. Zdała sobie sprawę, że Jack nie wyznał jej całej prawdy. Królewski kanclerz nie byłby zainteresowany rozmową ze zwykłym złodziejem czy drobnym przestępcą. Piekarczyk był kimś więcej, niż by się zdawało.

Baralis poprowadził ją długim, kamiennym korytarzem. Czowała chłód świadczący, że znajduje się pod ziemią. Po drodze zauważyła blady, półprzeźroczysty mech porastający mury. Pod wpływem impulsu wyciągnęła rękę, by go dotknąć.

– Nie radzę – ostrzegł ją Baralis. Zamarła, przestraszona brzmieniem jego głosu. – Z takimi

roślinami nigdy nic nie wiadomo, pani. Mogą się okazać śmiertelnie groźne.

Melli cofnęła rękę. Baralis odwrócił się i ruszył przed siebie.

Po chwili skręcili w prawo i kanclerz zatrzymał się przed ciężkimi drewnianymi drzwiami. Melli przyglądała się obojętnie, jak Baralis odsuwa rygiel powykrecanymi dłońmi. Widok zniekształconych rąk obudził jakieś wspomnienie, pochodzące z dzieciństwa. Usiłowała sobie przypomnieć, o co chodziło, lecz bezskutecznie.

Baralis otworzył drzwi. Weszli do oświetlonej świecami, zaskakująco ciepłej komnaty. Podłogę pokrywały dywany. Było tam też kilka stołów i krzesel.

– Mam nadzieję, że to pomieszczenie ci odpowiada. Mój sługa, Croke, przyniósł te rzeczy z zamku. Obawiam się, że to niewiele.

Zdała sobie sprawę, że Baralis stara się pomniejszyć wartość komnaty. Jej urządzenie z pewnością kosztowało go wiele wysiłku.

– Pozwoliłem sobie też sprowadzić dla ciebie coś do jedzenia. – Wskazał na niski stół, na którym ustawiono liczne zimne dania. Ich widok uradował serce Melli. Był tam pieczony drób, cieleca kielbasa,

jaja siewki, tłusty, czerwony ser, okrągły bochen chleba i duży wybór cieplarnianych owoców. Odwróciła pośpiesznie wzrok, nie chcąc, by Baralis zauważył, jak bardzo zainteresowała ją perspektywa posiłku.

– Na razie to wystarczy – oznajmiła lodowatym tonem, w nadziei, że szybko ją zostawi, by mogła się najeść.

– Zapewne będziesz się chciała wykapać i przebrać. Dopilnuję, by ci to umożliwiono.

Baralis ruszył w stronę wyjścia, lecz Melli go zatrzymała.

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś? – zapytała. Kanclerz zatrzymał się na chwilę, zastanawiając się, czy jej odpowiedzieć. Popatrzył na nią i westchnął.

– Wysłuchaj mnie, moja droga. Łączy nas wspólny cel.

Coś w jego głosie sprawiło, że na Melli spłynęło olśnienie. Jego motywy stały się dla niej jasne.

– Chodzi o to, lordzie Baralisie, że nie chcesz, bym wyszła za księcia Kylocka?

– Jesteś bystrą dziewczyną, Melliandro. – Uśmiechnął się blado. – Znacznie bystrzejszą od ojca.

Pokłonił się leciutko, po czym opuścił komnatę. Melli usłyszała metaliczny zgrzyt zasuwanego rygla.

Pognała ku stołowi. W głowie kipiła jej od myśli. Wszystko zaczynało układać się w całość. Baralis nienawidził jej ojca. Nie chciał, by lord Maybor został teściem przyszłego króla i dziadkiem jego dziedzica. Pojmał ją, nim zdążył ją odszukać jego wróg. Zastanowiła się, jakie ma w stosunku do niej plany. Nie potrafiła uwierzyć, by zamierzał ją skrzywdzić. Gdyby chciał ją zabić, z pewnością nie przygotowałby dla niej tak wygodnej komnaty. Uznała, że nie będzie już więcej myśleć na ten temat. Posiłek wyglądał zbyt kusząco i nie chciała, by strach odebrał jej apetyt.

Usiadła na niskim stołku i naląła sobie kielich lekkiego, czerwonego wina. Z przyzwyczajenia wyciągnęła rękę po dzbanek z wodą, by je rozcieńczyć, postanowiła jednak, że tego nie zrobi. Obyczaje dobrze wychowanych dam dworu wydawały jej się teraz pozbawione znaczenia. Uniosła kielich do ust i pociągnęła długi łyk. Łamanie konwencji sprawiało jej przyjemność. Zatrzymała spojrzenie na nożyku, w który przezornie ją zaopatrzone. Zlekceważyła sztuciec, chwytając pieczony drób gołymi rękami. Szarpnęła za nóżkę, omal jej nie urywając. Rozległ się przyjemny trzask pękających kości.

Baralis potarł dłonie, by rozmasować mięśnie i ścięgna. Od Wigilii Zimy nie był w stanie



rozprostować ich do końca. Palce podkurczały mu się do wewnątrz. Codziennie wcierał w lśniącą, czerwoną skórę lecznicze olejki, w nadziei, że stan jego rąk się poprawi i odzyska w nich pewną sprawność. Coraz trudniej było mu wykonywać nawet proste czynności, takie jak mieszanie składników, pisanie listów, zasuwanie rygla.

Odwrócił się od drzwi i przeszedł kilka kroków korytarzem, po czym spojrzał na gładki kamień i przycisnął kciuk do ściany. Ta odsunęła się bezgłośnie. Gdy kanclerz wszedł do środka, Croke zerwał się na nogi z zawstydzoną, oblaną rumieńcem twarzą. Baralis podniósł wzrok, by sprawdzić, dlaczego sługa poczuł się winny. Przygłup głąskał małego gryzonia.

– Croke, mówiłem ci już, żebyś nie wyjmował moich zwierząt z klatek. Nie służą do pieszczot i zabawy.

Karmienie zwierząt, które Baralis hodował w różnych celach, należało do obowiązków jego sługi, Croke jednak często przywiązywał się do nieszczęsnych stworzeń.

– Przepraszam, panie – wymamrotał. – Zaraz odniosę go do zamku i zamknę porządnie klatkę.

– Nic mnie nie obchodzi to stworzenie, ty wyrośnięty prostaku. Chcę, żebyś nagotował wody dla

naszego gościa. Zanieś jej też to – Baralis wskazał ręką na stosik ubrań.

– Już się robi, panie.

Crope ruszył w stronę wyjścia, zgarniając delikatne tkaniny w potężne ramiona.

– Jeszcze jedno, Crope.

– Słucham, panie.

– Nie życzę sobie, żeby mi dziś zwracano głowę. Jak już skończysz z tym zadaniem, idź do moich komnat i znajdź tam sobie coś do roboty. – Crope skinął głową. – Weź też ze sobą tego wstrętnego gryzonia. Nie mam ochoty przesiadywać tu w towarzystwie wielkiego szczura!

Baralis obserwował z narastającą niecierpliwością, jak Crope usiłuje złapać zwierzę, nie wypuszczając z objęć ubrań. Wreszcie wsadził sobie chorowicie wyglądającego gryzonia do kieszeni. Baralis zwrócił uwagę na stan szczura. Trucizna, którą na nim testował, najwyraźniej działa wolniej, niż mu się zdawało. Spodziewał się, że stworzenie już padnie.

Gdy Crope wreszcie wyszedł, kanclerz pośpiesznie skierował uwagę na inne sprawy. Rankiem czekała go audyencja u królowej, której miał dostarczyć nową partię lekarstwa dla Lesketha. Miał nadzieję, że podczas spotkania uda mu się wy badać, jakie postępy

w poszukiwaniach dziewczyny uczyniła Królewska Straż. Ważne było, by żołnierze nie dowiedzieli się, że to on ją więzi.

Jego myśli zatrzymały się na Melliandrze. Cóż za kuszący, młody kąsek. Co prawda, wyglądała teraz gorzej niż przed ucieczką, ale zwiększało to tylko jej atrakcyjność w jego oczach. Nie pociągała go nieskazitelność. Nie zdecydował jeszcze, co zrobi z dziewczyną. Nie było powodu się śpieszyć. Nikt nie wykryje jej obecności. Istnienie schronienia, jak lubił nazywać to miejsce, było tajemnicą, mimo że z zamkiem łączył je tunel. Przypuszczał, że zbudowano go przed kilkoma stuleciami, jako drogę ucieczki podczas oblężenia i – jak często się to zdarzało – dawno o nim zapomniano.

Pozwolił sobie na odrobinę samozadowolenia. Wypadki znowu toczyły się zgodnie z jego planami. Najemnicy odnaleźli nie tylko córkę Maybora, lecz również chłopaka. Rzecz jasna, ci zdradzieccy niewdzięcznicy zażądali z tego tytułu premii. Postanowił, że postraszy Jacka przez jakiś czas, nim podda go przesłuchaniu w sprawie incydentu z bochnami. Dwa albo trzy dni spędzone samotnie w ciemnej celi o suchym chlebie i wodzie z pewnością uczynią go bardziej skłonny do wyznań.

Podszedł do wyblakłego gobelinu wiszącego na przeciwległej ścianie i odsunął na bok wygryzioną przez mole tkaninę. Jego zniekształcona dłoń spoczęła na chłodnym kamieniu i znalazła to, czego szukał – dziurkę wielkości paznokcia kciuka. Pochylił się i przycisnął twarz do ściany.

Widział stąd każdy szczegół komnaty Melli. Uśmiechnął się, zauważywszy, że dziewczyna ze smakiem pochłania jedzenie. Gryzła zawzięcie wielką kielbasę i wlewała wino do szczupłego gardła. Gdy kawałek mięsa utkwił jej między zębami, wyciągnęła go bezwstydnie cienką bażancią kością, po czym wypluła z rozmachem i pociągnęła kolejny łyk trunku.

Wyraźnie usłyszał pukanie, które przyciągnęło jej uwagę.

– Proszę – powiedziała.

Zobaczył wchodzącego do komnaty Croke'a, dźwigającego wielkie wiadro wrzątku. Rozbawił go wyraz strachu i odrazy, który pojawił się na twarzy Melli. gdy jego sługa wszedł do komnaty. Z zachwytem zauważył, że dziewczyna zatrzymała wzrok na otwartych drzwiach, oceniając szansę ucieczki. Gdy Croke przystąpił do wypełniania drewnianej wanny wrzątkiem, uwięziona podniosła się od niechcenia z krzesła i zaczęła przesuwając ukradkiem

ku drzwiom. Olbrzym odwrócił się. ściskając w rękach pełne jeszcze wiadro.

– Nie radzę, panienko – powiedział tak cicho, że Baralis musiał wyteżać słuch, by zrozumieć słowa. Córkę Maybora wyraźnie zaskoczyło delikatne brzmienie jego głosu. Usiadła na miejsce. Croke wlał resztę wody do wanny. – Ostrożnie, panienko – ostrzegł ją. – Nie zapomnij dolać przed kąpielą mnóstwa zimnej wody. Od tego wrzątku zeszlaby ci skóra z pleców.

Wyszedł z komnaty i po krótkiej chwili wrócił z ubraniami, które bardzo ostrożnie położył na łóżku. Następnie pożegnał się z dziewczyną niezgrabnym ukłonem.

Baralis obserwował, jak Melli ogląda przyniesione jej szaty. Widział, że przypadły jej do gustu. Sądząc po szmatławej czerwonej sukni, którą miała na sobie, od dłuższego czasu nie było jej dane nosić pięknych ubrań.

Dziewczyna podeszła do wanny, zanurzyła w niej palec, po czym cofnęła szybko dłoń. Upewniwszy się, że Croke mówił prawdę, dolała całe wiadro zimnej wody. Baralis oblizwał wargi, gdy zaczęła rozwiązywać suknię. W swoim czasie widział wiele rozbierających się kobiet, zawsze jednak wydawało mu się to bardziej

interesujące, gdy nie wiedziały, że ktoś je obserwuje. W obecności kochanka kobieta wdzięczyła się i popisywała, wciągała brzuch i wypinała piersi. Gdy była sama, nie potrzebowała takich przedstawień. Mogła się garbić, drapać i pierdzieć.

Melli zdjęła szybko spódnicę, a następnie stanik. Wysoko ustawione, białe piersi zachwyciły Baralisa. Zwróciła się w stronę wanny. Kanclerz wciągnął gwałtownie powietrze. Na plecach miała sześć głębokich, czerwonych pręg. Nie mogły być starsze niż kilka dni, gdyż dwie z nich otaczała zakrzepła krew. Co to takiego? – pomyślał. Najemnicy nic nie wspominali o biciu. Nie mógł oderwać oczu od tego widoku. Nieskazitelna, piękna kremowa skóra, wspaniałe nogi i pośladki – wszystko to tworzyło cudowny kontrast ze straszliwymi, czerwonymi bliznami. Zamiast ujmować dziewczynie urody, podkreślały ją tylko swą obrzydliwością. Poczuł, że coś drgnęło mu w kroku.

Wzięła w rękę mydło, szczotkę oraz lnianą szmatkę – przybory potrzebne do kąpieli – po czym weszła ostrożnie do wody. Wylegiwała się w niej przez chwilę, ledwie wystawiając głowę nad powierzchnię. Baralis nie przestawał jej obserwować. Wreszcie namydliła szczotkę, którą wyszorowała stopy i nogi, by

potem zamienić ją na szmatkę, służącą do mycia wrażliwszych miejsc. Następnie wzięła się za plecy. Krzywiła się, gdy namydlona szmatka dotykała pręg. Odłożyła ją i pomacała ostrożnie ślady na skórze. Wyglądała na przestraszoną tym, co poczuła. Gdy wstała, z jej szczupłej postaci ściekały strumyki wody. Wyszła z wanny i rozejrzała się pośpiesznie po komnacie. Baralis domyślał się, czego szuka – zwierciadła. Ucieszył się, że nie zapomniał jej go dostarczyć.

Pobiegła do lustra, spryskując kosztowny dywan kropelkami wody, po czym odwróciła się do niego plecami, obracając głowę i szyję tak, by zobaczyć przyczynę swych cierpień. Jej wystraszona twarz pokryła się łzami na widok okropnych blizn. Melli padła na podłogę, łkając cicho.

Baralis odsunął się od kamiennej ściany. Na razie wystarczy tego podglądania. Widok płaczącej dziewczyny nie wzruszył go. Opuścił ostrożnie gobelin, zasiadł w wygodnym fotelu i napełnił kielich winem.

Skierował uwagę ku innym sprawom. Zastanowił się, czy Bringe otrzymał już list od niego. Z niecierpliwością pragnął wprowadzić w życie plan zniszczenia sadów Maybora. Przemknęła mu przez

głowę myśl, że lubi takich ludzi jak Bringe. Chciwych.



## 16

Tavalisk przebywał w pałacowej piwnicy, gdzie sprawdzał smak rozmaitych win.

– Nalej mi teraz puchar tego – rozkazał towarzyszącemu mu chłopcu.

– Za przeproszeniem Waszej Eminencji, nie wolno mi dotykać beczek. Wezwę głównego piwnicznego.

– Stanowczo ci tego zabraniam, chłopcze. Nie mogę znieść widoku tej świętoszkowatej kreatury. On nie ma pojęcia o winie. – Tavalisk uśmiechnął się miło.  
– Nalej mi tego czerwonego.

Sługa odkręcił z niechęcią kurek, napełnił puchar i podał go arcybiskupowi.

– Widzisz, chłopcze – stwierdził Tavalisk. – Już teraz sprawiłeś mi więcej przyjemności niż piwniczny. On podczas kiperowania nalewa mi tylko ćwierć pucharu.

Tłuścioch uniósł trunek pod światło, podziwiając jego intensywną barwę. Na widok zbliżającego się Gamila przez jego czoło przemknął cień irytacji.

– Czy Wasza Eminencja raczy mi wybaczyć, że zakłócam mu spokój?

– Cóż się znowu stało, Gamilu? Arcybiskup zakręcił kielichem.

– Mam wiadomość dla Waszej Eminencji. Gamil spojrzął znacząco na chłopca.

– Nie ma potrzeby odprawiać tego młodego człowieka, Gamilu. Jestem pewien, że można mu zaufać, a poza tym bardzo mi pomaga.

Tavalisk znowu obdarzył młodzieńca uśmiechem.

– Chodzi o drażliwe sprawy – nie ustępował Gamil.

– Nie sprzeciwiaj mi się! – Głos arcybiskupa był lodowato zimny. Tłuscioch zwrócił się w stronę chłopca, który poczerwieniał na twarzy. – Przynies mi kielich białego marlskiego – polecił. Sługa pognął do kolejnej beczki.

– Teraz możesz mówić, Gamilu.

– No więc, Wasza Eminencjo, dowiedziałem się, że w noc Wigilii Zimy, gdy wyczułeś zaczerpnięcie mocy, w zamku Harvell wybuchł pożar. Dotarły do mnie meldunki mówiące, że działy się tam wówczas dziwne rzeczy.

– Pozwól, niech zgadnę, Gamilu. Metalowe przedmioty były ciepłe przy dotyku? Uderzyła fala gorąca i mocy?

Wrócił chłopiec z pełnym pucharem. Tavalisk pociągnął łyk trunku.

– Tak, Wasza Eminencjo.

Arcybiskup posmakował wino, po czym wypluł je na posadzkę.

– Czary podlegają tym samym zasadom, bez względu na osobę praktykującego. Żeby rozgrzać metal, potrzebna jest jednak duża nadwyżka. Wygląda na to, że Baralisem kierowała desperacja, nie wyrachowanie. Uczył się w Leiss i powinien zdawać sobie sprawę, czym grozi tak nieumiarkowane użycie mocy. Przerwał, by wypić kolejny łyk wina.

– To białe marlskie jest naprawdę pyszne. Skosztuj go, proszę.

– Gamil wyciągnął rękę po kielich. Tavalisk zignorował jego gest i podał puchar chłopcu. – Z chęcią usłyszałbym twoją opinię o tym winie.

Odwrócił wzrok, by nie widzieć wyrazu wściekłości, który przemknął przez twarz sekretarza.

– Wasza Eminencja ma głęboką wiedzę na różne tematy.

– Moja wiedza o czarach płynie z doświadczenia, Gamilu. Jak ci wiadomo, bawię się nimi od czasu do czasu, tu drobne zaklęcie, ówdzie lekkie zaczerpnięcie mocy. Te czynności są jednak zbyt wyczerpujące

fizycznie, bym mógł im poświęcić wiele czasu. Nawet proste zadania, jak nałożenie przymusu na nierozumne zwierzę, potrafią osłabić na cały dzień. Czary męczą ciało w równym stopniu, jak umysł, bardzo przeciążają i głowę, i mięśnie.

Skinął na chłopca, każąc nalać sobie wina z kolejnej beczki.

– Ludzie błędnie wierzą, że magia pochodzi z ziemi i gwiazd. W rzeczywistości płynie ona z wnętrza i gdy się ją czerpie, strata daje się odczuć. Trudno przecież oczekiwać, by człowiek, który utracił kwartę krwi, funkcjonował normalnie. To samo dotyczy czarów. – Arcybiskup wziął z rąk sługi świeżo napełniony puchar.

– Osłabiają w zbyt wielkim stopniu, by można z nich korzystać na co dzień. Uciekam się do nich w razie potrzeby, ale na ogół wolę oszczędzać siły, z myślą o dobru Rornu. Czary nie są w stanie zastąpić sprytu.

Tavalisk skrzywił twarz. Wino wydało mu się ostre i kwaśne.

– Proszę, Gamilu, spróbuj tego – powiedział podając kielich sekretarzowi. – Masz jakieś wieści o naszym przyjacielu, rycerzu?

– Wrócił do Rornu, Wasza Eminencjo. Gdy tylko

zszedł z pokładu, skierował się do dzielnicy nierządu.

Gamil pociągnął ostrożnie łyk wina.

– Zapewne szukał swojej kurewki. No, Gamilu, wypij do dna. To wspaniały rocznik.

Tavalisk przyglądał się zmuszonemu do przełknięcia cierpkiego trunku sekretarzowi.

– Nie znajdzie jej. Wasza Eminencjo.

– Biorąc pod uwagę miejsce jej pobytu, nie ma na to zbyt wielkich szans. – Arcybiskup wyjął kielich z rąk Gamila. – Oczywiście nie chcę, żeby stała się jej krzywda.

– Oczywiście, Wasza Eminencjo.

– Zatrzymałem ją jedynie na wypadek, gdyby okazała się kiedyś użyteczna w rozgrywce z rycerzem. Jak rozumiem, był do niej bardzo przywiązany?

– Potwierdzają to wszystkie relacje. Wasza Eminencjo.

– Wkrótce będzie miał na głowie poważniejsze kłopoty.

– Co Wasza Eminencja ma na myśli?

– To, Gamilu, że już najwyższy czas, bym przystąpił do akcji przeciwko jego braciom. Rozważani pomysł wygnania ich z miasta. Rycerze z Valdis zbyt długo już mnie irytują. Odczuwam potrzebę przycięcia im skrzydeł. Mam dość ich posterunków w naszych

portach, ingerencji w nasz handel. Od chwili przejścia władzy przez Tyrena wzmocnili patrole. Twierdzą, że szukają przemycanych niewolników. Też coś! Nie dalej, jak w zeszłym tygodniu skonfiskowali ładunek korzeni wart sto sztuk złota. Powiedzieli, że pochodzi z piractwa! Nie można dłużej tego tolerować. Zasłaniają się szlachetnymi pobudkami, a w rzeczywistości chodzi im tylko o zysk. Obniżają ceny wyłącznie po to, by wejść na rynek. Prawie całkowicie zmonopolizowali handel solą, a nie muszę ci mówić, jak bardzo zagraża to naszym dalekomorskim rybakom, którzy potrzebują soli, by zakonserwować ryby. Nie mam nic przeciwko ludziom, którzy chcą zarobić parę sztuk złota, ale niech nie wspierają się przy tym hipokryzją.

Arcybiskup pomyślał, że te ostatnie słowa nieźle brzmią, i kazał Gamilowi zanotować je na użytek mas.

– Możesz już odejść – powiedział, gdy jego sekretarz skończył pisać. Skinął na sługę. – Należy dzban tego ostatniego wina dla mojego sekretarza, chłopcze. Widzę, że bardzo mu smakowało.

– Nie ma potrzeby, Wasza Eminencjo.

– Bzdura, Gamilu. To dla mnie czysta przyjemność. Możesz to uznać za nagrodę za swe pisarskie wysiłki.  
– Chłopiec przyniósł wielki dzban kwaśnego wina i

wręczył go Gamilowi. – Pamiętaj, by wypić je szybko. Jeśli będzie stało zbyt długo, może utracić swój specyficzny smak.

Gamil oddalił się, taszcząc z wysiłkiem ciężkie naczynie.

– Chodźmy do następnej beczułki, chłopcze – powiedział arcybiskup do młodego sługi.

Po kilku chwilach dał się słyszeć cichy odgłos kroków. Pojawił się wysoki, chudy mężczyzna.

– Och, główny piwniczny, twój widok zawsze mnie zachwyca. Właśnie mówiłem chłopcu, jak wysoko cenię twą opinię na temat wina.

Tawł omijał pokrywające ulice plugastwo. Smród zgnilizny i ekskrementów był przytłaczający. Mieszkańcy Rornu zostawiali deszczom oczyszczanie ulic z nieczystości, z nieba jednak od wielu tygodni nic nie spadło, wskutek czego nie sposób było uniknąć widoku i zaduchu odpadków.

Wczesnym rankiem pożegnał się z “Rybacką Szajką”. Żałował, że musi się rozstać z marynarzami, którzy stali się jego przyjaciółmi. Carver powiedział mu, że okazał się lepszym kucharzem od tego, którego zostawili na lądzie. Kapitan Quain uściskał z entuzjazmem jego dłoń i zapowiedział, że udzieli mu pomocy, jeśli tylko będzie jej potrzebował.

– Możesz zajrzeć do portu, kiedy tylko zechcesz – rzekł. – Z reguły można mnie tam zastać. Chyba, że jestem na morzu, oczywiście. Zawsze możesz liczyć na działkę rumu i pomocną dłoń.

Tawł ani przez chwilę nie wątpił w jego słowa. Kapitan nie był człowiekiem, który lekkomyślnie obiecywałby pomoc.

Wybrał się do dzielnicy nierządu w nadziei, że zobaczy się po raz ostatni z Megan i być może spędzi z nią noc, nim opuści miasto. Czuł, że musi z nią porozmawiać. Odkąd opuścił Larn, wciąż prześladowały go jej słowa: “To miłość uwolni cię od twych demonów, nie bohaterskie czyny”. Skąd mogła to wiedzieć? Bohaterskie czyny były wszystkim, co się liczyło. Były jedynym celem jego życia, ciężącym na nim przekleństwem. Owa tęsknota za nimi – za sławą i chwałą – prowadziła go przez całe życie. Poszukiwanie jej nieuchwytnego źródła stało się przyczyną jego zguby.

Odkąd sięgał pamięcią, zawsze pragnął zostać rycerzem. Codziennie, gdy łowił ryby, jego myśli wędrowały na wschód, do Valdis. Rycerze byli szlachetni: ratowali księżniczki z wież i toczyli długie walki z demonami.

By zostać jednym z nich potrzebne były pieniądze



na szkolenie. Dlatego zaczął sprzedawać wszystkie nadliczbowe ryby. Cztery dodatkowe sztuki każdego dnia oznaczały miedziany grosik co tydzień. Pewnego ranka obliczył, że będzie potrzebował piętnastu lat, by zbierać wymaganą sumę. Zwiększyło to tylko jego determinację.

Ukrywał oszczędności na dnie beczki z solą. Wielokrotnie, gdy brakowało im chleba lub łożu, czuł pokusę, by je oddać. W chwili śmierci matki miał już pełen kubek miedziaków. Później jednak przez długi czas było im tak ciężko, że w końcu był zmuszony wszystko wydać. Anna zachorowała na mokrą gorączkę, a dziecko, które miało już wówczas ponad rok, trzeba było ochrzcić. Nie miał wyboru. Był wściekły. Wyładowywał złość na siostrach. Awanturował się i dąsał, unieszczęśliwiając wszystkich. Nie zdawały sobie sprawy, jak ważne były dla niego oszczędności. Nie miały pojęcia, że rezygnując z nich, pożegnał się z czymś więcej niż tylko pieniędzmi.

Siostry czułością odzyskały jego sympatię. Sara przez cały tydzień łowiła za niego ryby, a chora Anna malowała kolorowe obrazki, leżąc w łóżku. Może jednak go rozumiały, tyle że nie potrafił tego dostrzec.

Trudno mu było widzieć sprawy jasno. Miał

rodzinę i nic poza nią. Odpowiedzialność była zbyt wielka. Podejmował się każdej pracy, jaką zdołał znaleźć – jako parobek, pomocnik oberżysty, zbieracz torfu. Zawsze znajdowała się robota dla kogoś, kto był gotów przyjąć zapłatę w towarach, nie pieniądzach. Godziny pracy były długie i wyczerpujące. Całymi tygodniami nie oglądał chaty za dnia.

Tylko wczesnym rankiem miał trochę czasu dla siebie. Oszczędności mogły zniknąć, ale marzenie pozostało. Był silny. Wiedział o tym, odkąd sięgał pamięcią. Jego glinianka była cenna i wiele razy bronił jej przed intruzami. Teraz już nikt nie ważył się go atakować. Miejscowy kapłan powiedział mu, że sama siła to za mało, by zostać rycerzem. Dlatego każdego ranka oprócz noża w jego kieszeni spoczywała książka. Nie rozumiał zbyt wiele ze słów staruszka Maroda, lecz jeśli umiejętność czytania była ważna, zamierzał ją osiąść. Nawet po utracie miedziaków, idąc na ryby, zabierał ze sobą książkę. Powtarzał sobie, że to przyzwyczajenie, że tom przydaje się do przyciskania linki, że staruszek Marod może okazać się użyteczną bronią, gdyby ktoś na niego napadł. Prawda jednak kryła się głębiej: dopóki miał książkę, istniała nadzieja. Jeśli nadarzy mu się kiedyś szansa, by zostać rycerzem, a w jego marzeniach zawsze się nadarzała,

będzie gotowy. Najdokładniej jednak pamiętał drwiny. Chłopcy ze wsi nigdy nie ważyli się atakować go w pojedynkę. Zbierali się w bandy i gdy tylko zauważyli, że idzie na targ z siostrami u boku i dzieckiem w koszu, śmiali się, przezywali go “dobrą żoną” i kazali wracać do domu dać dziecku cyca. Sara i Anna ciągnęły go za rękę, błagając, by się oddalił. Tylko strach w ich głosach powstrzymywał go przed wdaniem się w bójkę.

Pewnego dnia jednak poszedł na targ sam. Do dziś wyraźnie pamiętał błękitne, pełne much niebo i pewny grunt pod stopami. Przyczyną jego zguby stał się barani udziec.

Zbliżało się Letnie Święto. Obiecał siostrom ucztę. Dla żywiących się tylko rybami i gęsiami dziewczyn barania noga była niewyobrażalnym luksusem, a bez względu na to, jak mocno go irytowały, lubił widok zachwyty na ich twarzach. Kazał Sarze rozpalić ogień w palenisku. Była już dwunastoletnią dziewczynką. Anna miała osiem lat, a dziecko niedawno skończyło trzy.

Jego krok był sprężysty i radosny. Nie tylko kupi barani udziec, lecz zostanie mu jeszcze trochę miedziaków na wstążki i konfitury. Sara i Anna wiązały włosy tylko sznurkiem. Widział, jakim

wzrokiem spoglądały na wiejskie dziewczyny, noszące we włosach jaskrawe bukieciki. Też chciałyby takie mieć, lecz nigdy nie odważyły się o to poprosić. Obie wiedziały, że brakuje im pieniędzy. Nie chciały dodatkowo utrudniać mu życia, prosząc o rzeczy, na które nie mogli sobie pozwolić. Były dobrymi dziewczynami. Nie wiedziały jednak, że od chwili, gdy dziecko odstawiono od piersi i usługi mamki przestały być potrzebne, zawsze miał nadliczbowe ryby na sprzedaż. Nie zaoszczędził wiele, ale mógł im sprawić niespodziankę na Wigilię Lata.

Kupił baraninę, która była włóknista i trochę zbyt twarda. Nie miał doświadczenia w targowaniu się i zapłacił żadaną cenę.

Gdy wracał, trudno mu było opędzić się od much, które latały brzęcząc wokół i próbowały usiąść na mięsie. Gdy tylko wyszedł z osady, usłyszał czyjś głos:

– Hej. maminsynku, lepiej leć do domu przypiec mięsko! Rozległy się śmiechy. Tawł nie obejrzał się. Szedł cały czas przed siebie.

– Masz kłopot z muchami? Zapach dziewczyn je przyciąga. To był drugi głos. Znowu usłyszał chichoty.

– Niedługo wyrosną ci cycki. Tawł odwrócił się błyskawicznie.

– Jeszcze jedno słowo, a was zabiję!

Z satysfakcją zauważył, że się wzdrygnęli. Znał ich dobrze. Przywódca bandy uśmiechnął się głupkowato.

– A jak to zrobisz, gosposiu? Otrujesz nas swoimi smakołykami? Coś w nim pękło. Rzucił się przeciwnikowi do gardła. Nim zdążył się zorientować, już ścisnął go w dłoniach. Twarz chłopaka zrobiła się czerwona, a potem fioletowa. Ktoś kopnął Tawla od tyłu. Odwrócił się błyskawicznie i zdzielił napastnika w twarz. Kości trzasnęły pod jego palcami. Trzeci skoczył mu na plecy. Zrzucił go z taką wściekłością, że chłopak wylądował na długość konia od niego. Czwarty zawahał się, wyraźnie przestraszony. Tawl dogonił go i obalił na ziemię. Kopał go tak długo, aż opuścił go szal.

Ziemię i jego ubranie splamiła krew. Udziec leżał w pyłe drogi. Powalił czterech przeciwników. Piąty postąpił rozsądnie i uciekł.

Tawl był bliski łez, nie z powodu walki, lecz wstążek i mięsa. Wszystko się zmarnowało. Nie mógł znieść myśli, że rozczaruje siostry. Podniósł udziec, starając się otrzepać go z piachu. Wstążki były okrwawione, ale może się dopiorą.

Ruszył ku domowi, trzymając koszyk w ręku. Utykał lekko po ciosie w nogę. Po krótkiej chwili usłyszał za plecami czyjeś kroki. Zamarł,

przygotowany do kolejnej bijatyki.

– Jesteś silny, gdy ogarnie cię gniew, młody człowieku. – Tawl obejrzał się za siebie. W jego cieniu stał jakiś mężczyzna, sądząc po barwie skóry i akcencie – cudzoziemiec. – To było wspaniałe widowisko. Jesteś zawzięty, ale brakuje ci wykszolenia.

– Nie pytałem cię o zdanie, nieznajomy.

Przyjrzał się mężczyźnie. Włosy i oczy miał ciemne. U pasa nosił miecz, na piersi zaś sztylet. Ciemnoniebieski płaszcz nadawał mu dostojny wygląd, a porządnie natłuszczone skóry sugerowały zamożność.

– Jestem człowiekiem, który zwykł dostawać to, czego chce. Nie zamierzam owijać w bawełnę. Chcę ciebie. – Rozciągnął wargi w czymś na kształt uśmiechu. – Jestem Tyren, rycerz z Valdis.

Tawl zbliżał się już do dzielnicy nierządu. Rozpaczliwie pragnął zobaczyć Megan. Przeszłość ciążyła mu coraz bardziej. Potrzebował czułości, która pomoże mu zapomnieć.

Poczuł gorzkie rozczarowanie, gdy nikt nie odpowiedział na pukanie do jej drzwi. Włamał się do pokoju i oderwał kawałek ciemnozielonego płaszcza, by ją powiadomić, że tu był. Listu nie potrafiłaby

przeczytać.

Poświęcił chwilę, by rozejrzeć się po izbie. Megan z pewnością nie było tu już od kilku dni. Po podłodze biegały szczury, po kawałku rozkładającego się ciasta łąziły muchy, a stół i krzesło pokrywała gruba warstwa kurzu. Była dziewczyną lubiącą czystość. Zdziwiony Tawl przyjrzał się uważniej. Jej nieliczne suknie i inne rzeczy pozostały na miejscu. Zajrzał pod ciężki kamień obmurza paleniska, pod którym trzymała pieniądze. Nie znalazł tam złotych monet. Westchnął ze smutkiem. Zabrała pieniądze i wyjechała. Nie mógł mieć do niej pretensji – sam ją przecież do tego namawiał – nie spodziewał się jednak, że usłucha go tak szybko.

Przebiegł palcami po włosach. Lepiej, że tak się stało. Mógłby zostać tylko na jedną noc. Potem musieliby znowu się rozstać, po raz drugi zadając sobie ból. Zamknął za sobą roztrzaskane drzwi.

Szedł przez chwilę pełnymi brudu ulicami, zdumiewając się ciepłem promieni słońca. Na bagnach o tej porze panował przejmujący chłód. Wyjął zza pasa oba powierzone mu listy. Zadrzał na widok zdobiącego woskowe pieczęcie ozdobnego inicjału “L”. Poczucie się znacznie lepiej, kiedy się ich pozbędzie. Nigdy nie słyszał o ulicach, na które miał je odnieść, zatrzymał

więc przebiegającego obok chłopca.

– Hej, młodzieńcze.

Chłopak podniósł wzrok, zaskoczony, że ktoś go woła.

– Mówisz do mnie? – zapytał, stając jak wryty.

– Tak, do ciebie. Może mógłbyś mi pomóc. Potrzebuję kogoś, kto zaprowadziłby mnie na dwie ulice.

– A co będę z tego miał?

Chłopiec spojrział mu prosto w oczy. Tawł nie mógł nie uśmiechnąć się na tak jawne zuchwalstwo.

– A ile byś chciał dostać?

– Dwa miedziaki – odparł z szybkością błyskawicy. Tawł omiótł go wzrokiem. Dzieciak liczył sobie nie więcej niż jedenaście lat. Odziany był w nędzną, podartą, bawełnianą bluzę. Wyglądał tak, jakby od kilku dni nic nie jadł.

– Nie dam ci pieniędzy, młodzieńcze, ale obiecuję ci gorący posiłek.

Tawł wyraźnie widział, że chłopiec zastanawia się nad jego propozycją.

– Skąd mam wiedzieć, że mnie nie wyrolujesz, kiedy już zaprowadzę cię na miejsce?

– Daję ci słowo.

– Ludzie u nas mówią, że słowo cudzoziemca jest



warte tyle, co nic.

– Uważasz, że jestem cudzoziemcem?

– Widać to tak wyraźnie, jak moją lewą stopę. Tawł stłumił uśmiech.

– A co, jeśli ci powiem, że jestem rycerzem i zawsze dotrzymuję słowa?

Pokłonił się lekko, przyglądając się rozważającemu jego oświadczenie chłopcu.

– Proszę bardzo, zaprowadzę cię gdzie trzeba. Nie dlatego, że zaimponowało mi, że jesteś rycerzem. Wcale w to nie wierzę. Pójdę z tobą, bo nie mam w tej chwili nic lepszego do roboty i chętnie rozruszam nogi. Oczywiście będziesz mi winien ten gorący posiłek.

– Jestem wdzięczny za twoją pomoc. Muszę trafić na ulicę Morwową i ulicę Tassock.

Chłopiec zagwizdał.

– Ubiłeś korzystny interes.

– A to dlaczego?

– Dlatego, że obie ulice leżą na drugim końcu miasta. Ostrzegam, że czeka nas długi spacer. Widzę, że masz wysoko postawionych znajomych.

– Niby dlaczego?

– Dlatego, że ulica Morwowa nie jest dla takich, jak ty i ja. Mieszkają tam sami ważniacy.

Chłopak wyraźnie był pod wrażeniem.

– No to chodźmy – zażądał Tawl. Nie obchodziło go, dla kogo przeznaczone są listy. Chciał tylko jak najszybciej spełnić obowiązek posłańca i ruszyć w dalszą drogę.

– Jak masz na imię? – zapytał chłopca, gdy ruszyli wzdłuż ulicy.

– Ty powiedz mi pierwszy.

– Tawl.

– To wszystko? – Chłopak był wyraźnie rozczarowany. – Myślałem, że rycerze noszą długie, wymyślne imiona, jak Culvin Waleczny czy Rodderick Odważny.

– Te wspaniałe przydomki dostajemy dopiero wtedy, gdy zginiemy śmiercią bohaterów.

Oczy Tawla zaślnęły wesoło. Chłopakowi wyraźnie spodobała się jego odpowiedź. Nie odzywał się przez dłuższą chwilę, prowadząc rycerza ciągiem zaułków.

– Coś ci poradzę, Tawl, jeśli można. – Mówił konspiracyjnym szeptem. – Na twoim miejscu nie opowiadałbym nieznanym, że jestem rycerzem. W tej chwili nie jesteście zbyt lubiani w Rornie, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Czyżby doszło już do tego? Czy opinia o rycerzach stała się tak kiepska, że nawet ulicznicy ostrzegali go przed ujawnianiem swej tożsamości? Czegóż jednak

oczekiwał? Rorn i Valdis od dawna już były wrogami. Pragnął wierzyć, że owa rywalizacja była jedyną przyczyną nienawiści do jego zakonu, lecz coraz trudniej przychodziło mu ignorować pogłoski. Wiedział, że Valdis nigdy nie odpowiada na krytykę – nie leżało to w zwyczajach rycerstwa – lecz choć szanował tę tradycję milczenia, dostrzegał również wyrządzone przez nią szkody. W gruncie rzeczy, sam padł jej ofiarą. Arcybiskup uznał, że może go więzić i torturować przez cały rok, ponieważ wiedział doskonale, że Valdis nic w tej sprawie nie zrobi.

– Swoją drogą, mówią na mnie Kosiarz – odezwał się nagle chłopiec, wyrrywając go z zamyślenia.

– No cóż, Kosiarzu, ponieważ wydaje się, że wiesz bardzo dużo o Rornie, może poradzisz mi, co powinienem ci kupić na kolację?

– Najlepsze danie w mieście to pasztet z węgorza. Zjem kawałek, ze smażonymi rybimi ogonami i zupą z porów. Bez marchewki, oczywiście.

– Oczywiście – powtórzy! machinalnie Tawl. Myślami przebywał daleko na zachodzie, w Valdis.

Maybor był zajęty przymierzaniem nowych szat. gdy pojawił się sługa.

– O co chodzi. Crandle?

– Właśnie dostarczono list do ciebie, panie.

Ptasznik czeka na twą odpowiedź. Jest bardzo podekscytowany. Mówi, że pismo przyniósł orzeł.

– A od kogo ono pochodzi? – zapytał Maybor z roztargnieniem w głosie. Przymierzał akurat szczególnie wspaniałą bluzę, podziwiając swe odbicie w nowym zwierciadle.

– Nie mam pojęcia, panie.

– Powiedz mi, Crandle, czy nie uważasz, że ta bluza jest trochę za ciasna? Mój krawiec zapewnia, że pasuje idealnie. – Uderzył od niechcienia nieszczęsnego rzemieślnika w twarz. – Uważaj z tymi szpilkami, ty zasmarkany przygłupie!

– Myślę, że pasuje znakomicie, panie.

– Cóż, Crandle, jestem skłonny sądzić, że masz rację. Czuję się w niej jak... jakby to ująć?

– Jak król – odpowiedział Crandle.

– Tak jest. Powiedz mi więcej o tym liście. – Zwrócił się w stronę krawca. – Możesz już iść. Pamiętaj, że życzę sobie na wszystkich szatach więcej haftów i klejnotów. W tej chwili jest na nich stanowczo za mało ozdób. – Rzemieślnik opuścił komnatę, zabierając ze sobą swą robotę. – Cholerny dureń. Nie ma pojęcia, jak robić porządne szaty. Będę musiał wysłać do Brenu po jakiś porządny strój, a to potrwa prawie dwa miesiące. Gdyby Baralis był tu w

tej chwili, z radością gołymi rękami wycisnąłbym życie z jego zdradzieckiego cielska. Na czym to stanęliśmy?

– Na liście.

– Tak, tak. Pozwól mi na niego spojrzeć, człowieku. Musi być bardzo pilny. Jeśli przytwierdzono go do nogi ptaka. – Crandle wręczył pismo Mayborowi, który przyjrzał mu się uważnie. – Idź już!

Wielmożę ogarnęło lekkie podniecenie. List niewątpliwie pochodził z bardzo daleka. Litery na jego zewnętrznej stronie były napisane w nieznanym mu stylu. Zerwał pieczęć i rozwinął kartkę. Nie czytał biegle, co w połączeniu z niezwykłym charakterem pisma sprawiło, że odcyfrowanie treści było dla niego dość trudne. Gdy wreszcie zdobył pewność, że zrozumiał, co mówi list, usiadł na krawędzi łoża, pocierając w zamyśleniu brodę.

Siedział tak przez pewien czas, pogrążony w myślach. Po chwili usłyszał pukanie do drzwi. Miał już zamiar kazać słudze odejść, gdy do komnaty wszedł jego najstarszy syn, Kedrac.

– Ojczy, jesteś jakiś blady. Co się stało?

– Nic, mój chłopczy. Czuję się bardzo dobrze. – Popatrzył na list, a potem znowu na syna. Podjął decyzję. – Właśnie otrzymałem interesującą

propozycję.

– Od kogo?

W głosie Kedraca brzmiał udawany brak zainteresowania.

– Nie jestem pewien... Mógłbym spróbować zgadnąć, ale nie zrobię tego. Wystarczy, że powiem, iż jestem przekonany, że pismo pochodzi od bardzo potężnej i wpływowej osoby.

Maybor zauważył, że syn zaczął go słuchać uważniej.

– A co proponuje ta potężna i wpływowa osoba, ojcze?

– Swego rodzaju sojusz. – Maybor starannie dobierał słowa. – Sugeruje, że łączą nas wspólne interesy i powinniśmy połączyć wysiłki.

– Mówisz zagadkami, ojcze.

– Baralis! – krzyknął gniewnie Maybor. – Człowiek, który wysłał ten list, chce pokazać temu obrzydliwemu parweniuszowi, gdzie jest jego miejsce.

– Z pewnością nie potrzebujemy takiego sojuszu, ojcze. Czy nie możemy pozbyć się Baralisa o własnych siłach? Powiedz tylko słowo, a sam poderżnę jego podstępne gardło.

– Nie – ostrzegł go Maybor, wracając pośpiesznie myślą do losu skrytobójcy. – Rozkazuję ci trzymać się

od niego z dala – powiedział ostrym tonem. Oczy ojca i syna spotkały się na krótką chwilę i to młodszy z mężczyzn odwrócił wzrok.

– Cóż więc zrobisz w sprawie tego listu, ojcze?

– Odpowiem, że jestem zainteresowany sojuszem. Postaram się nie okazać zbyt wielkiego podniecenia i będę nalegał, by nadawca się przedstawił.

Kedrac skinął z aprobatą głową.

– Skąd będziesz wiedział, dokąd wysłać odpowiedź?

– Czeka na nią ptasznik. Napiszę list jeszcze dzisiaj.

– Tej osobie musi bardzo zależeć na układzie, jeśli użyła gołębia.

– Orła – poprawił go Maybor. Obaj zamilkli na chwilę. Mówiono, że jedynie czarami można zmusić te ptaki do odgrywania roli posłańców. Wielmoża uznał, że rozsądniej będzie zmienić temat.

– Powiedz mi, czy masz jakieś wieści o swej przeklętej siostrze?

– O tym właśnie chciałem porozmawiać. Poszukiwania nie idą dobrze. Nie ma jej już od dwudziestu czterech dni. Trop ostygł. Królewscy strażnicy przeczesali cały las i pobliskie wioski. Nie znaleźli zupełnie nic.

– Melliandra nie mogła zniknąć bez śladu. Musi gdzieś być.

– Doszły nas pewne pogłoski.

– Jakie?

– Podobno w Duvitt ubiczowano dziewczynę, której opis pasuje do niej.

– Duvitt! Ta zdradziecka miejscina leży pięć dni szybkiej jazdy stąd. Nie mogła dotrzeć tak daleko na piechotę.

– Wiemy już, że pierwszego dnia ucieczki kupiła w Harvellu konia.

– Ale nikt nie odważyłby się ubiczować córki szlachcica, Kedracu. To z pewnością bzdura, która uległa się w gnuśnych łbach. – Rozważył przez chwilę tę sprawę. – Zbadaj to jednak. Nie zlecaj tego zadania Królewskiej Straży. Wyślij do Duvitt jednego ze swych zaufanych ludzi. Niech sprawdzi tę pogłoskę. Czas ucieka. Trzeba ją wreszcie odnaleźć.

– Tak jest, ojcze. Zajmę się tym natychmiast.

Maybor popatrzył w ślad za wychodzącym z komnaty synem. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, raz jeszcze odczytał treść listu. Na jego wargach pojawił się cień uśmiechu. To było doprawdy bardzo interesujące. Zasiadł wygodnie za biurkiem i przystąpił do pracochłonnego skrobania odpowiedzi.



Baralis wracał ze spotkania z królową, które odbyło się w komnacie audiencyjnej. Wręczył Arinaldzie lekarstwo dla króla, oczywiście silnie rozcieńczone. Był bardzo zadowolony. Królowa z niechęcią przyznała, że poszukiwania Mellindry nie idą dobrze. Nie tylko nie wpadli na prowadzący do niego ślad, lecz w ogóle nie znaleźli żadnego śladu. Baralisa to nie dziwiło. Królewska Straż słynęła jedynie z tego, że dobrze się prezentuje w mundurach!

Minęło już wiele dni, odkąd założył się z królową. By wygrać zakład musiał jedynie przetrzymać dziewczynę przez kilka tygodni. Jakże wiele wówczas osiągnie! Jego plany *zaczną* wreszcie przynosić owoce. Zmusi królową do ożenienia Kylocka z Catherine z Brenu, jedynym dzieckiem diuka. To będzie najważniejsze małżeństwo w historii Znanych Krain. Kylock będzie władał dwoma największymi mocarstwami północy. Gdy potężne armie Brenu i Czterech Królestw połączą się ze sobą, będzie mógł zmiążyć pozostałe północne państwa. Halcusowie już w tej chwili byli osłabieni, dzięki staraniom Baralisa Padną też Annis i Highwall oraz wszystkie miasta na wschodzie, aż po Ness. Kylock będzie władał najpotężniejszym państwem w historii. On, Baralis, syn chłopa, będzie twórcą królów,

budowniczym imperium.

Książę należał do niego. Oczarowywał go stopniowo z subtelnością większą niż zawarta w uśmiechach kurtyzany. Tu wabiąca rozmówka, ówdzie zapowiedź wielkości, czy prowokacyjne użycie mocy i miał młodzieńca w ręku. Podobnie jak sam Baralis, pragnął on posiąść wiedzę o siłach ukrytych przed wzrokiem i dotykiem. Było to bardzo łatwe. Chłopak od urodzenia był samotny i wiedział o tym. Nie potrafił zyskiwać przyjaciół i stopniowo wycofywał się do pełnego udreki świata wewnętrznego. Był na granicy obłądu. Łatwo będzie nim pokierować. Po to właśnie się narodził!

Kanclerz wyszedł na dziedziniec. Gdy tylko się upewnił, że nikt go nie obserwuje, wśliznął się ukrytym wejściem do prowadzącego do schronienia tunelu. Myśleć o przyszłości to jedno, a kształtować ją to coś całkiem innego. Nie pozwoli, by ktokolwiek, bez względu na to jak mały i nieważny, stanął mu na drodze. Nadszedł już czas, by przesłuchać piekarczyka.

Jack siedział na drewnianej ławie, podciągając nogi do piersi, by się ogrzać. Nie miał płaszcza, gdyż podał go, chcąc obandażować plecy Melli. W ostatnich dniach nie brakowało mu czasu na myślenie. Był zupełnie sam. pomijając strażnika, który pojawiał się

od czasu do czasu, żeby mu pourągać.

Od pamiętnego ranka, gdy zmienił bochny, zmieniło się bardzo wiele. Nie było sensu zaprzeczać, że ten incydent się wydarzył. Wydarzył się i to on był za niego odpowiedzialny. Zatem to, kim był, zależało od tego, z kim rozmawiał. Tradycja nazywała go demonem, Falk zaś człowiekiem zdolnym wybierać dobro lub zło.

Czuł narastającą wewnątrz moc już zbyt wiele razy, by mógł się tego wyprzeć. Odróżniała go ona od reszty ludzi, ale czy był w niej jakiś cel, czy też spadała na człowieka przypadkowo, jak jesienne liście? Zawsze kryło się w nim coś, co go przekonywało, że jest inny niż wszyscy. Zwykł sądzić, że powodem jest brak korzeni. Jego matka była pełna tajemnic, a ojciec nieznany. Przekonanie, że jest kimś szczególnym, stanowiło formę ucieczki. Wyobrażał sobie, że jego ojciec był szpiegiem, rycerzem, królem, a matka cygańską księżniczką, ukrywającą się przed rodziną. Podobne romantyczne rojenia osładzały jego dzieciństwo, Niemniej jednak w spadku po jednym z rodziców otrzymał moc. Czy łączyły się z nią jakieś zobowiązania? Czy należało z niej korzystać, czy ją ukrywać?

Przepracował kilka lat jako skryba Baralisa i

wiedział o niektórych jego umiejętnościach. Czy jego przeznaczeniem było upodobnić się do kanclerza? Stać się człowiekiem, który więcej ukrywał niż ujawniał i był postrachem małych dzieci? Człowiekiem, na którego widok wszyscy wykonywali chroniące przed złem znaki, gdy tylko odwrócił się plecami? Podniósł wzrok, usłyszawszy skrzypienie drzwi. Na progu stał Baralis. Chłopaka nie zdziwił jego widok. W gruncie rzeczy, poczuł nawet ulgę. Czekanie nie sprawiało mu przyjemności. Czas już wszystko wyjaśnić. Zaczął wstawać z ławy, lecz kanclerz powstrzymał go, unosząc rękę.

– Nie, Jack, siedź. – W jego gładkim głosie brzmiał rozkazujący ton. – Wiesz, po co tu przyszedłem?

– Żeby mnie wypytać.

Podniósł się na nogi, rzucając wyzwanie kanclerzowi. Nie miał zamiaru patrzeć na niego z dołu.

Przez twarz Baralisa przemknął wyraz irytacji. Nie dał się jednak sprowokować Jackowi.

– Przyszedłem poznać prawdę. – Postąpił krok naprzód. Jego cień padł na młodzieńca. – Kim jesteś. Jack? Dla kogo pracujesz? – Mówił niemal szeptem. – Co się wydarzyło owego ranka w kuchniach?

Jack potrząsnął głową. Bał się, lecz za nic w świecie nie zamierzał tego okazać przed Baralidem.

– Nie chcesz mi odpowiedzieć, chłopcze?  
– Nie mogę powiedzieć tego. czego sam nie wiem.  
– Nie igraj ze mną, chłopcze. Pożałujesz tego.  
Bochny. Jack – ciągnął cichym, niosącym groźbę głosem. – Obaj wiemy, że zostały... zmienione. Powiedz mi, co się stało. Czy ćwiczyłeś czerpanie mocy i straciłeś nad nią panowanie?

– Nie wiem. – Starał się opanować drżenie głosu. – Jeśli nawet coś zrobiłem, to niechcący.

Powiedział prawdę, lecz nie zapewniało mu to ochrony. Nigdy w życiu tak się nie bał.

Baralis zastanawiał się przez chwilę. Jego szare oczy miały barwę mieczy.

– Powiedz mi, chłopcze, czy to już ci się kiedyś przydarzyło?

– Nigdy.

– Daj spokój. – Głos Baralisa przywodził na myśl jedwabną pochwę z ukrytym w środku sztyletem. – Jakaś sztuczka, żeby zaimponować dziewczętom? Psota, by dokuczyć Frallitowi? Czego dokonałeś przedtem?

– Niczego. Z tymi bochnami to był przypadek.

– Przypadek! Mocy nigdy nie czerpie się przypadkowo. Jack poczuł jakieś poruszenie, nacisk zbliżony do tego, który dręczył go uprzednio, lecz

trochę inny. Minęła chwila, nim zdał sobie sprawę, że wrażenie nie pochodzi od niego, a od Baralisa. Strach przytłumił jego świadomość. Zostało w niej miejsce tylko na myśli o ocaleniu życia.

Głos kanclerza stał się głośniejszy. Jack nigdy nie widział u niego podobnej wściekłości.

– Patrz na mnie, chłopcze. – Przygniół go ciężar woli przesłuchującego. Spojrzał mu w oczy. – Powiedz prawdę. Skąd przyszła twoja moc? – Głowa Jacka zrobiła się ciężka. Ugniatała ją siła, której nie potrafił nazwać. Bał się, że się zatraci, że siła woli Baralisa zmiążdży jego umysł.

– Nie wiem.

Nacisk zelżał nieco. Chłopak poczuł atak mdłości. Kanclerz zapanował nad nim.

– Ależ wiesz. Jack. Wszystkie odpowiedzi kryją się w twojej głowie. Jeśli nie zechcesz mi ich zdradzić, będę zmuszony wyrwać je z ciebie siłą.

Co dziwne, słowa Baralisa wyraźnie odciskały się na tle całego tego cierpienia niczym żarzące się w mroku węgielki. Czy kanclerz miał rację i odpowiedzi faktycznie kryły się w jego głowie?

Ostre ukłucie bólu, po którym nastąpił niemożliwy do wytrzymania nacisk, przegnało wszystkie myśli o odpowiedziach. Miał wrażenie, że w jego mózgu

dokonano setek małych nacięć. Chirurgiem był Baralis.

– Dla kogo pracujesz? Powiedz mi.

– Nie pracuję dla nikogo. – Ból dodał Jackowi sił. – Daj mi spokój!

Coś w nim narastało, coś, co pochodziło od niego. Żółć podeszła mu do gardła. Mdłości były tak silne, że aż dostał zawrotów głowy.

Baralis cofnął się na chwilę. Sekundę później Jacka ogarnął straszliwy ból. Przebiegał mu wzdłuż kręgosłupa. Jakaś siła wpychała mu oczy w głąb czaszki. Miał wrażenie, że kanclerz próbuje wyszarpnąć z niego źródło mocy.

– Wydobędę z ciebie odpowiedzi – warknął.

Wdarł się do jego umysłu. Przeszukiwał go, grzebał głęboko w jego jaźni. Ból był wszechogarniający. Trawił samą duszę chłopaka. Myśli Jacka zapadły się do miejsca, w którym nigdy dotąd nie był. Cierpienie przyniosło mu spokój. Wszystko stało się jasne. Wiedział, kim jest i co musi zrobić. Była z nim jego matka. Poznał jej tajemnice. Okazała się znacznie sprytniejsza i odważniejsza niż mu się dotąd zdawało. Skryty w cieniu był jego ojcem. Jack wyteżył wzrok, by ujrzeć go wyraźniej. Jego ciałem targnął spazm. Starał się go powstrzymać. Nie chciał zatracić się w sile umysłu Baralisa.

Ból był tak straszliwy, że zaparł mu dech w piersiach. Wizje umknęły, zabierając ze sobą światło. Została tylko ciemność. Walczył dalej samotnie, aż wreszcie zapomniał o wszystkim.

– A nie mówiłem, że ulica Morwowa wygląda wspaniale? Kosiarz popatrzył na Tawła, oczekując potwierdzenia.

– W rzeczy samej, mówiłeś.

Znajdowali się w dzielnicy Rornu, której rycerz nigdy jeszcze nie widział. Wzdłuż ulicy stały piękne budynki o eleganckich kolumnach i ścianach wyłożonych marmurem oraz lśniącym białym kamieniem. Aleję obsadzono gustownie drzewami i krzewami. Nigdzie nie dostrzegało się gnijących jarzyn. Nawet samo powietrze miało przyjemną woń. Tawł przed chwilą doręczył pierwszy z listów z Larnu i niecierpliwie pragnął uczynić to samo z drugim.

– Niecały rzut kamieniem stąd stoi pałac arcybiskupa – poinformował go Kosiarz. Mały ulicznik okazał się skarbnicą informacji na temat Rornu. Urozmaicał ich wędrówkę na ulicę Morwową, machając ręką na przywitanie do każdego mijanego przez nich podejrzanego typu. – Jeśli ci się wydaje, że dom, w którym zostawiłeś list, był piękny, to powinieneś sobie obejrzeć ten pałac. Zaprowadzę cię



tam, jeśli chcesz.

– Innym razem. Chodźmy na ulicę Tassock, Kosiarzu. – Tawl nie wiedział, dlaczego tak niecierpliwie pragnie spłacić dług wobec Larnu. Miał wrażenie, że dopóki nie doręczy listów, wyspa może rościć sobie do niego uzasadnione pretensje. – Czy to daleko stąd?

– Niedaleko, ale tam nie jest tak ładnie, jak tutaj.

Tawl usłyszał to z radością. Na ulicy Morwowej nie podobało mu się w najmniejszym stopniu. Miał wrażenie, że pod całym jej splendorem kryje się coś cuchnącego.

Po krótkiej chwili okolica zmieniła się. Po ulicach łazili ludzie, a sprzedawcy oferowali swe towary, kusząc przechodniów do nabycia gorących kasztanów, zapiekanki z cebulą, czy bułeczek nadziewanych aromatycznie przyprawioną baraniną. Rycerz widział, że jego towarzysz jest głodny. Podziwiał chłopca, który ostentacyjnie omijał, nawet nie rzuciwszy okiem, wszystkie smakołyki. Był zdecydowany pokazać Tawlowi, że dotrzyma umowy, nim zażąda zapłaty.

Obaj pokonali jeszcze kawałek drogi, po czym Kosiarz skręcił w wąski zaułek.

– Ulica Tassock – oznajmił. Panował w niej półmrok, gdyż resztkę światła dnia przesłaniały

budynki. Mieszkało tu wielu rzemieślników zajmujących się naprawą butów, malowaniem szyldów czy wyrobem siodeł, wyglądało jednak na to, że żaden z nich nie ma w tej chwili zbyt wielu klientów.

Rycerz kazał chłopcu zaczekać i sam zagłębił się w zaułek. Kapłan polecił mu oddać list człowiekowi mieszkającemu nad małą piekarnią. Zaczynał już sądzić, że doszło do jakiejś pomyłki. Pokonał niemal całą długość uliczki i nie znalazł podobnego miejsca. Widział przed sobą zamykający ją ślepo mur, gdy jednak do niego podszedł, zauważył, że ostatni budynek w istocie jest piekarnią. Tawl wszedł do sklepiku. Nieliczne towary, które oferowano tam na sprzedaż, nie były ani świeże, ani apetyczne.

Kobieta siedząca za ladą. sprawiająca wrażenie zmęczonej, nie kryła wrogości.

– Czego tu? – zapytała.

Rycerz pomyślał, że to osobliwe, by sprzedawczyni tak traktowała klientów.

– Przyniosłem list dla człowieka, który mieszka na górze.

– Naprawdę? A od kogo?

– Obawiam się, że nie mogę tego zdradzić. – Kobieta prychnęła głośno i Tawl postanowił, że nie zostawi listu w jej rękach. – Byłbym wdzięczny,

gdybyś mogła wskazać mi kierunek.

Kobieta prychnęła po raz drugi, podniosła się jednak na nogi.

– Chodź za mną.

Poprowadziła go na zaplecze, gdzie znajdowały się wąskie schody. Na górze był korytarz, w nim zaś troje drzwi.

– Zapukaj do drugich drzwi – powiedziała kobieta.

– Skąd wiesz, o kogo mi chodzi? Nie wymieniłem jego imienia.

– Zapukaj do drugich drzwi – powtórzyła. – Tam kierują się wszyscy, którzy przynoszą tu listy.

Gapiała się na Tawla, który postąpił zgodnie z jej radą.

Otworzył mu drobny, żyłasty człowieczek. Rycerz dostrzegł w jego oczach zmieszanie, a także coś więcej. Wymienił imię, które podał mu kapłan. Mężczyzna skinął głową, drżąc lekko.

– Mam dla ciebie list.

Tawl wyciągnął go zza pasa. W oczach człowieczka rozblysło zrozumienie. Złapał pismo i zatrzasnął rycerzowi drzwi przed nosem. Tawl poszukał wzrokiem kobiety, ta jednak już zniknęła. Zszedł po schodach i opuścił piekarnię, zastanawiając się nad tym, co wyrażała mina, która przemknęła przez

twarz nieznanego, gdy zobaczył go po raz pierwszy.

– Myślałem już, że mi zwiąłeś – powiedział Kosiarz, gdy Tawl podszedł do niego. – Zajęło ci to sporo czasu. Można było umrzeć z głodu.

Rycerz uśmiechnął się, wiedząc, że chłopiec chce mu przypomnieć o ich umowie.

– No to chodźmy na ten rybny pasztet i ogony węgorzy. Obaj wybuchnęli serdecznym śmiechem. Tawlowi ulżyło na sercu. Spłacił swój dług wobec Łamu.

Bringe raz jeszcze przeciągnął ostrzem po oselce. Towarzyszący temu zgrzyt wydał mu się przyjemny. Przebiegł kciukiem po krawędzi olbrzymiego topora. Miecze i noże były dla słabeuszy. Prawdziwi mężczyźni używali toporów. Uśmiechającym się głupkowato wielmożom brakowało jaj, by wziąć do ręki taką broń. Zebrał w ustach flegmę i splunął z niesmakiem. Wetknął szmatę do garnka z krzepnącym wieprzowym tłuszczem i zaczął nacierać nim ostrze. Musi je dziś solidnie nasmarować. Nabrał miękkiego, żółtego smalcu w garść i zawinął go w szmatę na wypadek, gdyby potrzebował go później.

Wychodząc z domu, nie musiał pamiętać o ciszy. Jego żona była pijana, co w połączeniu z solidnym laniem pozbawiło ją przytomności. Przechodząc obok

leżącej na klepisku nieruchomej postaci, kopnął ją od niechcienia w pierś. Jęknęła cicho na znak potwierdzenia.

To piękna noc, pomyślał schodząc ze wzgórza. Masywny topór kołysał mu się na ramieniu. Na zimnym niebie połyskiwał blado sierp księżyca. Ta odrobina światła akurat mu wystarczała. Podczas pełni byłoby zbyt jasno. Bystre oczy potrafiły wówczas wiele dostrzec. Posuwał się lekkim krokiem, nucąc pod nosem piękną piosenkę, której słowa opiewały wdzięki jakiegoś młodego dziewczęcia. Kiedy ją śpiewał, zawsze myślał o Gerty. Co prawda nie miała ona złotych loków i nieskazitelnej cery, jak dziewczyna w piosence, była jednak ciepła i chętna, a Bringe'owi w zupełności to wystarczało. Już niedługo będzie należała do niego. Kiedy pozbędzie się żony i dostanie pieniądze, sama wpadnie mu w ręce.

Po krótkiej chwili dotarł na miejsce, do leżących na uboczu jabłoniowych sadów. Znajdowały się one w dolinie, otoczone łagodnymi zboczami. Wiedział, że najbliższe gospodarstwo leży za wzniesieniem. Nikt go nie zauważy. Nie był biegły w rachunkach, potrafił jednak określić, że w dolinie rośnie co najmniej sto drzew. Czekало go mnóstwo roboty.

Podkasał rękawy. Wydatne mięśnie załśniły w

blasku księżyca. Podeszedł do najbliższego drzewa. Było silne, niskie i grubopienne. Pomyślał, że na pewno ma ponad czterdzieści lat. Uniósł potężny topór nad głowę i uderzył nim ze wszystkich sił, wbijając głęboko w pień okrutne ostrze. Zamachnął się po raz drugi, pochylając się nisko. Tym razem uderzył pod innym kątem. Jeszcze dwa ciosy i duży klin drewna odpadł od jabłoni, okaleczając ją. Delikatne wnętrze pnia zostało odsłonięte. W najbliższych dniach spadnie deszcz, a potem nadejdzie mróz. Woda przesiąknie pień, a później zamarznie i, zwiększając objętość, uszkodzi tkanki drzewa. Nawet jeśli jabłoń nie uschnie, ani nie zmurszeje, minie wiele lat, nim znowu wyda zadowolający plon.

Bringe przeszedł do następnego drzewa. Obliczył, że będzie potrzebował większej części nocy, by okaleczyć wszystkie jabłonie w dolinie. Nie miał chwili do stracenia.

## 17

Tawl obudził się nagle, wyczuwając, że nie jest w izbie sam. Sięgnął odruchowo po nóż. Nie było go.

– Czy tego szukasz? Chłopiec wręczył mu broń.

– Na Borca! Jak się tu dostałeś?

Tawl był zły, że dał się zaskoczyć i to takiemu malcowi.

– Łatwizna – odparł Kosiarz. – Kiedy się z tobą pożegnałem po wczorajszym znakomitym posiłku, pomyślałem sobie, że nie mam schronienia na noc i że na pewno nie będziesz miał nic przeciwko temu, by dzielić ze mną izbę. Dlatego przyszedłem tutaj. Spałeś jak zabity, więc położyłem się wygodnie i też zacząłem chrapać.

– Drzwi były zamknięte.

– Jesteś raczej zielony, co?

Tawlowi zabrakło słów. Chłopak miał rację. Postąpił głupio, wierząc w zamki. Zawsze jednak był przekonany, że ma lekki sen, a Kosiarzowi udało się nie tylko włamać do jego izby, lecz również ukraść mu

nóż.

– Która godzina? – zapytał ze złością.

– Niedługo wstanie świt. Powiedziałbym, że pora już zjeść śniadanie.

– Nie umawialiśmy się, że postawię ci śniadanie.

– W takim razie, ja ci je postawię.

Chłopak wyciągnął spod bluzy złotą monetę. Uśmiechnął się. Tawl sięgnął do pasa. Jego podejrzenia potwierdziły się.

– To moja moneta, chłopcze.

– Jest na niej twoje imię? – Kosiarz przyjrzał się swemu łupowi. – Chyba nie.

Tawl skoczył na drugą stronę izby, złapał chłopaka za rękę i wykręcił ją.

– Oddawaj to natychmiast, ty mały złodzieju.

Kosiarz wypuścił z dłoni pieniędzy, który potoczył się po drewnianej podłodze. Tawl zwolnił uścisk i podniósł swą własność. Gdy spojrział na chłopca, ten demonstracyjnie pocierał ramię.

– Możesz przestać udawać, że zrobiłem ci krzywdę. Ścisnąłem cię tylko trochę. Nie chcesz chyba, żebym cię uznał za bekse?

– Wcale mnie nie zabolalo – odparł Kosiarz z przesadną godnością. – Rozcierałem rękę, żeby poprawić krążenie.



Tawl przestał zwracać uwagę na niego. Rozejrzał się po izbie. Gdy zbierał swe rzeczy, sprawdził zawartość plecaka, by się upewnić, że chłopak nie ukradł nic więcej. Przekonawszy się, że wszystko jest na miejscu, ruszył w stronę wyjścia.

– Hej, zaczekaj chwilkę – zawołał Kosiarz, biegnąc za nim.

– Zostaw mnie, chłopcze. Mam dziś od rana wiele roboty. Nie potrzebuję towarzystwa.

Rycerz zszedł po schodach małej gospody i znalazł się w sali jadalnej. Podeszła do niego kobieta w średnim wieku.

– Co mam ci podać, panie?

Uśmiechnęła się zachęcająco, poprawiając żabot na piersiach. Tawl nie miał dziś czasu na umizgi. Pragnął jak najszybciej wyruszyć w drogę. Zapłacił już za lamijskie prorocstwo i nadszedł czas, by zrobić z niego użytek. Wyruszyć do Czterech Królestw i odnaleźć chłopca.

– Proszę trochę holku z korzeniami i grzyby na boczku.

Wiedział, że cena będzie wysoka, ale opuszczał dziś miasto i przez długi czas nie będzie miał okazji zjeść porządnego posiłku.

– A dla twojego syna?

Tawl obejrzał się i zobaczył stojącego za nim Kosiarza. Kobieta czekała niecierpliwie. Dał za wygraną.

– Dla chłopca to samo. Pół porcji. Oddaliła się pośpiesznie.

– Siadaj – rzucił do Kosiarza. – Życzę smacznego. To ostatni posiłek, który ci postawię.

Chłopak usiadł i zaczął rozrywać rękami ciepły chleb, który przyniosła karczmarka.

– Kiedy spałeś, pozwoliłem sobie rzucić okiem na twoje kręgi, przyjacielu – rzekł. – Nie miej mi tego za złe. Po prostu chciałem cię sprawdzić. Nie mogłem się tylko połapać, co znaczy ta blizna pośrodku. Jakby je przekreślała.

Tawl pociągnął głęboki łyk *ale*.

– To nie twój interes, chłopcze.

Kosiarz otworzył usta, by coś powiedzieć, rozmyślił się jednak. Skończyli śniadanie w milczeniu.

W chwili, gdy chłopak wycierał z talerza resztki tłuszczu, Tawl doszedł do wniosku, że potraktował go zbyt ostro. Chcąc mu to wynagrodzić, postanowił, że da mu szansę popisać się znajomością Rornu.

– Powiedz mi, Kosiarzu, ile będzie mnie w tym mieście kosztowała stara szkapa?

– Dwie sztuki złota – odparł chłopak w przerwie

między kęsami chleba. Rorn był drogim miastem.

– A co dostanę za... – rycerz obliczył pośpiesznie swe zasoby – ...dziesięć srebrników?

– Chorego muła.

Tawł nie mógł się nie uśmiechnąć. Muł na nic by mu się nie przydał. Potrafił szybciej wędrować na piechotę. Zaczynał żałować, że nie wziął od Megan więcej niż jedną sztukę złota. Droga do Czterech Królestw była daleka. Będzie potrzebował ponad dwóch miesięcy, by dotrzeć tam na własnych nogach. Nie wspominając już o zwanych Wielkim Wododziałem górach, które przecinały całe Znane Krainy. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że będzie musiał je sforsować w samym środku zimy. Potrzebował cieplejszych ubrań i zapasów. Postanowił, że zaczeka z ich nabyciem, aż opuści Rorn, nie tylko dlatego, że gdzie indziej kupi je taniej, lecz również ze względu na tutejszy klimat, który był znacznie cieplejszy, a wszystko, czego nie nałoży na siebie, będzie zmuszony dźwigać na plecach. Jeśli miał wyruszyć na piechotę, musi ograniczyć bagaż do minimum.

Zastanowił się przelotnie, czy nie poprosić Starego o więcej pieniędzy. Był pewien, że otrzymałby je bez trudności. Miał jednak swą dumę i nie podobał mu się

pomysł błagania o pomoc. Będzie musiał radzić sobie sam. Nie czuł się zbyt zaniepokojony. Silny mężczyzna zawsze znajdzie sposób, by zarobić trochę grosza. Będzie jednak musiał oszczędzać pieniądze, które mu zostaną, gdy już zapłaci za posiłek i nocleg.

Skończył śniadanie i zapłacił należność. Kobieta nagryzła monetę, by sprawdzić jej wartość, po czym wydała mu dwanaście srebrników reszty – mniej niż oczekiwał.

– Gdzie mogę kupić trochę suszonej żywności i manierkę? – zapytał Kosiarza. – Muszę też znaleźć drogę do północnej bramy.

– Zaprowadzę cię tam, jeśli chcesz.

– Nie ma potrzeby, Kosiarzu. – Pragnął uwolnić się wreszcie od chłopca. – Wystarczy, jak mi powiesz, dokąd mam się udać.

Ulicznik skinął głową i opisał mu pobliski sklep.

Tawl uściśnął jego ramię stosowanym przez rycerzy gestem i wypowiedział słowa pożegnania. Chłopiec obrzucił go nieprzeniknionym spojrzeniem, życząc mu “zyskowej podróży”. Tawl podejrzewał, że to niezwykle powiedzenie znane było tylko w słynnym z chciwości Rornie. Śledził wzrokiem Kosiarza, gdy ten zniknął w zaułku. Miał wrażenie, że chłopak lekko się ociąga, lecz nie przejął się tym

zbyttnio. Ulicznik wkrótce znajdzie ciekawszą sposobność do zarobienia pieniędzy.

Trafił szybko do sklepu, który mu polecił Kosiarz, i nabył potrzebne towary. Z radością przekonał się, że nie były zbyt drogie. Sprawdził pozycję słońca na niebie. Czas już ruszać w drogę.

Poranek był pogodny i wietrzny, a bryzaniosła zapachy soli i plugastwa, co oddawało charakter miasta w jednym ostrym tchnieniu. Tawł dotarł wreszcie do wyniosłej północnej bramy Rornu. Opuszczał go bez żalu. Spotkało go tu zbyt wiele złego: uwięzienie, tortury, utrata przyjaciółki, jaką stała się dla niego Megan, i wreszcie uświadomienie sobie, jak marna stała się opinia o rycerstwie.

Miał też jednak z czego się cieszyć: przypadkiem spotkał wróżbitę, który poradził mu udać się na Larn, gdzie z kolei skierowano go na zachód.

Czy wszystko zawsze dzieje się przypadkowo? – pomyślał. Losu nie był pewien, przypadek jednak wydawał mu się dobrze znany. Nie raz już wywarł na jego życie decydujący wpływ. Najwyraźniej pokazał swą moc w dniu jego spotkania z Tyrenem. Jakie były szanse na to, że człowiek, którego jedynym celem były w danej chwili poszukiwania świeżej krwi dla rycerstwa, znajdzie się na miejscu w czasie, gdy

wyzwiska wioskowych łobuzów sprowokują go do bójki?

Wróciły wspomnienia.

W cieniu odbywały swe gody ważki. Tawł czuł na skórze ciepły wietrzyk, zbyt ciepły, by osuszyć pot. Czuł słabość w nogach, nie po walce, lecz wskutek szoku, jaki przeżył, dowiedziawszy się, że człowiek, którego ma przed sobą, przybył z Valdis.

Tyren popatrzył na barani udziec.

– Wróc ze mną do wioski, to kupię ci drugi. Ten jest zbyt brudny, żeby go upiec.

Tawł wciąż nie mógł złapać oddechu. Duma nie pozwoliła mu przyjąć propozycji mężczyzny. Potrząsnął głową.

– Dziękuję, ten będzie w sam raz. Sara go oczyści.

– Kto to jest Sara? – zapytał Tyren.

– Moja siostra.

– Jestem pewien, że nic się jej nie stanie, jeśli zaczeka na mięso jeszcze chwilę. Chodźmy się napić. Opowiem ci o Valdis.

Chłopak zaczerpnął głęboko tchu. Wciąż był wstrząśnięty po walce.

– Panie, nie chcę marnować twego czasu. Nie mogę wyruszyć z tobą do Valdis.

Proszę! Powiedział to. Położył kres sprawie. Jaki

miał wybór? Nie mógł porzucić siostr.

Tyren był wyraźnie rozbawiony.

– Chcesz mi powiedzieć, chłopcze, że rezygnujesz z szansy darmowego szkolenia?

Darmowego. Nie mógł niemal w to uwierzyć. Kapłan mówił, że szkolenie kosztuje małą fortunę. Jeszcze bardziej utrudniło mu to odmowę.

– Panie, mam inne zobowiązania.

– Jakie zobowiązania? Czy jesteś uczniem piekarskim albo wynajętym parobkiem? – W głosie Tyrena brzmiała drwina. – Jakie zobowiązania mogłyby cię powstrzymać przed udaniem się ze mną?

Po brodzie chłopaka spływała krew. Jeden z przeciwników zadał mu silny cios w szczękę. Bardzo łatwo byłoby odjechać z Tyrenem i nigdy nie wrócić do domu. Nie mógł jednak tego zrobić. Powstrzymywało go poczucie tego, co uznawał za słuszne.

– Muszę się opiekować dwoma siostrami i małym dzieckiem. Nasza matka zmarła trzy lata temu. Jestem dla nich jedynym żywicielem.

– Aha. – Tyren potarł się po krótkiej, gładko przystrzyżonej brodzie. – A co z twoim ojcem? Czy on również nie żyje?

– Żyje, ale nie widzimy go zbyt często. Spędza

swe dni w Lanholcie, oddając się pijaństwu.

A ty postępujesz honorowo. Wielka szkoda, że nie jesteś wolny. Przydałoby się nam w rycerstwie więcej takich jak ty. – Tyren uśmiechnął się, odsłaniając zęby. – Nie wspominając już o tym, że walczysz jak demon. – Wzruszył ramionami. – Mówi się trudno. Może kiedy twoje siostry dorosną...

– Sara ma dwanaście lat, a dziecko trzy.

– Hmm. Cóż, przemyśl moją propozycję. Na wypadek, gdybyś zmienił zdanie, zatrzymam się na tydzień „Pod Sitowiem” w Greyving.

Pokłonił się z gracją, zamiatając ciemnym płaszczem ziemię, po czym ruszył w stronę wioski.

Tawl uniósł rękę, by go zatrzymać, nie wypowiedział jednak ani słowa. Nie mógł znieść widoku oddalającej się postaci. Odwrócił się i ruszył ku domowi. Szedł wzdłuż brzegu rzeki, po schnącym błocie. Z każdym krokiem czuł coraz silniejszą gorycz. Nienawidził siostr. Nienawidził matki. Nienawidził ojca. Barania noga stała się symbolem jego obowiązku. Uniósł ją nad głowę i cisnął nią z całej siły. Wstążki wdeptał w ziemię.

Siostry wyglądały przez okno, czekając na jego powrót. Na widok pustych rąk brata poczuły rozczarowanie, które jednak szybko ustąpiło miejsca



trochę wywołanej odniesionymi przez niego obrażeniami.

– Pobili cię – powiedziała Sara. zwilżając szmatkę, by zetrzeć krew.

– Nie pobili – odparł. – Ja też im dołożyłem.

– Wygrałeś? – zapytała Anna podekscytowanym głosem.

– Nieważne, kto wygrał. Przyniesi maść z półki. – Sara zwróciła się w stronę Tawła. – Przezywali cię, prawda?

Poirytowało go jej współczucie.

– A jeśli nawet, to co? Jestem już dorosły i mogę się bić, jeśli zechcę.

– Co się stało z mięsem? Straciłeś je podczas bójki?

– Tak – skłamał.

– Nic nie szkodzi, Tawł. – Pocałowała go w policzek. – Najważniejsze, że nic ci się nie stało. Możemy na Letnie Święto zjeść ryby.

Uspokoiły go powoli swą łagodnością i dobrym humorem. Nie wspomniał o spotkaniu z Tyrenem. Nie chciał się z nimi dzielić swą stratą. Trzy noce miotał się w łóżku, nie mogąc zasnąć, a wyobrażenia dręczyła go wizjami tego, co mogło się zdarzyć. Wiedział, że postępuje niesprawiedliwie, obciążając winą siostry. Starał się nie wyładowywać na nich złości. Było to

łatwe. Sara i Anna tak bardzo ucieszyły się, że nic mu się nie stało – podejrzewał też, że były trochę dumne z jego odwagi – iż przez kilka następnych dni bezwstydnie go rozpuszczały. Obejmowały go, całowały i przyrządzały jego ulubione dania.

Czwartego dnia w ich domu zjawił się gość. Przypadek wyłożył swą ostatnią kartę. Tawł wrócił późnym rankiem z ryb. Zastał drzwi uchylone.

– Widzicie, wiem, co lubią moje ślicznotki! – usłyszał czyjś głos. To był jego ojciec. W piersi chłopaka wezbrał gniew. Tawł wszedł do izby.

– Wynoś się, ty stary pijaku. Nie mamy już nic, co mógłbyś ukraść!

Na chwilę zapadła absolutna cisza. Tawł przyjrzał się rozgrywającej się w izbie scenie. Sara i Anna siedziały u stóp ojca, który miał ze sobą dwa wielkie worki i był ubrany jak król.

– Tata nie przyszedł nas okraść – powiedziała Anna. – Przyniósł nam prezenty.

Uniosła dłoń, w której trzymała barwne wstążki.

– Tak, Tawł – dodała Sara. – Do ojca uśmiechnęło się szczęście przy stole.

Na jej twarzy malowało się lekkie poczucie winy, zupełnie jak u marynarza myślącego o buncie.

– Masz na myśli hazard. Głos Tawła brzmiał

twardo.

– Hazard, karty, możesz to nazywać jak chcesz. Fortuna pocałowała mnie, a potem uczyniła swym kochankiem. – Głos ojca był zdumiewająco spokojny, choć jego oddech wciąż cuchnął *ale*. – Wygrałem niewielki mająteczek. I zrobię z niego dobry użytek.

– Jaki?

Tawłowi nie podobały się te słowa. Czuł się zazdrosny o siostry. Były takie podekscytowane. Oszczędzał miesiącami, żeby kupić im wstążki, a teraz pokazał się ich ojciec i przywitały go jak bohatera.

– Wróciłem na stałe. Nie musisz już sam dbać o wszystko, Tawł. Od tej chwili ja będę głową rodziny.

Anna i Sara popatrzyły na niego z bezgłośnym błaganiem. Były zupełnie niewinne. Nie miały pojęcia, jaki naprawdę jest ojciec. Normalna rodzina była ich marzeniem i prosiły go, by ją zaakceptował.

– Myślisz, że po tym, jak tyle lat nas zaniedbywałeś, możesz tak po prostu wrócić i objąć rządy? – zapytał chłopak. – Nie chcemy cię tutaj.

– Tawł, daj tacie szansę – odezwała się Anna. – Obiecał nam codziennie mięso, a co miesiąc nowe sukienki.

– Sza, Anno – wtrąciła Sara, patrząc prosto na niego. – Nie chodzi o mięso i sukienki. Chcemy, żeby

ojciec wrócił do domu.

Obrzuciła go smutnym spojrzeniem.

– Widzisz? – powiedział ojciec. – Moje córki mnie chcą. Jest moim obowiązkiem wrócić tu na stałe.

Nocą Tawl wybrał się “Pod Sitowie” do Greyving. Tyren zszedł na dół, by się z nim spotkać.

– Mogę pojechać z tobą do Valdis – oznajmił chłopak. – Zwolniono mnie ze zobowiązań.

Jack zdał sobie sprawę, że dręczą go mdłości. Leżał przez chwilę z zamkniętymi oczyma, unosząc się w mglistej przestrzeni między snem a jawą. Wreszcie rozchylił powieki. Wpatrzył się w kamienny sufit. Przez szczeliny przesączały się krople, które w każdej chwili mogły spaść na niego. Miał wrażenie, że jego wzrok jest ostrzejszy niż zwykle. Widział barwne tęcze w maleńkich kropelkach i najdrobniejsze szczegóły kamiennej powierzchni. Potarł oczy i raz jeszcze spojrzął na sufit. Wrażenie zniknęło. Na pewno tylko mu się zdawało.

Podniósł się z ławy – trochę za szybko. Uderzyła go fala nudności. Pochylił się do przodu i wyrzucił z siebie zawartość żołądka. Wytarł usta. Poczłł się trochę lepiej. W głowie miał dziwny ciężar, a gdy się odwrócił, wydawało się, że potrzebuje dłuższej chwili, by jego umysł przyzwyczał się do nowego położenia.

Usiłował przypomnieć sobie wydarzenia poprzedniego dnia. Baralis przyszedł go przesłuchać. Nie pamiętał ani zadawanych pytań, ani udzielanych przez siebie odpowiedzi. O ile w ogóle jakichś udzielił. Nie sądził, by sam je znał. Przez umysł przemknęło mu nieuchwytne wspomnienie, mające coś wspólnego z jego matką. Spróbował je przywołać. Niemal mu się udało, lecz po chwili wizja zniknęła. Czy między przesłuchaniem a matką zachodził jakiś związek? A może to brutalność Baralisa tak nim wstrząsnęła, że nie był w stanie myśleć jasno?

Odpędził od siebie wszystkie myśli o wczorajszym dniu i spróbował dźwignąć się na nogi. Sprawdził ich siłę i przekonał się, że nieco się uginają. Dręczyło go straszliwe pragnienie. Rozejrzał się po izbie. Nie było w niej nic do picia. Zaczął walić w solidne drewniane drzwi, domagając się krzykiem wody. Czekał, aż mu ją przyniosą, podjął decyzję, że musi spróbować ucieczki. Zbyt długo już poddawał się bez oporu. Jakim prawem Baralis go pojmał? Nie zrobił nic złego. Jedno było jasne: kanclerz podejrzewał, że Jack jest kimś więcej niż by się zdawało. Jeśli tu zostanie, z pewnością czekają go kolejne podobne przesłuchania lub coś jeszcze gorszego.

Po drugiej stronie drzwi rozległ się jakiś hałas. Jack

usłyszał odgłos odsuwanej rygli. Rozejrzał się wokół, rozpaczliwie poszukując czegoś, co mógłby wykorzystać jako broń. Cella była pusta. Znajdowała się w niej jedynie drewniana ława. Stanął szybko obok drzwi, które się otworzyły. Jack, który był teraz za nimi, usłyszał, że do izby ktoś wszedł. Nim przybysz zdążył postawić następny krok, chłopak pchnął z całej siły ciężkie drzwi, które uderzyły strażnika, zwalając go z nóg. Mężczyzna zaczął krzyczeć. Jack podbiegł do niego. Rozpaczliwie chcąc go uciszyć, zadał mu brutalnego kopniaka w głowę. Z nosa i ust strażnika trysnęła krew. Spróbował złapać Jacka za nogę, ten jednak kopnął go mocno po nerkach. Najemnik osunął się na podłogę.

Chłopak zawahał się na mgnienie oka, zastanawiając się, co teraz zrobić. Zobaczył, że strażnik ma przytroczone do pasa miecz. Złapał za rękojeść i szarpnął mocno. Mężczyzna spróbował go powstrzymać, spóźnił się jednak. Złapał nie za rękojeść, lecz za ostrze, które głęboko przecięło mu dłoń. Widok takiej ilości własnej krwi przeraził rannego, który zaczął skomleć. Serce Jacka waliło jak szalone. Miał broń. Stanął nad najemnikiem, unosząc oręż, przekonał się jednak, że nie potrafi go nim przebić. Wyglądał zbyt żałośnie.

Wiedział, że ma mało czasu. Nie był pewien, czy ktoś nie usłyszał krzyków strażnika. Kopnął go raz jeszcze w głowę w nadziei, że pozbawi go przytomności. Nic z tego. Złapał ostrożnie za ostrze i walnął z całej siły rękojęścią w czaszkę najemnika. Ten jednak odwrócił się w ostatniej chwili i cios trafił go prosto w twarz. Jack cofnął się, przerażony widokiem zamienionego w krwawą miazgę oblicza.

Chłopak rzucił się do ucieczki, wstrząśnięty tym, co się wydarzyło. Czyste pchnięcie w brzuch w porównaniu z tym byłoby aktem miłosierdzia. Miał zamiar zawlec nieprzytomnego strażnika do celi i zamknąć drzwi, by mieć więcej czasu na ucieczkę, ale na widok zmasakrowanej twarzy wpadł w panikę. Zerwał się do biegu, nie zważając na kierunek. Pędził kamiennymi korytarzami, z których każdy wyglądał tak samo, jak poprzedni.

Po pewnym czasie zabrakło mu tchu. Zwolnił, chwytając z wysiłkiem powietrze. Wyteżył słuch, by się przekonać, czy nikt go nie ściga, słyszał jednak tylko szum krwi we własnych żyłach. Nie zdawał sobie sprawy, że trzymają go w labiryncie tuneli. Zmusił się do skupienia myśli, by zdecydować, co dalej. Spojrzał w kierunku, z którego przybiegł. Nie zamierzał tam wracać. Wyglądało na to, że tylko czystym

przypadkiem udało mu się ominąć wartownię.

Gdy przeszedł jeszcze kawałek, stanął przed koniecznością dokonania wyboru. Tunel się rozdwajał. Biegąca prosto ciemna odnoga wyglądała na długą. Nie rozświetla! jej blask pochodni. Jackowi nie podobała się myśl o wędrowce na ośle. Postanowił, że pójdzie drugim korytarzem.

Wybrana przez niego trasa zakreśliła nagle, pogrążając się w mroku. Jack zatrzymał się na granicy ciemności. Czy powinien iść dalej? Nadaremnie wytrzeszczał oczy. Nie był w stanie określić, jak daleko ciągnie się tunel. Ruszył przed siebie.

Baralis chodził w kółko po komnacie, wcierając sobie w dłonie lecznicze olejki. Dręczył go straszliwy ból. Rankiem nadeszła słońca. Czuł wpływ wilgoci na swe powykręcane palce. Miał nadzieję, że Bringe'owi udało się nocą okaleczyć jabłonie. Byłaby wielka szkoda, gdyby ten poranny deszcz się zmarnował.

Olejki mu nie pomogły. Osuszył dłonie i podszedł do biurka, na którym trzymał lekarstwo przeciwbólowe. Starannie odmierzył porcję białego proszku, który następnie przesypał do kielicha. Dodał odrobinę wina, by zwilżyć mieszankę, uniósł kielich do ust i przełknął zawartość, nie popijając jej.

Wczorajsze przesłuchanie chłopca zaniepokoiło go



bardzo. Czuł się fizycznie i psychicznie wyczerpany. Nie wątpił, że więzień powiedział prawdę. Ostatecznie miał swe sposoby, by się co do tego upewnić. Kryło się w tym jednak coś więcej. W pewnej chwili Jack omal nie wygnał go ze swego umysłu. On, Baralis, musiał się cofnąć przed zwykłym chłopcem.

To musiało coś oznaczać. Umysł Jacka był szczelnie zamknięty niczym pancerna szkatuła. Przez krótką chwilę coś w nim mignęło – wizja, niemal przekaz: kobieta, a za nią mężczyzna. Kanclerz spróbował posunąć się głębiej, lecz został odepchnięty, raz jeszcze napotkał białą plamę. By zdobyć obecne umiejętności, przeszukał umysły setek ludzi i żaden z nich nie opierał mu się tak uporczywie, jak ten piekarczyk.

Oczywiście był zdecydowanie zbyt biegły, by mogło mu się stać coś złego. Chłopak najwyraźniej ucierpiał poważnie, on jednak wyszedł ze spotkania bez szwanku. Mimo to w całym epizodzie było coś niepokojącego. Jack miał dostęp do wielkich zasobów mocy. Zapewne powiedział prawdę, twierdząc, że incydent z bochnami był pierwszym w jego życiu. Jego nie wyszkolona moc była niebezpieczna. Chłopak odwrócił bieg czasu w obrębie pieca! Baralis zadrzał, niemal mimo woli. Nigdy nie słyszał, by ktoś tego

dokonał. To było nadzwyczaj nieprawdopodobne. Żeby zatrzymać czas, choć na mgnienie oka, potrzebne były umiejętności mistrza. Sam ledwie potrafił powstrzymać trawiący łój płomień, a ten chłopiec znikąd zrobił coś znacznie większego.

Jack nie zdawał sobie sprawy ze skali swego wyczynu. Wydawało mu się, że po prostu przekształcił spalone bochny z powrotem w ciasto. Nie wpłynął na chleby, ale na czas. Baralis odważył się wrócić do kuchni dopiero w zeszłym tygodniu. Wciąż dawało się tam wyczuć pozostałość wydarzenia. Ten dureń, Frallit, był zmuszony zmienić formy. Zachowywały się dziwnie. Chleby piekły się w nich wiele godzin dłużej. Były to skutki zaczerpnięcia mocy przez Jacka. Czarom zawsze towarzyszyła pozostałość – ślad tego, co się wydarzyło – lecz tylko w przypadku najpotężniejszych można ją było wyczuć jeszcze wiele tygodni po zaczerpnięciu.

Chłopak wprowadził w ruch łańcuch wypadków, i skutki całego wydarzenia będą pojawiały się przez kolejne lata, w sposób nieprzewidywalny. Popioły z pieca posłużyły do produkcji mydła. Dama, która pokryła sobie twarz powstałą z niego pianą, miała szczęście. W najgorszym razie powstrzymała w ten sposób starzenie, w najlepszym ujęła sobie lat. Formy

mogły wylądować w gnojowisku. Baralis nie potrafił sobie wyobrazić, jakie będą tego skutki.

Same bochny zniszczono. Dopilnował przynajmniej tego.

Będzie musiał poważnie się zastanowić, co zrobić z chłopakiem. Realizacja jego planów przebiegała obecnie gładko i nie chciał, by zakłócił ją jakiś nieoczekiwany czynnik. Miał nieodparte przeczucie, że Jack może się okazać takim właśnie czynnikiem. W innej sytuacji zatrzymałby chłopca celem eksperymentów i sekcji, by zgłębić tajemnicę do dna, teraz jednak miał zbyt wiele na głowie. Stawka była nazbyt wysoka. Każe go zabić.

Z medytacji wyrwało go przybycie sługi.

– Ach, Crope. Właśnie o tobie myślałem. Mam dla ciebie zadanko.

– Słucham, panie.

– Znasz naszych gości.

– Gości?

– Więźniów, ty pustogłowy przygłupie! Chcę, żebyś się pozbył chłopca.

– On zniknął.

– Co to znaczy, zniknął? Nigdzie nie zniknął. Wczoraj widziałem go na własne oczy. Pilnuje go dziesięciu najemników. Nie mógł uciec.

Baralis dygotał.

– Panie, byłem niedawno w schronieniu, zanieść trochę smakołyków pani. Ucieszyła się, kiedy przyniosłem jej bułeczki na miodzie i słodkie wino.

– Do rzeczy, człowieku! – ryknął kanclerz.

– I wtedy przybiegł Traff i powiedział, że chłopiec zwiął. Mówił, że strasznie zmasakrował jednego z jego ludzi.

Baralis wpadł w szal.

– A dziewczyna? Nie zniknęła?

– Nie, panie. Przed chwilą ją widziałem. Pamiętałem, żeby dobrze zamknąć drzwi jej celi.

– Czy wiedzą, którądy uciekł w las?

– Traff mówi, że ich zdaniem schronił się w korytarzach. Twierdzi, że gdyby wybiegł na zewnątrz, zauważyliby go.

Baralis zastanawiał się chwilę. To dobrze, że chłopiec nie uniknął do puszczy. Można go jeszcze będzie odnaleźć.

– Chodź ze mną – rozkazał.

Obaj mężczyźni wybiegli z komnaty. Po chwili gnali już tunelem łączącym zamek ze schronieniem. Baralis niósł latarnię, która oświetlała im drogę.

– Crope, powiedz temu nieudolnemu imbecylowi Traffowi, że ma przeszukać wszystkie korytarze i

pokoje. Niech zostawi dwóch ludzi przy wyjściu, na wypadek, gdyby zbieg zawrócił.

Pierwsze, co musi zrobić po dotarciu do schronienia, to zajrzeć do dziewczyny. Wiedział, że chłopak się do niej przywiązał. Jeśli ukrywa się w tunelach, może spróbować ją odnaleźć. Jack nie wiązał się z jego planami, stanowił jedynie niebezpieczne zakłócenie. Nie mógł jednak ryzykować utraty Melliandry. Jeśli dziewczyna ucieknie, przegra zakład z królową. Rygiel w jej drzwiach już nie wystarczy. Trzeba ją będzie przenieść do celi, którą da się pewnie zamknąć.

Ku swemu zaskoczeniu, Melli przekonała się, że polubiła wielkiego, masywnego sługę Baralisa. Traktował ją tak, jakby była delikatnym motylkiem, przynosił dodatkowe koce, gdy marzła, różne smakołyki, a nawet różaną wodę do spryskania twarzy.

Musiała przyznać, że przetrzymują ją w bardzo komfortowych warunkach. Nie czuła się jednak zadowolona. Coraz częściej myślała o chwilach, które spędziła w lesie. Była wówczas naprawdę wolna. Doszła do wniosku, że Baralis będzie musiał ją kiedyś wypuścić. Nie mógł przetrzymywać jej bez końca, a nie potrafiła uwierzyć, by miał ją skrzywdzić. Ostatecznie był królewskim kanclerzem.

Ugryzła bułeczkę, zastanawiając się, co się stało z Jackiem. Poderwała się, gdy do jej celi wszedł Baralis. Zauważyła, że na jej widok poczuł wyraźną ulgę. Zaskoczył ją z ustami pełnymi jedzenia. Przełknęła je szybko, popiła łyk wody i odstawiła z hukiem szklanekę.

– Lordzie Baralisie, mam wrażenie, że twój sługa jest lepiej wychowany od ciebie. Przynajmniej pamięta, żeby pukać, nim wejdzie do pokoju damy.

Baralis był wyraźnie podekscytowany. Kiedy się odezwał, w jego głosie nie słyszało się zwykłego, miódopłynnego tonu.

– Czy damy uciekają z domu, żeby zostać kurwami w Duvitt?

– A czy dżentelmeni przetrzymują kobiety wbrew ich woli?

– Nie sędzę, moja droga Melliandro, bym kiedykolwiek podawał się za dżentelmena.

W zachowaniu kanclerza zaszła jakaś zmiana. Był mniej opanowany i kulturalny niż zwykle.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Obawiam się, że przynoszę złe wieści. Będziesz musiała opuścić to przytulne pomieszczenie.

– Dlaczego? – zapytała Melli.

– To nie twoja sprawa.

– Dokąd chcesz mnie zaprowadzić? Zaczynała się bać.

– Niedaleko. Chodź ze mną.

– A co z moimi rzeczami? – zapytała łamiącym się głosem, starając się odgadnąć jego zamiary. Baralis zbliżył się do niej. Dzielili ich zaledwie odległość stopy. Czowała jego kuszący, zniewalający zmysły zapach, który przyciągał ją niczym sznur. Pochyliła się w jego stronę. Ich spojrzenia spotkały się. Wciągnęła gwałtownie powietrze. Jego oddech wypełnił jej płuca... był silny jak narkotyk. Kanclerz uniósł rękę i przebiegł dłonią po jej plecach, szukając blizn pod suknią. Pieszczota przeszła ją bolesnym dreszczem. Melliandra rozchyliła wargi, radując się jego oddechem i przygotowując się na dotyk.

Baralis oparł się jej czarowi.

– Na razie wystarczy ci to, co masz na sobie, ślicznotko – powiedział, zmieniając charakter chwili.

Melli cofnęła się od niego. Chwiała się na nogach. Brakowało jej powietrza. Kanclerz patrzył przez chwilę w jej oczy, po czym odwrócił się na pięcie.

– Chodź już – syknął niecierpliwie. Gdy przebyli krótki odcinek, ku zaskoczeniu Melli, zatrzymał się pod gładkim kamiennym murem i musnął go

koniuszkami palców. Dziewczyna odskoczyła przestraszona, gdy fragment ściany zaczął się odsuwać. Baralis wpełznął ją przez szczelinę do dużego pomieszczenia, w którym tliło się kilka świec. Zobaczyła, że niedawno ktoś w nim przebywał. Na stole stał dzbanek *ale*. Było tu też kilka krzesel i biurko zarzucone rękopisami, a na ścianie wisiał stary, wyblakły gobelin. Mur zasunął się z powrotem. Baralis przeszedł na drugą stronę pomieszczenia, zatrzymując się, by wyciągnąć zza pasa klucz i zapalić lampkę oliwną.

W przeciwległej ścianie znajdowały się niskie drewniane drzwi. Kanclerz otworzył je.

– Wchodź do środka.

Skinął na nią. Zbliżyła się z narastającym lękiem. Izba była mała i ciasna, wypełniona półkami. Z pewnością służyła jako magazyn. Zebrała się na odwagę.

– Stanowczo odmawiam wejścia do tej klitki.

Baralis zwrócił się w jej stronę, chwytając ją brutalnie za nadgarstek. Lampka zakołysała się groźnie.

– Właż natychmiast.

Melli popatrzyła na lampkę. Płomień zbliżył się do jej sukni. Weszła do środka, wyszarpując rękę z



uścisku. Baralis wszedł za nią. Postawił lampkę na półce, odwrócił się i opuścił pokój. Gdy usłyszała dźwięk zasuwanego rygla, miała ochotę krzyknąć. Powstrzymała ją duma. Nie chciała, by sądził, że się boi.

Rozejrzała się po izbie, pocierając ramiona. Panował tu chłód i wilgoć, po ścianach spływała woda, a podłoga była mokra. Nie było krzesła ani siennika, na którym mogłaby spocząć. Nie zamierzała siedzieć na podłodze, musiała więc stać.

Serce wciąż jej waliło jak opętane. Niemal nie potrafiła uwierzyć, że pozwoliła, by Baralis pieścił jej plecy, i że dotyk jego palców sprawił jej przyjemność. Do tej chwili czuła w płucach delikatny nacisk jego oddechu. Potrząsnęła gwałtownie głową, chcąc odegnać to uczucie. Naprawdę pragnęła jego pocałunku. Przesunęła w roztargnieniu palcami po wargach. Krążyły pogłoski, że kanclerz dysponuje nadzwyczajnymi mocami. Być może użył ich wobec niej. Wsunęła palce do ust i zaczęła ssać je delikatnie. Nie, wiedziała, że nie było żadnego sztucznego powabu, a jedynie wzajemny pociąg.

Jej piersi unosiły się i opadały szybko. Nie mogła znieść dalszych myśli na ten temat.

Rozejrzała się po ciasnej, wilgotnej klitce. Jak

długo będzie ją tu trzymał, zamkniętą jak zwierzę? Spojrzała na swój nadgarstek. Po uścisku Baralisa pozostał czerwony ślad. Poczowała wzbierające w oczach łzy. Nie będzie płakała. Bywała już przecież w gorszych tarapatach. W porównaniu z dołem w Duvitt ta izba była pałacem. Zdobyła się na słaby uśmiech. Nie zamierzała poddać się rozpacz.

Zmusiła się do zastanowienia nad praktycznymi problemami. Sprawdziła, ile jeszcze zostało oliwy. Mniej niż połowa. Odwróciła lampkę. Nie chciała znaleźć się w ciemnościach. Obejrzała półki w poszukiwaniu czegoś, co osłoniłoby ją przed zimnem. Nie było na nich nic oprócz całego zbioru martwych, rozkładających się owadów, nie dojezdzonych ofiar, czatujących na nieostrożne stworzenia.

Stała oparta o drewniane półki, grzejąc dłonie nad płomieniem. Zastanawiała się, co skłoniło Baralisa, by ją przenieść. Być może ojciec dowiedział się, że to on ją przetrzymuje. Melli nie była co do tego przekonana. Coś wyraźnie zaniepokoiło kanclerza do tego stopnia, że aż zamknął ją w magazynie. Może miało to coś wspólnego z Jackiem.

Jej myśli zatrzymały się na piekarczyku. Był dla niej dobry. Opatrzył jej rany i oddał swój przydział wody. Nie wierzyła w jego opowieść o przyczynach

ucieczki z zamku. Nie wydawał się jej złodziejem. Również lord Baralis nie sprawiał wrażenia człowieka, który marnowałby czas na uganianie się za kimś takim. Dlaczego w takim razie zainteresował się piekarczykiem?

Jackowi nie podobała się wędrówka ciemnym korytarzem. Nigdy dotąd nie przebywał w miejscu tak całkowicie pozbawionym światła. Musiał wymacywać drogę jak niewidomy. Po pewnym czasie przekonał się, że tunel kończy się ślepo. Przejście nie prowadzące do jakiegoś celu wydało mu się dziwnym pomysłem, uznał więc, że z pewnością nie zauważył drzwi. Wrócił tą samą drogą, którą przyszedł, przez cały czas wytyczając trwożnie słuch, by nie zaskoczyli go strażnicy.

Tym razem z uwagą obmacywał obie strony tunelu, po każdym kroku przechodząc od jednej ściany do drugiej. Ta metoda wymagała czasu i Jack bał się, że go złapią. Nagle jego dłonie dotknęły czegoś innego niż kamień. Drewna. Rozpostarł dłonie. To były drzwi. Nie wyczuł klamki, popchnął je więc lekko. Nie ustąpiły. Kierowany gorączkową nadzieją, że nie są zamknięte na klucz, nacisnął mocniej. Tym razem uchyliły się, skrzypiąc głośno.

Przeszedł z ciemności w ciemność. Uderzył nogą w

jakiś ostry przedmiot, potknął się i runął na twarz. Wylądował na czymś miękkim. Leżał przez dłuższą chwilę, pocierając łydkę, w której czuł pulsujący ból. Cieszył się, że wreszcie znalazł czas, by trochę pomyśleć. Miał wrażenie, że wszystko, co dzisiaj zrobił, uczynił bez zastanowienia, kierując się głównie instynktem. Musi ułożyć plan, zdecydować samodzielnie, zamiast pozwalać, by ślepy los kierował jego krokami.

Zadał sobie pytanie, jak wydostać się z labiryntu na powierzchnię. Wyjście znajdujące się obok wartowni nie mogło być jedynym.

Nagle usłyszał w oddali cichy łoskot. W szczelinie pod drzwiami zalśniło blade światło. Zerwał się szybko na nogi. Musiał się ukryć. Nic nie widział, a czuł jedynie coś miękkiego pod stopami. Pomacał rękami wokół siebie. Wyczuł stertę starych ubrań albo zasłon. Wyraźnie już słyszał kroki. Zagrzebał się w stosie szmat, zakrywając pośpiesznie ręce i nogi.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Jack dostrzegł zalewające pokój światło i usłyszał męski głos:

– Widzisz, Kessit. Mówiłem ci, że nie ma sensu tu zaglądać. Od lat nikt tu nie był. Popatrz na te wszystkie rzeczy.

– W takim razie wracamy? – zapytał drugi głos.

– Nie ma co się śpieszyć, Kessit. Usiądźmy trochę i pozujmy sobie.

– Traff nie będzie zadowolony, jeśli będziemy zwlekać.

– O niczym się nie dowie, chyba że sam mu powiesz.

Obaj mężczyźni weszli do środka. Jack usłyszał dźwięk otwierania puszki.

– Usiądź sobie wygodnie. Na stojąco kiepsko się żuje. Klapnij na tej kupie starych szmat. Nie powinienes przemęczać tych swoich wielkich stóp.

Ku przerażeniu Jacka, jeden ze strażników usiadł na krawędzi sterty. Jego nogę dzieliło od najemnika tylko kilka warstw tkaniny. Chłopak starał się oddychać jak najpłycej.

– Całe to zamieszanie to wina Harla. Tylko sobie wyobraź. Pozwolił, żeby tak go załatwił chudy chłopczyna.

– No, ale biedak zapłacił słono za swój błąd.

– Ehe. Widziałeś jego gębę? Zmasakrowana.

– Baby na mur przestaną na niego lecieć.

– Niezła ta żujka.

– Lord Baralis nie mówi nam wszystkiego. Byłeś wczoraj przy tym, jak skończył przesłuchiwać tego chłopaka?

– Nie, chyba nie byłem.

Jack rozpaczliwie starał się powstrzymać kaszel. Do jego gardła dostał się kurz.

– Mówię ci, że mu to nie posłużyło. Wyszedł stamtąd chwiejnym krokiem, blady jak płótno.

– Naprawdę?

– Ehe. Szkoda, że go nie widziałeś. Ledwie mógł się utrzymać na nogach. Musiał wezwać Crope'a, żeby go odprowadził.

Obaj mężczyźni siedzieli przez chwilę w milczeniu. Słysząc było jedynie odgłos żucia. Po chwili jeden z nich splunął.

– Ach, tak lepiej. Przeniósł też dziewczynę.

– Kto?

– Lord Baralis, ty durniu. Zaprowadził ją do jednej ze swych specjalnych kryjówek. Sądzi, że chłopak może spróbować ją uwolnić.

Noga Jacka zupełnie już zdrętwiała pod ciężarem najemnika.

– Wiesz, jak się dostaje do środka?

– Niedokładnie. Widziałem, jak dotykał kamienia. Sam też próbowałem, ale nic z tego.

– Lepiej już wracajmy. Traff nie jest dziś w dobrym humorze. Mężczyzna podniósł się. ku wielkiej uldze Jacka.

– Coś ci powiem. Nie chciałbym być na jego miejscu. Strażnicy wyszli z pokoju. Światło zniknęło w oddali.

Jack westchnął z ulgą. Wykaszlnął z płuc kurz. rzucił z siebie szmaty i wstał, starając się odzyskać czucie w nodze. Na razie był względnie bezpieczny. Nie sądził, by najemnicy mieli tu wkrótce wrócić.

Był głodny i spragniony. Żałował, że nie wie, jaka jest pora dnia. Nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło, odkąd uciekł z celi. Nawiedziło go wspomnienie zakrwawionej twarzy Harla. Zadrzał mimo woli. Strażnik chciał mu wyświadczyć uprzejmość. Przyniósł mu wodę.

Wstydział się, że od chwili ucieczki nie poświęcił ani jednej myśli losowi Melli. Uznał, że Baralis odprowadzi ją do zamku. Gdy powiedziała mu, że uciekła, by zapobiec swemu małżeństwu, doszedł do wniosku, iż kanclerz kazał ją pojmać po to, by ślub mógł się odbyć. Wyglądało jednak na to, że nadal ją więzi. Jack wiedział, że nie ucieknie z podziemnego schronienia, pozostawiając ją swemu losowi. Opiekował się Melli i opatrzył jej rany. Nie mógł opuścić jej teraz, gdy groziło jej jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Musiał się dowiedzieć, gdzie ją przetrzymują.

Najpierw jednak poszuka czegoś do picia. Potrzebował żywności, wody i jakiegoś źródła światła. Nie musiał zaprzętać sobie głowy bronią. Po raz pierwszy w życiu posiadał prawdziwy miecz. Poszukał na oślep dłonią przytroczonej do pasa rękojeści. Nie sprawiło mu to jednak wiele radości.

Postanowił czekać. Strażnicy z pewnością go szukali. Rozsądniej będzie uzbroić się na jakiś czas w cierpliwość. Pod koniec dnia uwaga ścigających może osłabnąć. Zdecydował, że tym razem wybierze drugi korytarz, jako że pierwszy kończył się ślepo.

Po kilku godzinach wymknął się z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi, po czym ruszył przed siebie. W miarę, jak zbliżał się do rozgałęzienia, robiło się coraz jaśniej. Skreślił w prawo i raz jeszcze pograżył się w mroku.

Szedł tunelem, wymacując drogę. Po chwili zdał sobie sprawę, że ten korytarz jest znacznie dłuższy od poprzedniego. Nie marnował czasu na poszukiwania bocznych wyjść. Szedł naprzód, wyciągając ręce, by nie wpaść na jakąś przeszkodę. W tunelu panował straszliwy chłód. Jack zaczynał żałować, że nie wziął sobie paru łąchów ze sterty. Nie przestawał podążać korytarzem, mając nadzieję, że tym razem nie zakończy się on kamiennym murem.



Po chwili jego oczy zaczęły dostrzegać w oddali słaby blask. Pognał ku niemu. Światło stało się jaśniejsze i tunel skończył się nagle. Chłopak znalazł się w długim, prostokątnym pomieszczeniu, od którego odchodziło kilka korytarzy. Coś w jednym z kamieni muru przyciągnęło jego uwagę. Podeszedł bliżej, by przyjrzeć się uważniej. Wykuto w nim ozdobną literę "H", otoczoną dwoma wężami. Wiedział, co to znaczy: przebywał w podziemiach zamku Harvell.

## 18

Okolice Rornu nie były urodzajne. Warstwa gleby była tu płytka i jałowa. Jedynie nadzwyczaj uzdolniony i cierpliwy rolnik mógłby wycisnąć z niej jakieś plony. Niemniej kozom i owcom tutejsze twarde, żółte trawy bardzo odpowiadały. Z mleka tych zwierząt produkowano miękkie, ostre sery. Na północ od Rornu leżało wiele małych wiosek. Wszystkie do pewnego stopnia żyły z miasta.

Tawl uznał, że czas już na południowy posiłek. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca. Niedaleko od drogi wznosiło się skaliste wzgórze, usiane pasącymi się owcami. Postanowił, że wdrapie się na jego szczyt. Pora sprawdzić, kto właściwie go śledzi.

Wspinając się na górę, pogrzebał ręką w plecaku i wydobył z niego plaster suszonej wołowiny. Zaczął ją przeżuwać bez zbytniego zachwytu. Niewielu ludziom smakowało suszone mięso. Popił je łykiem wody z manierki, po czym zakończył ucztę suszonymi

morelami oraz morskimi sucharami. Uśmiechnął się ponuro. Nic dziwnego, że tak niewielu marynarzy miało zęby. Morskie suchary były twarde jak dno oceanu. Sprzedawca zapewniał go, że zachowają świeżość do ponownego przyjścia Borca. Tawł w to nie wątpił.

Gdy dotarł na szczyt, był zlany potem. Miał wielką ochotę wylać sobie resztę zawartości manierki na głowę, powstrzymał się jednak. Nie miał pewności, czy uda mu się szybko znaleźć świeżą wodę. Musiał się zadowolić wystawieniem twarzy na chłodny wietrzyk.

Z zadowoleniem przekonał się, że z pagórka rozciąga się wspaniały widok na okolicę. Na horyzoncie widniał Rorn. Miasto wydawało się białe i lśniące. Mogło tak wyglądać tylko z oddali. Na południu ciągnęło się morze, połyskujące niczym ciemny klejnot, na północy zaś dostrzegał błądy zarys gór. Był pełen animuszu. Cieszył się, że opuścił miasto i ruszył wreszcie w drogę.

Przyjrzał się uważnie otaczającej go okolicy. Wczorajszej nocy zdał sobie sprawę, że ktoś go śledzi. Przesuwał wzrokiem po krzakach i skałach w poszukiwaniu jakiegoś ruchu, nie poruszało się tam jednak nic oprócz owiec. Nie czuł się zbyt

zaniepokojony. Szli za nim jacyś ludzie i prędzej czy później ich wypatrzy. Zaczął pozorować przygotowania do popołudniowej drzemki. Rozwinął i strzepnął koc, ziewnął i przeciągnął się. Następnie położył się na szczególnie niewygodnej skałce i udał, że zasypia.

Czekał tak kilka godzin. Słońce zataczało powoli łuk na niebie. Wreszcie kącikiem oka zauważył na dole jakieś poruszenie. Starał się dostrzec szczegóły, lecz bezskutecznie. Zobaczył postać, która wynurzyła się zza kępy krzaków i podeszła do podstawy wzgórza. Tawł zerwał się na nogi, złapał nóż i zbiegł ze stoku. Nieznajomy zaczął uciekać, lecz rycerz miał po swej stronie przyśpieszenie, z jakim zbiegał z góry, więc szybko zmniejszał dzielący ich dystans. Gdy znalazł się bezpośrednio nad intruzem, skoczył mu na plecy, obalając go na ziemię. Dopiero gdy uniósł nóż do ciosu, zorientował się, z kim ma do czynienia.

– Nie zabijaj mnie – pisnął chłopiec.

Tawł wykręcił mu rękę i wcisnął jego twarz w ziemię.

– Dlaczego mnie śledzisz? – zapytał.

– To boli – poskarżył się Kosiarz, usiłując się uwolnić.

– Będzie bolało jeszcze bardziej, jeśli nie zaczniesz

mówić. Gadaj, dlaczego mnie śledzisz!

Rycerz napierał coraz mocniej.

– Kto powiedział, że cię śledzę? To wolny kraj. Mogę wędrować, dokąd chcę.

Tawł wykręcił mu rękę tak mocno, jak tylko mógł, nie łamiąc jej. Kosiarz zawył z bólu.

– Nie chciałem zrobić nic złego. Pomyślałem sobie tylko, że pójdę za tobą.

– Nikt nie śledzi ludzi bez powodu.

– Nie miałem żadnego powodu. Przysięgam! Przyszło mi do głowy, że chciałbym wyruszyć na wyprawę z rycerzem.

– Czy pracujesz dla arcybiskupa Rornu? Tawł raz jeszcze wykręcił chłopcu rękę.

– Nie, nie. Nie wiem, o czym mówisz. Kosiarz był bliski łez. Rycerz wypuścił go.

– Jeśli dobrze cię zrozumiałem, po prostu wpadło ci do łba, że opuścisz miasto, żeby wędrować z rycerzem – stwierdził z niedowierzaniem Tawł.

– Tak było. – Chłopak otarł pył z twarzy i przyjrzał się swej ręce. – W Rornie nic mnie nie czeka. Wpadłem na pomysł, że mógłbym wybrać się na poszukiwanie przygód.

– A co z twoją rodziną?

Tawl zobaczył, że na ramieniu Kosiarza pozostały czerwone ślady. Potraktował go brutalniej, niż mu się zdawało. Ulicznik wzruszył ramionami.

– Nie mam rodziny.

– To dokąd pójdziesz, kiedy wrócisz do miasta?

– Nie wrócę.

Obrzucił rycerza wyzywającym spojrzeniem.

– No, za mną już nie będziesz łaził.

– Spróbuj mnie powstrzymać. Mały uniósł dumnie brodę.

– Skąd zamierzasz brać żywność i wodę?

– Myślałem, że znajdę coś po drodze.

Kosiarz wzruszył ramionami z demonstracyjną nonszalancją. Tawl zaczerpnął głęboko tchu.

– To nie zabawa w przygody, chłopcze. Nie przeżyjesz długo o własnych siłach.

– W Rornie radziłem sobie nieźle.

– Tam, gdzie się wybieram, jest znacznie niebezpieczniej niż w Rornie.

– To pozwól, żebym ci towarzyszył. Chłopak popatrzył na niego z nadzieją.

– Wędruję na piechotę. Spowolnisz tylko mój marsz.

– Do tej pory dotrzymałem ci kroku.

– Mam zapasy tylko dla jednej osoby. Brak mi pieniędzy, by kupić więcej.

– Nigdy nie miałem trudności ze zdobywaniem forsy. – Chłopak uśmiechnął się radośnie. – Zawsze byłem w tym zręczny. Bardzo zręczny.

– Posłuchaj, Kosiarzu. – Tawł uznał, że dość już przerzucania się z chłopcem słowami. – Nie możesz mi towarzyszyć. Czeka mnie długa i ciężka podróż. Nie będę miał czasu martwić się jeszcze i o ciebie. Wracaj do domu, praktykować swą zręczność na czcigodnych obywatelach Rornu. – Wiedział, że traktuje go surowo, lecz był to jedyny sposób, by Kosiarz go zrozumiał. – Wracaj już. Jeśli się pośpieszysz, dotrzesz do miasta o świcie. – Ulicznik obrzucił go spojrzeniem pełnym urazy. – Proszę – ciągnął rycerz, wyjmując z plecaka trochę suszonego mięsa. – Weź to. Pewnie cały dzień nic nie jadłeś.

Chłopak nie chciał przyjąć jedzenia. Oddalił się.

Tawł obserwował go przez chwilę, by się upewnić, że faktycznie zmierza do Rornu. Po chwili rycerz ruszył szybkim krokiem na północ. Chciał pokonać znaczny dystans, nim zrobi się ciemno.

Maybor przeglądał się w lustrze. Miał wrażenie, że robi się odrobinę za tęgi. Dziś rano znachorka królowej

żartowała sobie z niego, mówiła, że to ona powinna być na górze, bo boi się, żeby jej nie zmiądzzył, jeśli znajdzie się pod spodem. Wielmoży nie podobała się myśl, żeby kobieta była na górze. To miejsce należało do mężczyzny. Znachorka robiła się zdecydowanie zbyt wymagająca. Pora znaleźć sobie nową dziewczkę. Tym razem wybierze młodą. Opuścił go już pociąg do starszych kobiet.

Zastanawiał się właśnie nad kandydaturą pokojówki lady Helliarny, gdy jego syn wyrwał go z zamyślenia, wchodząc do komnaty.

– Co się stało, Kedracu? – warknął, lekko poirytowany tym, że przerwano mu rozważania o bujnej tylnej części ciała pokojówki.

– Przed chwilą otrzymałem bardzo złą wiadomość, ojcze.

Kedrac nalał sobie kielich wina.

– Co, co? – zapytał lekko zaniepokojony Maybor.

– Ktoś dopuścił się sabotażu w naszych sadach.

– Co! – ryknął grubas.

– Okrutnie okaleczono ponad sto drzew. Kedrac przebiegł dłońmi po ciemnych włosach.

– Których?

– Tych w małej dolince, przy ścieżce myśliwskiej.

– Kiedy to się stało?



Rozwścieczony Maybor zaczął chodzić po komnacie.

– Przedwczorajszej nocy. Nadzorca wysłał z wiadomością gołębia.

– Domyśla się, kto to zrobił? To na pewno ci przekłęci Halcusowie. Na Borca! Jakże żałuję, że w ogóle doszło do tej piekielnej wojny.

– Nie jestem pewien, czy to Halcusowie. Byłem tam nie dalej jak przed miesiącem i ich ludzi wyparto daleko za rzekę.

– To musieli być oni. Któż inny mógłby zrobić coś takiego?

– Nigdy dotąd nie posuwali się do tego. Nie zapominaj, że oni również mają chrapkę na te sady. Nie rozumiem, po co mieliby je niszczyć, jeśli mają nadzieję któregoś dnia je zagarnąć.

– Sto drzew! I tak już zbieramy niskie plony. Jak poważne są uszkodzenia?

Maybor był szczerze przygnębiony. Sady były jego dumą, a także podstawowym źródłem dochodów. Jablecznik z nestorskich jabłek był najdroższy ze wszystkich.

– Nie mam pojęcia, ojcze, ale nadzorca nie wysyłałby gołębia bez istotnego powodu.

– Kiedy skończą się deszcze, nadejdzie mróz, który

je zniszczy. Drzewa w dolince należą do najstarszych w naszych sadach. Rodzą słodkie jabłka o łagodnym smaku. – Maybor szukał czegoś, co mógłby rozwalić. – Przysięgam, że zabiję tego, kto jest za to odpowiedzialny. – Cisnął dzbanem wina w przeciwległy kąt komnaty. Naczynie rozbiło się z satysfakcjonującym trzaskiem, zalewając bezcenny dywan czerwonym płynem. – A czy są jakieś wieści o twej lekkomyślnej siostrze?

– Nie wysłałem nikogo do Duvitt celem sprawdzenia pogłosek. Chciałem dzisiaj udać się tam osobiście.

– Pojadę z tobą. Najpierw do Duvitt, a potem do moich sadów. Chcę na własne oczy zobaczyć te uszkodzenia.

– Jesteś pewien, że wytrzymasz podróż, ojcze? Nie odzyskałeś jeszcze sił po chorobie.

– Czuję się już dobrze, chłopcze – zagrzemiał Maybor. – Nie licz na to, że otrzymasz spadek już w tej chwili, synu – dodał chytrym tonem. – Od wrót śmierci dzieli mnie jeszcze długa droga.

– Przygotuję wszystko do wyjazdu, ojcze.

– Nie potrzebuję żadnych cudów, Kedracu. Nie chcę, żeby ceremonie spowodowały opóźnienie. Jeśli uwiniemy się szybko, możemy dotrzeć do Duvitt za

pięć dni.

Melli obudziła się nagle. Otaczała ją ciemność. Lampa musiała zgasnąć, gdy spała. Nie miała pojęcia, która godzina, ani jak długo już tu przebywa. Wszystkie kończyny jej zeszywniały. Gdy podniosła się z podłogi, zdała sobie sprawę, że spódnice i halki ma mokre. Wiedziała, że nie należy spać na wilgotnej podłodze, nie miała jednak wielkiego wyboru.

Podeszła do miejsca, gdzie jej zdaniem zapewne znajdowała się lampa. Poszukała jej po omacku rękami i poczuła, że jest zimna. Z pewnością zgasła już dawno. Dziewczyna pomyślała, że Baralis powinien już przynieść jej coś do jedzenia i wodę. Miała nadzieję, że nie będzie musiała czekać zbyt długo. Przez głowę przemknęła jej straszliwa myśl: co, jeśli kanclerz chciał, by tu umarła, zamknięta w ciasnej klitce, głodową śmiercią? Zadrżała gwałtownie, nagle przerażona tym, co mogło ją spotkać.

Przegnała myśli o zgubie. Miała na głowie inne sprawy. Pilnie musiała załatwić potrzebę. Izba była pusta. Nie miała tu nawet garnka czy wiadra. Poszła do kąta i uniosła spódnice. Odrobina wilgoci więcej nic nie zaszkodzi.

Kiedy skończyła, zbliżyła się do drzwi, by sprawdzić, czy usłyszy kogoś w sąsiednim pokoju.

Nikogo tam nie było bądź też drzwi były za grube, by przepuszczać dźwięki. Ze wszystkich sił broniła się przed rozpaczą. Nie znosiła ciemności, ciasnoty i pragnienia. Zaczęła śpiewać, by podnieść się na duchu, ale jej głos był słaby i przestraszony, wkrótce więc umilkła.

Po krótkim czasie usłyszała brzęk kluczy i szcęk zamka. Drzwi otworzyły się. Melli oślepiło światło. Wyciągnęła rękę, by osłonić oczy.

– Życzę dobrego dnia, panienko.

To był Crope. Zalała ją fala ulgi. Zdecydowanie wolała sługę od pana. Gdy jej oczy przyzwyczyły się do światła, dostrzegła w drzwiach masywną postać.

– Ależ panienko, jesteś mokra i przemarznięta – powiedział łagodnym tonem. Jego dobroć przekroczyła wytrzymałość Melli. Po jej policzkach spłynęły wielkie łzy.

– Spokojnie, pani, nie ma powodu płakać. – Podszedł do niej i pogłaskał ją delikatnie po włosach. – Chodź ze mną. Pora trochę rozprostować nogi. – Wyprowadził ją z magazynu do sąsiedniego pokoju. – Widzisz? Przygotowałem wszystko ładnie.

Przeniesiono tu niektóre rzeczy z jej dawnej komnaty: dywan i ubrania. Czekala na nią taca z jedzeniem oraz dzbany z wodą i winem, a nawet pełna

miednica, w której mogła umyć twarz.

– Dziękuję, Croke. Pięknie to wszystko ustawiłeś. Potężny sługa zacerwienił się.

– Wszystko jest dziś świeże, panienko. Jedz, proszę. Na pewno jesteś głodna.

Melli uśmiechnęła się słabo.

– Chyba powinnam najpierw się przebrać. Mam mokre ubranie.

– Możesz to zrobić później. – Croke był wyraźnie skrepowany. – Kiedy już będziesz w pokoju.

– Będę mogła wrócić do poprzedniej komnaty?

– Nie, pani. – Nie patrzył jej w oczy. – Lord Baralis powiedział, że jak już się najesz i tak dalej, masz wrócić do magazynu.

Melli była zrozpaczona. Będzie musiała spędzić kolejny dzień zamknięta jak zwierzę. Croke najwyraźniej wyczuł *jej* rozczarowanie.

– Urządę go wygodniej. – Zastanawiał się chwilę.  
– Przyniosę lampę, krzesło i parę koców.

Skinęła głową bez przekonania. To jednak wystarczyło olbrzymowi, który zaczął znosić do klitki różne przedmioty.

Dziewczyna spryskała twarz wodą i nałala sobie kielich wina. Popatrzyła na tacę z jedzeniem. Choć opuścił ją apetyt, zmusiła się do przełknięcia odrobiny

chleba, który popiła wielką ilością trunku.

Wkrótce poczuła działanie alkoholu, który rozgrzał jej skórę i poprawił nastrój. Posiłek zaczął się jej wydawać bardziej kuszący. Croke skończył robotę i zaczął się kręcić nerwowo w pobliżu.

– Będiesz zaraz musiała wracać, pani – oznajmił wreszcie. – Lord Baralis powiedział, że bym cię nie wypuszczał na długo.

– Wy tłumacz mi. Croke – odezwała się Melli, odkrawając plaster wędzonej szynki. – Co sprawiło, że lord Baralis zamknął mnie w magazynie?

– Nie mogę ci tego powiedzieć, panienko.

– Nonsens! – zawołała władcym głosem. – Lord Baralis miał zamiar wczoraj mi wszystko wyjaśnić, ale musiał nagle odejść.

Czekała, jak Croke zareaguje na tę informację.

– No cóż, panienko, jeśli sam chciał ci powiedzieć, nie stanie się nic złego, jeśli ja to zrobię, prawda?

Uśmiechnął się, odsłaniając interesującą kolekcję szczerb i pożółkłych zębów.

– Sądzę, że ucieszy się, iż dokończyłeś to, co on zaczął. Croke skinął z przekonaniem głową.

– Zna panienka tego chłopaka, Jacka.

– Piekarczyka – zachęciła go Melli.

– Tak, jego. Oczywiście pracował dla lorda

Baralisa, tak samo jak ja. – Croke uśmiechnął się dumnie. – No więc, on wziął i uciekł. Strażnicy nie mogą go znaleźć, chociaż wszędzie szukali.

– A co to ma wspólnego ze mną? Sądziła, że zna już odpowiedź.

– Lord Baralis obawia się, że Jack może spróbować cię uwolnić. Dlatego zamknął cię tu, gdzie nikt cię nie znajdzie.

Melli skończyła posiłek i pozwoliła, by Croke zaprowadził ją z powrotem do magazynu. Niemal się ucieszyła, gdy zamknął za sobą drzwi. Musiała się zastanowić.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok efektów jego starań. Zrobił wiele, by zmienić oblicze izdebki. Przyniósł do niej trochę czystych ubrań, krzesło i stół, a nawet nocnik, który ustawił dyskretnie na dolnej półce. Dywan, który leżał na podłodze, wchłonął wilgoć. Croke dał jej też kilka koców, które ochronią ją przed zimnem.

Zdjęła mokre ubranie. Zastanawiała się, jakie zadania wykonywał Jack dla Baralisa. Nie wspomniał jej o tym ani słowem. Była lekko poirytowana tym, że nie powiedział prawdy. Zadała sobie pytanie, czy rzeczywiście spróbuje ją uwolnić. Była to sympatyczna myśl, całkiem jak ze starych opowieści o rycerzach.

Postawiła się jednak na miejscu Jacka i doszła do wniosku, że gdyby udało jej się wymknąć Baralisowi, uciekałaby ile sił w nogach, nie oglądając się za siebie.

– Nie, nie masz racji, Bodger.

– Ale pan Gullip powiedział, że szlachcice są z natury bardziej pożądlivi od nas, nisko urodzonych.

– Myli się całkowicie, Bodger.

– Pan Gullip mówi, że ma na to dowód, Grift.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby faktycznie miał, Bodger. Wszyscy wiedzą, że to podglądacz. Żadna baba nie chce się z nim zabawiać, dlatego łązi po zamku i podpatruje, jak inni to robią.

– To znaczy, że może mieć rację, Grift.

– Na tym właśnie polega jego błąd. Bodger.

– Na czym?

– To prawda, że szlachta bije nas ilością, ale my, nisko urodzeni, mamy przewagę w jakości.

– Czyli, że szlachcice nie są tacy dobrzy z dziewczkami, Grift?

– Uwierz mi, Bodger, im niżej urodzony mężczyzna, tym lepiej potrafi zadowolić dziewczkę. Nikt nie jest w tym lepszy od świniopasa.

– Świniopasa?

– Ehe. Jest najnędnniejszy z nędznych, ale wszystkie dziewczki się za nim uganiają.



– Myślałem, że dziewczki uganiają się za świniopasami, bo chodzi im o boczek, Grift.

– Musisz się jeszcze wiele nauczyć, Bodger.

Obaj mężczyźni pograżyli się na chwilę w zamyśleniu. Siedzieli z wyciągniętymi nogami, popijając *ale*.

– Czy to samo dotyczy pań, Grift? Im niższego stanu, tym lepiej potrafią zadowolić?

– Ehe, Bodger. Najnędniesze dziewczki w zamku zawsze przyciągają oczy i woreczki w kroku szlachetnie urodzonych. Nawet stary król Lesketh zabawiał się ze służącymi.

Jack obejrzał się za siebie. Wydawało mu się, że słyszał jakiś dźwięk. Pewnie był to szczur. Ruszył szybko naprzód. Szczególnie nie lubił bliskości tych gryzoni. Wiedział, że jego strach przed nimi to głupota. Był już przecież dorosłym, prawie osiemnastoletnim mężczyzną. Mimo to w ich ciężkich ciałach i chudych łapkach było coś, co przyprawiało go o dreszcz. Frallit zamknął go kiedyś w spichrzu na całą noc, chcąc zwalczyć ten strach. Pogorszyło to tylko sprawę. Siedział sam w ciemności, skulony pod drzwiami, modląc się do Borca, by odegnał od niego szczury.

Cały dzień poświęcił na badanie mrocznego labiryntu tuneli i tajnych przejść ciągnących się pod

zamkiem Harvell. Zdumiewał go fakt, że choć spędził w nim całe życie, nie miał pojęcia, co kryje się pod jego kamiennymi posadzkami.

Gdy dotarł wczoraj do zamku, zdjął ze ściany pochodnię i zaczął się zapuszczać w kolejne wychodzące z pomieszczenia korytarze. Kiedy nimi wędrował, wybierając kierunek pod wpływem impulsu, czuł się jak odkrywca. Wyobrażał sobie ludzi, którzy chodzili tędy przed nim: królów uciekających przed skrytobójcami czy złodziei wyprawiających się po klejnoty koronne. Uwolnienie fantazji z więzów przyniosło mu chwilową ulgę. W ciągu kilku ostatnich tygodni przeżył tak wiele niepokojących wydarzeń, że dobrze było nie myśleć o nich przez parę godzin. Pozwolił nogom iść tam, gdzie chciały. Umysł wkrótce podążył za ich przykładem.

Do teraźniejszości przywoływał go jeden drobiazg. Dwa, jeśli liczyć szczury. Był niemal pewien, że musi sobie przypomnieć coś, co dotyczyło jego matki. Omal nie udało mu się tego dokonać podczas przesłuchiwania przez Baralisa. Było tam światło i dwie postacie. Jedną z nich była ona. Próbowwała mu coś powiedzieć i nagle wszystko znikło. Im silniej Jack starał się przypomnieć sobie jej słowa, tym mniej dotykalne stawało się wspomnienie. Z początku

myślał, że był to sen, lecz śniącym na ogół nie wydawało się, że wszystko rozumieją, jeśli tylko wizja potrwa jeszcze chwilę. Przynajmniej jemu nigdy się to nie zdarzało.

Zawsze sypiał dobrze. Pan Frallit często mawiał, że jedyny sposób, by go obudzić, to porządny kopniak w łydki. Jednakże od momentu opuszczenia zamku sny nie dawały mu ani chwili wytchnienia. Drwiły z niego, ukazując mu ulotne wizje miejsc, w których nigdy nie był, i ludzi, których nigdy nie spotkał. Obrazy rozjarzały się w jego umyśle niczym trawiony ogniem tłuszcz: ludzie cierpiący męki, gród o wysokich blankach, złotowłosa mężczyzna. Wszystko to nic dla niego nie znaczyło. Budząc się rano, czuł się bardziej zmęczony, dezorientowany i niespokojny niż przed położeniem się spać.

W jednej chwili był zwykłym piekarczykiem, w następnej zaś musiał uciekać, by ratować życie, ścigany przez strażników i wypytywany o moce, nad którymi nie potrafił zapanować.

Sądząc z tego, co mówili najemnicy, królewski kanclerz nie wyszedł z przesłuchania bez szwanku. Co takiego miał w sobie Jack, że był w stanie odeprzeć jego wolę? Był bowiem pewien, że doszło do walki i choć nie odniósł w niej zwycięstwa, w jakiś sposób

udało mu się powstrzymać przeciwnika. Baralis rył w jego umyśle w poszukiwaniu prawdy niczym dzik, który zwęszył trufle. Mało brakowało, by ją znalazł. By obaj ją znaleźli.

Gdzieś w jego wspomnieniach kryły się odpowiedzi i poszukiwania Baralisa przyciągnęły je bardzo blisko powierzchni.

Wędrówka milami pustych korytarzy dała Jackowi czas na zastanowienie. Zdał sobie sprawę, że bez względu na wszystko, co go spotkało od chwili opuszczenia zamku, nie chciałby nic zmienić. Gdyby nie spalił bochnów i nie uciekł z Harvellu, nie spotkałby Falka i Melli. Falkowi zawdzięczał łagodny dar zrozumienia. Nauczył go on powątpiewać we własne opinie i przedstawił mu poglądy podważające wszystko, w co wierzył przez całe życie.

Co zaś do Melli, cóż, była dumna i piękna i z jakiegoś powodu ani na moment o niej nie zapominał. Znał wiele dziewcząt i często się z nimi całował, żadna jednak nie budziła w nim tej osobliwej mieszanki pożądania i oszołomienia, którą czuł w jej obecności. Cieszył się, że najemnikom udało się go złapać. Melli mogłaby umrzeć, gdyby nikt nie opatrzył jej ran. Uwięzienie nie wydawało mu się wygórowaną ceną za jej życie.

Pozostało mu tylko ją oswobodzić. W bibliotece Baralisa przeczytał wiele książek, w których bohaterowie uwalniali piękne panny. Jeśli oni potrafili tego dokonać, on nie mógł okazać się gorszy. Być może brakowało mu biegłości we władaniu mieczem, ale dźwiganie worków z ziarnem dało mu siłę, a uchylenie się przed ciosami Frallita szybkość ruchów.

Wiedział, że lepiej byłoby ukryć się na kilka dni, nim wróci do schronienia. W tej chwili najemnicy z pewnością byli czujni i żądni zemsty. Im dłużej zaczeka, tym większe będą szanse, że ich zaskoczy. Nie miał złudzeń, że jeśli chce uwolnić Melli, musi ominąć strażników, a nie zwyciężyć ich w walce. Życiem piekarzy władały zasady bardziej praktyczne niż życiem bohaterów.

W tej chwili najważniejsze były żywność i woda. Musiał znaleźć drogę do zamieszkałych pomieszczeń zamku.

Jedną z dziwnych rzeczy, które odkrył podczas poszukiwań wejścia do piwnic, był fakt, że wiele tuneli kończyło się kamiennymi ścianami. Nie potrafił pojąć, dlaczego ktoś miałby zadawać sobie trud budowy korytarza po to tylko, by zakończyć go ślepo. Wrócił myślą do rozmowy między dwoma najemnikami. Wspominali coś o tym, że Baralis otwiera ściany

dłoni. Spróbował odszukać na jednym z zamykających tunel murów jakiś mechanizm. Być może za gładką ścianą przebywała Melli. Nie znalazł jednak nic i dał za wygraną. Po co marnować czas na poszukiwania tajnych przejść, gdy miał do zbadania tak wiele otwartej przestrzeni?

Wreszcie, po pewnym czasie, natrafił na wąskie schody. Wszedł na górę, gdzie znalazł niskie, drewniane drzwi. Z walącym sercem nacisnął klamkę i zajrzał do środka. Nie zobaczył wiele, gdyż widok przesłaniał mu jakiś wielki przedmiot. W jego kształcie było coś znajomego. Uniósł pochodnię i przyjrzał mu się dokładnie. Była to wielka miedziana kadź. Znajdował się w piwnej piwnicy.

Postanowił, że zostawi żagiew w tunelu. Przyciągałaby tylko niepotrzebnie uwagę. Zbiegł szybko po schodach i wetknął ją w uchwyt na ścianie. W chwilę później wśliznął się do piwnicy. Minął kadź, pamiętając, by trzymać się w cieniu. Nie było tu nikogo. Zdał sobie sprawę, że na pewno jest wieczór, być może nawet środek nocy.

Powietrze przesycala woń chmielu i drożdży, przypominająca Jackowi szczęśliwe chwile, które spędził tu jako dziecko, gdy nosił *ale* zamkowym strażnikom, często ukradkiem wypijając łyczek po

drodze. Dzieciństwo wydawało mu się teraz bardzo odległe. W głębi duszy wiedział, że nigdy już nie będzie piekarczykiem ani kuchcikiem.

Opuścił piwnicę po schodach i zakradł się do zamkowych kuchni. Panował w nich mrok. Tylko gdzieś tam palily się pojedyncze świece. Wiedzial, że musi zachować ostrożność. W kuchni nawet późno w nocy można było spotkać ludzi: pomywaczki szorujące garnki i wygaszające ognie, czy pijanych strażników, szukających czegoś do zjedzenia.

Usłyszał dobiegający ze spiżarni szept. Rozejrzał się wokół i ze zdziwieniem zauważył, że drzwi, które zwykle były zamknięte, są uchylone. Na podłodze leżał jakiś człowiek ze spodniami opuszczonymi do kolan, pod nim zaś dziewczyna z rozłożonymi nogami. Jack natychmiast rozpoznał mężczyznę. Miał już się wycofać, gdy usłyszał głos:

– Kto tam?

Zamarł natychmiast, w nadziei, że cień będzie wystarczająco głęboki, by go ukryć. Mężczyzna podciągnął portki, a kobieta wygładziła spódnice.

– Wiem, że ktoś tu jest – powiedział i ruszył naprzód, Jack postanowił podjąć ryzyko. Wyszedł na oświetloną przestrzeń.

– Panie Frallicie, to ja, Jack.

– Jack, chłopcze, co ty tu robisz? Myślałem, że uciekłeś. Pan Frallit wyszedł z cienia. Dyszał głośno, a twarz miał poczerwieniałą.

– Uciekłem. – Chłopak zawahał się. – To długa historia.

– Zaczekaj chwilkę, chłopcze. – Mistrz piekarski odwrócił się w stronę dziewczyny i skinieniem nakazał jej odejść. Zaczekał, aż znajdzie się poza zasięgiem słuchu, nim odezwał się ponownie:

– Mam nadzieję, że nikomu nie powiesz o tym, co tu widziałeś, Jack?

– Chciałbym cię prosić o to samo, panie Frallicie. Skinęli obaj głowami na znak porozumienia.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić, chłopcze? Frallit miał wyraźną ochotę ulotnić się z kuchni.

– Nie, nie sędzę, panie Frallicie.

Mistrz piekarski wydał z siebie niewątpliwe westchnienie ulgi.

– Może mógłbym wziąć sobie co nieco do jedzenia? – spytał Jack.

– Proszę bardzo, chłopcze. Tylko się pośpiesz. – Zbieg wszedł do spiżarni. – Ale nie bierz pieczonej dziczyzny. Bystre oczy kucharza wypatrzą jej brak na trzy mile.



Jack szybko wypełnił szmatę serem, pasztetem i wszystkim, co wydało mu się apetyczne.

– Szybciej, chłopcze – syknął mistrz piekarski. Uznawszy, że zabrał wystarczająco wiele zapasów. Jack związał końce szmaty i wyszedł z pokoiku. Oczy Frallita zatrzymały się z dezaprobatą na wielkim zawiniątku. – Znikaj już, chłopcze – powiedział, chcąc zamknąć drzwi spiżarni. Jack podziękował mu i ruszył w stronę piwnicy, zabierając po drodze kilka świec i dzban wody.

Wróciwszy do korytarzy, zapalił jedną ze świec od pochodni i urządził sobie ucztę. Zjadł pasztet z pardwy, krwawą kiszkę, pleśniowy ser i jabłka w cieście. Nic jednak nie smakowało mu tak bardzo jak jedyny plaster zimnej pieczonej dziczyzny.

Położył się spać w częściowo ukrytej niszy w jednym z tuneli. Pochodnia dopaliła się. Mimo że wiedział, iż naraża się na odkrycie, zostawił świeczkę zapaloną. Zdał sobie sprawę, że powinien był zabrać krzesiwo. Postanowił, że pójdzie po nie jutro. Będzie też potrzebował ciepłego ubrania.

Obudził się przemarznięty i zeszywniały. Zjadł lekkie śniadanie i poświęcił cały poranek na ponowne sprawdzenie tuneli. Nie wątpił, że Baralis korzysta z nich regularnie. W kilku paliły się nawet pochodnie.

Te korytarze omijał szerokim łukiem, by uniknąć przypadkowego spotkania z kanclerzem lub jego najemnikami.

Baralis doszedł do wniosku, że pora porozmawiać z Traffem w cztery oczy. Herszt najemników niemile go rozczarował, dopuszczając do ucieczki chłopca. Oczekiwał nagrody, gdy dobrze spełnił zadanie, musiał więc również liczyć się z karą, jeśli wykonał je źle.

Patrzył, jak Traff każe swym ludziom wyjść z pokoju. Z satysfakcją zauważył, że wszystkich wystraszyło jego przybycie. Najemnik nalał sobie kufel *ale*. Baralis czuł jedynie pogardę dla ludzi, którzy szukali wsparcia w trunkach.

– No cóż, Traff – zaczął z wprowadzającą w błąd łagodnością. – Czy masz jakieś wiadomości o chłopcu albo natrafiłeś na jego ślad?

– Nie. O ile nadal tu przebywa, znajdziemy go, a jeśli wyszedł na zewnątrz, przy takiej pogodzie nie mógł uciec daleko.

Herszt najemników pociągnął potężny łyk *ale*.

– Jestem bardzo rozczarowany. Sądziłem, że dziesięciu mężczyzn wystarczy, by upilnować jednego chłopca.

– Zaskoczył mojego człowieka, kiedy...

– Nie znoszę usprawiedliwień – przerwał mu

Baralis. Widział, że Traff zaczyna się denerwować.

– Odkąd zacząłem pracować dla ciebie, dwóch moich ludzi zabito, a trzeciego zmasakrowano tak, że własna żona by go nie poznała. – Najemnik pociągnął następny łyk *ale*. – Powiem ci jedno. Mam zamiar zmiatać stąd do wszystkich diabłów.

Wstał z miejsca.

– Nigdzie nie pójdziesz.

Baralis zaczerpnął delikatnie swej mocy. Gdy Traff zorientował się, że nie może się ruszyć, na jego twarzy pojawiły się oznaki paniki.

Kanclerz rozejrzał się po pomieszczeniu w poszukiwaniu przedmiotu odpowiedniego do demonstracji. Jego wzrok spoczął na nożu o drewnianej rękojeści. Ujął go w rękę od niechcienia i pogłaskał ostrze koniuszkami palców, przesyłając w niego gorąco. Po krótkiej chwili metal rozjarzył się do czerwoności. Baralis z rozbawieniem zauważył, że strach na twarzy Traffa zamienił się w przerażenie. Przyniósł nóż na szerokość dłoni do twarzy najemnika, który skrzywił się, czując żar.

– Posłuchaj, przyjacielu – przemówił przymilnym głosem. – Sądzę, że wiesz, iż mógłbym ci zrobić poważną krzywdę. – Przesunął lekko nóż, niemal dotykając nim skóry Traffa. – Naprawdę bardzo

poważną. Ale nie zrobię, ponieważ obaj wiemy, że dasz sobie przemówić do rozsądku. Nie uciekniesz ode mnie... nie, mój dobry przyjacielu, nikomu nie uda się ode mnie uciec.

Potrząsnął lekko głową.

– Wiem, że w przyszłości sprawisz się lepiej.

Musnął delikatnie nożem policzek Traffa, który poczerwieniał lekko. Potem dotknął ostrzem jego nagiego ramienia. Skóra stała się czerwona i pomarszczona, a po chwili szcerniała. Usatysfakcjonowany Baralis cofnął nóż i przyciągnął moc z powrotem do siebie. Traff padł na stół i zaczął jęczeć. Po policzkach spływały mu łzy bólu.

– No, Traff, mam nadzieję, że teraz lepiej rozumiesz sytuację – powiedział z radością w głosie. Zanurzył nóż w *ale*, które zagotowało się i buchnęło parą. – Muszę już iść. Oczywiście liczę na to, że chłopak w najbliższych dniach się znajdzie.

Baralis zatrzymał się na chwilę w drzwiach, spoglądając na ściskającego rękę Traffa. po czym ruszył z powrotem do zamku.

Wracając podziemnym tunelem, zauważył, że z jednego z murów zniknęła pochodnia. Zastanowił się nad tym przez moment i zapisał sobie w pamięci, żeby zapytać Croke'a, czy jej nie zabrał.

Gdy już znalazł się w swych komnatach, zatarł dłonie, by złagodzić ból. Złapanie noża było dla nich wielkim obciążeniem. Deszczowa pogoda powodowała, że puchły mu i sztywniały stawy palców. Oparł się pragnieniu połknięcia lekarstwa. Wolał wytrzymać ból niż utracić jasność umysłu. Nalał sobie tylko szklanekę holku, który nie pomógł mu już jak niegdyś.

Do komnaty wszedł Crope. Szaty miał mokre. Najwyraźniej wychodził na deszcz.

– Spodziewałem się, że wrócisz szybciej. Czy dziewczyna jest bezpiecznie zamknięta?

– Tak, panie.

– Nie możesz się do niej przywiązywać, Crope – ostrzegł go. Miał wrażenie, że jego sługa czuje sympatię do Melli. – Powiedz mi, dlaczego jesteś mokry? – zapytał, upewniwszy się, że Crope go rozumiał.

– Byłem na dworze, panie. Dowiedziałem się od jednego ze stajennych, że lord Maybor wyjechał z zamku.

– Naprawdę? – Baralis poczuł nagle zainteresowanie. – A dokąd to się wybrał?

– Najpierw do Duvitt, a potem do swych posiadłości na wschodzie. Stajenny mówił, że zaszły

tam jakieś przykre wypadki.

Kanclerz uśmiechnął się z zadowoleniem. Przez parę tygodni Maybor nie będzie wchodził mu w drogę. Nim zdąży wrócić, termin, na który zgodziła się królowa, minie już, i odnalezienie córki nic mu nie da.

– Croke, czy zabrałeś pochodnię z pokoju prowadzącego do tuneli? – zawołał do sługi, gdy ten miał już wyjść. Olbrzym popatrzył na niego bez zrozumienia. – Zastanów się dobrze.

– Kiedy wyjmuję pochodnie, zawsze wkładam nowe, panie – padła odpowiedź.

– Jesteś pewien? – Croke skinął energicznie głową.  
– Bardzo dobrze. Możesz odejść.

Baralis rozciągnął usta w przebiegłym uśmiešku. A więc chłopak jest w zamku, pomyślał.

## 19

Tavalisk odczytał leżący na biurku edykt. po czym zanurzył gęsie pióro w kałamarzu i przesunął jego koniuszkiem po papierze, kładąc podpis z zakreślasem.

– Gamilu! – zawołał. Sekretarz czekał u wejścia i natychmiast wpadł do środka.

– Słucham, Wasza Eminencjo.

– Podpisałem edykt zabraniający rycerzom wstępu do Rornu. Wskazał na leżący na blacie dokument, po czym przeniósł swą uwagę na tacę z nerkówkami, która stała u jego boku. Przyjrzał się im uważnie, napawając się delikatnym aromatem. Przyrządzono je w jego ulubiony sposób: smażone w odrobinie oleju, bez korzeni ani innych dodatków maskujących delikatny smak.

– To z pewnością wywoła niezadowolenie w Valdis.

– Taki właśnie mam zamiar, Gamilu. Mam już dość ingerencji rycerzy w rornijski handel. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu przetrzymali jeden z naszych

statków przez dwa dni na pełnym morzu, by go dokładnie przeszukać. Wszystkie ryby się zmarnowały.

Tavalisk zajął się nerkówkami.

– Na domiar złego, rycerze wywołują niepokoje w mieście. Powtarzają ludziom, że jestem skorumpowany i nie mam łączności z Bogiem. Tyren prowadzi niebezpieczną grę. Najwyższy czas, by poznał siłę swych przeciwników.

Arcybiskup ścisnął nerkówkę między palcami, pozwalając, by wypłynął z niej jasny płyn. Obrzucił Gamila oskarżycielskim spojrzeniem, gdy sok splamił jego szatę.

– A co, jeśli podejmą kroki odwetowe, Wasza Eminencjo?

– Kroki odwetowe? Rycerze z Valdis? Wątpię w to, Gamilu. Będą urządzać spotkania i zebrania albo wysyłać listy potępiające nasze działania. Nie są zdolni do szybkiej akcji. Potrzebowali aż stu lat, żeby zdecydować, gdzie wybudują to swoje przekłete miasto. – Wyciągnął rękę i wybrał największą nerkówkę. – Nie, Gamilu, nie zrobią nic.

– W takim razie dlaczego Wasza Eminencja podpisał ten rozkaz?

– Myślałem, że to oczywiste. – Arcybiskup wsunął smakołyk do ust. Przetoczył go po języku, napawając



się jego sprężystością, a następnie wbił w niego ostre zęby, pozwalając, by pyszne soki spłynęły mu do gardła. – Mam nadzieję dać początek trendowi. Czy nie widzisz, Gamilu, że coraz mniej jest miast, w których rycerze są mile widziani? Nikt na południu już im nie ufa. W jednej chwili zachowują się jak niebezpieczni fanatycy, a w następnej wypierają konkurentów, zaniżając ceny. Rorn będzie pierwszym miastem, które zdobędzie się na odwagę, by wreszcie pogonić tych świętoszkowatych hipokrytów. Nasz przykład zachęci innych: Marls, Camlee, Toolay. Wszystkie miasta postąpią tak samo. Wkrótce rycerzom z Valdis zostanie na wschodzie bardzo mało miejsca.

Tavalisk cisnął pozostałe nerkówki do ognia.

– Czy mogę się ośmielić zapytać, dlaczego Wasza Eminencja jest tak nieprzychylnie nastawiony do rycerstwa?

Tavalisk potarł wytwornym ruchem plamę na szacie.

– Doprawdy, Gamilu, zdumiewa mnie twoja krótkowzroczność. Tyren pragnie zapanować nad szlakami handlowymi. Rycerzom nie wystarcza już kontrola nad handlem lądowym i rzecznym. Sięgają również po morski.

– Myślałem, że są tu tylko po to, by pilnować, żeby towary docierały bezpiecznie.

– Tak, tak. Kiedyś służyli kupcom zbrojną eskortą. Nadal to robią, tyle że koszt ochrony stał się tak wysoki, iż odbija się na cenie towarów. Na tym właśnie korzystają. Towary, które sami transportują, są o połowę tańsze. Przekonali mieszkańców północy, że Rorn celowo zawyża ceny, podczas gdy Valdis stara się je obniżyć.

Tavalisk wziął pomarańczę ze stojącej obok miski z owocami.

– Tyren coś knuje. Jest zbyt ambitny. Zawarł sojusz z diukiem Brenu, aby zdobyć wpływy na północy. Nie można dopuścić do tego, by znalazł liczących się przyjaciół na południu.

– Jeśli wszystkie wschodnie miasta wygnają rycerzy, to może doprowadzić do wojny, Wasza Eminencjo.

– O to będziemy się martwić, jeśli faktycznie do tego dojdzie, Gamilu – odparł arcybiskup z ciężkim westchnieniem. Zdarł skórkę z pomarańczy.

– Jeśli już mowa o rycerstwie. Wasza Eminencjo, może chciałbyś usłyszeć, jak się wiedzie naszemu rycerzowi.

– Mów – zachęcił go arcybiskup. Wgryzł się w

pomarańczę, błyskając zębami.

– Opuścił miasto przed niemal tygodniem. W tej chwili wędruje pieszo na północ.

– Czy chłopiec nadal za nim podąża?

– Na to wygląda, Wasza Eminencjo.

Tavalisk popatrzył na misę z owocami, zastanawiając się, co zjeść teraz.

– Możesz już odejść, Gamilu. Ale czy mógłbyś najpierw wyświadczyć mi drobną uprzejmość?

– Oczywiście, Wasza Eminencjo. Arcybiskup rozpiął szatę.

– Spróbuj może usunąć tę plamę z tłuszczu. Jeśli ci się nie uda, bądź tak dobry i potrac koszt czyszczenia ze swej pensji.

Tawl dotarł do małego miasteczka. Było tu kilka sklepów, stajnia, kuźnia i gospoda. Od kilku dni maszerował w szybkim tempie. Cieszył się, że pokonał tak wielki dystans. Był już daleko od Rornu. Krajobraz wyglądał teraz inaczej. Miasta były mniejsze i nie tak liczne, a trakt przerodził się w zwykłą polną drogę. Nie spotykało się na nim zbyt wielu wędrowców. W oddali piętrzyły się góry. Ich jasne, spowite mgłą szczyty majaczyły na horyzoncie.

Postanowił, że odwiedzi miejscową gospodę. Zbliżało się południe i należała mu się chwila

odpoczynku. W gardle mu zaschło, a myśl o *ale* zamiast wody znacznie poprawiła jego humor.

Gdy wszedł do małego szynku, natychmiast pożałował swego kaprysu. Nie była to przytulna i sympatyczna przydrożna oberża. W środku nie było nikogo poza dwoma mężczyznami, którzy siedzieli w kącie, grając w karty. Na palenisku nie płonął ogień, słomiane maty były brudne i poplamione, a w powietrzu unosiła się woń nieświeżego mięsa. Tawł miał już zamiar wyjść, gdy zza baru wyszła kobieta, która zagroziła mu drogę.

Poczuł się zobowiązany coś wypić. Szynkarka mrugnęła do niego wyzywająco i poszła przynieść mu *ale*. Wróciła po paru chwilach, niosąc pienisty napój. Postawiła kufel na stole, zatrzymując na nim dłoń.

– Powiedz mi. dokąd się wybierasz, złotowłosey chłopcze?

Nie mógł zaprzeczyć, że wydaje mu się atrakcyjna. Była przyjemnie pulchna i miała ładny, zadarty nos. Jej oczy były jednak zimne, mimo że się uśmiechała.

– Na północ.

– Do Toolay? Mam tam kuzynkę. Mówi, że jedyna dobra rzecz w tym mieście to żarcie. Kraby i homary wielkie jak jej głowa. A powiadam ci, że ona ma naprawdę wielki łeb.

Roześmiała się z własnego dowcipu. W jej ostrym śmiechu nie słyszało się ciepła.

– Nie planuję odwiedzin w Toolay.

Nie miał zamiaru wtajemniczać jej w swe plany.

– Chcesz coś do jedzenia? Kawalek pasztetu albo miskę gulaszu? Pochyliła się, odsłaniając głęboką przerwę między piersiami.

– Nie.

– Masz pustkę w kufrach, co? Odsunęła się zniechęcona.

– Nie. Jadłem już dzisiaj.

– Podróżujesz sam?

– Tak.

Zauważył jej wyrachowane spojrzenie.

– Nie masz ze sobą za dużo, jak na człowieka, który wybiera się dalej niż do Toolay.

Wiedział, że kobieta próbuje wyciągnąć z niego informacje. Gdy nie odpowiedział na jej ostatnią uwagę, wróciła za bar. Popijając *ale*, zauważył, że z zaplecza wyszedł jakiś mężczyzna, który zamienił z nią kilka słów. Mówili przyciszonymi głosami, a kobieta kilkakrotnie spoglądała na Tawla. Rycerz doszedł do wniosku, że pora już iść. Wysączył *ale* i ruszył ku drzwiom. Przechodząc przez salę, sprawdził demonstracyjnie swój długi nóż. Kiedy tylko się dało,

lepiej było unikać kłopotów.

Z przyjemnością wyszedł na dwór. Słońce świeciło lekko, a powietrze było świeże. Z osady biegła polna droga. Ruszył nią, kierując się jak zwykle na północ. Zaczął pogwizdywać melodię, której nauczył się od Carvera na "Rybackiej Szajce". Była to wesoła piosenka wysławiająca siłę, odwagę, przystojny wygląd i seksualne możliwości marynarzy. Tawl był kiepskim śpiewakiem, zadowolili się więc gwizdaniem.

Nie zdążył zejść daleko, gdy go napadnięto. Był na to przygotowany i natychmiast wyciągnął nóż. Napastników było trzech: ludzie z gospody. Jeden z nich spróbował obalić go na ziemię. Tawl odwrócił się i ciał nożem w jego brzuch, lecz chybił. Poczul ostrze, które zagłębiło mu się w ramię. Gniew sprawił, że walnął go pięścią. Trafił przeciwnika w miękki bok. Zbójca zatoczył się do tyłu, lecz odzyskał równowagę. Rycerz skierował uwagę na drugiego z napastników, chcąc go sprowokować do ataku. Mężczyzna zamachnął się nożem, odsłaniając pierś. Tawl uchylił się i sam zadał cios. Poczul, jak nóż wbija się między żebra jego wroga, który padł na plecy.

Coś uderzyło go potężnie od tyłu pod kolana. Poleciał naprzód, usiłując utrzymać się na nogach. Odwróciwszy się, zobaczył, że trzeci z bandytów

dzierży w dłoniach wielką maczugę. Pierwszy zaatakował go nożem i rycerz musiał odeprzeć jego atak. Maczuga grzotnęła go z wielką siłą w łopatkę. Tawl padł na ziemię. Dwóch napastników runęło na niego.

Wtem ktoś skoczył jednemu z nich na plecy. Rycerz nie potrzebował niczego więcej. Bandyta z maczugą spuścił z niego wzrok na mgnienie oka. To wystarczyło Tawlowi, który zerwał się na nogi i wbił mu nóż w brzuch. Załatwiwszy się z nim, szybko zwrócił się ku ostatniemu z przeciwników, który usiłował zrzucić sobie z pleców nowego uczestnika walki. Tawl przejechał mu nożem po boku, a potem wykończył go szybkim ciosem w serce.

Chłopiec krzyknął radośnie, skacząc w górę z podniecenia.

– Co tu robisz, na Borca? – zapytał rycerz, zaczerpnąwszy najpierw z wysiłkiem tchu. Pomacał się po łopatkę. Była obolała, ale nie sprawiała wrażenia złamanej.

– Na to pytanie łatwo odpowiedzieć. Ratuje ci życie, oczywiście. Kosiarz uśmiechnął się triumfalnie. Tawl oddalił się nieco od miejsca walki, wciąż wciągając z trudem powietrze.

– Ten pierwszy uciekł. Widziałem, jak odczołgał

się w krzaki. – Chłopiec popatrzył na Tawła, domagając się odpowiedzi. – Nie masz zamiaru go załatwić? – zapytał, nie doczekawszy się jej.

Rycerz potrząsnął głową. Nadal brakowało mu tchu. Przykucnął obok drogi.

– Miałeś wrócić do Rornu.

– Całe szczęście, że tego nie zrobiłem.

Tawł nie mógł zaprzeczyć, że nie jest wykluczone, iż interwencja Kosiarza uratowała mu życie.

– Co ci przyszło do głowy, żeby skakać na plecy uzbrojonemu człowiekowi? Mogłeś zginąć.

Rycerz zaczął czyścić nóż, wycierając krew garścią trawy.

– Nie zastanawiałem się nad tym. Zobaczyłem, że masz kłopoty i ruszyłem do ataku. Nie jestem tchórzem. W Rornie bywałem w gorszych tarapatach.

Tawł popatrzył na trakt. Nie zobaczył tam nikogo. Pora się ulotnić. Nie chciał ryzykować, że złapią go w pobliżu dwóch trupów. Popatrzył na ulicznika, zastanawiając się, co z nim począć. Podjął decyzję i ruszył przed siebie.

– Chodź, chłopcze! – zawołał. – Lepiej stąd znikajmy.

– Idź przodem! – odkrzyknął Kosiarz. – Za kilka chwil cię dogonię.



Po pewnym czasie chłopak doścignął Tawla. Był zdyszany. Widać było, że biegł.

– Co cię zatrzymało?

– Musiałem załatwić pewien drobiazg.

– Jaki drobiazg?

– Chciałem zorganizować jakieś fundusze – odparł ze wzruszeniem ramion.

– Co to znaczy “zorganizować fundusze”? – zapytał ostrym tonem Tawł, tracąc cierpliwość.

– Przeszukałem ciała, żeby sprawdzić, czy znajdę coś, co warto byłoby zabrać. Wiem, że jesteś rycerzem i tak dalej – wyjaśnił, widząc niezadowoloną minę Tawla. – Pewnie jesteś zbyt honorowy, żeby coś zwędzić, więc uznałem, że przejmę inicjatywę.

– Dawaj to.

– Ja to znalazłem – sprzeciwił się Kosiarz.

– Dawaj to!

Chłopak wydobyl spod kamizelki sakiewkę i wręczył ją Tawlowi.

– Sześć srebrników i jedna sztuka złota – oznajmił z dumą.

– Było coś jeszcze?

– Nic szczególnego – odparł ostrożnie Kosiarz.

– Nie ograbiaj już więcej zabitych, chłopcze, zwłaszcza jeśli nie ty ich uśmierciłeś.

– Co zrobisz z pieniędzmi?

– Zatrzymam je. Jeśli masz iść ze mną, będę potrzebował więcej.

Rycerz zauważył, że chłopak rozpromienił się na chwilę, po czym znowu przybrał nonszalancką pozę.

– Mówiłem ci już, Tawł, że przy mnie nie będziesz miał kłopotów z finansami.

– Posłuchaj, Kosiarzu – rycerz nagle spoważniał – to nie jest piękna przygoda. Czeka nas ciężka wędrówka, złe drogi i paskudna pogoda, a potem w ogóle nie będzie żadnych dróg. Widziałeś dzisiaj, co może spotkać niewinnych wędrowców. Nie potrafię zapewnić bezpieczeństwa nawet sobie, a co dopiero mówić o upartym chłopcu. To prawda, że mam u ciebie dług. Częściowo z tego powodu pozwalam, byś mi towarzyszył. Sądzę jednak, że jeszcze pożałujesz mojej wdzięczności.

Robiło się już późno. Słońce poczerwieniało na zachodnim niebie, a w wietrze dawały się wyczuć pierwsze oznaki wieczornego chłodu. Tawł postanowił, że będą podróżować do późnej nocy. Chciał nie tylko nadrobić opóźnienie, lecz również sprawdzić wytrzymałość chłopca.

Pani Greal przygotowywała się do zejścia na kolację. Pokryła twarz grubą warstwą sproszkowanego

ółowiu, po czym rozgniotła między palcami kilka owoców żurawiny i wtarła sobie ich sok w policzki. Pomyślała, że może nie jest już taka młoda, jak niegdyś, ale wciąż ma niezłą figurę. Przerzuciła zawartość garderoby, zastanawiając się, którą suknię założyć. Wybrała najprostszą, niebieską, uznawszy, że dzisiejszy wieczór nie przyniesie ze sobą wielu okazji. Jej siostra, która mieszkała teraz w Brenie, wielokrotnie besztła ją za marnowanie dobrych strojów na mało zyskowe wieczory.

– Pani Greal, pani Greal! Do izby wpadła służąca.

– Co znowu, ty nieznośna dziewucho?

– Och. pani Greal, cóż za wieści! Keddi zarumieniła się z podniecenia.

– Jeśli nie powiesz mi natychmiast, o co chodzi, każę cię wybatożyć. Uspokój się i gadaj.

– Do miasta przybył lord Maybor. Towarzyszy mu syn i nieliczna drużyna.

– To doprawdy radosna wiadomość, Keddi. Dobrze zrobiłaś, że mi o tym powiedziałaś.

Pani Greal zmrużyła chciwie oczy. Powszechnie wiadano, że lord Maybor jest najbogatszym człowiekiem w Czterech Królestwach. Wiadomo było również, że jest wyjątkowym miłośnikiem kobiet i trunków. Uznała, że jest jej obowiązkiem dopilnować,

by podczas pobytu w miasteczku wielki człowiek znalazł pod dostatkiem obu atrakcji i by słono za nie zapłacił.

Choć jego posiadłości leżały niedaleko na wschód od Duvitt, pani Greal nie przypominała sobie, by odwiedził już kiedyś miasteczko.

– Gdzie się zatrzyma, Keddi?

Miała układ z oberżystami w większości zajazdów w Duvitt.

– Tutaj.

– Świetnie, świetnie. Pomóż mi zdjąć tę suknię, Keddi. Założę dzisiaj zieloną. W tym kolorze jest mi najbardziej do twarzy.

Gdy już się ubrała, kazała Keddi wyczyścić najlepszą perukę.

– Ostrożnie, dziewczyno! – warknęła. – Nie szczotkujesz konia.

Gdy tylko peruka znalazła się na miejscu, pani Greal kazała służącej zająć się jej dwoma dziewczynami.

– Leć do nich, Keddi, i dopilnuj, żeby dobrze zaciągnęły sznurówki. Chcę zobaczyć wysoko ustawione piersi i wąskie talie. Rozpuść Willi włosy. To pomaga ukryć tę brzydką plamę na szyi. Aha, jeszcze jedno. Każ im zostać na górze, dopóki ich nie

wezwę. Najpierw skuszę lorda Maybora opisem ich wdzięków. Wyobraźnia nieraz już pomogła w ubiciu interesu.

Gdy Keddi się oddaliła, pani Greal zeszła do gospody. Było jeszcze trochę za wcześnie, ale chciała zająć najlepszy stół, ustawiony w zadowalającej odległości od najbliższej lampy. Nowe dziewczyny potrzebowały niestety odrobiny cienia. Usiadłszy na miejscu, zamówiła najtańsze wino i zaczęła czekać.

Nie trwało to długo. Usłyszała liczne głosy i drzwi gospody otworzyły się. Do środka weszła grupa mężczyzn. Byli zmarznięci i przemoczeni. Głośno domagali się obsługi. Dzięki wspaniałym strojom natychmiast odgadła, z kim ma do czynienia. Jeden z nich wyraźnie się wyróżniał. Tak dumną postawę dawało jedynie wielkie bogactwo i szlachetne urodzenie. Szaty miał barwy karmazynowo-złotej, a płaszcz oblamowany gronostajowym futrem. Zażądał jedzenia i trunków. Przemawiał donośnym basem, lecz bystre uszy pani Greal dosłyszały, że charczy cicho.

Zauważyła z aprobatą, że przybysze zamówili to, co w gospodzie najlepsze: pieczoną dziczyznę, wędzonego łososia i bażanta z rusztu, nie wspominając już o beczulce czerwonego lobanfernu, którą oberżysta wyniósł z piwnicy. Pani Greal знаła co do miedziaka

cenę wszystkich sprzedawanych tu trunków i czerwony lobanfern był zdecydowanie najdroższy z nich.

Obserwowała grupę, która robiła się coraz bardziej hałaśliwa. Wino dodawało żaru rozmowom i koloru twarzom. Wreszcie uznała, że czas już przystąpić do akcji. Wstała, wygładziła spódnice i podeszła niespiesznie do ich stołu.

– Panowie, życzę wam udanego wieczoru. Wszyscy zwrócili się w jej stronę.

– Mam nadzieję, że smakuje wam posiłek. Chciałabym, żebyście się dowiedzieli, że są tu też kąski smakowitsze od wymienionych w jadłospisie.

Grupa zrozumiała jej słowa. Wszyscy zaczęli walić pucharami w stół.

– Jakie kąski masz do zaoferowania, kobieto? – zawołał mężczyzna, w którym rozpoznała lorda Maybora. – Mam nadzieję, że nie siedziały w garnku tak długo, jak ty.

Wszyscy buchnęli serdecznym śmiechem. Pani Greal poczuła się cokolwiek urażona, ukryła to jednak starannie.

– Zapewniam cię, szlachetny panie, że moje kąski są młode i delikatne, pulchne i dobrze przyprawione.

Goście przyjęli jej słowa rykiem radości.

– Potrafisz skusić głodnego mężczyznę – stwierdził

wielmoża.

– Doświadczenie nauczyło mnie, że głodnego mężczyzny nie trzeba zbyt mocno kusić, panie.

Grupa raz jeszcze wybuchnęła śmiechem. Pani Greal wiedziała, że niedługo będzie mogła wyciągnąć linkę.

– Powiedz mi, kobieto, gdzie trzymasz te delikatne kąski?

– Kąsków tak delikatnych, jak moje, trzeba dobrze pilnować, by nie zjedzono ich przedwcześnie.

– Apetyt mężczyzny osiąga szczyty wtedy, gdy widzi on to, co ma zjeść.

Ludzie Maybora zareagowali na jego słowa entuzjastycznymi okrzykami: – Tak jest!

Pani Greal uznała, że czas już sprowadzić dziewczyny. Skinęła głową do posługacza, który natychmiast pobiegł na górę. Wykorzystała chwilę przerwy na dyskretne zdmuchnięcie części pobliskich świec, po czym ponownie skierowała uwagę na mężczyzn. Uznała, że w jej interesie leży zachęcić ich do spożycia większej ilości trunków.

– Panowie, czy mogę się ośmielić wznieść toast? – zawołała.

– Damom nie wolno wznosić toastów – krzyknął jeden z członków grupy.

– W takim razie nie złamiemy żadnych reguł, jeśli pozwolimy jej to zrobić.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Pani Greal śmiała się razem z nimi. Ojej irytacji świadczyły jedynie lekko zmrużone oczy.

Chwilę później dziewczyny zeszły po schodach. Pani Greal omiotła je krytycznym spojrzeniem. Keddi spisala się dobrze. Grupa zauważyła ich przybycie. Wszyscy pokrzykiwali głośno, każąc im podejść do stołu i zjeść z nimi kolację. Popatrzyły obie na panią Greal, która potrzęsła leciutko głową i zmarszczeniem czoła dała im do zrozumienia, że powinny zasiąść za stołem, który wybrała wcześniej.

Gdy tylko mężczyźni zorientowali się, że się do nich nie przysiada, zaczęli buczeć, syczeć i walić pucharami w blat.

– Przyrowadź dziewczyny do naszego stołu, kobieto – rozkazał wielmoża.

– Wolimy wszystkie posiedzieć chwilkę osobno, panie. Z chęcią jednak przyjmujemy od ciebie poczęstunek.

Mężczyzna chrząknął, nakazał jednak napelnić dzban winem z beczułki i zanieść go dziewczynom. Małe serce pani Greal zabiło z podniecenia. Cały dzban czerwonego lobanfernu!



Podeszła do swego stołu, gdzie dziewczyny miały już zamiar nalać sobie po kielichu przesadnie drogiego trunku.

– Nie ważcie się – ostrzegła je. – Posługacz zaraz zamieni wino. Możecie pić z dzbanu, który przyniesie.

Nie zamierzała zrezygnować z okazji zarobienia paru groszy. Sprzeda lobanfern z powrotem oberżycie.

Mężczyźni wciąż gwizdali i wołali dziewczyny, wznosząc kielichy i krzycząc głośno, gdy tylko któraś z nich odpowiedziała uśmiechem. Po krótkiej chwili lord Maybor podszedł do ich stołu, niosąc kolejny dzban wina.

– Pomyślałem, że przyda się paniom jeszcze jeden poczęstunek. Usiadł między obiema dziewczynami, podziwiając ich figury.

– No, no, kobieto, to doprawdy kuszące kąski. – Ścisnął udo jednej, zaglądając jednocześnie lubieżnie w dekolt drugiej. – Doprawdy, bardzo kuszące.

Pani Greal wykorzystała tę okazję, by lekkim ruchem przewrócić naczynie z tanim winem.

– Ojej – zawołała. – Cóż ze mnie za niezdara! Co ja narobiłam! Taki wspaniały trunek!

Zaczęła demonstracyjnie wycierać płyn chusteczką. Wielmoża kazał przynieść kolejny dzban. Pani Greal

uśmiechnęła się szeroko. Dzisiejsza noc już w tej chwili przyniosła jej wielkie zyski.

Przyniesiono więcej wina. Członkowie świty Maybora podeszli do ich stołu, przynosząc ze sobą krzesła. Mężczyźni pili dużo. Pani Greal popatrzyła ostrzegawczo na swe dziewczyny, na wypadek, gdyby miały ochotę postąpić podobnie. Wielmoża obrzucił pijaną zgrają dobrodusznym spojrzeniem, po czym szepnął słówko do ucha pani Greal. Oboje oddalili się dyskretnie.

– Wymień cenę, kobieto.

– Cóż, panie, za obie dziewczyny... – przerwała, by się zastanowić. Zaczepnęła głęboko tchu. – Pięć sztuk złota – rzuciła.

Maybor nie wahał się ani chwili.

– Zgoda! – Popatrzył na swych towarzyszy. – Moi ludzie mają za sobą pięć dni szybkiej jazdy. To niewysoka cena za tak ponętą rozrywkę.

Pani Greal wessała głośno powietrze. Niewysoka! Przekląła się w duchu. Mogła zażądać więcej! Wielmoża ruszył w stronę stołu.

– Powiedz mi, panie – zaczęła, pragnąc zatrzymać go jeszcze chwilę, by zastanowić się nad wiarygodnym pretekstem, który pozwoliłby jej podnieść cenę. – Co sprowadza do Duvitt taką osobistość, jak ty?

Maybor zawahał się na chwilę, po czym zaprosił ją skinieniem dłoni do odległego, stojącego w kącie stołu. Usiadł obok niej. Gdy zaczął mówić, poczuła woń wina w jego oddechu.

– Mam wrażenie, że jesteś kobietą, która zna tu wielu ludzi. – Pani Greal skinęła głową. – Zauważyłabyś, gdyby do miasta przybył ktoś nowy?

– Oczywiście, panie.

Była gotowa zgodzić się ze wszystkim, co by powiedział.

– Poszukuję pewnej dziewczyny. Do mych uszu dotarły pogłoski, że mogła przejeżdżać tędy.

– Kim ona jest?

– To nie twoja sprawa – odparł ostrym tonem. – Muszę ją odnaleźć.

– Podaj mi jej opis, panie.

Oczy pani Greal były pełne zrozumienia. Surowe brzmienie głosu wielmoży kazało jej sądzić, że tajemnicza nieznajoma albo mu coś ukradła, albo zaraziła paskudnym przypadkiem trypra.

– Ma prawie osiemnaście lat. Jest wysoka, jak na dziewczynę. Ma długie, ciemne włosy i ciemnoniebieskie oczy.

– Czy ma jakieś znaki? Wrodzone albo po ospie?

Serce pani Greal zabiło szybciej. Opis przywiódł jej

na myśl tę przybłądę, którą przyjęła i nakarmiła przed kilkoma tygodniami – niewdzięczną zdzirę Melli.

– Nie ma żadnych znaków. Jej skóra jest gładka i jasna.

– A czy jest jakaś nagroda za informację o niej?

Była już pewna, że wielmoża szuka Melli z Głębokiego Lasu.

– Co o niej wiesz? – zapytał Maybor. Pani Greal pomyślała, że w jego głosie słyhać chęć wymierzenia kary poszukiwanej dziewczce.

– Parę tygodni temu zjawiała się u nas dziewczyna pasująca do tego opisu. Z przykrością wyznaję, że przyjąłem ją pod swój dach. Wydałem na nią mnóstwo pieniędzy, sądząc, że przyda się w moim interesie. Na Borca, byłam w błędzie! To była wredna dziewczka.

Oszukała mnie, ukradła moje suknie, ukradła konia i napadła mojego przyjaciela. Oczywiście udało nam się ją złapać. Osobiście dopilnowałam, żeby tę małą ladacznicę skazano na porządną chłostę.

Ledwie skończyła mówić, gdy wielmoża złapał ją brutalnie za nadgarstek.

– Jak miała na imię?

Jego głos był pełen gniewu. Pani Greal zaczęła się bać.

– Melli. Mówiła, że nazywa się Melli.

Uderzył jej ręką o stół z taką siłą, że usłyszała trzask pękających kości. Rozejrzała się, rozpaczliwie szukając pomocy. Oberżysta i posługacz nie chcieli jej spojrzeć w oczy.

– Co się z nią stało?

Gniew w głosie Maybora przeszedł w furję.

– Nie wiem, panie. – W jej oczach wezbrały łzy bólu. Wielmoża raz za razem walił jej nadgarstkiem o stół. Rękę przeszywał ból. Zobaczyła, że jedna ze złamanych kości przebiła skórę. – Podczas biczowania zjawiała się grupa zbrojnych, którzy ją zabrali. – Pani Greal wpadła niemal w histerię. – Więcej o niej nie słyszałam. Przysięgam.

– W którą stronę odjechali? Wcisnął jej złamany nadgarstek w blat.

– Na zachód, ku lasowi.

Przerażona pani Greal podniosła wzrok. Wielmoża zdjął z palca wielki pierścień, ozdobiony klejnotem. Przycisnął go do jej ust. Poczowała chłodny pocałunek kamienia. Jednym szybkim ruchem wepchnął pierścień do środka tak silnie, że wybił jej przednie zęby. Wrzasnęła histerycznie. Krew spłynęła jej po brodzie, skapując na piersi. Maybor odwrócił się i wyszedł. Skinieniem nakazał swym ludziom, by podążyli za nim.

Pani Greal osunęła się na stół, łkając gwałtownie. Drewniany blat splamiła krew. Nikt z obecnych w gospodzie nie pośpieszył jej z pomocą.

Jack usłyszał czyjeś kroki. Ukrył się w cieniu, wstrzymując oddech, dopóki intruz go nie minął. Rzucany przez niego cień świadczył o tym, że to Croke. Odczekał kilka minut, przyciśnięty mocno do wilgotnego kamienia, po czym opuścił kryjówkę. Kilka ostatnich dni spędził na czekaniu, ukrywaniu się w zimnym, mrocznym labiryncie ciągnącym się pod zamkiem. Ruszył w stronę korytarza. Dziś w nocy dowie się, gdzie jest uwięziona Melli.

Przyjął sobie miecz do pasa i skierował się do podłużnego pomieszczenia stanowiącego wejście do tunelu. Zajrzał w głąb korytarza i zobaczył w oddali słabe światło, które bladło z każdą chwilą. Croke najwyraźniej również wybierał się do schronienia. Jack wszedł do przejścia i ruszył za nim.

Po jakimś czasie wynurzył się z tunelu. Nigdzie nie dostrzegł sługi Baralisa. ruszył więc ostrożnie przed siebie. Korytarze były ciemne i kręte. Spróbował trafić z powrotem do celi, w której go trzymano. Każdy krok niósł się w jego uszach głośnym echem. Przy każdym zakręcie obawiał się zasadzki.

Wreszcie dotarł do drzwi zaryglowanych od

zewnątrz. Nasłuchiwał przez chwilę. Upewniwszy się, że w środku nic nie słychać, odsunął rygiel i wsunął się do środka.

Zapalił świecę i rozejrzał się po pomieszczeniu. Pokój był wygodnie urządzone. Było w nim łóżko, wanna oraz kilka krzeseł i stołów. Na łóżku leżały rozmaite ubrania: kobieca koszula nocna oraz suknie. Na jednym ze stołów stała miska z różaną wodą. Wzrok Jacka przyciągnęła sterta brudnych szmat zwalona w kącie. Podszedł do nich, żeby przyjrzeć się im lepiej. Przerzucił je. Jego podejrzenia potwierdziły się, gdy wydobył ze stosu brudną i podartą czerwoną suknię. Należała do Melli. Dziewczynę przetrzymywano w tej komnacie. Gdzie jest teraz? – zadał sobie pytanie. Modlił się, by się nie okazało, że ją zamordowano.

Zbadał pokój dokładniej, szukając wskazówek co do losu Melli. Nie znalazł nic więcej, postanowił więc ruszyć dalej. Gdy uchylił drzwi, ujrzał ze zdumieniem Crope'a, który wyłonił się ze ściany tunelu, tej samej, którą sam minął obojętnie przed kilkoma minutami. Przymknął szybko drzwi, zostawiając tylko wąziutką szczelinę, przez którą wyglądał. Crope wymacał coś w murze i po krótkiej chwili przejście się zamknęło. Potężny sługa oddalił się w stronę tunelu.

Jack wyszedł z komnaty i zasunął za sobą rygiel. Podszedł do miejsca, w którym przed chwilą stał Crope, i powtórzył jego czynności. Dotknął rozplaszczonymi dłońmi kamienia i zaczął wodzić nimi po zimnej powierzchni. Nic. Ogarnął go niepokój. Im dłużej tu sterczał, tym większe było ryzyko zdemaskowania go. Sfrustrowany walnął w ścianę pięścią – i poczuł, że wewnątrz poruszyło się coś maleńkiego. Mur u jego boku odsunął się z łoskotem. Pojawiło się wejście. Kusiło go, by natychmiast wpaść do środka, najpierw jednak obmacał dokładnie fragment ściany, w który uderzył. Znalazł to, czego szukał – nie więcej niż maleńką wypukłość w kamieniu... mechanizm otwierający. Przeszedł przez szczelinę.

Znalazł się w dużym pomieszczeniu. Przede wszystkim musiał zamknąć za sobą ścianę, by móc się rozejrzeć bez przeszkód. Spróbował odgadnąć, po której stronie będzie mechanizm zamykający. Udało mu się. Wyczuł maleńki kamienny występ. Nacisnął go i ściana zasunęła się na miejsce.

Zbadał dokładnie komnatę. Była dobrze oświetlona. Trochę świec jeszcze się paliło. Stało tam kilka krzeseł i wielki stół, na którym leżały różne przedmioty. Na przeciwległym końcu pokoju zobaczył



drzwi. Podbiegł do nich i przyłożył ucho do drewna. Nie usłyszał nic. Zobaczył zamek i zrozumiał, że nie da się ich otworzyć. Popchnął jednak drzwi. Nie ustąpiły. Wydało mu się, że słyszy po drugiej stronie poruszenie.

– Melli! – zawołał cicho.

– Kto tam? – dobiegła go słaba odpowiedź. Jack poczuł dreszcz, rozpoznawszy głos.

– Melli, to ja, Jack.

– Jack, to naprawdę ty? Mówiła teraz głośniej.

– Tak, przyszedłem cię uwolnić. Nie wiesz, czy gdzieś tu jest klucz?

– Chyba nie. Crope i Baralis cały czas trzymają klucze przy sobie.

Jack sprawdził drzwi. Były solidne, a zamek wyglądał na mocny.

– Cofnij się, Melli.

Kopnął drzwi z całej siły, przerażony towarzyszącym temu głośnym hałasem. Nie puściły. Próbował raz za razem, aż wreszcie zaczęły się chwiać. Po ostatnim kopniaku drewno pękło i zamek ustąpił.

Melli wypadła na zewnątrz i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Udało ci się! Udało. – Po chwili odzyskała panowanie nad sobą i cofnęła się od niego. –

Myślałam, że jesteś już wiele mil stąd.

– Nie mógłbym uciec, wiedząc, że wciąż jesteś uwięziona.

Nie chciał spotkać jej wzroku. Czuł się głupio. Odgarnął nerwowo włosy z czoła. Zdał sobie nagle sprawę, jak się prezentuje. Jak musiał wyglądać w jej oczach? Był brudny, włosy miał rozczochrane, a ubranie powalane krwią. Bohaterom, którzy ratowali dziewczęta w książkach, zawsze jakoś udawało się zachować wygląd dworskich dandysów. Gdy następnym razem wybierze się szukać przygód, nie zapomni zabrać grzebienia.

Czuł się skrępowany oględzinami Melli.

– Musimy się śpieszyć – powiedział, ciesząc się, że znalazł pretekst, by się odwrócić. – W każdej chwili może wrócić Crope. – Podeszedł szybko do wyjścia i odsunął ścianę. – Chodźmy.

Dziewczyna porwała ze stołu nożyk do krajania owoców i podążyła za Jackiem.

Uznał, że próba skierowania się ku wyjściu byłaby zbyt ryzykowna. Na pewno było dobrze strzeżone i musieliby ominąć wartownię. Poprowadził Melli do łączącego schronienie z zamkiem Harvell tunelu. Gdy się w nim znaleźli, zauważył z westchnieniem ulgi, że przed nimi nie pali się żadne światło.

– Pośpiesz się – powiedział, ujmując dłoń dziewczyny.

Lord Maybor uniósł dłoń i ściągnął wodze, zatrzymując wierzchowca. Jadący z tyłu ludzie zwolnili i stanęli za nim. Odwrócił się w ich stronę.

– Rozbijemy tu obóz na noc – polecił. Brzmienie jego głosu ucięło wszelkie sprzeciwy. Ludzie zabrali się do roboty.

Zsiadł z konia i zagłębił się w las. Po chwili usłyszał, że ktoś się zbliża. Miał już zamiar kazać intruzowi odejść, gdy usłyszał głos swego syna.

– Ojcze. – Kedrac się zbliżył. – Co się wydarzyło w gospodzie? Dlaczego wracamy do Harvellu?

Maybor nawet na niego nie spojrzał. Wbił wzrok w ciągnącą się przed nim ciemność.

– Kedracu, nie usłyszysz ode mnie ani słowa o tym, co zaszło między tą kobietą a mną. Powiem ci jednak, że mam powody, by sądzić, że Melliandrę uprowadzili ludzie Baralisa i, jeśli jeszcze żyje, zapewne więżą ją gdzieś w niewielkiej odległości od zamku.

– Ojcze, czego dowiedziałeś się od tej kobiety? Jeśli to dotyczy mojej siostry, żądam byś mi to zdradził.

– Zostaw mnie. Kedracu!

W głosie Maybora zabrzmiała taka siła, że jego syn

wycofał się natychmiast.

Możnowładcę otaczała ciemność. Między drzewami hulał zimny wiatr, a na niebie nie było księżycy. Stał i myślał o córce, o tym, jak bardzo ją kocha. To prawda, że zmuszał ją do zawarcia zaręczyn, ale nigdy nie chciał jej skrzywdzić. Teraz usłyszał z ust tej plugawej kobiety, że Melliandrę maltretowano i poddano chłóście. Potrząsnął głową z posepną miną i ruszył w stronę obozu. Rozpadał się gwałtowny deszcz i Maybor z radością przyjął wywołane tym niewygody.

– Dokąd prowadzi ten tunel? – wysyczała Melli. Czują lekki strach. Nie znosiła ciemności.

– Do zamku. – Jack pociągnął ją za ramię, każąc jej przyspieszyć kroku. – Chodź szybciej. Mogą nas tu złapać. Widzisz to światełko w oddali? To koniec tunelu. Jest już niedaleko.

Czekała, by Jack znowu złapał ją za rękę, nie zrobił tego jednak. Ukryła rozczarowanie, zrywając się do biegu.

Dobrze było rozprostować porządnie nogi po wielu dniach uwięzienia w ciasnej klitce. Po chwili tunel przeszedł w długi, prostokątny pokój. Piekarczyk poprowadził ją jednym z wielu wychodzących z niego korytarzy. Melli chciała coś powiedzieć, powstrzymał ją jednak, unosząc palec do ust. Musiała wierzyć, że

wie, dokąd ją wiedzie.

Trasa, którą teraz wędrowali, wydawała się labiryntem zakrętów i klatek schodowych. Jack zapalił świecę, dzięki czemu mogła zobaczyć choć trochę z tego, co mijала. Nie był to przyjemny widok: zimne, wilgotne, kamienne mury o szczelinach porośniętych bladym mchem. Trzymała się z daleka od tych dziwaczknych roślin. Drżała na myśl, że mogłaby się otrzeć o którąś z nich.

Wreszcie dotarli do schodów, które prowadziły do drewnianych drzwi. Jack kazał jej poczekać, aż sprawdzi, czy droga jest wolna. Po paru chwilach, ku wielkiej uldze Melli, wysunął głowę zza drzwi i wezwał ją skinieniem. Po drugiej stronie znajdowało się obszerne pomieszczenie o niskim stropie. Jej nozdrza zaatakowała woń piwa i chmielu. Była w piwnej piwnicy.

Znała ją dobrze. Często bawiła się tu jako dziecko, biegała i chowała się za ogromnymi kadziami albo z kolei kulała beczki *ale*. Jeśli ich przyłapano, naigrawała się z przyjaciółmi z mistrza piwowarskiego i piwnicznego. Obaj nigdy by się nie odważyli zrobić coś złego dzieciom szlachetnie urodzonych. Zadawali się przegnaniem ich z piwnicy. Przypominała sobie, że ucieczka była

najprzyjemniejszym elementem całej zabawy: przerażająca i ekscytująca zarazem. Istniała możliwość schwytania, lecz jednocześnie mieli uspokajającą świadomość, że nie grozi im żadne prawdziwe niebezpieczeństwo. Westchnęła głęboko. Żałowała, że teraz nie ma takiej pewności.

Jack poprowadził ją w górę po kolejnych schodach, wiodących do kuchni. Wiedziała, że nocne wędrówki po zamku są niebezpieczne. Korytarze patrolowali strażnicy. Przekradli się przez kuchnię, gdy tylko się dało, kryjąc się w cieniach. W sali jadalnej dla służby przebywała grupa ludzi, wszyscy jednak wyglądali na rozweselonych trunkami i nie zwrócili uwagi na przemykającą obok parę.

Zostawiwszy kuchnię za sobą, zwiększyli tempo. Pobiegli nieznanym Melli korytarzem i nagle zatrzymali się przed małym, niskim otworem w ścianie.

– Chodź, musimy się tędy przeczołgać. Jack uklęknął.

– Nie zrobię tego. Ta dziura jest za mała. – Jack puścił mimo uszu jej słowa i zaczął przełazić przez szczelinę nogami naprzód. – Dokąd ona prowadzi?

– Do magazynu, w którym trzyma się drewno na opał. – Jack przerwał, by obrócić się i precyzyjnie barki

przez otwór. – Zawsze się tam chowałem, kiedy ścigał mnie pan Frallit.

Melli pochyliła się i przyjrzała otworowi w ścianie. Nie spodobał jej się pomysł pokonywania go stopami naprzód. Uchybiało to jej godności, a poza tym Jack zobaczyłby jej nogi i bieliznę. Postanowiła, że przeciśnie się głową naprzód. Położyła się na brzuchu i zaczęła odpychać rękami i nogami. Szczelina była ciasna. Melli dziwiła się, w jaki sposób chłopakowi udało się przejść przez nią z taką łatwością. Wreszcie przedostała się na drugą stronę i stanęła na nogi. Jack przyglądał się jej z rozbawieniem.

– Chodźmy już – powiedziała ostro.

– Hej, ty tam! – zawołał ktoś, gdy chłopak zamykał już drzwi magazynu. Melli zobaczyła w oddali strażnika zamkowego. Rozejrzała się wokół, by ocenić ich szansę ucieczki do ogrodów. Mężczyzna zbliżał się szybko.

– Jack, chodź tutaj i nie mów ani słowa. – Rozpostarła ramiona. – Natychmiast! – przerwała mu, gdy chciał się sprzeciwić. Padł jej w objęcia. Uniosła ku niemu twarz i zaczęła go całować, wsuwając mu między wargi wilgotny język. Poczowała nacisk jego ciała i dłonie otaczające jej talię. Strażnik był już blisko.

– Co to ma znaczyć? – zapytał. Melli wcisnęła sobie twarz Jacka w ramię.

– Mogłabym zapytać o to samo, dobry człowieku. – Jej głos był władczy i królewski. – Zostaw nas.

Strażnik zawahał się, usiłując przyjrzeć się obliczu chłopaka. Melli obrzuciła go oburzonym spojrzeniem.

– Przepraszam, że ci przeszkodziłem, pani – powiedział z rubasznym mrugnięciem.

– Nie waż się zrobić tego po raz drugi! Zostaw nas natychmiast. Odetchnęła z ulgą, gdy strażnik się oddalił. Jej wargi raz jeszcze odnalazły usta Jacka. Ponownie zaczęła go całować, nie spuszczać wzroku z mężczyzny, dopóki nie zniknął z pola widzenia.

Odsunęła się od chłopaka. Czowała, że z ociąganiem wypuszcza ją z objęć. Była zdecydowana nie okazać podobnych uczuć. Zaczerwieniona i zdyszana, odwróciła się od niego i ruszyła ku pałacowym ogrodom. Po krótkiej chwili usłyszała tupot jego stóp. Biegł, by ją doścignąć.

– Dokąd pójdziemy? – zapytała. Woląla nie ryzykować spojrzenia mu w oczy.

– Do lasu – padła odpowiedź.



W pobliżu Toolay okolica była pagórkowata, miejscami górzysta. Podobnie jak w Rornie, większość odwiedzających miasto ludzi podróżowała drogą wodną. Źródłem jego utrzymania było morze.

W otaczających je zimnych, czystych wodach roilo się od ryb i skorupiaków. Powiadano, że człowiek, który raz skosztował ryby z Toolay, nigdy już nie zadowoli się żadną inną.

Poza rybołówstwem, miasto słynęło z hafciarstwa. Tutejsi mężczyźni wyruszali na całe tygodnie na połów, a ich kobiety spotykały się wtedy i wspólnie tworzyły swe legendarne dzieła. Mityczne stworzenia, starożytnych bohaterów i legendarne księżniczki przedstawiano ze zdumiewającym bogactwem szczegółów. Pracowano nad nimi miesiącami, czasem nawet latami. W Rornie i Marlsie bez oporów płacono wysokie ceny za tak wspaniałe hafty. Żony rybaków z Toolay wykonywały też mniej kosztowne zamówienia: poszewki na poduszki zdobione pięknymi wzorami,

szale wyszywane w kwiaty. Popyt na te skromniejsze dzieła był większy. Niejedno młode dziewczę mające wkrótce wyjść za mąż marzyło o tym, że któregoś dnia otrzyma szal z Toolay.

Tawl i Kosiarz wspięli się na wzniesienie i po raz pierwszy zobaczyli miasto. Przycupnięte niebezpiecznie blisko krawędzi urwiska, wyglądało tak, jakby za chwilę miało runąć do oceanu, który zapewniał mu utrzymanie. Było znacznie mniejsze od Rornu, a budynki nie wywierały tak imponującego wrażenia. Nie widziało się tu marmurów ani wyniosłych wież, a jedynie niskie, skromne gmachy, zbielejące pod nieustannym działaniem morza i piasku.

Tawl nigdy jeszcze nie był w Toolay. Czuł w żołądku znajomy ucisk podniecenia. Gdy odwiedzał jakieś miasto po raz pierwszy, zawsze nawiedzał go niepokój połączony z zachwytem.

– Chodź, Kosiarzu! – zawołał, zbiegając ze stoku. – Jeśli się pośpieszymy, będziemy na miejscu przed południem.

Chłopiec szybko go dogonił. Po chwili znaleźli się zdyszani u podstawy wzgórza. Rycerz miał wrażenie, że potrzebuje chwili na odzyskanie tchu, Kosiarz jednak pomknął przed siebie, ku następnemu stokowi.

– Hej, Tawl! – zawołał. – Chyba nie pozwolisz,

żeby prześcignął cię mały dzieciak?

Nie miał innego wyboru, jak pobiec za nim.

Po kilku godzinach znaleźli się u bram miasta. Mięśnie mieli obolałe. Gdy się zbliżali, wiatr przyniósł do ich nozdrzy odór ryb. W Toolay zajmowano się nie tylko ich połowem, lecz również wędzeniem i suszeniem. Pokrywano nimi wielkie słomiane maty, które następnie zostawiano na słońcu, by ryby wyschły. Widzieli po drodze wiele podobnych mat. Każdej z nich pilnowało małe dziecko albo gęś stróżująca.

Samo miasto tętniło życiem: wielki, otwarty rynek całkowicie blokował ulicę. Sprzedawcy stali przy jaskrawych namiotach, zachwalając towary:

- Wstażki, bukieciki, podarunki dla ukochanej!
- Ryby, ryby, największe homary widziane na łądzie!
- Pieprz i korzenie sprowadzane z egzotycznego Tyro!
- Jabłka, tanie jabłka, tylko trochę poobijane. Jeśli nie zasmakują waszym dzieciom, będzie z nich świetna szarlotka.

Tawl patrzył i słuchał. Podziwiał towary, zastanawiając się, jaki poczęstunek kupić Kosiarzowi.

Od chwili, gdy pozwolił, by mu towarzyszył,

chłopak nieustannie go zaskakiwał. Nigdy nie brakowało mu energii. Rano zrywał się wcześniej niż Tawl, cały dzień wybiegał przed niego, a potem całą noc chciał gadać. Pragnął poznać opowieści o wielkich bohaterach, ale podobały mu się tylko te, w których poszukiwacz przygód znajdował skarbcę pełne złota i klejnotów. Słyszając historie o herosach, którzy umierali bez grosza przy duszy albo rozdawali majątek biednym, potrząsał jedynie głową ze zdumienia.

Przyznał, że zabrał zabitym przy drodze nie tylko pieniądze. Wydobył z plecaka wielki nóż z karbowanym ostrzem. Tawl zaproponował, że nauczy go, jak go używać do samoobrony, Kosiarz jednak odmówił, zapewniając, że mało jest rzeczy, których by nie wiedział o władaniu nożem. Widząc wyraz niedowierzania na twarzy towarzysza, wykonał ze zdumiewającą precyzją i zręcznością kilka sztuczek, rozwiewając wszystkie jego wątpliwości.

Rycerz znalazł stragan, w którym sprzedawano gorące paszteciki z mięsem krabów. Nabył dwie smakowicie pachnące sztuki. Handlarka dorzuciła mu trzecią za darmo.

– Jesteś nadzwyczaj szczodra, pani. Pokłonił się jej lekko.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panie –

odparła. – Twoje złote włosy świadczą, że jesteś nietutejszy, a ludzie z Toolay zawsze z radością witali wędrowców.

Obdarzyła go miłym uśmiechem. Tawl podziękował jej i oddalił się.

Odwrócił się, by wręczyć pasztecik Kosiarzowi, lecz chłopca nigdzie nie było widać. Rozglądał się przez chwilę, lecz nie udało mu się go wypatrzeć. Pogodził się z faktem, że ulicznik postanowił po dotarciu do miasta ruszyć własną drogą. Tak zapewne było lepiej. Chłopak łatwiej poradzi sobie wśród ludzi. Znajdzie tu też stałe schronienie i pod dostatkiem jedzenia. Rycerz wdrapał się na szczyt szerokiego muru i zasiadł tam, by zjeść paszteciki. Przekonał się, że nie ma ochoty na trzeci. Owinął go w szmatkę celem zachowania na później.

Gdy zaczął przysypiać w ciepłym słońcu południa, poczuł nagle uderzenie w skroń. Otworzył oczy i zobaczył na dole uśmiechniętego chłopca, gotowego do rzutu drugim kamieniem.

– Przyłapałem cię na drzemce, co?

Tawl zeskoczył z muru i chwycił chłopaka za ucho.

– Co ci przyszło do głowy? Dlaczego się oddaliłeś? Mogłeś mnie już nie znaleźć.

Kosiarz wyrwał się z jego uścisku.

– Miałem cię na oku.  
– Co robiłeś?  
– To i owo. No wiesz... organizowałem fundusze.  
– No dobrze. – Tawł westchnął ciężko. – Dużo zdobyłeś?

– Bardzo dużo. W Toolay łatwo o bogate łupy. Ludzie na tym rynku mają stanowczo za dużo pieniędzy. Zebrałem tylko śmietankę. Nadwyżkę.

– Ile? – zapytał rycerz.

– Nie sądzę, byś miał prawo o to pytać, przyjacielu. Zarozumiały uśmieszek szybko zniknął z twarzy chłopca, gdy Tawł złapał go od tyłu za włosy.

– Posłuchaj, przyjacielu, dopóki wędrujesz ze mną, to ja tu rządę.

– Już dobrze, dobrze. Puszczaj mnie. – Ulicznik demonstracyjnie wygładził włosy. – Pokażę ci, jeśli nalegasz.

Otworzył plecak, pozwalając Tawłowi zajrzeć do środka. Było tam mnóstwo złotych i srebrnych monet, a także kilka bransolet oraz pierścionków.

Rycerz jęknął.

– Mam nadzieję, że byłeś ostrożny. Karą za kradzież kieszonkową w Toolay jest kastracja.

Nie miał pojęcia, jak jest naprawdę. Chciał tylko wymyślić coś wystarczająco nieprzyjemnego, by

odstraszyć chłopaka.

– Mówić mi o ostrożności, to jak uczyć rybę pływania. Poza tym, ja słyszałem, że karą jest szybka chłosta. – Chłopak uśmiechnął się. – Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić z tymi łupami?

– Wynająć na noc pokój w jakiejś dyskretnej gospodzie, zjeść prosty południowy posiłek, a potem zakupić dwa konie. Potrzebne też będą siodła i pszenica, a także trochę suszonej żywności.

– Brzmi nieźle. Aha, jeszcze jedno. Nie mogę już znieść tych morskich sucharów. Jestem za młody, żeby stracić zęby.

– Proszę bardzo. Kupimy zamiast nich trochę suszonych ryb. – Tym razem to chłopiec jęknął. – Nie ma co protestować, Kosiarzu – ciągnął Tawl z błyskiem w oku. – Nie znajdziesz nic zdrowszego niż suszone ryby.

Po drodze Tawl zapytał starą kwiaciarkę o porządną gospodę. Zrobiła obrażoną minę.

– Wszystkie gospody w Toolay są porządne, mój panie. Dla takich wędrowców jak wy wystarczy “Pod Podgotowaną Krewetką”.

– A gdzie możemy ją znaleźć?

– Na portowej alei oczywiście, tam gdzie wszystkie gospody. Oddaliła się niepewnym krokiem, nim

zdążyli ją zapytać, gdzie jest portowa aleja.

– Będziemy musieli znaleźć ją sami. Chodź.

– Tawł, jedno mnie zastanawia. Uważasz, że starczy nam pieniędzy na dwa piękne rumaki? Zawsze mogę zorganizować jeszcze trochę.

– Nie potrzebujemy dwóch pięknych rumaków, Kosiarzu. Wystarczy jeden, dla mnie. Ty możesz jechać na kucyku.

– Na kucyku! Nie po to urabiałem sobie palce po kości i narażałem się na niebezpieczeństwo, żeby dostać kuczka.

– Jeździłeś już kiedyś konno?

– Nie, ale...

– Pojedziesz na kucyku i kropka.

Wreszcie udało im się odszukać portową aleję. Panował na niej szalony ruch. Mężczyźni oddawali się hazardowi, prostytutki oferowały swe usługi, a robotnicy dźwigali do magazynów wielkie, ciężkie od ryb skrzynie. Tawi dostrzegł w oddali jaskrawy szyld z wymalowaną krewetką.

Gdy weszli do środka, rycerza spotkało miłe zaskoczenie. Gospoda była czysta i dobrze wyposażona. Dekoracje z gładzonego drewna i mosiądzu szły o lepsze z malowidłami przedstawiającymi krewetki i ich połów. Podeszła do



nich dziewczyna ubrana w skromny strój.

– Czym mogę służyć, panowie?

Przywitała Tawla dygnięciem i uśmiechnęła się do Kosiarza.

– Chciałbym wynająć pokój na noc dla mnie i dla chłopca. Mamy też ochotę coś zjeść. Co macie dobrego?

– Podgotowane krewetki, oczywiście. Przyniosę wam całą miskę, a do tego pyszny pasztet z krewetek. Coś jeszcze?

– Nie macie nic oprócz krewetek? – zapytał Kosiarz. Tawl kopnął go szybko w goleń.

– Krewetki będą w sam raz. Ja wezmę kufel *ale*. – Uśmiechnął się chytrze. – Dla chłopca proszę podać wodę.

Skończywszy posiłek, ruszyli na poszukiwanie handlarza koni. Znaleźli go niedaleko od alei portowej. Gdy weszli do środka, odezwał się dzwonek. Z krzesła poderwał się wyraźnie zaskoczony mężczyzna.

– Chcielibyśmy kupić konia i kucyka.

– Ojej, a to niespodzianka. Tutaj nie ma zbyt wielkiego popytu na konie.

Przyjrzał się im uważnie, jakby był trochę krótkowzroczny.

– Masz jakieś na sprzedaż?

– Na sprzedaż? Oczywiście, jestem przecież handlarzem koni. Chodźcie za mną. – Poprowadził ich do stajni na zapleczu. Większość boksów była pusta. – Zapewne zechcesz nabyć ogiera, panie.

– Wezmę to, co masz najlepszego.

– Mam wspaniałego ogiera, panie. Był kiedyś własnością samego lorda Flayharkela...

Mężczyzna nie przestawał gadać, Tawl jednak go nie słuchał. Wypatrzył piękną kasztankę. Podeszedł do klaczy, by lepiej się jej przyjrzeć. Miała smukłe, potężne nogi i silnie umięśnione boki. Jej sierści przydałoby się czesanie, nie wyglądała jednak najgorzej. Gdy mężczyzna zauważył, że Tawl się nią zainteresował, podeszedł szybko do niego.

– Och, panie, widzę, że masz bystre oko. To piękna klacz. Była kiedyś własnością samej lady Darandy.

Tawl nawet nie słuchał jego słów. Handlarze koni byli notorycznymi łgarzami.

– Ile?

– Dziesięć sztuk złota.

Tawl odwrócił się i zaczął oddalać.

– Osiem – krzyknął mężczyzna.

– Siedem i dodaj kucyka dla chłopca.

– Nie mogę. To tak, jakbym oddał ją za darmo. Zapłaciłem za nią dwa razy więcej.

– Jak sobie chcesz. – Tawl postanowił zaryzykować. – Nie jesteś jedynym handlarzem koni w mieście.

– Zgoda. Umowa stoi, chociaż to czysta grabież.

– Cieszę się. Będę też potrzebował dwóch siodła i trochę pszenicy. Zapłacę ci rano, kiedy po nie przyjdę. Życzę dobrego dnia.

– No więc, Grift, muszę przyznać, że w twoich słowach jest więcej prawdy niż mi się zdawało.

– Co mówisz, Bodger?

– Pamiętasz, jak opowiadałeś, że wysoko urodzone damy lubią figlować z prostytutkami?

– Ehe, Bodger.

– No więc, widziałem to na własne oczy. Ostatniej nocy patrolowałem ogrody. Usłyszałem jakiś hałas dobiegający z drewnitni. Idę to zbadać, no i jak ci się zdaje, co widzę?

– Co widzisz, Bodger?

– Zabawiającą się razem parę.

– Bzykali się?

– Prawie. No to podchodzę bliżej i okazuje się, że to wysoko urodzona dama z jakimś bardzo podejrzany typem. Kazała mi natychmiast zmiatać.

– Co to była za dama, Bodger?

– Nie dałbym głowy, Grift, ale wydaje mi się, że

lady Melliandra, córka lorda Maybora.

– Niech mnie szlag! Słyszałeś, że ona podobno uciekła? Jak ci się zdaje, kogo Królewska Straż szuka od tak dawna? Oczywiście oficjalna wersja głosi, że cierpi na gorączkę, ale nie uwierzyłem w to nawet na chwilę. Zauważyłeś, z kim była?

– Nie, Grift. Cały czas wtulał głowę w jej szyję.

– No, no, no. – Grift pociągnął długi łyk. – Mnie też się dzisiaj trafiło, Bodger.

– Naprawdę, Grift? A która dziewczka miała to szczęście?

– Stara wdowa Harpit. Wreszcie odpowiedziała na moje zaloty.

– Widziałem ją wczoraj na kolacji, Grift. Była pijana jak traszka.

– No, ale nim z nią skończyłem, wyraźnie wytrzeźwiała. Obaj mężczyźni buchnęli ochryplym śmiechem. Wypili więcej *ale*.

– Wygląda na to, że ostatniej nocy zabawiało się wielu ludzi, Grift. Nawet książę Kylock wziął się za zaloty.

– Naprawdę?

– Widziałem, jak prowadził do swej komnaty młodą dziewczynę. Było już dobrze po północy.

– Co to była za dziewczyna, Bodger?

– Podkuchenna Findra.

Grift wessał powietrze przez zęby.

– Widziałem ją dziś rano, Bodger. Twarz ma posiniaczoną, a prawą rękę złamaną.

– To dziwne, Grift. Wczoraj wydawała mi się w porządku. Obaj dokończyli *ale* w milczeniu. Wiedzieli, że lepiej więcej o tym nie mówić.

Baralis wybierał się na spotkanie z królową. Szedł bezgłośnie zamkowymi korytarzami, nie wzbijając za sobą kurzu. Skórę miał bladą i napiętą, a skryte pod płaszczem dłonie powykręcane jak u starej baby.

Gdy usłyszał o ucieczce dziewczyny, ogarnął go szal. Croye i najemnicy bali się do niego zbliżyć. Całą noc spędził na przeszukiwaniu tuneli i tajnych przejść, ale kryjący się pod zamkiem labirynt był zbyt obszerny i skomplikowany, by mógł go zbadać jeden człowiek. Sam mógł jedynie się domyślać, dokąd prowadzą niektóre z korytarzy. Wiedział, że istnieją miejsca, do których nawet on nie potrafi dotrzeć: mroczne, ukryte lochy i sprytnie zamaskowane komnaty, zbudowane z dawno zapomnianych powodów. Ich zawartości od stuleci nie tknęła ludzka dłoń.

Gdy stało się oczywiste, że nie uda się natychmiast odnaleźć zbiegów, Baralis uspokoił się powoli. Wściekłość była przydatnym, lecz niebezpiecznym

uczuciem. Logika i spryt ustępowały pod jej wpływem miejsca brutalnej sile.

Kanclerz zaczął myśleć jaśniej. Musiał znaleźć sposób, by odszukać dziewczynę, nim zrobi to Królewska Straż. Odrobinę pociechy niosła mu świadomość, że przynajmniej Maybor i jego ludzie nie będą mu wchodzić w paradę. Przebywali daleko, na Wschodnich Ziemiach.

Będzie musiał być jednak bardziej dyskretny. Pałętająca się po lesie banda najemników z pewnością przyciągnie uwagę Królewskiej Straży. Każe im siedzieć w ukryciu. Wytropi dziewczynę przy użyciu własnych metod.

Pomyślał, że nie mogli zbiec daleko. Pogoda była ostatnimi dniami wyjątkowo obrzydliwa. Nieustanny deszcz i porywisty wicher nie sprzyjały zbytnio podróżom. Gdy tym razem odnajdzie Melliandrę, nie pozwoli, by uciekła po raz drugi.

Dotarł do komnaty królowej i kazano mu wejść do środka. Arinalda podeszła do niego. Zdobiące ją klejnoty lśniły w blasku świec. Pochyliła wdzięcznie głowę, nie wyciągnęła jednak ręki na powitanie.

– Ach, lordzie Baralisie, cieszę się, że udało ci się przybyć tak szybko.

Ostatnio starała się okazywać mu więcej

uprzejmości, nie potrafiła jednak całkowicie ukryć niesmaku.

– Zawsze jestem do usług Waszej Wysokości. – Pokłonił się, przestrzegając reguł gry. Królowa milczała, zmuszając go, by mówił dalej. – Powiedz mi, Wasza Wysokość, czego ode mnie żądasz. Z pewnością królowi nie zabrakło jeszcze lekarstwa?

– Znasz jego ilość co do kropli, lordzie Baralisie. Odmierzasz je z niesłychaną precyzją. – Uniosła brwi, które zakreśliły delikatny łuk. – Nie jestem głupia, panie. Zauważyłam, że lekarstwo, które mi dałeś, jest słabsze od pierwszego.

– Nie zaprzeczaj, panie – ciągnęła, gdy Baralis uniósł rękę na znak protestu. – Nie z tego powodu cię wezwałam.

– A z jakiego, Wasza Wysokość?

W jego głosie zabrzmiała nuta niecierpliwości. Nie podobał mu się jej ton subtelnej wymówki.

– Zastanawiam się, czy mógłbyś mi pomóc, lordzie Baralisie – przemówiła z udawaną niewinnością. – Do mych uszu dotarła niepokojąca wiadomość. Wygląda na to, że Królewska Straż zauważyła w lesie najemników. Jej dowódca zapytał mnie, czy życzę sobie, by ich usunięto. Odpowiedziałam, że jeśli do jutra nie znikną, będzie się mógł z nimi rozprawić. –

Na jej ustach wykwitł ledwie dostrzegalny uśmiech. – Powiedz mi, czy postąpiłam słusznie, lordzie Baralisie?

– Wasza Wysokość jest nadzwyczaj mądra. – Nie miał innego wyjścia, jak skinąć głową na znak aprobaty. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Arinalda ostrzega go, by wycofał swych ludzi. – Mam nadzieję, że Wasza Wysokość pamięta, iż dobiega termin naszego małego zakładu?

– Nie musisz mi o tym przypominać, lordzie Baralisie. Ani na chwilę nie przestaję myśleć na ten temat. Jestem głęboko przekonana, że w najbliższych dniach dziewczyna się znajdzie. Z jakiegoś dziwnego powodu mam wrażenie, że może przebywać w tym samym lesie, który dziś rano przeszukiwali najemnicy.

Obrzuciła go znaczącym spojrzeniem i odwróciła się plecami.

Baralis opuścił komnatę i wrócił do siebie. Nie mógł nie podziwiać inteligencji królowej. Arinalda domyśliła się, że skoro jego ludzie przebywają w lesie, zapewne szukają tam córki Maybora, co z kolei oznaczało, że mają jakieś informacje o miejscu jej pobytu. Będzie musiał działać szybko. Królowa, nie tracąc czasu, rozkaże Królewskiej Straży wzmóc poszukiwania.



Natychmiast po powrocie do swych komnat polecił Croke'owi, by przekazał najemnikom, że mają na razie opuścić las.

Gdy został sam, przeszedł do swej pracowni i przygotował lekarstwo, którego potrzebował. Zmiał porost w moździerz i wycisnął soki z rosnącego w ciemnościach pod zamkiem bladego mchu. Dodał też inne składniki: proszki i wyciągi. Naciał szybko skórę na koniuszku palca. Wystąpił na nią jaskrawy paciorek krwi. Ścisnął ranę, pozwalając, by trzy krople skapnęły do kubka.

Przesłał do niego moc – tylko odrobinę, służącą jako katalizator. Płyn zawirował w naczynku, poruszony niewidzialną dłonią. Kanclerz namalował nim pręgę na swym czole. Na skórę otaczającą plamę natychmiast wystąpiły maleńkie pęcherzyki. Całe ciało zlał mu zimny pot. Baralis uniósł kubek do twarzy i wciągnął opary w płuca. Jego ciało wzdrygnęło się, poczuwszy toksyczne gazy, nakazał sobie jednak oddychać głęboko.

Czuł ogień w nozdrzach i płucach. Zachwiał się na nogach, gdy narkotyk zaczął działać, przeżerając się przez tkanki i ścięgna do mózgu.

Od chwili ucieczki nic się im nie układało. Pogoda była tak paskudna, że nie byli w stanie zawędrować

daleko. Oboje przemokli do suchej nitki. Zabrakło im żywności. Od dwóch dni nic nie jedli. Najgorsze były noce: musieli spać pod gołym niebem, na mokrej ziemi, przytuleni mocno do siebie, by się ogrzać.

Jack świetnie zdawał sobie sprawę, że szukają ich najemnicy. Wydawało się, że w lesie roi się od jeźdźców. Do tej pory udawało im się przed nimi ukryć. Gdy tylko słyszeli zbliżających się zbrojnych, chowali się w rowie albo w podszyciu. Wiedział jednak, że jest tylko kwestią czasu, nim jakiś bystrooki najemnik wypatrzy ich wśród zeschniętych liści.

Brnęli naprzód, choć deszcz zlewał im twarze, a wiatr pozbawiał wszelkich szans utrzymania ciepła. Ziemię pokrywała gruba warstwa wilgotnych butwiejących liści. Ich zapach nie był nieprzyjemny – intensywna, trudna do określenia woń mówiąca o wzroście i odnowie. Jack przekonał się, że po gościnie u Falka nauczył się doceniać las. Dostrzegał wdzięk nagich drzew i skromność podszycia – krzewów i paproci, zmuszonych spędzać całe życie w cieniu znakomitszych kuzynów.

Po pewnym czasie Melli zatrzymała się nagle.

– Tam – powiedziała. Jack popatrzył we wskazanym przez nią kierunku, nic jednak nie zobaczył. – Za tym wielkim dębem.

Pognała w tamtą stronę. Po chwili zauważył, co udało się jej wypatrzeć: drewnianą chatkę. Niemal całkowicie ukrywały ją drzewa i krzaki. Ściany porastał bluszcz.

Zbliżyli się ostrożnie. Do drzwi nie prowadziła żadna ścieżka. Je również przesłaniał bluszcz. Jack popatrzył na Melli, która skinęła entuzjastycznie głową i pchnęła drzwi. Ustąpiły z wielkim oporem. Lata działającej wilgoci sprawiły, że drewno się wypaczyło, a zawiasy zardzewiały. Drzwi uchylły się nieco, lecz nie udało się ich otworzyć szerzej. Uciekinierzy zdołali się przecisnąć przez szczelinę do środka.

Panował tam zapach piżma i wilgoci. Gdy oczy Jacka przyzwyczały się do półmroku, chłopak zrozumiał, że natrafili na stary domek myśliwski. Nim król Lesketh zachorował, często spędzał ze swymi ludźmi wiele dni w lesie, tropiąc zwierzynę. Zbudowano wiele chat, by ludzie nie musieli po zmierzchu wracać do zamku. Zapewniały one schronienie oraz umożliwiały przechowywanie zabitych zwierząt i sprzętu myśliwskiego do chwili zakończenia łowów. Odkąd króla powaliła choroba, z większości domków przestano korzystać i zapomniano o nich.

Jack zamknął z wysiłkiem drzwi. Oboje z Melli

zaczęli przeszukiwać chatę, chcąc znaleźć coś, co mogłoby się im przydać. Natrafili na stare, zakurzone derki i owinęli się w nie, by się ogrzać. Był tam też spory wybór przyborów myśliwskich: łańcuchów, ościeni, włóczni i kapturów, a nawet solidnie sfatygowany mosiężny róg. W chacie stały dwie drewniane ławy oraz stary stół, na którym zobaczyli pustą lampę oliwną oraz dawno już rozłożone szczątki lisa. W rogu ustawiono stary, malowany kufer.

Jack podważył jego pokrywę grotem włóczni. Wewnątrz znajdowały się rozmaite męskie stroje: spodnie, kamizelki i bluzy. Na samym dnie, pod kocami i ceratą, leżała księga o starodawnym wyglądzie. Chłopak wydobył ją na zewnątrz. Rozsypywała się w dłoniach, a jej karty porastała pleśń. Otworzył ją, czując pod palcami cienki, kruchy papier.

– Co to jest? – Melli zatrzymała się za nim. – Daj mi to. Jack wręczył jej tom. Odwróciła stronę tytułową, pięknie ozdobioną rysunkami gwiazd na niebie.

– Marod. *Księga stów*. Cóż za rozczarowanie. Myślałam, że to może jakieś pikantne rewelacje o przodkach króla, a to tylko stary, nudny Marod.

– Kto to jest Marod? – zapytał Jack, który nigdy o nim nie słyszał.

– Och, myślałam, że wszyscy go znają. W dzieciństwie musiałam się uczyć jego poematów. Oczywiście to przede wszystkim książka dla kapłanów i uczonych. Czytają ją i studiują. Pełno w niej starych bzdur, moim zdaniem. – Przerzuciła stronicę. – Jest w bardzo złym stanie... papier wykorzystano dwukrotnie. Widać jeszcze pierwotny tekst. – Wrzuciła od niechcienia księgę do kufra. – Poszukajmy czegoś do jedzenia.

Zacząła się przyglądać pokrytej deskami podłodze.

– Pamiętam, jak kiedyś, gdy byłam jeszcze bardzo mała, ojciec zabrał mnie na polowanie. Oczywiście to nie były prawdziwe łowy, a raczej zabawa dla moich braci. – Opadła na czworaki i zaczęła stukać w drewniane deski. – Tak czy inaczej, zatrzymaliśmy się w chacie podobnej do tej. Byliśmy zmęczeni i głodni. Ojciec zaskoczył nas, unosząc parę desek podłogi. Pod spodem schowano trochę żywności. Najwyraźniej przechowywali ją pod ziemią, bo w ten sposób dłużej zachowywała świeżość, a ponadto nie mogły jej ukraść zwierzęta. Aha! – Podekscytowana Melli uniosła w górę kawał drewna. – Co my tu mamy? – Wyciągnęła rękę i wydobyla spod podłogi zamkniętą zatyczką manierkę. Otworzyła ją. – Wino.

Jack wziął naczynie z jej rąk. Rzeczywiście było w

nim wino. Wylał sobie odrobinę na dłoń i posmakował je. Było lekko kwaśne, lecz nadawało się jeszcze do picia.

Tymczasem Melli wyjmowała ze schowka dalsze łupy. Worki owsa i pszenicy oraz kilka przedmiotów owiniętych w lniane szmaty.

– Wygląda na to, że dawni myśliwi mniej dbali o zaspokojenie swego głodu, a bardziej o konie. Nic nam po owsie i pszenicy.

Jack nie słuchał jej komentarzy. Przeszukał chatę. Stał w niej prymitywny ceglany piec. Uśmiechnął się. Potrzebował tylko trochę drewna i garnek. Wśród myśliwskiego sprzętu znalazł żelazny kocioł, nigdzie jednak nie widział nic, co nadawałoby się na opał.

– Dlaczego nie spalić tej starej księgi? – zażartowała Melli, skrzętnie sprawdzając kolejne paczki.

– Nie. – Będąc skrybą Baralisa, Jack nauczył się cenić książki. Nie podobała mu się myśl o spaleniu jednej z nich, zwłaszcza tak zabytkowej. – Rozbiję kufer. Będzie się dobrze palił.

Wziął tom w rękę i przerzucił stronicę. Na podłogę wypadła luźna kartka. Przykucnął, by ją podnieść. Był to list. Melli podeszła do Jacka i wyrwała mu go z rąk.

– Jest podpisany literą “L” wpisaną w krąg. To

sygnatura króla Lesketha.

Dziewczyna przeczytała na głos liścik:

– Moje najśłodsze kochanie, nie mogę już widywać się z tobą w domku. Królowa jest przy nadziei i nasze spotkania muszą się skończyć. Weź tę księgę. Jest twoja. Wiem, jak bardzo lubiłaś ją czytać. To pożegnalny dar. L.

Melli popatrzyła na niego. Widział po wyrazie jej twarzy, że czuje to samo. co on – wstyd. Wścibili nos w cudze sprawy. Wyjął list z rąk Melli i wsunął go ostrożnie między karty. Postąpili źle, czytając go. Jego sekrety nie były przeznaczone dla postronnych. Postawił książkę na półkę i zaczął rozwalać kufer na opał.

Szybko zrobiło się ciemno. Jack poczuł się bezpieczniej. Najemnicy przerwą poszukiwania do rana. Płonący w piecu ogień ogrzał chatkę. Powietrze wypełnił zapach gotującego się jedzenia. Przyrządził owsiankę, dodając do smaku kawałek suszonego mięsa. Nie był do końca pewien, czy jest jeszcze jadalne, postanowił jednak zaryzykować. Melli z początku marszczyła nos, lecz głód sprawił, że zmieniła zdanie. Gdy już spróbowała owsianki, pochłonęła cały garnek. Zjadła znacznie więcej niż Jack, po czym zwinęła się obok pieca i zasnęła.

Chłopak siedział przez chwilę, zastanawiając się, co powinni zrobić jutro. Myśl o spędzeniu jeszcze jednego dnia w przytulnej chacie była bardzo kusząca. Na zewnątrz zawodził wiatr i lał deszcz. Postanowił, że zaczeka, by się przekonać, co przyniesie ranek.

Unosił się wysoko nad chmurami. Firmament połyskiwał chłodnym blaskiem tysiąclecia. Nigdy dotąd nie widział go tak pięknym i straszliwym. Niebo urągało mu swą bliskością. Nie miał ciała ani duszy. Był tylko wstęgą dymu, zbiorowiskiem cząsteczek, unoszonych w górę siłą jego własnej woli.

Nadszedł czas, by zniżyć lot. Ci, którzy zbyt długo spoglądali na nieboskłon, popadali w obłęd. Runął w dół, zostawiając za sobą gwiazdy i czerń pustki. Przemknął przez chmury, nietknięty ich wilgocią. Nie przestawał spadać. Ziemia była zamazaną, ciemną plamą.

Zaczął rozróżniać kształty i zarysy: szary prostokąt ścian zamku, rozrzucone bezładnie miasteczko. Skierował wzrok na południe i dostrzegł teren, na którym miał polować, widmową ciemność lasu.

Coraz niżej. Korony drzew, które przedtem wydawały się jednorodną masą, zaczęły nabierać kształtów. Dostrzegał drzewa, młode drzewka, krzaki. Widział już łunę poruszającego się tam życia, od



największego jelenia, stojącego dumnie na porośniętym trawą wzniesieniu, aż po najmniejszą dżdżownicę, przebijającą się przez twardą ziemię. Ciągnęła się pod nim obfitość natury, tętniącej życiem i walką.

Zagłębił się w las, by go przeszukać. Gdy przemykał między drzewami, nagie konary pieściły powietrze. Dostrzegł iskierkę możliwości i zmienił kurs. Kiedy się zbliżył, rozpoznał dzieło rąk ludzkich. Był to jakiś budynek, niemal całkowicie ukryty wśród gęstych drzew. Obniżył lot i przesaczył swą nieuchwytną postać przez szczeliny w drewnie.

Jego podejrzenia okazały się trafne. Chłopak i dziewczyna spali przy piecu, w którym palił się słaby ogień. Przeleciał nad nimi. Oboje poruszyli się, lecz nie obudzili.

Upewniwszy się, że zadanie zostało wykonane, wycofał się, przyciągając swą widmową niematerialność z powrotem do ciała. Raz jeszcze przemknął przez niebiosa, nie zatrzymując się, by podziwiać ich wspaniałość. Jego czas był ograniczony. Nie mógł ryzykować skazania na wieczną bezcielesną egzystencję.

Zaczął opadać ku zamkowi. Minał liczne warstwy kamienia, niecierpliwie pragnąc połączyć się ze swym

ciałem. Zawisł nad nim. Jakże płytko oddychał, jak bladą miał skórę. Wszedł w nie, zjednoczył się ze sobą, zagłębił w miękką szarość. Poczul straszliwą słabość i zmęczenie. Potem nie czuł już nic.

Melli poruszyła się lekko. Drewniana podłoga była twarda i dziewczyna próbowała ułożyć się wygodnie. Przez zamknięte powieki dostrzegła nadejście świtu. Nie miała ochoty wstawać. Śniło jej się coś bardzo przyjemnego. Z niechęcią wracała do jawy. Wiedziała, że przebudzenie będzie oznaczało kolejny dzień ucieczki i ukrywania się przed najemnikami Baralisa oraz ludźmi jej ojca. Czekały ją zimno, głód, strach i zmęczenie. Miło było grzać się przy stygnącym piecu i udawać, że nic z tego nie było prawdą.

Przekonała się jednak, że nie potrafi udawać. Jej spokój mąciły dezorientujące, przygnębiające wizje. Sceny biczowania, zamknięcia w ciasnej, ciemnej klitce i – najbardziej przerażająca z nich – Baralisa przebiegającego palcami wzdłuż jej kręgosłupa. Zadrzała z odrazy na to wspomnienie, wiedziała jednak, że nie jest wobec siebie szczerą. Przez krótką chwilę naprawdę chciała jego pieszczot. Wręcz się ich domagała. Baralisa powszechnie uważano za

potężnego, obdarzonego uwodzicielską mocą męczyzną, Melli jednak nigdy nie przypuszczała, że ulegnie jego czarowi. Pomyślała, że lepiej będzie, jak ucieknie z zamku Harvell, zostawiając za sobą cały ból i oszołomienie.

Stopniowo jej uszu dotarł cichy odgłos. Wsłuchiwała się. Stał się głośniejszy. Był to tętent galopujących koni. Zaburczało jej gwałtownie w brzuchu. Przybywali po nią. Popatrzyła na Jacka, którego hałas wyrwał ze snu. Chłopak zerwał się na nogi i zaczął ładować zapasy do worka.

– Nie mamy czasu! – krzyknęła Melli. – Są już bardzo blisko. – Pobiegnęła do drzwi i zaczęła je szarpać. Nie chciały ustąpić. – Jack, pośpiesz się. Pomóż mi!

Uchylili razem drzwi i przecisnęli się przez wąską szczelinę.

Drzewa kołysały się na wietrze jak opętane, spadłe liście ogarnął szal, a deszcz siekł twarze zbiegów. Tętent kopyt stał się uporczywym łoskotem. Melli wiedziała, że jeźdźców jest wielu. Złapała Jacka za rękę i oboje popędzili głęboko w las.

Wiatr im nie sprzyjał. Mogło się wręcz wydawać, że odpycha ich do tyłu. Ścigający byli coraz bliżej. Odgłos, z jakim przedzierali się przez podszycie, nappełnił serce Melli strachem. Tym razem nie zdołają

się ukryć. Jack szarpnął ją za rękę, przyciągając z całej siły do siebie. Wichur nie chciał wypuścić biegnących. Zakuł ich w niewolę, smagając okrutnie, gdy tylko udało im się postąpić krok naprzód.

Usłyszeli krzyki. Zauważono ich. Wichura pochwyciła szal Melli, ściągnając go z jej pleców. Dziewczyna spróbowała go złapać, lecz było już za późno. Uleciał. Jej suknia przemokła doszczętnie, ale nie zwracała na to uwagi. Z włosów wypadły jej szpilki, nie miało to znaczenia. Mogła myśleć jedynie o ucieczce. Nie zniosłaby ponownego schwywania. Pędzili przed siebie. Zbrojni zbliżali się szybko.

Obejrzała się za siebie. Jeźdźcy byli już widoczni. Unieśli gotowe do ciosu włócznie. Popatrzyła na Jacka. Jego zastygła twarz potwierdziła jej podejrzenia. Najemnikom nie kazano ich schwytać, lecz zabić, upolować jak dzikie zwierzęta.

Strzała przemknęła o szerokość palca od jej policzka. Melli zamarła na chwilę w bezruchu, porażona szokiem. Wreszcie Jack pociągnął ją naprzód. Przerazona zauważyła, że go trafiono. Z barku sterczało mu drzewce. Nie krzyknął, lecz na jego twarzy widać było ból. Jeźdźcy runęli naprzód. Dwoje zbiegów rozpaczliwie usiłowało się wdrapać na błotnisty pagórek. Coś ukłuło gwałtownie Melli w

rękę. Krzyknęła ogarnięta paniką, zobaczywszy strzałę sterczącą ze swego przedramienia. Poczwała, że jej ciało opuszcza siła. Powtarzała sobie, że nie może zemdleć. Trysnęła krew, która zboczyła jej suknię. W oczach dziewczyny wezbrały łzy. Jack, widząc, co jej się stało, wniósł ją na szczyt wzniesienia. Wspierała się na nim. Ku jej zdumieniu, chłopak odwrócił się w stronę jeźdźców.

Twarz miał popielatą z bólu i gniewu. Obok nich przemykały strzały. Melli poczuła, że jedna z nich otarła się o jej ucho. Uniosła rękę, by sprawdzić, czy nie płynie jej krew. W tej samej chwili coś poruszyło się w powietrzu. Odniosła wrażenie, że czas zwolnił bieg. Wicher uspokoił się na krótką chwilę. Konie stanęły dęba ze strachu. Powietrze zamigotało, zgęstniało, uderzyło w jeźdźców i zwaliło ich z siodeł. Z ziemi wzbijały się liście, coś wrywało młode drzewka z korzeniami i łamało konary.

Najemnicy zostali odrzuceni do tyłu. Jeden z nich złamał sobie kark, uderzając o pień, drugi zaś nadział się na własną włócznię. Melli nie mogła oderwać od nich wzroku. Kolejnego z napastników przygniótł wierzchowiec. Gorączkowo usiłujące się podnieść zwierzę rozbiło mu czaszkę kopytem. Złapała Jacka za ramię, szukając otuchy. Było zimne i sztywne.

Pociągnęła go, nie poruszył się jednak. Potrząsnęła nim przerażona.

– Jack, chodź już. Uciekajmy stąd.

Nie zareagował. Stał wpatrzony przed siebie, z twarzą pokrytą warstewką potu.

– Jack, proszę cię, zbudź się.

Potrząsnęła nim ze wszystkich sił, nie zważając na ból w ramieniu. Odwrócił się i spojrzał na nią. Melli poczuła wielką ulgę.

– Chodźmy stąd, Jack.

W jego oczach nie było zrozumienia, żadnej oznaki świadczącej, że ją poznaje, czy choćby pojmuje jej słowa. Odprowadziła go stamtąd, chcąc jak najszybciej się oddalić. Nie potrafiła jednak nie obejrzeć się za siebie. Ludzie i konie w kałużach krwi u stóp wzgórza. Jeden z najemników czołgał się na bok, wlokąc za sobą bezwładną lewą nogę. Powietrze znieruchomiało. Nie było już wiatru, a tylko nieustanna ulewa. Melli zadrżała. Nie chciała myśleć o tym, co się wydarzyło, ani dlaczego jej i Jackowi nic złego się nie stało.

Złapała piekarczyka za rękę i zaczęła sprowadzać go ze wzgórza. Gdy zeszli na dół, jego bluza była już mokra od krwi. Melli postanowiła, że ruszą w stronę wschodniego traktu. Oboje potrzebowali pomocy i schronienia, których nie mogli znaleźć w lesie.

Wiedziała, że to ryzykowne, ale tylko na drodze mieli szansę spotkać kogoś, kto zechciałby im pomóc.

Tavalisk przywdziewał swe najbardziej olśniewające szaty. Wygnanie rycerzy okazało się posunięciem tak głośnym, że miasto urządziło na jego cześć paradę. Mieszkańcy Rornu uwielbiali widowiska i wymagali od swych przywódców, by prezentowali się podczas nich wspaniale. Pewnego razu, przed wieloma laty, Vesney, ówczesny premier, pojawił się na paradzie w zwykłej brązowej szacie, bez żadnych ozdób i klejnotów, czy nawet kapelusza. Rornijczycy uznali to za straszliwą zniewagę. Sami przecież założyli najlepsze stroje. Fakt, że premier tego nie zrobił, świadczył o tym, jak mało dba o ich opinię. Tłum zmienił się w rozwścieczoną tłuszcę, która ściągnęła nieszczęśnika z konia i pobiła go na śmierć.

Jakby na ironię, Vesney sądził, że ludziom spodoba się jego gest. Myślał, że zademonstruje im w ten sposób, iż jest oszczędny i nie marnuje lekkomyślnie ich podatków na błahe oznaki władzy. Tavalisk wiedział lepiej. Rornijczycy nie wymagali od swych przywódców wiele: pragnęli, by olśniewali ich bogactwem i pompą, pozwalali wygrzewać się w odbitym blasku. Rorn był najbogatszym miastem w Znanych Krainach i jego mieszkańcy chcieli, by ich



przywódcy stanowili uosobienie tego dobrobytu.

Arcybiskupa zaszywano w tunikę z jaskrawożółtego jedwabiu. Zabawiał się zagładaniem pod suknię krawcowej, która łączyła ścięciem jej boki. Rozległo się krótkie stukanie do drzwi i do środka wszedł Gamil.

– Ach, Gamilu, właśnie o tobie myślałem. Zastanawiałem się, kiedy przyniesiesz mi mojego małego Comiego.

Tavalisk nabył niedawno kota. Chytre stworzenie przyciągnęło jego zainteresowanie, oddał więc pieska słudze. Miał miejsce tylko dla jednego ulubieńca. Nawiedziło go silne podejrzenie, że jego sekretarz zabił zwierzę lub wygnał je na ulicę. Wrażenie to potwierdziła zmieszana mina Gamila.

– Przyprowadzę go, kiedy tylko wyzdrowieje. Wasza Eminencjo.

– Nie zapomnij o tym, Gamilu. Przypomnę ci za kilka dni. – Arcybiskup uśmiechnął się miło do sekretarza. – Ciepło mi na sercu na myśl, że mój kochany Comi jest z kimś, kto na pewno potrafi o niego zadbać. – Zwrócił się w stronę krawcowej. – Nie tak ciasno, dziewczyno. Nie chcę wyglądać jak kielbasa, na której zaraz pęknie skórka. Później przewidziana jest uczta i muszę zostawić trochę

miejsca na trawienie. – Tavalisk ponownie przeniósł uwagę na sekretarza. – No więc, Gamilu, jakie przynosisz dziś wieści?

– W Marlsie wiedzą już o wygnaniu rycerzy.

– I jak w owym nieszczęsnym mieście przyjęto tę wiadomość?

– Doszło do demonstracji na ulicach. Wasza Eminencjo. Mieszkańcy domagają się od władz, by podążyły za twym przykładem. Nie kochają tam rycerzy z Valdis.

– Znakomicie, Gamilu. Nie jest to dla mnie zaskoczeniem, jako że od dawna już krążyły pogłoski, iż to rycerze sprowadzili do tego miasta zarazę.

– Wasza Eminencja wykazał się wielką zdolnością przewidywania, rozpuszczając tę plotkę.

– Tak, zawsze rozsądnie jest napuścić swych rywali na siebie. Żałuję tylko, że nie mogę przypisać sobie należytej zasługi za wywołanie całej tej zarazy.

– Nie dalej niż za tydzień spodziewam się otrzymać raporty o tym, co myślą o twym edykcje w Toolay. O ile się nie mylę, wiadomość powinna już do nich dotrzeć.

– Reakcja Toolay będzie nadzwyczaj interesująca. Od dawna łączą je więzy z rycerstwem, lecz, podobnie jak w większości miast w dzisiejszych czasach, jego

mieszkańcy żyją w strachu. W strachu przed najazdem, zarazą, utratą kontaktów handlowych. Tak jest, będę z uwagą obserwował Toolay. – Tavalisk postąpił parę kroków naprzód, by wziąć kiść winogron, następując przy okazji na dłoń krawcowej, która obszywała jego płaszcz. – Skoro już mowa o tym cudownym porcie rybackim, masz wieści o naszym rycerzu?

– No cóż. Wasza Eminencjo, ostatnio widziano go kilka dni temu. Zbliżał się do miasta w towarzystwie chłopca, który przedtem go śledził.

Arcybiskup przystąpił do podziwiania swego odbicia w lustrze.

– Mamy jeszcze tę prostytutkę?

– Tak. Wasza Eminencjo, ale, z całym należnym szacunkiem, może upłynąć wiele czasu, nim rycerz wróci do Rornu.

– Ach. Gamilu. masz fatalnie krótką pamięć. Przed chwilą chwaliłeś mnie za zdolność przewidywania. Zamierzam przetrzymywać tę dziewczynę tak długo, jak będzie trzeba: miesiące, lata. kto wie? Wiem. że kiedyś z pewnością mi się przyda, a Rorn nie będzie płakał, jeśli tymczasem zabraknie w nim jednej kurwy.

– Jeśli to wszystko. to pójdę już, Wasza Eminencjo. Ja również muszę się przygotować do parady.

– Na twoim miejscu dałbym sobie spokój z

przebieraniem, Gamilu. W brzoje zawsze jest ci do twarzy.

Tawla obudziły krzyki. Otarł sen z powiek i podszedł do okna, by wyjrzeć na zewnątrz. Na ulicy zebrał się tłum ludzi, którzy śpiewali i wymachiwali sztandarami. Rycerz zamarł przerażony, gdy zdał sobie sprawę, co wykrzykują.

– Wygnać rycerzy, wypędzić ich z miasta!

Na jego oczach podpalono sztandar z symbolem rycerstwa – kręgiem wewnątrz kręgu. Towarzyszyły temu śmiechy i radosne okrzyki. Tłum ruszył powoli ulicą, kierując się w stronę śródmieścia.

Tawl nie mógł niemal uwierzyć oczom i uszom. Po raz pierwszy był zmuszony przyjąć do wiadomości, jak powszechna jest wrogość do jego zakonu. Jak mogło do tego dojść? Szacunek przerodził się w nienawiść. Co sprawiło, że ludzie tak zdecydowanie zwrócili się przeciwko nim?

– Chłopcze! – Obudził Kosiarza potrząśnaniem. – Zjem śniadanie sam. Nie wychodź z pokoju, dopóki nie wrócę.

– A co ze mną? Co mam zjeść?

– Nie zwracaj mi głowy. To nie potrwa długo. i Wyszedł na korytarz i udał się do sali jadalnej. Zamierzał się dowiedzieć, co spowodowało

demonstrację.

W pomieszczeniu roilo się od jedzących i pijących ludzi. Wybrał stół, przy którym już ktoś siedział. Nieznajomy zrobił zaniepokojoną minę, gdy Tawl spoczął obok niego. Zaczął zbierać swe rzeczy.

– Nie, panie, nie odchodź z mojego powodu. Nie mam zamiaru ci przeszkadzać.

Usłyszawszy te słowa, mężczyzna uspokoił się nieco.

– Wybacz mi nieuprzejmość, ale z takim wyglądem nie powinieneś być zaskoczony moją reakcją.

– Nie zawsze rozsądnie jest sądzić innych po wzroście. Nawet niski człowiek może nosić długi nóż – powiedział Tawl, cytując dobrze znane przysłowie wędrowców. Przerastał większość mężczyzn o dobrą głowę i przyzwyczał się już do tego, że jego widok budzi niepokój.

– Słusznie mnie zraniłeś, młody człowieku. Postawię ci coś. Nieznajomy przywołał szynkarę i zamówił tradycyjnie spożywany rano w Toolay napój: *ale* z kozim mlekiem.

– Widziałeś może przypadkiem tłumy, które zebrały się przy alei portowej?

Tawl skrzywił się, pociągnąwszy z kufla. Wychował się na bagnach i nie przepadał za kozim

mlekiem.

– Ehe, widziałem. To paskudna sprawa. – Jego rozmówca potrząsnął ze zmęczeniem głową. – Wszystko przez tego obmierzłego arcybiskupa. Wziął i wygnał rycerzy z Rornu.

– Kiedy to zrobił? – zapytał z uprzejmą obojętnością Tawl.

– Usłyszałem o tym dopiero dzisiaj. Nie brak tu ludzi, którzy chcieliby, żeby to samo stało się u nas.

– Demonstranci?

Nieznajomy rozejrzał się niespokojnie po sali.

– I bardziej wpływowe osoby.

– Myślałem, że Toolay od dawna ma przyjazne stosunki z Valdis.

– Nikt na południu nie przyjaźni się z Valdis, odkąd władzę przejął Tyren. Ten człowiek chce zapanować nad wszystkimi szlakami handlowymi na północy i wschodzie. W jednej chwili ucieka się do przemocy, a w następnej nazywa nas heretykami. – Mężczyzna pociągnął długi łyk. – Toolay ma wielki dług wobec rycerzy. Przed prawie stu laty pomogli nam odeprzeć najazd barbarzyńców, którzy przybyli drogą morską. Wszyscy o tym pamiętają, ale są ważniejsze rzeczy, chłopcze. Nasze miasto żyje z handlu. Ten, kto mu zagraża, pozbawia nas źródeł utrzymania. Zarabiamy

majątek, eksportując do Rornu wyroby hafciarskie i ryby zimnych wód. Wszystko, co prowokuje Rorn, oznacza dla nas straty. W Valdis nie ma popytu na ryby czy ozdoby stroju. – Nieznajomy popatrzył podejrzliwie na Tawla. – A ty skąd jesteś, chłopcze?

– Urodziłem się na Wielkich Bagnach.

Tawl wypił potężny łyk *ale* i spojrział mężczyźnie prosto w oczy.

– No cóż, chłopcze. Muszę już ruszać w drogę. Trzeba oczyścić i zasolić ryby, chociaż nawet sól zdrożała przez rycerzy. Wykupili wszystkie warzelnie. – Nieznajomy podniósł się, wzdychając ciężko. – Idą kłopoty. Nie tylko Valdis miesza łyżką w garnku. Rorn i Bren też nie są ponad to. – Ukłonił się uprzejmie. – Życzę ci radości tego dnia oraz ryb podczas dostatku i głodu.

Tawl odwzajemnił błogosławieństwo. Gdy spoglądał za oddalającym się mężczyzną, ogarnął go niepokój. Postanowił pokręcić się po mieście, żeby sprawdzić, co kombinują demonstranci.

Wczesnym rankiem Toolay było jasne i ruchliwe. Zwracało się ku wschodowi i już rozświetlały je pierwsze, niepewne promienie słońca. Rycerz ruszył w stronę rynku i wkrótce usłyszał śpiewy oraz okrzyki. Kierując się hałasem, po chwili odnalazł tłum. Byli

tam ludzie, których widział przez okno. a także wielu innych. Ujrzał też małą grupkę zwolenników rycerstwa. Nieszczęśników obsypywano wyzwiskami i obrzucano rybimi łbami. Tłuszcza była rozgniewana. Wznoszono hasła:

- Precz z rycerzami!
- Rycerze wywołują zarazę!
- Kradną nasz handel!
- Valdis jest do cna zepsute!

Tawl nie mógł dłużej tego znieść. Zwiesił nisko głowę i wrócił do gospody. Nikt z ludzi, z którymi rozmawiał od chwili uwolnienia z rornijskich lochów, nie miał nic dobrego do powiedzenia o Valdis. Wszyscy wymieniali imię Tyrena. Z każdym oddechem nazywano go szarlatanem. Minęło wiele czasu, odkąd Tawl ostatnio był w Valdis. Czy mógł szczerze twierdzić, że wie, co się tam dzieje? W Rornie zaprzeczał pogłoskom niemal odruchowo. Miasto było przeżarte korupcją, a arcybiskup dbał o to, by budzić w jego mieszkańcach silne antyrycerskie uprzedzenia. Toolay jednak było inne. Ludzie tu byli pobożni i pracowici, a ponadto – co podkreślił nieznajomy w gospodzie – mieli wielki dług wobec Valdis.

Tawl po raz pierwszy był zmuszony przyznać, że w krążących pogłoskach musi tkwić ziarenko prawdy.



Ale Tyren? Nie potrafił w to uwierzyć. Ten człowiek praktycznie uratował mu życie, a już z pewnością duszę. To on sprowadził go do Valdis i otoczył swą opieką, gdy inni twierdzili, że jest zbyt nisko urodzony, by zostać rycerzem. Bronił go, mówiąc, że zakonowi potrzebna jest siła i wigor świeżej, chłopskiej krwi. Tawl podziwiał go za odwagę, którą wówczas okazał. Zakwestionowanie podstaw, na których opierało się rycerstwo, nie było łatwe, Tyren jednak nie spoczął, dopóki nie uzyskał zgody na to, by wszyscy, bez względu na urodzenie, mogli się ubiegać o kręgi.

Dwa lata po rozpoczęciu szkolenia Tawla, Tyren został głową zakonu. Poprzedni przywódca, Fallseth, zakończył życie w tajemniczych okolicznościach. Jego ciało znaleziono w burdelu na przedmieściach Valdis. Po upokorzeniu, jakim stała się jego śmierć, rycerze zapragnęli wybrać człowieka o niezłomnych zasadach moralnych. Zdecydowano się na Tyrena.

Tawl zastanawiał się, co wydarzyło się pod jego nieobecność. Gdy wyruszał ze swą misją, z dumą pokazywał kręgi. Nieznajomi zapraszali go do domów na ich widok. Symbolizowały honor, odwagę i wiarę. Teraz stały się piętnem hańby, które trzeba było ukrywać przed innymi.

Podwinął rękaw i odsłonił kręgi. Wróci do

gospody, pokazując je wszystkim. Żył tylko dla nich. Nie zaprze się ich na podstawie kilku paskudnych plotek. Szedł z uniesioną głową. Wstydził się swych wątpliwości. Rycerze ponad wszystko cenili lojalność, a pomyśleć – choćby przez chwilę – że opowieści o korupcji mogą być prawdziwe, było nieelojalnością najwyższego stopnia.

Nikt nie próbował go zatrzymać po drodze. Zapewne było to błogosławieństwem, gdyż Tawl miał wielką ochotę wdać się w bójkę. Człowiek, który zechciałby tego pięknego ranka zaczepić go z powodu kręgów, miałby wielkiego pecha.

Wróciwszy do gospody, przekonał się z zaskoczeniem, że Kosiarz choć raz go posłuchał i czekał na niego w pokoju.

– Co ci zajęło tyle czasu? – zapytał chłopiec, gdy jednak zobaczył wyraz twarzy rycerza, uspokoił się i zaczął ładować rzeczy do plecaka.

Udali się do stajni po wierzchowce. Gdy na klacz padł jasny blask słońca, Tawl poczuł się usatysfakcjonowany swym wyborem. Była gibka i pełna wdzięku. Nastrój poprawił mu się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył, na czym będzie jechał Kosiarz. Był to gruby kucyk o złośliwym wyglądzie, porośnięty szorstką rudawą sierścią. Parsknął

śmiechem na widok oburzonej miny chłopaka.

– Nie pojedę na tym żalonym mule.

– Zapewniam cię, młody człowieku, że to nie jest muł. To kucyk z podgórze. Dobry, mały konik roboczy – rzekł głęboko urażony handlarz koni.

– Kucyk będzie w sam raz. – Rycerz wręczył mu siedem sztuk złota. – Ile się należy za siodła i pszenicę?

– Jeszcze dwie sztuki złota.

Handlarz zajął się sprawdzaniem monet. Drapał je nożem, by się upewnić, że pod warstwą złota nie kryje się mniej szlachetny metal. Tawł wiedział, że mężczyzna zażądał za siodła zbyt wiele, nie miał jednak ochoty się targować. Dał mu pieniądze i oddalił się.

Pogłaskał delikatnie klacz po głowie, pozwalając, by się do niego przyzwyczaiła. Kosiarz wziął z niego przykład i postąpił tak samo. Kucyk odwrócił błyskawicznie łeb i ugryzł go.

– Ty tępy mule. – Chłopiec potarł dłoń. – Jeszcze ci pokażę. – Zastanawiał się chwilę nad odpowiednią karą dla kuczka. – Już wiem. Nadam ci głupie imię. Nazwę cię Smoluch!

– To brzmi całkiem nieźle.

Tawł zajął się sprawdzaniem uprzęży i siodła.

– Nie wiesz za dużo, co? Smoluchami nazywa się ludzi, którzy utrzymują się z szukania monet i innych rzeczy w walających się na ulicy nieczystościach. W Rornie nie ma gorszej obelgi niż nazwać kogoś smoluchem. To najnędniejsi z nędznych.

– Mnie to imię nawet się podoba, a jestem przekonany, że kucykowi jest wszystko jedno.

Tawl dosiadł konia.

– A jak ty nazwiesz swoją kobyłę?

– Mam wrażenie, że masz dar do imion. Co mi proponujesz?

– Płatek. Miałem kiedyś królicę. Nazwałem ją Płatek, bo lubiła jeść kwiaty. Kwiaciarki dostawały szału.

– Niech będzie Płatek. No chodź. Kosiarzu. Ruszajmy w drogę. Chcę dobrze zacząć dzień.

Tawl pociągnął za wodze. Zauważył, że jego kręgi wciąż są odsłonięte. Oparł się pragnieniu, by je ukryć. Przynajmniej dziś stawi czoło każdemu, kto w zasięgu jego słuchu będzie znieważał rycerzy.

Maybor ściągnął mokre szaty i stanął, dygocząc, przed kominkiem, czekając, aż sługa przygotuje mu nowe. Gnał ze swymi ludźmi ze wszystkich sił, nie zważając na złą pogodę. Był przemarznięty i

zmęczony. Zawołał gniewnie Crandle'a, każąc mu się pośpieszyć. Czekало go wiele zadań.

Gdy tylko się ubrał, opuścił komnatę. Już najwyższy czas odwiedzić Baralisa. Kanclerz zbyt długo z niego drwił. Wycisnie z tej chuderlawej kreatury prawdę o swej córce. Oczywiście nie miał zamiaru ryzykować. Dobrze wiedział, jakie sztuczki Baralis ukrywa w rękawie. Nie, nie pójdzie sam. Nie pozwoli, by królewski kanclerz jego z kolei spalił na węgiel.

Zapukał do drzwi komnaty Kedraca. Nie słysząc odpowiedzi, wszedł do środka. Jego syn leżał w łóżu z dziewczką.

– Nie traciłeś czasu, Kedracu. Nie minęła nawet godzina, odkąd się rozstaliśmy.

Cieszyło go, że jego syn zabawia się z dziewczkami. Najwyraźniej przekazał mu w spadku coś z własnej męskości.

– Czego chcesz, ojczy?

Kedrac nie okazał nawet śladu zmieszania. Nie przestawał poruszać ręką pod kołdrą, pieszcząc dziewczynę.

– Postanowiłem wprost zapytać Baralisa o twoją siostrę. Wie, gdzie ona jest. Czas już, byśmy się zorientowali, co dokładnie knuje ten wąż. Pójdiesz ze

mną?

Kedrac wyskoczył nago z łóżka i popędził do garderoby, by przygotować się do drogi.

Gdy jego syn się ubierał, Maybor zwrócił uwagę na leżącą w łóżku kobietę. Była to ni mniej, ni więcej pokojówka lady Helliamy.

– Jak ci na imię, dziewczyno? – zapytał. Była wyraźnie zawstydzona i wystraszona. Nie odpowiedziała mu. – Mów śmiało.

– Nazywam się Lilly – wyszeptała.

– No więc, Lilly, czy było ci przyjemnie z moim synem?

– Tak, panie. Był dla mnie dobry.

– Moja słodka Lilly, jeśli syn jest dla ciebie dobry, pomyśl, o ile lepszy byłby ojciec.

Na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. Jej zachowanie stało się bardziej uwodzicielskie.

– Ależ, panie? Co mi proponujesz? – spytała kokieteryjnie, pozwalając, by kołdra zsunęła się jej z piersi. W ładny sposób udała skromność, podciągając kołdrę aż po szyję i rumieniąc się uroczo.

– Przyjdź do mojej komnaty godzinę po północy, a przedstawię ci szczegóły mej propozycji.

– Ojciec – powiedział Kedrac, wpadając do komnaty. – Przyszło mi do głowy, że rozsądniej

byłoby zabrać ze sobą kilku ludzi.

Maybor odwrócił się natychmiast, udając, że podziwia skrzyżowane miecze wiszące na ścianie. Dziewczyna wsunęła się głęboko pod kołdrę.

– Nie, pójdziemy sami. Zabierz broń.

Wyszli na korytarz i ruszyli w stronę jaskini Baralisa. Zatrzymali się przed drzwiami, na których wytrawiono dziwne znaki. Maybor zapukał głośno rękojęścią miecza. Po pewnym czasie drzwi otworzyły się i na obu mężczyzn padł cień Croke’a.

– Gdzie twój pan? Chcę się z nim natychmiast zobaczyć. Maybor nie zamierzał dać się zastraszyć słudze, bez względu na jego posturę.

– Nie możesz się widzieć z lordem Baralisem – odparł Croke głosem idioty, który nauczył się tekstu, lecz go nie rozumie.

– Zobaczę się z nim, jeśli jest w swych komnatach.

– Jest niezdrowszy i nie przyjmuje gości.

– Mnie przyjmie! – Maybor spróbował przepchnąć się obok Croke’a, lecz równie dobrze mógłby szturmować kamienny mur. – Wpuść mnie.

– Wpuść go, Croke.

Baralis stanął za swym służącym. Maybor był wstrząśnięty jego wyglądem. Croke nie kłamał, mówiąc, że jego pan jest niezdrowszy. Był blady jak duch.

Kedrac podszedł do drzwi.

– Nie, Mayborze – ciągnął kanclerz słabym głosem.  
– Porozmawiam z tobą w cztery oczy albo wcale.

Młodzieniec popatrzył na ojca, który skinął głową. Nie wydawało się prawdopodobne, by Baralis w swym obecnym stanie mógł wyrządzić mu krzywdę.

Maybor nigdy dotąd nie był w komnatach kanclerza. Tak jak wszyscy, słyszał szalone opowieści o fiolkach pełnych krwi, marynowanych mózgach i szkieletach, nie zobaczył jednak nic w tym rodzaju. Znalazł się w dobrze wyposażonym pokoju. Jego umeblowanie nie było efektowne, lecz dla wprawnego oka Maybora wyglądało na drogie. Były tam intensywnie niebieskie ręcznie tkane jedwabne dywany, wspaniale wykonane gobeliny z Toolay oraz meble z najlepszych gatunków tropikalnego drewna.

– Czy mógłbym cię czymś poczęstować? – zapytał Baralis, wskazując mu gestem, by usiadł.

– Od ciebie z pewnością nie przyjmę wina. Zaczynał się czuć jak mucha uwięziona w pajęczynie.

– Jak sobie życzysz. Wybacz mi, ale sam trochę wypiję. Jak widzisz, nie czuję się dobrze. Przekonałem się, że kielich czerwonego wina wzmacnia mi krew.

– Sądzę, że wiesz, dlaczego tu przybyłem.

Sprawy nie układały się tak, jak to zaplanował.



Miał wrażenie, że pozwala Baralisowi przejąć inicjatywę.

– Obawiam się, że nie mam pojęcia, lordzie Mayborze.

– Co zrobiłeś z moją córką? – zapytał pełnym gniewu głosem. Baralis zachował spokój. Nalał sobie kielich wina.

– Nie znam miejsca jej pobytu.

– Mam powody, by sądzić, że opłacani przez ciebie najemnicy zabrali ją z Duvitt.

– Daj spokój, lordzie Mayborze. Znasz najemników. W jednym tygodniu służą temu, a w drugim już tamtemu. Nie zaprzeczam, że korzystałem z ich usług. Musiałem załatwić pewne sprawy wymagające ich umiejętności. Nie mam jednak czasu ani ochoty ścigać twej zbłąkanej córki.

– Kłamiesz, Baralisie.

Maybor ledwie mógł zapanować nad gniewem i frustracją. Miecz świerzbiał go w pochwie.

– Akurat ty, lordzie Mayborze, nie masz prawa nazywać mnie kłamcą. – W głosie Baralisa zabrzmiał ostry ton. – Wolałbym, żebyś opuścił tę komnatę.

Maybor podniósł się z miejsca i wyciągnął miecz. Poczł satysfakcję, widząc strach na twarzy kanclerza.

Ostrze zaślnięło jasno w blasku świec. Crope rzucił się naprzód, ale Maybor schował już broń.

– Nie doceniając mnie. popełniasz błąd. Baralisie. – Popatrzyli sobie w oczy. Łatwo było zauważyć ich wzajemną nienawiść. Wypełniała ona przestrzeń pomiędzy nimi, napięta jak stawy skazańca leżącego na łożu tortur. Baralis pierwszy odwrócił wzrok. Maybor uniósł wysoko głowę i wyszedł z komnaty.

Na zewnątrz czekał na niego Kedrac.

– Dowiedziałeś się czegoś o Melliandrze. ojczy?

– Nie. ale odkryłem coś nawet bardziej użytecznego – odparł Maybor. pocierając powoli brodę dłonią.

– A mianowicie, co?

– Baralis jest tylko człowiekiem. Boi się nagiego miecza, tak jak każdy.

Na jego synu te słowa nie zrobiły wrażenia, Maybor jednak znał ich prawdziwą wartość. Od chwili incydentu ze skrytobójcą obawiał się, że jego nieprzyjaciel włada nadprzyrodzonymi mocami, dziś jednak poddał go próbie i nic się nie stało. Nie uderzyła w niego błyskawica, ani nie został wtrącony do czyścica. Wrócił lekkim krokiem do swych komnat. Przyszłość wydała mu się nagle jaśniejsza.

Melli potrzebowała wielu godzin, by dotrzeć do

wschodniego traktu. Ciągnęła Jacka przez las w siekącym deszczu. Oboje byli przemoczeni do suchej nitki, straciła szal i przemarzła do kości. Ramię przestało ją boleć już dosyć dawno. Teraz było tylko zeszywniałe i dziwnie ciężkie. Odłamała sterczące z barku chłopaka drzewce, nie mogła się jednak zdobyć na usunięcie grotu. Zadowolili się mocnym uciskaniem rany przez pewien czas, aż krwawienie ustało. Niestety, gdy tylko Jack ruszył naprzód, krew znowu zaczęła się sączyć. Im dłużej szli, tym obficie ciekła. Jej własna rana wyglądała na czystą. Melli wyraźnie widziała zarys grotu. Ugrzązł w mięśniu tuż pod skórą. Dręczył ją piekący ból ucha i przez chwilę trochę krwawiła, lecz nie odniosła poważniejszych obrażeń.

Gdy wreszcie ujrzała trakt, spotkało ją gorzkie rozczarowanie. Nigdzie nie widziała polan, które zwykle towarzyszyły chatom czy gospodarstwom rolnym. Nie miała pojęcia, jak bardzo oddalili się od miasta i zamku. Postanowiła, że ruszy dalej na wschód. Nie chciało jej się schodzić z drogi, by się ukryć. Minie trochę czasu, nim Baralis zbierze nowych najemników, by zastąpić tych, których utracił. Co zaś do ludzi jej ojca, niech sobie ją łapią. Niemal już zapomniała, z jakiego powodu uciekła.

Jack nadał nie odzywał się ani słowem. Podejrzewała, że jest w szoku. Martwiła się o chłopaka i gorąco pragnęła znaleźć dla niego pomoc. Musiała się nim opiekować i dodawało jej to sił. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek ktoś potrzebował jej wsparcia. To ona zawsze była słaba, wymagała ochrony i opieki. Spodobała się jej ta nowa rola. Była zdecydowana nie zawieść Jacka.

Po pewnym czasie zauważyła polną drogę, która odchodziła od traktu. Skręciła w nią. Ścieżka wiodła do małego, lecz dobrze utrzymanego domostwa. Uznała, że najlepiej będzie, jeśli podejdzie do niego sama. Zaprowadziła Jacka za kępę krzaków, gdzie kazała mu usiąść i czekać. Nie wiedziała, czy ją usłyszał, nie ruszył się jednak z miejsca. Poprawiła jak mogła włosy i suknię. Żałowała, że wiatr porwał jej szal, gdyż mogłaby pod nim ukryć zranioną rękę. Doszła do wniosku, że nie zdoła zrobić nic więcej w sprawie swego wyglądu, i ruszyła w stronę domu.

Po smrodzie poznała, że hoduje się tu świnie. W okolicach zamku zajmowało się tym wielu chłopów. W Harvellu ceniono wieprzowinę. Miejscowy przesąd głosił, że drzwi z przodu wiejskiego domu przynoszą pecha, Melli skierowała się więc ku bokowi budynku. Zapukała głośno i, dygocząc, czekała na odpowiedź.

Otworzyła jej stara kobieta.

– Czego chcesz? – zapytała głosem zaskakująco mocnym jak na jej wiek. – Jeśli jesteś żebraczką, od razu ci mówię, że nic ode mnie nie dostaniesz. Wynoś się.

Melli zaczerpnęła głęboko tchu.

– Proszę, potrzebuję pomocy.

– Wynoś się albo zawołam syna. Kobieta wykonała gest mówiący “a kysz!”

– Proszę, jestem ranna i...

– Nie obchodzą mnie twoje kłopoty – przerwała jej kobieta. – Jeśli nie znikniesz z mojej ziemi za trzy sekundy, zawołam syna.

– Chciałabym tylko...

– Jeśli natychmiast nie odejdiesz spod moich drzwi, przyjdzie mój syn z nożem rzeźnickim.

– No to go zawołaj! – krzyknęła Melli, rozgniewana zachowaniem kobiety i bliska łez. – Nic mnie to nie obchodzi. Nie może mi zrobić nic gorszego niż to, co już mnie spotkało. – Kobieta zawahała się. Melli wpadła w lekką histerię. – Zawołaj go. Niech tu przyjdzie ze swym najostrzejszym nożem!

Staruszka wyglądała na wystraszoną.

– Lepiej wejść do środka – powiedziała ze

znużeniem w głosie.

– Towarzyszy mi przyjaciel. Jest ranny. Zostawiłam go w tamtych krzakach. – Nie rozumiała, dlaczego kobieta nagle zmieniła zdanie, nie zamierzała jednak kwestionować swego szczęścia. – Zaczekaj chwilę, to go przyprowadzę.

Kobieta skinęła głową i Melli pognała po Jacka.

Gdy wróciła, zobaczyła z westchnieniem ulgi, że drzwi są otwarte.

– Kiepsko z nim – stwierdziła staruszka, spoglądając na rannego. Powiodła ich do ciepłej, przytulnej kuchni. Płonął w niej jasny ogień, na którym gotował się gulasz. – Siadajcie. Przyniosę wam coś, czym będziecie się mogli wytrzeć.

Melli posadziła Jacka, po czym rozejrzała się po pomieszczeniu. Coś zwróciło jej uwagę. Stół był zastawiony dla jednej osoby: jeden talerz, jeden kufel *ale*, jeden nóż. Kobieta wróciła, niosąc narecze wełnianych koców.

– Myślałam, że może zobaczymy twojego syna – odezwała się Melli, udając obojętność. Wzięła koce z rąk staruszki i zaczęła wycierać nimi Jacka.

– Wyjechał na cały dzień do Harvellu.

Odwróciła się plecami do Melli i zaczęła mieszać łyżką gulasz.

– Zdawało mi się, że jest w domu. Dziewczyna skrzywiła się, wycierając zranioną rękę.

– Nie ma go – odparła bez ogródek kobieta. – Nie rozumiem, co ci do tego.

– Nie masz syna, prawda? Mieszkasz tu sama. Nie bój się. Nikomu o tym nie powiem.

Melli wiedziała, że w Czterech Królestwach obowiązują surowo przestrzegane prawa zabraniające kobietom posiadania gospodarstw rolnych. Władze konfiskowały gospodarstwa wdowom nie mającym synów, którym mogłyby je przekazać. Kobięcie przyłapanej na złamaniu tego prawa, groziła ciężka chłosta lub nawet powieszenie. Nie dotyczyło to wyłącznie gospodarstw rolnych. Kobiety nie mogły posiadać ziemi ani nie miały żadnych praw własności. Melli nie była nawet właścicielką sukien i klejnotów, które nosiła na dworze. Wszystkie należały do jej ojca.

– Pracuję sama na tym gospodarstwie już od dwudziestu lat. Żaden mężczyzna nie mógłby sprawić się lepiej.

W głosie staruszki brzmiała duma.

– A jak jeździsz na targ? Jak ci się udaje sprzedać wieprzowinę?

– Zawarłam układ. – Zaczęła nakładać do misek gęsty, brązowy gulasz. – Drogo mnie to kosztuje. –

Westchnęła ciężko. – Ale nie mam wyboru. W każdej chwili mógłby donieść na mnie władzom, a wtedy nie zostałoby mi nic. Wysysa ze mnie powoli krew, zostawiając mi tylko tyle, żebym mogła przeżyć. – Dodała do każdej z misek łyżkę świńskiego tłuszczu, by zagaęścić gulasz. – W Harvellu wszyscy myślą, że nigdy nie widzą mojego syna dlatego, że jest kaleką.

– Przykro mi.

– Nie lituj się nade mną, dziewczyno. Żyję lepiej niż większość wdów. Mam dach nad głową i dobrą wyżerkę na stole, a na dodatek nie mam zięcia, który zatruwałby mi życie, ciągle mi wypominając, że musi mnie karmić. – Potrząsnęła głową. – Nie, dziewczyno, zachowaj litość dla tych, którzy jej potrzebują. Zjedzcie już ten gulasz, bo tłuszcz się stopi.

Melli podała miszkę Jackowi i włożyła mu łyżkę w dłoń. Ku zaskoczeniu dziewczyny zacisnął palce i zaczął jeść.

– Musimy zaraz obejrzeć jego ranę. Jeśli będziemy zwlekały, zaczniesz się paprać.

– A więc możemy zostać na noc?

– Dziewczyno, wygląda na to, że obie mamy coś do ukrycia. – Popatrzyła znacząco na ranę Melli, a potem na Jacka. – Nie widzę nic złego w tym, że przez jedną noc będziemy ukrywały to razem.



Gdy skończyli jeść, kobieta zagotowała wrzątek, po czym zdjęła z najwyższej półki nóż o cienkim ostrzu.

– Ten powinien być w sam raz. Pięknie się nim obdziera świnie ze skóry. – Zanurzyła na chwilę nóż we wrzątku, po czym wytarła go do sucha. – Ściągnij chłopakowi koszulę.

Melli trochę się zaniepokoiła na widok noża w ręku staruszki, nie miała jednak wielkiego wyboru. Nic nie wiedziała o chirurgii ani medycynie. Musiała zaufać kobiecie. Mimo to poczuła wyraźną ulgę, gdy staruszka postanowiła zająć się najpierw Jackiem. Popatrzy, jak sobie z nim poradzi, nim powierzy jej własną rękę.

– Nie bój się, chłopcze. – Staruszka zmyła zakrzepłą krew czystą szmatką. – Nie zamierzam cię okłamywać. Będzie bolało. Ale to konieczne. – Zwróciła się w stronę Melli. – Dziewczyno, przynieś mi z kredensu dzbanek okowity. – Przyjrzała się uważnie ranie Jacka. – Dobrze chociaż, że grot nie ma zadziórów. – Melli podała jej dzbanek. – Pociągnij sobie łyżeczek, chłopcze. To cię uspokoi.

Sama też wypiła trochę trunku.

Wbiła głęboko nóż w ramię Jacka, nie zważając na okrągłą ranę wejściową. Cięła dokładnie nad miejscem, w którym tkwił grot.

– Nie mogłaś go wyciągnąć tą samą drogą, którą wszedł? – spytała przerażona Melli.

– Cicho, dziewczyno, muszę się skoncentrować. Odciągnęła skórę i zaczęła przecinać mięśnie. Nie zwracała uwagi na ciekącą krew, skupiając się na oswobodzeniu grotu. Zdrapała z jego czubka ostatnią warstwę mięśni i ścięgien, po czym ujęła go w palce i wydobyla.

– Proszę. To takie małe diabelstwo... Rzuciła go bezceremonialnie na podłogę.

– Podaj mi igłę z nitką, dziewczyno. Wykrwawi się na śmierć, jeśli go nie zaszyjemy.

Kobieta jedną ręką zbliżyła do siebie brzegi rany, drugą zaś złapała za igłę. Zrobiła szeroki, nieregularny ścieg.

– Oczywiście nie mogę gwarantować, że będzie ładnie wyglądał. Z tobą będę ostrożniejsza. Nie można pozwolić, żeby taka śliczna dziewczyna miała paskudną szramę na ramieniu. U mężczyzn to nie ma znaczenia. Z kilkoma bliznami nawet bardziej się podobają kobietom.

– Hej, gdzie się tego nauczyłaś?

Melli nie podobała się rozmowa na temat blizn.

– Na świniach oczywiście. Ten, kto je hoduje, musi umieć się nimi opiekować.

Kobieta nie podnosiła wzroku. Skupiła się na ukończeniu roboty. Przegryzła nić, po czym przeniosła uwagę na ranę wlotową. Przesunęła po niej dwa razy nożem, tworząc krzyż.

– Co ty wyprawiasz? – Melli była przerażona. – Tylko pogorszyłaś sprawę.

Z rany trysnęła świeża krew.

– Dziewczyno, czy nic nie wiesz o chirurgii? Rana była okrągła. Takie goją się bez końca. Lepiej ją powiększyć i zmienić jej kształt. – Raz jeszcze wzięła w rękę igłę z nitką. – Zapamiętaj sobie moje słowa. Krzyż zagoi się dwa razy szybciej. Zrobi się ładna, czysta blizna. Okrągłe rany goją się paskudnie.

– Przepraszam. Nie wiedziałam. Melli nie wątpiła w jej słowa.

– Nie szkodzi, dziewczyno. – Staruszka skończyła zaszywać ranę. – Teraz pomóż mi przenieść swojego małomównego przyjaciela na siennik. Potrzeba mu odpoczynku. Później zajmę się twoimi obrażeniami.

Melli wykonała jej polecenie, choć powłóczyła przy tym nogami. Nie uśmiechała się jej perspektywa cięcia i szycia.

Podróż sprawiała Tawłowi przyjemność. Dobrze było znowu dosiąść konia. Odpowiadało mu nawet towarzystwo chłopca. Zawsze uśmiechał się, widząc, jak rozpaczliwie Kosiarz trzyma się kucyka. Z całą pewnością nie był urodzonym jeźdźcem. Rycerz próbował udzielać mu rad na temat techniki jazdy, lecz ulicznik lekceważył jego wskazówki i uparcie jechał tak, jakby bał się, że w każdej chwili może spaść.

Góry majaczyły coraz bliżej, Tawł jednak był pewien, że jeśli dotrą do zachodniego brzegu półwyspu, uda im się ominąć większość z nich. Najwyższe szczyty znajdowały się daleko na wschód od wybrzeża, choć i nad morzem teren był skalisty i pagórkowaty.

Doszedł do wniosku, że następny postój powinni urządzić w Ness. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że niedaleko od tego miasta – tylko trzy dni szybkiej jazdy – mieszka Bevlin. Zastanowił się, czy powinien złożyć mędrcom wizytę, by zrelacjonować

mu. co do tej pory działał. Nie miał jednak dla niego wielu informacji. Czy miał oznajmić: istnieje niewielka szansa, że chłopiec może przebywać gdzieś w Czterech Królestwach? Nie, pomyślał, lepiej nie odwiedzać Bevlina.

Usiłował zapomnieć o mędrцу. lecz coś mu na to nie pozwalało. Miał wrażenie, że mimo wszystko ma mu coś do powiedzenia, tyle że nie potrafi sobie przypomnieć, co. Przeszukał zasoby swej pamięci i nie znalazł w niej nic, co mogłoby zainteresować Bevlina. Również Stary nie przekazał mu żadnej wiadomości. Może powinien zawiadomić go o wygnaniu rycerzy z Rornu. Potrząsnął głową. Bevlin zapewne już o tym wiedział. Mędrцы mieli swoje sposoby zdobywania informacji. Im więcej myślał o Bevlinie, tym silniej był przekonany, że powinien go odwiedzić. Wydawało się to słusznym posunięciem i zajęłoby mu tylko kilka dodatkowych dni.

Zbliżali się do małej osady, ledwie zasługującej na nazwę wioski. Składała się z kilku walących się chat. Nie było tu nawet gospody.

– Może byśmy się zatrzymali, żeby kupić coś do jedzenia? – zaproponował Kosiarz. Ulicznik nie przepadał za suszonym mięsem i twardymi sucharami. Tawl rozejrzał się po wiosce. Zobaczył na drodze

kobietę z trojgiem chudych, nędznie odzianych dzieci.

– Nie sądzę, żebyśmy tu znaleźli świeżą żywność. – Nie przypominał sobie, by ostatnio mijali jakieś stada czy gospodarstwa rolne. Zastanawiał się, z czego żyją tutejsi ludzie. – Lepiej będzie, jak pojedziemy dalej i o zmierzchu dotrzemy do wybrzeża.

Tawl obejrzał się i zobaczył poirytowany, że chłopak zeskoczył z kucyka. Przyglądał się, jak Kosiarz rozmawia z kobietą i wraca.

– Tawl, ona mówi, że za tym pagórkiem jest miasteczko. Powiedziała, że warto je odwiedzić.

– Ruszajmy w drogę. Rycerza ogarnął dziwny niepokój.

– Wypad do tej osady nie zajmie nam wiele czasu. Moglibyśmy dziś spać na puchowych poduszkach i zjeść gorący posiłek.

Chłopak miał w sobie tyle entuzjazmu, że Tawl nie był w stanie mu odmówić. Skinął głową i zjechali z traktu. Po jakiejś godzinie dotarli wreszcie na szczyt wzgórza. W położonej za nim dolinie znajdowało się spore miasteczko. Gdy się zbliżyli, stało się jasne, że coś się tu wydarzyło niedobrego. Na ulicach nie było nikogo. Nie widziało się żadnych oznak życia: dymu, kur czy kóz, ani śladów uprawy ziemi. Gdy wjechali do osady, Tawl wsparł dłoń na rękojści noża.

Opustoszałe miasteczko musiało niegdyś być kwitnące. Było w nim kilka gospód, co z reguły świadczyło o ożywionym handlu, dwie kuźnie i warsztat kołodzieja – wszystko porzucone. W samym środku znajdował się plac, na którym stał piękny marmurowy posąg.

Tawl odczytał szyld jednej z gospód: “Nad Brzegiem”. Nie przypominał sobie, by widział w pobliżu jakiś brzeg. Byli jeszcze daleko od morza. Usłyszał czyjeś kroki. Odwrócił się i zobaczył odzianego w łachmany staruszka.

– Macie coś do jedzenia?

Mężczyzna wyglądał tak, jakby w każdej chwili mógł paść na ziemię.

– Weź sobie to, przyjacielu.

Kosiarz wydobyl z plecaka morskie suchary i wręczył je nieznanemu. Tawl podejrzewał, że chłopak nie kierował się bynajmniej miłosierdziem. Nie znosił twardych, pozbawionych smaku sucharów. Staruszek wyrwał mu je z rąk i powąchał lekliwie, po czym zaczął je wpychać do ust.

– Gdzie jest woda? Czy w pobliżu nie ma jeziora albo rzeki? Tawl pomyślał, że mógłby chociaż napęłnić manierki. Zaczekał, aż nieznanomy pożre wszystkie suchary.

– Nie ma już tu wody.

Mężczyzna uśmiechnął się, odsłaniając poczerńiałe zęby.

– Co się z nią stało? Wyszła?

– No, w każdym razie już jej nie ma.

Staruszek roześmiał się, jak gdyby był to żart. Podszedł do Kosiarza i spróbował wyrwać mu plecak. Chłopak wyszarpnął go, dał jednak nieznanemu kawałek suszonego mięsa.

– Czy nastąpiła susza?

Tawł słyszał o miastach zniszczonych okrutną suszą.

– Nie, to nie było dzieło natury. Chodźcie za mną. Mężczyzna popędził przed siebie z zaskakującą szybkością.

Tawłowi nie śpieszyło się, by za nim podążyć, Kosiarz pomknął już jednak naprzód, nie pozostawiając mu wyboru.

Staruszek poprowadził ich przez miasteczko, docierając wreszcie na piaszczysta równinę.

– Tu było jezioro. Stoicie na nim.

Tawł i Kosiarz popatrzyli za ziemię: teren był płaski. Nieznajomy zachichotał, widząc ich zaskoczenie.

– Tak jest. To było najpiękniejsze jezioro na



półwyspie. Niewielkie, według ludzkiej rachuby, ale jego widok zapierał dech w piersiach. Słyszano ze swych terapeutycznych właściwości. Ludzie przybywali z daleka, by zażyć kąpeli w jego czystych wodach. Podobno leczyły one chorych i przynosiły ulgę starym.

Tubylec westchnął tęsknie.

– Szkoda, że nie widzieliście go wtedy. Sam widok przepełniał człowieka radością. Ryby. takie ryby. koloru tęczy, tak pragnące złapania, że same skakały rybakom do sieci.

Kopnął piasek pod swymi nogami.

– To było kiedyś bardzo bogate miasto. Teraz wszystko pochłonął pył. Nie ma z czego żyć. odkąd jezioro wyschło. Wszyscy mi mówili, że jestem szalony, iż chcę tu zostać. Chyba mieli rację. Jestem szalony.

– Co się wydarzyło?

– Nad jezioro przybył pewien człowiek. Chciał się wykapać w jego wodach. Bogaty i potężny człowiek z wielkiego miasta. Był ubrany jak król. wystrojony w najwspanialsze jedwabie. Kiedy wypłynął łodzią na jezioro, zanurzył palce w wodzie. Gdy wrócił na brzeg, zobaczył, że z palca zsunął mu się pierścień. Bardzo się rozgniewał, twierdząc, że to oznaka władzy, czy

coś w tym rodzaju. Rozkazał przeszukać jezioro. Wtedy właśnie popełniliśmy błąd. Powiedzieliśmy mu, że nie ma szans, by odszukać pierścień. Mówiliśmy, żeby kazał zrobić drugi i że sam jest sobie winien. No i wtedy rozeźlił się na dobre. Odparł, że nie można zastąpić tego pierścienia, bo ma kilkaset lat. Dał nam tydzień na przeszukanie jeziora i znalezienie zguby. Zrobiliśmy, co było można, ale nic to nie dało. Równie dobrze mógł siedzieć w brzuchu ryby. Po tygodniu wrócił i kiedy mu powiedzieliśmy, że nic nie znaleźliśmy, przeklął jezioro. Poprzysiągł, że je zasypie. Tylko się z niego śmialiśmy. Nie przyszło nam do głowy, że naprawdę to zrobi. Po siedmiu dniach do miasta przybyło osiemdziesięciu ludzi. Mieli muły, które ciągnęły wozy wyładowane piaskiem z wybrzeża. Zasypanie jeziora zajęło im cały rok. Tak długo pracowali, przewozili żółty piach i wsypywali go do wody. Jeden rok wystarczył, by zniszczyć źródło utrzymania wszystkich w miasteczku. Jeden rok.

Mężczyzna ukląkł i wziął w rękę garść piasku, pozwalając, by wiatr wywiał go powoli.

- Dlaczego nikt go nie powstrzymał?
- Nikt się nie ośmielił. Gapiliśmy się tylko niczym durnie, jak jezioro robi się coraz mniejsze.
- Kto to uczynił?

Tawl sądził, że zna odpowiedź.

– Arcybiskup Rornu.

Rozpętał się ostry wicher. Nadszedł czas, by ruszać w drogę. Rycerz gorąco pragnął opuścić wyludnione miasto.

Tavalisk zanurzył palce w sosie i uniósł je do warg. Znakomity – tylko ślad czosnku i ledwie wyczuwalny posmak ziół. Równowaga znakomicie pasująca do ślimaka. Te stworzenia nie występowały w Rornie. Płytką warstwa twardej gleby nie mogła ich wyżywić. Podobnie jak wiele innych luksusów, im były rzadsze, tym bardziej ich poszukiwano i w Rornie kwitnął zyskowny handel ślimakami. Za soczyste sztuki płacono wysokie ceny. Były ozdobą stołu niejednego bogacza.

Arcybiskup ujął w dłoń swój srebrny haczyk i zabrał się do wydobywania mięczaka z muszli. Wreszcie udało mu się go zahaczyć i wyciągnąć na zewnątrz. Była to piękna sztuka, tłusta i lśniąca. Nastrój rozkosznego oczekiwania zniweczyło pojawienie się Gamila.

– Czego chcesz? – zapytał go, przeżuając ślimaka.

– Wasza Eminencjo, wpadł mi w ręce interesujący Ust.

– Czy to odpowiedź od tego możnowładcy, do którego pisałeś w moim imieniu? Jak on się nazywał... Maybor?

– Nie, nie Wasza Eminencjo. Nie otrzymałem jej jeszcze. To coś ważniejszego.

– Mów.

Tavalisk rzucił ślimaka kotu. Przyglądał się rozbawiony, jak stworzenie usiłuje się dostać do ukrytego w muszli smakołyku.

– Nasi szpiedzy na pomocy przechwycili pismo od diuka Brenu do lorda Baralisa. Diuk Brenu pyta w nim, co spowodowało opóźnienie zaręczyn między jego córką a księciem Kylockiem.

– To znaczy, że z całą pewnością dojdzie do małżeństwa. Nie muszę ci mówić. Gamilu, jak mało podoba mi się myśl, że te dwa państwa mogą połączyć swe siły. Bren już w tej chwili jest nieprzyzwoicie potężny. – Tavalisk przerwał przeżuwanie ślimaka. Wypluł go. Nagle stracił wszelki apetyt...Gdy dwa wielkie mocarstwa złączą się w jedno”. Proroctwo Maroda się spełniało. Jak to szło dalej? Coś o świątyni i o wybrańcu. “Gdy ludzie honoru złoto przedłożą nad łaskę”. Chodziło o rycerzy! Dlaczego dotąd tego nie dostrzegali? Nalał sobie kielich wina dla uspokojenia nerwów. Co jeszcze tam było? “Powstanie imperium

mroku”. Myśl o imperium mroku nie podobała mu się w najmniejszym stopniu. Wolał, by na świecie panowała szarość. Była lepsza dla rornijskiego handlu.

To Baralis starał się do tego doprowadzić! Ten diabeł zamierzał wykuć na północy wielkie imperium!

Tavalisk wstał z miejsca i – ignorując zdumione spojrzenie Gamila – sam dodał opału do ognia. Dreszcz przeszył go do kości. Wszystko się zgadzało: rycerze, Bren, Cztery Królestwa. Zawsze wiedział, że Baralis jest niebezpieczny, ale skala jego zakusów była niewyobrażalna. Proroctwo w żadnym punkcie nie wspominało, że imperium mroku ograniczy się do pomocy. Co, jeśli Baralis i diuk planowali zagarnąć również południe? Połączona potęga północy budziła grozę. Czy rycerze również zechcą się do nich przyłączyć? Tyrena z pewnością łączyły przyjazne stosunki z diukiem Brenu. Wszędzie roilo się od spisków, a on nie był wtajemniczony w żaden z nich!

Świadomie starał się zachować panowanie nad sobą. Nie chciał, by Gamil zauważył, że coś go niepokoi. Usiadł za stołem i ujął w rękę srebrny widelec.

– Czy w liście było coś jeszcze?

– W liście nic, Wasza Eminencjo, ale gdy po raz ostatni komunikowałem się z naszym szpiegiem w

zamku Harvell, nic nie wiedział o związku między Kylockiem a Catherine.

– Do czego zmierzasz, Gamilu?

– Jestem przekonany, że Baralis zaaranżował to małżeństwo bez wiedzy i zgody króla oraz królowej.

Ta wiadomość stopniu nie uspokoiła obaw arcybiskupa.

– Hmm, to interesujące. Baralis zawsze był chytry. Niestety, jestem pewien, że królowa będzie nader zadowolona z takiego związku. – Tavalisk zaczął dziobać ślimaki widelcem. Nie uspokoił się, dopóki nie zniszczył wszystkich muszli na talerzu. – Sojusz z Brenem byłby dla niej wielkim osiągnięciem.

– Jest też dobra wiadomość. Wasza Eminencjo. W Marlsie poważnie zastanawiają się nad wygnaniem rycerzy. Przygotowali już projekt ustawy.

– A co z Toolay?

Przeszedł do wbijania w ślimaki kawałków muszli.

– Doszło do konfrontacji między zwolennikami rycerzy a ich przeciwnikami. Według doniesień większość mieszczan domagała się ich wypędzenia.

– Starczy już tego, Gamilu. – Arcybiskup wstał z miejsca. Niecierpliwie pragnął odnaleźć egzemplarz proroctwa Maroda i przestudiować je starannie. – Wybioreę się na przechadzkę po ogrodach. Wiadomość

o sojuszu między Brenem a Czterema Królestwami ciąży mi na sercu.

Ruszył w stronę drzwi.

– Zechciałbyś wyrządzić mi przysługę?

– Oczywiście, Wasza Eminencjo.

– Powydłubuj okruchy muszli z tych ślimaków i nakarm nimi kota. Nie chciałbym, żeby się zmarnowały.

Baralis siedział blisko kominka. Nic mu to nie dawało. Ciepło, które czuł na twarzy, nie przenikało do jego zziębniętych kości. Popijał holk z korzeniami w nadziei, że złagodzi to nieco ból. Był zmęczony. Opuszczenie ciała okazało się błędem. Zużył zbyt wiele energii. Zostało mu jej bardzo mało. Zmieniający stan świadomości narkotyk służył jedynie do krótkotrwałego użycia. Baralis posunął się za daleko, do granic możliwości, opuścił ciało na zbyt długo. Teraz płacił za to cenę.

I wszystko to na nic mu się nie zdało. Zbiegom udało się wymknąć, i to w jakim stylu! Tylko czterech najemników wróciło żywych, a jeden z nich miał nogę złamaną tak paskudnie, że nigdy już nie będzie na niej chodził. Opowiadali o potężnej trąbie powietrznej, gromie z nieba. Kanclerz już przedtem wiedział, że coś poszło z nie tak. Wiele godzin przed ich powrotem

poczuł pozostałość. Raz jeszcze była to robota piekarczyka. Baralis miał wrażenie, że jeszcze pożałuje, iż nie zabił chłopaka, gdy miał okazję.

Kim był Jack? Przybył znikąd, a mimo to władał mocami, które urągały rozsądkowi. Kryło się w tym też coś więcej. Chłopak miał jakieś tajemnice. Baralis wyczuł to, gdy tylko przedostał się do jego umysłu. Dostępu do wielu rzeczy broniły zasłony, chroniły go widmowe postacie. Czy miał odegrać jakąś rolę w tym, co się wydarzy?

Zaczął masować dłonie. Będzie musiał przeciąć skórę. Jak zwykły piekarczyk mógł spowodować takie zniszczenia? Nie kłamał, mówiąc, że nikt go nie uczył. Zaczerpnął mocy w prymitywny sposób. Użył maczugi, kiedy wystarczyłby nożyk do owoców. Ale cóż za moc! Baralis zazdrościł mu. Do tej chwili czuł delikatny nacisk, od czego jeżyły mu się włoski na karku.

Rzecz jasna, miało to też dobre strony. Nie było prawdopodobne, by ludziom Maybora udało się złapać Melliancę, dopóki będzie jej towarzyszył Jack. Być może przeznaczenie w postaci chłopaka było jego sojusznikiem. Nie. Iskierka głęboko ukrytego instynktu zawsze wskazywała Baralisowi, kto jest jego wrogiem. Był pewien, że piekarczyk to wróg. Spotkają się



jeszcze i następnym razem go zabije.

Miał nieprzyjaciół na pęczki. Rodziła ich ambicja. Nawet dawni sojusznicy często zwracali się przeciw niemu. Maybor był kiedyś jego sprzymierzeńcem. Bez jego pomocy nie udałoby się uczynić kaleką króla Lesketha. Teraz jednak wielmoży poważnie groziło, że poczuje pełną moc gniewu Baralisa.

Jakże go nienawidził. Grubas naprawdę ośmielił się grozić mu mieczem! Kanclerz przeklinał swą słabość. Nie był w stanie nic zrobić. Maybor mógł go wykończyć w jednej chwili i obaj o tym wiedzieli. Okazał upokarzającą słabość i to wobec człowieka, którym gardził najbardziej ze wszystkich.

Odliczył dni na palcach. Do terminu rozstrzygnięcia zakładu został niespełna tydzień. Wtedy przynajmniej odegra się na Mayborze. Do tego czasu skupi się na odzyskaniu sił. Gdy wielmoża następnym razem zbliży się do niego z mieczem, będzie gotowy do zmierzenia się z nim.

Wezwał Croke'a. Ocieżały sługa wlaźł do komnaty, ściskając w wielkich łapskach swą ukochaną szkatułkę.

– Idź do wioski i sprawdź, czy w gospodzie można spotkać jakichś najemników. Potrzebuję ludzi. Powiedz im, że dobrze zapłacę.

– Tak jest, panie.

– Aha, Crope, chciałbym też poznać imię najnowszej kochanki lorda Maybora.

Może uda mu się wyrzucić choć drobną zemstę przed upływem tygodnia. Jego wróg był osławionym rozpustnikiem. Pozbawienie jego łędźwi żaru bardzo by go poirytowało.

Lilly złapała na haczyk wielką rybę. Myślała, że jej się poszczęściło, gdy wylądowała w łóżu Kedraca, teraz jednak miała na oku jeszcze wspanialszy łup: jego ojca, lorda Maybora. Pożądał jej najbogatszy człowiek w kraju.

Dobrze znała zasady tej gry. Nie zjawiała się w jego komnatach, tak jak tego chciał. Nie mogła się wydać zbyt chętna. Następnego dnia, niby przypadkowo, spotkała go w ogrodzie. Potężny możnowładca błagał, by odwiedziła go w nocy. Założył jej nawet na rękę srebrną bransoletę. Odpowiedziała, że zastanowi się nad jego propozycją. Wspomniała też, że woli złoto.

Raz jeszcze była gotowa sięgnąć po wyższą pozycję. Zaczynała jako dojarka. Sypiała z głównym mleczarzem, dzięki czemu dłonie nie stwardniały jej od noszenia słomy dla krów. Zamiast tego spędzała dni na formowaniu świeżo ubitego masła w krążki. Nieustannie natłuszczane ręce stały się miękkie jak aksamit. Wystarczająco miękkie, by mogła zostać

kiedyś garderobianą.

Było to jej wielką ambicją. Pozycja garderobianej była najwyższa, jaką mogła osiągnąć służąca. Wolno im było nosić piękne szaty i zdobić włosy wstążkami, a nawet oczekiwano tego od nich. Towarzyszyły swym paniom na spacerach po zamkowych ogrodach i podziwiali je wszyscy młodzi mężczyźni na dworze. Lilly wiedziała, że lord Maybor potrafi zdobyć dla niej tę pozycję. Mógł zmusić swą córkę albo jakąś inną krewną do przyjęcia jej na służbę. Zarumieniała się z podniecenia. Niedługo przestanie być zwykłą pokojówką. Czekają ją lepsze *rzeczy*. Udało jej się wpaść w oko jednemu z wielkich dygnitarzy.

Miała już za sobą sporo miłostek z pomniejszych szlachcicami. Każdy z nich uwodził ją i obsypywał prezentami, a jeden czy dwóch proponowało nawet, że wynajmie dla niej pokój w gospodzie w miasteczku. Nie tego jednak chciała. Wiedziała, jak niestałe są męskie żądze. Jednego dnia nie mogli bez niej żyć, a następnego stawała się niechcianą zawadą. Nie pragnęła zostać kimś więcej niż utrzymanką. Wiedziała, że jest już blisko tego celu. Mężczyźni byli najhojniejsi wtedy, gdy nie mogli ugasić swych żądz. a lord Maybor mógł sobie pozwolić na wielką hojność.

Nie zaprzętała sobie głowy jego synem. Kedrac.

jako nie posiadający ziemi lord. miał niski status na dworze i nie mógłby załatwić jej pozycji, której pragnęła. Poza tym. pomyślała złośliwie, w łożu był do niczego. Miała nadzieję, że jego ojciec okaże się bieglejszym kochankiem.

Lord Maybor! Tylko jeden mężczyzna odpowiadałby jej bardziej – królewski kanclerz, lord Baralis. Wzruszyła ramionami. Jeśli nie mogła mieć w kieszeni najpotężniejszego mężczyzny na dworze, będzie miała najbogatszego.

Odrzuciła z czoła złote loki i przyjrzała się z podziwem swemu odbiciu w zwierciadle lady Helliarny. Wyglądała doskonale. Mogła się uskarżać jedynie na nieco za tęgą talię, wiedziała jednak, że wielu mężczyzn uważa pulchny brzusek za dodatkową krągłość, nie martwiła się więc tym zbytnio. Wypadła z komnaty i pobiegła do ogrodów. Lord Maybor z pewnością wybrał się już na popołudniową przechadzkę.

Nie spotkało jej rozczarowanie. Dostrzegła go w oddali. Rozmawiał z kimś. Zatrzymała się na chwilę, po czym podeszła bliżej, upewniwszy się, że drugim z mężczyzn nie jest jego syn, Kedrac. Gdy tylko Maybor ją zauważył, pożegnał się ze swym towarzyszem i podszedł do niej.

– Moja najśladza Lilly. – Umilkł na chwilę zdyszany. – Byłem pewien, że odwiedzisz mnie wczoraj wieczorem. Rozczarowałem się, kiedy się nie zjawiłaś.

Ujął i ucałował jej dłoń. Wypuszczając ją z uścisku, włożył w nią coś ciężkiego i zimnego. Lilly zwalczyła pokusę rzucenia na przedmiot okiem. Wsunęła go za stanik.

– Mój panie, nie mogę się pozbyć wrażenia, że nie jestem ciebie godna. – Pochyliła nisko głowę i zatrzepotała rzęsami w sposób, który – jak wiedziała – dodawał jej uroku. – Jestem tylko pokojówką. Nie dla mnie są miłostki z wielkimi panami.

– Z moim synem się spotykałaś.

Jej argumenty nie trafiły do Maybora.

– Ach, ale oboje wiemy, że stoisz znacznie wyżej od niego, panie.

To były właściwe słowa. Wielmoża skinął głową przekonany.

– Czego ode mnie żadasz, mała ślicznotko? Wolę, żebyś mówiła szczerze. Nie mam ochoty przerzucać się z tobą słówkami.

Nie tak wyobrażała sobie tę rozmowę Lilly, nie miała jednak zamiaru odrzucić nadarzającej się okazji, by dopiąć swego.

– Myślę, że jestem wystarczająco dobra, by zostać garderobianą. Mam miękkie dłonie i umiem się wysławić.

– A więc o to ci chodzi, he? – Maybor uśmiechnął się z satysfakcją. – A co, jeśli zdobędę dla ciebie tę pozycję?

– Byłabym ci bardzo wdzięczna, wasza lordowska mość. Dygnęła nisko, ukazując głęboki dekolt.

– Jesteś doprawdy czarującą dziewczką. Myślę, że spędzimy razem przyjemne chwile. – Położył dłoń na jej policzku. – Czekaj w mojej komnacie jutro o zachodzie słońca. Do tego czasu spełnię twe pragnienie. – Zbliżył się i pocałował ją w usta. – Do jutra.

Lilly odsunęła się, wiedząc, że nic nie rozpala męskiego pożądania silniej niż udawana cnota.

Spoglądała na oddalającego się Maybora. Jego płaszcz powiewał na wietrze. Gdy tylko zniknął z pola widzenia, wydobyla spomiędzy piersi przedmiot, który jej dał. Był to szlachetny kamień: piękny topaz o barwie miodu. Roześmiała się wesoło i pobiegła do zamku.

Jack obudził się nagle. Dręczył go zły sen. Usiadł i rozejrzał się wokół. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Był w jakiejś kuchni. Na ogniu coś się

gotowało, a z krokwi zwisały lśniące miedziane garnki. Do izby weszła stara kobieta.

– No, już najwyższy czas, żebyś się ocknął, młody człowieku. Przespałeś całą noc i większą część dnia. Pokaż no mi, jak się ma twój bark. – Nachyliła się nad nim. Owinął się ciasno kocem. – Nie musisz się mnie wstydzić, chłopcze. Jestem za stara, żeby tolerować taką skromność.

Ściągnęła z niego koc i przyjrzała się jego ramieniu. Jack starał się zobaczyć, na co właściwie patrzy, ale ruchy szyi sprawiały mu zbyt wielki ból.

– Obie ładnie się goją. Mogę sama siebie pochwalić za dobrą robotę.

Kobieta podeszła do ognia.

– Chyba jesteś głodny. Zrobię ci trochę gulaszu z kluskami.

– Kim jesteś?

Jack usiłował sobie przypomnieć, jak się tu znalazł. Pamiętał, że ścigali go ludzie Baralisa. Widział też, jak postrzelili jego towarzyszkę.

– Gdzie jest Melli?

Spróbował wstać z miejsca, lecz jego nogi były zbyt słabe.

– Uspokój się, chłopcze. Wyszła na dwór odetchnąć.

– Jak się czuje?

Wyraźnie przypominał sobie drzewce sterczące z jej ramienia.

– Bardzo dobrze. Znacznie lepiej od ciebie. Wyrwałam z niej strzałę pięknie i czysto. – Podała mu miskę gulaszu. – Proszę, chłopcze, zjedz to. To pomoże ci odzyskać siły.

Jack wziął od niej miskę i zaczął jeść. Usiłował sobie przypomnieć, co się wydarzyło po tym, jak postrzelono Melli. Był wściekły – dlatego, że go ścigali, że rana od strzały sprawiała mu ból, a zwłaszcza dlatego, że zranili dziewczynę. Jego umysł wypełniały obrazy zniszczenia, ludzi zrzuconych z koni, drzewek wrywanych z korzeniami. Odepchnął je od siebie. Były częścią koszmaru. Jak się tu znalazł? Jak udało mu się uciec najemnikom?

– Cześć, Jack. – W drzwiach stała Melli. – Jak z tobą?

– Co się stało...

Zdał sobie sprawę, że nie wie nawet, jaki dziś dzień.

– Chodzi ci o ten wypadek na polowaniu? – Melli poczuła wyraźną ulgę, słysząc jego głos, ostrzegła go jednak przelotnym spojrzeniem, żeby nie przeczył jej słowom. – To chyba był wstrząs. Straciłeś mnóstwo



krwi. Byliśmy za daleko od domu, ale udało mi się przy wlec cię tutaj i ta sympatyczna pani zgodziła się nam pomóc.

– Gdzie jesteście?

– Niedaleko od wschodniego traktu.

Nie mógł niemal uwierzyć w jej słowa. Gdy zaatakowali ich zbrojni, znajdowali się w odległości wielu mil od gościńca. Jak Melli zdołała przenieść go tak daleko? Staruszka najwyraźniej postanowiła zostawić ich samych, by mogli porozmawiać. Wyszła z izby, mamrocząc coś o karmieniu świń.

– Powiedz mi, co się stało, Melli.

Popatrzył na nią i zauważył, że unika jego spojrzenia.

– Nie wiem. W jednej chwili nas ścigali, a w następnej... – poruszyła lekko rękami – ...zapanował chaos. Wyglądało to jak podmuch powietrza. Wszyscy pospadali z siodeł.

– A my? Co się stało z nami? – Jack zaczął dygotać. Jego koszmar przeradzał się w rzeczywistość.

– Melli, co z nami?

– Nic nam się nie stało. – Spuściła wzrok.

Prawda zawisła między nimi, nie wypowiedziana. Oboje wiedzieli, co się wydarzyło. Jack zdał sobie sprawę, że czas już pogodzić się z tym, kim jest. Był

kimś więcej niż zwykłym piekarczykiem. W jego wnętrzu kryła się siła, która odróżniała go od innych. Choć nie prosił o nią, musiał nauczyć się żyć z jej konsekwencjami. Dwukrotnie już spowodował niezwykle wydarzenia, dwa razy zmienił bieg wypadków. Jego ręce splamiła krew.

– Jack, uciekniemy stąd – powiedziała Melli, jakby potrafiła odczytać jego myśli. – Powędrujemy gdzieś daleko, gdzie Baralis nie zdoła nas odnaleźć. – Przerwała na chwilę, by się zastanowić. – Do Brenu. Będiesz mógł tam zacząć nowe życie.

– A co z tobą, Melli? Nie urodziłaś się do wędrówek po pustkowiach, życia bez pieniędzy, radzenia sobie na własną rękę. Co stanie się z tobą w Brenie?

Jack przemówił ostrzej niż było to jego zamiarem. Widział, że wytrącił ją z równowagi.

– Mogę ci towarzyszyć aż do Annisu. Moja rodzina ma tam krewnych. – Jej głos brzmiał zjadliwie. – Zaopiekują się mną. I całe szczęście, bo nie ma ze mnie żadnego pożytku!

– Kim są twoi krewni, Melli?

– Moim ojcem jest lord Maybor.

Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem. Jack starał się ukryć zaskoczenie. Domyślał się, że Melli jest córką

szlachcica, nie przyszło mu jednak do głowy, że może pochodzić z aż tak bogatej i wpływowej rodziny. Wiele razy słyszał, jak mówiono, że lord Maybor jest ulubieńcem królowej. Dziewczyna przerwała tok jego myśli.

– Jack, skoro już wyznajemy sobie tajemnice, zdradź mi prawdziwy powód, dla którego ściga cię Baralis. – Ściszyła głos, przemawiając z zimną precyzją. – A może widziałam ten powód dwa dni temu w lesie?

Jack nie potrafił jej nic odpowiedzieć. Jego milczenie zrobiło to za niego. Twarz Melli złagodniała. Dziewczyna zbliżyła się i uklękła przy nim. Ujęła jego dłoń i ucałowała ją.

– Przepraszam. Warczę na ciebie, kiedy nie czujesz się dobrze i potrzebujesz odpoczynku.

Była bardzo piękna. Skórę miała jasną jak wiosenne masło, a włosy ciemne niby zimowa noc. Sam jej widok, dotyk jej dłoni, niemal wystarczały, by wszystko mu wynagrodzić. Wystarczyłyby, gdyby przed chwilą nie dowiedział się, że jest mordercą. Falk miał rację mówiąc, że jego życie nie będzie łatwe.

– Zdenerwowałaś go. Wstydz się, dziewczyno.

Staruszka weszła do izby. Jack zadał sobie pytanie, czy podsłuchiwała pod drzwiami.

– Naprawdę czuję się już dobrze. Wcale mnie nie zdenerwowała. Myślę, że powinienem wstać i rozprostować trochę nogi.

Ścisnął dłoń Melli, po czym wypuścił ją.

– Nie ma mowy. Właśnie wytopiłam trochę świeżego wieprzowego tłuszczu. Trzeba natrzeć ci nim ramię.

– Ja to zrobię – zaoferowała się Melli z szelmowskim uśmieszkiem.

– Nic z tego, dziewczyno. Widziałam, jak rano robiłaś kluski. Wątpię, żebyś potrafiła uśmierzyć ból w jego barku, jeśli nawet nie potrafisz nadać kluskom okrągłego kształtu. – Staruszka zauważyła rumieniec Melli. – Jeśli chcesz zrobić coś użytecznego, obierz te rzepy. Przydadzą się do zupy.

Ściągnęła z Jacka koc i kazała mu się pochylić, po czym zanurzyła ręce w wieprzowym tłuszczu i zaczęła nacierać nim jego bark. Smalec był jeszcze ciepły. Kobieta wcierała go w jego skórę, masując ukryte pod spodem mięśnie.

– To uchroni bark przed zeszywnieniem. Widziałam kiedyś człowieka, któremu rozcięto ramię w bójce w gospodzie. Rana nie była najgorsza. Dużo krwi, ale małe uszkodzenia. Zagoiła się szybko i czysto, prawie bez blizny, ale staw zeszywniał. Nigdy

już nie potrafił go wyprostować. Oczywiście uciekał się do różnych metod, ale było już za późno. Nie powinien był dopuścić do zeszywnienia. – Skończyła robotę. – Gotowe! Na razie chyba wystarczy.

– Dziękuję. – Jack przekonał się, że może ruszać szyją, a bark nie boli go już tak bardzo. – Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

– Nie. chłopcze, nie dziękuj mi. Przyjęłam was tylko ze strachu. – Zauważyła jego zdziwione spojrzenie. – A więc twoja przyjaciółka nic ci nie powiedziała, he? Jestem sama na tym gospodarstwie. Nie mam męża ani syna.

Jack zrozumiał ją natychmiast.

– Boisz się, że wydamy cię władzom?

– Z początku się bałam. Twoja przyjaciółka jest bardzo natarczywa. Teraz już czuję się bezpieczniej. Szczerze mówiąc, cieszę się, że mam kogoś, kim mogę się zaopiekować. Towarzystwo świń bywa czasami trochę nudne. – Uśmiechnęła się, odsłaniając wielkie, lecz równe zęby. Podeszła do ognia i zaczęła mieszać gulasz. – Ich towarzystwo może być nudne, ale ich mięso nigdy się nie nudzi.

Powiedziawszy to, wrzuciła do garnka świńską nóżkę. Melli, która doprowadziła już rzepy do żalostnego stanu, zwróciła się w stronę kobiety.

– Czy wiesz jak daleko jest do Br...

– Do Bresketh – przerwał jej w ostatniej chwili Jack. Postąpiliby zdecydowanie nierozsądnie, zdradzając kobiecie, dokąd się wybierają. Nie chodziło o to, że jej nie ufał. Po prostu obciążyliby ją w ten sposób niepotrzebnym brzemieniem. Gdy tylko Baralis odkryje, że się tu zatrzymali – a Jack nie wątpił, że tak się stanie – wypyta staruszkę. Lepiej, żeby nic nie wiedziała, gdyż w przeciwnym razie wyciągnąłby z przesłuchiwanej wszystko z wielkim uszczerbkiem dla niej.

– Nigdy nie słyszałam o Bresketh. Na pewno nie leży blisko. Zmarszczyła zdziwiona czoło.

– Leży gdzieś na południu – odparła Melli. Jack ucieszył się, że tak szybko się połąpała. Nie było żadnego Bresketh.

– A więc wybieracie się na południe?

– Gdy tylko będziemy w stanie. Nie chcemy być dla ciebie ciężarem dłużej, niż to konieczne.

– To nie obciążenie, chłopcze. Minęło wiele czasu, odkąd ktoś siedział za moim stołem. Zapomniałam już, jaka to radość. Mój mąż zmarł wiele lat temu, a mnie też niewiele pozostało. Miałam dobre życie. Jedzenie, dach nad głową, ciepło. Mimo to zdałam sobie dziś sprawę, że wiele mnie ominęło. Nie miałam dzieci,

przyjaciół ani sąsiadów. Moja sytuacja właściwie uniemożliwiała mi kontakt z ludźmi. Nie, chłopcze, nie jesteście obciążeniem.

Ponownie skierowała uwagę na gulasz.

Jack i Melli wymienili spojrzenia, wzruszeni jej słowami. Chłopak poczuł niemal żal, że nie może tu zostać. Uciekał już od dawna i w przyszłości również nie czekało go wiele spokoju. W kuchni staruszki było ciepło i bezpiecznie. Opuści ją z żalem.

– Jutro musimy ruszyć w drogę – powiedział cichym, delikatnym głosem.

– Zostańcie jeszcze jeden dzień, chłopcze. Dajcie swym ranom czas na zagojenie. Jeśli wyruszyście zbyt wcześnie, mogą się otworzyć i zacząć krwawić. Poza tym, podczas podróży będziecie potrzebować jedzenia i ubrań. Muszę mieć kilka dni na ich przygotowanie.

Kobieta uśmiechnęła się blado. Jack ustąpił.

– Niech będzie. Wyruszymy pojutrze.

Baralis był nieco zaniepokojony. Spodziewał się, że diuk Brenu wyśle już do niego list, choćby tylko po to, by zaprotestować przeciwko zwłoce w ogłoszeniu zaręczyn. Obawiał się, że jego milczenie może oznaczać utratę zapłału. Nie mógłby mieć o to do niego pretensji. Diuk czekał już sześć miesięcy, a nie był najcierpliwszym z ludzi.

Był jednak najambitniejszym. Baralis uśmiechnął się półgębkiem. Diuk Brenu pragnął tego związku równie gorąco, jak on. Nie było lepszego kandydata na męża dla jego córki niż księżę Kylock, dziedzic tronu Czterech Królestw. Pechowy diuk nie miał własnych synów i żywił nadzieję, że mąż córki zastąpi mu syna. Ponieważ nie spłodził męskiego dziedzica, pragnął sojuszu z Czterema Królestwami, który wzmocniłby jego pozycję. Jeśli wyda córkę za potężnego księcia, przeciwnicy będą mniej skorzy rzucić mu wyzwanie. Gdy tylko Catherine da mu wnuka, jego panowanie stanie się niepodważalne. Do tej chwili liczył na



pomoc Czterech Królestw w utrzymaniu władzy.

Wydanie córki za księcia przybliży również czcigodnego diuka do tytułu królewskiego, który był jego obsesją. Pragnął ziemi, ale naprawdę pożądał korony. Och, mógłby ogłosić się królem choćby dzisiaj – nie on pierwszy tak by postąpił – ale naraziłby się na ośmieszenie, gdyby lordowie z Brenu nie poparli jego pretensji. Zdobywał ich wierność przekupstwem, a walutą królów była ziemia.

Pomagał w tym również handel. Szlaki handlowe na pomocnym wschodzie kontrolowali teraz rycerze, a korzyści z tego czerpali Tyren i diuk. Była to wzajemnie korzystna spółka. Diuk pozwalał Tyrenowi zachować praktyczny monopol na pewne towary w zamian za udział w zyskach. Ostatnio jednak coraz częściej przyjmował od Valdis zapłatę w ludziach zamiast w złocie. Rycerzy coraz częściej oglądano na polach bitew Brenu.

W szybkim tempie zbliżała się chwila, w której Baralis stanie się udziałowcem w zyskowych interesach na północnym wschodzie. Królowa przegra zakład i będzie zmuszona zgodzić się na małżeństwo. Nie sądził, by mu się sprzeciwiała. Taki związek przyniesie harvelskiemu dworowi chwałę i zaszczyt, a także – co ważniejsze – zmieni niebezpiecznego

rywala w użytecznego sojusznika. Och, Arinalda z pewnością będzie protestowała na pokaz, choćby dlatego, że śmiertelnie nienawidziła Baralisa i nie będzie jej miło podążyć za jego radą.

Miał jednak w dłoni parę atutów, za pomocą których skłoni ją do zgody. Przeszukał pośpiesznie szufladę biurka. Po chwili znalazł to, czego szukał: portret... miniaturę nie większą niż moneta. Przedstawiała ona młodą dziewczynę o urodzie tak wielkiej, że nawet Baralis nie mógł jej nie podziwiać: bujne, złote loki, najwspanialsze brwi, najgładsze policzki i doskonałe, małe, lecz pełne, różowe wargi. Prawdziwe wcielenie niewinności. Patrzył na podobiznę córki diuka, Catherine.

Wiedział, że gdy tylko królowa spojrzy na portret, jej obiekcje znikną. Ulegnie urokowi dziewczyny. Kogóż nie wzruszyłby widok tak anielskiej twarzy? Królowa może powątpiewać w realizm podobizny, jako że wielu portrecistów zwykło uwydatniać wdzięki swych modelek, Baralis jednak dysponował listem od diuka, który przysięgał na honor, że faktycznie jest to wierny obraz jego córki.

Sam z kolei zamówił portret Kylocka. Malarz pozwolił sobie tylko na jedno odstępstwo od prawdy. Przedstawił na twarzy księcia uśmiech. Sądząc z

następnego listu, który przysłał diuk, Kylock wydał się Catherine bardzo atrakcyjny.

Baralis postanowił, że napisze do Brenu jeszcze dzisiaj, by zapewnić diuka, że zaręczyny zostaną zawarte przed upływem miesiąca. Wręczy pismo szybkiemu jeźdźcowi, lecz i tak miną trzy tygodnie, nim dotrze do adresata.

W dalszych kalkulacjach przeszkodziło mu przybycie Croke'a.

– Czego chcesz, ty ciapowaty durniu?

– Czujesz się już lepiej, panie?

– Szkoda mi czasu na pogawędki z tobą, Croke. Mam na głowie ważniejsze sprawy. Gadaj, o co ci chodzi, i znikaj.

– Byłem w gospodzie w miasteczku, porozmawiać z najemnikami. Powiedzieli, że nim się na coś zgodzą, muszą zobaczyć kolor twoich pieniędzy.

– Tak, tak. Tego właśnie się spodziewałem po takich jak oni. Spotkam się z nimi jutro przy wejściu do schronienia. Przekaż im to.

– Tak jest, panie. Jest jeszcze jedno.

– Co takiego?

– Kazałeś mi dowiedzieć się, z jaką... Przerwał w poszukiwaniu odpowiedniego słowa.

– Z jaką zdzirą sypia teraz Maybor – dokończył za

niego Baralis. – Gadaj.

– No więc, śledziłem go w ogrodach i zobaczyłem, jak rozmawia z pewną damą.

– Znając gust Maybora, jesteś stanowczo zbyt wspaniałomyślny. Croke nie zrozumiał żartu Baralisa.

– No i... – przerwał, by się zastanowić. – Ta dama zgodziła się zaczekać na niego w jego komnatach o zachodzie słońca.

– Dzisiaj? – Croke skinął głową. – Jesteś pewien? – Znowu skinął głową. – Co to za kobieta?

– Nazywa się Lilly. Jest pokojówką lady Hel... Sługa zająknął się na trudnym imieniu.

– Lady Helliarny. Wiem, o kogo ci chodzi. Ta mała dziewczka niejedną raz puszczała do mnie oko.

Baralis wstał z miejsca. Zamyślił się na chwilę. Maybor ośmielił się grozić mu mieczem. Musi dostać nauczkę. Doświadczenie przekonało kanclerza, że najłatwiej trafić się do ludzi przez wzrok.

– Zastanów się dobrze, nim mi odpowiesz, Croke. Czy lord Maybor powiedział, że zaczeka na nią w swych komnatach?

– Nie, panie. Kazał jej zaczekać na siebie.

– Znakomicie. Powiem ci, co masz zrobić. Wiesz, jak dostać się do komnat Maybora tajnym przejściem, prawda?

– Tak, panie.

– Świetnie. Chcę, żebyś już tam był, nim przyjdzie dziewczyna. Upewnij się, że Maybora nie ma...

Tavalisk wyszeptał odpowiednie słowa i wykonał gesty, których od niego oczekiwano. Błogosławił romijskie morze. Rokrocznie przynoszono mu z zatoki misę z morską wodą. Transportowano ją z wielką pompą do arcybiskupiego pałacu celem poświęcenia. W ten sposób wodę przenikał święty duch, który ubogacał ją i uświęcał. Następnie odnoszono misę z powrotem na brzeg, gdzie specjalnie wybrany człowiek wylewał jej zawartość w ciemne odmęty.

Rytuał święcenia wody praktykowano w Romnie od stuleci. Wierzono tu, że pobłogosławiona w ten sposób woda przenika całe morze, przynosząc obfite połowy i pomyślne wiatry. Tavalisk powątpiewał w skuteczność tej ceremonii, lecz jako arcybiskup musiał wykonywać cały szereg religijnych rytuałów, których wymagali od niego mieszkańcy Rornu.

Wiedział, że sprzyja mu szczęście. Odkąd został arcybiskupem, miasto przeżywało okres wielkiego dobrobytu. Różne kłopoty dręczące świat, jak zaraza w Marlsie, czy skażenie wód Silburu, przyniosły mu wręcz korzyść, zwiększając obroty handlowe. Ludziom pragnącym bezpiecznie ulokować

pieniądze radzono, by zainwestowali je w Rornie. Było to najbardziej stabilne i bogate miasto na południu – finansowa przystań dla bogaczy.

Rzecz jasna, Tavaliska, jako arcybiskupa, bardzo chwalono za ową pomyślność. To on święcił wodę i floty handlowe, a także wszystko inne, od lichwiarzy po ludzi zajmujących się patroszeniem ryb.

Lud go uwielbiał. Jego wdzięczność nie miała granic. Spośród obowiązujących w Rornie tradycji Tavalisk najwyżej cenił jedną. Nakazywała ona, by kupiec, sklepikarz lub handlarz, który miał szczególnie dobry rok, oprócz zwyczajowych podatków i opłat przekazywał też hojną darowiznę na rzecz kościoła. Darowizny te nazywano “Sakiewką Arcybiskupa”. Tam właśnie lądowały pochodzące z nich pieniądze. O ironio, choć ludzie nieustannie uskarżali się na podatki, zawsze z radością składali datki na rzecz “Sakiewki Arcybiskupa”. Uważali, że przyniesie im to w następnym roku szczęście i pomyślność w interesach.

Tavalisk skończył święcić wodę i oddalił się, pokłoniwszy się kapłanom. Niecierpliwie pragnął wrócić do swych komnat. Zamierzał spędzić trochę czasu, studiując dokładnie tekst proroctwa Maroda.

Po drodze mijał wysokie korytarze pełne marmurowych rzeźb przedstawiających cherubinki.

Gdy podziwiał ich piękno, usłyszał za sobą odgłos kroków.

– Gamilu, czy nigdzie nie mogę się przed tobą ukryć?

– Przepraszam, że przeszkadzam, Wasza Eminencjo. Gamil musiał się śpieszyć, by dotrzymać kroku arcybiskupowi.

– Jakie wieści mi dzisiaj przynosisz?

– Rycerzom zabroniono wstępu do Marlsu.

– Czy wyrzucają ich już czynnie?

W Rornie zabrano się do usuwania rycerzy z miasta. Każdy, kto poinformował władze o miejscu pobytu kogoś z nich, otrzymywał pięć srebrników nagrody. Wiele osób odniosło obrażenia, gdy jedna połowa miasta próbowała donieść na drugą. Jeden z pomysłów wywoływał uśmiech na twarzy Tavaliska. Pechowych cudzoziemców ogłuszano ciosem w głowę, po czym wypalano im znak Valdis i przekazywano nieszczęśnikom władzom. Pięć srebrników stanowiło potężny bodziec dla pomysłowych obywateli Rornu. Tavaliskowi nie przeszkadzały zbytnio te praktyki. Im więcej wygnanych rycerzy, autentycznych czy nie, tym większy będzie gniew Valdis.

– Nie, Wasza Eminencjo, zabraniają im wstępu, ale nie przystąpili jeszcze do ich wyrzucania.

– A co z Toolay?  
– Jeszcze się waha.  
– Tamtejszym ludziom zawsze brakowało odwagi.  
Czy nadeszły już wieści z Camlee?

– Camlee nie przystąpi do akcji szybko, Wasza Eminencjo. Może nawet wcale. To miasto żyje w cieniu Valdis.

– Nie sądzę, by Valdis rzucało tak długi cień, jak ongiś, Gamilu.

– Masz rację, Wasza Eminencjo. Valdis nie jest już tak potężne, ale postąpilibyśmy nierozsądnie, nie doceniając go.

– Gamilu, nigdy mi się nie zdarza kogoś nie doceniać. Nie musisz mi udzielać lekcji strategii.

Myśli Tavaliska wciąż wracały do proroctwa Maroda. Nie było jasne, jaką rolę w jego spełnieniu mają odegrać rycerze, lecz odnosił coraz silniejsze wrażenie, że wygnanie ich było słusznym posunięciem.

Trzech niebezpiecznych ludzi spoglądało chciwie na ziemię i bogactwa innych. Diuk Brenu rozpaczliwie pragnął powiększyć terytorium swego państwa. Liczba ludności wzrosła dwukrotnie w ciągu dziesięciu lat, potrzebował więc nowej ziemi uprawnej i pastwisk. Sądził też, że jeśli uczyni Bren większym, będzie mógł ogłosić go królestwem. Annis i Highwall, nie



wspominając już o Ness i Czterech Królestwach, obserwowały jego ekspansję z narastającym niepokojem.

Cztery Królestwa nie będą się już musiały martwić długo. Wkrótce zawrą z Brenem ścisły sojusz. Postarał się o to Baralis. On właśnie – syn rolnika z Leiss – był drugim z tych ludzi. Żądza władzy uczyniła go królewskim kanclerzem, ambicja kazała mu sięgać po więcej. Jego bronią były czary i intrygi. Tavalisk zaczynał dopiero orientować się w jego planach.

Na koniec był jeszcze Tyren, wódz rycerzy z Valdis. Jego główną przywarą była chciwość. Był sprytnym paskarzem, który blokował szlaki handlowe na północy, zdobywając jednocześnie przyjaźń wysoko postawionych osób. Mieszkańców miast o chłodniejszym klimacie łatwo było oszukać krótkotrwałą demonstracją pobożności. Na południu taktyka Tyrena okazała się mniej skuteczna. Usiłował zyskać wpływy w handlu cennymi towarami, takimi jak jedwab czy korzenie, spotkał się jednak z oporem. Kupcy z Rornu i Marlsu nie ufali rycerzom. Słyszeli liczne pogłoski o korupcji i intrygach, tak starannie rozpuszczane przez arcybiskupa.

W Znanych Krainach doszło do niebezpiecznej destabilizacji. Nadchodziły kłopoty, a u ich korzeni

leżały handel i ambicja. Albo pieniądze i władza, jeśli jasno nazwać motywy. Tavalisk uśmiechnął się słodko.

– Ach, Gamilu, nie ma nic bardziej ekscytującego niż dreszczyk towarzyszący intrygom.

– Wszyscy wielce podziwiają taktyczne umiejętności Waszej Eminencji.

– W rzeczy samej, Gamilu. Kto wie, może w najbliższych miesiącach przyniosą mi one jeszcze większą sławę?

Nastrój arcybiskupa poprawił się wyraźnie. Z niecierpliwością oczekiwał na chwilę, w której zmierzy swój umysł z ludźmi z północy. Potrafi ich przechytrzyć!

– Są jakieś wieści o naszym rycerzu?

– Opuścił Toolay przed kilkoma dniami, Wasza Eminencjo. Obaj z chłopcem mają teraz wierzchowce. Nadal zmierzają na północ.

– Gdy już przybędzie do Ness, poleć, żeby śledzono go starannie. Niedaleko od tego miasta czai się Bevlin. Jeśli nasz rycerz złoży mu wizytę, chcę się o tym dowiedzieć.

– Jak Wasza Eminencja sobie życzy.

Dotarli do komnat arcybiskupa. Tavalisk uchylił drzwi, lecz nie pozwolił sekretarzowi wejść do środka.

– Możesz już odejść, Gamilu.

– Ależ Wasza Eminencjo, musimy omówić jeszcze wiele spraw.

– Możesz mnie zanudzać innego dnia, Gamilu. Mam zamiar coś zjeść i pragnę zrobić to sam. Jeśli chcesz być mi w czymś pomocny, idź do kaplicy. Chyba zostawiłem tam rękawiczki.

Tavalisk spoglądał w ślad za swym sekretarzem, który ruszył w długą drogę powrotną do kaplicy. Gdy tylko Gamil zniknął, wyciągnął rękawiczki zza pasa i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Tawl ostatnio bardzo wiele myślał o arcybiskupie Rornu. Dlaczego tak potężny człowiek zadał sobie trud, by go więzić i torturować? Co prawda, był rycerzem, ale dlaczego wybór padł na niego? W Rornie przebywało wielu członków jego zakonu: ci, którzy sprawdzali przybywające statki w poszukiwaniu przemyconych towarów, garstka posłów i kurierów oraz kilku, którzy po prostu przejeżdżali przez miasto. Dlaczego uwięził właśnie jego? Nie maczał palców w żadnych politycznych intrygach ani nie był szpiegiem. Z jakiego powodu kazano go śledzić? Tawl westchnął głęboko. I z jakiego powodu nadal go śledzono?

Odkąd opuścił Rorn, wielokrotnie zauważał, że ktoś go obserwuje. Bez względu na to, jak mała była wioska, przez którą przejeżdżali z chłopcem,

wydawało mu się, że wśród miejscowych zawsze jest ktoś, kto notuje fakt ich przybycia. Przez cały okres pobytu w Toolay odnosił silne wrażenie, że ktoś za nim chodzi.

– Powiedz mi, co wiesz o arcybiskupie Rornu – poprosił chłopca.

– Nie ma wątpliwości, że to spryciarz. – Kosiarz wytarł nos dla podkreślenia wagi swych słów. – Oczywiście w mieście go lubią. Wszyscy powiadają, że odkąd sprawuje urząd, Rorn stał się bogatszy niż kiedykolwiek.

– Czym się zajmował, nim został arcybiskupem?

– Sądząc z tego, co mówią, to tajemnica. Najwyraźniej nie osiągnął tej pozycji normalną drogą. No wiesz, przez kapłaństwo i tak dalej. Pewnej nocy pojawił się znikąd i objął władzę. Nie wiem na ten temat zbyt dużo. Ostatecznie to było jeszcze przed moimi czasami. – Chłopiec nakazał kucykowi ominąć stertę kamieni. Jeździł coraz lepiej. – Powiem ci jednak jedno: jest niewiarygodnie bogaty. We dwójkę z jednym kumplem zakradliśmy się kiedyś do jego domu, niedaleko od miejsca, w którym oddałeś pierwszy z tych listów. Pamiętasz?

Tawł skinął głową.

– Chcieliśmy zbadać teren. Nie zawsze byłem

kieszonkowcem. Kiedyś pracowałem dla faceta, który okradał domy. Wchodziłem do środka przed nim, żeby sprawdzić, czy jest tam co zwinąć. Tak czy inaczej, zakradłem się do tego domu. Wyglądał fajnie, ale nic nadzwyczajnego. Kiedy już znalazłem się w środku, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. W pokojach pełno było złota, srebra, diamentów i szmaragdów. Cennych przedmiotów też. Obrazów, rzeźbionych szkatulek, biżuterii, gobelinów, wszystkiego, co tylko mógłbyś sobie wyobrazić. Stosy sięgające krokwi. To był jeden wielki magazyn pełen łupów. Nie muszę ci mówić, że strasznie się podnieciłem. Wymknąłem się na zewnątrz i skinąłem do kumpla głową. Miał już zabrać się do roboty, kiedy przynieśli jakiegoś typka w jednej z tych ozdobnych lektyk. Gdy tylko gość wyszedł na ulicę, połapaliśmy się, że to arcybiskup. Jego tłusty profil łatwo jest rozpoznać. No i wszedł do tego właśnie domu, który chcieliśmy obrobić. Kiedy tylko mój kumpel się zorientował, kogo zamierzał okraść, natychmiast się wycofał. Nikt nie waży się zadzierać z arcybiskupem.

– Myślisz, że całe to bogactwo należało do niego?

– Na pewno nie myślę, że należało do tragarza! – Kosiarz uśmiechnął się z wyższością. – No pewnie, że to były zdobycze arcybiskupa. Zgarnia całą śmietankę

z Rornu jeszcze od czasów przed moim urodzeniem.

– Przecież nie potrzebuje zabezpieczenia na przyszłość. Arcybiskupem zostaje się dożywotnio.

Tawl usiłował przypomnieć sobie, czego się nauczył na lekcjach historii.

– To nigdy nie powstrzymywało ludzi przed pozbywaniem się tych, których przestali lubić. Rornijczycy są znani ze skłonności do przemocy. Nieraz już wypędzali arcybiskupów z miasta. Sporo z nich nawet ścięli.

– Mam wrażenie, że to mściwy człowiek.

Rycerz wspomniał starszka rozgrzebującego nogami piasek. Piasek – w miejscu, gdzie kiedyś było jezioro.

– To czysta prawda, Tawl. Słyszałem, że kazał ubiczować na śmierć jedną ze swych służących razem z całą jej rodziną tylko za to, że kobiecina opowiadała przyjaciółkom, iż arcybiskup to żarłok.

– To znaczy, że potrafi się dowiedzieć, co mówią o nim w mieście?

– Czy nic nie wiesz o Rornie? – Kosiarz cmoknął wzgardliwie. – Aż się tam roi od szpicli Tavaliska. Mówią, że jeśli nie szpiegujesz dla arcybiskupa, to na pewno on szpieguje ciebie.

– Skąd wiesz tak dużo?

– Słucham i się uczę. Ludzie nie zwracają wielkiej uwagi na małego chłopca. Rozmawiają swobodnie, jakby nie było mnie w izbie. – Dzieciak miał lekko urażoną minę. – Chyba nie sądzisz, że jestem szpiclem?

– Ta myśl przemknęła mi przez głowę.

Tawl odwrócił się i spojrział na zachód, by ukryć uśmiech.

– Jeśli uważasz mnie za szpicla, wracam prosto do Rornu. – Kucyk Kosiarza zatrzymał się w daleki od wdzięku sposób. – Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, uratowałem ci życie i zaopatrzyłem w forszę, masz czelność mówić, że jestem szpiclem – powiedział z oburzeniem.

– Nie powiedziałem, że nim jesteś, a tylko, że taka myśl przemknęła mi przez głowę. Skłamałbym, gdybym stwierdził inaczej. Możesz wracać do Rornu albo jechać ze mną. Nie mam czasu na sprzeczki. Spiał konia, zostawiając chłopca z tyłu.

– No dobra, jadę z tobą! – krzyknął po kilku chwilach Kosiarz.

– Zaczekaj na mnie – dorzucił chwilę później.

Pokonali jeszcze kawał drogi, gdy około południa natknęli się na sporą wioskę. Wyglądała dostаточно i sympatycznie, Tawl postanowił więc, że urozmaicą

monotonną dietę złożoną z morskich sucharów i suszonego mięsa, spożywając posiłek w gospodzie.

Była mała, lecz czysta, z klepiskiem wyłożonym świeżym sitowiem. Kilku miejscowych stało w grupie, a jeden człowiek siedział za stołem. Podróżni, wchodząc, zobaczyli młode dziewczynę, która miała już zamiar ich przywitać, gdy powstrzymał ją starszy mężczyzna. Wróciła do kuchni, on zaś podszedł do nich.

– Czego sobie życzycie?

Jego ton nie był nieprzyjazny, a jedynie ostrożny. Nieznajomi z reguły oznaczali kłopoty.

– Wezmę dzbanek *ale* i dwie porcje czegoś do jedzenia.

– Mam pieczony kozi udziec i kozi ser.

Mężczyzna sprawiał wrażenie, że chce sprowokować Tawla do skrytykowania proponowanych dań, spotkało go jednak zaskoczenie.

– To brzmi nieźle. Przynies mnóstwo jednego i drugiego – rzekł rycerz.

Gdy czekali najedzenie i *ale*, człowiek, który siedział sam, zaczął nucić jakąś melodię. Popatrzył w ich stronę. Minęła dłuższa chwila, nim udało mu się skupić spojrzenie mętnych oczu. Gdy oberżysta przyniósł *ale*, nieznajomy rozśpiewał się na dobre.



Głos miał donośny, ale stojący w grupie mężczyźni nawet na niego nie spojrzeli. Tawł szeptem polecił Kosiarzowi nie zwracać nań uwagi, mówiąc, że z pewnością jest pijany. Niestety nieznajomy miał inne plany. Wstał i podszedł chwiejnym krokiem do ich stolika.

Oparł się o blat, nie przestając śpiewać. Oberżysta przyniósł pośpiesznie jedzenie i zapytał szeptem, czy pijak im przeszkadza. Tawł potrząsnął głową. Nie chciał żadnych kłopotów.

Gdy intruz wreszcie umilkł, zatrzymał spojrzenie na dzbanku *ale*.

– Może dasz mi się napić w zamian za następną pieśń? – wymamrotał niewyraźnie.

– Chętnie dam ci się napić, jeśli obiecasz, że przestaniesz śpiewać.

Tawł obrzucił ostrzegawczym spojrzeniem Kosiarza, który zaczął chichotać.

– Przyjacielu, umowa stoi.

Mężczyzna usiadł bez zaproszenia, złapał za kufel i pogрузił się w pijackim oszołomieniu, wpatrując się w *ale*. Tawł i Kosiarz zabrali się do jedzenia, nie interesując się nim.

Kozie mięso było włókniste i trochę za twarde, ale za to ser pyszny: miękki i ostry. Posmarowali nim

ciepły chleb, posypując go gęsto szczypiorkiem. Jedli z zadowoleniem, gdy ich towarzysz ożywił się nagle. Wyciągnął rękę i porwał resztkę pieczonej koziny. Tawl pochwycił go błyskawicznie, nie pozwalając mu zabrać mięsa, i ścisnął nadgarstek, bez zbytnej brutalności. Pijak spojrzał rycerzowi w oczy, skupiając powoli spojrzenie. Wydawało się, że rozpoznał coś w spojrzeniu Tawla, coś, co wywołało w nim gwałtowną reakcję.

Wyrwał się z uścisku i stanął prosto, mrużąc słowa, których Tawl nie potrafił rozpoznać. Próbował się jak najszybciej oddalić, lecz jego pijane ciało nie było w stanie poruszać się sprawnie. Tawl ruszył za nim.

– Zostaw mnie, ty diable! – wrzasnął opętańczo nieznajomy. Stojący w grupie mężczyźni, najwyraźniej przyzwyczajeni do jego pijackiego bełkotu, nie zwrócili na to uwagi.

Tawl złapał go za ramię.

– Dlaczego uciekasz przede mną? – zapytał. Nieznajomy na próżno próbował się wyrwać.

– Zostaw mnie.

W kącikach jego ust pojawiła się plwocina.

– Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego – wymamrotał jak szaleniec, usiłując się uwolnić.

– Dlaczego?

– Larn! Masz w oczach piętno Larnu.

Tawl wypuścił pijaka, który oddalił się chwiejnym krokiem.

Idąc, Melli czuła znajomą bolesność piersi i brzucha, znamionującą zbliżanie się miesiączki. Dziwnie ucieszyło ją to przypomnienie o jej kobiecości. Przyniosło ze sobą tchnienie normalności i ciągłości, których brak w życiu ostatnio odczuwała. Okres wydawał się symbolem nadziei, odnowy i przyszłości. Jego przewidywalny cykl przynosił otuchę.

Było w tym jeszcze coś więcej. Miesiączka przypominała Melli, że nie jest już dzieckiem, lecz kobietą, panią własnego losu. Od chwili opuszczenia zamku mogła sama podejmować decyzje, wybierać drogę i określać tempo marszu.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem w stronę gospodarstwa, otulając się szczelnie kocem. Będzie towarzyszyła Jackowi do Annisu, ale nie dalej. Sama musi kształtować swój los. Zdawała sobie sprawę, że przeznaczenie chłopaka wywiera na nią potężny wpływ i jeśli nie będzie ostrożna, zatraci własną drogę i pochłonie ją życie Jacka.

Niebo przesłaniały niskie, przytłaczające chmury,

nie padał jednak deszcz. Nigdy już nie będzie mogła wrócić do dawnego życia w zamku. Ostatnie tygodnie zmieniły ją pod wieloma względami. Nie była już tą samą dziewczyną, która splatała sobie warkocze, zamartwiając się tym, z którą wstążką będzie jej najbardziej do twarzy. Wycierpiała wiele i ocaliła życie. Nie, nie tylko ocaliła życie, pomyślała. Świetnie dała sobie radę i stała się silna.

Nacisnęła zardzewiałą klamkę i weszła do domu. Staruszka – nie przedstawiła się im, a oni nie pytali jej o imię – opatrywała ranę Jacka, który stał obnażony do pasa. Jego skóra lśniła w blasku ognia. Był silny i przystojny. Melli pomyślała, że on również się zmienił. Przestał być nieobytym chłopakiem, którego spotkała na trakcie przed wieloma tygodniami.

Zadrżała nagle, choć w kuchni było ciepło. Jej skóra stała się zimna, a włoski na ramionach stanęły dęba. Z wielką jasnością zobaczyła, że Jacka oczekuje niespokojna przyszłość. Ujrzała świątynię, miasto i złotowłosego mężczyznę. Wizje otoczyły ją niczym żebracy na targu. Widziała krew, wojnę, śmierć i narodziny. Na moment dostrzegła w węźle nawet samą siebie. Nakazała sobie powrócić do teraźniejszości, pijana mocnym winem losu, lecz zarazem przerażona jego posmakami. Chcąc ukryć zmieszanie, podeszła do

Jacka i zdjęła ze swoich ramion koc.

– Proszę – wyszeptwała, wkładając mu go w ręce. – Okryj się nim.

Zauważył zakłopotane spojrzenie dziewczyny i uściśnął jej dłoń.

– Co się stało, Melli? Czego się boisz?

– Lepiej zapytaj, o kogo się boję.

Odwróciła się szybko, nie chcąc patrzeć w jego piwne oczy. Podeszła do siedzącej przy kominku staruszki, pragnąc ogrzać skostniałe ciało. Kobieta obrzuciła ją bystrym spojrzeniem.

– Czas napić się ziołowej herbaty, moja droga. Musisz się rozgrzać i odświeżyć.

– Nie lubię ziołowej herbaty.

– Potrzebujesz jej dziewczyno – wyjaśniła ściszym głosem staruszka. – Dostałaś miesiączkę. To złagodzi dolegliwości.

– Niech będzie.

Melli poczuła się słabo. Musiała usiąść.

– Weź sobie krzesło, dziewczyno – powiedziała kobieta, po czym zwróciła się w stronę Jacka. – Pora odetchnąć świeżym powietrzem, chłopcze. Nie odchodź daleko.

Jack włożył bluzę i wyszedł z kuchni. Kobieta zajęła się przygotowaniem herbaty.

Kładła na gazie tak wiele rozmaitych ziół, że Melli straciła rachubę. Nazw niektórych dziewczyna nie знаła. Staruszka wprawnymi rękami nacinała je, kroїła czy pozbawiała liści. Upewniwszy się, że wybrała odpowiednie, ujęła gazę za rogi i zawiązała ją kawałkiem sznurka, tworząc woreczek, który następnie wrzuciła do garnka z wrzątkiem. Pozwoliła wodzie gotować się przez jakąś minutę, po czym zdjęła garnek z ognia.

– Musi postać kilka minut, żeby nabrać mocy – wyjaśniła, po czym podeszła do Melli i usiadła obok niej.

– Matka zawsze mi mówiła, że najlepiej snuć opowieści podczas parzenia herbaty.

Wbiła w Melli zdecydowane spojrzenie jasnyniebieskich oczu.

– Nie mam nic do opowiedzenia.

Melli skierowała wzrok na stół. Kobieta najwyraźniej spodziewała się takiej odpowiedzi.

– W takim razie ja ci coś opowiem – stwierdziła po prostu. – Miałam kiedyś siostrę. Och, w ogóle mnie nie przypominała. Była piękna i pogodna. Jej śmiech był najradośniejszym dźwiękiem, jaki można sobie wyobrazić. Zaczęła miesiączkować późno, najpóźniej ze wszystkich dziewczyn w wiosce. Zmieniło ją to.

Stała się zupełnie inną osobą. Była zakłopotana i niespokojna. Odsunęła się od wszystkich, nawet ode mnie, własnej siostry, która ją bardzo kochała. Zaczęły ją dręczyć wizje, przerażające koszmary. Co noc budziła się ze straszliwym krzykiem, bredząc o zagładzie i zniszczeniu. Za dnia wpadała w trans. W jednej chwili zachowywała się normalnie, a w następnej popadała w oszołomienie. Kiedy się ocknęła, potrafiła przewidzieć, co się wydarzy w osadzie. Na przykład, która dziewczyna urodzi dziecko, czyje maciory zapadną na gorączkę albo kiedy mogą spaść deszcze. Przepowiedziała nawet śmierć naszej matki. Biedactwo cierpiało straszne męki. Staraliśmy się ukrywać tę sprawę przed ludźmi, ale wieści wkrótce się rozeszły. Z początku błagali ją przepowiednie, a nawet proponowali jej pieniądze, choć nigdy ich nie przyjęła. Nie trzeba było jednak wiele czasu, by stali się złośliwi. Przyszłość zawsze niesie ze sobą więcej złych niż dobrych wydarzeń ludzie obciążali ją winą. Zaczęli ją prześladować, twierdzić, że jest czarownicą. Pewnego dnia, gdy wracała do domu, grupa mężczyzn z miasteczka napadła na nią i pobiła prawie na śmierć. – Staruszka otarła łzy. – Posiniaczyli i pokiereszowali jej piękną twarz, złamali obie ręce i zebra. Udało jej się jakoś dowlec do gospodarstwa ojca, nie mam pojęcia,

w jaki sposób. Gdy tylko ją zobaczyliśmy, wysłano mnie po znachorkę. Kiedy ją przyprowadziłam, siostra już nie żyła. – Kobieta zaczerpnęła głęboko tchu. Przerwała na dłuższą chwilę, przyglądając się uważnie Melli. – Pewnie się zastanawiasz, co ta opowieść ma wspólnego z tobą?

– Nie wiedziałam, że w ogóle ma ze mną coś wspólnego. Melli pomyślała, że jej głos zabrzmiał trochę zbyt zimno.

– Kiedy znachorka zauważyła, że nie może już w niczym pomóc mojej siostrze, podeszła do mnie, by mnie pocieszyć. Powiedziała, żebym nigdy nie myślała źle o siostrze, bez względu na to, co mówili ludzie. Tłumaczyła, że wszystkie kobiety osiągają podczas miesiączki odrobinę zdolności wieszczenia, niektóre więcej od innych. Moja siostra była skrajnym przypadkiem, ale większość kobiet przeżywa niekiedy podobne doświadczenia. Dla jednych jest to intuicja, dla innych przebłysk przecucia. Owa zdolność najsilniej objawia się z chwilą utraty krwi. To nieodłączny element kobiecości. Nie ma powodu się go obawiać.

Staruszka podniosła się i zaczęła nalewać herbaty, ratując Melli przed koniecznością udzielenia odpowiedzi. Wróciła z zaskakująco wonnym naparem.



– Proszę – powiedziała, wręczając dziewczynie kubek parującego płynu. – Poczujesz się od tego lepiej.

Melli wypila łyczek. Napój był znacznie lepszy, niż się spodziewała.

– Nieźle, co? – zapytała kobieta.

– Bardzo dobre. W ogóle nie przypomina... – miała już zamiar powiedzieć: “herbaty, którą parzą w zamku”, powstrzymała się jednak.

– Dziewczyno, nie powinnaś się niepokoić, jeśli od czasu do czasu nawiedzają cię przeczucia – odezwała się staruszka, by przerwać krępującą ciszę. Melli miała zamiar zaprotestować, lecz kobieta przerwała jej, machając rękami. – Nie, nie zaprzeczaj. Poznałam to po twojej twarzy, kiedy weszłaś do izby. Dostrzegłaś coś w chłopcu. Nie martw się, nie zapytam – co.

Dopiły w milczeniu herbatę. Dziewczyna poczuła się trochę lepiej. Napięcie znikło i odzyskała siłę w nogach. Staruszka uśmiechnęła się, widząc, że Melli wysączyła cały kubek.

– No chodź, dziewczyno – powiedziała. – Jeśli macie jutro ruszyć w drogę, czeka nas mnóstwo szycia i pieczenia.

Maybor był bardzo z siebie zadowolony. Załatwił właśnie dla ślicznej Lilly pozycję garderobianej lady Belyndy. Oczywiście ta stara wiedźma robiła mu

mnóstwo trudności, twierdząc, że jest całkowicie zadowolona ze swej obecnej garderobianej. Maybor nie dał się nabrać. Wiedział, że stare babsko chce tylko wydusić z niego więcej. Stańło na przyzwoitej pensyjce dla wysoko urodzonej, lecz zubożałej damy.

Miał nadzieję, że apetyczna dziewczka doceni, ile dla niej zrobił. Kosztowała go więcej niż obie żony razem. Miał nadzieję, że okaże się tego warta! Była czarująca, taka, jakie lubił – zuchwała spryciara.

Nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Stara lady Belynda nie będzie wyrozumiała panią. Zmieni życie dziewczyny w piekło. Lilly nie będzie paradować po ogrodach, prezentując najpiękniejsze wstążki. Jako służka lady Belyndy, będzie spędzała całe dni w kobiecych pokojach, zajęta haftowaniem. Pomyślał, że taki stan rzeczy będzie mu bardzo na rękę.

Nie był głupi. Wiedział, dlaczego dziewczyna pragnie zostać garderobianą. Chciała paradować w pięknych strojach, dopóki nie przyciągnie spojrzenia jakiegoś pomniejszego szlachcica, który będzie tak głupi lub tak zakochany, że zapomni o prestiżu i poślubi zwykłą służącą. Maybor wiedział, że zdarzają się mężczyźni, którzy żenią się z miłości lub namiętności. Uważał ich za skończonych idiotów. Mężczyzna powinien wstępować w związek małżeński

jedynie dla ziemi lub poprawy pozycji społecznej. Szlachcic poślubiający kobietę z gminu był dla niego godny najwyższej pogardy. Zresztą podstarzała pani szybko położy kres ambicjom małej, chciwej Lilly, pomyślał.

Niemniej jednak, od dawna już żadna kobieta nie kusila go tak mocno. Zawsze najwyżej cenił te dobra, za które najwięcej zapłacił. Przyśpieszył kroku. Zapadł już mrok. Spóźnił się. Będzie czekała na niego. Zatarł ręce, myśląc ojej wdzięczności.

Otworzył drzwi sypialni i wszedł do środka. Dziewczyna już tam była. Wśliznęła się nawet do łóża. Wsunęła się pod kołdry, żeby się ogrzać. Widać było tylko jej głowę.

– Widzę, że nie mogłaś mi się już dłużej opierać.

Zaczął rozwiązywać bluzę. Z początku dziwił się, że Lilly mu nie odpowiada, uznał jednak, iż udaje, że śpi albo się wstydzi. Jak większość mężczyzn, lubił podobne zabawy. Poczul, że jego zainteresowanie narasta.

Zrzucił szatę i bluzę, po czym ściągnął nogawice. Staął nagi i gotowy do akcji. Oczy pokojówki pozostawały uparcie zamknięte.

– Jesteś za skromna, żeby na mnie spojrzeć, co? – Podeszedł do łóża, czując wznoszącą się żądzę. – W

takim razie ja popatrzę na ciebie!

Ściągnął kołdry i zatoczył się do tyłu przerażony. Od szyi w dół dziewczynę obdarto ze skóry. Jej ciało było masą czerwonego mięsa.

– O mój Boże, o mój Boże.

Kolana ugięły się pod wielmożą. Maybor padł na podłogę i zwymiotował. Całym jego ciałem targały spazmy.

Gdy Jack się obudził, ogarnęło go gorące pragnienie wyruszenia w drogę. Melli jeszcze spała, lecz staruszka najwyraźniej wstała już jakiś czas temu, gdyż ogień w piecu palił się jasno, a w garnku gotowała się owsianka. Kobieta uśmiechnęła się na dzień dobry i uniosła palec do ust, nakazując mu zachować milczenie. Chciała, by Melli jeszcze trochę pospała.

Napełniła miskę owsianką, dodając do niej łyżkę wieprzowego tłuszczu. Nim podała chłopakowi naczynie, wsunęła mu w dłoń jakiś przedmiot. Jack spuścił wzrok i zobaczył lśniąca złotą monetę. Natychmiast podszedł do staruszki, by ją zwrócić. Zapewne oznaczała dla niej pięć lat oszczędności. Kobieta potrząsnęła zdecydowanie głową i wcisnęła mu pieniądź z powrotem w rękę. Ponieważ nie mogli się odzywać, Jack nie był w stanie się sprzeciwić ani jej podziękować. Podejrzewał, że tego właśnie chciała.

Podobało mu się blade ciepło, panujące w kuchni

wczesnym rankiem. Płonący jasno ogień i aromat gotującej się w kotle wieprzowiny przypominały mu życie w zamku. Miał ochotę czymś się zająć. Pragnął poczuć pod palcami miękkiego dotyku mąki, a w nozdrzach znajomą woń drożdży. Wstał i zaczął rozglądać się po kuchni w poszukiwaniu potrzebnych składników. Zostawił już za sobą życie w zamku Harvell, pieczenie chleba mogło jednak przynajmniej sprawić, że o nim nie zapomni.

– Co ty wyprawiasz, chłopcze? – wyszeptwała staruszka.

– Pomyślałem sobie, że upiekę parę bochnów chleba. Tylko w ten sposób mogę ci się odwdziżyć.

– Nie mam tu pieca. Noszę ciasto do wioski.

– Ale masz mąkę, drożdże i mnóstwo wieprzowego tłuszczu?

– Mam.

– To zrobię podpłomyki.

Kobieta przyniosła potrzebne składniki. Jack nasypał mąki do miski i postawił ją przy ogniu, by się ogrzała. Następnie zmieszał mleko z wodą, nie dodając drożdży, dopóki płyn nie zrobił się ciepły. Pan Frallit przysięgał, że sekret wypieku dobrych podpłomyków polega na tym, by nie mieszać składników, dopóki nie zrobią się “ciepłe jak krew zmysłowej dziewicy”. Gdy

już dodał jajka i wieprzowy tłuszcz, zostawił ciasto, by urosło. Miną dwie godziny, nim stanie się na tyle lekkie, by utworzyły się w nim niezliczone małe dziurki, nadające podpłomykom niepowtarzalną strukturę.

Dostrzegł ze zdziwieniem, że ma widownię. Melli już nie spała. Przyglądała się mu w milczeniu. Na jej bladej twarzy pojawił się nieznany mu wyraz. Uśmiechnęła się łagodnie. Na krótką chwilę myśli Jacka poszybowały pod samo niebo. Czy coś ich ze sobą łączyło? Gdy wpatrywała się w jego twarz, jej mina była bardzo czuła, a oczy ciemne i pełne wyrazu. Poczul się skrępowany. Ramiona pokrywała mu mąka, a pod paznokciami miał brud. Oparł się pragnieniu, by się otrzepać, przyczesać włosy, odwrócić się do niej plecami. Był piekarczykiem i nie zamierzał udawać nikogo innego. Niech zobaczy go takim, jakim jest naprawdę.

To Melli pierwsza odwróciła wzrok. Wstała z łóżka i nalala sobie kubek maślanki. Gdy odstawiała dzbanek, jej dłoń drżała.

Zdecydowany nie śpieszyć się zbytnio Jack wziął szmatę i zaczął ocierać z palców tłuszcz. Zadał sobie pytanie, co zaszło między nimi wczoraj. Nagle stała się zimna i wystraszona, jak gdyby sięgnęła wzrokiem

poza terażniejszość. Nie chciał myśleć o przyszłości. Ostatnie tygodnie udowodniły mu, że nie jest ona bynajmniej zdeterminowana. W końcu przed niespełna dwoma miesiącami był przekonany, że całe życie będzie piekarzem, a teraz nie wiedział nawet, gdzie spędzi najbliższą noc.

Jako piekarz wiodłby bezpieczne i spokojne życie. Miałby zastawiony stół i ciepłe schronienie. Wiedział już jednak, że pragnie czegoś więcej. Świat zamkowych kuchni wydawał mu się mały i ciasny. Było prawdą, że zmuszono go do ucieczki stamtąd, teraz jednak rozumiał, że dało mu to wolność. Mógł robić to, co chciał, i sam kształtować swą przyszłość. Nie szkodzi, że Melli dostrzegła przed nimi ponure perspektywy. Nic nie było z góry przesądzone. Mógł zmienić bieg wydarzeń.

– Masz, chłopcze. – Staruszka wręczyła mu bluzę i płaszcz. – Przymierz je, nim ciasto wyrośnie. Należały do mojego męża. Niestety był niższy i węższy w barach od ciebie. – Jack wciągnął bluzę. Była trochę za ciasna. – Hmm, gdybyście zostali chociaż jeden dzień, mogłabym ją jeszcze przerobić.

– Będzie w sam raz. Bardzo ci dziękuję za wszystko.

Wytrzymał spojrzenie kobiety. Wiedział, że



obrazilby ją, gdyby wspomniał o monecie, nie zrobił więc tego.

– Teraz kolej na ciebie, moja droga. – Podała Melli grubą wełnianą suknię o pięknej barwie, choć pozbawioną ozdób. – Powinna na ciebie pasować. Przedłużyłam ją.

Melli miała niejakie opory przed zdjęciem sukni. Jack zaproponował więc, że wyjdzie na chwilę, by mogła się przebrać.

Ranek był pogodny, choć zimny. Nie zanosilo się na deszcz. Znakomity dzień na wędrówkę. Chłopak ruszył prowadzącą do traktu ścieżką, po czym popatrzył na wschód. Halcus, Annis, Bren – wszystkie one leżały przed nim. Wspaniałe miejsca, obiecujące nowe możliwości. Tak gorąco pragnął wyjść na spotkanie przyszłości, że miał niemal ochotę wyruszyć natychmiast. Chciał uwolnić się od strachu, przestać uciekać, móc spokojnie wędrować bez potrzeby oglądania się za siebie.

Nagle przed oczyma błysnął mu obraz przerażonych, strącanych z koni najemników. Było to ostrzeżenie. Oto do jakich rzeczy był zdolny. Jego nieprzewidywalność czyniła go groźnym dla wszystkich wokół. Zadrzał mimo woli. Optymistyczny nastrój opuścił go natychmiast. Ruszył z powrotem ku

domowi, czując potrzebę towarzystwa.

Gdy wszedł przez niskie drzwi, pochylając głowę, ujrzał piękny widok. Melli włożyła ciemnoniebieską suknię, której kolor pasował do jej oczu i harmonizował z ciemnymi włosami. To córka lorda Maybora, pomyślał Jack. Jak mógł choć przez chwilę sądzić, że tak wysoko urodzona i dumna dziewczyna mogłaby być nim zainteresowana?

– Przyszedłeś akurat na gorące podpłomyki! – krzyknęła staruszka. Rzuciła ciasto na kamień do pieczenia. Pieczywo było już prawie gotowe.

– Daj spokój, chłopcze – powiedziała, zauważywszy spojrzenie Jacka. – Jestem za stara, żeby czekać pół ranka na kilka dodatkowych dziur. – Jej oczy błysnęły radośnie. – Poza tym, niedługo ruszacie w drogę i nie chcę, żebyś spędził ostatnią godzinę u mnie na pieczeniu zamiast na odpoczynku. – Ułożyła okrągłe podpłomyki na tacy. – Najedzcie się. Czekawaś cały dzień drogi, a pełny żołądek jest najlepszym przyjacielem wędrowca.

Jack i Melli zasiedli za stołem i zaczęli napychać się gorącym pieczywem, pokrytym grubą warstwą masła i sera. Gdy jedli, kobieta zaczęła przygotowywać im tobołki na drogę.

– Jack – powiedziała. – Zauważyłam, że nie masz

broni. – Zdał sobie sprawę, że musiał gdzieś po drodze zgubić miecz. – Wszyscy wiemy, że na trakcie czyha wiele niebezpieczeństw. Dlatego chciałabym, żebyś to sobie wziął. – Wręczyła mu długi majcher o groźnym wyglądzie. – Podrzynałam nim świńskie gardła.

– A jak będziesz bić świnię bez niego? – zapytał chłopak, popijając ostatnie kęsy kuflem *ale*.

– Będę musiała walić je pałą. – Uśmiechnęła się radośnie. Jack nie potrafił odgadnąć, czy mówi prawdę. Wskazała dwa leżące na stole pakunki. – W tych tobołkach znajdziecie twarde ser i tyle solonej wieprzowiny, ile tylko zdołacie unieść. Dodałam też kilka innych rzeczy, które mogą wam się przydać.

Jack podźwignął oba tobołki. Były zaskakująco ciężkie.

– Jesteś dla nas bardzo hojna.

– Tak – wtrąciła Melli. – Mamy wobec ciebie wielki dług. Jak moglibyśmy ci podziękować?

Kobieta zmarszczyła twarz, usiłując powstrzymać się od płaczu.

– To ja jestem wam winna wdzięczność. Przynieśliście mi radość. – Otworzyła drzwi.

– Muszę cię przed czymś ostrzec... – Jack chciał jej powiedzieć, by miała się na baczności przed szukającymi ich ludźmi, przerwała mu jednak.

– Nic nie mów, chłopcze. Już bardzo długo udaje mi się oszukiwać świat i zdobyłam w tej materii pewne umiejętności.

Powiedziała mu, na swój sposób, że skłamię, by ich ochronić. Jack podszedł do niej i pocałował ją w policzek.

– Zawsze będę pamiętał o twej dobroci.

Zwrócił się w stronę Melli, która była bliska łez, i skinął na nią. Oddalili się razem od domu i ruszyli traktem.

– Tawł, dobrze się czujesz? – Rycerz obrzucił chłopaka ostrzegawczym spojrzeniem, lecz Kosiarz nie zwrócił na to uwagi. – Chodzi mi o to, że odkąd wczoraj opuściliśmy tę gospodę, zachowujesz się dziwnie. – Chłopak czekał na odpowiedź. – Nie powinienes się przejmować szalonym bredzeniem starego pijaka – ciągnął, nie otrzymawszy jej. – Nie wiedział, o czym gada.

– Co to jest Larn? – dodał po chwili wahania.

– Psst, chłopcze.

Zmierzali ku stokom wysokich, srebrzystych turni. Droga wśród podgórze była zdradziecka. Luźne kamienie i osypująca się gleba stanowiły nieustanne zagrożenie. Skaliste zbocza były idealnym terenem dla kucyka Kosiarza, ale dla kłaczy okazały się

prawdziwym wyzwaniem. Tawl musiał starannie wybierać drogę, by jego wierzchowiec nie potknął się i nie stracił równowagi. Kucyk radził sobie sam. Ponadto, gdy zrobiło się zimniej, jego nastrój wyraźnie się poprawił.

Tawl wiedział, że postępuje niesprawiedliwie, nie odpowiadając na pytanie chłopca, nie potrafił jednak zapomnieć słów nieznanego. “Masz w oczach piętno Larnu”. Nie było to tylko bredzenie szaleńca. Pijak odgadł, że był na tej przeklętej wyspie. Jaka tajemnica się za tym kryła? Dlaczego został w jakiś sposób napiętnowany?

Spoglądając na kręgi, które miał na przedramieniu, oraz przekreślając je bliznę, pomyślał, że nosi teraz trzy piętna. Jedno symbolizowało Valdis, drugie jego rodzinę, trzecie zaś Larn. Dwóch pierwszych nigdy się nie pozbędzie. Jedno mówiło kim jest, a drugie, co uczynił. Obie te sprawy były związane ze sobą tak ściśle, jak jasnowidze ze swymi kamieniami. Nie można ich było od siebie oddzielić. Były jego losem i jego przeszłością.

Teraz wyglądało na to, że nosi jeszcze trzecie piętno. Jakie było jego znaczenie? Czy Larn zmienił go w jakiś sposób? “Strzeż się ceny” – ostrzegł go Stary. Być może na wyspie pobrano od niego zapłatę, o której

nic nie wiedział. Czuł się tak samo, jak zawsze. Zdrowie mu dopisywało, choć nastrój miał paskudny. Może w jego oczach widziało się odbicie udręki jasnowidzów. Ich cierpienia z pewnością zostawiły ślad w jego duszy. Im więcej na ten temat myślał, tym goręcej pragnął się zobaczyć z Bevlinem. Mędrzec potrafi mu pomóc. Będzie znał odpowiedzi.

Popędził konia, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w Ness. Od miasta mógł go dzielić jeden, najwyżej dwa dni drogi. Po kilku dobach znajdzie się u Bevlina.

– Tawl! – Okrzyk chłopca wyrwał go z zamyślenia.  
– Jedziesz za szybko. Twoja klacz nie jest przyzwyczajona do wysokości.

– Nie ucz mnie jeździć, malcze. Nie miał zamiaru przemówić tak ostro.

– Co się z tobą dzieje?

W głosie chłopaka pobrzmiwał strach. Tawl pożałował swego wybuchu.

– Nie przejmuj się mną, Kosiarzu. Mój gniew nic nie znaczy. Mam ostatnio wiele spraw na głowie. – Zwolnił tempo. – A może byśmy się tak zatrzymali na południowy posiłek? Widzę z przodu trochę trawy. Konie będą miały co sobie poskubać.

Zobaczył, że na twarzy Kosiarza odmalowała się ulga. Ucieszył się, że sprawił mu radość.

– Zostało mi z wczoraj jeszcze trochę pieczonej koziny i krążek sera – oznajmił ulicznik, pragnąc ucieszyć towarzysza.

– To brzmi nieźle – odparł Tawl, starając się okazać dobry humor. – Ja wolę ser. Ty możesz zjeść mięso.

– Za późno – powiedział chłopak, wpychając do ust ostatni kawałek koziego sera.

– Nigdy mi nie opowiadałeś o swym życiu w Rornie, Kosiarzu. Tawl zadowolił się kawałkiem pieczonej koziny. Całodniowa wędrówka w plecaku chłopca nie poprawiła zbyt jej smaku.

– A czego chciałbyś się dowiedzieć? Kosiarz beknął głośno.

– No, na przykład, dlaczego wylądowałeś na ulicy?

– To proste, Tawl. To jedyne miejsce, gdzie przedsiębiorczy chłopak bez zawodu i wykształcenia może zarobić na utrzymanie. Zacząłem jako popychadło.

– A co to takiego?

Tawl wyciągnął się na trawie, owijając się płaszczem. Zaczynało robić się chłodniej.

– Czy na bagnach nie uczą was niczego poza cięciem torfu! Popychadło to chłopak, który pracuje

dla poborcy. Poborca to facet ściąający haracz dla Starego – wyjaśnił na widok zdziwionej miny Tawla. – O Starym to chyba słyszałeś?

– I co robiłeś dla tego poborcy?

– No wiesz... pobierałem opłaty, załatwiałem sprawunki, doręczałem listy, sypałem trociny na krew... takie tam rzeczy. Oczywiście byłem jeszcze mały i nie płacili mi dużo, więc znalazłem sobie inne, lepsze zajęcie.

– A jakie?

Tawl zastanawiał się. czy uwaga na temat krwi była żartem. Chłopiec wypowiedział ją tak rzeczowym tonem, że rycerz wątpił, by miał to być dowcip.

– Stałem na cynku. i to nie dla byle kogo. Pracowałem dla największego złodzieja, jakiego znał Rorn.

Dzieciak popatrzył na niego wyczekująco.

– A kto to był? – zadał oczekiwane pytanie Tawl. Kosiarz popukał się palcem w bok nosa.

– Nie mogę ci zdradzić jego imienia, przyjacielu. Jest największy dlatego, że jego jednego nigdy nie złapano. Kazał mi przysiąc, że zachowam tajemnicę. Zagroził, że jeśli kiedykolwiek wypowiem jego imię, natychmiast złapię trypra. Nauczył mnie wszystkiego, co umiem. Zawdzięczam mu też swoje imię.



Powiedział, że mam wielki talent i muszę się odpowiednio nazywać. Wybrał mi imię Kosiarz i od owej chwili go używam. – W głosie chłopca brzmiała wielka duma. – Był człowiekiem honoru i zręcznym złodziejem.

– To dlaczego zostałeś kieszonkowcem?

– Na cynku nie zarabia się zbyt wiele. Och. zdobywa się prestiż, ale z forszą marnie. Jeden dobry kumpel poradził mi, żebym popróbował sił jako kieszonkowiec. Nigdy tego nie żałowałem. – Kosiarz rozłożył się na trawie i dał do zrozumienia, że to już koniec opowieści. Zamknął oczy i ułożył się do drzemki.

Tawl zadał sobie pytanie, jak wiele szczegółów ulicznik pomiął. Nie wątpił w jego słowa, miał jednak wrażenie, że o pewnych sprawach nie wspomniał. Dobrze rozumiał potrzebę zachowania dyskrecji, nie zadawał więc już więcej pytań i pozwolił chłopakowi spać.

Maybor spędził noc w sypialni córki. Nieraz już oglądał krew na polu bitwy. Widywał ucinane kończyny, czy żołnierzy rąbanych na kawałki, lecz widoku tej dziewczyny w swym łożu nie był w stanie wytrzymać. Wezwał sługę, Crandle'a, który ubrał go i wprowadził z komnaty, nim usunięto ciało.

Maybor przekonał się, że nie może znieść myśli o spaniu w tym samym łóżu, w którym leżała obdarta ze skóry ofiara. Udał się do komnaty Melliandry, by zaczekać tam na Królewską Straż, która miała go przesłuchać. Kapitan wkrótce się zjawił. Okazał się przewidujący i przyniósł ze sobą dzban wzmocnionego wina. Maybor oczywiście nie był podejrzany. Był wielkim panem, a dziewczyna tylko zwykłą służącą.

Wiedział, kto i dlaczego popełnił tę zbrodnię, nie wspominał jednak o tym kapitanowi. Ludzi z gminu nie wtajemniczano w konflikty między szlachetnie urodzonymi. Maybor nie miał zamiaru łamać tej niepisanej zasady. To była sprawa między nim a Baralisem.

Królewski kanclerz był dumnym człowiekiem, a dumni ludzie nie lubią okazywać słabości. Baralis wzdrygnął się, gdy zagroził mu mieczem. Pokojówka Lilly zapłaciła życiem za to wzdrygnięcie. Maybor przeklął sam siebie. Powinien był go zarżnąć, kiedy miał okazję.

Czuł się zmęczony. Nie był w stanie zasnąć, ale chodziło też o coś więcej. Dokuczyły mu ciągle porażki w rozgrywce z Baralisem oraz poszukiwania własnej córki. Przesunął palcami po siwiejących włosach, zastanawiając się, jak powinien skontrolować

ostatnie posunięcie królewskiego kanclerza. Jego uczynek był przerażający. Oczywiście nie zrobił tego sam. To nie było w jego stylu, by osobiście plamić ręce krwią. Na pewno zlecił robotę swemu idiocie, Croke'owi.

Maybor odnosił wrażenie, że Baralis ostatnio jest wszędzie. Knuł i spiskował, jedną ręką sabotował jego plany, a drugą próbował go otruć. Usiadł na łożu i zamyślił się głęboko. Musi okazać większą roztropność, dorównać Baralisowi sprytem i inteligencją. Inaczej nie uda mu się zwyciężyć. Królewski kanclerz lubował się w intrygach i fałszu. Czas, by on, Maybor, również spróbował takich metod. Wykrzywił wargi w ponurym, bladym uśmiechu. Pokona mistrza w jego własnej grze.

– Panie.

Obecność sługi zaskoczyła Maybora.

– Słucham, Crandle, o co chodzi? Westchnął ciężko.

– Królowa nakazuje, byś stawił się w komnacie audiencyjnej.

– Chce się ze mną zobaczyć już teraz? – Sługa skinął głową. – Leć szybko do moich komnat po tę nową, czerwono-złotą szatę. Migiem!

Maybor popatrzył w ślad za biegnącym sługą, po

czym podszedł do zwierciadła, by przyglądać włosy i wyczyścić zęby suchą szmatką.

Po kilku minutach zjawił się Crandle z szatą. Zaczął ubierać swego pana. Przyniósł też wonne olejki, którymi nasmarował mu włosy, oraz gałązkę rozmarynu, by poprawić woń jego oddechu. Gdy tylko Maybor uznał, że wygląda zadowolająco, opuścił sypialnię córki i ruszył na spotkanie z królową.

Przeszedł przez fraucymer, po czym wyszedł na dziedziniec, dzielący męskie komnaty od kobiecych. W oddali dostrzegł znajomą postać. Był to jego syn, Kedrac. Maybor był pewien, że chce mu on służyć pomocą w zemstce na tym, co zdarzyło się w nocy. Gdy jednak chłopak się zbliżył, zobaczył jego złowrogą minę. Uznał, że nie ma teraz czasu na kłótnie z synem i ruszył pośpiesznie w stronę komnat królowej.

– Ojczy! – Ochryply krzyk sprawił, że Maybor stanął jak wryty. Kedrac dogonił go szybko. – Cóż to ojczy, uciekasz przed własnym synem? – zapytał zimnym, szyderycznym głosem.

– Kedracu, idę na audiencję u królowej. Porozmawiam z tobą później.

– Porozmawiamy teraz, ojczy – syknął Kedrac. – Dziewczyną, którą znalezione obdarta ze skóry w

twojej sypialni, była pokojówka, Lilly. – Maybor nie odpowiedział. – Czy to prawda, ojczu?

– Tak, tak, to była pokojówka Lilly. Nie przywiązujesz chyba do tego znaczenia, synu? Była zwykłą ładacznicą. Nie ma o co się gniewać.

– Och, nie gniewam się o dziewczynę. Masz rację, że była ładacznicą. Nie, nie gniewam się o dziewczynę... Gniewam się na ciebie, ojczu. – Głos Kedraca ociekał wzdargą. – Żeby ukraść dziewczę z mojego łóżka. Czy aż tak ci trudno znaleźć kobietę, czy też chcesz czegoś dowieść?

Maybor spoliczkował go.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić?

Kedrac uśmiechnął się w odbierający odwagę sposób. Dotknął policzka, na którym pozostał ślad dłoni Maybora. Stał przez chwilę, spoglądając ojcu w oczy, po czym odwrócił się i oddalił wściekły.

Maybor wydał z siebie westchnienie ulgi. Kedrac był zbyt uparty i dumny. Było poważnym błędem pozwolić, by kobieta, zwłaszcza zwykła służka, stanęła między mężczyznami. Musiał jednak przyznać, że spoliczkowanie syna sprawiło mu przyjemność. Chłopak wróci do siebie. Uraził tylko jego dumę, nic więcej. Ruszył pośpiesznie w drogę. Nie mógł kazać królowej czekać dłużej.

– Proszę – rozległ się głos Arinaldy. Maybor wszedł do urządzonej z przepychem komnaty i pokłonił się nisko.

– Życzę Waszej Wysokości radości w tym dniu.

– Ach, lord Maybor. – Królowa podeszła go przywitać, uśmiechając się ciepło i wyciągając rękę. Wielmoża ujął ją i uniósł do ust. – Przeżyłam wielki wstrząs na wieść o znalezionej w twojej komnacie dziewczynie. – Obrzuciła go pytającym spojrzeniem. – Powiedz mi, lordzie Mayborze, czy domyślasz się, kto może być odpowiedzialny za ten... nieludzki czyn?

– Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, kto mógłby być zdolny do czegoś takiego, Wasza Wysokość.

Maybor podejrzewał, iż królowa wie, że za tym incydem kryje się coś więcej.

– To z pewnością tragiczne. Poinformowano mnie, że nie spędziłeś nocy w swych komnatach.

Napełniła winem dwa puchary i skinieniem poleciła gościowi usiąść.

– Spałem... gdzie indziej.

Uznał, że lepiej zrobi, nie wymieniając w tej chwili imienia córki.

– Tak, rozumiem, dlaczego wolałeś nie kłaść się we własnym łóżku. – Podała mu kielich. – Dlatego właśnie postanowiłam dać ci prezent.

– Prezent, Wasza Wysokość? – Nigdy jeszcze nie widział królowej w tak łaskawym nastroju. Sama naląła mu wina, a teraz chciała dać mu prezent. Ogarnął go lekki niepokój. Arinalda na ogół nie bywała tak gościnna. Czyżby miała dla niego złe wieści?

– Kazałam, by to łoże zabrano z twych komnat i spalono. Na jego miejsce podaruję ci nowe. To wspaniały mebel, wykonany przez znakomitych rzemieślników przed z górą dwoma wiekami. Był prezentem ślubnym dla mojego męża i dla mnie od miasta Isro.

– Wasza Wysokość, jestem zaszczycony twą hojnością. Wiedział, o które łoże chodzi. Było warte fortunę, inkrustowane złotem i szlachetnymi kamieniami, wykonane z najdroższych gatunków ciemnego drewna. Jego podejrzenia nasiliły się jeszcze. Dlaczego królowa obdarowała go tak kosztownym prezentem?

– Będiesz w nim spał jeszcze dziś w nocy, lordzie Mayborze. Uniosła rękę w bezgłośnym toaście. Gdy pociągnęła łyk z kielicha, jej twarz zmieniła nieco wyraz. Arinalda wstała z miejsca, przeszła na drugą stronę komnaty i stanęła przy oknie. Przez kilka minut wyglądała na dziedziniec.

– Lordzie Mayborze, obawiam się, że mam dla ciebie złe wieści

– odezwała się wreszcie. Nie odwróciła się, by spojrzeć na niego.

– Nie mogę już dłużej kontynuować poszukiwań twojej córki. Potrzebuję Królewskiej Straży do innych zadań.

– Rozumiem, Wasza Wysokość.

Maybor pojął, że łoże i życzliwe przyjęcie stanowią akt skruchy.

– Musisz też zdać sobie sprawę, iż nie możemy już liczyć na to, że ją odnajdziemy. Straż szuka jej od niemal miesiąca. Jutro odwołam poszukiwania. – Wreszcie zwróciła się w jego stronę. – Mayborze, nawet gdyby Melliandra się teraz znalazła, nie mogłabym zaaprobować tych zaręczyn. Dziewczyna, którą poślubi mój syn, musi być bez zarzutu. Nie możemy wiedzieć, przez co przeszła twoja córka i z kim się stykała. Kobieta, która przejmie po mnie tytuł królowej, musi być nieskazitelna. – Pochyliła głowę. – Przykro mi, lordzie Mayborze, ale podjęłam już decyzję.

– Wedle życzenia Waszej Wysokości – odparł spokojnym głosem. – Czy wolno mi zapytać, kto ma zastąpić moją córkę?



– Kiedy znajdzie się odpowiednia dziewczyna, będziesz pierwszym, który się o tym dowie. – W jej głosie brzmiał nerwowy ton, którego źródeł grubas nie rozumiał. – Lordzie Mayborze, mam nadzieję, że nie muszę ci mówić, jak wysoko cenię twą niezachwianą wierność i poparcie.

Zbliżyła się do błagania tak bardzo, jak tylko mogła. Prosiła go, by zaakceptował jej decyzję i nadal pozostał jej wierny. Potrzebowała jego poparcia, by zachować swą pozycję. Nie zamierzał składać jej żadnych obietnic. Oboje wiedzieli, że jego lojalność jest warta więcej niż wysadzone klejnotami łoże.

– Wiem dobrze, jak bardzo Wasza Wysokość potrzebuje mej wierności. – Przerwał na chwilę, by jasno zrozumiała sens jego słów. – Zapewniam, że nie podejmę żadnych pochopnych kroków.

– Pokłonił się nisko, z cichym szelestem jedwabnej szaty. – Jeśli Wasza Wysokość pozwoli, oddalę się już.

Idąc ku drzwiom, obejrzał się ukradkiem na królową. Sprawiała wrażenie autentycznie zmartwionej.

Baralis szedł na spotkanie z nowymi najemnikami. Crope umówił go z nimi w pobliżu schronienia. Z pierwszej grupy jeszcze tylko trzech było zdolnych do służby. Jedynym, który nie odniósł żadnych obrażeń,

był ich herszt, Traff. Kanclerz wiedział, jak bardzo ów człowiek go nienawidzi i pragnie się od niego uwolnić, nie miał jednak zamiaru spuścić go z haczyka. Mógł liczyć na zwolnienie ze służby jedynie przez śmierć.

Baralis był w bardzo wesołym nastroju. Incydent z Mayborem i pokojówką okazał się sukcesem. Mówił o nim cały zamek. Fakt, że dziewczyna sypiała również z synem wielmoży, okazał się dodatkową, nieoczekiwaną korzyścią. Z pewnością wywoła to napięcia między ojcem a synem. Być może nawet będzie mógł w pewnej chwili porozmawiać z Kedracem – nie zuchwałego, tylko subtelna propozycja. Skrzywdzony syn mógłby okazać się cennym sojusznikiem przeciw ojcu. Poczeka i zobaczy. Sam nie miał rodziny, trudno więc było mu ocenić siłę rodzinnej lojalności.

Było mu niemal żal Maybora. Z pewnością przeżył potężny szok, gdy znalazł dziewczynę w łożu, a jeśli Baralis się nie mylił, spotkał go dzisiaj też drugi cios. Kanclerz wiedział, że królowa wezwała grubasa na audiencję i żywił mocne podejrzenia, iż poinformowała go o odwołaniu zaręczyn. Ostatecznie czas już mijał. Dwa dni. Tyle tylko jej zostało. Gdyby nawet znaleźli teraz tę całą dziewczynę, zapewne nie zdołaliby sprowadzić jej do zamku na czas.

Biedny Maybor! Po prostu nic mu się nie układało! Baralis potrząsnął głową, udając współczucie. Stracił córkę, kochankę, szansę wpływu na przyszłego króla, a może nawet wierność pierworodnego syna. Będzie go trzeba uważnie obserwować. Maybor był człowiekiem ceniącym zemstę równie wysoko, jak sam Baralis. Z pewnością spróbuje dokonać jakiegoś odwetu.

Realizacja planów kanclerza była kwestią najbliższych dni. Królowa – choć niechętnie – wezwie go przed swe oblicze. Mieli coś do załatwienia. Przegrała zakład i musi zapłacić umówioną cenę. Wiedział, że postawił ją w trudnej sytuacji. Była zmuszona złamać słowo dane Mayborowi, człowiekowi, którego lojalności potrzebowała, by utrzymać w ryzach pomniejszych wielmożów. Ponadto Mayborłożył wielkie sumy w złocie na rzecz wojny z Halcusami, nie wspominając już o tym, że ginęli w niej jego ludzie i niszczone jego ziemie.

Królowa zapewne lękała się w obecnej chwili o to, w jaki sposób zdoła spłacić dług, nie tracąc jednocześnie wierności Maybora. Baralis ani przez chwilę nie wątpił w to, że Arinalda potrafi tego dokonać. Nie była nowicjuską w sztuce kierowania państwem. W gruncie rzeczy, radziła sobie z politycznymi intrygami znacznie lepiej niż jej biedny,

chory mąż.

Na wszelki wypadek udał się do schronienia przez las. Nie chciał, by najemnicy, z którymi miał się spotkać, dowiedzieli się o jego kryjówce, nim znajdą się u niego w kieszeni. Zobaczył ich z daleka. Wiedział, że będą go wypatrywać. Tak jak większość ludzi przejeżdżających przez Harvell. z pewnością słyszeli różne opowieści na jego temat. Na pewno bali się teraz trochę, onieśmieleni widokiem nadchodzącej postaci w czarnych szatach.

– Dzień dobry panom.

Mówił cicho. Niech wyteżają słuch!

– Ty jesteś lordem Baralidem? – zapytał jeden z nich.

– Ja.

Spojrzał po kolei w oczy wszystkim zebranym.

– Chcesz wynająć paru ludzi?

W głosie mężczyzny słychać było pewność siebie.

– Jestem gotów dobrze zapłacić.

Wyraz chciwości na ich twarzach łatwo było rozpoznać.

– Słyszałem, że tych, których wynająłeś poprzednio, zabito w lesie.

Chciał podnieść cenę.

– Byli nieostrożni. Nie doszłoby do tego, gdyby

mieli lepszego dowódcę.

Baralis obrzucił herszta chłodnym spojrzeniem.

– Czego od nas żądasz?

– Na początek chcę, byście wytropili i znaleźli dwoje ludzi. Potem będę wymagał innych usług.

– Ile?

– Po pięć sztuk złota dla każdego.

– Zgoda! – krzyknął herszt. Baralis pomyślał, że ma do czynienia z głupcem. Traff potrafił wytargować osiem.

– Proszę. – Rzucił mu sakiewkę. – Zaczynacie od dzisiaj.

– Będzie nam potrzebny opis tych dwojga.

– Są młodzi. Dziewczyna ma długie, ciemne włosy i jasną skórę. Chłopak jest wysoki, a włosy ma brązowe. Będą wędrować na piechotę. Sądzę, że udadzą się na wschód. Znajdziecie ich trop na południe od zamku, w pobliżu starego domku myśliwskiego. Jeśli nie dopadniecie ich w ciągu tygodnia, zgłoście się do mnie.

Zaczął się oddalać, lecz nagle o czymś sobie przypomniał.

– Nie zbliżajcie się do chłopaka bez osłony. Trzeba go zaskoczyć, najlepiej podczas snu.

– Znajdziemy ich i sprowadzimy do zamku.

– Nie, nie chcę, żebyście ich sprowadzali –  
wyszeptał Baralis. – Zabijcie ich i pogrzebcie ciała.

Ness leżało u stóp malowniczych, wyraziście ukształtowanych wzgórz. Tło dla niego stanowiły blade górskie szczyty, niemal nie różniące się barwą od srebrzystoszarego nieba. Otaczające miasto wzniesienia pokrywała mozaika zaoranych pól, łąk i sadów. Ness żyło z rolnictwa.

Gdy Tawl i Kosiarz przybyli na miejsce, nad miastem wstawał późny świt. Widoczne na wschodzie góry zazdrośnie zasłaniały promienie słońca i dzień zawsze przybywał do Ness później niż gdzie indziej.

Miasto było stare i naznaczone zębem czasu, a budynki solidne i pozbawione ozdób, zaprojektowane dla wygody, nie na pokaz. Przejeżdżając przez miasto, dwójka towarzyszy mijala niezliczonych rzemieślników: garbarzy, rzeźników, kołodziejów. Główne źródło utrzymania stanowiły tu owce. Każdej wiosny strzyżono je, z ich mleka robiono sery, zabijano je na mięso, z wygarbowanych skór sporządzano pergamin, a odchody wykorzystywano

jako nawóz pod wiosenne zasiewy.

Miasto słynęło z produkowanej tu wełny. Kobiety z Ness zręcznie radziły sobie z kołowrotkiem, a produkowana przez nie przędza była miękka i delikatna. Farbiarze potrafili uzyskać niezwykle piękne kolory, zwłaszcza czerwień. Płaszczki i kurtki mężczyzn miały tu jaskrawe, szkarłatne lub karmazynowe odcienie. Kobietom nie zezwalamo odziewać się w równie żywe barwy. Mogły nosić jedynie pastelowe – brązowe lub niebieskie – suknie. Tawł zauważył jednak jedną czy dwie w jaskrawych strojach. Odbijały się wyraźnie od tłumu. Ich krzykliwe szaty wskazywały dobitnie na rodzaj świadczonych przez nie usług.

Powietrze było rześkie, lecz tchnęło mrozem. Tawł zdał sobie sprawę, że będą musieli kupić grubsze ubrania. Byli już na północy. Uśmiechnął się na widok straganów pokrytych wysokimi stosami baranich skór i sztuk wełny. Jeśli chciał nabyć ciepłe ubrania, z pewnością trafił w odpowiednie miejsce.

Cały czas miał oko na chłopca. Nie zamierzał mu pozwolić na próby organizowania funduszy w tym mieście. Gdy łazili po rynku, niejedną raz musiał mocno złapać chłopaka za bluzę. Kiedy tylko Kosiarz zobaczył tęgiego kupca lub bogato odzianą kobietę,



natychmiast zaczął wędrować w ich kierunku.

– To tylko drobna kradzież. Dla nich żadna strata. – Wytrzeł nos w rękaw. Nie był przyzwyczajony do zimniejszego klimatu północy i przeziębził się.

– Nie. Nie pozwolę, żebyś narobił nam obu kłopotów.

– Musimy kupić parę rzeczy, prawda? Po tym, jak zapłaciłeś handlarzowi koni w Toolay, nie mogło ci zostać dużo pieniędzy.

Tawl wsunął rękę do plecaka. Znalazł zaledwie jedną sztukę złota i garść srebrników.

– Myślałem, że mamy więcej.

Popatrzył podejrzliwie na chłopca, ten jednak wzruszył tylko ramionami.

– Wychodzi na to, że będę jednak musiał zorganizować jakieś fundusze.

Zetknął koniuszki palców obu dłoni i strzelił jednocześnie wszystkimi.

– Nie zmarnuj zbyt wiele czasu. – Tawl przyglądał się znikającemu w tłumie Kosiarzowi. – I uważaj na siebie.

Rycerz podszedł do straganu, na którym ułożono sztuki materiału rozmaitej długości. Szukał grubej wełny. Nie odczuwał zbyt dotkliwie pierwszych mroźnych technię zimy, widział jednak, że chłopcu

trudno je znieść.

– Dzień dobry, panie. – Mówiący z nieznanym Tawlowi akcentem sprzedawca popatrzył! na niego z nie skrywanym zainteresowaniem. – Pochodzisz z południa, zgadza się? – Nie czekał na odpowiedź. – Poznaję to po twoim nieodpowiednim stroju. Jeśli wolno mi coś ci poradzić, przydałby ci się nowy płaszcz. Mam tu piękną sztukę wełny. – Rozwinął szkarłatny zwój. – Pomacaj ją. Tawl posłusznie przebiegł palcami po tkaninie. Była z pewnością gładza od tych. do których przywykł.

– Czy masz coś w mniej rzucającym się w oczy kolorze? Szarym albo brązowym?

Sprzedawca popatrzył na Tawla. jakby miał przed sobą szaleńca.

– Panie, te kolory są dla kobiet. Mężczyzna o tak pięknej posturze jak twoja, najprzystojniej prezentuje się w czerwonej szacie.

Tawl zdecydowanie nie chciał tak wyglądać.

– Upieram się przy szarej. Na kiedy będziesz mógł wykonać dwa płaszcze i swetry?

– Chwileczkę. – Handlarz przyjrzał się uważnie Tawlowi, najwyraźniej zastanawiając się, na ile go stać. – Za odpowiednią cenę mogą być gotowe już jutro o świcie.

– A jaka cena jest odpowiednia?

– Cztery sztuki złota.

Spojrzał prosto na Tawla, jakby chciał sprowokować jego sprzeciw.

– Dwie – odparł rycerz, unosząc lekko brwi.

– Panie, sama krawcowa będzie mnie kosztowała dwie sztuki złota, nie wspominając już o wysokiej jakości moich tkanin. – Zamachał rękami dla podkreślenia swych słów. – Nie mogę wziąć mniej niż trzy.

– Niech będą trzy.

Cena była zdecydowanie wygórowana, ale Tawl nie lubił się targować. Wyjaśnił sprzedawcy, w jakim stylu mają być uszyte stroje, podał przybliżone wymiary chłopca, zapłacił oczekiwaną zaliczkę i oddalił się.

Postanowił, że coś przekąsi, czekając na powrót Kosiarza. Wahał się właśnie między faszzerowanym owczym sercem i krwawym puddingiem, gdy usłyszał szepczący mu do ucha kobiecy głos:

– Jeśli pójdziesz za mną, pokażę ci, gdzie można dostać najlepsze jedzenie w Ness.

Tawl rozejrzał się wokół i zobaczył dziewczynę o kasztanowych włosach. Miała na sobie brązową suknię, co znaczyło, że nie jest prostytutką. Było w

niej coś znajomego.

– Przed chwilą ubiłeś interes z moim ojcem, handlarzem wełny – wyjaśniła, widząc jego zdziwioną minę. – Mamy interes, swoją drogą.

Miała wesoły, sympatyczny głos ze siadem takiego samego śpiewnego akcentu, z jakim mówił jej ojciec.

– A co ci do tego? Z pewnością dobrze wychodzisz na jego kupieckiej biegłości.

– I tak już jest wystarczająco bogaty.

Skinęła na niego, oddalając się od straganu zjedzeniem.

– Ma tani strój... a może to jego kolejny chwyt? Wydostał się z tłumu, podążając za dziewczyną.

– Ojciec stosuje tyle chwytów, że straciłam już rachubę. Na przykład, nie zapłaci krawcowej dwóch sztuk złota. To ja uszyję te płaszcze.

Tawł nie mógł się nie uśmiechnąć.

– To może powinnaś już zacząć? Są mi potrzebne na jutro.

– Wyjeżdżasz z Ness tak szybko? Dziewczyna wyglądała na rozczarowaną.

– Co ci do tego?

Zawsze z podejrziwością traktował ludzi, którzy okazali zainteresowanie jego podróżami. Niestety, obraził swym pytaniem dziewczynę.

– Nic – odparła dumnie. – Muszę już iść. Nie mogę przecież kazać ci czekać na płaszcze.

Zaczęła się oddalać.

– Nie odchodź! – krzyknął rycerz. Dziewczyna obróciła się na pięcie. – Przepraszam, jeśli cię uraziłem. Z wielką chęcią pójdę z tobą do najlepszej gospody w Ness.

– Nic nie mówiłam o żadnej gospodzie – odparła, wracając do niego. – Najlepsze jedzenie w Ness przyrządzam własnymi rękami.

Ruszyli przez rynek, potem zaułkiem, a wreszcie wyszli na szeroką, ładną ulicę. Tawł rozejrzał się wokół, by sprawdzić, czy zobaczy Kosiarza, lecz nie mógł go nigdzie wypatrzeć. Nie przejął się tym. Chłopak był bardzo zaradny i z pewnością uda mu się go odszukać.

– To tutaj – oznajmiła dziewczyna, zatrzymując się pod drzwiami starego, lecz dobrze utrzymanego budynku. – Och, nie przejmuj się. Nie mieszka tu nikt oprócz ojca i mnie. Jest zbyt oszczędny, żeby płacić służącym.

Weszła przed nim do środka, po czym ruszyli schodami do ciepłej, zakopconej kuchni.

– Zaproszenie do twego domu to dla mnie wielki zaszczyt. Znał panujące na północy zwyczaje i

wiedział, jakie słowa należy wypowiedzieć.

– Nie jesteś stąd, prawda? Dziewczyna zaczęła się krzątać przy piecu.

– Nie. Ale ty również nie, jeśli się nie mylę. W twoim głosie słycać zaśpiew, który nie jest typowy dla Ness.

Przyjął z jej rąk kufel *ale*.

– Masz bystry słuch. Ojciec urodził się daleko na zachód stąd. Po śmierci matki, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, wyruszyliśmy na wschód i w końcu wylądowaliśmy tutaj.

Ukroiła kilka kromek ciepłego, kruchego chleba i posmarowała je grubą warstwą masła.

– Jak się nazywa twoje rodzinne miasto?

– Harvell. To w samym sercu Czterech Królestw.

– Kiedy stamtąd wyjechaliście?

Nigdy jeszcze nie spotkał nikogo, kto pochodziłby z Czterech Królestw. Postanowił wykorzystać szansę zdobycia odrobiny informacji o tym kraju, nim się do niego uda.

– Minęło już dziesięć lat. Oczywiście ojciec wraca tam co rok czy dwa, żeby zaimponować krewnym świeżo zdobytym bogactwem. – Dziewczyna zdjęła z ognia jeden z kilku garnków. Gdy uchyliła pokrywkę, kuchnię wypełnił smakowity aromat. – A dlaczego tak

cię to interesuje?

– Wybieram się na zachód w poszukiwaniu pracy. Może tam trafię.

– Na twoim miejscu nie wybierałabym się aż do Czterech Królestw. Już od wielu lat trwa tam wojna z Halcusami. Plony i stada ucierpiały. Obcemu niełatwo będzie o pracę.

– Ta wojna wydaje się zupełnie bezsensowna. Obie strony trwonią siły, nic w zamian nie zyskując.

Tawł starał się zachować obojętny ton. Nie chciał, by dziewczyna zorientowała się, jak bardzo interesuje go ta kwestia.

– Ojciec uważa, że ta cała sprawa śmierdzi. Wygląda na to, że obie strony z góry znają plany przeciwnika.

Nałożyła do miski wielką porcję gulaszu. Był gęsty od marchewki, rzepy, cebuli i baraniny.

– Taka sytuacja na ogół świadczy o tym, że ktoś wysoko postawiony jest zainteresowany przedłużaniem wojny.

– Ojciec mówi to samo. Twierdzi, że za wszystkim stoi królewski kanclerz. Jak on się nazywa? Lord Baralis.

– A więc to on sprawuje teraz władzę w Czterech Królestwach?

– Przed pięcioma laty króla postrzelono na polowaniu. Od tej pory pojawiło się kilku ludzi starających się wpłynąć na przebieg wydarzeń w królestwach. Jednak królowa podobno jest silna. Wszyscy twierdzą, że radzi sobie lepiej niż król, kiedy był jeszcze zdrowy. Najlepsze, co mógłby zrobić, to umrzeć i pozwolić, żeby jego miejsce zajął syn. Może jemu uda się zapewnić krajowi pokój.

Dziewczyna usiadła obok niego, pogryzając kromkę chleba. Tawł przyglądał się jej. Była ładna. Jej nos i policzki pokrywały brązowe piegi. Zastanawiał się, dlaczego zaprosiła go do domu.

– Nie mam zwyczaju prosić mężczyzn, by jedli za moim stołem – odezwała się, jakby czytała w jego myślach. – Zobaczyłam cię za straganem ojca. Wyglądałeś... – zawahała się, lekko zawstydzona. – ...na kogoś, komu przydałaby się domowa kuchnia.

Rycerz odniósł wrażenie, że chciała powiedzieć coś innego, ale się rozmyśliła.

– Przez miasto pewnie przejeżdża mnóstwo ludzi? Nie miał zamiaru pozwolić tak łatwo jej się wykręcić.

– Tak, ale większość z nich to starzy śmierzący parobcy, kieszonkowcy albo jeszcze gorsze typy. – Wpatrzyła się we własny gulasz. – Ty wyglądałeś inaczej. Jak poszukiwacz przygód, księżę w



przebraniu, czy coś w tym rodzaju.

– Nie jestem księciem.

Wyciągnął rękę, złapał dziewczynę za brodę i obrócił jej twarz ku górze, tak że była zmuszona spojrzeć na niego.

– Nie wiem nawet, jak się nazywasz.

Stała się nagle niespokojna. Zaczęła zbierać naczynia.

– Ja jestem Tawl.

Jak zwykle, jego imię wydało mu się krótkie bez towarzyszącego mu tytułu rycerza z Valdis.

– A ja Kendra, córka sukiennika Filstusa.

– Cóż, Kendro, muszę już odejść. Ktoś na mnie czeka. – Nie miał zamiaru wykorzystać młodej, niedoświadczonej dziewczyny. Pokłonił się nisko, po dworsku. – Dziękuję ci za gościnność.

Wychodząc z kuchni, poznał po twarzy dziewczyny, że ma ochotę go powstrzymać. Nie dał jej okazji. Odwrócił się szybko, wdrapał na schody i wyszedł z domu.

Wróciwszy na rynek, spróbował odnaleźć Kosiarza. Szukał go bezskutecznie przez pewien czas, aż wreszcie doszedł do wniosku, że najlepsze, co może zrobić, to zaczekać w widocznym miejscu i pozwolić, by, jak to zazwyczaj bywało, zaradny chłopak znalazł

jego.

Tavalisk kontemplował swój arcybiskupi pierścień. Otrzymał go z chwilą wstąpienia na tron. Zdobiła go oficjalna pieczęć Rornu. Miał jakoby ponad tysiąc lat i był niewypowiedziane cenny. Podziwiał jego kształt w blasku słońca. Był naprawdę niezły, jak na falsyfikat. Co prawda, nie było go z czym porównać, gdyż oryginał zaginął bez śladu. Spoczywał na dnie zasypanego piaskiem jeziora.

Tavalisk nauczył się z całej tej historii jednego. Ludzie wierzą w to, co widzą. Oczywiście pomagał mu fakt, że jako arcybiskup pozostawał poza wszelkim podejrzeniem, miał jednak wrażenie, że ta sama zasada sprawdza się również w przypadku niżej postawionych osób.

Gdy tylko przekonał się, że pierścień zaakceptowano, zaczął zastępować kopiami również inne skarby. Zaczął ostrożnie: bezcenną wazę z Tyro zamienił na identyczną, lecz bezwartościową. Wykonał ją zdolny, choć pozbawiony przebojowości rornijski rzemieślnik. Po krótkim czasie Tavalisk rozszerzył zakres swej działalności. Mógł z dumą stwierdzić, że w arcybiskupim pałacu pozostało teraz niewiele autentycznych eksponatów.

Był ostrożny, bardzo ostrożny. Posunął się nawet

do tego, że kazał poderżnąć gardła wszystkim kopistom, a gdy uznał to za konieczne, również i ich rodzinom. Dzięki tym staraniom, był teraz właścicielem okazałej kolekcji skarbów, ukrytej w prywatnej rezydencji, która leżała nie dalej niż rzut kamieniem od pałacu. To były jego pieniądze na czarną godzinę. Jeśli niewdzięczny i słynący z niestałości lud Rornu postanowi kiedyś się go pozbyć, będzie miał zapewniony dostatek na dowolnie długi czas, a dostatek był czymś, co cenił niemal na równi ze swoim upodobaniem do intryg.

Ostatnio coraz częściej myślał o owym skarbczyku. Bieg wydarzeń na szerokim świecie zaczynał go niepokoić. Nad zamieszkami, które sam wywołał, w pełni panował, więc się nimi nie frasował, gryzł się jednak wypadkami na północy, zwłaszcza planowanym małżeństwem między Catherine z Brenu i Kylockiem z Czterech Królestw. Na jego oczach spełniało się proroctwo Maroda. Nie wiedział, czy ktokolwiek poza nim to zauważył, nie miał jednak wątpliwości, że tylko on może temu zapobiec. Rorn nie stanie się wasalem północnego imperium. Tyren pragnął zysków z handlu, a diuk Brenu i Baralis byli o wiele zbyt ambitni, by stworzone przez nich mocarstwo miało się ograniczyć tylko do północy. Wszystko to skończy się wojną.

Co prawda, wojna niekoniecznie oznaczała porażkę. Tavalisk zatarł pulchne dłonie. Jeśli dobrze wszystko rozegra, Rorn może jeszcze zgarnąć z całego tego zamieszania niezłe zyski.

Gamil zapukał do drzwi i wszedł do komnaty.

– Przybyła wreszcie odpowiedź od lorda Maybora, Wasza Eminencjo.

Wręczył list arcybiskupowi, który przyjrzał się pieczęci. Była nie naruszona. W karmazynowym wosku wyraźnie odciskała się litera M. Po jednej stronie inicjału widniała miniaturowa podobizna szarego łabędzia, po drugiej zaś obusieczny miecz.

– Bardzo stosowny symbol – wymamrotał Tavalisk. Złamał pieczęć i otworzył list. Potrzebował trochę czasu na odcyfrowanie jego zawartości. Północny wielmoża bazgrał niewprawnie, a na dodatek używał stylu nie znanego arcybiskupowi. Najwyraźniej lord Maybor nie był uczonym. To spostrzeżenie bardzo ucieszyło Tavaliska. Zawsze wolał mieć do czynienia z ludźmi choć nieco mniej inteligentnymi od siebie.

Gamil czekał niecierpliwie, aż jego pan skończy lekturę. Tavalisk celowo przeciągał sprawę, by mu dokuczyć.

– Nalej mi trochę wina. Odrobina trunku wspomůže moje władze umysłowe.

– I co pisze lord Maybor, Wasza Eminencjo? Gamil wręczył mu kielich.

– Chce poznać moją tożsamość. Twierdzi, że jest bardzo zainteresowany sojuszem przeciw... jak on to ujął? – Tavalisk odczytał fragment. – ...przeciw pewnemu zdrajcy o czarnym sercu, którego obaj znamy. – Arcybiskup uśmiechnął się. – W dość prymitywny sposób formułuje zdania, nie sądzisz, Gamilu?

– A więc zgadza się?

– Och, jest nader chętny. Jego nienawiść do Baralisa wręcz wylewa się z listu. Nalega jednak zdecydowanie, bym się przedstawił, choć sądzę, że może się domyślać, kim jestem.

– Co skłania cię do takiego wniosku, Wasza Eminencjo?

– Pisze: “Czyś lordem, czy biskupem, jestem gotów”. Pociągnął głęboki łyk wina. Jego nastrój poprawił się wyraźnie.

– A więc zdradzisz mi, kim jesteś, Wasza Eminencjo?

– Tak, sądzę, że tak. Musisz natychmiast przygotować tekst odpowiedzi. Chcę się dowiedzieć,

co mu wiadomo o zaplanowanym przez Baralisa małżeństwie między Kylockiem a Catherine z Brenu. – Tavalisk uśmiechnął się radośnie. – Lord Maybor najwyraźniej ma o coś zapiekły żal do Baralisa. Jestem pewien, że jego wsparcie okaże się nieocenione.

– Jeszcze dziś napiszę list, Wasza Eminencjo, ale odpowiedzi możemy oczekiwać dopiero za pewien czas.

– Nie śpieszy mi się aż tak bardzo, Gamilu. Nawet jeśli natychmiast ogłoszą zaręczyny, Kylock nie zawrze ślubu zbyt szybko. W przypadku ksiąząt przyjęty jest długi okres narzeczeństwa. Poza tym, nawet gdyby nie pojawiła się groźba sojuszu między Brenem a Czterema Królestwami i tak chciałbym mieć na oku naszego przyjaciela, Baralisa. Widziałem go tylko raz, ale powiadam ci Gamilu, że to niebezpieczny człowiek. Pożąda władzy i wpływów.

– Nie wiedziałem, że Wasza Eminencja zna lorda Baralisa. Gamil próbował coś z niego wyciągnąć.

– Nie wiesz wielu rzeczy, Gamilu. Arcybiskup nie zamierzał nic mu powiedzieć.

– Czy on zawsze mieszkał w Czterech Królestwach?

– Nie odpowiem już na żadne pytanie, Gamilu.

– Jeśli to już wszystko. Wasza Eminencjo, pójde napisać odpowiedź.

– Proszę bardzo, Gamilu. Przed wysłaniem listu chcę zobaczyć jego tekst.

– Jeśli ujawnisz swą tożsamość, to czy użyjesz też swej pieczęci. Wasza Eminencjo?

– Nie bądź głupi. Gdyby list opatrzony moją pieczęcią wpadł w niepowołane ręce, mógłbym się znaleźć w bardzo kłopotliwej sytuacji. Żadnych pieczęci. Lord Maybor wie już, z kim ma do czynienia. Chce tylko, bym potwierdził jego podejrzenia. Bądź subtelny. Zdradź, kim jestem, nie wymieniając mego imienia. Zrozumiałeś?

– Tak, Wasza Eminencjo.

– Bardzo dobrze. Swoją drogą, Gamilu, doszły mnie słuchy, że w Toolay odnoszą się coraz chłodniej do pomysłu wygnania rycerzy. Dodaj im trochę... żaru.

– Wedle życzenia Waszej Eminencji. Coś jeszcze?

– Nie, to już wszystko.

Tavalisk odprawił Gamila skinieniem dłoni, z niemalym zadowoleniem obserwując jego zaskoczenie. Lepiej nie być zbyt przewidywalnym. To uczy służbę czujności.

Maybor raz jeszcze wybrał się w miejsce położone pod wiatr od gnojowiska. Dziś jednak smród nie był

zbyt silny. Pewnie łąjno zamarzło, pomyślał, otulając się płaszczem.

Sprowadziło go tu przypadkowe spotkanie, do którego doszło przed dwoma dniami w lesie. Po audiencji u królowej postanowił wybrać się na krótką przejażdżkę do boru. Chciał uciec od zamku i wszystkich upokorzeń, które tam przeżył. Musiał spokojnie się zastanowić, by podjąć decyzje dotyczące dalszych poczynań. Opatrzność sprawiła, że po drodze spotkał człowieka, który mógł się okazać dla niego nadzwyczaj użyteczny.

Chciał już zawrócić, gdy w oddali dostrzegł grupkę ludzi. Nie nosili mundurów, wiedział więc, że nie są królewskimi strażnikami. Miał już zamiar się do nich zbliżyć, by zbadać sprawę, gdy zauważył posuwającą się przez las łatwą do rozpoznania postać. Odzianą w czerń, wysoką i imponującą. Był to Baralis.

Obserwował spotkanie z narastającym zainteresowaniem. Był daleko i nie słyszał wypowiedzianych słów, miał jednak wrażenie, że królewski kanclerz chce wynająć tych ludzi. Jego podejrzenia potwierdziły się, gdy zobaczył, że Baralis rzucił jednemu z nich sakiewkę. Najwyraźniej postanowił przyjąć na służbę nowych najemników.

Zaspokoiwszy swą ciekawość, Maybor chciał już



się oddalić, gdy zauważył, w krzakach, na lewo od grupy, jakieś poruszenie. Nie tylko on podglądał to spotkanie. Zaczekał, aż zgromadzeni się rozejdą. Baralis wrócił do zamku, a mężczyźni ruszyli w las. Wreszcie skierował konia w stronę ukrytego w chaszczach człowieka. Ten nie cofnął się na jego widok. Nie był strachliwym sługą czy drobnym kłusownikiem.

Maybor zbliżył się do niego.

– Co robisz w tym lesie? – zapytał. Nieznajomy obrzucił go zuchwałym spojrzeniem.

– Nie słyszałem, żeby był twoją własnością, lordzie Mayborze. Był szeroki w barach i dobrze umięśniony. Wielmoża zastanawiał się, gdzie go widział.

– Skoro znasz moje imię, chciałbym poznać twoje. Zauważył, że mężczyzna ma ramię owinięte szerokim bandażem.

– Nie jest żadną tajemnicą. Nazywam się Traff. Wypluł kawałek żujki.

– Może zechciałbyś mi wyjaśnić, dlaczego śledzisz lorda Baralisa?

Maybor popatrzył na zastanawiającego się nad odpowiedzią mężczyznę. Był pewien, że to najemnik. Jego wyzywające zachowanie i brak szacunku były typowe dla tych ludzi.

– To moja sprawa, co robię w wolnych chwilach.  
– Nawet jeśli śledzisz człowieka, który ci płaci? –  
domyślił się Maybor.

Traff napiął mięśnie szczęk, rozważając, co rzec.

– A co ci do tego?

– Odnoszę wrażenie, że nie jesteś zadowolony ze swego pracodawcy.

– A jeśli nawet, to co? – odparł Traff, udając brak zainteresowania.

– Zawsze mógłbyś zmienić pana.

Twarz najemnika wciąż nic nie wyrażała.

– To łączy się z ryzykiem.

– Ale zyski mogą być wielkie. – Maybor uznał, że pora już kończyć zabawę w kotka i myszkę. Zostawił ser w dobrze widocznym miejscu. Następny ruch należał do gryzonia. Ściągnął wodze.

– Jeśli jesteś zainteresowany dalszą rozmową, spotkaj się ze mną pojutrze o tej samej godzinie w miejscu położonym pod wiatr od gnojowiska.

Spiął konia i odjechał.

Dlatego właśnie czekał teraz na Traffa. Wiedział, że najemnik się zjawi. W jego oczach wyczytał gorycz i wzgardę. Zatarł ręce, by je rozgrzać. Nocą było bardzo mroźno i powietrze wciąż szczypało w policzki. Zaczynał zdecydowanie tracić cierpliwość. Nie był

przyzwyczajony, by kazano mu czekać.

Po kilku minutach dostrzegł wreszcie wyłaniającą się z zimnej mgły postać.

– Wybrałeś piękne miejsce na spotkanie – przywitał go Traff. Maybor wzruszył ramionami.

– Ma swoje zalety. – Zauważył, że przybysz wciąż nosi opatrunek. – Co ci się stało w rękę?

Starał się nawiązać niezobowiązującą rozmowę, by sprawdzić, w jakim nastroju jest najemnik. Niemniej jednak, na wzmiankę o ręce twarzy Traffa pochmurniała wyraźnie. Nie odpowiedział. Grubas zdał sobie sprawę, że poruszył drażliwą kwestię.

– Powiedz mi – ciągnął, zmieniając temat – czy wtedy w krzakach podsłuchałeś coś użytecznego?

– Dowiedziałem się paru ciekawych rzeczy. Traff miał się na baczności.

– Czy rozważyłeś moje słowa na temat zmiany panów?

– Skąd mam wiedzieć, czy mi się to opłaci?

– Jestem najbogatszym człowiekiem w Czterech Królestwach

– odparł prosto z mostu Maybor. – Wymień cenę. Przekonawszy się, że jego propozycja nie zrobiła wrażenia na najemniku, postanowił spróbować innych metod.

– Ziemia, stanowiska, renta, wszystko to da się załatwić.

– Chodzi o coś więcej niż pieniądze.

Traff wypluł żujkę i zaczął obcasem wgniatać miazgę w zamarznąłą ziemię. Maybor zorientował się, że jego rozmówcą nie kieruje chciwość, lecz prymitywniejsze uczucie... strach.

– Baralis jest bardzo potężny, można go jednak pokonać – zaczął spokojnym, opanowanym tonem. Zauważył, że jego słowa zainteresowały Traffa. – Jeśli poderżnąć mu gardło, umrze, tak jak każdy człowiek. Sam zagroziłem mu mieczem, a mimo to stoję tu teraz i mogę ci o tym opowiedzieć.

Wolał w tej chwili nie pamiętać o nieudanym zamachu i śmierci Scarla.

– Jeśli chcesz usunąć Baralisa, musisz wynająć kogoś innego. – Głos Traffa był twardy i nieustępliwy. – Ja zbyt wysoko cenię własne życie.

– Ale nie myślę się, sądząc, że ucieszyłbyś się, gdyby go usunięto? – Mina Traffa świadczyła, że tego właśnie najbardziej pragnie najemnik. – Łączą nas podobne cele, przyjacielu. Powinniśmy połączyć siły, by je osiągnąć.

Nareszcie! Złożył otwartą propozycję. Da teraz Traffowi czas na rozważenie sprawy. Tego typu

negocjacji nie należało zbyt szybko przyspieszać.

– Muszę już odejść. Mam na głowie inne sprawy. Jeśli chcesz zawrzeć umowę, skontaktuj się ze mną w najbliższych dniach. Mam nadzieję, że zachowasz dyskrecję.

Pożegnał najemnika ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy i oddalił się ku zamkowym ogrodom.

Spotkanie zakończyło się sukcesem. Traff nie darzył sympatią swego pana, a urażeni słudzy zawsze są skłonni do zdrady. Rzecz jasna, najemnik wciąż się go obawiał. Trzeba będzie dalszych namów, by się zgodził, ale prędzej czy później to uczyni. Maybor nie był z natury cierpliwy i powolne intrygi nie były jego ulubioną metodą postępowania. Niemniej jednak, warto było zaczekać, by zdobyć szpiega w obozie Baralisa.

Gdy Traff spotka się z nim po raz drugi, zacznie wyciągać z niego informacje, dowie się, jakie właściwie są zamiary kanclerza. Nagle stanął jak wryty. Jego rozmówca zapewne był jednym z ludzi, których wysłano na poszukiwania Melliandry. Maybor przypomniał sobie słowa Kedraca: „Chyba próbowali ją zgwałcić”. Krew zastygła mu w żyłach. Wpatrzył się w wirującą mgłę. Cóż był wart, jeśli chciał zawrzeć

umowę z człowiekiem, który usiłował zniewolić jego córkę? Zmrużył oczy. Nie widział już mgły. Wszystko to było winą Baralisa. To królewski kanclerz doprowadził go do tego, sprawił, że upadł tak nisko, by wchodzić w konszachty z gwałcicielem własnej córki. Za wszelką cenę musi się policzyć z Baralisem. Honor i duma rodzinna mogą poczekać.

Gdy chłopak wreszcie się pojawił, zapadał już zmierzch. Tawł nie był zadowolony. Czekał na rynku wiele godzin i jego obecność wywołała podejrzenia kilku strażników miejskich.

– Gdzie się podziewałeś cały dzień? – zapytał.

– Kręciłem się po mieście. Organizowałem fundusze i tak dalej. – Kosiarz potrząsnął plecakiem, w którym zabrzęczały monety. – Niezły utarg.

Uśmiechnął się szeroko i Tawł szybko mu wybaczył.

– No to chodźmy. Pora *znaleźć* pokój na noc.

Rycerz nie miał ochoty wędrować zbyt daleko w poszukiwaniu najlepszej gospody, postanowił więc, że zatrzymają się w pierwszej, którą znajdą.

Wyglądała ona na bardzo wygodną – a także drogą. Oberżysta przechwalał się, że zatrzymują się u niego najbogatsi odwiedzający miasto kupcy. Rycerz spojrzał przelotnie na Kosiarza, który pokiwał energicznie

głową. Najwyraźniej zdobyta przez niego suma z nawiązką wystarczała na pokrycie rachunku.

– Weźmiemy na noc jeden z twoich najmniejszych pokojów.

– Nie, lepiej weźmy dwa – wtrącił chłopiec. Tawł obrzucił go pytającym spojrzeniem. – Czas już, żebym porządnie się wyspał, a bez własnego pokoju nie mam na to szans. Chrapiesz jak osioł!

Kosiarz i oberżysta roześmiali się chórem.

– Weźmiemy jeden pokój – nie ustępował Tawł.

– Panie, mogę dodać drugi dla chłopca za połowę ceny. Niewątpliwie pragnął zarobić choć kilka groszy więcej. Tawł nie rozumiał, o co właściwie tu chodzi, nie miał jednak wątpliwości, że Kosiarz coś kombinuje. Chłopiec i oberżysta przeszli go błagalnymi spojrzeniami.

– Niech będą dwa, ale małe. Jeśli chcesz, możesz umieścić chłopca w kredensie.

– To mądra decyzja, panie. Obaj obudzicie się rankiem wypoczęci. – Mężczyzna rozpromienił się na myśl o dodatkowym zysku. – A teraz, czy zjedlibyście coś na kolację? Mamy gotowanego bażanta, szczupaka w maśle, pieczoną cielęcinę i oczywiście baraninę.

Ściszył pod koniec głos w sposób jasno świadczący, że baranina jest najtańszym daniem.

– Weźmiemy baranię. – Tawł zauważył rozczarowanie na twarzy oberżysty. – Dla mnie będzie też dzbanek *ale*.

– Specjalnego? – zapytał mężczyzna z nadzieją w głosie.

– Nie, najtańszego.

Gdy już zasiedli wygodnie przy kominku w wielkiej jadalni, Tawł zwrócił się w stronę chłopca.

– Co to za interes z dwoma pokojami? – zapytał.

– Zdobyłem tyle pieniędzy, że spokojnie nam wystarczy. Kosiarz nalał sobie kufel *ale*.

– Nie o to cię pytałem. – Tawł wyjął naczynie z jego rąk. – Co dzisiaj robiłeś poza organizowaniem funduszy?

– Spotkałem się z kimś – odparł wyzywająco chłopak.

– Z kim?

– Z dziewczyną. To wszystko. Miała rude włosy i piegi. Ładna. Powiedziała, że cię zna i chce, żebym wyświadczył jej przysługę.

– Jaką przysługę?

Głos Tawła brzmiał zwodniczo spokojnie.

– Powiedziała, że chciałaby cię zaskoczyć w twojej izbie. – Kosiarz zaczerwienił się. – Mówiła, że chce być z tobą sam na sam i prosiła, bym wynajął



oddzielny pokój. Chciała też, żebym nic ci o tym nie mówił. Dała mi nawet całusa za fatygę.

Tawl oparł się o ścianę. To był spisek. Była wzmowie z Tavaliskiem, Larnem albo Borc wie kim. Jej zamiarem – a raczej zamiarem tego, dla kogo pracowała – było zabić go bądź porwać pod osłoną nocy. Poczul się nieco rozczarowany. Myślał, że to zwykła, sympatyczna dziewczyna. Był zde gustowany własną naiwnością. Wstał z miejsca.

– Dokąd idziesz? – zapytał nieufnie Kosiarcz.

– Pora już, żebym znalazł sobie jakąś porządną broń.

Po kilku godzinach siedział już w pokoju, oliwiąc swój nowy oręż. Kowal, którego znalazł, nie miał najmniejszej ochoty rozpalać ognia w kuźni o tak późnej porze. Tawl jednak nie dał się łatwo zniechęcić. Zaskoczył rzemieślnika propozycją nabycia miecza wiszącego na ścianie. Kowal sprzeciwił się, zapewniając, że nie może go sprzedać. Przysięgał, że z mieczy wykonanych przez niego, gdy był jeszcze uczniem, ten był pierwszym, który sprostał wysokim wymaganiom jego mistrza.

Rycerz widział, że broń jest prosta, ale solidna. Takie właśnie lubił. Nie przepadał za ozdóbkami. Udało mu się przekonać kowala, by rozstał się ze

swym dziełem za zdzierczą sumę trzech sztuk złota. Rzemieślnik najwyraźniej czuł wyrzuty sumienia, że zażądał aż tyle, gdy bowiem Tawł wyszedł z budynku, poszedł za nim.

– Weź jeszcze to – powiedział, wręczając mu miękką pochwę ze świńskiej skóry. – Robi je moja żona. Chciałbym, żebyś ją przyjął.

Kowal pomknął z powrotem do kuchni, uwolniwszy się od poczucia winy.

Rycerz uznał, że pora udać się na spoczynek. Nakrył się narzutami, nie zdejmując ubrania. Miecz położył płasko na brzuchu, zaciskając mocno dłoń na jego rękojeści. Nóż zatknął za pas. Zdmuchnął świecę i przygotował się do oczekiwania.

Po pewnym czasie, gdy księżyc zaczął rzucać w izbie długie cienie, Tawł usłyszał skrzypnięcie drzwi. W wejściu pojawiła się postać, która następnie ruszyła ukradkiem w jego stronę. Napiął mięśnie, gotowy do skoku. Cień nachylił się nad łóżem. Rycerz zerwał się nagle, trzymając w ręku miecz. Złapał intruza i cisnął go na pościel, dotykając sztychem jego gardła.

– Stój! Proszę! – rozległ się kobiecy głos. A więc przysła sama!

– Kto cię nasłał? – zapytał, wzmacniając nacisk.

– Nikt mnie nie nasłał. Przyszłam z własnej woli. –

Była bliska hysterii. – Puść mnie, proszę.

Przeszukał ją jedną ręką, drugą wciąż przyciskając miecz do jej gardła. Nie znalazł sztyletu. Zapalił świecę krzemieniem, by móc sprawdzić izbę. Nóż z pewnością wypadł dziewczynie z rąk.

Światło pozwoliło mu ujrzeć jej twarz. Tak jak się spodziewał, była to córka sukiennika. Po jej policzkach spływały łzy przerażenia. Była świetną aktorką.

– Nie ruszaj się albo cię zabiję – syknął, szukając jej noża.

Choć sprawdził cały pokój, nie znalazł nic. Zwrócił się ku dziewczynie, która skuliła się na łożu ze strachu.

– Gdzie twoja broń? Wyglądała na zdezorientowaną.

– Nie wiem, o czym mówisz. Łkała niepowstrzymanie.

– Przyszłaś mnie zabić. Nie zaprzeczaj. – Nagle wpadła mu do głowy pewna myśl. Otworzył błyskawicznie drzwi. Nie zauważył nikogo. – Gdzie twoi współnicy?

– Proszę cię, nie wiem, o czym mówisz. Nie przyszłam cię zabić.

– W takim razie po co? – zapytał zimnym, nieustępliwym głosem.

– Żeby cię uwieść! – krzyknęła. Ponownie rozpląkała się w głos. Tawł zaczerpnął głęboko tchu. Albo mówiła prawdę, albo była mistrzynią w sztuce kłamstwa. Schował miecz do pochwy.

– Dlaczego chciałaś to zrobić? – spytał obcesowo, nadal pełen niedowierzania.

– Z tymi złotymi włosami i dwornym zachowaniem wydawałeś mi się romantycznym nieznajomym, prawie rycerzem.

Rumieniła się i płakała jednocześnie. Nie miał pojęcia, co jej powiedzieć. Zaczynał podejrzewać, że popełnił błąd. Podał jej lnianą szmatkę, by wytarła łzy. Wyrwała ją z jego rąk i wydmuchała z hałasem nos.

– Jesteś chyba trochę za młoda, żeby uwodzić nieznajomych.

– Skończyłam już siedemnaście lat. – Wygładziła spódnice. – Na pewno wybiłeś mi ten pomysł z głowy na przyszłość.

– Słucham tego z radością – odparł Tawł z uśmiechem.

– Myślałam, że cię ucieszę, a ty skoczyłeś na mnie i omal mnie nie zabiłeś. – Kendrze wracała odwaga. – Jesteś obłąkany! Masz szczęście, że nie zawołałam strażników.

– A jak byś im wytłumaczyła, co robisz w moim pokoju? Zachciało mu się śmiać na widok oburzenia na twarzy dziewczyny.

– Mogłabym powiedzieć, że mnie tu zwabiłeś. Tawł podszedł do drzwi i otworzył je.

– Jeśli się pośpieszysz, możesz jeszcze jakiegoś złapać, nim położysz się spać.

– Jesteś okropny! Nie mam pojęcia, co w tobie zobaczyłam. Choć była zła, nie ruszyła ku drzwiom. Rycerz zamknął je.

– Przepraszam, że cię przestraszyłem. Usiadł na łożu obok niej.

– Czy zawsze próbujesz zamordować kobiety, które chcą cię uwieść?

– Myślałem... mniejsza o to.

Wydawało mu się śmieszne, że mógł ją wziąć za morderczynię.

– Czy ktoś próbuje cię zabić? – Kendra uspokoiła się już zupełnie. Sprawiała wrażenie podekscytowanej perspektywą zetknięcia się z niebezpieczeństwem i intrygami. – Gdy tylko cię zobaczyłam, wiedziałam, że jesteś poszukiwaczem przygód! Czy pracujesz dla diuka Brenu?

– Dlaczego tak sądzisz?

– Och, każdy wie, że wszędzie tu kręcą się jego ludzie.

– Nie, nie pracuję dla diuka Brenu. Dziewczyna miała nieco rozczarowaną minę.

– Ale ktoś próbuje cię zabić, prawda? Dlatego mnie zaatakowałaś. Myślałaś, że to ja.

Niecierpliwie czekała na jego odpowiedź.

– Tak, wziąłem cię za kogoś innego. – Nagle poczuł się bardzo zmęczony. – Lepiej już idź.

Dziewczyna przysunęła się do niego i pocałowała go w usta, delikatnie i niepewnie. Tawł odwzajemnił pocałunek, z początku delikatnie, a potem, gdy ogarnęło go pożądanie, mocno i nieustępliwie. Rozchylił jej wargi, by odnaleźć soczystość języka. Objął ją zdecydowanie w talii i przyciągnął do siebie. Przebiegł dłońmi po jej ciele, odnajdując wypukłość piersi i bioder. Pociągnął za sznurki stanika. Nie chciały ustąpić, rozdarł więc tkaninę. Wsunął dłonie pod jej spódnicę, czując gładkość ud. Kendra odsunęła się zarumieniona. Wypuścił ją z objęć. Siedzieli przez chwilę bez ruchu, gapiąc się na siebie.

Wstał. Spróbowała go powstrzymać, łapiąc go za ramię. Odsunął delikatnie jej dłoń i odszedł od łóżka. Po raz trzeci tej nocy otworzył drzwi.

– Idź już, Kendro, nim zrobię coś, czego oboje

będziemy żałować.

Jego głos zabrzmiał ostro. Wstała posłusznie i ruszyła w stronę wyjścia. Nim opuściła pokój, spojrzała raz jeszcze na niego z mieszaniną strachu i pożądania.

## 26

Baralisa zmęczyło już oczekiwanie na wezwanie królowej. Termin zakładu minął przed dwoma dniami, a wciąż nie otrzymał od niej żadnej wiadomości. To była gra. Arinalda kazała mu czekać, aż będzie gotowa. Chciała zdobyć w ten sposób przewagę w pojedynku na siłę woli. Najwyższy czas zmusić ją do kapitulacji. Poświęcił całe lata na skrupulatne zaplanowanie wszystkiego i nie pozwoli teraz, żeby powstrzymała go zwykła gra na zwłokę.

– Przynieś mi szatę – polecił Croke'owi. – Muszę odwiedzić króla.

Gdy już ubrał się odpowiednio, wziął w rękę słoiczek oleju i wsunął go pod płaszcz. Miał zamiar posłużyć się nim jako rekwizytem. Ruszył pośpiesznie ku królewskim komnatom. Jego jedwabne szaty szeleściły cicho. Strażnicy nie próbowali go powstrzymać. Gdy mijał komnaty królowej, stojący przed nimi żołnierze unieśli włócznie, co znaczyło, że Arinalda jest obecna i nie wolno mu tam wejść. Baralis



zignorował ich i ruszył dalej. Wiedział, że jest tylko kwestią czasu, nim któryś z nich zamelduje swej pani, kogo widzieli w królewskich korytarzach.

Wreszcie dotarł pod najpiękniej ozdobione drzwi w całym zamku, odlane z litego brązu. Pokrywały je sceny z historii Czterech Królestw. Ukazano tam Harvella, Reskora, Granwella i wielu innych pradawnych królów. Przedstawiono ich jako wyższych i przystojniejszych niż w rzeczywistości. Przodkowie Lesketha słynęli z miernego wzrostu i szpetoty, pomyślał z przekąsem Baralis.

– Stój! – krzyknął wartownik. – Nikomu nie wolno tu wchodzić bez pozwolenia królowej.

– Chyba wiesz, że to ja zaopatruję króla w nowe lekarstwo? Lekarstwo, które królowa tak wysoko ceni. – Strażnik skinął głową. W zamku powszechnie o tym wiedziano. – No więc – ciągnął Baralis cichym, lekko przymilnym głosem – przyrządziłem nowy olejek, który przywróci ruchomość barkowi króla. Chciałbym go wypróbować, nim poinformuję o nim Jej Wysokość. Wolałbym nie rozbudzać jej nadziei po to tylko, by ją potem rozczarować. Żołnierz skinął ze zrozumieniem głową.

– Jeśli mnie wpuścisz, wyrządzisz wielką przysługę tak królowi, jak i jego żonie.

Baralis zmienił nieco ton głosu, który brzmiał teraz cicho i zniewalająco.

– Nie skrzywdzę Jego Królewskiej Mości. Jeśli chcesz, możesz nawet towarzyszyć mi przez cały czas.

– Gdzie jest ten olejek? – zapytał strażnik. Baralis zrozumiał, że mu się udało. Wyciągnął słoiczek spod płaszcza. Rżnięte szkło połyskiwało w odpowiednio tajemniczy sposób. – Proszę bardzo, lordzie Baralisie. Możesz wejść, ale tylko na kilka minut.

Ciężkie drzwi zamknęły się łatwo i bezgłośnie. Baralis wszedł do królewskich komnat. Wspaniałe dywany i gobeliny o jaskrawych, niebieskich i złotych barwach i grubych splotach tłumiły dźwięk jego kroków. Cóż za marnotrawstwo, pomyślał Baralis. Cały ten splendor dla króla, który nie może wstać z łoża. Pierwsza komnata była jedynie salą przyjęć. Kanclerz przeszedł przez nią, kierując się do sypialni.

Przy królewskim łożu stało dwoje ludzi: znachorka Arinaldy oraz główny łaziebny. Przez głowę Baralisa przemknęła myśl, że to trochę zbyt górnolotny tytuł dla człowieka odpowiedzialnego za opróżnianie królewskich nocników. Oboje sprawiali wrażenie bardzo zaskoczonych jego widokiem, nie zamierzał jednak tłumaczyć się przed zwykłymi sługami.

– Lordzie Baralisie, to doprawdy niespodzianka –

powiedział główny łąziebny. Znachorka zbyt dobrze znała swe miejsce, by sprzeciwiac się jego obecności.

– Może to i niespodzianka, ale mam nadzieję, że okaże się zbawienna.

Uniósł pokrywkę słoiczka, chcąc sprowokować głównego łąziebnego do dalszych pytań.

– Lordzie Baralisie, jeśli chcesz potraktować króla zawartością tego słoiczka, to czy mogę go najpierw zobaczyć? – spytała cichym głosem kobieta.

– Znachorko, idź warzyć zioła!

Kanclerz podszedł do śpiącego króla. Senność była korzystnym skutkiem ubocznym jego lekarstwa.

– Panie, błagam, byś nie zakłócał snu króla. Potrzeba mu jak najwięcej odpoczynku.

Główny łąziebny sprawiał wrażenie silnie zaniepokojonego.

– Bzdura, człowieku. Śpi za dużo. Na tym polega jego problem. Baralis nie dbał o to, co mówi. Chodziło mu tylko o to, by zyskać na czasie przed nieuniknionym przybyciem królowej. Chcąc przyspieszyć to wydarzenie, zaczął potrząsać Leskethem. Przyniosło to oczekiwane rezultaty – znachorka wybiegła z komnaty, z pewnością po to, by poinformować Arinaldę o jego obecności.

Król obudził się i skupił leniwe spojrzenie na swym

kanclerzu. Poruszył ustami, lecz nie wydobyły się z nich żadne słowa, a jedynie plwocina.

– Lordzie Baralisie! – rozległ się głos królowej. W jej słowach brzmiała wściekłość. – Jak śmiesz wchodzić bez pozwolenia do królewskiej komnaty?

– Wasza Wysokość.

Kanclerz pokłonił się nisko, pochylając wdzięcznie plecy. Arinalda podeszła do łóża, by sprawdzić stan męża.

– Obudziłeś go! – Zwróciła się rozgniewana w stronę Baralisa. – Wytłumacz się.

– Wasza Wysokość zauważyła, że nie miałem pozwolenia – odparł gładko. – Czy jednak mogę zapytać, kto jest uprawniony do jego wydania?

Wiedział dobrze, że Arinalda zdaje sobie sprawę, iż w Czterech Królestwach obowiązuje pisane prawo stanowiące, że królowa nie dysponuje żadną legalną władzą, nawet w przypadku inwalidztwa lub śmierci króla. Arinalda rządziła w imieniu Lesketha, choć nie miała do tego żadnego prawnego tytułu. Na dworze wołano zapomnieć o tej zasadzie ze względu na jedność i ciągłość rządów w obecnej sytuacji.

– Lordzie Baralisie, poruszasz niebezpieczny temat – ostrzegła go.

– Niebezpieczny dla kogo, Wasza Wysokość? W

głosie Baralisa również zabrzmiało ostrzeżenie.

– Dlaczego tu przyszedłeś?

Królowa ustąpiła.

– Sądzę, że Wasza Wysokość zna powód. Minał już termin spłaty długu, pani.

– A więc wykorzystałeś króla, by przyciągnąć moją uwagę, lordzie Baralisie.

Jej głos ociekał wzgardą.

– Okazało się to skuteczne.

Kanclerz pozwolił sobie na przelotny uśmiech.

– Dziś już nie będę z tobą rozmawiała, lordzie Baralisie. Było to polecenie odejścia.

– Jak Wasza Wysokość sobie życzy. Muszę jednak domagać się audiencji w dniu jutrzejszym.

– Domagać się! Zapominasz się, lordzie Baralisie. Arinalda sprawiała wrażenie gotowej go uderzyć.

– Przepraszam, Wasza Wysokość. Chciałem rzecz jasna powiedzieć, że mam nadzieję, iż audiencja zostanie mi udzielona.

Widział, że królowa nie uwierzyła jego słowom, nie miało to jednak znaczenia. Spotka się z nim.

– Wyjdź stąd natychmiast – poleciła wyniośle, odwracając się plecami. Baralis pokłonił się z przesadną kurtuazją królowi, po czym opuścił komnatę.

Wrócił do swych pomieszczeń niespiesznym krokiem. Czuł się bardzo zadowolony. Cały incydent przebiegł zgodnie z planem. Nie tylko zmusił królową do udzielenia mu audiencji, lecz również miał okazję przypomnieć jej, jak niepewna jest jej pozycja.

Tawl przeklinał śnieg, który miał opóźnić jego spotkanie z Bevlinem co najmniej o dobę. Gdy przedwczoraj rano wyruszyli z Ness, wiedział, że wkrótce zacznie sypać. Niebo kryło się za szarą zasłoną chmur, a ziemia pod stopami zmiękła nieco.

Cieszył się, że kupił nowy płaszcz i sweter. Jeśli rzeczywiście uszyła je Kendra, zrobiła to świetnie. Wykonanie było bez zarzutu, szwy proste jak strzała, a tkanina pięknie skrojona. Sukiennik pozwolił sobie dodać podszewkę w dokładnie tym kolorze, jakiego nie chciał nabyć Tawl. Jaskrawo-karmazynowa barwa spodobała się Kosiarzowi, który uparł się, że będzie nosił płaszcz na lewą stronę.

Gdy odbierał stroje, nigdzie nie zauważył dziewczyny. Przyjął to z ulgą. Nie podobała mu się myśl o ponownym spotkaniu z Kendrą. Potraktował ją źle. W gruncie rzeczy, był gotów ją zniewolić. W swoim czasie przeżył wiele przygód, ale niedoświadczone kobiety to było coś całkiem innego. Z reguły trzymał się od nich z dala. Potrzebowały

romantycznej miłości i długotrwałych zalotów. Szybko się przywiązywały i łatwo było złamać im serce. Nigdy nie zatrzymywał się długo w jednym miejscu i wiedział, że skrzywdziłby taką dziewczynę, gdyby ją pokochał, a potem porzucił.

Dlatego szukał pociechy u doświadczonych kobiet. Najchętniej starszych, nie tylko dlatego, że były bardziej wyedukowane w sztuce miłosnej, lecz również ze względu na fakt, że odczuwały silne fizyczne pożądanie, które młoda dziewczyna mogła jedynie udawać. Lubił, by jego kobiety były chętne i gorące, a także na tyle światowe, by zrozumieć go, gdy rano je opuszczał.

Jako rycerz złożył przysięgę, że nigdy się nie ożeni. Valdis uważało kobiety za groźbę, konkurentki do lojalności członków zakonu. Gdy go zakładano, małżeństwo było dozwolone, lecz po wojnie pięćdziesięcioletniej, gdy prawie pięć tysięcy rycerzy poległo, często osierocając żony i dzieci, władze zwierzchnie zdecydowały, że w przyszłości lepiej będzie zapobiec tragediom rodzin pozbawionych żywicieli. Dlatego zabroniono wstępowania w związki małżeńskie. To, co z początku miało chronić żony i dzieci przed głodową śmiercią, szybko przerodziło się w instrument władzy. Od rycerzy wymagano, by

tłumili swe naturalne żądze, a zrodzoną z namiętności energię wyładowywali w służbie Valdis.

Tak jak wielu innych, Tawl przekonał się, że nie potrafi żyć bez pociechy niesionej przez seks. Miał wrażenie, że piętując akt miłosny, Valdis w gruncie rzeczy potępia wszystkie kobiety. Uważano je tam za niewierne lalki, osłabiające jedynie i wypaczające szlachetne intencje rycerstwa. Tawl poznał wiele kobiet, w wielu miastach, i w głębi duszy wiedział, że nie jest to prawda. Były zdolne do szlachetności w równym stopniu jak mężczyźni, a do miłości i dobroci nawet w większym. Zabronienie rycerzom zawierania małżeństw było błędem. Mężczyzna mający rodzinę kocha ludzki ród i czyni go liczniejszym, a czyż podstawową zasadą rycerstwa nie była obrona świętości ludzkiego życia?

Otulił pierś płaszczem. Nic nie tłumaczyło tego, jak potraktował córkę sukiennika. Od rycerzy wymagano przynajmniej panowania nad sobą. Dziewczyna była z pewnością dziewicą. Chciała nie tyle go uwieść, co przeżyć ekscytującą przygodę. Wiedział, że nie powinien był jej całować, najgorsze jednak było to, że mało brakowało, a utraciłby wszelkie hamulce. Nie poznawał siebie. Gdyby uścisk trwał dłużej, mógłby ją zgwałcić. Fakt, że po części sama tego pragnęła, nie



miął większego znaczenia. Była młoda i nie do końca wiedziała, czego chce. Zwrócił twarz w stronę zimnego tchnienia północnego wiatru. To było do niego niepodobne. Dziewczyna była za młoda. Co prawda, Megan była mniej więcej jej rówieśnicą, lecz dorosła szybko na ulicach i była wprawna w sztuce kochania.

Megan. Rycerz zadał sobie pytanie, co się z nią stało. Miał nadzieję, że udało jej się zacząć lepsze życie. Może była teraz krawcową albo kwiaciarką. Mając w sakiewce dziewiętnaście sztuk złota, mogła sobie pozwolić na to, by nie pracować przez kilka lat, nawet w tak drogim mieście jak Rorn. Liczył na to, że przestała żyć z nierządu. Życie prostytutki było trudne, a często też niebezpieczne. Pozbawiało dziewczynę młodości, urody, a na koniec duchowej strony natury ludzkiej. Cieszyłby się, gdyby zajęła się czymś innym.

Minęli już podgórze. Kraina przed nimi opadała łagodnie. Pola i łąki upstrzyły plamy pierwszego na nizinach śniegu. Martwił się o chłopca. Jego przeziębienie nie ustępowało. Kaszał coraz uciążliwiej, a na jego policzkach pojawiły się wywołane gorączką wypieki. Tawł uznał to za kolejny powód, by jak najszybciej dotrzeć do Bevlina. Mędrzec potrafi uleczyć chłopca. Zapewne wystarczyłby jeden łyk lakusa.

Od kilku dni rycerz czuł, jak narasta w nim niejasne napięcie, zupełnie jakby dźwigał na barkach ciężar, który wyczerpywał jego siły i osłabiał ducha. Powarkiwiał nerwowo na Kosiarza. Teraz doszedł do tego jeszcze incydent z córką sukiennika. Dręczyło go zniecierpliwienie, którego źródła do końca nie rozumiał. Koniecznie chciał zobaczyć się z Bevlinem. Spotkanie z mędrcom zdawało się szansą pozbycia się ciężącego brzemienia. Bevlin zaopiekuje się nim i uzdrowi, przygotuje do kontynuowania poszukiwań chłopca.

Tavalisk przebywał w łaźni. Wielki marmurowy basen wypełniano ciepłą wodą i zapachowymi esencjami. Służący skrzętnie przygotowywali wszystko, czego miał potrzebować: wonne olejki do mycia, szczotki z końskiego włosia do szorowania, lniane ręczniki do wycierania. Sam arcybiskup siedział sobie w jedwabnej szacie, kiwając z roztargnieniem głową do Gamila, który głądził mamroczącym głosem o aktualnej polityce kościoła, podczas gdy młoda dziewczyna obcinała Tavaliskowi paznokcie u nóg. Najwyraźniej Ten Który Jest Najświętszy nakazał swym arcybiskupom wzywać do wyrozumiałości względem rycerstwa. Wyrozumiałość! Też coś! Co Jego Świątobliwość mógł wiedzieć o światowych

wydarzeniach, zamknięty we wspaniałym, lecz jakże dalekim Silburze? Nie mógł nic zrobić. Nie sprawował żadnej realnej władzy. Religijne urzędy miały tylko tyle wpływów, ile ich miała sprawująca je osoba, a Jego Świątobliwość nigdy nie był wielkim człowiekiem.

– Ostrożnie z tymi nożyczkami, dziewczyno – ostrzegł pogrążony w lekturze Maroda arcybiskup, nie słuchając wywodów sekretarza

– Wasza Eminencja ma piękne stopy – zauważył Gamil. – Zupełnie pozbawione guzów i odcisków.

– To prawda. – Tavalisk odłożył księgę. – To dlatego, że dbam o siedzący tryb życia. Nie można mieć tak doskonałych stóp, jeśli ciągle się chodzi.

– Wasza Eminencja ma wielkie szczęście, że zdobył pozycję, która rzadko wymaga chodzenia.

Tavalisk podniósł raptownie wzrok, lecz nie dostrzegł na twarzy Gamila śladu ironii.

– Wielcy ludzie wykonują swą pracę, siedząc, Gamilu. Mniejsi, tacy jak ty, muszą wykonywać swoją, stojąc na nogach.

Tavalisk zauważył czekających łaziebnych. Gdy wstał, jeden z nich podbiegł do niego, by zdjąć mu szatę. Gamil odwrócił dyskretnie wzrok, gdy odsłonięto blade i pulchne ciało jego pana.

Arcybiskup postąpił kilka kroków naprzód i wszedł do parującej wody. Jego skóra poczerwieniała, jak u gotowanego homara. Kąpiel była odrobinę gorętsza niż lubił. Dopiero gdy zanurzył się po szyję, Gamil uznał za stosowne spojrzeć na niego.

– Napisałem list do lorda Maybora, Wasza Eminencjo. Każe Hultowi, by przyniósł później kopię.

– Świetnie. Należałoby go wysłać jeszcze dziś.

Tavalisk oparł zgrabnie nogę na wysoko ulokowanej półce. Jedna ze służących natarła ją olejkami i opłukała.

– Otrzymałem wieści z Valdis, Wasza Eminencjo.

– I jak przyjęto tam wygnanie rycerzy? Arcybiskup uniósł drugą stopę, by ją również umyło.

– Tyren jest bardzo niezadowolony. Mówi się o wysłaniu listu potępiającego.

– Listu potępiającego! To bardzo typowe – odparł ze wzgardą Tavalisk. – Drzę na samą myśl o nim. Tyren znowu udaje nabożnego fanatyka.

– W Today doszło do zamieszek, Wasza Eminencjo.

– Proszę, proszę. Świetnie się sprawiłeś, Gamilu. Arcybiskup podniósł wzrok. Zauważył na twarzy swego sekretarza ślad samozadowolenia.

– To nie było nic takiego. Wasza Eminencjo. Tylko paru aktorów umieszczonych we właściwych miejscach. Jeden udawał rycerza i spalił flagę Toolay, a drugi podsycił gniew tłumu.

– Spalił flagę Toolay! Widzę, że powinienem mieć się na baczności, Gamilu, żebyś nie stał się za sprytny dla własnego dobra.

Tavalisk uniósł tłuste ramię, by poddać je myciu.

– Natchnieniem była dla mnie przebiegłość Waszej Eminencji. Gamil usiłował pochlebstwem znaleźć wyjście z niezręcznej sytuacji.

– Lepiej nie zapominaj, jak bardzo potrafię być przebiegły, Gamilu. – Tavalisk uśmiechnął się do niego dobrodusznie. – Czy więc możemy się spodziewać, że w najbliższej przyszłości w Toolay uchwalą prawo zakazujące wstępu rycerzom?

– Tak sędzę, Wasza Eminencjo.

– A co z naszym rycerzem?

Łaziebna nacierała teraz olejkami tłuste barki arcybiskupa.

– Przed kilkoma dniami opuścił Ness. Sędzę, że mniej więcej jutro powinien dotrzeć do chatki mędrca.

– Świetnie. A co z tą jego dziewczyną, Gamilu? Czy dobrze ją traktujemy?

– Tak dobrze, jak na to zasługują prostytutki,

Wasza Eminencjo.

– No, no, Gamilu. Wszyscy wiemy, że za uszkodzone towary można dostać jedynie marną cenę.

– Postaram się dopilnować, by nie została uszkodzona, Wasza Eminencjo. Niemniej loch, w którym ją przetrzymujemy, jest ciasny i wilgotny, a na domiar złego dociera do niego powietrze z nad gnojowiska.

– Cóż, zrób. co będziesz mógł. – Arcybiskup zwrócił się do łaziebnej. – Więcej esencji zapachowych, dziewczyno.

– Jeśli Wasza Eminencja pozwoli, pójdę już. Mam wiele spraw do załatwienia.

– Czy mogę ci coś zasugerować, nim odejdiesz, Gamilu?

– Oczywiście, Wasza Eminencjo.

– To nie byłby taki zły pomysł, gdybyś ty również od czasu do czasu się kąpał. Nie godzi się, żeby mój sekretarz śmierdział jak śnięta przed tygodniem mątwą.

Z przyjemnością zauważył, że twarz Gamila przybrała odcień jadowitej czerwieni. Sługa oddalił się pośpiesznie. Gdy tylko sobie poszedł, arcybiskup ujął w dłonie egzemplarz księgi Maroda. Stronica, którą studiował, była już sfatygowana. Przeczytał ją raz jeszcze:

*Gdy ludzie honoru złoto przedłożą nad łaskę  
Gdy dwa wielkie mocarstwa złączą się w jedno  
Świątynie upadną  
Powstanie imperium mroku  
A na świat spłyną zguba i zniszczenie  
Zjawi się człowiek nie mający ojca ni kochanki  
Lecz obiecany innemu Który uwolni kraj od klątwy.*

Tavalisk uśmiechnął się lekko. W jego głowie zakiełkowała pewna myśl.

Maybor czekał w zamkowych stajniach. Traff zażądał spotkania. Budynek był bardzo obszerny, lecz w boksach stało niewiele koni. Wielu młodych lordów i dziedziców wyruszyło na wojnę z Halcusami, zabierając ze sobą swych ludzi i ich wierzchowce. Maybor pomyślał, że już najwyższy czas, by Kedrac uczynił to samo. Jego dwaj pozostali synowie wyjechali przed dziesięcioma dniami, by wziąć udział w walkach toczonych na wschód od Nestora. Jego pierworodnemu przydałoby się oderwać na pewien czas od spraw dworu.

Od kilku dni Kedrac demonstracyjnie lekceważył ojca. Gdy ostatnio natknęli się na siebie przypadkiem w sali jadalnej, jego syn udał, że go nie widzi. Wielu dworzan zauważyło owo przedstawienie i od tego czasu było ono tematem wielu zjadliwych uwag.

Tak, pomyślał Maybor. Obu im wyjdzie na zdrowie, jeśli Kedrac opuści dwór na kilka miesięcy. Chłopak będzie miał szansę ochłonać, on sam zaś” uwolni się od napięcia, które odczuwał na widok syna. Był on stanowczo zbyt impulsywny i nieustępliwy. Maybor przypomniał sobie jego matkę, swą pierwszą żonę. Nie tylko była kaleką, lecz również brakowało jej piątej klepki. Może to tłumaczyło temperament jego pierworodnego. Zdecydowanie wolał towarzystwo dwóch młodszych synów i po cichu pragnął, by to któryś z nich odziedziczył po nim włości. To jednak zapewne nie miało się zdarzyć, chyba żeby Kedrac zginął na froncie.

Z zamyślenia wyrwało go przybycie Traffa. Na jego widok wielmoża poczuł gwałtowny wstręt. Nienawidził najemników. W jednej chwili walczyli po stronie królestw, a w następnej przechodzili do obozu Halcusów. Ich panem mógł być każdy, kto był gotów zapłacić. Walczył w wielu bitwach i wiedział, że najemnicy pierwsi uciekali z pola, gdy zanosilo się na klęskę, i pierwsi rabowali trupy w przypadku zwycięstwa. Gardził nimi każdy honorowy żołnierz.

Traff starannie sprawdził sąsiednie boksy.

– Gdy chodzi o lorda Baralisa, nigdy dość ostrożności – wyjaśnił. – On potrafi dotrzeć w każdy



punkt zamku.

– Naprawdę?

Maybor starał się zachować znudzony ton, choć w rzeczywistości był bardzo zainteresowany wszelkimi informacjami o swym wrogu.

– Tak. Jest tu cała sieć tuneli. Baralis jest jedynym, który potrafi z nich korzystać.

– Słyszałem o nich.

Maybor wiedział, że Harvell Gwałtowny kazał ponoć zbudować kilka tajnych przejść mających służyć miłośnym schadzkom i ucieczce, nie miał jednak pojęcia, że jest ich tak wiele, jak twierdził Traff. Jeśli Baralis miał dostęp do wielu komnat w zamku, to samo mogło dotyczyć jego własnej. Z pewnością tłumaczyłoby to oba zamachy na jego życie.

– Byłeś w tych tunelach? – zapytał od niechcienia.

– Być może.

Traff nadal nie chciał odkryć swych kart.

– Chyba czas już na szczerą rozmowę, przyjacielu. Chcę raz na zawsze usunąć Baralisa, ale potrzebna mi do tego pomoc. Jeśli mi jej udzielisz, pomożesz również sobie.

– Wygląda na to, że jesteś szczerzy. Zrewanżuję ci się tym samym – odrzekł Traff. – Zgodzę ci się pomóc, ale musisz przystać na moje warunki.

– Wymień je.

Na to właśnie czekał Maybor.

– Po pierwsze, chcę z góry dwieście sztuk złota gotówką. Traff popatrzył na wielmożę, który skinął głową.

– Zgadzam się.

– Po drugie, nie podejmę się roli skrytobójcy. Jestem gotów pomóc ci w inny sposób. Zdradzić szczegóły jego planów, wskazać drogę do kryjówek, opowiedzieć o umiejętnościach, którymi dysponuje, i tak dalej. Nie jestem jednak aż tak głupi, żeby próbować zamachu na jego życie.

– Zgoda. – Maybor spodziewał się podobnego warunku. – Coś jeszcze?

Traff umilkł na chwilę, przyglądając się twarzy swego rozmówcy.

– No gadaj, człowieku – powiedział zmęczony oczekiwaniem wielmoża.

– Chciałbym się ożenić.

Najemnik umilkł raz jeszcze. Maybor zastanawiał się, do czego zmierza jego rozmówca.

– Dam posag dziewczynie, którą wybierzesz – zapewnił, sądząc, że Traffowi chodzi o więcej pieniędzy pod przykrywką posagu.

– Dziewczynie, którą mam na myśli, będziesz musiał dać posag – odparł najemnik.

Maybor znieruchomiał. Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Jediną dziewczyną, której musiał dać posag, była jego własna córka. Z pewnością ten człowiek nie miał zamiaru poślubić Melliandry. Jego córki! Przecież gdyby nie uciekła, mogłaby zostać królową. Jak śmiał proponować tak nieprawdopodobny związek! Melliandra należała do niego i nigdy nie odda jej takiej nędznej świni.

– Czy wiesz, co mówisz? – zapytał, niebezpiecznie bliski utraty panowania nad sobą.

– Potrzebuję żony, a twoja córka będzie w sam raz. Jest ładna, ale wątpię, by wielu szlachetnie urodzonych zechciało się teraz z nią ożenić.

Traff uśmiechnął się głupkowato. Maybor nie mógł się pohamować. Spoliczkował go z całej siły.

– Jak śmiesz tak mówić o mojej córce?

– Daj spokój, lordzie Mayborze. – Traff zachował spokój. Był nawet lekko rozbawiony. – Musisz zdawać sobie sprawę, że dziewczyna, która ucieka z domu i ląduje w Duvitt, ubiczowana jako kurwa, nie jest atrakcyjną partią. Powinieneś się cieszyć, że się od niej uwolnisz. Nigdy już nie będzie mogła wrócić na dwór. Gdyby się tu pojawiła, przyniosłaby ci tylko wstyd.

Choć Maybor był wściekły, zdał sobie sprawę, że w słowach najemnika kryje się ziarno prawdy. Cały dwór wiedział już, że jego córka uciekła z zamku. Traff miał rację. Nie ożeni się z nią nikt zainteresowany prestiżem i pozycją. Znaleźliby się ludzie gotowi to zrobić, pomniejsi lordowie i dziedzice, którym chodziło o pieniądze, lecz nimi właśnie Maybor gardził najbardziej. Uciekając, Melliandra zmarnowała sobie życie. Mogła zostać najwyżej postawioną kobietą w królestwach, a teraz upadła tak nisko, że ojej rękę prosił zwykły najemnik.

Popatrzył na Traffa, który czekał na odpowiedź. Jedno było pewne. Nigdy nie pozwoli, by ten człowiek ożenił się z jego córką. Melliandra mogła okazać nieposłuszeństwo i okryć go hańbą, lecz nadal ją kochał i myślał o tym, że ktoś taki mógłby jej choćby dotknąć, wstrząsała nim do głębi. Prędzej go zamorduje, niż do tego dopuści. Miał ochotę zrobić to już w tej chwili, za to tylko, że zasugerował coś takiego. Co by mu to jednak dało? Jeśli miał ją odnaleźć, potrzebował pomocy Traffa. Musiał się zgodzić na jego propozycję. Nie miał innego wyjścia. Zaczerpnął głęboko tchu, lecz w tej samej chwili poprzysiągł uroczyście w duchu, że najemnik nie doczeka dnia ślubu.

– A więc moja córka żyje. Kiedy widziałeś ją po raz ostatni? Maybor przekonał się, że nie jest w stanie wypowiedzieć słów:

“Możesz poślubić moją córkę”. Paliły mu gardło.

– Zgadzasz się na moją propozycję?

Traff był podejrzliwy. Maybor zdał sobie sprawę, że musi spróbować go przekonać.

Zaczerpnął głęboko tchu.

– Masz rację, przyjacielu. Nikt nie zechce się z nią ożenić. Jest dla mnie tylko ciężarem niby kamień u szyi. Jeśli ją znajdziesz, będzie należała do ciebie. Nadal jest moją córką, możesz więc być pewien, że otrzyma odpowiedni posag. – Dodał na koniec: – Ale jeśli po ślubie dowiem się, że nie traktujesz jej dobrze, pożałujesz, że kiedykolwiek ją ujrzałeś. Mogła okryć mnie wstydem, ale pozostaje moją córką i nie pozwolę, żeby ktokolwiek ją maltretował.

Te słowa okazały się skuteczne. Z twarzy Traffa zniknęło niedowierzanie.

– A więc zgadzamy się, że będę się mógł z nią ożenić, jeśli ją odnajdę. Na jak wysoki posag mogę liczyć? Będę oczywiście potrzebował środków wystarczających do tego, by zapewnić twej córce życie, do jakiego przywykła.

Maybor nie mógł niemal uwierzyć własnym uszom.

Czy bezczelność tego człowieka nie miała granic? Zazgrzytał zębami.

– Moja córka nie będzie żyła w biedzie. – Usiłował zapanować nad sobą. – To kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

– Lordzie Mayborze, mówiłem już, że nim na cokolwiek się zgodzę, muszę dostać forszę z góry. Jestem gotów powiedzieć ci wszystko, co wiem, ale najpierw muszę zobaczyć gotówkę... no wiesz, dla bezpieczeństwa.

Maybor mógł tylko skinąć głową. Bezczelność najemnika odebrała mu mowę. Było absurdem, że ktoś taki nie chciał mu wierzyć na słowo w kwestiach finansowych.

– Przynieś pieniądze tutaj, jutro o tej samej porze. Pamiętaj o dyskrecji. Baralis wszędzie ma oczy.

Traff oddalił się zawadiackim krokiem.

Maybor czuł silną pokusę udania się do Baralisa, celem poinformowania go, że jeden z jego ludzi dopuścił się zdrady. Był pewien, że królewski kanclerz potrafiłby wymyślić odpowiednio straszliwą karę dla najemnika. Na Borca, ten człowiek na nią zasługiwał!

Wracając do zamku, zdał sobie sprawę, że nawiedziło go nieznane uczucie. Pod gniewem kryło się coś innego. Minęła chwila, nim zrozumiał, co to

jest. Wstydział się. Cóż z niego był za ojciec? Nie tylko wchodził w kłopoty z gwałtcielem własnej córki, lecz również obiecał mu jej rękę!

Szukali schronienia na noc. Było jeszcze jasno, ale doświadczenie nauczyło ich, że zimą noc zapada w lesie szybko. Zadanie znalezienia miejsca, w którym mogliby się położyć, przypadło Melli. Jack miał poszukać wody.

Od chwili, gdy opuścili gospodarstwo staruszki, niemal cały czas podążali wzdłuż wschodniego traktu, zawsze pamiętając o tym, by kryć się pod osłoną drzew. Niekiedy okazywało się to trudne, gdyż drogę przegradzały im strumienie albo rowy. Marnowali wiele czasu na ominięcie tych przeszkód, starając się nie stracić z oczu gościńca.

Pogoda wyraźnie się poprawiła, choć, jak przewidział to Jack, była to zapowiedź śniegu. Zaczął sypać wczesnym rankiem i nie ustawał przez cały dzień. W gruncie rzeczy, łatwiej było wędrować obok traktu, który szybko zamienił się w grząskie błoto. Widzieli jedynie nielicznych wędrowców, którzy mieli wielkie trudności z kierowaniem wozami oraz zwierzętami pociągowymi w powstałym grzęzawisku.

W lesie głęboko sięgające korzenie drzew unieruchamiały glebę i choć stopy wędrowców się

ślizgały, grunt nie był tak zdradziecki, jak na drodze. Śnieg topniał szybko. Było go za mało, a ziemia była zbyt ciepła. Woda spływała rowami do niezliczonych potoków i strumyków, których sieć przesywała las.

Miniony tydzień uspokoił Melli. Cieszyła się, że znowu jest w lesie, wędruje, oddychając rześkim powietrzem i podziwia surową scenerię zimy. Po wielu dniach zamknięcia w małym magazynie, radowała ją swoboda, możliwość wybierania drogi i określania tempa podróży. Dopóki przebywała na szlaku, musiała podejmować jedynie proste decyzje: ile zjeść, gdzie spać, kiedy odpocząć. Gdy podróż się skończy, znowu będzie musiała martwić się światem rzeczywistym.

Oboje z Jackiem wiedzieli, że ktoś ich ściga, zapewne ludzie z psami. Nie dalej jak wczoraj słyszeli znajomy tętent kopyt świadczący o zbliżaniu się grupy jeźdźców. Chłopak zareagował błyskawicznie. Wepchnął ją do rowu i przykrył ich oboje warstwą wilgotnych liści. Strażnik przejechał obok. Choć żadne z nich tego nie powiedziało, oboje poczuli ulgę, że nie doszło go konfrontacji. Melli drżała na myśl o tym, co mogłoby się wówczas wydarzyć.

Jack nie wspominał o incydencie w domku myśliwskim. Melli szanowała jego milczenie i również o tym nie mówiła. Była jednak pewna, że chłopak o



nim myśli, gdyż czasami twarz bladła mu nagle, a oczy nabierały błędnego wyrazu. Raz czy dwa wykrzyknął przez sen pełne udręki słowa, których nie zrozumiała. W trakcie wędrówki chciała podejść do niego, by go pocieszyć, powiedzieć mu, że wszystko będzie dobrze, Jack jednak zmieniał się, z każdym dniem był coraz bardziej odległy i jeśli chciała być ze sobą szczerą, musiała przyznać, że wcale nie jest przekonana, czy ich sytuacja szybko się poprawi.

Tak, zmienił się, pomyślała, przyglądając się, jak chłopak zdiera z przeznaczonego na opał drewna wilgotną korę. Stał się bardziej dojrzały, pewniejszy siebie. Utracił młodzieńczą gładkość czoła, a na jego skroniach można było dostrzec zmarszczki zmartwienia. Uklękła obok niego, rozpościerając koc na wilgotnej ziemi.

– W taką noc nieprzyjemnie przebywać pod gołym niebem. Wyjęła z plecaka soloną wieprzowinę i zaczęła ją kroić.

– Dlatego pomyślałem sobie, że rozpalimy ognisko.  
– Rąbał zawzięcie korę, odsłaniając ukryte pod spodem drewno. – Powinno już się zapalić.

– Jesteś pewien, że to bezpieczne? A jeśli ludzie Baralisa zauważą dym?

– O ile przebywają w lesie, tak jak my, nic nie

zobaczą za zasłoną drzew. Wiem, że to ryzykowne, ale jesteśmy dość daleko od traktu, a chyba przydałoby ci się trochę ciepła.

Uśmiechnął się blado, po raz pierwszy tego dnia.

– Proszę cię, nie rozpalaj ogniska z mojego powodu. Wcale nie marznę. Sukienka, którą dostałam od staruszki, jest gruba i dobrze chroni przed chłodem.

– Melli, nos i ręce zsiniały ci z zimna. Proszę – wręczył jej koc – owiń się tym.

Wzięła od niego derkę i zaczęła się przyglądać, jak rozpala ognisko. Wreszcie udało mu się tego dokonać. Szczapy trzaskały miło, wydzielając przyjemny zapach dymu i lasu. Skulili się oboje, by ogrzać dłonie i stopy. Melli zarzuciła koc na głowę, by osłonić ją przed padającym śniegiem.

– Co zrobisz, kiedy już dotrzesz do Brenu? – zapytała.

– Jeśli w ogóle tam dotrę – odparł, strugając kawał drewna Jack. Westchnął głęboko. – Nie wiem. Mógłbym pewnie zostać uczniem piekarskim, ale chyba mam już trochę za dużo lat, żeby ktoś zechciał mnie przyjąć.

W jego głosie zabrzmiała gorycz.

– Z pewnością mógłbyś znaleźć jakieś inne źródło utrzymania? – Melli zastanowiła się pośpiesznie. –

Kiedy znajdziemy się w Annisie, mogłabym wyciągnąć od krewnych trochę grosza, żebyś mógł sobie kupić ziemię na gospodarstwo.

– Jestem przekonany, że twoi krewni nie zechcą dać ci pieniędzy na pożyczkę dla piekarczyka. – Wrzucił szczapę do ognia. – Melli, nie musisz się przejmować moją przyszłością. – Jego głos brzmiał teraz łagodniej. – Nie martw się o mnie. Martw się raczej o siebie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Kiedy ostatnio otrzymałaś list od tych krewnych? Skąd wiesz, że cię przyjmą? Mogą cię odesłać prosto do ojca.

– To nie są jego krewni. Matka miała młodszą siostrę. Chyba nazywała się Eleanor. Wyszła za drobnego lorda z Annisu. Mam nadzieję, że jeszcze żyje, a jak nie ona, to chociaż ktoś z jej krewnych. Nigdy do nas nie pisała. Nie znam nawet imienia jej męża, ale jestem pewna, że mnie przyjmie, o ile ją znajdę. Matka mówiła, że w dzieciństwie obie bardzo się kochały.

– Twoja matka nie żyje? – zapytał z delikatnością w głosie Jack.

– Umarła już ponad dziesięć lat temu. Ojciec wpędził ją do grobu. Miała okropne życie. Siedziała

zamknięta w zamku, niekochana, a ojciec wdawał się w miłostki z każdą kobietą, która wpadła mu w oko. Nie była silna i nieustanne zgryzoty po prostu wykończyły. – Melli wpatrzyła się intensywnie w płomienie. – Wolałabym marznąć w lesie bez grosza przy duszy, jak w tej chwili, niż żyć tak jak ona.

Milczeli przez jakiś czas, oboje zatopieni w myślach. Śnieg przestał padać, a wiatr uspokoił się. Dym unosił się tuż nad ogniskiem.

– A co z twoją rodziną, Jack? Gdzie są twoi rodzice?

Z początku Melli zdawało się, że jej nie usłyszał. Mijały chwile, a odpowiedź nie nadchodziła. Jack wpatrywał się w ogień, a jego twarz nic nie zdradzała.

– Matka nie żyje od ośmiu lat. Nie mam ojca – rzekł wreszcie, gdy otwierała już usta, by powtórzyć pytanie.

Czekała. Z pewnością można było powiedzieć coś więcej? Ognisko buzowało coraz jaśniej, wypełniając ciepłem zimną noc. Słyszała oddech Jacka, widziała falowanie jego klatki piersiowej. Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem, ku gwiazdom.

– Gdzieś pod niebem są odpowiedzi.

– Jakie odpowiedzi? Potrząsnął głową.

– Nie wiem, Melli. Nie rozumiem bardzo wielu rzeczy. Wydaje się, że nie wolno mi wiedzieć tego, co wszyscy uważają za oczywiste.

– Na przykład czego?

– Prostyh rzeczy – odparł. – Takich jak to, skąd pochodziła moja matka. – Podniósł się, ogarnięty nagłym podnieceniem. – Nigdy nie zrozumiesz, co to znaczy nie mieć ojca, dorastać bez korzeni, nie mieć pojęcia, kim się jest. Tobie jest łatwo, Melli. Masz tyle pewności siebie. Kiedy kogoś spotykasz, nie boisz się, że zapyta cię o twoją rodzinę. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Ja się boję.

– Przepraszam...

– Za co? To nie twoja wina. Zapytałaś mnie o to samo, co każdy.

Podszedł do niej i przykucnął u jej boku. Poczwała, że szuka dłonią jej ręki.

– A teraz jeszcze doszła ta sprawa z najemnikami. Co się we mnie kryje, Melli? Dlaczego jestem inny?

W jego piwnych oczach czaiło się błaganie. Cóż jednak mogła powiedzieć? Z jakiegoś powodu wróciła myślą do swego przeczucia sprzed tygodnia.

– Może jest w tym jakiś cel – odparła, ściskając lekko jego dłoń.

– Jeśli moje życie ma cel, dlaczego sam nie mam

nic do powiedzenia w tej sprawie? – zapytał.

Wiatr wzmógł się, porywając płomienie z ogniska. Melli poczuła nagle chłód. Jack sam udzielił sobie odpowiedzi: gdy los wzywa kogoś do tańca, nigdy nie pyta go o zdanie.

Królowa przyjrzała się swojemu odbiciu w zwierciadle. Wyglądała na znacznie bardziej opanowaną niż w rzeczywistości. Tego właśnie chciała. Wywieranie wrażenia było nieodłączną częścią jej życiowej roli. Musiała wydawać się spokojna, królewska, a nade wszystko zawsze niewzruszona. W ciągu lat, które nastąpiły po wypadku Lesketha na polowaniu, dowiedziała się wiele o tym, jak ważne jest wywieranie na innych wrażenia. Wiedziała, że nie wystarczy być silnym. Trzeba również wyglądać na silnego. Ludzie przywiązywali wielkie znaczenie do pozorów.

Panowała w imieniu męża już od pięciu lat i nie oszukiwała siebie, sądząc, że spisała się dobrze. Udało jej się powstrzymać działające na dworze stronnictwa przed skoczeniem sobie do gardeł, choć musiała przyznać, że część zasługi przypadała konfliktowi z Halcusami. Podczas wojny ludzie są mniej skorzy do swarów. Mimo trwającej kampanii udało jej się

utrzymać dobre stosunki z pozostałymi sąsiadami, dochody z podatków wzrosły – pomijając wschodnie prowincje – a w dodatku cieszyła się sporą popularnością.

Już od wielu lat zdawała sobie sprawę, że musi wzmocnić swą pozycję, a także pozycję swego syna. W Znanych Krainach narastała destabilizacja. Na południu kłopoty wywoływali rycerze z Valdis, na pomocy zaś obawy budziła chciwość diuka Brenu. Musiała się liczyć nie tylko z groźbami zewnętrznymi. Również w domu nie brak było takich, którzy chcieliby ją obalić. W historii Czterech Królestw zdarzały się przypadki, że uzurpator zagarniał siłą tron. Uważano, że przy braku silnego króla staje się on łatwym łupem. Dlatego Arinalda zabiegała o względy najpotężniejszych możnowładców w kraju, tych, którzy mieli ziemie i ludzi oraz dysponowali wystarczająco wielkim bogactwem, by stanowić zagrożenie. Wiedziała, że lepiej jest trzymać potencjalnych wrogów we własnej zagrodzie. Była to niebezpieczna gra, lecz Arinalda prowadziła ją dobrze. Nikt nie rzucił wyzwania jej rządowi, w królestwach panował spokój, a pozycja jej syna jako dziedzica tronu wyglądała na pewną.

Ostatnim elementem jej planu było zaaranżowanie



małżeństwa syna z córką najpotężniejszego z owych możnowładców, lorda Maybora. Niestety, wszystko spaliło na panewce. Niewątpliwie było to winą upartej córki wielmoży. Głupiej dziewczynie strzeliło do głowy, by uciec, przez co zniweczyła polityczne zamiary królowej i kraju. Miała nadzieję, że jeśli Maybor ją odnajdzie, da jej porządne lanie, a potem ją wydziedziczy. Nie istniało nic gorszego niż nieposłuszna córka. Lady Melliandra zrobiła jej wielką krzywdę. To przez nią Arinalda była zmuszona zawrzeć układ z człowiekiem, którym najbardziej gardziła – królewskim kanclerzem, lordem Baralisem.

Poszła o zakład i przegrała. Musiała teraz zapłacić umówioną cenę. Zmuszała ją do tego duma. Właściwie nie żałowała tego. Jej mąż potrzebował lekarstwa Baralisa. Żaden inny wypróbowany do tej pory środek nie pomógł mu w równym stopniu. Zakład był w pewnym sensie uczciwy, a na dodatek nie wątpiła, że wygra. Teraz jednak zrozumiała, iż okazała naiwność, sądząc, że Baralis powstrzyma się od oszukiwania. Żywiła silne podejrzenie, że przechylił szalę na swoją korzyść. Z pewnością rozkazał najemnikom pojmać dziewczynę, nim odnajdzie ją Królewska Straż. Niestety nie mogła mu niczego dowieść, musiała więc przyznać się do porażki.

Jaką cenę zapłaci za pragnienie wyleczenia męża?  
Za łatwowierność?

W każdej chwili spodziewała się Baralisa. Wezwała go na audiencję i z pewnością nie każe jej czekać. Poprawiła włosy i jeszcze raz spojrzała w zwierciadło. Znajdzie pociechę w swym spokoju i opanowaniu. Nie da mu satysfakcji i nie straci panowania nad sobą. Zjawił się jej pokojowy.

– Lord Baralis czeka na Waszą Wysokość w komnacie audiencyjnej – oznajmił, kłaniając się nisko.

Skinęła głową i sługa wyszedł.

Postanowiła, że nie będzie obecna, gdy zjawi się królewski kanclerz. Niech sobie trochę poczeka. Takie posunięcie zapewni jej tylko niewielką przewagę, lecz mimo to zamierzała ją wykorzystać. Wypełniła puchar w jednej czwartej winem i dodała wielką ilość wody. Musi zachować przytomność umysłu.

Sączyła trunek powoli, zdecydowana nie ulec pośpiechowi. Gdy już uznała, że upłynął wystarczająco długi okres i Baralis z pewnością poczuł się poirytowany, wstała i po raz ostatni przyjrzała się sobie w zwierciadle. Zawsze pamiętała, by ubierać się po królewsku. Na jej szyi lśniły jasno klejnoty koronne. Zaczerpnęła głęboko tchu i udała się na spotkanie ze swym przeciwnikiem.

Weszła do komnaty audiencyjnej. Królewski kanclerz stał przy oknie. Zbliżył się do niej pośpiesznie i pokłonił nisko.

– Lordzie Baralisie – powiedziała, pochylając lekko głowę. Nie zamierzała przeproszać go za spóźnienie.

– Wasza Wysokość, bardzo się cieszę na twój widok. Mam nadzieję, że jesteś zdrowa?

Królowa pomyślała, że słyszy w jego głosie lekkie podenerwowanie. Nie lubił, gdy kazano mu czekać.

– Czuję się dobrze, lordzie Baralisie. Niestety, nie mogę powiedzieć tego samego o mym mężu. Twoja obecność w jego komnacie była nie do przyjęcia. Nie będę dłużej tolerowała podobnych incydentów.

– Wasza Wysokość może być pewna, że to się już nie powtórzy. Był tak bardzo wytworny, tak pewny siebie. Nie zamierzała ułatwiać mu zadania. Odwróciła się do niego plecami i podeszła do okna.

– Jestem pewien, iż Wasza Wysokość zdaje sobie sprawę, że upłynął już termin naszego małego zakładu.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Proszę mi powiedzieć, czy udało się odnaleźć dziewczynę?

– zapytał.

Arinalda z najwyższym wysiłkiem powstrzymała się przed okazaniem wściekłości.

Czy udało się znaleźć! Dobre sobie!

– Daj spokój, lordzie Baralisie, doskonale wiesz, że się nie udało. – Jej głos był spokojny, lecz brzmiała w nim nuta ostrzeżenia.

– Nie próbuj ze mnie drwić, panie, bo nie wyjdiesz na tym dobrze. Miał zamiar odpowiedzieć, lecz królowa powstrzymała go uniesieniem ręki. Paż napełnił jej puchar winem. Nie dołała do niego wody. Wolała, by Baralis sądził, że pije nie rozcieńczone. W rzeczywistości kazała rozwodnić je wcześniej. Nie zaproponowała poczęstunku królewskiemu kanclerzowi. Odprawiła gestem pazia. Oboje z Baralisem czekali w milczeniu, aż drzwi zamkną się za odchodzącym.

– Ponieważ dziewczyny nie odnaleziono, muszę się domagać należnej zapłaty. Wiem, że Wasza Wysokość jest nadzwyczajną kobietą i z pewnością dotrzyma słowa.

– Oszczędź sobie trudu, lordzie Baralisie. Twoje pochlebstwa nie mają dla mnie wartości. Wolałabym od razu przejść do rzeczy.

– Jesteś bardzo bezpośrednia, pani.

– Tego samego domagam się od ciebie.

Zauważyła jego dłonie. Starał się chować je za plecami albo pod płaszczem, nie mógł jednak ukrywać

ich cały czas. Były powykęcane i zniekształcone. Co dziwne, widok ten dodał jej siły.

– Proszę bardzo, Wasza Wysokość, będę mówił szczerze. Książę Kylock osiągnął już wiek, w którym powinien się ożenić. Córka lorda Maybora, Melliandra, nie jest już odpowiednią kandydatką na jego żonę. Jestem pewien, że zgodzisz się ze mną?

Popatrzył na nią, oczekując potwierdzenia.

– Mów dalej.

– Chyba rozumiem motywy, jakimi kierowałaś się, chcąc tego małżeństwa. Chodziło o wzmocnienie pozycji twego syna poprzez sojusz z potężnym możnowładcą.

– A jeśli nawet, to co? – odparła ostrym tonem. Miała wrażenie, że Baralis próbuje ją manipulować.

– To polityka godna polecenia. Zgadzam się z nią całym sercem. Pochwalam czynione przez Waszą Wysokość wysiłki. Sądzę jednak, że mierzyłaś nieco zbyt nisko.

– Co masz na myśli?

Jej głos był zimny jak kamień.

– To, Wasza Wysokość, że jeśli chcesz zabezpieczyć pozycję własną i swego syna, istnieją na to lepsze sposoby niż ożenienie księcia Kylocka z córką jakiegoś miejscowego wielmoży.

– A kogo powinien poślubić twoim zdaniem, Baralisie? Pod wpływem gniewu zapomniała o kurtuazji.

– Catherine z Brenu. Jedyne dziecko diuka. – Arinalda była zbyt oszołomiona, by odezwać się choć jednym słowem. Baralis postanowił to wykorzystać. – Nie muszę ci tłumaczyć, jak potężny jest Bren – ciągnął. – Liczebność jego armii jest legendarna. Nosi nazwę księstwa, ale jest bogatszy i ludniejszy niż Cztery Królestwa. Taki sojusz przyniósłby chwałę naszemu krajowi, a ciebie, moja królowo, historia słałaby za wkład w doprowadzenie do tak udanego i ważkiego związku.

Arinalda zachowała zewnętrzny spokój, lecz była całkowicie wytrącona z równowagi. Sojusz z Brenem. Taka możliwość nawet nie zaświtała jej w głowie. Sądziła, że Baralis upatrzył sobie córkę innego możnowładcy. Bren leżał bardzo daleko, był obcy i nieznany.

Słyszała słowa kanclerza i rozumiała, że stanowią próbę odwołania się do jej osobistej ambicji. Któż nie chciałby zapisać się w historii? Och, Baralis potrafił pięknie przemawiać. Przedstawił jej oszałamiającą wizję i Arinalda musiała przyznać, że jest ona nadzwyczaj kusząca.

– Czy nawiązałeś w tej sprawie kontakt z diukiem Brenu? Nie pozwoliła, by w jej głosie zabrzmiało zainteresowanie.

– Pozwoliłem sobie to uczynić, choć przedstawiłem sprawę jedynie jako hipotetyczną możliwość.

Była pewna, że Baralis kłamie. Z pewnością planował wszystko od miesięcy, może nawet lat.

– Czy więc, hipotetycznie, diuk jest zainteresowany podobnym związkiem?

– Więcej niż zainteresowany, Wasza Wysokość. Jest mu bardzo przychylny. On również pragnie wzmocnić swą pozycję. Nie ma syna. – Baralis przerwał dramatycznie. – Jeśli owo małżeństwo dojdzie do skutku, twój syn stanie się dziedzicem tronów dwóch najpotężniejszych mocarstw północy. – Królowa nigdy jeszcze nie widziała go tak ożywionym. – Pomyśl o tym, Wasza Wysokość. Bren i Cztery Królestwa... cóż za wspaniałe sojusze mogłyby stworzyć.

– Diuk może i jest zainteresowany, ale nie mogę usankcjonować małżeństwa syna, nie zobaczywszy kandydatki na żonę. – To była pierwsza obiekcja, która przyszła jej do głowy. – Kobieta, którą poślubi mój syn, musi być odpowiednia pod każdym względem. Nic nie wiem o Catherine z Brenu.

Ku jej zdumieniu Baralis uśmiechnął się zachwycony. Wsadził rękę pod płaszcz i wydobył stamtąd jakiś przedmiot, który wręczył jej zamaszystym gestem.

– Wasza Wysokość, przedstawiam ci ją.

Wzięła miniaturę w rękę. Była mała, mieściła się w jej dłoni. Wyobrażała młodą dziewczynę, piękność o anielskiej twarzy, różowych wargach pełnych słodyczy i niebieskich oczach będących uosobieniem niewinności. Jej złociste loki przypominały niemal aureolę.

– Skąd mam wiedzieć, czy to wierna podobizna?

– Mam listy potwierdzające od samego diuka i jego arcybiskupa.

– Jak dawno temu powstała?

– Nie dalej niż przed sześcioma miesiącami. Catherine wkrótce skończy osiemnaście lat.

– Czy jest chętna temu małżeństwu?

– Pozwoliłem sobie wysłać diukowi podobiznę księcia Kylocka. Zapewnił mnie, że jego córka spogląda na niego nader przychylnym okiem.

– Mam wrażenie, lordzie Baralisie, że pozwoliłeś sobie na bardzo wiele – zganiała go królowa.

– Z całym należnym szacunkiem, Wasza Wysokość, jestem królewskim kanclerzem.



Popatrzyli sobie w oczy, poddając się wzajemnej ocenie.

– Lordzie Baralisie – ciągnęła królowa pełnym godności tonem. – Przedstawiłeś swą propozycję bardzo sugestywnie. Niemniej jednak, nie zamierzam podejmować pochopnych decyzji w tak ważnej kwestii. Sprawa małżeństwa mego syna wymaga poważnego i długiego rozważenia. – Przerwała na chwilę. – Zdaję sobie sprawę, że mam wobec ciebie pewne zobowiązania, ale chyba nie mylę się, twierdząc, że obiecałam jedynie, iż wezmę pod uwagę twą propozycję. Daję ci słowo, że tak uczynię.

Była świadoma, że usiłuje pomniejszyć znaczenie zakładu, miała jednak pewność, że w tak kluczowym momencie negocjacji Baralis nie będzie chciał rozszczepiać włosa na czworo.

– Wasza Wysokość jest nadzwyczaj łaskawa – powiedział, kłaniając się lekko. – Nie mógłbym prosić o więcej.

– Dziękuję, lordzie Baralisie. Możesz odejść.

Wciąż trzymała miniaturę w dłoni. Sądziła, że kanclerz poprosi o jej zwrot, nie uczynił jednak tego. Pokłonił się raz jeszcze i opuścił komnatę.

Po jego wyjściu odetchnęła z ulgą i kazała nalać sobie trochę nie rozcieńczonego wina. Następnie

usiadła i wpatrzyła się w podobiznę Catherine z Brenu. Nigdy w życiu nie widziała piękniejszej dziewczyny. Zrozumiała, dlaczego Baralis nie zażądał zwrotu portretu. Nikt, kto widział podobną twarz, nie mógł nie poczuć sympatii. Roześmiała się bez wesołości. Baralis z całą pewnością był mistrzem manipulacji.

Choć Tawl już od pięciu długich lat nie był na północno-wschodnich równinach, pamiętał je dobrze: łagodne zbocza, otwarte niebo, chłodne wiatry i urodzajna ziemia. Była to rolnicza kraina, hojnie obdarowana przez naturę. Gleba była żyzna i płodna, a rzeki czyste i lśniące.

Plamy śniegu, który niedawno spadł na okolicę, zwiększały tylko jej piękno w oczach rycerza. Jego nastrój poprawił się, po raz pierwszy od wielu dni. Wychowywał się na Wielkich Bagnach, gdzie ziemię często przykrywała woda, a gleba była jedynie błotem. Nawet jeśli rolnikom udawało się wydusić z niej jakieś plony, często były skażone rdzą. Wilgotna ziemia sprzyjała chorobom. Tawl, podobnie jak większość mieszkańców bagien, wysoko cenił błogosławieństwo, jakim jest żyzna gleba, a północno-wschodnie równiny mogły się pochwalić najżyźniejszą glebą na świecie.

Obaj z Kosiarzem zmierzali wciąż na północ. Wkrótce rycerz zaczął rozpoznawać charakterystyczne

punkty orientacyjne: zagajnik, łuk strumienia, pochyłość terenu. Wiedział, że zbliżają się do chaty Bevlina. Przez cały dzień nie widzieli żadnej wioski, czy nawet samotnego gospodarstwa. Mędrzec żył we względnym odosobnieniu. Nie zamykał się przed światem, a jedynie zachowywał od niego dystans.

W miarę, jak się zbliżali, Tawł czuł narastające napięcie. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego ta wizyta jest dla niego tak ważna. Było prawdą, że Kosiarz potrzebował pomocy – stan chłopca pogorszył się od wczoraj i rycerz podejrzewał, że rozwinęła się gorączka – lecz był to jeden z powodów, które go tu wiodły. Miał własne problemy. Liczył na to, że Bevlin będzie w stanie pomóc i jemu. Pomóc w wymazaniu tego, co zobaczył w jego oczach pijak. Jego słowa nie przestawały prześladować Tawła: „Larn! Masz w oczach piętno Larnu”.

Skierowali się ku skupisku drzew. W miarę, jak posuwali się naprzód, las stawał się coraz gęstszy: wielkie, strzeliste dęby o nisko opuszczonych ciężkich konarach, oplecione bluszczem. Znał ten bór. Po jego drugiej stronie znajdowało się domostwo Bevlina. Przypomnił sobie pewną noc sprzed pięciu lat, gdy wędrował przez ten sam las. Był wówczas zupełnie bezbronny, dręczony rozpaczliwym pragnieniem

znalezienia misji. Tyren obiecał mu chwałę. Potrzebował jej tak bardzo, że ta perspektywa zwała go z nóg.

Na twarzy Tawla przemknął cień uśmiechu. Owo pożądanie było jedynie próbą wyrównania rachunków z przeszłością. Porzucił siostry, pozostawiając je pod opieką człowieka, który interesował się tylko tym, co jutro wypije. Musiało mu się udać. Porażka oznaczałaby, że opuścił rodzinę, nie zdobywając w zamian nic, a z tą myślą nie potrafiłby żyć. Misja i trzeci krąg stały się synonimem sukcesu. Jego osiągnięcie było jedynym, co się liczyło. Według takich kryteriów się osądzał. Nie było dla niego odkupienia, mógł jednak przynajmniej coś osiągnąć, jakiś wartościowy drobiazg, dzięki któremu jego życie nie będzie zmarnowane.

Wróciły do niego słowa Megan: “To miłość uwolni cię od twych demonów, nie bohaterskie czyny”. Myliła się. Miłość była poza jego zasięgiem, a demony zawsze będą mu towarzyszyć. Mógł liczyć co najwyżej na to, że uciszy na chwilę ich oskarżycielskie głosy.

Drzewa ponownie zaczęły rzednąć. Tawl zauważył przed sobą polanę. Skierował konia w jej stronę. Wyjechawszy spomiędzy drzew, zobaczyli małą chatkę. Przed nią znajdował się ogród warzywny, z

tyłu zaś otoczona płotem zagroda. Kryjąca domek strzecha była mocno sfatygowana. Gdy wędrowcy podjechali bliżej, drzwi się otworzyły. Stał w nich stary mężczyzna w wymiętych brązowych szatach. Bevlin przywitał ich uprzejmie.

– Wejdz, wejdz. Cieszę się, że znów mogę cię zobaczyć, Tawl. Widzę też, że towarzyszy ci przyjaciel. – Uśmiechnął się promiennie do Kosiarza. – Wyglądasz mi na człowieka, który ma chrapkę na kaczkę w tłuszczu.

– Kaczkę w tłuszczu – powtórzył chłopak z nutą niedowierzania w głosie.

– Ach, więc nigdy nie kosztowałeś tej potrawy? No to czeka cię wyjątkowa uczta. Tak się szczęśliwie składa, że właśnie dziś natłuściłem nową. Coś mi mówiło, że mogą mnie odwiedzić goście.

Wprowadził ich przez niskie drzwi do ciepłej, ciasnej kuchni. Gdy rycerz go mijał, mędrzec uściśnął mu dłoń.

– Dobrze się złożyło, że mnie odwiedziłeś, Tawl. Cieszę się, że znowu cię widzę. – Obrzucił go dociekliwym spojrzeniem. – Dobrze się czujesz? Jesteś trochę błądy.

– Nic mi nie jest, Bevlinie. To chłopiec cierpi na gorączkę. Pochodzi z Rornu i nie jest przyzwyczajony

do zimna.

Odwrócił się od staruszka. Nie przypadły mu do gustu jego oględziny.

– A więc pochodzisz z Rornu, chłopcze. To bardzo interesujące. A jak masz na imię?

– Kosiarz.

Choroba zmniejszyła nieco jego naturalną wylewność.

– No cóż, Kosiarzu, widzę, że masz lekką gorączkę. To nic. Tawł pewnie wspominał ci o lakusie? – Chłopiec potrząsnął głową. – Ten napój poprawi twe zdrowie, ale po jego wypiciu możesz się zrobić trochę senny. Dlatego dam ci najpierw coś do przekąszenia, odrobinę rosołu i plasterk albo dwa kaczki. Dopiero później wypijesz lakus. Po kilku dniach będziesz zdrów jak ryba. – Bevlin zaczął zdejmować ze stołu zwoje i strzepywać kurz z krzesel. – Siadajcie, siadajcie. Marny to gospodarz, który każe gościom stać.

Zasiedli za wielkim drewnianym stołem. Kosiarz z nie skrywaną ciekawością gapił się na niezwykłą kolekcję przedmiotów zapełniających półki i całe wolne miejsce w kuchni.

– Masz mnóstwo rzeczy – zauważył z podziwem w głosie.

– To prawda. Chciałbym tylko wiedzieć, do czego wszystkie służą.

Bevlin napełnił garnuszki odrobiną rosółu i wręczył je gościom.

– Mogę ci powiedzieć, do czego służy to.

Kosiarz wskazał na dziwaczne urządzenie wiszące na ścianie.

– Naprawdę? Jestem tego bardzo ciekaw. Połamał chleb na duże kawały i rozdał je wszystkim.

– Smoluchy używają go do szukania monet wśród plugastwa na ulicach. Tym końcem łapie się pieniążek. W ten sposób nie muszą wsadzać łap w... – Chłopak powstrzymał się na czas. – Oczywiście nie zawsze się udaje i mistrz tego rzemiosła za nic w świecie nie dałby się złapać z czymś takim.

Kosiarz uśmiechnął się z zadowoleniem typowym dla kogoś, kto przekazuje swą wiedzę.

– Mój chłopcze, sądzę, że masz rację. Twoja wizyta okazała się dla mnie nadzwyczaj cenna. – Bevlin pokazał mu kolejny osobliwy przyrząd. – A może wiesz, co to takiego?

– Niestety, w tym nie mogę ci pomóc, przyjacielu.

– Szkoda, Kosiarzu. – Mędrzec westchnął. – Już od wielu lat staram się to odgadnąć. Dał mi to pewien człowiek w Leiss. Byłeś kiedyś w tym mieście,

chłopcze?

Tawł spożywał posiłek w milczeniu. Nie miał ochoty włączać się do rozmowy między mędrcelem a chłopcem. Jedząc, nie spuszczał z oczu Bevlina. Teraz, gdy już dotarł na miejsce, opowiadanie o Larnie i pijackim bredzeniu jakiegoś starca przestało mu się wydawać dobrym pomysłem. Mędrzec nie sprawiał wrażenia kogoś, komu mógłby zaufać.

Bevlin zauważył spojrzenie Tawła. Ich oczy spotkały się na krótką chwilę.

– Chodź już, Kosiarzu – powiedział mędrzec. – Pora już wypić lakus i kłaść się do łóżka.

Nie zważając na protesty chłopca, wyprowadził go z izby. Zamykając za sobą drzwi, omiół Tawła przelotnym spojrzeniem, zapowiadającym, że wkrótce wróci i będą mogli pogadać w cztery oczy.

Gdy rycerz został sam, poczuł ulgę, przekonał się, że nie ma ochoty na rozmowę z Bevlinem. Zaczynał się zastanawiać, skąd przyszło mu do głowy, że mędrzec może mu pomóc.

Maybor po raz drugi przyszedł do stajni. Osobiście wolał gnojowisko, lecz najwyraźniej Traff nie potrafił go znieść. Obok niego stała ciężka drewniana skrzynka zawierająca dwieście złotych monet typowych rozmiarów. Dla każdego byłaby to fortuna. Nawet



Maybor bardzo niechętnie rozstawał się z tak wielką sumą. Był bogaty, lecz podobnie jak większość majątnych ludzi cechował się skąpstwem i nie znoślił płacić za cokolwiek.

Pewne wydarzenia na dworze wzbudziły w nim poważny niepokój. Usłyszał od jednego ze strażników, że dziś rano królowa wezwała Baralisa na audiencję. Odnosił nieodparte wrażenie, że królewski kanclerz znowu coś knuje. Na domiar złego, widział, że konwersował z nim jego własny syn. Jak Kedrac mógł zamienić choć słowo z człowiekiem, który tak poważnie skrzywdził całą jego rodzinę?

Maybor pogadał na osobności z pokojowym swego syna i wypytał go o naturę tej rozmowy. Po należytym posmarowaniu dłoni dziesięcioma sztukami srebra sługa wyjawiał, że Baralis życzył tylko Kedracowi dobrego dnia i zapytał go, czy dobrze się czuje. Dalsze dziesięć srebrników sprawiło, że Maybor miał dowiedzieć się o wszelkich dalszych spotkaniach swego syna z kanclerzem.

Przewidywał, co kombinuje Baralis. Chciał sprawdzić siłę więzów krwi łączących go z Kedracem. Maybor nie czuł się szczególnie zaniepokojony. Kanclerz przekona się, że są one mocniejsze niż mu się zdawało. Syn mógł się z nim pokłócić, ale rodzina

lojalność sięgała głębiej niż jakieś drobne swary. Baralis mylił się poważnie, jeśli sądził, że uda mu się przeciągnąć Kedraca do swego obozu. Myśl, że kanclerz popełnił błąd, uspokoiła Maybora. Były sprawy, których Baralis – jako człowiek nie mający rodziny – nigdy nie potrafi zrozumieć. Nie mógł wiedzieć, co to znaczy być pewnym czyjejś wierności. Musiał polegać na wynajętych ludziach, a Maybor wiedział, jak łatwo skłonić ich do przejścia na drugą stronę. Dowodem na to było dwieście sztuk złota leżące obok niego na ziemi.

Pojawił się Traff, dobrze umięśniony i szeroki w barach, z irytującym uśmiechem na twarzy. Jakże Maybor go nienawidził. Najemnik sądził, że dobił korzystnego targu. Wielmożę drażnił fakt, że minie wiele czasu, nim Traff zda sobie sprawę, jak bardzo się pomylił.

– Dzień dobry, Mayborze. – Sprawdził boksy stajni, wypatrując szpiegów. – Widzę, że przyniosłeś mi podarek.

Zatrzymał wzrok na skrzynce.

– Tyle, ile żądałeś, nic więcej.

Maybor zauważył okazany przez najemnika brak szacunku. Traff nie nazwał go lordem.

– Bądź tak uprzejmy i zechciej ją otworzyć. Nie

mam nic przeciwko tobie, ale w swoim zawodzie nauczyłem się, że zawsze lepiej jest wszystko sprawdzać. – Wpatrzył się chciwie w uchylaną przez Maybora skrzynkę. – Chyba wszystko w porządku. Nie chcę cię obrazić. Nie będę ich liczył.

Wielmoża nie mógł powstrzymać się przed pełnym oburzenia prychnięciem. Najemnik obraził go już przedtem, domagając się otwarcia kufierka.

– Nim dam ci pieniądze, muszę usłyszeć, co wiesz o mojej córce.

– Tak, ślicznej Melli. – Traff przemawiał tonem posiadacza. – No cóż, Baralis już jej nie ma. Odważna dziewczyna, uciekła wszystkim sprzed nosa. Oczywiście miała do pomocy chłopaka. Ten mały sukinsyn zabił pół tuzina moich ludzi.

Maybor stracił orientację. Spróbował wyjaśnić sprawę.

– A więc Baralis więził Melliandrę?

– Tak jest. Zabraliśmy ją z Duvitt i dostarczyliśmy tutaj. Trzymaliśmy ją w schronieniu Baralisa w lesie.

– Schronieniu? – Maybor nie miał zamiaru okazać, jak bardzo zdumiewa go opowieść Traffa. Zawsze podejrzewał, że Baralis próbuje odnaleźć jego córkę, lecz gdy usłyszał prawdę, przeszył go dreszcz. Istniał tylko jeden powód, dla którego kanclerz mógł chcieć

pojmać Melliandrę. Starał się udaremnić zawarcie zaręczyn. Nie miał już wątpliwości, kto pokrzyżował jego ambicje i uniemożliwił mu zostanie teściem przyszłego króla.

– Podziemnym schronieniu. Z zamkiem łączy je tunel. Przechodzą mnie ciarki na myśl o tym miejscu.

– Jak dawno temu uciekła?

Maybor niemal nie potrafił uwierzyć, że jego córka przebywała tak blisko zamku.

– Minał już przeszło tydzień. Pomógł jej chłopak. Dopadliśmy oboje w lesie, parę dni później, ale ten dzieciak to diabeł. Udało im się zwiać. Mogą już być daleko. Baralis wysłał w pogoń za nimi następną grupę... nie chciałbym być na miejscu tych ludzi.

– Dlaczego im nie towarzyszysz?

– Odniosłem rany w lesie, a poza tym Baralis zawsze ma coś do załatwienia w pobliżu domu.

– Kim jest ten chłopiec, o którym mówiłeś?

– Nazywa się Jack. Był piekarczykiem w zamku. Pojmaliśmy go wcześniej niż twoją córkę i przywieźliśmy tu oboje.

– Dlaczego Baralis interesuje się piekarczykiem?

– Też się nad tym zastanawialiśmy, jeśli mnie dobrze rozumiesz. Teraz już wiem swoje. Ten chłopak oznacza kłopoty. Najpierw zmasakrował gębę jednemu

z moich ludzi, a potem w lesie...

Potrząsnął gwałtownie głową.

– Co się stało w lesie?

– Rozpętało się istne piekło i tyle. Chłopak wywołał katastrofę. Obudził samego diabła. Straciłem wtedy dobrych ludzi. Baralis nie raczył nas ostrzec, że możemy mieć trudności. Pozwolił, żebyśmy ruszyli szarżą.

Traff miał zawziętą minę.

– I ten chłopak jest teraz z Melliandrą?

Maybor wiedział, że lepiej nie wypytywać o szczegóły tego, co wydarzyło się w lesie. Zwęszył woń czarów i nie miał ochoty poczuć ich smaku.

– O ile mi wiadomo.

– W jakim stanie była, kiedy ostatnio ją widziałeś?

– No cóż, wychłostano ją. Traff zachowywał ostrożność.

– Czy w lesie stało jej się coś złego?

– Chłopak jej nie skrzywdził, jeśli o to pytasz.

– A czy twoi ludzie coś jej uczynili?

Nie zamierzał pozwolić Traffowi wykręcić się tak łatwo. Najemnik spuścił wzrok.

– Strzała mogła ją trafić w ramię. To nic poważnego, tylko draśnięcie. Raz dwa się zagoi.

Maybor miał ochotę zabić go na miejscu. Czuł

uciskający mu udo ciężar miecza. Tak łatwo byłoby go wyciągnąć i odrąbać najemnikowi głowę. Musiał zapanować nad żądzą mordu. Jeśli chciał zwyciężyć Baralisa, musiał grać według jego zasad, posługiwać się sprytem i podstępem. Nakazał sobie zachować spokój.

– A więc jeśli Baralis znowu pojmie Melliandrę, zamknie ją w tym schronieniu w lesie?

– Nie mogę powiedzieć, że to zrobi – odpowiedział Traff po krótkim wahaniu.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Maybor.

– Kazał nowym ludziom zabić Melli i chłopaka, gdy tylko ich znajdą. Zabić i pogrzebać. Tak właśnie powiedział.

– Ale jeszcze ich nie znaleźli?

Maybora zdumiał spokój, jaki słyszał we własnym głosie.

– Znam tę nową bandę. Ślepy osioł byłby lepszym tropicielem. Poza tym Baralis kazał im wrócić za tydzień. O ile się nie mylę, nie zostało im już wiele czasu.

– Co zrobi po ich powrocie?

– Znowu ich wyśle. Pewnie wykona jedną z tych swoich sztuczek, żeby im powiedzieć, gdzie znajdują Melli i chłopaka. – Traff zauważył zdziwioną minę

rozmówcy. – Baralis chowa w zanadrzu kilka sprytnych sposobów, z ptakami i tak dalej. Chyba potrafi z nimi rozmawiać.

– Nie bądź śmieszny, człowieku. – Nie chcąc nic słyszeć o czarach, Maybor uparcie usiłował zaprzeczyć ich istnieniu. Zmienił szybko temat. – Kiedy znowu wyśle swych ludzi, musisz wyruszyć z nimi. Nie mam zamiaru pozwolić, by moją córkę zamordowano z zimną krwią.

– Wyprzedziłem cię, przyjacielu – oznajmił Traff z zadowoloną miną. – Nie chciałbym, żeby moją narzeczoną pochowano w płytkim grobie w lesie. Nie, mam zamiar towarzyszyć im, pomóc w znalezieniu Melli i chłopaka, a potem umknąć z twoją córką w bezpieczne miejsce.

– Czy możesz być pewny, że ci się to uda?

– Widziałem, co potrafi zrobić ten chłopak, jeśli zapędzić go w kozi róg. Wywoła taki chaos, że nikt nie zauważy mojej ucieczki.

Maybor nie był zbyt dobrego zdania o planie najemnika, nie potrafił jednak wymyślić nic lepszego. Chciał zadać Traffowi dalsze pytania – musiał się jeszcze wiele dowiedzieć o Baralisie i jego zamiarach – ale zjawił się stajenny w towarzystwie dwóch chłopców, przerywając ich spotkanie. Najemnik uniósł

pośpiesznie drewnianą skrzynkę i ulotnił się, odprowadzany zaciekawionymi spojrzeniami parobków.

Maybor wyszedł na dziedziniec. Spotkanie z Traffem wyjaśniło mu bardzo dużo. Zaczynał dopiero pojmować prawdziwą głębię knowań Baralisa. Stawka była znacznie wyższa niż mu się dotąd zdawało. Kanclerz zadał sobie bardzo wiele trudu, by zapobiec małżeństwu Melliandry z księciem Kylockiem. Być może ma własną kandydatkę na żonę dla księcia, pomyślał. Z pewnością tłumaczyłoby to, dlaczego tak usilnie starał się usunąć jego córkę.

Bevlin dotknął dłonią czoła chłopca. Gorączka była wysoka. Sen i lakus powinny ją obniżyć. Siedział z Kosiarzem ponad godzinę, nim ulicznik wreszcie zasnął. Chciał go uspokoić, lecz również dać sobie czas na uporządkowanie myśli przed spotkaniem z Tawlem.

Rycerz bardzo się zmienił od poprzedniej wizyty sprzed pięciu lat. Mędrzec wiedział, że wiele z tych zmian sam wywołał. Zlecił mu niemal niemożliwą do wykonania misję i owo przedsięwzięcie ukształtowało człowieka, którym stał się Tawl. Zastanawiał się, czy postąpił słusznie, ograbiając go z młodości i optymizmu. Co prawda, i tak musiałyby się to prędzej



czy później zdarzyć. Nikt, kto żył w takim świecie, nie mógł pozostać nie zmieniony. Mimo to mędrzec nie był przekonany do powierzenia komuś tak niedoświadczonemu podobnie niewdzięcznego zadania.

Gdy Tawl zjawił się dziś u jego drzwi, Bevlin ujrzał na jego twarzy rozczarowanie, a także coś jeszcze... nieufność. Zaczerpnął głęboko tchu i ruszył do kuchni. Rycerz siedział za stołem, tak jak go zostawił przed ponad godziną. Obrzucił mędrca pytającym spojrzeniem. Bevlin poczuł ulgę, widząc w nim wyraźny niepokój o stan chłopca.

– Zasnął. Jeśli Borc pozwoli, po przebudzeniu poczuje się trochę lepiej. Może przespać cały jutrzejszy dzień i jeszcze jedną noc. Lakus sam daje sobie czas na działanie.

– Jest daleko od domu – powiedział cicho Tawl.

– Ty również, przyjacielu – rzekł bez ogródek Bevlin. Usiadł naprzeciw rycerza i napełnił dwa kufle *ale*.

– Sam je warzyłem. Przyznaję, że nie jest udane, przekonałem się jednak, że kiepskie *ale* rozgrzewa człowieka tak samo jak dobre, choć może rankiem wywołać gorszego kaca. – Mędrzec zauważył, że Tawl uśmiechnął się uprzejmie na ten żarcik, choć w jego

oczach nie było wesołości. Spróbował utrzymać kontakt wzrokowy z rycerzem, ten jednak spuścił wzrok. – A więc przybywasz z Rornu?

– Nie znalazłem chłopca, jeśli o to mnie pytasz – rzekł niepotrzebnie ostrym tonem Tawl. – Sądzę jednak, że już o tym wiesz.

– Czy chcesz zrezygnować z poszukiwań? Wystarczy, że wyrazisz takie życzenie.

– Za późno mi o tym mówisz, mędrze! – zawołał Tawl, waląc kuflem o blat. – Pozostało mi tylko jedno honorowe wyjście i dobrze o tym wiesz. Wolałbym uciąć sobie rękę niż przyznać się do porażki.

Bevlin dobrze rozumiał jego gorycz. Tawl był rycerzem i okryłby się wstydem, gdyby nie osiągnął tego, czego się podjął, bądź nie zginął. Niemniej kryło się w tym coś więcej. Nietrudno było zauważyć, że Tawl żyje tylko dla swej misji. Dlaczego więc stał się nagle tak rozczarowany?

– Nie wszyscy otrzymujemy dobre karty, Tawl.

– Nie otrzymałem ich przypadkowo, Bevlinie. Ułożono je celowo.

Popatrzył na mędrca, po czym odwrócił szybko wzrok.

– Dokąd zawiodły cię twe podróże?

– Daleko na południe, do Suchych Krain, do

Chelss, Leiss i Silburu – odparł ochryplym tonem. – Chcesz, żebym je kontynuował?

– A więc słyszałeś o konflikcie między Rornem a Valdis?

– Wiem, że w Rornie zabroniono rycerzom wstępu do miasta. Tawl wpatrzył się w ogień.

– A nawet wygnano ich z niego. W Marlsie zrobiono to samo. Arcybiskup Rornu wywołuje antyrycerskie nastroje na całym południowym wschodzie. Chce doprowadzić do konfrontacji. Złamać potęgę Valdis i rycerstwa.

– Co ma przeciw Valdis? – zapytał Tawl, po raz pierwszy autentycznie zainteresowany.

– Tavalisk jako pierwszy na południu zdał sobie sprawę, że na północy skupiają się niebezpieczne siły. Tyren zawarł sojusz z Brenem, a Bren wkrótce zjednoczy się z Czterema Królestwami. Spełnia się proroctwo Maroda: “Dwa bogate domy małżeństwem się połączą”. Przepowiedziane przez niego imperium może objąć całe Znane Krainy. Ci, którzy kształtują, sięją również zepsucie. Bardziej niż kiedykolwiek chcę, żebyś znalazł chłopca, Tawl.

– Zrobię to, Bevlinie.

– Tak, jestem przekonany, że ci się uda. Łączy was więź. Przeznaczone ci jest dopomóc w wypełnieniu się

jego przeznaczenia.

Mówiąc to, Bevlin usłyszał w swym głosie niepokojące brzmienie proroctwa.

Chcąc rozwiać urok, wstał i nalał sobie drugi kufel *ale*. Wysuszył go do końca. Choć serce wciąż mu waliło pod wpływem szoku wywołanego chwilą jasnowidzenia, spróbował wprowadzić do rozmowy pogodniejszy nastrój.

– Tavalisk jest w głębi duszy intrygantem. Nie czuje się szczęśliwy, jeśli nie znajduje się w centrum wydarzeń. Spiskuje tylko dlatego, że to uwielbia robić.

– A dlaczego ty spiskujesz, mędrze? – Wydawało się, że Tawl natychmiast pożałował swych słów. – Przepraszam cię, Bevlinie – powiedział z westchnieniem. – Nie wiem, co mnie odmieniło. Z niecierpliwością czekałem na spotkanie z tobą, a teraz, gdy już tu jestem, mówię rzeczy, których nie chciałem powiedzieć.

Potał powieki gestem znamionującym zmęczenie. Bevlin z radością usłyszał w jego głosie łagodniejszy ton.

– Dokąd wybierzesz się teraz? – zapytał. – Do Brenu, do Annisu czy do Lairston?

Oczy Tawla przesłoniła mgła. Bevlin wiedział, że usłyszy kłamstwo.

– Do Lairston. Pojadę dalej na północ.

– Tak blisko północnych gór panuje dotkliwy chłód. Bevlin zdał sobie sprawę, że rycerz go nie słucha. Całą uwagę poświęcił ogniewi. Wpatrzył się intensywnie w płomienie. Mędrzec zadał sobie pytanie, jakie okropności tam widzi.

– Tawl – powiedział cicho, kładąc dłoń na jego ramieniu. – Idź się położyć. Możesz spać w moim pokoju. Jest tam sucho i ciepło.

Rycerz podniósł na niego wzrok. Przez mgnienie oka Bevlin dostrzegł w jego oczach coś, czego nie potrafił nazwać, choć wydawało mu się znajome. Tawl spuścił wzrok, niemal zawstydzony.

– Jestem zmęczony, Bevlinie. Jechaliśmy szybko przez cały dzień.

– Może pomógłby ci łycezek lakusa. Ty również długo przebywałeś na południu.

Mędrzec pragnął ulżyć swemu gościowi. Widział, że coś go dręczy, wyczuwał jednak instynktownie, że Tawl odrzuci wszelkie propozycje pomocy.

– Nie, zostaw lakus dla tych, którzy go naprawdę potrzebują. Nie dolega mi nic, czego nie wyleczyłaby dobrze przespana noc. – Rycerz wstał z krzesła. – Zaprowadź mnie do pokoju, Bevlinie.

Mędrzec spełnił jego prośbę. Odsunął pościel,

wyjął ogrzewadło, wziął plecak rycerza i położył go na kufrze, po czym życzył Tawlowi dobrej nocy. Rycerz pochylił głowę i Bevlin pocałował go w czoło.

– Śpij dobrze, przyjacielu – powiedział, zamykając drzwi.

Obudził się, czując na wargach smak soli. Próbował przypomnieć sobie ulotny sen: pamiętał morze, zimne, bezlitosne i ciemnoszare. Usiadł. Poczul się rozczarowany, odnalazłszy pod stopami stałą ziemię. Podeszedł do okna i uchylił drewnianą okiennicę. Niebo przynosiło pociechę. Przypominało nieco morze. Miało ten sam kolor i również nie mógł go spętać człowiek. To ziemia była słabym ogniwem. Pozwalała się dzielić, posiadać i zużywać.

Błady księżyc skłaniał się na jego oczach ku zachodowi. Pora przystąpić do akcji, spłacić dług.

Przeszedł przez izbę lekko jak duch. Ubrał się bardzo ostrożnie... miał wrażenie, że tak należy. Włożył miękkie, skórzane buty i zapiął twarde, skórzany pas. Chciał przyjrzeć się sobie, lecz nigdzie nie było tu zwierciadła. Nerwowymi dłońmi wymacał to, czego potrzebował. Jego palce zamknęły się na chłodnym metalu, ogrzewając go. Był gotów. Perspektywa uwolnienia się od brzemienia była

balsamem dla jego serca. Wabiła go obietnicą spokoju.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Wiedział, że tak będzie. Wśliznął się do izby. W blasku ognia rzucał długi cień. Ruszył naprzód, by zorientować się w sytuacji i określić sposób działania.

Mężczyzna leżał tam, gdzie się go spodziewał, pogrążony we śnie. Chrapał z łagodną determinacją. Nóż był już ciepły. Urósł nagle w jego dłoni, zmieniając pozycję.

Zbliżył się. Poczł podniecenie i ukłucie żalu. Przyjrzał się mężczyźnie, nie bojąc się, że go obudzi. Był stary i gotowy na śmierć.

Uniósł nóż majestatycznym ruchem, wiernie powtórzonym przez cień. Zatrzymał się, po czym zadał cios. Broń przebiła kość i wniknęła w serce. Mężczyzna otworzył oczy ze zdumieniem.

Wyrwał nóż. Popłynęła ciemna krew. Uniósł dłoń raz jeszcze i zadał kolejny cios. Potem trzeci i czwarty. Krew spryskała mu twarz. Cieszył go jej chłodzący dotyk.

Skończone. Mężczyzna przestał się ruszać. Dług został spleacony.

Oczyścił bardzo starannie nóż, spluwając na ostrze, by usunąć ostatnie ślady krwi, po czym wrócił do pokoju i rozebrał się. Stał nagi w blasku księżyca, by



otrzymać błogosławieństwo. Wreszcie wsunął się między gładką pościel i zasnął snem niewinnego.

– Nie, Bodger, jest tylko jedno lekarstwo na trypra i nie jest to zanurzenie części intymnych we wrzącej wodzie.

– Pan Frallit zarzeka się, że to jedyny sposób, Grift.

– Nie ma wątpliwości, że pan Frallit potrzebuje leczenia, Bodger, ale jestem pewien, że nie próbował gotować swych klejnotów. W przeciwnym razie nazywalibyśmy go już panią Frallit.

– To jakie jest właściwe lekarstwo, Grift?

– Jedyny sposób na pozbycie się trypra. to codziennie przez tydzień nacierać sobie części intymne moczem dziewicy.

– Moczem dziewicy, Grift?

– Ehe, Bodger. Oczywiście deczko trudno jest znaleźć dziewicę.

– Sądziłbym, że trudniej będzie ją namówić, żeby na ciebie nasikała, Grift.

Bodger uśmiechnął się smutno do swego towarzysza. Obaj mężczyźni pociągnęli zdrowo z kufli. Skończywszy posiłek, oparli się o ścianę, bekając głośno.

– Lord Maybor i lord Baralis próbują się nawzajem podejść, he, Grift?

- O czym mówisz, Bodger?
- No, lord Maybor rozmawia z najemnikiem Baralisa, a ten z kolei z synem Maybora.
- Nie wiedziałbym, na którego z nich postawić pieniądze.
- Ja tam postawiłbym na Baralisa, Grift.
- Chyba masz rację, Bodger. Ja też postawiłbym na Baralisa.
- Oczywiście w najbliższych dniach wydarzy się coś bardzo ważnego, Grift.
- Dlaczego tak sądzisz, Bodger?
- No więc, rano przechodziłem obok magazynów, no wiesz, tych, w których trzymają królewskie insygnia, i widziałem, jak służba wynosi dywany i odkurza sztandary.
- Wygląda na to, że szykuje się jakaś uroczystość, Bodger.
- Miejmy nadzieję, że okazja będzie radosna, Grift. Stęskniłem się już za specjalnym piwem.
- Na twoim miejscu nie liczyłbym na nie zbytnio, Bodger. Trzeba by chyba królewskiego ślubu, żeby ten sknera Willock otworzył beczułkę.

Baralis obudził się wyjątkowo zadowolony. Wczorajsza audiencja u królowej zakończyła się sukcesem. Och, Arinalda zachowała spokój, była w

tym dobra, nie potrafiła jednak ukryć błysku zainteresowania w oczach, a gdy wręczył jej portret, łatwo było zauważyć, że dziewczyna przypadła jej do gustu. Rzecz jasna, zostawił królowej miniaturę. Przekonają znacznie skuteczniej od niego.

Wiedział jednak, że sam portret nie będzie wystarczającą zachętą. Królowa obawiała się ambicji diuka Brenu, podobnie jak wszyscy na pomocy. Miała teraz szansę zneutralizowania tej groźby za pomocą rozsądnego sojuszu. Ponadto – co być może najważniejsze – Arinalda pragnęła władzy: dla siebie, swego syna i dalszych potomków. Związek z Brenem zapewniłby taką władzę. Zapewne sądziła też, że będzie uczestniczyła w jej sprawowaniu. Była ambitną kobietą i ten fakt miał przypieczętować jej los.

Wczorajszy dzień przyniósł mu bardzo liczne korzyści. Po wyjściu z komnat królowej poszczęściło mu się dodatkowo. Natknął się na syna Maybora, aroganckiego i zarozumiałego Kedraca. Baralis pozdrowił go tylko, a Kedrac odwdzieczył mu się tym samym. Był to jedynie początek, ale na razie wystarczy. Więzi rodzinne wymagały wielkiej ostrożności.

Baralis podgrzał sobie trochę holku i usiadł przy kominku, by go wypić. Niekiedy sądził, że ciepło

trzymanego w dłoniach kubka pomaga mu bardziej niż zawarty w nim płyn. Tak czy inaczej, picie holku łagodziło trochę ból, czyniąc go łatwiejszym do zniesienia. Po raz pierwszy od wielu lat pomyślał o matce. Zawsze grzała mu holk, gdy był przeziębiony lub coś go bolało, a czasem nawet tylko dlatego, że na dworze było zimno, a ona chciała okazać mu miłość.

Ze wspomnień wyrwało go przybycie Croke'a.

– O co chodzi, człowieku? – zapytał ostro, poirytowany.

– Panie, pokojowy królowej wzywa cię na spotkanie.

– Po co pokojowy królowej chce się ze mną spotkać?

– Nie, panie, to królowa chce się z tobą spotkać.

– Audiencja! Dlaczego nie mówisz tak od razu, ty durniu? – Baralis zastanawiał się gorączkowo. Czy to możliwe, by podjęła decyzję tak szybko? – Przynies najpiękniejszą szatę, Croke. – Zamyślił się na chwilę. – I kanclerski łańcuch. Chcę tego pomyślnego dnia mieć na sobie symbol swej pozycji.

Croke wybiegł z komnaty. Baralis podniósł się z miejsca i podszedł do okna. Otworzył żaluzje i wyjrzał na zewnątrz. W twarz uderzyło go zimne powietrze. Nocą napadało śniegu. Ziemia była biała i

nieskazitelna. Wspaniały dzień. Wrócił jego sługa, który położył na łożu szatę i łańcuch. Baralis przełknął ostatni łyk wystygłego już holku, po czym przygotował się na spotkanie z Arinaldą. Po kilku minutach ruszył w stronę królewskich komnat. Zbrojni wartownicy przepuścili go. Wydawało mu się, że dostrzega w ich twarzach większy szacunek niż przedtem. Poczł się zaskoczony, gdy królowa wysłała go przywitać. Sądził, że każe mu czekać, tak samo jak wczoraj.

– Dzień dobry, lordzie Baralisie. – Pochyliła lekko głowę. – Widzę, że odwiedzasz mnie dziś jako królewski kanclerz.

Wskazała na ciężki łańcuch.

– Chciałem uhonorować Waszą Wysokość tą oznaką szacunku. Pokłonił się raz jeszcze. Z zadowoleniem zauważył, że królowa również zadbała o wygląd. Założyła obszytą gronostajami suknię, a w jej włosach połyskiwał złoty diadem.

– Wezwałam cię tu, by cię powiadomić o mej decyzji w sprawie zaręczyn mojego syna, księcia Kylocka, z Catherine z Brenu.

Obdarzyła go zimnym, lecz kuszącym uśmiechem.

– Cieszę się, że Wasza Wysokość tak szybko się zdecydowała. Baralis oparł się pokusie, by pokłonić się raz jeszcze. Nie powinien okazywać zbyt wielkiego

zainteresowania.

– Nie zrozum mnie źle, lordzie Baralisie. Mam zamiar podjąć samodzielną decyzję i jestem w stanie przeprowadzić swą wolę.

Podkreśliła, że to ona sprawuje władzę, co potwierdził leciutkim skinieniem głowy.

– Długo zastanawiałam się nad kwestią, którą omawialiśmy – ciągnęła, upewniwszy się, że zrozumiał jej słowa. – Podjęłam już decyzję i nie widzę powodu, by cię z nią nie zapoznać.

– Wedle życzenia Waszej Wysokości.

– Lordzie Baralisie, muszę przyznać, że twoje słowa zabrzmiały przekonująco. Nie zamierzam pozwolić, by dawne urazy skłoniły mnie do nierozsądnego postępowania. – Przerwała, by zaczerpnąć głęboko tchu. – Dostrzegam fakt, że zjednoczenie z Brenem byłoby nadzwyczaj korzystne dla przyszłości mojego syna oraz Czterech Królestw. To właśnie było podstawą mojej decyzji. – Stała pod oknem, wiedząc, że padające przez nie światło podkreśli jej urodę. Wyprostowała się. Jej diadem załśnił jaskrawym blaskiem. – Zaaprobuję zaręczyny Kylocka z Catherine z Brenu. – Spojrzała Baralisowi prosto w oczy. – Załatw wszystkie formalności, kanclerzu.

– Wasza Wysokość podjęła mądrą decyzję.

Usiłnie się starał, by w jego głosie zabrzmiała nuta pokory. Nie nadszedł jeszcze czas na okazywanie radości.

– Radziłabym działać z wielką szybkością. Przypuszczam, że diuk Brenu długo już czeka na odpowiedź.

Obrzuciła Baralisa znaczącym spojrzeniem.

– Gorąco pragnie tego małżeństwa, Wasza Wysokość.

– W takim razie nie każę mu czekać dłużej. Trzeba wysłać posła do Brenu.

– Wasza Wysokość nie uda się tam osobiście?

– Nie, moje miejsce jest tutaj, u boku króla. Mój syn również zaczeka w stolicy do chwili, gdy wszystko zostanie uzgodnione. Nie chcę, by naraził się na upokorzenie, zalecając się do tej dziewczyny przed ostatecznym zawarciem umowy. Wyślę go do Brenu dopiero po uzyskaniu oficjalnego potwierdzenia.

Baralis nie potrafił nie podziwiać ostrożności królowej, mimo że wiedział, iż jest ona bezprzedmiotowa.

– Mam nadzieję, że będę miał okazję służyć Waszej Wysokości jako poseł.

Zauważył na twarzy Arinaldy cień przebiegłości.

– Będę potrzebowała dwóch posłów, lordzie Baralisie. Jeden będzie reprezentował księcia Kylocka i jego interesy jako dziedzica tronu, drugi zaś koronę. – Uśmiechnęła się łaskawie. – Ty będziesz wysłannikiem księcia Kylocka. Głęboko wierzę w to, że potrafisz wynegocjować dla mojego syna możliwie najkorzystniejszy kontrakt.

– A drugi poseł? Kto będzie reprezentował koronę?

Baralis zaczął odczuwać lekki niepokój. To jemu, królewskiemu kanclerzowi, powinien przypaść ów zaszczyt.

– Nie zdecydowałam jeszcze, komu powierzę tę misję. Rzecz jasna, powiadomię cię o tym we właściwym czasie.

– Wedle życzenia Waszej Wysokości. – Starannie ukrył swe obawy. – Kiedy powinienem rozpocząć przygotowania?

– Jak najszybciej. Przy tak nieprzychylniej pogodzie podróż do Brenu potrwa wiele tygodni. Najlepiej byłoby wysłać delegację, gdy tylko będzie to możliwe. Nie później niż za dziesięć dni.

– To wystarczy.

Kanclerza ucieszyło, że królowa chciała działać szybko.

– Będziesz miał wiele do załatwienia, lordzie



Baralisie. Potrzebny ci będzie zbrojny orszak, przynajmniej stu ludzi. Należy też spakować dary i przygotować projekty umów.

– Jeszcze dziś wyślę list informujący diuka o twojej decyzji i moim rychłym przybyciu.

– Nie ma potrzeby, lordzie Baralisie. – Arinalda uśmiechnęła się chytrze. – Już to uczyniłam.

– Wasza Wysokość zaiste jest kobietą skłoną do szybkiego działania.

Kanclerz nie potrafił ukryć nuty irytacji. Arinalda celowo go pominęła.

– Nie ma wielkiego sensu trzymać tej sprawy w tajemnicy. Podobne rzeczy zwykle wychodzą na jaw. Nim zapadnie zmierzch, każdy człowiek w zamku będzie o wszystkim wiedział. Dlatego postanowiłam wygłosić oficjalne oświadczenie. Wezwę dworzan i zaznajomię ich ze swymi planami. – Słowo “swymi” wypowiedziała z wielkim zadowoleniem. – Oczywiście podkreślę fakt, że niczego jeszcze nie sfinalizowano i uroczystości będą mogły się odbyć dopiero po spisaniu oficjalnych umów.

– Bardzo słusznie, Wasza Wysokość.

Baralis musiał przyznać, że królowa ma rację, aczkolwiek wolałby utrzymać zaręczyny w tajemnicy.

– Jestem pewna, że masz do załatwienia wiele

spraw, pozwalam ci więc się oddalić. Wezwę cię za dwa dni. Musimy omówić pewne zastrzeżenia, których wprowadzenia do kontraktu zaręczynowego się domagam. Życzę dobrego dnia, lordzie Baralisie. Mam nadzieję szybko otrzymać od ciebie następną partię lekarstwa.

Kazała mu odejść bez większych ceregieli, jedynie lekko odwracając w jego stronę głowę.

Baralis wyszedł i udał się do swych komnat. Oszłomiła go szybkość, z jaką królowa podjęła decyzję. Co spowodowało tę niecierpliwość? – pomyślał. A może Arinalda chciała jedynie zaskoczyć go i zbić z tropu. Nie wątpił, że jest do tego zdolna.

Nie był do końca zadowolony z obrotu spraw. Królowa próbowała odsunąć go od jego planów. To jej się nie uda. Nie miał zamiaru rezygnować z pierwszoplanowej pozycji w chwili, gdy jego zamierzenia zaczęły przynosić owoce. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd musi wpływać na bieg wydarzeń, by zapewnić sobie pożądane rezultaty.

Tavaliska przygnębiła nieco pogoda. Kucharz przygotował dla niego najbardziej kuszące ze smakołyków, arcybiskup przekonał się jednak, że nie ma na nie ochoty. Woń posypanych gęsto korzeniami podrobów drażniła mu tylko nozdrza i sprawiała, że

zółć podchodziła do gardła. Odsunął talerz na bok. Kot o świdrującym spojrzeniu wskoczył na stół i zaczął pochłaniać mięso.

Wczesnym rankiem trzeba było odprawić kolejną nudną ceremonię. Był Dzień Przebaczenia i tradycja żądała, by – jako arcybiskup – udzielił rozgrzeszenia tuzinowi ludzi. Wszyscy oni byli skazanymi zbrodniarzami, ułaskawionymi przez premiera. Niemniej jednak nie uważano ich za całkowicie oczyszczonych, dopóki arcybiskup nie obdarzy ich Bożą łaską i nie rozgrzeszy.

W tym celu, musiał pozwolić, by wszyscy kolejno ucałowali jego pierścień. Następnie dotykał dłońią ich czoła. Była to nieprzyjemna, wyraźnie niedomyta banda i zdaniem Tavaliska żaden z nich nie zasługiwał na ułaskawienie. Mimo to arcybiskup odprawił ceremonię, a nawet udało mu się wzbogacić ją dramatyczną nutą, wyciskając z oczu kilka słonych łez. Zebranych tłumnie gapiom to się spodobało: ich umiłowany arcybiskup rozplakał się pod wpływem aktu przebaczenia. Cóż za dobroć, będą powtarzać, coś za człowieczeństwo, coś za pokora!

Wiedział, że lud Rornu go kocha, nigdy jednak nie zaszkodziło od czasu do czasu przechylić lekko szalę na swą korzyść za pomocą odrobiny aktorstwa. Z

drugiej strony, premier wyraźnie wykazywał podczas ceremonii brak zainteresowania. Wybrał wyjątkowo nudną grupę przestępców: kieszonkowców, złodziei i oszustów. Tuszczka była rozczarowana. Woleliby sławnych morderców, dziarskich piratów i bezwstydną burdelmamy. Premierowi brakowało wyczucia dramatu.

Tavalisk odgonił kota od podrobów. Zwierzę syknęło na niego wściekle. Spróbował je kopnąć, lecz odskoczyło i noga arcybiskupa chybiła celu. Za jego plecami rozległ się stukot. Poirytowany arcybiskup zauważył Gamila.

– Nie słyszałem pukania.

– Drzwi były otwarte, Wasza Eminencjo. Myślałem...

– Nie jesteś od myślenia, Gamilu – przerwał mu Tavalisk. – Nim wejdiesz do moich prywatnych komnat, zawsze musisz pukać. Czy to jasne?

– Jasne, Wasza Eminencjo.

– Świetnie. Może zjadłbyś trochę podrobów?

– Dziękuję, Wasza Eminencjo. Już jadłem.

Tavalisk nalał sobie kielich wina, aby złagodzić ból żołądka. Zauważył, że jego sekretarz próbuje dojrzeć tytuł leżącej na biurku książki.

– Marod to okropnie nudny uczonek – stwierdził,

podkreślając swe słowa ziewnięciem. – Jakaś głupia kobieta podarowała mi tę księgę na znak wdzięczności za poświęcenie jej kołowrotka. – Nie czuł się jeszcze gotowy zdradzić Gamilowi swych podejrzeń odnoszących się do prorocत्व Maroda. – Jakie wieści mi dziś przynosisz?

– W Toolay postanowiono wygnać rycerzy. Wygląda na to, że ostatnia fala gwałtownych protestów wyczerpała cierpliwość władz.

– Świetnie. Wiedziałem, że to miasto podąży za naszym przykładem.

– W ostatnim tygodniu w Marlsie zabito dziewięciu rycerzy. Wyciągnięto ich z kryjówek i wywleczono na ulicę, gdzie zarąbał ich rozwścieczony tłum. Ludzie używali wszystkiego, co wpadło im w ręce: noży, tasaków, nożyc.

– To bardzo nieprzyjemne. Spodziewam się, że ów incydent przyśpieszy wysłanie budzącego powszechną grozę listu potępiającego.

Tavalisk zadrżał, udając strach.

– Sądzę, że zaniepokoił wielu ludzi, Wasza Eminencjo.

– Marls zawsze był głupim miastem. Nic nie szkodzi. Najważniejsze, by nikt nie obciążył nas winą.  
– Arcybiskup ziewnął szeroko. – Coś jeszcze?

– Mam wieści, które mogą zainteresować Waszą Eminencję.

– Cóż znowu, Gamilu?

– Nocą do miasta przybył niejaki lord Cravin.

– A któż to taki? Tavalisk dołał do wina miodu.

– Ma wielkie wpływy w Brenie.

– Doprawdy? – Arcybiskup oblizał palce do czysta.

– A cóż porabia w Rornie?

– Pewnie przybył w celach handlowych. Prowadzi na południu liczne interesy.

– To bardzo interesujące. Chyba chciałbym się z nim spotkać. Pragnę nawiązać znajomość z kimś pochodzącym ze wspaniałego miasta Bren.

– Załatwię spotkanie, Wasza Eminencjo.

– Świetnie. Masz jakieś wieści o naszym rycerzu?

– Zapewne zbliża się już do domu Bevlina, Wasza Eminencjo.

– Hmm. On coś kombinuje. Ludzie tacy jak Bevlin i Stary nie zajmują się błahostkami. Muszę porządnie się zastanowić nad tą sprawą. Mam wrażenie, że wszystko to się ze sobą łączy.

– A mianowicie, co?

– Nasz rycerz, jego bracia, Bevlin, Baralis... – arcybiskup rozłożył szeroko ramiona – ...wszyscy.

– Dopatrywanie się na każdym kroku spisków jest pierwszą oznaką obłędu, Wasza Eminencjo.

– Gamilu, nigdy nie zrozumiesz niebezpieczeństw i odpowiedzialności łączących się ze sprawowaniem wielkiej władzy. Naprawdę zewsząd otaczają mnie spiski, a fakt, że zdaję sobie z tego sprawę, dowodzi mej bystrości. – Arcybiskup osuszył puchar wina z miodem. – Możesz już odejść, Gamilu. Nie czuję się zbyt dobrze i chciałbym zostać sam. Chyba zaraziłem się czymś od tych przeklętych przestępców.

– To prawdziwy pech.

Tavalisk podniósł wzrok, wyczuwając w głosie sekretarza nutę sarkazmu, Gamil jednak zdążył się już odwrócić i wychodził z komnaty. Arcybiskup zastanowił się, czy go nie przywołać, lecz zaburzało mu nieprzyjemnie w żołądku, więc postanowił się powstrzymać. Odpłaci mu za tę impertynencję przy innej okazji.

Maybor przemarzył do szpiku kości. Zażądał następnego spotkania z Traffem i najemnik się spóźniał. Ziemię pokrywała gruba warstwa śniegu. Musiał przyznać, że gnojowisko nigdy jeszcze nie prezentowało się tak korzystnie. Otulił się płaszczem i przytupywał dla rozgrzewki. Zaczynał się już zastanawiać, czy najemnik nie zabrał pieniędzy i nie

uciekł, gdy wreszcie go ujrzał. Traff nie miał zbyt szczęśliwej miny.

– Wybrałeś paskudny dzień na spotkanie na dworze. Nie był ubrany odpowiednio. Miał na sobie cienki płaszcz.

– Stajnie są zbyt niepewne. Już się w nich z tobą nie spotkam.

– Czego chcesz? Sądziłem, że wczoraj uzgodniliśmy plan.

– Tylko sprawę mojej córki. To jedynie część mych kłopotów. Maybor był zapalczywy.

– Mówiłem już, że nie podejmę się zabić dla ciebie Baralisa.

– Wyraziłeś się dostatecznie jasno. Żądam od ciebie informacji. Nie zapłaciłem ci dwustu sztuk złota tylko po to, żebyś mógł się ożenić z moją córką.

– Powiedziałem ci wszystko – warknął Traff.

– Tylko to, co Baralis już zrobił. Pragnę się dowiedzieć, co planuje. Chodzi mu o coś więcej niż wytropienie Melliandry. Uknuł wiele spisków. Chcę coś o nich usłyszeć.

– Powtórzyłem ci wszystko, co wiem. Baralis nie ma zwyczaju zwierzać się wynajętym ludziom.

– Nie okłamuj mnie. Wiesz więcej. Czy muszę ci



przypominać, że twój pracodawca nie jest człowiekiem skłonny wybaczyć zdradę? Kto wie, co mógłby uczynić, gdyby się dowiedział, że jeden z jego ludzi spotyka się z jego wrogiem?

Maybor z zadowoleniem zauważył zmianę na twarzy Traffa. Najemnik najwyraźniej miał poważne powody, by obawiać się Baralisa.

– Posłuchaj, mówiłem już, że nie wiem, co on kombinuje. – Traff zawahał się. – Zauważyłem jednak parę rzeczy, które mogłyby cię zainteresować.

– Gadaj.

– Wiem, że śle listy do Brenu, do tamtejszego diuka. Nie dalej niż w zeszłym tygodniu widziałem, jak przekazał takie pismo posłańcowi.

– Coś jeszcze?

Maybor zastanowił się, jakie interesy mogą łączyć Baralisa z diukiem Brenu.

– Chyba planuje jakąś podróż.

Traffowi ciekło nieprzyjemnie z nosa. Wytarł go sobie skrajem płaszcza.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Dziś przed południem słyszałem, jak kazał Croke'owi przygotować wszystko do małej wycieczki.

– Dokąd może się wybierać? Nie ma praktycznie żadnych posiadłości.

– Nie mam pojęcia, ale jeśli zdecydował się na podróż w taką pogodę, na pewno chodzi o coś ważnego.

Traff miał rację. Nikt zdrowy na umyśle nie wyjeżdżałby nigdzie, gdy ziemię pokrywał śnieg i groziły dalsze opady.

– Jeśli dowiesz się czegoś nowego, chcę usłyszeć o tym natychmiast.

Postanowił, że pozwoli najemnikowi odejść. Było oczywiste, że nie wydusi z niego nic więcej. Zaczynał żałować, że zawarł z nim układ. Traff nie okazał się tak użyteczny, jak tego oczekiwał. Maybor znajdował jednak pewną pociechę w fakcie, że najemnik nie zdoła odebrać drugiej połowy umówionej zapłaty.

Zaczekał, aż Traff zniknie z pola widzenia, po czym wrócił do zamku. Idąc przez ogrody, z zainteresowaniem zauważył poruszenie w wielkiej komnacie. Służący najwyraźniej przygotowywali jakąś uroczystość. Zbliżywszy się, zauważył, że Królewska Straż założyła paradne mundury, muzycy wnoszą do komnaty instrumenty, a w pobliżu zgromadził się mały tłumek. Zdziwiło go to. Nie słyszał, by planowano jakąś oficjalną ceremonię. Złapał za ramię dziewczkę służebną.

– Co się tu dzieje?

– Nie jestem pewna, panie. Królowa kazała nam wszystko przygotować. Ma wygłosić jakieś oświadczenie.

– Kiedy to nastąpi?

Przyglądał się przez chwilę dziewczynie. Była całkiem atrakcyjna, choć miała trochę krzywe zęby. Mayborowi spodobał się zachwyty, jaki okazała, gdy do niej przemówił.

– Chyba wkrótce, panie. Pokojowy kazał nam się śpieszyć. Sprawiała wrażenie rozdartej między pragnieniem ucieczki i pozostania.

– Jak masz na imię?

Warto byłoby pójść z nią do łóżka, ale nic więcej.

– Bonnie, panie.

– No cóż, Bonnie, może byś tak przyszła dziś po zmierzchu do moich komnat? Jestem samotny i potrzebuję towarzystwa.

Dziewczynie pochlebilo to niewymownie. Skinęła kokieteryjnie głową i pognała ku swym obowiązkom.

Maybor ruszył w stronę komnaty. Musi zająć dobre miejsce, by wysłuchać tego, co będzie miała do powiedzenia królowa.

Przyglądał się przygotowaniom do uroczystości: rozwijaniu i rozwieszaniu chorągwi, rozkładaniu dywanu, zapalaniu świec i czyszczeniu mebli na

wysoki połysk. Po chwili zaczęli się zbierać dworzanie. Mieli na sobie najlepsze stroje. Szelest jedwabiu szedł o lepsze z ich szeptami. Podzielili się na małe grupki i rozmawiali przyciszonymi głosami o zamiarach królowej. Zauważył wchodzącego do komnaty Baralisa. Na jego szyi coś błyszczało. Maybor zdał sobie sprawę, że kanclerz założył łańcuch – symbol swej godności.

Co on znowu kombinuje? – pomyślał.

Wreszcie zabrzmiały rogi i herold ogłosił nadejście królowej. Tłum uciszył się, obserwując kroczącą przez komnatę Arinaldę. Była odziana we wspaniałe karmazynowe jedwabie, a na głowie miała złoty diadem. Maybor popatrzył jej w oczy. Odwzajemniła mu się spojrzeniem, którego nie rozumiał. Książę Kylock podązał za matką. Był ciemnowłosy i przystojny, odziany w kruczoczarny strój.

Rogi umilkły i królowa zwróciła się ku zgromadzonej szlachcie. Stała i czekała, a napięcie w tłumie rosło. W komnacie zapadła cisza, którą przerwał głos Arinaldy:

– Wezwałam was tu dzisiaj, by podzielić się z wami radosnymi wieściami. – Przerwała dla dramatycznego efektu. – Wspólnie z królem Leskethem zaplanowałam zaręczyny naszego syna,

księcia Kylocka.

Tłum zaszemrał zaciekawiony. Maybor niemal nie mógł uwierzyć własnym uszom. Ogłaszała zaręczyny zaraz po tym, jak odrzuciła jego córkę?

– Zaaranżowaliśmy dla niego małżeństwo o historycznym znaczeniu, które zwiększy prestiż naszego ukochanego kraju – ciągnęła królowa. – Księżę Kylock poślubi Catherine z Brenu.

Cizba eksplodowała podnieceniem, uniemożliwiając Arinaldzie dalszą przemowę.

Bren, pomyślał Maybor. Już drugi raz dziś słyszę tę nazwę.

Nie był to przypadek. Stał za tym Baralis. Gdy uszy wielmoży wypełniły głosy tłumu, zdał sobie sprawę z tego, jak chytry okazał się jego wróg. Wszystko – próby otrucia, uprowadzenie Melliandry – zmierzało do tego, by Kylock mógł poślubić kandydatkę wybraną przez kanclerza. Nie marnując czasu, Baralis przekonał również królową. Jakich to kuszących słówek użył, by ją do tego przekonać... a może był to szantaż?

Arinalda ponownie podjęła przemowę, lecz Maybor jej nie słuchał. Jakimż głupcem się okazał. Pozwolił, by Baralis skradł mu sprzed nosa klejnot, jakim była korona. To jego córkę powinni ogłosić dziś narzeczoną, on powinien przygotowywać się do

przejęcia roli ojca króla i kraju. Stracił wszystko.

Pomyślał, że królowa jest mu winna coś więcej. Zgoda na kandydatkę Baralisa była dla niego policzkiem. Nie dotrzymała nawet obietnicy, że poinformuje go najpierw. Dowiedział się o wszystkim jednocześnie z dworzanami i służbą.

Dlaczego Bren? – zastanowił się. Unia z tak potężnym mocarstwem wydawała się oczywistym szaleństwem. Cztery Królestwa z pewnością byłyby słabszym partnerem w sojuszu z owym księstwem. A może Baralis uważał, że jest tak sprytny, iż zdoła manipulować również tamtejszą polityką?

Maybor ponownie przeniósł uwagę na królową.

– Na koniec, chciałabym oznajmić, że posłem księcia Kylocka na dwór Brenu będzie królewski kanclerz, lord Baralis.

Maybor wzdrygnął się na jej słowa. Czy przed tym człowiekiem nie było ucieczki?

Królowa i księżę Kylock ruszyli ku wyjściu przy akompaniamencie radosnych okrzyków tłumu. Maybor powątpiewał w szczerść owego zachwytu. Przechodząc obok, Arinalda wyciągnęła rękę.

– Jutro w moich komnatach – wyszeptwała, po czym odeszła.

Tawl obudził się wypoczęty. Poczłł na twarzy promienie słońca. Źaluzje były uchylone. Nie przypominał sobie, by je otwierał. W izbie panował przejmujący chłód. Wyskoczył z łóża, by zamknąć okno. Wyjrzał przelotnie na dwór. Dzień był wyjątkowo piękny. Na jasnoblękitnym niebie lśniło słońce rozświetlające pokrywający ziemię śnieg.

Czuł dziwny spokój. Postąpił słusznie, odwiedzając Bevlina. Miał wrażenie, że z barków zdjęto mu straszliwe brzemię. Dni, które dotąd ciągnęły się przed nim posepnie, wydawały się teraz pełne nadziei i obietnicy. Czuł wielką pewność siebie. Wszystko było dla niego możliwe. Odnajdzie chłopca.

Przypomniał sobie, z lekkimi wyrzutami sumienia, że okłamał mędrca. Dziś wyzna mu prawdę, wyjaśni dokąd się udaje i jaki cel mu przyświeca. Larn nie wzbudzał już w nim lęku. Dobrze będzie opowiedzieć Bevlinowi o podróży na wyspę. Może wspólnie uda im się wymyślić sposób na powstrzymanie zachodzących

tam okrucieństw.

Tawl namoczył mydlany kamień i przystąpił do golenia. W izbie nie było zwierciadła, musiał więc zaufać dotykowi. Skończywszy, spryskał twarz wodą i roześmiał się pod wpływem wywołanego zimnem szoku. Sięgnął po plecak i wydobył z niego nową koszulę. Uhonoruje gospodarza, wkładając najlepszy strój.

Było jeszcze bardzo wcześnie. Przy odrobinie szczęścia może uda mu się zakraść do kuchni i przygotować śniadanie, nim obudzą się Bevlin i chłopak. Bardzo dobrze pamiętał jedzenie podawane przez mędrca i uznał, że najlepiej będzie, jeśli przez czas ich pobytu tutaj to on będzie przygotowywał posiłki. Poza tym, miał ochotę na coś bardziej apetycznego niż kaczka w tłuszczu.

Otworzył drzwi. Skrzywił twarz, słysząc głośne skrzypnięcie. Nici z niespodziewanego śniadania. Wszedł do kuchni. Bevlin jeszcze nie wstał. Tawl zdał sobie z rozczarowaniem sprawę, że ogień wygasł i będzie musiał rozpalić go na nowo, nim zdoła cokolwiek ugotować. W kącie leżał stos drewna na opał. Rycerz ruszył w tamtą stronę. Dostrzegł coś kącikiem oka. Odwrócił się.

Krew: czarna i skrzepła. Tawl znieruchomiał.



Bevlin leżał na drewnianej ławie. Jego szaty splamiła posoka. Rycerz zmusił się do podejścia bliżej. Narastał w nim strach. Położył dłonie na ciele mędrca. Było zimne i sztywne. Nie żył już od dawna.

Nie, wypowiedział bezgłośnie Tawl. Nie!

Powietrze wypełniał silny odór krwi. Rycerz wziął zabitego w ramiona i przycisnął go do piersi, rozpaczliwie próbując ogrzać zimne ciało. Bevlin był bardzo lekki i kruchy. Tawl ścisnął jego zwłoki, kołysząc je niczym niemowlę. Łzy spływały mu po policzkach, skapując na plecy mędrca.

Nie, nie, nie, szeptał rycerz. Jego ciałem wstrząsało łkanie. Wiedział tylko jedno: to on to zrobił. Było to pewne i niepodważalne. Jego demony ściągnęły go w otchłań. Upadek przyśpieszał ciężar uświadomionej winy.

Nad bagnami wstał pogodny dzień. Sitowie było zielone, jak zwykle o tej porze roku, a w powietrzu unosiły się motyle. Tawl cieszył się, że wraca do domu. Nie było go trzy lata. Trzy lata i dwa kręgi. W ramieniu wciąż czuł pulsujący ból, pozostały po piętnowaniu. Wiedział, że postępuje głupio, nie bandażując rany, lecz wzbraniała się przed tym jego duma. Chciał, by wszyscy wiedzieli, że jest rycerzem z Valdis, którego świeżo zaszczyciono drugim kręgiem.

Wkrótce wyruszy na dalekie południe, szukać skarbów. Jeśli mu się poszczęści, znajdzie złoto. Jeśli spotka go błogosławieństwo, znajdzie uznanie w oczach Boga. Przyszłość należała do niego i niecierpliwie pragnął wyjść jej na spotkanie.

Wjechał na pagórek i zobaczył przed sobą swą dawną wioskę. Krew zawrzała mu niespodziewanym podnieceniem. Wracał do domu. Nic się nie zmieniło: stodoła starego Hawkera nadal się waliła, a wiejskie błonia były równie zaniedbane, jak przed laty. Chłopcy wciąż kręcili się na obrzeżach wioski w poszukiwaniu dziewcząt lub okazji do bójki.

Spiął konia. Kobiety spoglądały w jego stronę. Tylko nieliczni na bagnach mieli wierzchowce. Odpowiadał na ich spojrzenia uprzejmym pochyleniem głowy, tak jak nauczono go w Valdis. Jego wspaniałe płaszcz przyciągał uwagę, a w pięknie wyczyszczonych butach wieśniacy mogliby się przegłędać. Nie wyglądali na przyjaźnie nastawionych. Być może go nie poznawali.

Posuwał się ostrożnie przez moczary, zmierzając w stronę chaty. Serce przepelniała mu radość. Miał dla siostr wspaniałe prezenty: jedwabną suknię dla Sary oraz bransoletkę z paciorków dla Anny. Dla najmłodszej wiozł łódeczkę, która naprawdę pływała.

Wyobrażał sobie ich twarze. Najpierw będzie zaskoczenie, a potem zachwyty. Czeka go sto słodkich całusów. Uśmiechnął się, czując nagły ucisk w gardle. Nie było go w domu zbyt długo.

Dziwne, topografia okolicy wydawała się zmieniona. Chata powinna już być widoczna. Tawł pogalopował naprzód. Buty spryskiwało mu błoto. Jego spojrzenie przyciągnęło coś czarnego. Ściągnął wodze. Ziemia była wypalona. Zobaczył zwęglone pozostałości krokwi i ścian. W całości zachował się jedynie kamienny piec.

Zaburczało mu w żołądku z przerażenia. To był jego domek. Ruiny wyglądały na stare. Zawrócił konia i popędził z powrotem ku wiosce. Zatrzymał pierwszą napotkaną kobietę.

– Co się stało z chatą na moczarach?

Wieśniaczka pogłaskała palcem wargi, co na bagnach było gestem odczyniającym uroki.

– Spaliła się do cna. Pożar pochłonął całą trójkę. Biedne maleństwa, były zupełnie same.

Tawłowi zakręciło się w głowie. Owinął wodze wokół pięści.

– Kto zginął?

Popatrzyła na jego dłonie. Spod rzemieni wypływała krew.

– Dobrze się czujesz, młody człowieku?

– Kto zginął?

– Dwie siostry i dzieciątko – padła odpowiedź. – Piękne z nich były dziewczyny. Najstarszy brat porzucił je i musiały sobie radzić same. – Obrzuciła go twardym spojrzeniem. – To ty nim jesteś, prawda? Poznaję cię po złotych włosach.

Potrząsnęła ze smutkiem głową.

Ścisnęło go w gardle tak mocno, że ledwie mógł cokolwiek powiedzieć.

– Zostawiłem je z ojcem – powiedział cicho, raczej do siebie niż do wieśniaczki.

– Och, z tym nędznym łajdakiem. Kręcił się po wiosce jeszcze przez parę tygodni po twoim odjeździe. Potem wrócił do Lanholtu. Więcej już go nie widziałam. – Wyciągnęła rękę do Tawła. – Nie martw się, chłopcze. Przepraszam, że przemówiłam tak ostro.

– Jak to się stało?

– Nikt nie ma pewności, ale sędzia uznał, że jedna z dziewcząt, najpewniej najmłodsza, wciągnęła do ognia bukłak pełen gęsiego tłuszczu. Wygląda na to, że nie miały pieniędzy na opał i paliły tym, co udało im się znaleźć. Oczywiście natychmiast rozgorzał pożar. – Wskazała na dłonie Tawła. Krew zaczęła skapywać na konia. – Odłóż wodze, chłopcze.

– Kiedy to się stało?

Jego głos był zaledwie szeptem.

– Prawie trzy lata temu, tylko miesiąc czy dwa po twoim odjeździe. Teraz sobie przypominam. Uciekłeś, żeby zostać rycerzem.

Prawie trzy lata temu! Gdy przebywał w Valdis, sądząc, że jego siostry są bezpieczne na bagnach, w rzeczywistości już nie żyły. Ból był nie do wytrzymania. Sara i Anna zginęły. I w imię czego? Dwóch kręgów, z których jeden świeżo wypalono.

Przyjrzał się im. Przed zaledwie kilkoma godzinami były dla niego wszystkim. Teraz, na jego oczach, przerodziły się w piętno hańby. Zapłacił za nie życiem swych sióstr.

Wyciągnął miecz. Kobieta po raz drugi wykonała odczyniający uroki gest, po czym oddaliła się szybko. Trzymając oręż w lewej dłoni, wznosił go wysoko nad głowę. Oczy zaszczyły mu łzami. Szybkim ruchem ciął się w ramię. Ostrze przecięło oba kręgi. Ból przyniósł mu satysfakcję. Zasłużył na niego i potrafił go znieść. Odrzucił miecz tak daleko od siebie, jak tylko zdołał, złapał wodze i popędził w noc niczym demon.

Maybor obudził się, czując obok ciepłe ciało. Była to służąca, Bonnie. Spała głęboko. Prezentowała się teraz lepiej, gdyż wargi przesłaniały krzywe zęby.

Doszedł do wniosku, że nie ma wielkiej ochoty się kochać, obudził ją więc potrząsaniem.

– Zmiaataj już, dziewczyno, i to migiem.

Wyglądała na oszołomioną, wykonała jednak rozkaz, wciągając pośpiesznie suknie. Maybor, który z reguły lubił patrzeć na ubierające się kobiety, odwrócił obojętnie głowę. Skończywszy, dziewczyna kaszlnęła, by przyciągnąć jego uwagę. Z pewnością czekała na jakiś prezent albo obietnicę ponownej schadzki. Maybor nie chciał jej więcej widzieć. Była świadkiem jego niepowodzenia i w związku z tym zasługiwała na wzgardę. Rzucił jej złotą monetę, patrząc z niesmakiem, jak padła na podłogę, by ją podnieść.

Wstał z łoża i podszedł do zwierciadła, tak jak czynił to w większość poranków od dnia Wigilii Zimy. Przyjrzał się skórze na twarzy. Wrzody już niemal zniknęły. Zostało tylko lekkie zaczerwienienie. Choć zewnętrzne objawy zatrucia praktycznie ustąpiły, Maybor zdawał sobie sprawę, że jego gardło i płuca nigdy nie będą wyleczone do końca. Charczał teraz nieprzyjemnie przy oddychaniu, zupełnie jak starzec.

Zjawił się Crandle ze śniadaniem złożonym z ciepłych bułeczek z masłem i wędzonego śledzia. Były to jego ulubione przysmaki, uznał więc, że sługa chciał poprawić mu trochę humor. Crandle wiedział o

planach wydania Melliandry za księcia Kylocka. Maybor cieszył się, że owe zamiary dla większości pozostały tajemnicą. Przeżyłby straszliwe upokorzenie, gdyby cały dwór usłyszał o jego nieudanej próbie doprowadzenia do małżeństwa córki z dziedzicem tronu.

– Jej Wysokość przesłała wiadomość, że za godzinę oczekuje cię w swych komnatach, panie.

– Bardzo dobrze.

Królowa najwyraźniej gorąco pragnęła się z nim spotkać. Słońce wstało dopiero przed chwilą. Wiedział, czego się spodziewać: Arinalda będzie czarująca, może nawet popróbuje trochę flirtować, zapyta go, czy nowe łoże jest wygodne, a potem będzie go błagała, by pozostał jej wierny. Rozgniótł śledzia, rozsmarowując go na pieczywie. Powietrze wypełnił aromat wędzonej ryby. Nie będzie już jej bezwolnym sługusem. Nie miał zamiaru udzielać jej bezwarunkowego poparcia. Niech się trochę podenerwuje. Koniec z przybieganiem na każde jej skinienie.

– Crandle, przynieś mi jeszcze trochę śledzia i przygotuj kąpiel! – zawołał.

– Ale, panie, nie ma już czasu. Królowa czeka.

– To będzie musiała poczekać trochę dłużej – odparł Maybor nie dopuszczającym sprzeciwu tonem.

Sługa popędził wykonać polecenie.

Po dłuższej chwili, gdy wielmoża najadł się już i wykapał, udał się niespiesznie do komnat królowej. Starannie zadbał o swój wygląd. Poprzedniego dnia Baralis założył kanclerski łańcuch. Maybor nie miał żadnego oficjalnego symbolu, posiadał jednak najwspanialszą kolekcję złota i drogich kamieni w królestwach. Założył złoty naszyjnik z dwoma jednakowymi szafirami na obu końcach, wielkimi klejnotami w kolorze nocnego nieba. Łatwo było dostrzec ich unikatową wartość. Jeden taki kamień kosztowałby majątek, ale dwa identyczne stanowiły taką rzadkość, że nie sposób było odgadnąć ich ceny. Wszyscy wiedzieli, że szafiry są ulubionymi klejnotami królowej. Z pewnością je zauważy.

– Lordzie Mayborze, cieszę się, że mogłeś się zjawić.

Wyciągnęła rękę do pocałunku, nie okazując zniecierpliwienia długim oczekiwaniem. Ujął ją, lecz nie uniósł do warg. Spojrzeli sobie w oczy i to królowa pierwsza odwróciła wzrok. Odsunęła się nieco.

– Jestem pewna, że poczułeś się nieco rozczarowany, słysząc me wczorajsze wystąpienie – zaczęła. Odczekała chwilę, by dać mu szansę zaprzeczenia. Nie odezwał się, zmuszając ją do



kontynuowania. – Przepraszam, że usłyszałeś o zaręczynach razem z całym dworem.

– Mam wrażenie, że obiecałaś mi, iż dowiem się o nich pierwszy – odparł oskarżycielskim tonem.

– Masz rację. – Zawahała się. – Na swą obronę mogę jedynie powiedzieć, że wszystko to stało się bardzo szybko.

– Z pewnością nie traciłaś czasu. Natychmiast wyszukałaś nową kandydatkę na miejsce mojej córki.

Nie dbał o to, czy w jego głosie brzmi gorycz. Dworskie maniery nie mogły mu już w niczym pomóc.

– Lordzie Mayborze, chyba zapominasz, że to twoja córka doprowadziła do tej niezręcznej sytuacji. Gdyby nie przyszło jej do głowy uciec, sprawy wyglądałyby dziś zupełnie inaczej dla nas obojga.

– To był pomysł lorda Baralisa, prawda? – zapytał Maybor, celowo nie zważając na jej słowa. – To on zasugerował zaręczyny Kylocka z Catherine z Brenu? – Królowa popatrzyła na swe dłonie. To mu wystarczyło. – Powiedz mi, czy zmusza cię do tego?

– Nie, lordzie Mayborze – odparła królowa pełnym godności tonem. – Mógł to zasugerować, ale sama podjęłam decyzję. Nikt mnie do niczego nie zmuszał.

Maybor nie wątpił, że królowa jest przekonana, iż mówi prawdę, wiedział jednak, że Baralis potrafi

skłaniać ludzi do spełniania swej woli, przekonując ich, iż leży to w ich interesie. Jakie to zdradzieckie słowa wyszeptał jej do ucha?

– Nie wezwałam cię tu po to, byś kwestionował moje postanowienia, lordzie Mayborze – skarciła go delikatnie.

Maybor nie miał ochoty owijać w bawełnę.

– Po co więc to zrobiłaś? Chcesz być pewna mojej wierności? Mojego poparcia? A może zamierzasz je kupić? Na przykład drugim łożem zdobionym klejnotami?

– Lordzie Mayborze. rozumiem twe rozgoryczenie, ale uważam, że powinieneś mnie wysłuchać, nim zaczniesz wysuwać oskarżenia. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Byłeś przy tym, gdy oznajmiłam, że Baralis będzie posłem reprezentującym Kylocka w Brenie. – Maybor skinął głową. – Chcę, byś został drugim posłem – ciągnęła. – Posłem korony, reprezentującym króla i mnie. Pragnę, byś wyruszył do Brenu, by sprawować nadzór nad zaręczynami. Nie muszę ci mówić, jak mało ufam Baralisowi. Czułabym się pewniej, wiedząc, że masz go na oku. – Przerwała, chcąc dać Mayborowi czas na zastanowienie się nad tą ofertą. Pilnował się, by nie okazać żadnych uczuć. – Rzecz jasna, jako poseł korony będziesz wyższy rangą

od lorda Baralisa.

Na białych wargach królowej pojawił się słabutki uśmiech.

Tego się nie spodziewałem, pomyślał Maybor. Arinalda okazała się nadzwyczaj pomysłową osobą. Jedną prostą ofertą próbowała odzyskać jego lojalność, znaleźć kogoś, kto pilnowałby Baralisa i zapewne sprawić, by kanclerz z kolei obserwował jego. Niemniej było to kuszące. Mógłby pojechać do Brenu, być obecny przy historycznym wydarzeniu, a jednocześnie poirytować Baralisa, którego do szalu doprowadzi jego obecność, nie wspominając już o wyższej randze.

Uznała jego milczenie za oznakę obaw.

– Lordzie Mayborze, muszę podkreślić fakt, że nie mogę się zgodzić, byś reprezentował w Brenie koronę, jeśli nie zapewnisz mnie, że nie pozwolisz, by na twe decyzje wpłynęła osobista wrogość. Gorąco pragnę doprowadzić do tego związku i nie będę tolerowała żadnych prób ingerencji.

– Wasza Wysokość wielce mnie zaszczyca tą propozycją – oznajmił płaczliwym tonem, mającym złagodzić jej wątpliwości.

– Cóż więc mi odpowiesz, Mayborze?

Opuściła jego tytuł, chcąc, by jej słowa zabrzmiały

łobuzersko.

– Z przyjemnością podejmę się funkcji pośła korony w Brenie. Pokłonił się lekko. Królowa podbiegła do niego i ucałowała go czule w policzek.

– Dobrze. Cieszę się z twej zgody.

Ujrzał na jej twarzy wyraźną ulgę. Udało jej się odzyskać jego poparcie.

– Proszę – powiedziała, wręczając mu mały przedmiot. – Przyjrzyj się przyszłej monarchini Czterech Królestw.

Wziął go z jej ręki. Była to miniatura przedstawiająca złotowłosą dziewczynę – niewątpliwie piękną, lecz nieco mdłą w porównaniu z jego córką.

Nie potrafił się zdobyć na pochwalenie jej urody.

– Kiedy wyruszamy do Brenu? – zapytał, oddając portret.

– Za dziesięć dni. Baralis rozpoczął już przygotowania.

– Podróż będzie trudna. Pogoda jest niekorzystna, a nie można też zapominać o Halcusach.

Maybor zastanawiał się gorączkowo. Skłoni królową, by pozwoliła mu zabrać grupę jego zbrojnych. Będzie się czuł bezpieczniej, wiedząc, że ma przy sobie zaufanych żołnierzy.

– Otrzymasz eskortę setki królewskich strażników.

– Chętnie zabrałbym też dwudziestu własnych ludzi.

– Zgoda!

Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając małe, białe zęby. Podeszła do niskiego stołu, na którym stał dzban wina i dwa kielichy. Czyżby była aż tak pewna sukcesu? Zauważyła, że Maybor dostrzegł znaczenie tego faktu.

– Nikogo nie można winić o to, że ma nadzieję – wyjaśniła, nalewając wino.

Podawała mu kielich i wzięła w rękę drugi.

– Za Bren – wzniosła toast. – Oby okazał się dobrym sojusznikiem.

– Za Bren – powtórzył Maybor.

Od incydentu pod domkiem myśliwskim Jack ani razu nie spał dobrze, lecz od przedwczoraj sytuacja zaczęła się jeszcze pogarszać. Dręczyły go niepokojące, niezwykle wyraziste koszmary. Widział w nich mężczyznę przebijającego kogoś nożem w blasku księżyca. Nawet teraz, za dnia, gdy świeciło blade słońce, wspomnienie owej wizji przeszywało go dreszczem.

Podążali wschodnim traktem od wielu dni. Jack zaczynał już sądzić, że ścigający dali za wygraną. Od wielu dni nie dostrzegł ich śladu. Gościńcem

wędrowali jedynie rolnicy, rzemieślnicy i kupcy. Droga była teraz w lepszym stanie. Błoto zastąpił ubity śnieg. Jack i Melli szli samym traktem. Groźba pościgu nie wydawała się już tak bliska. Gdy tylko jednak słyszeli zbliżającego się jeźdźca, kryli się w najbliższym rowie lub w krzakach.

Jack doszedł do wniosku, że śnieg zapewne przeszkadza tropicielom. Pokrywał on ślady zbiegów, a jeśli ścigający mieli psy, niełatwo przyjdzie im wywęszyć trop pod grubą warstwą puchu.

Niestety śnieg coraz bardziej utrudniał uciekinierom znalezienie miejsca, w którym mogliby spędzić noc. Śpiąc w takich warunkach na ziemi, narażali się na odmrożenia. Ostatniej nocy zakradli się do obory, by przespać się wśród krów i siana. Melli obudziła się wcześniej i znalazła zapas zimowych serów. Wielkie, czerwone kręgi wydały się im niewiarygodnie kuszące. Jack nie chciał ich zabierać, lecz dziewczyna nalegała, twierdząc, że skazano ją już za kradzież konia i jeden krąg sera nie zrobi większej różnicy. Nie potrafił odeprzeć tego argumentu, wskutek czego jego plecak zyskał wyraźnie na ciężarze.

Wczoraj mijali małą wioskę. Zobaczyli odgałęzienie traktu, a potem dym unoszący się nad

wierzchołkami drzew. Jack zastanawiał się, czy nie pójść do osady, by kupić trochę bardzo im potrzebnej żywności, lecz Melli ubłagała go, aby tego nie robił. Bała się, podejrzewał jednak, że nie o siebie, a o niego. Rozumiał to: nie chciała ryzykować kolejnego incydentu. Zdarzenie z najemnikami wstrząsnęło nią do głębi. Od czasu do czasu zauważał, że spogląda na niego czujnie.

Co mogła o nim myśleć? Czy się go bała? Wątpił w to. Melli nie obawiała się zwykłego piekarczyka. Był jednak teraz kimś więcej. Wiedziała o tym i od chwili ataku najemników zaczęła traktować go inaczej. Niemal z szacunkiem.

Jak myśliwi osaczonego niedźwiedzia. Uśmiechnął się. Czy tym właśnie czyniły go jego moce – niebezpiecznym zwierzęciem? Musiał jednak przyznać, że sprawia mu przyjemność, iż Melli ma dla niego więcej uznania. W gruncie rzeczy, wcale nie było tak źle: wyruszył na poszukiwania nowego życia, miał być może szansę dowiedzieć się czegoś o matce, uwolnił się od napadów złości pana Frallita i towarzyszyła mu piękna dziewczyna.

Roześmiał się głośno. Czuł się jak bohater jednej z książek Baralisa. Niektórzy mogliby nawet uznać go za szczęściarza.

Melli, która poszła po wodę do strumienia, wróciła szybko na dźwięk jego śmiechu.

– Co się stało?

– Będę jedynym bohaterem, który umie robić kruche ciasto. Sprawiała wrażenie, że boi się, iż postradał zmysły, uspokoił się więc z trudem.

– Nic mi nie jest. Przyszło mi tylko do głowy, jak wielkie mam szczęście.

Zmiażdżyła go spojrzeniem.

– Gdy następnym razem będziesz się zastanawiał nad swym szczęściem, mam nadzieję, że zrobisz to ciszej. Rozlałam przez ciebie wodę.

Zajrzała do manierki.

– Ale przynajmniej tylko twoją porcję – dodała, uśmiechając się do niego słodko.

Strzepnęła śnieg z leżącej na ziemi kłody i przysiadła na niej.

– Jak daleko jeszcze do Halcusu? – zapytała, przeżuwając plasterek sera.

Jack nie miał zielonego pojęcia, nie chciał jednak, by Melli się o tym dowiedziała.

– Od Nestora dzielą nas chyba jakieś dwa dni drogi. Gdy znajdziemy się na drugim brzegu, będziemy musieli mieć oczy otwarte.

– Jesteśmy na południowy wschód od Harvellu,



prawda? – Skinął głową. – Słyszałam ostatnio, że walki toczą się na północnym wschodzie.

– Twój ojciec ma tu gdzieś posiadłości?

Wszyscy na dworze słyszeli o rozległych dobrach Maybora.

– Nie zdziwiłabym się, gdybyśmy znajdowali się na jego ziemi, Jack. Większość ludzi sądzi, że ma tylko majątki w pobliżu rzeki. Kiedyś tak było, ale już od lat skupuje potajemnie ziemię na wschodzie. I to nie tylko sady jabłoniowe. Lasy, łąki i pola.

Rozłożyła ręce. Usłyszał w jej głosie nutę dumy.

– Jest bardzo bogaty.

– Najbogatszy – odparła po prostu.

– Czy żałujesz, że opuściłaś Harvell? Utraciłaś tak wiele. Ze mną jest inaczej. Ja nigdy nic nie miałem.

Westchnęła głęboko.

– Nie wiem. Jack. Miałam wiele, jeśli chodzi o piękne suknie i pyszne potrawy, ale bardzo mało, jeśli chodzi o wolność. Nawet do ogrodu nie mogłam się wybrać bez przyzwoitki.

Obdarzyła go słodko-gorzkim uśmiechem. Uznał, że nadszedł czas, by zadać pytanie, które dręczyło go już od pewnego czasu.

– Za kogo miałaś wyjść?

Przyglądał się, jak Melli zastanawia się, czy mu

odpowiedzieć.

– Za księcia Kylocka – wyznała cicho po dłuższej chwili. Spuściła wzrok, rysując palcami kręgi na śniegu. – Dlatego właśnie Baralis chciał mnie pojmać.

– Żeby cię zmusić do tego małżeństwa?

– Nie. – Potrząsnęła głową i roześmiała się. – Żeby zapobiec. Baralis nienawidzi ojca – dodała, widząc zdziwienie Jacka. – Zrobiłby wszystko, by utrzymać go z dala od tronu.

– Mogłaś zostać królową.

Nie chciało mu się to pomieścić w głowie. Ciemnowłosa dziewczyna siedząca na kłodzie obok niego w najmniejszym stopniu nie sprawiała wrażenia osoby tak wysoko skoligaconej.

– Ale nie zostanę – odrzekła rzeczowym tonem. – I nie mogę powiedzieć, żebym tego żałowała. Kylock nie wydawał mi się idealnym kandydatem na męża. Och, jest przystojny, inteligentny i dobrze włada mieczem. Z pewnością znajdzie się jakaś kobieta, która nie będzie potrafiła mu się oprzeć. Ja zawsze uważałam, że czegoś mu brakuje. – Zastanawiała się krótką chwilę. – Czegoś podstawowego, jak dobroć czy człowieczeństwo. Zawsze był nienagannie uprzejmy, ale miałam wrażenie, że...

Potrząsnęła głową, nie mogąc znaleźć

odpowiednich słów.

– Chyba wiem, co chcesz powiedzieć. Podniosła zaskoczona wzrok.

– Widywałeś go w zamku?

– Tak. Czasami odwiedzał Baralisa w jego komnatach.

– Baralis przyjaźni się z Kylockiem. Trudno w to uwierzyć. – Dotknęła dłonią twarzy. – A może nie tak trudno? Są jakoś do siebie podobni.

Zastanawiał się chwilę nad jej słowami.

– Masz rację. Obaj są... – zawahał się w poszukiwaniu właściwego słowa – ...skryci.

– Na ten temat nic nie wiem. Chodziło mi raczej o ich wygląd. Są wysocy i ciemnowłosi. – Wzruszyła ramionami. – Co sprowadzało Kylocka do komnat Baralisa?

– Interesowały go jego zwierzęta.

Spuścił głowę. Wiedział, że Melli chciałyby usłyszeć coś więcej, nie był jednak pewien, czy powinien mówić dalej. Niekiedy przybywał do komnat wcześniej i zastawał Kylocka oraz Baralisa razem. Księżę robił ze stworzeniami kanclerza rzeczy przyprawiające go o mdłości. Lubił sprawdzać, jak długo może torturować zwierzę, nim padnie martwe. Dźgał delikatnie gołębia niezliczoną ilość razy albo

miażdżył powoli mysz w dłoni. Jack zadrżał. Najbardziej niepokojący był fakt, że Baralis przyglądał się temu tylko, kiwając głową niczym pobłażliwy ojciec.

Cieszył się, że opuścił zamek.

– A więc nie masz do mnie pretensji, że uciekłam?  
– zapytała Melli, zupełnie jakby domyślała się natury poczynań Kylocka. Jack odniósł wrażenie, że pragnie od niego wsparcia.

– Nie. – Położył dłoń na jej ramieniu. – Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo.

– Czas już ruszać w drogę – powiedziała, uśmiechając się delikatnie i podnosząc z miejsca. – Napełnię tylko bukłak wodą.

Popędziła między drzewa – małeńka postać w ciemnym płaszczu.

Jack podniósł plecak i zarzucił go na ramię. Jego ciało przeszły ból. Zapomniał o swej ranie. Usiadł na chwilę, by wrócić do siebie. Cieszył się, że Melli odeszła. Nie chciał, żeby wiedziała, jak kiepsko jeszcze się czuje. Jej obrażenia zagoiły się szybko i uważała, że z nim jest podobnie. Jego rana była jednak poważniejsza. Strzała utkwiała głęboko w mięśniach i otarła się o kość. Pomacał ostrożnie bark. Dobrze chociaż, że nie pojawiła się krew. Staruszka z ręcznie

go zszyła. Podniósł się raz jeszcze i umieścił plecak na drugim ramieniu.

Ruszył powoli wschodnim traktem, zastanawiając się, co go czeka. Po pierwsze niebezpieczeństwo. Halcusowie zabiją ich, jeśli się zorientują, że mają przed sobą ludzi pochodzących z Czterech Królestw. Będą musieli trzymać usta zamknięte. Halcuski akcent bardzo różnił się od tego, z którym mówili, więc gdyby coś powiedzieli, zdradziliby się. Jeszcze większe niebezpieczeństwo groziłoby Melli, gdyby odkryli, kim jest. Lord Maybor był powszechnie znienawidzony przez Halcusów, którzy z wielką satysfakcją poddali бы jego córkę torturom, a potem wzięli okup za to, co z niej pozostanie.

Nawet jeśli uda im się przedostać przez Halcus, nie było żadnych gwarancji, że dotrą do Brenu. Jack zupełnie nie znał terenów leżących za Nestorem. Wiedział tylko, że droga do Brenu jest niewiarygodnie długa, zwłaszcza dla dwojga ludzi wędrujących zimą na piechotę. Były też góry, Wielki Wododział, przecinające całe Znane Krainy. Słyszał, że w pobliżu Brenu są mniej strome i jest tam wiele przełęczy, jednak o tej porze roku mogły się okazać śmiertelną pułapką.

Melli wypadła spomiędzy drzew, niosąc pełny

bukłak. Jack przypomniał sobie nagle, że dziewczyna nie wybiera się do Brenu. Jej podróż miała się zakończyć w Annisie. Góry będzie musiał pokonać sam. Podeszła do niego i ujęła go pod ramię. Razem ruszyli na wschód.

Gdy Kosiarz się obudził, czuł się znacznie lepiej. Światło przenikające przez żaluzje świadczyło, że ranek już minął. Usiadł i poczuł, że wyraźnie przejaśniło mu się w głowie. Lekarstwo mędrca okazało się skuteczne. Polubił Bevlina, jego dom i wszystkie ciekawe rzeczy trzymane przez niego w kuchni. Kaczka w tłuszczu mniej przypadła mu do gustu, uznał jednak, że człowiek mający tak mało zębów, jak ich gospodarz, potrzebuje pożywienia mogącego prześliznąć się przez przełyk bez potrzeby gryzienia.

Uważał, że związanie się z Tawlem było najlepszym pomysłem w jego życiu. Mógł dzięki temu zwiedzić świat, posmakować przygód, spotykać niezwykłych ludzi i na dodatek nieźle zarobić. Czuł lekkie wyrzuty sumienia z powodu tego, że ukrył przed towarzyszem wędrowki część swych zysków, cóż jednak mógł zrobić? Kto wiedział, kiedy będzie potrzebował pieniędzy?

Jego dobry przyjaciel imieniem Szybcior, ten sam,

który wprowadził go w intratny świat kradzieży kieszonkowej, zapoznał go kiedyś z pojęciem “nieprzewidziane wydatki”. To znaczy, że trzeba zostawić trochę dla siebie – wyjaśnił. Sam zachowywał na nieprzewidziane wydatki sporą sumkę, o której nic nie wiedział jego szef, nie wspominając już o żonie i rodzinie. Kosiarzowi spodobał się ten pomysł i nigdy nie zapominał zrobić tego samego. Odkąd zaczął wędrować z Tawlem, zapas wzrósł znacznie i jego ukrywanie sprawiało mu coraz więcej trudności.

Wstał z łóżka i ubrał się. Niepokoił się o rycerza. Jego przyjaciel zachowywał się dziwnie od chwili, gdy zaczął go pijak w gospodzie. Stał się zapalczywy i ponury. Chłopak miał nadzieję, że mędrzec potrafi mu pomóc. W końcu rycerz gorąco pragnął się z nim spotkać.

Popatrzył na zimną wodę w misce i postanowił, że nie będzie się mył. Czystość nie była dla niego najważniejsza. Spróbował jednak się uczesać. Szybcior mówił mu, że gość ma wobec gospodarza pewne obowiązki, do których należy dbanie o porządnny wygląd. „Bo inaczej już cię więcej nie zaprosi” – mówił. Chciał, by Bevlin jeszcze go zaprosił.

Skończywszy przygotowania, wpadł do kuchni, spragniony gorącego jedzenia i towarzystwa. Gdy

tylko znalazł się w środku, zauważył, że coś jest nie w porządku. Ogień wygasł i w izbie panował chłód. Usłyszał jakiś dźwięk – skrzypnięcie podłogowych klepek – i okrążył wielki stół. Ujrzał Tawla. Rycerz przykucnął, umazany krwią. Ścisnął Bevlina, kołysząc go jak dziecko. Mędrzec był martwy.

Kosiarz mieszkał w najgorszej dzielnicy Rornu, wśród bandytów i morderców. Widywał prostytutki z podciętymi żyłami i oszustów z nożami w brzuchach. Krew nie była dla niego czymś niezwykłym.

Wiedział, że przede wszystkim musi odciągnąć Tawla od ciała i wlać mu do gardła coś ciepłego. Podszedł do rycerza i przyklęknął przy nim, obejmując ręką jego ramiona.

– Wstawaj, Tawl – powiedział cicho. – Czas już się ruszyć. Rycerz popatrzył na niego. Kosiarz nie dostrzegł w jego twarzy błysku rozpoznania. Spróbował odciągnąć od niego ciało mędrca. Tawl z początku się opierał, czepiając się zwłok, lecz słowa chłopaka uspokoiły go.

– Daj spokój, Tawl. Czas pozwolić Bevlinowi odejść. Wypuścił staruszka z objęć. Kosiarz ułożył trupa na podłodze, po czym ścisnął ramię rycerza, by skłonić go do wstania. Cały czas uspokajał go delikatnie. Rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, w



którym mógłby posadzić Tawla. Ława się nie nadawała. Splamiła ją krew. Podprowadził go do stojącego przy kominku krzesła i posadził go na nim. Ciało rycerza zsiniało z zimna. Chłopak zastanawiał się, jak wiele czasu jego przyjaciel spędził w kuchni. Pobiegł do sypialni, znalazł gruby, wełniany koc i okrył nim Tawla, który sprawiał wrażenie zmęczonego i oszołomionego. Bez oporu poddawał się tym zabiegom.

Kosiarz rozpałił pośpiesznie ogień i postawił na piecu kilka garnków. Tawł musiał wypić coś ciepłego. Chłopak postanowił, że ciałem Bevlina zajmie się później. Zmarłym nie był potrzebny pośpiech. Starał się nie zastanawiać nad tym, co się zdarzyło. Już we wczesnym dzieciństwie nauczył się, że nie należy zadawać zbyt wielu pytań. Niemniej jednak, nie mógł nie zauważyć grubej warstwy krwi pokrywającej pierś Bevlina. Pchnięto go nożem w serce.

Sprawdził spiżarnię mędrca w poszukiwaniu czegoś nadającego się do jedzenia. Znalazł jaja, mleko, masło i kaczki. Jego wzrok przyciągnął bukłak pełen lakusa. Ów płyn wyleczył go, zapewne więc nie zaszkodzi i Tawłowi. Nalał do garnka miarę mlecznobiałej substancji i podgrzał ją nieco przed podaniem rycerzowi. Ten przyjął od niego czarę i

uniósł ją do twarzy, wdychając gryzące opary. Po chwili zbliżył naczynie do ust i zaczął pić. Kosiarz odetchnął z ulgą i dodał do ognia jeszcze trochę szczap.

Czuł głód, uważał jednak, że jedząc w izbie, w której znajdowały się zwłoki, okazałby im brak szacunku. Szybciorowi to by się z pewnością nie spodobało. Postanowił zaczekać. Zabrał się do usuwania krwi z ławy i podłogi, przez cały czas spoglądając na Tawla. Starał się nie patrzeć na Bevlina, lecz twarz zmarłego przyciągała jego wzrok. Nie wydawała się straszna. Mędrzec sprawiał wrażenie pogrążonego w głębokim śnie. Wyglądał trochę blado, ale spokojnie.

Przemknęło mu przez głowę, że krew niełatwo jest zmyć. Starał się jak mógł, lecz pogarszał jedynie sprawę, brudząc podłogę brzydkimi, czerwonymi plamami. Popatrzył na swe dłonie. Pokrywała je zakrwawiona woda. Poczul ucisk w gardle. Musiał przerwać pracę. Podniósł się i spojrzał na Tawla. Rycerz siedział nieruchomo. Oczy miał zamknięte.

Kosiarz czuł, że ogarnia go nerwowość, zapanował jednak nad sobą. Szybcior wstydziłby się go. Wśród kieszonkowców wysoko ceniono opanowanie. Zaciśnął wargi i odsunął się od ciała, szepcząc do siebie:

– Daj spokój, Kosiarz. Nie jesteś dzieckiem. W swoim czasie widywałeś gorsze rzeczy.

Musiał usunąć krew z dłoni. Uznał, że to jej widok wytrącił go z równowagi. Potrzebował czystej wody. Wymknął się na moment do sypialni, gdzie była miska i ręcznik. Popatrzył na Tawła, by się upewnić, że rycerzowi nic się nie stanie przez krótką chwilę. Jego przyjaciel najwyraźniej zasnął. Nie zauważył jego nieobecności. Kosiarz poszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi.

Gdy już się tam znalazł, poczuł zdenerwowanie. Usiadł na łożu i zaczął dygotać. Powiedział sobie, że to tylko dlatego, iż w izbie jest zimno. W oczach wezbrały mu łzy, lecz otarł je szybko. Szybcior śmiałyby się z niego. Nakazał sobie zachować spokój. Podeszedł do miski i spryskał twarz zimną wodą, radując się tym, co zaledwie przed godziną wydawało mu się nieprzyjemną perspektywą. Ukłucie chłodu podniosło go na duchu. Szorował bezlitośnie dłonie, chcąc usunąć ostatnie ślady krwi.

Gdy wytarł ręce, poczuł się znacznie lepiej. Uspokoił się i był gotów wrócić do kuchni. Poprawił ubranie i wyszedł z pokoju.

Tawł zniknął. Krzesło było puste, a drzwi otwarte. Kosiarz przeklął sam siebie. Nie trzeba było go

zostawiać. Wyrzwał przez okno. Klacz, która stała uwiązana do bramy, również gdzieś przepadła. Chłopak wybiegł do ogrodu. Dostrzegł w oddali Tawla. Rycerz jechał jak szalony na zachód. Wkrótce Kosiarz stracił go z oczu.

Stał przez chwilę, wpatrując się w horyzont, za którym zniknął jego przyjaciel. Chmury przesłoniły słońce. Zrobiło się ciemno i zimno. Kosiarz wrócił z niechęcią do chaty.

Zajrzał do izby Tawla i z ulgą przekonał się, że nie ma tam jego plecaka. Rycerzowi przynajmniej nie zabraknie żywności i koców.

Wziął sobie coś do jedzenia: odrobinę owsianki i kawałek kaczki. Zaniósł posiłek do sypialni, by nie patrzeć na ciało. Zastanowił się, co robić dalej. Mógłby wrócić do Rornu. Szybcior przyjąłby go z powrotem jako kieszonkowca, nie zadając żadnych pytań. W Ness zdobył bogate łupy. Byłby w stanie rozpocząć tam niezależną karierę. Mógł nawet przesiedzieć całą zimę w chacie. Było tu pod dostatkiem żywności.

Żadna z owych perspektyw nie wydawała mu się wystarczająco pociągająca. Generalnie, był w niezłej sytuacji. Nigdy w życiu nie dysponował większą sumą na nieprzewidziane wydatki. Mógł pójść dokądkolwiek i zająć się, czym zechce. Wiedział, co chce zrobić, lecz

zdawał sobie również sprawę, że sama taka myśl jest głupotą. Pragnął pojechać za rycerzem, odnaleźć go i ponownie wyruszyć z nim na wędrówkę. To szaleństwo, powiedział sobie. Nie znał okolicy, był sam środek zimy, nie wiedział, dokąd udał się Tawl i nie miał nawet pewności, czy ucieszyłby się on z jego widoku.

Był jednak jego przyjacielem. Poszukiwali razem przygód. Uratował kiedyś rycerzowi życie. Niewykluczone, że znowu trzeba będzie go ocalić. Zrobi to. Podąży za nim na zachód. Gdy Bevlin dawał mu lakus, Kosiarz zapytał go, jakie miasta leżą najbliżej jego chaty. Mędrzec odpowiedział, że na północy znajduje się Lairston, na wschodzie Ness, a na zachodzie Bren. Znaczyło to, że Tawl pojechał do Brenu.

Podąży na zachód jego śladem. Słyszał, że Bren jest bogatym miastem. Z pewnością uda mu się tam zorganizować wiele funduszy. Przede wszystkim jednak musi zaprowadzić porządek tutaj. Trzeba było pochować Bevlina. Szybcior sądziłby, że tak należy. Posprząta również w chacie i zamknie ją porządnie. Wyruszy do Brenu rankiem. Miał pod dostatkiem roboty na cały dzień.

Tavalisk jadł kleik. Dolegliwości żołądkowe nie

ustępowały i cienka zupka była jedyną potrawą, jaką był w stanie przyjąć. Rankiem zjawili się lekarze. Jakże ich nienawidził za ich badania, szepty i idiotyczne metody. Oznajmili mu, że ma w żołądku złośliwe humory i zalecili okłady gorzyczne na brzuch celem ich wyciągnięcia. Gdy nie wyraził zgody, zalecili puszczanie krwi, a potem leczniczą lewatywę. Chcieli go zabić, czy co?

Wyrzucił ich i postanowił leczyć się sam. Jego najnowszy kucharz, pochodzący z dalekiego południa, znał się na ziołach. Posypał ich odrobiną jego kleik. Nie upłyłoby wiele czasu, nim poczuje się lepiej. Rzecz jasna, arcybiskup podejrzewał truciznę. Człowiek o jego pozycji musiał się liczyć z taką możliwością. Zawsze jednak pamiętał, by kazać liczным sługom kosztować przeznaczone dla niego potrawy. Wszyscy czuli się dobrze. Może to przez silnie przyprawione dania, które ostatnio spożywał. Będzie musiał zmienić dietę.

Usłyszał głośnie pukanie do drzwi. Po otrzymaniu reprimendy, Gamil zawsze stukał z ostentacyjnym wigorem.

– Wejdz.

– Mam nadzieję, że Wasza Eminencja czuje się już lepiej?

– Tylko trochę, Gamilu, i to nie dzięki lekarzom. – Tavalisk skończył kleik. – Chciałbym, żebyś rozpuścił pewną plotkę, Gamilu.

– Jaką, Wasza Eminencjo?

– Właściwie jest to nawet prawda. Pragnę, by lud Rornu dowiedział się, że jestem chory.

– Ale Wasza Eminencja wraca do zdrowia?

– Tak. Chciałbym jednak, by pomartwili się o mnie przez dłuższy czas. Ludzie wyżej cenią to, co w każdej chwili mogą utracić. – Zauważył wyraz twarzy Gamila.

– Nic nie zwiększa popularności skuteczniej niż poważna choroba.

– Ale lud i tak już kocha Waszą Eminencję.

– W rzeczy samej. Zamierzam utrwalić ten stan rzeczy. Dopilnuj, by dowiedziano się, że odmówiłem skorzystania z pomocy lekarzy. Prości ludzie nie mogą pozwolić sobie na ich usługi i w związku z tym ich nie lubią. Osobiście uważam, że właśnie dlatego żyją dłużej niż bogacze. Mogą umrzeć we właściwym czasie, nie wpędzani przedwcześnie do grobu przez medyków.

– Zrobię, jak Wasza Eminencja sobie życzy.

– Lepiej o tym pamiętaj. Masz dla mnie jakieś wieści? Co z naszym rycerzem?

– Minie trochę czasu, nim nasi szpiedzy będą w

stanie złożyć raport, Wasza Eminencjo. Słyszałem, że podczas pobytu w Ness spędził parę chwil z córką sukiennika.

– Doprawdy, Gamilu, sądziłem, że jesteś ponad takie plotki. Mało mnie obchodzi, z kim nasz rycerz dzieli łożę.

– Dziewczyna i jej ojciec pochodzą z Czterech Królestw, Wasza Eminencjo. Dotarło do mnie, że rycerz wypytywał ją o kraj, z którego przybyła.

– Wygląda na to, że ostatnio wielu ludzi zainteresowało się Czterema Królestwami. – Tavalisk nalał sobie odrobinę owczego mleka z miodem. – Swoją drogą, Gamilu, czy załatwiłeś spotkanie z tym możnowładcą z Brenu... jakże się on nazywa?

– Lord Cravin.

Gamil wyraźnie nie miał ochoty mówić na ten temat.

– No gadaj, człowieku – ponaglił go arcybiskup.

– No cóż, Wasza Eminencjo. Nawiązałem w twym imieniu kontakt z owym znakomitym dostojnikiem. Powiedziałem mu, kogo reprezentuję i poinformowałem go, że Wasza Eminencja chciałaby mieć przyjemność się z nim spotkać.

Gamil zmiął w palcach rąbek szaty.

– Cóż, lord Cravin uznał za stosowne odrzucić tę



propozycję. Powiedział, że ma zbyt wiele zajęć, by tracić czas na spotkania z klerem i zażądał, bym nie zwracał mu już więcej głowy.

– Z klerem! – oburzył się Tavalisk. – Z klerem! Czy ten człowiek zdaje sobie sprawę, z kim ma do czynienia?

– Okazał się nadzwyczaj arogancki, Wasza Eminencjo.

– Jest również wyjątkowo głupi, jeśli nie chce się spotkać ze mną. Nigdy jeszcze nie zetknąłem się z podobną obelgą. Z klerem!

– Poirytowany arcybiskup zatarł pulchne dłonie. – Widzę, że mieszkańcom Brenu brakuje zarówno inteligencji, jak i dobrych manier.

– Jest powszechnie znanym faktem, że wszyscy ludzie z północy są barbarzyńcami, Wasza Eminencjo – uspokajał go Gamil.

– A Breńczycy przewyższają barbarzyństwem całą resztę.

– Potrafię w to uwierzyć. – Tavalisk pociągnął łyk mleka z miodem. Odzyskał panowanie nad sobą. Cwany uśmiezek wykrzywił kąciki jego ust. – Jeśli tacy z nich barbarzyńcy, ciekawie będzie zobaczyć, jak poradzi sobie z nimi Baralis. Niewykluczone, że żeniąc Kylocka z Catherine z Brenu, ugryzł więcej, niż potrafi

przełknąć.

Arcybiskup uśmiechał się teraz szeroko, odsłaniając małe, ostre zęby. Przepowiednia Maroda mogła jednak nie spełnić się tak gładko. A jeśli dobrze rozumiał jej znaczenie, to jego obowiązkiem było zapobiec jej urzeczywistnieniu.

– Od tej rozmowy o przetykaniu zrobiłem się głodny, Gamilu. Przynieś mi trochę prawdziwego jedzenia, czegoś o przyzwoitym smaku. Mam już dosyć kleiku.

Kylock mył ręce. Używał szczotki z włosia dzika, by usunąć brud spod paznokci. Po chwili uniósł dłonie do światła. Wciąż nie były wystarczająco czyste. Dolał do miski jeszcze trochę wrzątku i zaczął trzeć po raz drugi.

Nie potrafił usunąć smrodu. Bez względu na podejmowane wysiłki, nie był w stanie uwolnić się od odoru macicy. Wciąż mu towarzyszył, choć minęło już niemal osiemnaście lat. Skóra schodziła z rąk wiele razy, każda cząsteczka była po stokroć odnawiana, a smród nie znikał. Zapach matki czepiał się go niczym pnącze dębu. Zniszczyłby go, gdyby mógł.

Ów zaduch był instrumentem jej zamiarów, cuchnął jej cudzołóstwem, usiłował go zepsuć. Nie podda się mu. Catherine mu pomoże. Wykąpie się w

jej czystości i na zawsze uwolni od skazy zepsucia pochodzącej od matki.

Wytarł dłonie w miękką szmatkę. Portret leżał tam, gdzie zostawiła go Arinalda. Podniósł go. Choć pokonał setki mil, wciąż otaczała go woń niewinności. Kylock otworzył pięść w blasku świecy i wpatrzył się w podobiznę Catherine z Brenu. Zaparła mu dech w piersiach. Doskonałość. Anioł, czysty i dziewiczy, nie tknięty dłonią mężczyzny ani zębem czasu. Catherine należała do niego i tylko ona mogła go ocalić.

Baralis napełnił kielich ciemnoczerwonym winem, po czym uniósł go, by podziwiać barwę i przejrzystość płynu w blasku kominka. Z reguły był wybredny, unikał nieumiarkowania w jedzeniu i piciu, a w gruncie rzeczy gardził ludźmi, którzy się oddawali ucztom cielesnym. Dzisiaj jednak miał powód do radości i zamierzał wychylić kielich albo i dwa. Wczoraj królowa ujawniła przed całym dworem plany zaręczyn jej syna z córką diuka Brenu. Nie mogła już się cofnąć. Była zmuszona doprowadzić do tego małżeństwa, co znaczyło, że jego zamiary się powiodą. Świat okazał się mu przychylny i realizacja jego marzeń posunęła się o kolejny krok.

Nie podobała mu się myśl o długiej podróży do Brenu, była ona jednak tylko niewygoda, czymś, co

musiał znieść. Zastanawiał się bezskutecznie, jakiego to durnia królowa wyznaczy na posła korony. Zapewne będzie to jakieś tchórzliwe zero, które mocno trzymała w swej pięknie wypielegnowanej dłoni. Nie miało to większego znaczenia. Sam zajmie się Brenem. Nie zamierzał tolerować ingerencji jakiegoś bezmyślnego szlachetki.

Zostało jeszcze kilka spraw, które wolałby załatwić przed odjazdem, wyglądało jednak na to, że zabraknie mu czasu. Nowi najemnicy okazali się bezużyteczni. Wrócili dzisiaj, twierdząc, że nie trafili na żadne ślady dziewczyny i chłopaka. Co prawda, Melliandra nie była już kandydatką na żonę Kylocka, lecz gdyby wróciła na dwór i opowiedziała, że więził ją królewski kanclerz, wywołałoby to nieprzyjemny skandal. Nie mógł narażać się na podobne oskarżenia. Musiał raz na zawsze uniemożliwić dziewczynie ich wysunięcie.

Co do chłopca, jego również trzeba było odnaleźć i zabić. Incydent przy domku myśliwskim dowiódł, jak groźny może się stać Jack. Baralis zamierzał usunąć go ze swojej drogi. Reprezentował niepewność... był czarnym koniem, siewcą chaosu. Gdy tylko kanclerz o nim pomyślał, odczuwał lęk. Piekarczyk oznaczał kłopoty.

Pociągnął łyk wina, zastanawiając się, co powinien

zabrać ze sobą do Brenu. Usłyszał ciężkie stąpanie i nagle zamajaczyła przed nim sylwetka Croke'a. Głupiec jak zwykle taszczył ze sobą swą malowaną szkatułkę.

– Mówiłem ci, byś mi nie przeszkadzał.

– Lord Maybor pragnie się z tobą zobaczyć.

– Maybor? Czego chce?

Nie miał ochoty się z nim spotykać. Zbyt dobrze pamiętał, co się wydarzyło przy poprzedniej okazji: ten szaleniak wyciągnął miecz.

– Mówi, że chciałby się z tobą spotkać i że nie ma broni.

– A w jakim jest nastroju?

Czego może ode mnie chcieć? – pomyślał Baralis. Czyżby miał zamiar wyładować wściekłość wywołaną poniesioną klęską?

– Wygląda na zadowolonego. Nawet się uśmiecha.

– Wpuść go.

Wielmoża zapewne był pijany. Jeśli i tym razem spróbuje sięgnąć po miecz, przekona się, że od ich poprzedniego spotkania sytuacja trochę się zmieniła. Croke wyszedł z komnaty i po chwili do środka wkroczył Maybor.

– Ach, lordzie Baralisie. Jestem bardzo rad, że zgodziłeś się spotkać ze mną o tak późnej godzinie.

Nie wątpię jednak, że zdajesz sobie sprawę, iż mamy wiele do zaplanowania.

Uśmiechnął się szeroko.

– Nic mi nie wiadomo o tym, byśmy musieli coś planować, Mayborze.

– Och, ależ musimy, Baralisie. Czeka nas przecież podróż do Brenu. – Maybor sam nalał sobie wina. – Mam nadzieję, że nie jest zatrute? – zapytał słodko.

– Nigdzie nie jedziesz – odparł Baralis ze wzgardą w głosie. – Jesteś pijany.

– Cóż, przyznaję, że wychyliłem kilka kufli *ale*, nie jestem jednak pijany. – Przełknął wino, nie delektując się nim zbyt długo. – Oczywiście wezmę ze sobą kilku własnych ludzi. Nie uważam, by setka zbrojnych wystarczała. A ty? Królowa zgadza się ze mną.

– Królowa?

Baralis zaczął odczuwać niepokój.

– Tak. Jej Wysokość powiedziała, że mogę zabrać jeszcze dwudziestu własnych. Kiedy u niej byłem, pokazała mi portret Catherine. Śliczna dziewczyna. Nie mogę się doczekać chwili, gdy spotkam ją osobiście. Oczywiście jako poseł korony będę zapewne miał okazję zrobić to przed tobą. Ostatecznie korona ma pierwszeństwo przed księciem. Czyż nie mam racji?

– Królowa mianowała cię posłem korony?

– Tak. Nie wiedziałeś o tym? – zapytał Maybor z przebiegłością w głosie. – Proszę, pozwól, bym napełnił ci puchar. – Nalał wina do obu kielichów. – Czy mogę wznieść toast? – Nie czekał na przyzwolenie. – Za Bren, miasto, które zapowiada wspaniałą przyszłość. – Wypił wino i wstał z miejsca. – Poblądłeś jakoś, Baralisie. Zaplanujemy naszą podróż innego dnia.